



HENRYK RZEWUSKI.

LISTOPAD.

XVIII
ROMANS HISTORYCZNY Z DRUGIEJ POŁOWY XVIII. WIEKU.

T. 1-3



POZNAŃ.

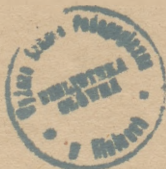
NAKŁADEM WYDAWNICTWA „CZYTELNI POLSKIEJ.”

CZCIONKAMI DRUKARNI „PRACY.”

1900.



AKKULOWIANO
2912



230350

Henryk hr. Rzewuski

jest jednym z najznakomitszych powieściopisarzy naszego stulecia. Powieści jego pochłaniane były przez współczesnych z tą gorączkową ciekawością, jaką tylko niepospolite talenty wzbudzać umieją. I z taką samą ciekawością będą czytane zawsze. Nie wątpimy też, że Czytelnicy „Czytelnia Polskiej“ mile to przyjmą, iż im damy w zeszytach naszych najcenniejsze dzieła tego wielkiego pisarza.

Henryk Rzewuski urodził się dnia 3go Maja 1791go r. w Sławucie, jako syn Adama Rzewuskiego, kasztelana witebskiego, niepospolitego męża stanu i mówcy. Pierwsze nauki pobierał w konwiktach OO. Karmelitów w Berdyczowie, dalsze w Petersburgu i w Krasnowie. Za Księstwa warszawskiego wstąpił do wojska i dosłużył się stopnia porucznika. Potem mieszkał w Paryżu, gdzie uczęszczał na uniwersytet. We Włoszech, gdzie także dłużej przebywał, zaprzyjaźnił się z Adamem Mickiewiczem, który, poznawszy świetny umysł Rzewuskiego, zachęcił go do pisania. Jakoż w r. 1832-gim wydał Rzewuski w Rzymie pierwsze i zarazem najznakomitsze dzieło swoje p. t.: „*Pamiętniki Imci pana Seweryna Soplicy, cześnika parnawskiego*“, drukowane potem wielokrotnie pod zmienionym tytułem: „*Pamiętniki Starego Szlachcica litewskiego*.“ Były to wizerunki litewskie typowych postaci z końca zeszłego wieku, tak świetne, że ukazanie się tego dzieła (bezimiennie) od razu postawiło autora w rzędzie najznakomitszych powieściopisarzy. Inne dzieła Rzewuskiego są: Słynny romans historyczny: „*Listopad*“, „*Zamek Krakowski*“, „*Zaporożec*“, „*Adam Śmigiełski*“, „*Rycerz Lizdejko*.“ Prócz tych utworów powieściowych zostawił H. Rzewuski prace następujące treści różnej: „*Mieszaniny Obyczajowe*“ przez Jarosza Bejlę (Wilno 1841) „*Niebażki*“ (Petersb. 1850), „*Wędrówki umysłowe*“ (Petersb. 1851), „*Teofrast polski*“ (Petersb. 1851), „*Poeta i Przeznaczenie*“ (Warsz. 1851), „*Paź złotowłosy*“ (Lwów 1866). W r. 1850-tym założył w Warszawie i redagował przez jakiś czas pismo codzienne p. t. „*Dziennik Warszawski*.“ Zmarł w r. 1866, 26go lutego, we wsi Cudnowie w gubernii Wołyńskiej.

„Czytelnia Polska.“



I. Wstęp.

Wojciech Strawiński, dziedziczny sługa i przyjaciel Radziwiłłowskiego domu, prawnik i gospodarz zawołany, po ojcu innej spuścizny nie dostał, oprócz łaski nieświeskiego dworu. Ale to spuścizna była nielada, bo co do majątku ojczystego, tak był odłużonym, że pan Wojciech od niego się odprzysiągł, zostawując go nieboszczykowskiemu wierzycielom, a sam do palestry wstąpiwszy, i przy wsparciu Radziwiłłowskim w niej wślawiwszy się, przyszedł stopniami i do majątku i do niemałej wziętości, biorąc zwłaszcza w dziedrżawę rozmaitych panów dobra, ekstra kadencyi gospodarując, a w czasie kadencyi patronując, ile że był rachunkowym człowiekiem, bo oprócz wina, na które nie żałował, żeby mieć czem gości przyjąć i jałmużny kwestarzom, żeby ich modlitwy go nie opuszczały, innych wydatków tak dobrze jak nie znał; a ziemia rodziła, a panowie się kłócili. Więc lubo spełna nie miał lat czterdziestu, tak pięknego grosza się dorobił, że kupił znaczne dobra w Słonimskiem, tanio, bo były uwikłane procederem; ale wkrótce je odwikłał i nawet wycofywał siebie od Jurysteryi, żeby — jak mawiał — nie jeść po dwa grzyby w barszczu. Jako klient Radziwiłłowskiego domu, duszą i ciałem do niego przywiązany, a do tego mający rozgłos poczciwego i rozumnego człowieka, nie było sprawy, nie było roboty w Słonimskiem, na którą nie dzwonił. A chociaż czwarty krzyżyk uzupełniał się na jego metryce, że rolnika i prawnika serce nie kamienne, zakochał się pierwszy raz w życiu i jak się później pokazało, ostatni, w paniencie dziwnej piękności, nawet z siakim takim posażkiem, a krewnej domu Massalskich, niezycziwego Radziwiłłom. Ta ostatnia okoliczność nie była do smaku panu Wojciechowi. Wszakże powiedział sobie: „Cała rzecz, aby ją dostać; a jak będzie moja, przerobię ją jakoś na swój kopyt. Co też tam kobiety, a zwłaszcza młode, mają rozumieć, jaka partya sprawiedliwsza? to już do mnie należeć będzie.“

Ta panienska była sierotą, na opiece zostawioną księciu biskupowi Massalskiemu, jakoby imienniczka i nawet daleka krewna, a ten ją zostawił na wychowaniu u komisarzowej dóbr swoich dziedzicznych w Słonimskiem o których miedzę rozciągał się majątek naszego nieco podżyłego kawalera; i z tego powodu zawiązała się ich znajomość. Trzeba wiedzieć, że pani komisarzowa była Francuzka rodem, wywieziona młodą z Paryża przez księżnę

hetmanową Massalską, i była ozdobą jej dwora, gdzie nie bez zgorzenia przeciwnych Litwinów, a nawet na przekór samemu księciu hetmanowi, cudzoziemczyzna znacznie się przebijala. Książę biskup, będąc jeszcze *le Prince Abbé*, jak go matka nazywała, miał dla niej wielką przyjaźń, o której ludzie bardzo gadali. Koniec końców wydał ją za jednego ze swoich dworzan i dał mu komis na dobra swoje słonimskie, a ztąd powierzył jej swoją krewną. A komisarzowa niemało starania łożyła, żeby pannę Rozalię wyuczyć po francusku, menueta z gawotem, grania na klawikorcie i innych rzeczy równie pożytecznych do pożycia domowego na wsi.

Jakkolwiek pan Wojciech to nad dokumentami śleczył, to rejestra ekonomiczne wertował, nie nie mogło jego myśli na długo oderwać od pięknej Massalskiej, ledwo siedemnasty roczek kończącej. Wstydząc się w drażliwym przedsięwzięciu komukolwiek siebie powierzyć, po różnych przedwstępnych cirkumfibusach, na których odrazu się poznała pani komisarzowa, nakoniec nieco się zająkując, wypalił oświadczenie we wszelkiej formie. Pani komisarzowa, w pięknej nadziei wodzenia za nos wziętego w całym powiecie obywatela, tak jak własnego męża przez nią okubaczonego, oświadczyła mu nawzajem, że chce być jego patronką przed księciem biskupem i panną Rozalią. A pan Wojciech, przykleknawszy jakby przed cudownym obrazem, obie jej rączki, chociaż w rękawiczkach, ucałował. Jak wprzód, tak i odtąd z panną nie wiele mówił, boćby i nie umiał do niej mówić, ale za to ledwie nie codziennie z jego majątku biegali posłańce, to z dubeltami, to z jabłkami, to z przepiórkami, to z innym jakim gościńcem. A często Francuzica i na lepsze goni, bo bywając u niego, a z nim o przyszłym postanowieniu rozmawiając, tak pięknie się przymówi to o udzielenie jej przyplodku z obory, to o lichtarze srebrne, to o puhar ozdobiony starożytnymi talarami, to o koniki domorosłe do kolebki, że szlachcic, lubo pędzią mierzający swoje wydatki, ani się spostrzeże, jak jego dobytek i sprzęty przenoszą się na grunt książąt Massalskich. Ile razy spostrzeże wjeżdżającą kolebkę pani komisarzowej, cieszy się ale i drży razem; zawsze jednak miłość brała górę nad sknerstwem. Grzeczny i uprzejmy pokąd ją widzi, ledwo odjedzie, gderze a gderze, to na nią, to na czeladź, to nakoniec na siebie samego. „Już to prawda (mawia bywało sam do siebie), że ta przeklęta Niemka dyabelnie mnie kosztuje. Ale cóż na to poradzisz? Konkury są ospa; wcześniej czy później przebyć ją trzeba. Ale co też ona u mnie nie nachwytała? Żebym część tego księżom oddał, od czyścaby moją duszę uwolnili. Ta baba w moim domu jak ogień pod łuczywem; niczego przed nią nie uchowasz. Niechże w nią piorun trzaśnie. Byłem się tylko z Rózią, ożenił, natychmiast zerwę z tymi paskudnymi ludźmi. Niemca w domu ani na lekarstwo. A te dziury jakoś pozalątam, niechaj no! A najbardziej mi żal tych pary koni wilczatych, które u mnie wydrwiła; za ich ojca wylizyłem panu Sołohubowi dwa tysiące jak lodu. On zdechl u mnie, a jego potomstwo dyabeł w spódnicy uchwycił. Oj to majster, chociaż bez pluder. Niechże przynajmniej kończy, bo dalej nie stanie dawać.“ Chował potem

szlachcic powabniejsze sprzęty, żeby pokusy nie było. Ale baba umiała sobie i na to poradzić. Nie ma nic do wzięcia z ruchomości, poprostu napiera się pieniędzy pożyczanym sposobem. Trudno jakimi paraśet tynfów nie wygodzić, rozumie się na wieczne nicoddanie. Aż na siłach opada szlachcic; przeklina chwilę, w której poznał pannę Rozalię. „Co też mnie ta dziewczka kosztuje? Czy mnie jaki pacyent przeklął, czy u nie Pan Bóg karze, że może w długiej jurysteryi coś się i przeskrobało; czy mnie jaka czarownica zamówiła? ale sam siebie nie poznaję. Ja, głośny w całej Litwie z mojej ostrożności, ja, co sam sobie nie zawsze wierzę, a teraz mnie wodzą pięknemi słówkami, jak niedźwiedzia łańcuchem. Widzę jak na dłoni, że mnie zarzynają, a odczepić się nie mogę. Znalazł się przecie dyabeł i na jurystę. A im ta dziewczyna drożej mnie kosztuje, tem mi jest miłszą.“ I w samej rzeczy to być inaczej nie mogło. Ale wyznać trzeba, że Francuzica mu też szczerze pomagała, bo i pannie wmawiała, że dla niej nie pomyślniejszego, jak zostać panią Strawińską, że we własnym domu lepiej jednemu mężowi się zasługiwać, niżeli w cudzym wszystkim. A i listy biegały od niej do księcia biskupa. Nakoniec książę biskup, rad wzmocnić partyę swoją obywatelom, trzęsącym bez mała całym powiatem, odrywając go od Radziwiłłowskiego stronnictwa, przysłał zezwolenie na to małżeństwo, oraz i opiekuńskie błogosławieństwo.

Tak tedy pan Wojciech staął u portu. Po weselu zawiózł młodą i piękną żoneczkę do wsi swojej, gdzie już w istocie niczem się nie zajmował, tylko zbieraniem miłego grosiwa. A mając na sercu wyderkafy, wymożone na jego kawalerstwie, zerwał z domem pani komisarzowej. I lubo szczerze był przywiązany do żony, nie zważając na jej łzy, zabronił jej wszelkich stosunków z jej mistrzynią. — Nie płacz, moja Róziu, mówił do niej, bo to napróżno; ani mnie obwiniaj o niewdzięczność, że domostwo moje odwracam od tej, co mi pomagała do twojej przyjaźni. Odczytaj-no moje rejestra, a tam obaczysz, czy — jeżeli były jakie przysługi — wywiązałem się z nich po chudopacholsku, czy może po pańsku? Nie bój się! umiała ona pamiętać o sobie. Jurysta po sprawie, a imość po odprawie z kwitkiem. Na sto katów zda się nam przyjaźń tej przybłądy, a z jej gniewu żartuję. Nam się starać o łaskę pocziwych obywaterek z antenatów, a nie adwenów, co to ich z po za gór wywieziono, a o których pocziwości król Dawid szeroko pisał. Tobie wiele rzeczy wiedzieć nie potrzeba, ale ja, stary lis, wiem, gdzie raki zimują.“ Rada nierada, Rózia milczeć musiała, bo sprawa była z Sarmatą. Niedosć na tem, pan Strawiński, lubo skoligacony z książęcym domem Massalskich, bynajmniej nie odmienił dawnego sposobu widzenia. Nie przestał siebie liczyć między sługami Radziwiłłowskimi, bywając często w Nieświeżu u księcia hetmana, i na każdym sejmiku jego stronę popierając. A lubo wychowanie pani Strawińskiej było innego trybu, niżeli jej męża, jednak przez lat kilka życie tego stadła było szczęśliwe, ile że je Bóg pobłogosławił dwoma synami. Starszemu dano imię Ludwik, młodszemu Michał, imiona, które obaj przy-

nieśli sobie. Ale po upłynieniu tych lat kilku pan Wojciech, obranym będąc deputatem słonimskim na trybunał litewski, zjechał z żoną i dziećmi do Wilna na jednoroczne mieszkanie. Tam na swoje nieszczęście znalazł nieprzyjaciółkę zawziętą, w dopiero owdowiałej komisarzowej, która już była osiadła w tem mieście. Jakkolwiek pan deputat zalecał żonie, by się nie wdawała w ścisłe stosunki z Francuzicą, trudno im było nie zbliżyć się w domach obcych, a zwłaszcza księcia biskupa, ugoszczonego od obojga małżonków, z powodu kolidacyi i wysokiego dostojenstwa gospodarza. Z tych przypadkowych, ale gęstych spotkań, umiała korzystać zajadła cudzoziemka, by deputatowi ukuc biedę, która resztę dni jego goryczą i sromem zatrąła.

W tym właśnie czasie hrabia Mycielski, kasztelanic poznański, zjechał do Wilna na sprawę bardzo ważną z księciem hetmanem Radziwilłem, która to sprawa później zgodnym sposobem się skończyła. Ale wówczas hrabia musiał jej attentować w trybunale, gdzie pan Strawiński jako deputat zasiadał. Hrabia Mycielski był kawalerem wielkiego świata, nosił się po francusku, po polsku mówił łamanym językiem, tańczył menueta z wielką zgrabnością, nazywając polski taniec procesyą w ordynkach, a mazur karczemną biesiadą. Ale co poczciwych Litwinów szczególnie w nim zastanawiało, to, że w obu uszach nosił zausznicę jak kobieta. Poznawszy się hrabia z deputatostwem u księcia biskupa, zaczął bywać w ich domu, otwartym dla wszystkich, a tembardziej dla pacjentów. Dobroduszny gospodarz myślał, że on u siebie bywa jedynie z powodu sprawy, a jemu nie tyle ona była w głowie, ile nadobna gospodyni, z którą by rad najczęściej się spotykać, by sobie drogę do jej serca torować. I to mu tem łatwiej przychodziło, że mógł z nią rozmawiać w przytomności męża, bez obawy być od niego zrozumianym. Trzeba wiedzieć, że za króla Sasa, chociaż bywały zgorszenia w stolicy, szlachta, na prowincyi zamieszkała, twardo trzymała się obyczajów przodków; niewierność małżeńska była rzeczą niesłychaną. Każdy się żenił, żeby żyć z przyjacielem dozgonnym jak Bóg przykazał, i nikomu przez myśl nie przechodziło, żeby siebie od własnej żony pilnować. Bez wątpienia pani deputatowa nie odrazu zboczyła z gościńca wiary i poczciwości szlacheckiej, ale ciągle narażona na natarczywość gacha gładkiego, zakochanego i wyćwiczonego w nauce bałamu-cenia kobiet, a do tego popartego od zręcznej cudzoziemki, skwapliwej do szkodenia niewdzięcznemu wedle niej deputatowi, nakoniec upadła w przekonaniu. U komisarzowej bywały potajemne schadzki i wszystkie ich następstwa. Nie trudno było oszukać męża, zajętego pracowitem urzędowaniem, a zaślepionego w przywiązaniu i ufności dla żony. Aż dnia jednego, właśnie kiedy na sesyi pan deputat zaapiał się nad indyktem pana Puciaty, najslynniejszego wtedy mecenasa wileńskiego, jego połówica, zabrawszy swojego ulubionego Ludwisia, przeniosła się do domu dawnej przyjaciółki; a ztamtąd napisała do męża, że z nim mieszkać nie może, że jemu samemu wiadomo, iż bez istotnej skłonności, a jedynie z musu, za niego poszła, zatem żeby się zgodził z wolą Pana Boga i więcej o niej nie myślał. A hrabia coraz mocniej

zakochany i obowiązany poświęceniem kochanki, popierać zaczął sprawę rozwodową, rzecz za królów Sasów prawie bez przykładu, a którą panowanie Poniatowskiego rozpowszechniło w narodzie.

Opierał się jak mógł i umiał poczciwy deputat, wzywał na pomoc wszystkich praw Boskich i ludzkich, by mu żonę i syna oddano. Podawał wniesienia, żeby żonę do końca sprawy osadzono w klasztorze, azali się nie opamięta. Ostrem piórem w repozwie okazywał jak w czas, bo po spłodzeniu dwojga dzieci, opatrzyła się, że nie z dobrej woli wiarę jemu przysięgła. Przypozywał panią komisarzową z nastawaniem na jej cześć i gardło, bo domagał się w ognistych pismach, by do niej, jako zwodnicy, zastosowano artykuł XXXI, rozdziału XIV Statutu litewskiego. Wszystko napróżno. Książę Biskup, rad upokorzyć Radziwiłłów stronnika, który pomimo koligacyi jemu się nie dawał powodować; a widząc być dla siebie większym zaszczytem mieć krewną hrabinę, niż prostą szlachciankę, dekret rozwodowy wydał, ale taki, że hrabia Mycielski sam dla siebie lepszego nie mógłby napisać. Nakazano panu Strawińskiemu wrócić żonie nietylko posag, ale nawet reformę. Wszelkie koszta prawne na niego nabiczowano, a nawet wbrew pospolitemu zwyczajowi, który w takich razach ojcom przyporucza pieczę nad dziećmi płci męskiej, przysadzono matce opiekę nad synem Ludwikiem, młodszego Michała ojcu zostawując. A w kilka dni po ogłoszeniu dekretu rozwodowego, mając gotowy indult, pani Strawińska została hrabiną Mycielską i ulubionego synka z sobą zabrawszy, wyjechała z mężem do Wielkiej Polski.

II. Wychowanie staropolskie.

Pan Strawiński, skrzywdzony, skończywszy urzędowanie, wrócił na wieś, przeklinając księcia biskupa z całym konsystorzem, a jeszcze więcej tych co po francuzku mówią, po francuzku się ubierają i koleczyki noszą. Jednak w nieszczęściu swoim od samego księcia hetmana był pocieszony, a nawet za jego wstawieniem otrzymał od króla przywilej na strażnikowstwo Słonimskie. Osiadłszy na wsi, pierwszą rzecz, co zrobił, synowi swojemu Michasiowi, który rok piąty zaczynał, a który przy matce nosił długie włosy w pierścieniu spadające, głowę kazał podgolić, ale tak, że tylko trochę włosów zostawił mu na ciemieczku, żeby był prawdziwym Polaczkiem, bez tych wymysłów zagranicznych, które do niczego dobrego nie prowadzą; a przyjąwszy dyrektora za sześćdziesiąt tyńfów na rok, kazał mu uczyć panicza katechizmu, czytania, pisania i początków łaciny, zalecając mu nadewszystko, żeby batoga nie oszczędzał, dodając:

— Sam Bóg przykazał, żeby dzieci znały karność. Szlachcie nie powinien być rozpieszczonym. Książę biskup wileński, że go matka pieściła, na jakie ladaco wyszedł! Do farmazonów przystał; a młody książę Karol Radziwiłł, że nie zważając na płacz matki książę hetman często go batożył, to też dziś wzorem dla wszystkich młodych panów, to też i dla ojczyzny z niego

pociecha. Wiem, że mi starszego rozpaskudzą, niechże ten przynajmniej na człowieka wyjdzie. „Bij waść ile się wspanie, byle swawoli nie dopuszczać, bo ja tak chcę i za to waści płacę.“

A klawikord i inne sprzęty żonine kazał wynieść na górę do śpichlerza, żeby już jemu żony nie przypominało. Odtąd prawnictwu i rolnictwu oddany wyłącznie, byle w Słonimie przypadła jaka sprawa księcia biskupa, lub jakiego biskupiego adherenta, choć darmo przeciwko niej za kratkami staje; a jako dobry katolik, mając siebie za żonatego, bo nie wierzył, by jakikolwiek konsystorz mógł rozerwać związek Boski, ani mu przez głowę przeszło próbować powtórnego małżeństwa. W nieszczęściu swoim nie pozostał bez pociechy; miał albowiem doświadczonego przyjaciela w generale Kunickim, możnym właścicielu województwa Mińskiego, kilku laty od niego starszym, któremu we wszystkim wierzył; powtóre zajmował się zbieraniem pieniędzy, ostatnia namiętność człowieka; a największą dla siebie znajdował pociechę w coraz ściślejszem spełnianiu obrządków religijnych. Syna miłował i ciągle powtarzał, że tylko dla niego pracuje i tak ślęczy nad gospodarką, a w rzeczy samej więcej się zajmował swoim gumnem niż jego osobą. On w domu, a syn z dyrektorem na folwarku nad elementarzem płacze, albo się bawi w piekarni z czeladzią podstarościęgo. Tyle go widzi, jak przychodzi na godzinki lub różaniec do ojca z całą czeladzią, a zresztą o niego ani pyta. Ale gdy już ósmy rok skończył się Michasiowi, wziął go na egzamin, a przekonawszy się, że tyle umie, co i jego dyrektor, tego w nagrodę postąpił na pisarka browarnego i zaczął nieco myśleć o dalszem wychowaniu syna. Że właśnie wyprawiał do Warszawy swojego rachmistrza z gorzalką, słoniną i masłem, powierzył mu i Michasia z zaleceniem, by go ulokował w Collegium Nobilium jezuickiem, i zapłacił za niego co zażąda ksiądz rektor. A do księdza rektora dołączył dwa listy: jeden od siebie, drugi od ojca prowincyała litewskiego, swojego bliskiego krewnego. To zdarzenie zbliżyło do siebie braci od lat kilku rozłączonych, bo obaj znaleźli się w konwikcie. Od roku już w nim mieszkał Ludwiś, oddany tam przez ojczyma, który doczekawszy się własnych dziełek, uważał jego pobyt w domu być mniej potrzebnym dla matki. Tak bracia odnowili znajomość, a idąc za przyrodzonym krwi popędem, najściślejszą zawiązali przyjaźń, ćwicząc się razem w naukach z najświetniejszą młodzieżą narodu. Była to rzecz pocieszna, widok dwóch braci, nawet nieco podobnych do siebie, w zupełnie odmiennej odzieży. Ludwiś upudrowany, w trzewikach, w sukni francuzkiej, w niemieckich pluderkach, wraz z kilkoma paniczami pierwszego tonu, a Michaś z masą uczniów, w kontusiku, w żółtych butach, z czupryną wysoko podgoloną. Ale ta różnica w powierzchowności nie stawała na zawadzie miłości braterskiej. Owszem, Michaś szczególnie się przywiązał do starszego brata, i nieraz w zatargach szkolnych ratował go od natarczywości kontusikowych kolegów, niebardzo przychylnych fraczkowemu paniczowi. I tak żyli z sobą bracia rok jeden i drugi, póki ich ojciec nie zawitał do Warszawy, z powodu jakiegoś inte-

resu księcia hetmana. Po kilkudniowym pobycie, w którym pan strażnik jak mógł wywiązywał się z obowiązków na niego włożonych, przyszło mu na myśl dowiedzieć się, co też porabia syn jego w konwicie, i nie bez zadziwienia znalazł ich obudwóch, a chociaż się skrzywił, widząc w starszym zupełnego Niemczyka, Ludwiś był tak piękny i zgrabny, że miłość własna rodzicielska nie mogła nie być zaspokojoną. Z jakąś czułością uściśkał dzieci, dając im wspólne błogosławieństwo; zdawał się nawet być więcej zajęтым starszym, gdyż dla niego zdobył się na wspaniałomyślność niezwyčajną i dał mu dwa tałary bite, a Michasiowi tylko jednego. Ale w pieczętotach swoich, tarmosząc Ludwisiowi fryzurę, spostrzegł na nieszczęście, że oba uszy były ozdobione koleczykami. Na ten widok strażnik się tak oburzył, że odskoczywszy od syna jak oparzony, wymówił księdzu rektorowi, że takiego bezprawia dopuszcza obywatelskim synom, i nie słuchając usprawiedliwienia, natychmiast odebrał Michała z konwiku, obojętnie patrząc na szlochy chłopca przy rozstaniu się z bratem. Wywiózł go tedy z Warszawy do domu, a ztamąd odwiózł do konwiku nieświeskiego, zalecając, by go uczono tylko łaciny, nie wdając się w żadne niemieccyzny warszawskie, o co aż nadto mógł być spokojnym, gdyż i bez tych jego przestroóg po kolegiach prowincyalnych Jezuici więcej niczego nie uczyli. Syna ulokowawszy, jeszcze długi czas potem w Słonimie i w przyjacielskich domach strażnik z ferworem powstając na obyczaje stolicy, nie omieszkał powtarzać:

— Cóż panowie powiecie, kiedy w tej Sodomie nawet Jezuici poczciwości swojej zachować nie mogą; czyby kto uwierzył, że w ich tamecznym konwicie smarkacze farmazońskie znaki noszą, a oni, jakby o tem nie wiedzieli — o tempora, o mores! — Nie na tem koniec, jeździł od domu do domu po całym powiecie, nawiedzając zwłaszcza wdowy wychowujące córki, i zaklinał je, by odstręczały córki od wszystkich zamysłów niemieckich, jako uczenia się po francusku, grania na klawikorcie, i używania larendogry*), świeżo do Litwy przez farmazonów wprowadzonej, której flaszeczka po pięć tyńfów kosztuje, zamiast wody różanej w domu robionej, której woń jest prawdziwie szlachecka, miła Najświętszej Pannie i wszystkim świętym. A że był wziętym i we wszystkich okolicznościach prawnych i ekonomicznych miał w całym powiecie *vocem decisivam*, więc i to jego missyonarstwo nie było ziar-
nem o kamień rzuconem, ale owszem zbawienne skutki otrzymywało. Tak tedy Michasia tranzlokowawszy do Nieświeża, tyle tylko myśli o nim, że kiedy podstarości przypomni mu, że pojutrze Święty Ignacy, a więc po panicza posłać trzeba, każe cztery konie założyć do bryki, w której naładowawszy kilka korcy leguminy, faskę masła, dzieżkę tworogu i kilka ok słoniny, to wszystko wręcza pod rejestrem staremu kredencierzowi, który był przy nim chłopcem, kiedy sam jeszcze do szkół chodził, i wyprawia go do Nieświeża

*) *Eau de la Reine de Hongrie*, pod tem nazwiskiem zjawiała się woda Kolońska w Europie.

z zaleceniem, ażeby panicza mu w całości przywiózł. Kiedy chłopiec przyjedzie, daje mu błogosławieństwo, potem każe podstaroście, by go miała na oku, i nie spyta, co się z nim dzieje, póki mu podstarości nie przypomni, że wakacje się kończą i że za tydzień trzeba panicza odesłać do Nieświeża; dopiero każe podstaroście zrobić przegląd jego garderoby, szczupłej a jednak znacznie nadszarzanej, uszyć mu z domowego płótna trochę bielizny; ze swojego starego kontusza przerobi na niego kontusinę, nagderze, że sam tyle nie zaważy, ile go kosztuje, próbując go w palcaty w samą wigilię odjazdu a widząc, że chłopczyną niezgorzej się składa, daje mu parę tyńfów na pierniki. Nazajutrz nowe gderaniny, odliczając podstarościemu dwieście tyńfów za rok szkolny zawsze z góry opłacany. I to wszystko wraz z Michasiem powierza już nie kredencarzowi, ale samemu podstaroście, którego żona pod wielkim sekretem opatrzyła brykę łubianem pudłem, napełnionem sucharkami, jabłecznym serem, suszonymi gruszkami, powidłami i innymi przysmaczkami wiejskimi. A pan strażnik, stojąc na ganku, jeszcze święty krzyż dodaje, kiedy już bryka niknie w chmurach kurzawy.

III. Palestra.

Michał po sześcioletnich mozolach konwiktu nieświeckiego, do którego wstępując, miał już dobre początki, wszystkiego się nauczył, czego się tam nauczyć można było. Umiał po łacinie jak Jezuita, teologią moralną jak kanonik katedralny, modlił się z rubrycell i ze wszystkimi jej tajemnicami był spoufalcony, a swojego Dekoloniusa umiał na pamięć, wiedząc na palcach co to jest *metaphora*, *lyperbola*, *praetermissio* i *tropy*; po polsku i po łacinie pisał *expedite*; a nadewszystko umiał z ludźmi obcować, to jest wiedział *cui honor, cui decus, cui vectigal*. Wszystkie odcienie grzeczności były mu tak wiadome, że inaczej mówił do podkomorzego, inaczej do innego urzędnika, inaczej do szlachcica niezaszczyconego urzędem. Jeszcze to w mowie, te wszystkie odcienie grzeczności nie były tyle widoczne, chociaż prawdziwy znawca od razu umiał je ocenić, ale w listach całkowita jego mądrość w tym względzie się okazywała. Strażnik, ile razy go użyje do jakiej korespondencji, aż się nie posiada z radości. Bywało, mawiał do swojego przyjaciela Kunickiego: — *Mości generale, można mnie chłopca pozazdrościć; ja stary lepiej nie napiszę. A jak wie komu wątróbkę trzeba doczepić, a sentencję łacińską dodać!* Na pamięć jego listów nauczyć się można. I do korda gracz; czasem go próbuję w palcaty, dla agitacyi; ledwo nie mojej siły parobek, a pan generał wie, że nie dla samej ozdoby karabelę noszę. Już to prawda, że jego wychowanie nie mało mnie kosztowało, ale cieszę się, że przynajmniej grosz w szkodę nie poszedł. Brakuje mu tylko obeznać się z prawem; tego mu tylko nie dostaje. Trzeba go oddać do palestry, niech się uczy służyć obywatelom, ażeby później mógł jeść swój własny chleb. Jużem mu wyrobił sowity poezet; w chorągwi hetmańskiej jest towarzyszem pancernym i to poważnego

znaku*), niechże się jeszcze wprawia do krtek. Nazajutrz pojechał z synem do Słonima, i zajechawszy do swojego dworku, tyle tylko w nim zabawił, ile mu potrzeba było czasu do zrzucenia kapoty podróżnej, a przyodziania porządnego kontusza, nieubogiego żupana, i opasania siebie złotolitym pasem, nie zapomniawszy szabli; też metamorfozę odbył i pan Michał. Oba pokolenia ugalowane, że aż miło było na nie spoglądać, puściły się piechotą do dworku pana regenta ziemskiego Wojszwyły, zwołanego jurysty, a który kiedyś dependował u pana strażnika. Szli w tym porządku: — ojciec naprzód, syn o trzy kroki w tyle, a o dziesiątek kroków za nimi Węgrzynek pana strażnika z pliką papierów pod pachą. Zastali pana regenta na ganku, we wszelkiej gotowości do przyjęcia dostojnego gościa. „Po wielu ceremonialnych i etykietałnych ukłonach, pan strażnik, wziąwszy swoje dokumenta z rąk Węgrzynka, wszedł do izby przed regentem, po którym dopiero odważył się próg przestąpić pan strażnikowicz; obydwaj usiedli, a pan Michał, pomimo usilnych prośb gospodarza, oglądając się na ojca, stojąc im asystował. Pan regent zadzwonił, a w chwil kilka potem, weszła stara klucznica, trzymając tacę srebrną, a na niej dwie butelki wytrawnego Pikardu i jeden wcale niewielki kieliszek, na którym był rznęty z jednej strony Orzeł polski z Pogonią litewską a na drugiej sentencya: „*Paulatim summa petuntur*“, jakoby dla ostrzeżenia, żeby szczupła objętość kielicha nikogo nie gorszyła. Zaczęła się percepta wina, a ekspens słów, preliminarya ważniejszej rozmowy, gdy pan strażnik, rozwiniawszy plikę, wydobyl z niego zabrudzony zgrzybiałością dokument: — Patrz mości regencie, jaka to teraz sprawiedliwość między ludźmi — ten rozbójnik Massalski, który *via facti* młyn mi podtopił, a z którym nie mogę doczekać się sprawy, tak mi urywa szpagaty na akcesoryach — w manifeście swoim śmie mówić, że mój młyn młodszy, a więc starszemu miejsce ustąpić musi, i p. Szukszta, za jurystę uchodzi! — A to chyba w Statucie tatarskim wynaleźli ten piękny aksyomat — to już starszemu każdego batożyć wolno, dlatego tylko, że później się urodził. Ale i w Statucie tatarskim moje na wierzchu. Oto ryjąc się po mojem archiwum, uważaj kochany regencie, jakiego dokumentu się doryłem! Jak wół dekret działowy *anno domini* 1589, między dwoma braćmi Słuszkami, dziedzicami niegdyś dóbr i moich i księcia Biskupa. Wyraźnie stoi dukt: od rudy nazwanej Tumiele, aż do wąwozu Suchojeża, ciągnąć się ma linia graniczna dwóch sched — dotąd stoją kopce, a właśnie na tej rudzie postawiłem młyn; juźci ja się zdaję na sąd choćby cygański! Jeżeli *anno domini* 1589, już było to nazwisko Tumiele, oczywiście musiał być kiedyś i młyn, więc z mojej strony to nie jest *de nova radice constructio*, ale *renovatio*. Cóż na to powiedzieć? — A to prześliczny dokument. — Pszeniczka dla nas rośnie, nieprawda? — Niema złego, coby na dobre nie wyszło! Jak my teraz dobrze wychodzimy na tem, że

*) Poważne znaki, były chorągwie królewskie, królewiczowskie, prymasowskie i hetmańskie. Kiedy pytno towarzysza: w jakiej chorągwi W Pan służysz? odpowiadał: — Służę z królem, z hetmanem lub z takim rotmistrzem, w którego chorągwi zostawał.

książe biskup na przewłóki się puszczał; tem dał panu strażnikowi dobrodziejowi czas lepiej się przygotować. — Ot wiesz co, mój regencie, niema jak przerzucać stare dokumenta, bo i zabawić się można i nauczyć; namalujemy porządny rejestrzyk pretensyi, nieprawda? bo ja *cum plenissima fiducia* oddaję się jego łaskawej przyjaźni. — O to pokój, mości strażniku. Na następnej kadencyi damy się we znaki JW. pasterzowi. Już pan Szukszta wszystkie skoki wyczerpał, żeby puścić interes na delatę; rad nierad na święto-Michalskiej kadencyi będzie musiał się sądzić, albo opaskudzi swego pryncypała kondemnata. — Panie regencie dobrodziej, wierz mi, że cudzego nie pragnę, nawet o swojebym mniej dbał, gdyby nie ambicya. Niech próg swojego młyna zniżę, ale za wyrokiem sądowym, a u nas podkomorzowie są ludzie, którym zaufać można śmiało. Tego tylko żądam dla siebie, a co się tyczy bonifikaty, lukrów, luitów, przezysków prawnych, to wszystko z całego serca panu regentowi odstępuję. Miło mi będzie choć tem przysłużyć się mojemu dawnemu dependentowi, a sam widzisz, że mój interes czysty a sprawa z niecnotą dwunastej próby. — I tak rozprawiali obaj prawnicy, często odświeżając gardło rubinowym napojem. Nastąpiło milczenie niekrótkie, gdyż regent był istotą wiele myślącą, wiele piszącą, ale mało mówiącą, wyjąwszy przed kratami; tam aż do zbytku argumentował, w domu zaś pisał, modlił się i pił. Więc kiedy strażnik milczał, on wcale się nie troszczył podsyca niem rozmowy, ale machinalnie nalewał wino w próżny kieliszek, a cały jego umysł był zajęty, a raczej zatopiony w rozmaitych kombinacjach strategicznych, co je miał rozwinąć w sprawie dawnego mecenasa, zagrzany ustępstwem przezysków, na których kwotę spoglądał mikroskopijnem okiem łakomstwa. Zatopiony w dumaniu, ledwo się ocknął, kiedy strażnik tubalnym swoim głosem: — Mój regencie! Bóg świadek, że już mi obrzydła ta sprawa z niegodziwym biskupem. Niechże ona sobie idzie na wolę Bożą, pod przyjacielską opieką WPana, a teraz mam mówić o innej rzeczy, nierównie dla mnie ważniejszej, bo tu idzie o los mojego dziecka, co je widzisz przed sobą. Stosownie do naszej umowy weźmiesz go do siebie dla zmazania naszego rachunku.

Ja zrobiłem z WPana jurystę, zrób nim mojego chłopca, a będzie między nami kwita. Składam panu regentowi *plenissimam protestatem paternam*; jak dobry ojciec miej baczność, żeby się nie zwał, a pracował, a gdyby panielcowi jakie fafry przyszły do głowy, to chociaż drymbłas retorykę skończył, od czegoż kobierzec i plecionka baćkowska? Przypomnij-no sobie, kochany regencie, że jak nieboszczka koniuszyna Wpana przywiozła, a byłeś u niej rozpieszczonym, z początku parę razy okuńkiem mnie stanąłeś; ale jakem ci porządną łaźnię sprawił, w gołąbka się przemieniłeś. Teraz, zaś na człowieka całą gębą wyszedł, dziękujesz mi za korektę; otóż odwdzięcz się na moim synu. On w domu nie był rozpieszczonym, bo był dzieckiem, kiedy jego matka mnie porzuciła z łaski tego Massalskiego, z którego dobrami widać że za grzechy moje sąsiaduje, bo nie dość, że mnie zgubił i w sławie, w poży-

ciu domowem, ale jeszcze na własność krwawą pracą zarobioną nastaje. Tyle mi tylko pozostaje, że przynajmniej tego chłopca wychowanie od nikogo nie było mieszane. Wpan go weź na egzamin, obaczysz, że do pióra zdalny, a czego mu nie dostaje, przy Wpanu się douczy; -- a dobywszy z kieszeni od hajdawerów woreczek, oddał go Michałowi, mówiąc: — Oto masz sto tynfów, jest to waścine półroczne postanowienie. Jużem waści od stóp do głowy oporządził, więc to powinno wystarczyć, tem więcej, że to wszystko moja łaska. Waść nie masz nic swojego, matka wszystko z sobą zabrała, nawet reformę swojego posagu gotówką odebrała, co ja ją aż krwawą pracą, i odejmując sobie kęs od gęby, ledwo zdołałem odlatać. Upominałem się, żeby choć cokolwiek dla waści zostawiła, ale ten Massalski, co go chyba przez sen Ojciec Święty biskupem zrobił, bo on w Pana Boga nie wierzy, wszystko czego tylko żądała i nie żądała przysądził jej na złość Bogu i naszemu statutowi. Waść nie mało korzystałeś z mojej łaski, starajże mi się z czasem to wynagrodzić. Odtąd będziesz na chlebie pana regenta, mojego dobrodzieja, a pamiętaj, byś go darmo nie jadł. Słyszałeś jakim złał na niego moją ojcowską władzę. Jak mu będziesz posłusznym, jak on, wyjdiesz na człowieka, a jak będziesz bąki strzelał zamiast pilnowania dokumentów, to się dowiesz, jaki batog lepiej spleciony, jezuicki, czy jurystowski. Jak będę uważał, że waść się dobrze sprawujesz, będę mógł coś waści wyświadczyć; jednak nie spuszczaaj się na to i staraj się, żyjąc z własnej pracy, nikomu nie być ciężarem. — Tę naukę dobrze przyjął strażnikowicz, by wychowaniem swoim był do niej przygotowany. Ani mu przeszło przez głowę, rościć sobie jakie prawo do własności ojca, będąc przekonanym, że, przyjąwszy od niego życie i wychowanie chrześcijańskie, niczem tego w zupełności odwdzińczyć nie może. Nadto czuł, że mając głowę i ręce, winien pracą wywiązywać się ojcu swojemu. Padł mu do nóg, dziękując za jego staranie około jego niemowlęctwa i młodości, za świeże obdarzenie odzieżą i groszem, dodając, że przy łasce Bożej, a posłuszeństwie panu regentowi, pochlebia sobie, że będzie kiedyś pociechą i pomocą ojca. A strażnik, takim sposobem ulokowawszy syna, odjechał go z powierzchownością zimną, jednak z sercem nieco rozczulonem.

IV. Michał zostaje Jurystą.

Michał z taką pilnością wziął się do pracy, że po upłynieniu kilku miesięcy już był, jak to mówią, prawą ręką regenta. Obeznał się z prawem i procedurą, summaryusze układał, najlepszy porządek wprowadził w kancelaryi swojego mecenasa, tak, że jak regent zapotrzebuje jakiego dokumentu, tylko okiem rzuci na summaryusz, a już wie gdzie go znaleźć; nawet zaczął *merita* pisywać, aż się rozplęwał regent, a strażnik mógł się o tem własnymi oczyma przekonać, bo książę Karol Radziwiłł, jeszcze miecznik Litewski, ale wkrótce potem wojewoda Wileński, świeżo odziedziczywszy majątki po śmierci ojca na niego spadłe, dopiero zawiązawszy bandę albeńską, między jej członkami pomieścił jenerała Kunickiego i naszego strażnika. Pierwszemu powierzył

kierunek swojej partii w województwie Mińskim, a niemniej szacując strażnika, a przytem znając jego osobistą nienawiść do księcia biskupa Massalskiego, najgłówniejszego przeciwnika Radziwiłłowskiego domu, jemu powierzył ster tej partii w województwie Słonimskim; ztąd częściej przesiadywał w Słonimie i miał zrzeczność oszacowania postępów synowskich, tyle pochlebnych dla rodzicielskiego serca. Z tem wszystkiem pocziwy Michał cierpiał niedostatek, a żarliwa jego praca jeszcze losu ułagodzić nie mogła. Synowi możnego obywatela, trzęsącego całym powiatem, a nie będącemu jeszcze jurystą przysięgłym, szlachta nie śmiała dawać nagród pieniężnych, odwdzięczając się czapką za rozmaite usługi, jako: kwerendy, pisanie manifestów i tak dalej, a tu trzeba było utrzymać na równi z kolegami, synami mniej możnych obywatelów, a którzy jednak mieli od rodziców obszerniejszą sustentacyą. Trzeba było odziewać się po ludzku, przyjmując lampeczką nawiedzających przyjaciół, na swoje imieniny dobrze obrus oblać, a na to wszystko dwieście tyńfów na rok, żeby miał Iob Salomonowy, nie dałby sobie rady. Pomimo najskrutniejszej rachunkowości wpadł w długi, jakkolwiek nie wielkie, ale które do tego stopnia mu dokuczyły, że, bądź co bądź, za radą i zezwoleniem pana regenta postanowił udać się do ojca, ażali go nie raczy wesprzeć. Okoliczność ku temu była trafna, olbowiem na ostatniej kadencyi atentował sprawy ojca z panem Mohyłą, wielkiem piniaczem i klientem księcia biskupa, i nie pewniejszego, że staraniem swoim tę sprawę wygrał, gdyż właśnie podczas tej kadencyi ciężka choroba przykuła pana strażnika do łóżka na wsi. Pojechał Michał na wieś do ojca, i kiedy do niej wyjeżdżał, zdaleka ujrzał ojca przechadzającego się po wygonie ze swoim rządzcą. Wskoczył z wózka, rzucił się ojcu do nóg i klęcząc wręczył mu ekstrakt dekretu, skazującego pana Mohyłę na wieżę i grzywny za porąb lasu, bo o to była sprawa. Strażnik bardzo się okazał uradowanym, podniósł syna, pierwszy raz w życiu w czoło go pocałował, z ciągłą uprzejmością do niego mówił, a nawet w czasie wieczerzy za jego zdrowie w ręce swojego rządzcy lampeczkę starego lipcu wypróżnił.

— Co tak, to ale, mój Michasiu; wszyscy o tobie najlepiej mówią, a sam uważam, że mówią prawdę. Kiedyż przysięgę wykonasz i będziesz formalnym jurystą, jakim jest pan regent Wojszwillo, a jakim był niegdyś jego mecenas, a Wpana ojciec, przez lat dwadzieścia z górą? To to były dobre czasy! ale i teraz kto ma głowę i serce, da sobie rady. Obaczysz jak pieniądze będą płynąć, i nam będziesz mógł pomagać. — Pokornie dziękuję Imci dobrodziejowi za dobrą wróżbę; i ja puszczam wodze nadziei, jednakże będąc w wielkiej i naglącej potrzebie, ośmielam się kołatać do łaski Imci dobrodzieja. — O ho, czy czasem do kieszeni mojej Wpan nie zazierasz? wołałbyś czem lepszem swoje oczy zatrudniać, bo nie nie znajdziesz w mojej kieszeni. Wpan chciałbyś być młodym i mieć pieniądze, a tu na jednym poprzestać trzeba. Oj! żebym mógł mieć Wpana młodość, oddałbym chętnie tych kilka groszy, które zapracowałem, a których nie najwięcej jest. — Ten rok tylko

dla mnie przyciężki, ale na następnych roczkach stawać będę za inkarceratami, jeżeli mi się uda po kadencyi przysięgę wykonać, a obywatele będą mi powierzać formalnie swoje interesa i za nie płacić *deservitam mercedem*, nie tak, jak dzisiaj, co się pięknie kłaniają za moją pracę, a w to nie wchodzą, że powietrzem żyć nie można.

— A jak się nie uda? — rzekł strażnik. — Za cóżby mi się nie miało udać? wszak kilka moich merytów pan regent za swoje wyczytał w ziemstwie, a przez nie na sławie nie ucierpiał. Sam Imć dobrodziej wiesz, że o tych merytach źle nie mówiono. — Naprzykład, wielebyś Wpan zażądał? — Żebym miał teraz trzy tysiące, toby mi los stanowiło. — Tu się strażnik zerwał od stołu i szybko zaczął chodzić po izbie. — Trzy tysiące, trzy tysiące, ani się zająknął panicz! A to mi gracz! A co to waść, chcesz majątek wziąć w dzierzawę, a wykaraskać się od jurysteryi? Trzy tysiące! jaki mi hojny; a zkąd ja wezmę trzy tysiące? a kto ma trzy tysiące? a na co wpanu trzy tysiące? — Ja nie mam prawa takiego daru żądać, proszę tylko Imci dobrodzieja o pożyczanie mi tej sumy, a za rok da Bóg doczekać, mam nadzieję najskrupulatniej uiścić się na terminie. — Nadzieję, nadzieję, o podobnej ewikycy Statut Litewski nie wspomina; wszelako powiedz-no waszcć, jaka też tam przecie nadzieja? niech i ja się o niej dowiem. — Mam deklaracyę pana regenta, że jak tylko przysięgę wykonać na jurystę, suscepta zaraz mi będzie oddana; otóż i kawał chleba ucziwy. A prócz tego liczę jak na cztery tuze w tryszaku, na kilku możnych obywatelów, co mi swoje sprawy powierzą, z oznaczeniem rocznej kapitulacyi. Sam Imć dobrodziej osądz, czy jest *pignus responsionis* na trzy tysiące? — Tu strażnik usiadł na nowo za stołem, a dzwoniąc widelcem po lampeczce: — Albo jest, albo nie jest, na dwoje babka wróży; tać to jest coś w tem co waść mówisz, tylko, że nie bez ale; jak zostawszy jurystą pójdziesz na swój chleb, wydatki jak rzesisty deszcz spadną na waścina głowę. Wszakże pod gołem niebem nie rozłożysz szatry jak cygan, ani pieczone gołąbki padną do gąbki; trzeba będzie pomyśleć o chacie, o spiżarni, o usłudze, a to wszystko darmo nie przychodzi. — Mam nadzieję, że Imć dobrodziej, pozwalając chodzić koło jego interesów, pozwolisz mi także swojego dworku i jakiej fury zboża na pierwszy początek. — Otóż to nadzieja bardzo śliska; ja nie mam takich spraw, żebym za ich atentowanie darmo oddawał mój dworek. Bagatela, dom w Słonimie, kuchnia, wozownia, lodownia, piwnica murowana, śpichrz, to mam oddać, bo to borowiki same z siebie wyrosły, nic nie kosztują. Dworek darmo i jeszcze zboża furami, gwałtu! A to piękny świat dzisiejszy! jeszcze interesów nie zaczął, a już z góry obdziera; dworek to mało, jeszcze zboża furami! Może owsa? może słoniny i masła? Drzyj, łyko, kiedy drzesz; szkoda tylko, że się drzeć nie daje. A na co ten dworek? a na co takie dodatki do niego? — Ja Imci dobrodziejowi darmo służyć będę, jak każesz i póki każesz, jako jemu i teraz służyć. Pan regent na piśmie przyzna, że w sprawie z panem Mohylą pióra w kałamarniu nie umoczył, jenom ja wszystko robił, bo to była moja powin-

ność, a tuszę, że przy miłosierdziu Bożem całe życie jej dopełniać będę. Pochlebiałem sobie, że wyproszę wsparcie Imci dobrodzieja dla siebie, a chociaż w tem nie znajduję jego łaski, lubo smutny odchodzę, przeto mniej gorliwie jemu służyć nie będę. — A w jakiej gorącej wodzie kąpany! już niełaska!. Kto waści powiedział, że ze mną nie będzie roboty? poczekaj, dajno odetchnąć! Jużci mojego dworku nie odmawiam, byłeś go sam ze swego utrzymał, a mnie się nigdy nie naprzykrzał o żadne reparacye; dodam ci stróża ze wsi, byle zostawał odtąd na twoim koscie, a co się tyczy opału, w tem twoja głowa, o tem i słyszeć nie chcę. Notabene, ile razy przyjadę do Słonima, żeby zawsze była dla mnie izba czysta, a w zimie ciepła, uważasz, panie Michale? A co do pieniędzy, da Bóg doczekać, sam zjadę na roczki; jeżeli mi się waść spiszesz, pieniądze będą, a ja kontentować się będę waścinnym podpisem. Mam w Bogu nadzieję, że uzbieram do roczków trzy tysiące. Trzy tysiące! a jak to coraz drożej wszystko kosztuje! Oj te dzieci, z nimi dobrze, dopóki kieszeni nie przerosną. Toć to prawda, że gdy syn na swój chleb idzie, trudno mu nie dać pomocy. — Dobrze, że przynajmniej pożyczanym sposobem, inny może darmicą chciałby zachwyć sumkę. Taki to teraz świat, a chłopiec pracuje, wiem o tem z boku; no, no, dam, dam, bądź spokojny, byłeś mi przed kratami podpisał, i byłeś ósmy procent zapłacił; clara pacta claros faciunt amicos. Wszak sam uważasz, Michasiu, że na dość śliską ewikcyę pożyczam.

Michał, pełen dobrych nadziei, odjechał od ojca, który nazajutrz jeszcze, rozprawiając z swoim totumfackim i plebanem unickim, ciągle w różnym humorze, nie szczędził pochwał dla syna. W samej istocie, po tej walce między sknerstwem a miłością rodzicielską, ostatnia odniosła uroczyste zwycięstwo, i tego podziwiać nie trzeba. W naszym narodzie, ludzie skąpi są popolicie wzorowej poczciwości, bo nie błędniejszego, jak uważać skąpstwo rzeczą nieodłączną od cheiwości; przeciwnie, marnotrawcy, ludzie zwykle podli i nikizemni, są zawsze cheiwi. Ciągłe potrzebni, ciągle łakną, by mieć czem zaspokoić te potrzeby, które pożerają majątek, a potem cześć, wstyd, sumienie a które jednak nigdy zaspokojonemi być nie mogą. Marnotrawca nie ma tej niezależności, wielkiej rękojmi cnoty, a którą i ubogi człowiek zabezpieczyć sobie może. Skąpiec, jeżeli jest poczciwym, o ile dba o swoją własność, o tyle mniej jest żądny cudzej; nawet uważałem, że u podobnych skąpców, ta ich zabiegliwość nie tyle pochodzi z cielesnego przywiązania do pieniędzy, ile z jakiegoś moralnego przekonania, że są poniekąd odpowiedzialni przed Bogiem z majątku, co od Niego otrzymali, by ten wzrastał i kwitnął za ich pracą i staraniem. Z tego rzędu ludzi był i nasz strażnik. Przywiązany do tego majątku, co go utworzył i wypiełgnował, chętniejby zezwolił na wyzucie siebie z niego, niż na jego podwojenie z obrazą Boga i sumienia. Gde- rał często na syna, ale miłował go szczerze i poważnie, bo to przywiązanie na szacunku było oparte. Zresztą Michał był powtórzeniem ojca, aż do najdrobniejszych szczegółów; jedne wyobrażenie polityczne, taż sama pobożna

pocziwość, także przywiązanie do ojczystych obyczajów, też wzgarda dla wszelkiej cudzoziemczyzny, też nienawiść zbytku we wszystkim, oprócz w okazaniu gościnności.

Roczki nastąpiły. Nasz strażnik stosownie do obietnicy zjechał do Słoni-
nima, gdzie zjazd był niemały. Michał z dziesiątek razy stawał za inkarceta-
mi, i wymową tak wszystkich zachwyił, że aż rosło serce staremu; o niczem
nie mówiono w Słonimie, tylko o rozumie strażnikowicza; szczególnie pod-
czas ustępów brzmiały jego pochwały. — Co to — zagaił pan Korbutt, pod-
stoli Słonimski, wielomówny starzec, a niegdyś zawołany mecenas — nasz
pan Michał półarkuszowe peryody wypowiada jakby z niechcenia; za dawnych
czasów nawet dłuższych nie zdarzało mi się słyszeć. Wszak to około sześciu-
dziesiąt lat jakem wstąpił do palestry; jeszcze to ja pamiętam, kiedy tędy
przejeżdżał król Sas, jadąc do Birżów dla widzenia się z Piotrem Wielkim.
Dependowałem wtedy u nieboszczyka Mitarnawskiego, co to go nazywano
Demostenesem słonimskim. Pan Mitarnawski bywało, jak znajdzie w Cycero-
nie jaki długi peryod, zaraz go przepolszczy, i do swojego induktu doczepi,
że aż miło słuchać. Świeć Panie nad jego duszą, to był wielki mąż, nie dba-
jący o majątek, lecz żyjący dla sławy, a korespondencyę miał z całym świa-
tem. Nie było dnia, żeby po kilka listów własną ręką nie napisał, a każdy
jego list zaczynał się od litery Z. To był tak rozumny człowiek, że kiedy
kaznodzieja z ambony jego postrzeże, zawsze się zmieszka. Ja tego może nie
doczekam, ale pamiętajcie moje słowa, obaczycie, że pan Michał będzie dru-
gim Mitarnawskim.

— A uważaliście — odezwał się pan Godziemba, komornik graniczny —
jak to pan Michał w sprawie tego diaczka, co cerkiew okradł, zręcznie zasto-
sował sentencyę Tacyta: *quid leges sine moribus?*

A Vicesgerent Rymunt: — Albo jak on to *acuminose* porównał tych, co
zbyt literze prawa dufają, nie zgłębiając jego ducha, do tego królewicza, co
rozjazdem chciał komory nakrywać. W jego induktach wszystkiego dostaniesz,
jakby w nowych Atenach. Jest tam i pismo Święte i Tacyt i Dekoloniusz
i Kochanowski, nawet bajki, któremi piastunki dzieci usypiają. A każda rzecz
na swoim miejscu, jakby dla niego stworzona. W młodej dziecinie nauka
słynie. Młodyc strażnikowicz prawda, ale już jeden z pierwszych naszych
prawników.

A strażnik, to wszystko słysząc, z radości niczego wymówić nie może,
tylko jedną ręką pieści wusa, a drugą bije się po bokach. Przy końcu ka-
dencyi pan Michał przysięgę wykonał i został przyjęty do grona słonimskiej
palestry. Wszystko, co widział i słyszał pan strażnik, tak jemu pochlebiało,
że kiedy syn przysięgę wykonał, rozplakał się z radości. *In gratiam* synow-
skiego zaszczytu, sprawił wielką ucztę, na którą całą publiczność słonimską
zaprosił, i tam odliczył nie trzy, ale cztery tysiące: tysiąc złotych w darze,
a trzy za jego obligiem, ale po siódmym, czy ósmym kielichu, jak się roz-
ochocił, wyjął oblig z zanadrza i rozdarł go, mówiąc: Synu, kwituję ciebie

z twojego długu, byleś mnie nigdy nie kwitował z swojego przywiązania. Michał padł do nóg ojcu, który, podniósłszy go, wziął w swoje objęcia. Ojciec i syn splotli się ramionami, zaczęli się całować i serdecznie się popłakali. Cała szlachta, to widząc, także w płacz; ale jakoś tę rzewliwość zapito.

Tak pan Michał na wstępie swojego zawodu, okrzyczany mężem wysokiego światła i wielkiej wymowy, wkrótce stanął na pierwszym szczeblu pałestry słonimskiej. Najmożniejszych obywateli interesa zwały się na niego, tak, że i sława go wieńczyła, i pieniądze poczciwie zarobione do niego płynęły. Nietylko, że swojego smacznego chleba sam nie jadał, że u siebie nikogo nie przyjął bez napojenia go z serdecznością szlachecką, ale chociaż ubogich wdów sprawy promował z taką gorliwością, jakiej nie oszczędzał w sprawach najzamożniejszych obywateli powiatu, jednak nietylko że na wszystko mu wystarczało, ale nawet zaczął zbierać kapitaliki, które oddawał księciu wojewodzie, a które co roku wzrastały ku wielkiej radości ojca, który o wszystkim wiedział, gdyż pan Michał nic nie robił bez jego rady i błogosławieństwa.

V. Wychowanie zagraniczne.

Ludwik inną poszedł koleją. Po odejździe Michała z konwiktury warszawskiego, więcej roku w nim nie pozostał. Hrabia Mycielski, mając stosunki pokrewieństwa z królem Stanisławem Leszczyńskim, wyrobiwszy pasierbowi kawalerstwo Maltańskie, zawiózł go do Lotaryngii, i tam umieścił w szkole rycerskiej, świeżo przez tego króla założonej w Lunewilu. Tam przyjął wychowanie staranne, a z niem ten polor, który dworzan francuskich od wszystkich innych odznaczał. Gdy wyszedł z korpusu, król wyrobił mu stopień kapitana w jednym pułku zagranicznym na żołdzie Francyi, a przeznaczonym na wojnę przeciwko Prusom. Ludwik, młody, zgrabny, waleczny, nadzwyczajnej urody, łatwo pozyskał szacunek i zaufanie swoich wodzów. W bitwie pod Minden, pod okiem naczelnego wodza, kula na wylot twarz mu przestrzeliła. Blizna z rany pozostała nietylko że go nie oszpeciła, ale nawet go zrobiła powabniejszym, wdzięk rycerski mieszcząc na jego obliczu. Marszałek de Broglie, polubiwszy Ludwika, odesłał przez niego do Wersalu kilka znamion pod Klostercamp zdobytych, z najchlubniejszym jego zaleceniem. Przedstawiony królowi, otrzymał zaszczyt jeżdżenia w karetach królewskich*), a tem samem pozwolenie uczęszczania do dworu. Ledwo się pokazał na Wersalskich assablach, tak zajął wszystkich urodą i dowcipem, że damy dworu wkrótce inaczej go nie nazywały, tylko *le beau comte polonais*, a co go podniosło do najwyższego szczytu wziętości, to, że gdy w przytomności Ludwika XV tańcował z margrabiną de Pompadour menueta, *Menuet de la Reine*, król ten głośno się odezwał, że równego tancerza niema na całym dworze.

*) Wiadomy jest ten rodzaj zaszczytu, którego otrzymać nie można było, aż dowiódłszy przynajmniej trzystu lat szlachectwa.

Wiadomo jest, jakie było znaczenie takiej pochwały w owym czasie, kiedy jedno pochlebne słówko w ustach króla wyżej było cenione, niż rozgłos sławy odbity od całej Europy. I w samej rzeczy, czego mu nie wyrobili wodzowie, świadki i sędziowie jego waleczności, menuet zgrabnie tańczony mu wyjednał. Albowiem w kilka dni potem margrabina mu wyrobiła św. Ludwika krzyżyk i stopień podpułkownika, do tego sześć tysięcy franków dożywotniej pensyi i apartament w Wersalu. Ludwik, oddany zbyt kom wielkiego świata i szczęśliwym zalotom z najpowabniejszymi i najsłynniejszymi ozdobami świetnego dworu, nadto był rozpieszczonym terażniejszością, by aż o przyszłości miał myśleć. Nie mając innych funduszów, krom nadziei, znaczne pozaciągał długi; nieszczęśliwi jego współzalotnicy nie zaniedbali skorzystać z tej okoliczności, by upokorzyć dworaka, któremu sprostać nie mogli. Podmówili jego wierzyieli do przewidzenia na nim procesów; nie mogąc ani opłacić, ani zaprzeczać swoich długów, już omal nie był osadzonym w więzieniu, ale tem jeszcze więcej uzyskał wziętości i blasku; bo kiedy margrabina Pompadour oczekiwała, by się udał do jej przyjaźni po pomoc, panna Gaussin, która swojemi zbytkami tyłu panów zniszczyła, własne klejnoty pozostawiała, żeby wykupić *le beau comte polonais*. Kiedy raz za kulisami teatru francuzkiego rozmawiał z nadobną i zakochaną aktorką, hrabią de Lixen, jeden z dostojniejszych panów dworu, a który od dwóch lat naprzykrzał się nieszczęśliwą miłością pannie Gaussin, pałając zawiścią na widok tej poufałości, ośmielił się pogardliwie przemówić do Ludwika, nazywając go awanturnikiem; Ludwik obrażony wyzwał na rękę dumnego Francuza, który nazajutrz poległ od szpady Polaka. Osadzony Ludwik w Bastylii po kilkotygodniowym zamknięciu uwolniony został za wstawieniem się statecznej protektorki margrabiny, której szalone przywiązanie, niezrażone ciągłemi niewiernościami Ludwika, oprócz jednego tylko króla nikomu nie było tajne. Tak pędził żywot tkany rozkoszą i obłąkaniem, w najświetniejszym, ale razem w najrozwiąźlejszem towarzystwie europejskiem: był duszą wszystkich uczt, wszystkich balów; przyjmował młodzież dworską w swoim mieszkaniu, którego wykwintne i bogate ubranie było głośne w całym Paryżu, bo niem zajęła się była margrabina. Same srebra stołowe, któremi go obdarzyła, były oszacowane na trzykroć sto tysięcy franków.

Zbierali się na jego śniadaniach aktorowie i aktorki, filozofowie i artyści, pany, a nawet i panie dworu i czegośby nie dostawało do jego modności, gdyby nie żył w ścisłych stosunkach z encyklopedystami. Ale on był ich ulubieńcem. Nawet arcykapłan Fernejski, napisał był do niego list wierszami, w którym go nazywał drugim Anacharsysem, tak jak pierwszy godnym być w poczcie mędrców umieszczonym, ale rokując mu więcej szczęścia w tem, iż zdoła owocnych Scytów oświecić, odradzając ich w chrzcie mądrości, a kończył odezwę swoją temi słowy: — „Tobie, waleczny i mądry młodzieńcze, poruczyli bogowie wszczepić filozofię na brzegach Niemna i Borystenu.“ Taki list Woltera, którego pochlebstwa wielcy monarchowie przez jakiś szal

niepojęty tak drogo opłacali, w całym Paryżu był uważany jako patent dany Ludwikowi na mądrość. Któżby jej śmiał jemu zaprzeczać, kiedy nieomylny mistrz jemu ją przyznawał? I on sam tak nie wątpił o niej, że często używał tego zwrotu — *nous autres philosophes* — co nawet nie uważano być próżnością. Stosunki Ludwika z Wolterem i encyklopedystami dały mu wstęp do pani Geoffrin, której dom był jakoby akropolis filozofii francuzkiej, a wkrótce tak zawojował tę starą Pytonisę, że go nazywała swoim synem, dając mu pieściwe imię *Loulou*, co potem wszystkie damy powtarzały w Wersalu. W modę weszło między damami dworu nazywać go *le brave et beau Loulou*.

Jednak wyznać trzeba, że z pomiędzy wszystkich jego protekcyi, przyjaźń Geoffrin najskuteczniej posłużyła jego przyszłości, bo w jej domu poznał się i zaprzyjaźnił z dwoma panami polskimi, między sobą braćmi ciotecznymi, a podróżującymi razem za granicą. Jeden z nich był książę Adam Czartoryski, generał ziem Podolskich, drugi Stanisław Poniatowski, stolnik wielki litewski: nawet temu ostatniemu zrobił wielką przysługę, gdyż nie mającemu o czem do Polski powracać, pożyczył na słowo 1,000 luidorów, nie domyślając się zapewne, na jak wielką lichwę je umieścił. Wkrótce potem inny zalotnik zdołał go wyrugować z serca margrabiny, czem utracił niewyczerpaną skarbnicę dostarczającą na jego zbytki. Gdy tak fortuna odwróciła się od niego, nie było środków do utrzymania tonu raz przyjętego, a przy najlepszych chęciach jużby nie umiał poprzestać na pensyi, dla innego aż nadto dostatecznej. Tak dola jego zaczęła się pochmurzać. W tych tedy alternatach nadziei i rozpacz, doszła do niego wieść, że stolnik Poniatowski, silny wsparciem potężnym, otwarcie idzie do dopiero zawakowanej korony polskiej. Ludwik, nie wiele myśląc, sprzedawszy swoje meble, ekwipaże i srebra, a tem jako człowiek nieposzlakowanego honoru opłaciwszy swoje długi, opuścił Wersal i Paryż, by szczęścia próbować w tej Polsce, z kąd go dzieckiem wywieziono. Wyjechał z kosztowną garderobą i mnóstwem drogocennych rupieci, szczałkami faworów fortuny, sypiących się na niego przez lat kilka. Lubo był zupełnie sfrancuział, nie był jednak zerwał wszystkich stosunków z ojczyzną. Co roku przynajmniej pisywał do ojca list etykietalny; do ojczyma częściej zwłaszcza po śmierci matki, niemniej do Michała, zachowując w troskliwej pamięci zadatki miłości braterskiej, co je odbierał w konwikcie warszawskim. Do ojca i brata pisywał po polsku, gdyż we dworze króla Leszczyńskiego ten język był w użyciu; nawet ten król przestrzegał, by młodzież polska, ćwicząca się w jego szkole rycerskiej, między sobą wyłącznie ojczystej mowy używała. Strażnik odpisywał mu, zawsze zapraszając go do powrotu, żeby mu w gospodarstwie pomagał, a nakoniec napisał do niego razu jednego, że mu wyrobił miejsce u księcia wojewody Wileńskiego, i że właściwiej dobremu szlachcicowi służyć panu z panów, niż za górami świecić baki Niemcom paryzkim. Od brata częste odbierał odezwy, a chociaż przez odmienne wychowanie nie mogło być w ich wyobrażeniach żadnych styczności, miłowali się jednak wzajemnie i jeden o drugim myśleć nie mógł bez westchnienia.

Przybywszy do Warszawy, trafił Ludwik na sam dzień ogłoszenia królem Stanisława Poniatowskiego, i był jednym z pierwszych, co swojemu panu złożyli hołd poddaństwa. Król go przyjął, jako dawnego przyjaciela, i sam go przedstawił damom swojego dworu, a ksiązę Adam przymusił go, by przyjął pomieszkanie w jego pałacu. Wykwitność jego ubioru, mądrość jego fryzury, bo jednego z najgłośniejszych fryzyerów paryzkich z sobą wywiózł, to wymawianie zagraniczne w mowie polskiej, te krzyże obce na piersiach, ta blizna na twarzy, odgłos jego bitw pojedynczych, szczęścia do kobiet, faworów pani de Pompadour i panny Gaussin, to wszystko dało mu najwyższą powagę w stolicy zepsutej i już nawykającej sztydźć z ojczystych obyczajów. Król, miłośnik zapalony wszelkiej cudzoziemczyzny, chcąc go nazawsze przywiązać do siebie, w kilka dni po jego przybyciu konferował mu wakujące starostwo Wieluńskie, a ksiązę Adam wstawieniem się swoim do ojca, księcia wojewody Ruskiego i stryja, kanclerza Litewskiego, wyrobił mu komandoryę poznańską. Tak na wstępie do ojczyzny przywitały go i urząd i kilkadziesiąt tysięcy intraty. Nic więc dziwnego, że szczerze przywiązał się do strony, do której samem wychowaniem nie mógł jeszcze czuć pociągu, a cóż dopiero, kiedy ona go przytem obsypywała łaskami, — nic też dziwnego, że kiedy strażnik z Michałem, pod znamionami księcia Karola Radziwiłła, walczyli przeciw Stanisławowi, Ludwik, głowa gabinetu królewskiego, i radą i piórem popierał partyę, będącą u całej jego rodziny w nienawiści. Zapisane są dokładnie w historyi wypadki w Polsce, wydarzone po śmierci Augusta III. Naród po każdym bezkrólewiu musiał opłacać konwulsyę bezrządu. I wtedy na dwa stronnictwa się podzielił: jedno z nich prowadzili wujowie królewscy, na czele drugiego stał ksiązę Karol Radziwiłł.

Ksiązę Prymas Łubieński i ksiązę kanclerz Litewski, jedyne organa legalne, któremi naród do obcych rządów mógł przemawiać, usilnemi prośbami wyjednali od sąsiednich mocarstw wprowadzenie ich wojska, dla utrzymania przeciw wszelkim frakcyom swobodnej elekcji Piasta. Napróżno ksiązę Karol Radziwiłł opierał się; Stanisław August jednomyślnie obrany został od tych wszystkich, co zebrani byli pod Wołą, a pobudzony przez wujów swoich, ludzi mściwych, długi czas nie przestawał ścigać naczelnika zwyciężonego stronnictwa. W stosunkach dyplomatycznych król nie przestawał wystawiać księcia przed dworami sprzymierzonymi z Polską, jako barbarzyńcę uciskającego spokojnych obywatelów zapomocą utworzonej zgrai, która go otacza, zgrai, złożonej z wicherzycieli opierających się wszelkiemu porządkowi. Tak księcia oczerniwszy, a odjąwszy mu wszelką nadzieję wsparcia, nawet od dworu z nim związkami krwi połączonego, stronnictwo króla zemstę swoją nad nim do ostatniego kresu posunęło.

Wyzuty z urzędów, z majątku, najpotężniejszy, najpopularniejszy magnat, został banitą i tułaczem, i możeby nim był do końca żywota swojego, gdyby Stanisław August, którego całkowite panowanie było pasmem intryg, sam siebie w nich nie był uwikłał. Zdało mu się, że zdoła poróżnić mocar-

stwa, które jego królestwo okrażały. Najpotężniejszemu z nich, lubo wszelkimi czynnościami i oświadczeniami okazywał najuniżeńszą powolność, przecie się naraził: usiłował albowiem wejść w ścisłe stosunki z innym mocarstwem i zawiązał tajemne układy, by otrzymać rękę tamecznej królowy; lecz nietylko, że ta nadzieja spełzła na niczem, ale na tem najlepiej wyszedł książę wojewoda, bo mocarstwo oburzone niewdzięcznością i chytrą króla, dopuściło Radziwiłłowskiemu przyjacielom zawiązać konfederacyą w Radomiu. Ta konfederacya, silna taką pomocą, uchylila dekret, skazujący księcia na banicyę, powróciła mu urzędy i dobra i ogłosiła go swoim marszałkiem, a rzeczywospolitej alianci, uznawszy w tej konfederacyi, wkrótce zamienionej na sejm, pełność władz narodowych, odnowili z nią alians, a jej marszałkowi powierzyli nawet dowództwo wojsk swoich, konsystujących bądź w Polsce, bądź w Litwie.

VI. Zaręczyny.

Nim te nieszczęśliwe koleje nastąpiły, kiedy to jeszcze książę wojewoda Wileński pierwszy raz rozpoczynał wojnę domową, żaden Albeńczyk, ani wiekiem, ani słabością się nie wymawiał od współdziałania. Generał Kunicki z synem jedynakiem, pan strażnik ze swoim Michałem, i tylu innych, równych im wiekiem i zasługami, siedli na koń, każdy wedle dawnego obyczaju, przyprowadziwszy ile mógł ludzi zbrojnych. To wszystko, luboć nie w najlepszym porządku, biło się z walecznością słowiańską pod dowództwem księcia wojewody. Ale z jednej strony przemagające ich siłą i karnością wojsko przeciwnie, z drugiej rozdwojenie narodu, bo król tem samem, że był królem, miał silne i legalne stronnictwo, a rząd trzymając przy sobie, pole obszerne do rozsiewania niezgód między konfederatami: to wszystko sprawiło, że książę pokonanym został. „wyciężony pod Nieświeżem, a dłużej nie mogąc się utrzymać na Litwie, przebojem poszedł przez Wołyń i Ukrainę na Wołoszczyznę, w nadziei skłonienia Porty Otomańskiej do wojny.

Ten jego pochód w częstych bitwach, przez kraje tak otwarte, czeka na dziejopisarza, a ten przekonać może, że ów książę „Panie Kochanku,“ co go ludzie ciśnięci oglądają ósmnastego wieku mieli co najwięcej za cnotliwego dziwaka, był jednak bohaterem w nieszczęśliwym okresie, kiedy żadne ofiary na nic się przydawały. Wszystkie rachunki go zawiodły, zamiast posiłków tureckich zastaje morowe powietrze na Wołoszczyźnie, dokąd się dostał niesłychaną przytomnością i cudami odwagi swojej, i szlachty od niego nieodstępnej. Widział z boleścią duszy, że jego szeregi rozrzedzone orężem jeszcze więcej morem drobniały. Wtenczas właśnie przyszła z Warszawy amnestya powszechna dla wszystkich przeciwników królewskich, z której jeden tylko książę wojewoda był wyłączony. Książę, mimo siebie puszczając, co się jego osoby dotykało, uradowany, że zemsta ocaliła jego stronników, sam ich namówił, by się nie opierali losowi, przekonawszy ich, że w każdym względzie muszą być nieczynni. Wyprawił ich tedy do ojczyzny, a sam

z kilkoma przyjaciółmi, którzy go odstąpić nie chcieli, rozpoczął po Europie te peregrynacye, którym dopiero konfederacya radomska położyła koniec.

Powrócili więc do domów swoich poczciwi Litwini, a z nimi generał Kunicki i nasz strażnik. Pierwszy już bez syna, bo tego stracił w przeprawie przez Dniestr; drugi, przebywszy morowe powietrze, z swoim nieodstępnym towarzyszem Michałem. Banicya księcia, nieczynność na jego partyi wymuszona, potęga partyi jemu przeciwnej, więcej mu się uczuć dały, niż widok własnego domu w popiół obróconego, gospodarstwa zrabowanego i znacznej części poddaństwa rozpedzonego. Zagrzebał się na wsi, odosobnił się od tych, z którymi najściślejszą przyjaźnią nie był związany, odbudował sobie domek szlachecki, opatrzył go powoli w potrzebne sprzęty, poddaństwo zbiegłe wróciło do dobrego pana *), wszystko w gospodarstwie do dawnych karbów się skierowało, bo Michał od powrotu z wojaczki mieszkał przy ojcu, a generał tak był do strażnika przywiązany, że mając znaczne dobra w Mińskiem, a jedną tylko wioskę w Słonimskiem, w niej często przesiadywał, żeby być zbliżonym do przyjaciela.

Tęsknili wprawdzie za księciem przyjaciele i słudzy Radziwiłłowskiego domu, ale osierociła banda Albeńska nie samą tylko tęsknotą dowodziła swego przywiązania. Albeńczycy tak czynnie się zajęli opatrywaniem jego potrzeb, że miasta zagraniczne, gdzie przebywał, pojąć nie mogły, z czego emigrant, którego całkowity majątek uległ konfiskacie, podsycał życie uderzającego zbytku, nigdzie nie potrzebując kredytu, a wszystko brzęczącą monetą opłacając. I ztąd powstały gadki o dwunastu Apostołach, naturalnej wielkości szczerozłoty, o jakimś dukacie Radziwiłłowskim wielkości kamienia młyńskiego i t. d. a rzeczywiste jego skarby były serca przyjacielskie. Bo kiedy jego dobra zabrane zostały na skarb rzeczypospolitej, puszczone je w dzierżawę przez licytację. Albeńczyki te dobra między siebie rozebrali za bardzo małą kwotę, bo nikt bez narażenia zdrowia nie mógłby podniesieniem ceny ich podkupywać, żadna potęga ludzka nie zdołałaby go uczynić bezpnie na Litwie. Każdy dzierżawca Albeńczyk miał dwie percepty, jedną grosza skarbowego, drugą grosza Radziwiłłowskiego. Ci w obliczu rządu dzierżawcy, byli rzeczywiście skrupulatnymi administratorami księcia wojewody; co półroczu wyprawiali jednego ze swoich ze znacznemi sumami, ich pracą i przemysłem przysposobionemi, a ten szukał go w Stambule, Wenecyi, Rzymie i powracał na Litwę, przywożąc bandzie podziękowanie i pozdrowienie Radziwiłłowskie.

Michał, wsławiwszy się w wojnie, wrócony do ojczystej zagrody, nie wrócił do jurysteryi, ale jak przywiązany syn osiadł przy ojcu, gdzie, pod-

*) Zawsze mówiąc o pożogach bezkrólewów, zapominają o tem, że nasi ojcowie ani mebli palisandrowych, ani zwierciadeł szafnistych, ani porcelanowych naczyń nie znali: rabunek lub pożar szlachcica nie mógł zniszczyć. Właśnie w czasie, kiedy każdy został niewolnikiem swoich sprzętów, najwięcej rozprawiają o wolności.

porą jego starości, zajął się i domem i całkowitem gospodarstwem, a jako prawy Albeńczyk, zalicytowawszy dzierżawę wszystkich dóbr Radziwiłłowskich w Słonimskiem, z równą gorliwością i dla księcia i dla ojca pracował. Jaki grosz w ojcowiźnie uzbiera, oddaje go ojcu, a ten tylko pieniądze liczy, klasyfikuje, zawiązuje w worki. Ciernie gospodarstwa zachował dla siebie, a róże ofiarował ojcu — stary dziwił się, że nigdy majątek tyle mu nie przynosił, wylanie syna i przyjaźń generała Runickiego były mu najdroższe skarby.

Generał po stracie syna sprowadził pozostałą córkę, która od śmierci matki wychowywała się w Wilnie przy ciotce, by mieć z niej pociechę i pomoc, Zosia była dziewczyną nadzwyczajnej piękności i najlepszego serca. Chociaż przy ciotce, kobiecie nieco światowej, przyjęła wychowanie wykwinne, umiała we wszystkim stosować się do woli ojca, starego Sarmaty w całym znaczeniu wyrazu.

Pod kierunkiem panny łowczanki, starej panny, bliskiej krewnej generała, Zosia wprawiła się do gospodarstwa niewieściego. Trudniła się ogrodem, rozdawała prządkom przędziwo, nauczyła się pędzić wódki i smażyć konfitury, to wszystko zadość czyniąc woli ojca. A chociaż miała kilkadziesiąt książek francuzkich i klawikord, brała się do nich wtedy tylko, kiedy ojciec wyruszy na polowanie, bo on to nazywał błażństwem, bynajmniej nie zdobiącym szlacheckiego stanu.

Z drugiej strony Michał, pobożny, cnotliwy, pilny, nietylko że był pociechą ojca, ale i generał, patrząc na jego postęпки, przywiązał się do niego jak do własnego syna.

Bywało starcy kiedy się z sobą rozgadają, strażnik mawia: — Już to prawda, szanowny mój generale, że mój Michaś niemało mnie kosztował, ale też mi się udał. To człowiek *de jure et de hajda* całą gębą. Czy pójść na niedźwiedzia w ostępie, czy dać konferencyą prawną, czy Bośniaków*) prowadzić, gdzie kule świszczą, jednym słowem do wszystkiego. A jaki rolnik — on mi cuda robi w gospodarstwie; ani się pytam co się u mnie dzieje tylko do gotowego przychodzę. Młody, do pracy zdatny, a mnie staremu czas odpocząć. Bogu niech będzie chwała, że mam przynajmniej jednego dla wyreczenia siebie. Starszy laudaco, ani do mnie zawitał; jak słyhać zupełnie zniemczał; zwyczajnie poszedł po matce. Przystał duszą i ciałem do psiarni pana stolnika, niech nim szczuje naszych, ani chcę o nim wiedzieć. Chwyta tłuste królewszczyzny, na zdrowie mu, bo po mojej śmierci złamanego halerza nie dostanie, co się zapracowało, to wszystko dla Michasia. Tak Bóg przykazał, bo Michaś niemało przyczynił się do wzrostu mojego mająteczku, *a ubi officium, ibi beneficium*.

*) Zamożny szlachcic nigdy nie wyjeżdżał w podróż bez asystencyi uzbrojonych jeźdźców, w ilości stosownej do jego możności. Na Rusi takowi jeźdźcy byli Kozacy, w innych częściach Rzeczypospolitej nazywano ich Bośniakami; Kozacy mieli piki, Bośniaki proporce.

A generał: — Uważasz, kochany strażniku, że coś Michał ma się do mojej Zosi? Dałby Bóg, żebyśmy mogli połączyć się w dzieciach naszych.

— Po zbawieniu duszy niczego tyle nie pragnę, mój generale. Mam w Bogu nadzieję, że to się jakoś ułoży, i że te pocziwe dzieci będą z sobą mieszkaly, bo to jedno dla drugiego stworzone.

I tak ci sędziwi mężowie układali powoli postanowienie miłych i cnotliwych dzieci.

Michał szczerze się przywiązał do Zosi, a ona, chociaż nie doświadczała tego gwałtownego i burzliwego uczucia, co je nazywają miłością, oddawać umiała sprawiedliwość cnotom młodziana, szanowała go i przeczuwała nawet, że z nikim nie może być równie szczęśliwą.

Michał ją kochał wszystkimi zdolnościami duszy. Codziennie oglądając, ledwo ją z oczów tracił, jej obraz nie przestawał pieścić jego zadumań.

Sam przed sobą nie umiałby wytłómaczyć swojego uczucia. Myślał, że ma dla niej najtkliwszą przyjaźń, najszczerzy szacunek, a skromna jego obraźnia nie była zdolną innych obrazów przed nim wystawić, bo niewinna jego dusza ani chwili się nie mogła odłączyć od hartu jej nadanego, statecznym jej dopełnianiem przepisów religijnych.

Pobożność stawiała na straży we wszystkich jego stosunkach z Zosią. Nigdy jej o miłości swojej nie wspominał, za nicby się nie odważył przerywać jej samotności: jeżeli kiedy wszedł do jej pokoju, to chyba za wyraźnym rozkazem generała i wtedy tylko, gdy panna łowczanka była przytomną, bo inaczej byłoby to przeciwne obyczajem ówczesnym, a dla ludzi pobożnych obyczaje narodowe są jakoby drugą religią, niemal równie jak pierwsza obowiązująca. Gdyby taki, którego uczucia z serca do rozumu się przeniosły, podsłuchał ich rozmowy z sobą, bezwątpienia znalazłby w nich obfitą osnowę do szyderstw pełnych dowcipu; bo chociaż każde słowo Michała zdradzało jego przywiązanie, nie można było tych słów użyć do romansu sentymalnego.

Niewinność ma zawsze coś dziecinnego*); ich rozmowy były też najczęściej dziecinne.

Michał zwykle mało mówny, kiedy się rozgada, o czym że z nią rozmawiał? Oto o ostatnim odpuszczeniu, na którym się znajdował; o kapnikach, których ducha pokuty podziwiał; o gospodarstwie kobiecym: o przygodach myśliwskich z generałem doświadczonych. Czasem wspominał o ostatniej wojnie, jak pod Zelwą konia pod sobą stracił, konia, który się urodził u generała, a którego w darze od niego otrzymał. Jak generał, go oddając, powiedział mu: „W Panu na nim niczego się nie bój, bo to fortunat, ma strzałkę na czole.“ Otóż, kiedy zabity został w przytomności generała, który przykrywał odwrót z pod Zelwy, na odpoczynku wyrwał się przed nim, jako teraz widzi,

*) W niemieckim języku jest wyborny wyraz „kindlich“, który w żadnym języku przełożyć się nie da.

że co ludzie mówią o fortunatach to są bajki; jak generał go ofuknął, mówiąc: „A co wasan pleciesz; to, co mówią ludzie jest prawdą. Gdyby ten koń nie był fortunatem, to możeby sam uszedł, ale WPan byś ziemię gryzł; a że to jaja zawsze chcą mieć więcej rozumu niż kury!”

Raz opowiadał Zosi, jak jego ojciec na Wołoszczyźnie był zapadł na morowe powietrze. Miarkuj pani, jakie było moje położenie. Ojciec stary, zapowietrzony, opuszczony od sług, że ja jeden musiałem mu usługiwać. Ale jak pomyślę, że jego pielęgnując, mogę się sam zarazić, a wtedy on zostanie bez żadnej posługi, tak serce mi się kraje, że łzy z oczów płyną jakby z krynicy. Wszak pani wiesz, że on był dla mnie i ojcem i matką. Otóż jednej nocy, patrząc na biednego ojca, zacząłem się modlić do Najświętszej Panny Ostrobramskiej, ale tak, że mi się zdawało, że na Nią samą patrzałem. Do niej, jako do matki cierpiących udałem się. „O matko najświętsza! zawolałem, niech świat opuszczam w połowicy dni moich, ale niech kochany ojciec wróci jeszcze do zdrowia. Ledwom to wymówił, duch we mnie wstąpił i byłem tak pewnym, że ojciec wyzdrowieje; i od dwóch tygodni pierwszy raz smaczno zasnąłem. Nazajutrz ojciec mnie już poznał, co godzina było lepiej, cudownie wrócił do życia. A że modlitwa moja do Najświętszej Panny była w środę, odtąd w każdą środę suszę.”

Piękna Zosia rozczułała się nad pobożnością synowską Michała, ale rada była, żeby jej coś więcej o niej samej mówił, o swoich uczuciach dla niej, by czasem pochwalił, by do jej wdzięków coś przemówił, jak to nieraz czytała w romansach francuzkich. Mawiała sama do siebie: — Michał poczciwy, do mnie przywiązany, ale jaka różnica, między nim a bohaterami pani Lafayette i pani de Tencin; jaka szkoda że nie czyta romansów. Gdyby przynajmniej mówił po francuzku! — Tak to młodzi oczekiwali swojego przeznaczenia, a starzy je układali.

Nakoniec generał, w domu swoim ugaszczając przyjaciela i jego syna, po rozmowie niekrótkiej ze strażnikiem, w czasie której Michał z Zosią i panną łowczanką przechadzali się po sadzie, posłał po nich, a gdy przyszli: — Panie Michale — powiedział — niema gadania, pan strażnik prosił mnie o rękę Zosi dla WPana; ja na to zezwalam, macie przyjaźń wzajemną, nie pozostaje wam, jak ją sobie zaprzysiądź dożywotnie. Zosiu, oto jest twój przyszły mąż.

Michał nic nie powiedział, ale padł do nóg generałowi, i strażnik kłęknął obok syna i kolano przyjaciela ucałował.

Generał, otarłszy kilka łez chustką: — Cóż-to, Zosiu, o ciebie chodzi, a ty milczysz?

Zosia ukłękła przed ojcem, i drżącym głosem odezwała się:

— Miły ojcze, niech się stanie wola twoja; ale jakże mi żal opuszczać dom rodzicielski tak prędko po mojem przybyciu do niego! Niechże nasz ślub przed półtora rokiem nie następuje, żebym się mogła jeszcze ojcem nacieszyć.

— A na co te dylacye, Zosiu! Co ma być nieodmiennie, niech się stanie jaknajprędzej! My starzy czekać nie lubimy, bo bardzośmy niepewni, ażali się doczekamy.

Zosia zaczęła rzewnie płakać, a piękne swoje oczy obracając do Michała, tak go zachwyciła, że zaraz całkowite znaczenie jej spojrzenia zrozumiał, i powtórnie ukląkłszy przed generałem rzekł:

— Dziś jeszcze chciałbym zostać małżonkiem generałówny, chociażbym miał nazajutrz umrzeć. Ale niech w dniu tym, tak dla mnie uroczystym, prośba moja otrze łyzy generałówny: ponieważ jej wola jest, by moje szczęście do półtora roku było odłożone, niechże przez ten czas zasługuję na jej wzajemność.

— Ta, ta, ta, waść jak widzę miękkiego serca. Co waści patronować za moją córką? my się z nią trochę dawniej znamy. A że jurysta zawsze jurystą. Za sześć niedziel będzie wasz ślub, bo ja na te kobiece fafry nie uważam.

— Panie generale dobrodzieju! Na co się mam narażać pannie generałównie? Jej wola jest dla mnie świętą; bylebym otrzymał jej słowo, cierpliwie czekać będę.

A na to strażnik:

— No, generale, niech i tak będzie. Młode kobietki mają swoje rachunki, a my starzy nie suszymy sobie mózgownicy nad ich dociekaniem. Generałówneczka całe życie będzie musiała dopełniać woli Michała; niechaj sobie zdrowa, teraz przynajmniej, na swoim postawi. Da Bóg może sama ten termin zbliży, jak obaczy, że na nią nie nalegamy. Wszak my z sobą wszyscy prawie nierozłącznie żyjemy. Pamiętasz, generale, że z moją żoną w tydzień po jej deklaracyi nastąpił i ślub za indultem; to też wyszedłem na tym pośpiechu, jak Zabłocki na mydle. *Festina lente*; bo kiedy jednemi końmi daleka podróż się odbywa, prędzej zajędzie się do mety, zaczynają stępa, niż z kopyta pędząc czwałem.

— Kiedyście się wszyscy na mnie usadzili, niechże będzie jak sobie chce. Dziewczyna nas wszystkich w pole wyprowadziła. Hulaj sobie babulu przez te półtora roku, ale potem, panie Michale, weź-że ją dobrze w kluby i pamiętaj, że *uxor sub potestate mariti; nec nolle, nec velle*. A po tej rozmowie państwo młodzi zamienili z sobą pierścionki i zaręczyny się odbyły.

Można powiedzieć, że ten rok z pomiędzy wszystkich był najszczęśliwszym dla strażnika. W nim albowiem zaręczył syna z majątną córką najściślejszego przyjaciela, a kilka miesięcy wprzód nastąpił był tryumfalny powrót księcia wojewody Wileńskiego do ojczyzny.

VII. Zjazd przyjaciół.

Po zaręczynach, pierwsza czynność generała i strażnika była donieść wszystkim krewnym i przyjaciołom o postanowieniu ich dzieci. Nie omie-

szkali też zakomunikować o ich szczęściu i dostojnemu ich domów protektorowi, księciu Karolowi Radziwiłłowi, znajdującemu się natenczas w Warszawie, gdzie sejmowi przewodniczył.

Książę odpisał obudwom starym i zasłużonym stronnikom, oświadczając radość swoją z połączenia dwóch domów, zawsze jemu życzliwych: a będąc ich statecznym przyjacielem, ośmiela się państwu młodym posłać pamiątkę swoich dobrych dla nich życzeń, upraszając rodziców, by im to raczyli wręczyć w dniu jego imienin.

Dla Zosi były to koleczyki brylantowe niemależ wartości, a dla Michała przywilej królewski na świeżo zawakowany urząd wojskiego Słonimskiego.

Podczas gdy starzy wyprawiali do Warszawy umyślnego z listem do księcia wojewody, Michał przez niego pisał do brata, towarzysza niemowlęctwa i lat dziecinnych. W liście swoim oznajnił mu swoje zaręczyny, rozszerzył się nieco w opisie cnót, przymiotów i znakomitego ukształcenia swojej narzeczonej, a zakończył, prosząc o afekt braterski dla przyszłej żony i o zachowanie onego nadal i dla siebie.

Pan starosta Wieluński odpisał w wyrazach najtkliwszych, wynurzając radość swoją z postanowienia brata, że dyrekcyja gabinetu królewskiego, na niego włożona, nie pozwala mu wydalic się z Warszawy; że posadę swoją, z innych względów ponętną, w tej chwili poczytuje być nieszczęściem, kiedy mu staje na przeszkodzie uściskać drogiego brata i ucałować rączki przyszłej siostry, z oświadczeniem wdzięczności, iż raczy osobą swoją zwiększać zaszczyty ich domu; a że nie mogąc przybyć do rodzicielskich progów, co sobie zamawia na dzień ślubu, posyła mu przynajmniej swój obraz pendzla Bacciarellego, upraszając, by go raczył uprzejmie przyjąć na pamiątkę swojego przywiązania.

Do tego listu dołączył jeszcze drugi dla Zosi, w języku francuzkim, prosząc o jej przyjaźń dla siebie i o łaskawe przyjęcie małego upominku, który ośmiela się jej przesłać, jako dowód pamięci i miłości braterskiej.

A ten upominek był, jak to Francuzi nazywają, *une parure complete*, z brylantów i topazów brazylijskich, sporządzony w Paryżu wedle ostatniej mody.

Trzeci list, pełen uszanowania napisał do ojca, winszując mu nowej podpory, nabytej w osobie przyszłej synowej.

Ekspedycyja od księcia przyszła do strażnika razem z posyłką starszego syna, właśnie podczas zjazdu krewnych i przyjaciół przybywających z całego powiatu, nawet z powiatów ościennych i dalszych, dla dzielenia radości dwóch starców powszechnie szanowanych.

Dary księcia i pana starosty zostały wręczone Zosi.

Kolce Księcia nie mogły być dość odchwalone, ale bisiory starosty tak były bogate, tak gustowne, że na usilne naleganie obywaterek tam obecnych Zosia musiała się w nie ustroić i tak przyozdobiona resztę dnia ich bawić.

Strażnik z tego nie bardzo był rad, bo coś czmychał, mruczając:

-- Księcia zausznice to ale klejnot, a te niemieckie fatalaszki wcale mi się nie podobają. Tylko, że u kobiet, zwyczajnie, nowe sitko na kolku.

Michał wręczył ojcu list brata; strażnik go odczytał cicho i dość obojętnie, potem położył go na stole, a na nim swoje okulary.

Kiedy przynieśli obraz brata, który w pełniejszym wieku nie był mu znany, Michał nie mógł się nim nacieszyć, a goście tak jednej jak i drugiej płci odzywali się:

— Co za piękny młodzian! Co za oko! Co za łagodność w tej twarzy! brak mu tylko mowy! A ubiór jaki bogaty! A orderowy pan, jak widzimy!

Zosia się nie odzywała, ale często wzrok swój kierowała ku wizerunkowi Ludwika, a po kilkakrotnie odczytywała list jego i w jakieś pomimo-wolne wpadała zamyslenie.

Strażnik czmychał a czmychał, a nakoniec odezwał się z kwaśnym uśmiechem:

— Jak uważam, pan starosta wieluński na nas nieco łaskawszy, bo chociaż sam nie raczy zjechać dla zabrania z nami znajomości, przynajmniej obraz swój posyła, jakby jaki królewicz: że teraz nasza na wierzchu, idzie koza do woza; a czemu o nas nie pamiętał, kiedyśmy się tułali za granicą?

— Ojcie dobrodzieju -- odrzekł Michał -- czy w czasie wojny Ludwik ciągle się do nas nie zgłaszał? Czy co kwartał do nas nie pisuje? I czy ta jego pamięć w najdroższej chwili mojego życia nie zasługuje na moją wdzięczność? Mógłże on przysłać dla mnie droższy upominek od swojego obrazu? A jaka wspaniałość w tem oku, jaka słodycz w tych ustach! Nigdybym go nie poznał, chociaż jego rysy dziecinne zawsze mi stoją przed oczyma.

— Jak tam sobie chcesz; chwal sobie te zniewieściałe rysy, niemieckimi conceptami ozdobione. Waćpana matka się kłania, bo do niej wasy na porysowanej twarzy i kontusz, kryjące pocziwe serce, nie miały szczęścia. Pokornie dziękuję za te kuse saknie, i te kołtunowate czupryny krochmalem osypaue. Dobre to dla fireyków, ale nie dla nas. Ja się trzymam starego przysłowia: niech sobie panna będzie trochę szpetniejsza od Anioła, a kawaler trochę ładniejszy od biesa. Zresztą na co nam się przyda rozprawiać o podobnych bzdurstwach? one do niczego nie prowadzą. Wolimy coś pomówić *ex publicis*. Czy wiecie, państwo, że już mamy nowego wojskiego?

— Któż to taki? -- zawołali ledwo nie wszyscy razem.

— Kto? oto mój syn Michał. Tak, tak, nie inaczej, panie Michale, do waści szczęście przychodzi, kiedy śpisz. Przeczytaj-no wacan ten papier, a o wszystkim się dowiesz. Czytaj-no waść głośno, żeby nasi łaskawcy i przyjaciele o tem wiedzieli. Ten przywilej, to łaska naszego księcia; mości wojski, kolegowaliśmy w obozach, w tułactwach, w gospodarstwie, będziemy teraz kolegować w kole powiatowem.

Michał zaczął czytać przywilej, ale z wielkiej radości tak mu słowa drżały, że strażnik znieczierpliwiony wyrwał mu z rąk pergamin: — Co się W Panu

zrobiło? zapomniałeś jak donośnym głosem odzywałeś się za kratą ziemstwa Słonimskiego. Tak czytasz, że my tego zrozumieć nie możemy.

I nałożywszy okulary, sam głośno i wyraziście przeczytał przywilej, poczem zaczął syna ścisnąć, winszując mu zaszczytu, *uque ad altiozem ascensum*. Dopiero szlachta winszować, i domagać się, by nowego wojskiego zdrowie wypić, a potem przyszłej pani wojskiej, i to kielichem kwartowym.

Michał kłaniał się, płakał, ze wszystkimi się całował i pił.

Ale Zosia mało nie zemdląła z pomieszania, słysząc rozmaite komplementa do niej obrócone od sędziwych obywateli, nieco podochoconych, gdzie myśl o wyraz niewiele się targowała. Bo jeżeli młodzież była skromną, za to starzy, zwłaszcza przy kielichu, wiele sobie pozwalali.

— Moja generałówneczko — odezwał się JW. Słizień, jowialny podkomorzy Słonimski — żal mi ciebie, bo jak będziesz naszą wojską, a my pójdziem na pospolite ruszenie, wojski naszych żon musi pilnować. Niejedną noc za nim potęsknisz.

— Dyabła tam — na to pan Kocięł, cześnik powiatu — na co nam wojskiego z tak piękną żoną? Jej tylko pilnować będzie, a naszym nie się nie dostanie.

I inne podobne żarty.

Generał i strażnik aż za boki trzymali się od śmiechu, tak wesołość sędziwych gości im się podobała. Ale biedna Zosia w ciągłych płomieniach nie wiedziała co z sobą zrobić. Przypomniła sobie wykwintniejsze społeczeństwa wileńskie, kiedy to panicze wyższego świata zbierali się u jej ciotki. Jak to tam ton dobry, straż przy ustach trzymając, nie dozwalał z nich wychodzić żadnej nieprzyzwoitości. Z niechcenia spoglądając na obraz przyszłego szwagra, myślała sobie: ten strój tak wymyślny, ta szlachetna skromność oblicza, służą za rękojmię przyzwoitości i kształtu. Jego rozmowy pewnie są innego rodzaju.

Nieboga nie wiedziała, że ta wykwintność zagraniczna, wkradając się do naszej ziemi, ułudną powierzchownością pokrywała serca zimne, umysły wyuzdane, myśli odwrócone od wszelkiej woni religijnej. Że ta powierzchowność, bezwątpienia pełna wdzięków, już była jedynem wędzidłem moralnem, podczas gdy pod barwą rubasznosci były serca pełne bojaźni Boga i ducha ofiary.

Przywoitość mogła zasypiać, bo wiara ciągle czuwała nad zmysłami, a wstyd dziewiczy, choć często obrażany niebaczem słówkiem, zawsze mógł bezpiecznie spoczywać na sumieniu tych mężów, tak enotliwych, w grubej swojej szorstkości.

Tyle pociech nagromadziło się na dwa możne domy, że uczyty nie ustawały.

Jeszcze się nie skończyła zabawa u strażnika, a już robiły się przygotowania u generała do przyjęcia tegoż obywatelstwa.

Cała partya Radziwiłłowska, to jest cały powiat Słonimski zjechał do Słonima, na instalację nowego wojskiego.

JW. Ślizień podkomorzy, jako *Princeps Nobilitatis*, dał wielki obiad *in gratiam* tej uroczystości. Nazajutrz ksiądz Olesza, Prałat wileński, a proboszcz słonimski, krewny blizki Strawińskich, wszystkich do siebie zaprosił. Długo mówili w Słonimie o starem winie, którem gości częstował.

Trzeciego dnia wystąpił pan regent Wojszwillo, nie posiadający się z radości, że jego niegdyś dependent wy kierował siebie na nielada urzędnika; a chociaż człowiek wielce rachunkowy, tego nie można było poznać po sobie, jakim całe obywatelstwo podejmował.

Były i inne uczyty, bo każdy krewny, każdy przyjaciel, wedle swojej możności, chciał okazać, że *corde et anima* podziela radość dwóch domów zacnych, a wkrótce mających się połączyć.

Ale żaden festyn równać się nie mógł temu, co go dał sam wojski, na dziękczynienie za okazaną mu życzliwość swoich powierników. Dwieście osób siedziało za jego stołem. Było dwunastu wice gospodarzy, ciągle zajętych biesiadującymi. Oprócz waz i ciast, osiemnaście potraw z kolei pokazało się na jego obiedzie, który był dany w ogromnym refektarzu ojców Bernardynów słonimskich. Na korytarzu stały oksefty i antały, bo nie nastarczonoby dobywać korków z butelek, a sześciu piwnicznych nieustannie toczyło wino w dzbany i odsyłali je gospodarzowi i wice gospodarzom.

Na dziedzińcu klasztornym zastawione były stoły dla ubogich, na których jadła, gorzalka i piwo były szafowane: a nadto każdy ubogi dostał po dwie koszule i jednej siermiędze.

VIII. Śmierć Sprawiedliwego.

Te hulanki, przeszło dwa tygodnie trwające, pan strażnik drogo opłacił, bo raptownie zapadł na dawną podagrę, od której po odbytem morowem powietrzu na Wołoszczyźnie, zdawał się być zupełnie wolnym.

Wiele cierpiący, wrócił ze Słonima na wieś, i tam położył się w łóżku, by z niego już nie powstać. W rozmaitych alternatach lepszego i gorszego stanu, przebył dziesiątek tygodni, znosząc cierpliwie dręczące boleści, ale ani chwili przytomności nie tracąc.

Generał, jego dozgonny przyjaciel — wojski, jego ulubiony syn i Zosia, ciągle obecni przy łóżku gasnącego starca, starali się go rozrywać. Dom jego się nie wypróżniał, bo przyjaciele go nawiedzali i pocieszali jak mogli. Mawiali mu, że to przejdzie, jak to bywa w podobnych okolicznościach; instynktowali różne lekarstwa, przytaczali mu znane przykłady odzyskujących zdrowie chorych w podeszłym wieku; nawet lekarze, z różnych okolic przez Michała sprowadzeni, wiele obiecywali. Ale to wszystko bynajmniej starca nie mamiło.

Jak to zwykle bywa u ludzi wielkiej pobożności, przeczuł dzień swojej śmierci, i do niej zaczął się gotować z wielką rozważą i statecznością.

Sprowadził ze Słonima ojca Bonawenturę, gwardyana bernardyńskiego, przed którym od lat przeszło trzydziestu po kilka razy na rok się spowiadał, i zobowiązał go, by go aż do ostatniej chwili nie opuszczał, czego odmówić nie mógł największemu dobrodziejowi konwentu.

Przez kilka niedziel codziennie się spowiadał, i to zawsze zrana, kiedy wszyscy jeszcze spoczywali, a po spowiedzi z gwardyanem modlitwy odmawiał.

Ciepłą ręką, jak mówią, jałmużny rozdawał, o każdym słudze pamiętając. Szlacheckim dawał i po tysiącu i po dwa, poddanych co się mu wysłużyli, z całkowitą ich rodziną od wszelkiej inwentarskiej powinności pouwalał, tak, że oni wszyscy płakali, żegnając dobrego pana, z którym się sami postarzel.

A co też się dostało klasztorom i farom, mój Boże! a to wszystko bez obciążania dóbr, bo przy łóżku leżał ogromny kufer, a obok niego drugi kufer mniejszy, a oba naładowane workami. Każę synowi otworzyć kufer, dobyć z niego co mu powie, a potem znowu zamknąć.

Ułatwiwszy zrana interesa duszy i majątku, przyjmuje przyjaciół z obliczem wypogodzonym, jak gdyby leżał z jakiegóż przywidzenia, a nie z musu. I mówi z nimi o gospodarstwie, lub o prawnych interesach, i czasem jakaś rubaszna dykteryjka mu się wymknie, że wszyscy i on sam się rozśmieją. Kiedy niekiedy jęknie, lub westchnie, oczy wznosząc ku niebu; kiedy niekiedy łza mu się posączy po wybladłej jagodzie; ale wkrótce powraca do tej pogodnej wesołości co ją tylko czyste sumienie wznieca i piastuje.

Jednego poranku, po nocy dość spokojnej, odbywszy zwyczajną konferencyę z gwardyanem, strażnik dłużej niż zwyczajnie w samotności zostawał, nie zapraszając nikogo do siebie. Wojski co kilka chwil przychodził pod drzwi sypialni ojca, żeby przez szpary dowiedzieć się o nim, gdy zauważył nakoniec, że coś pisze. Zasmucił się nieco, ale wkrótce i rozweselił. Zasmucił, bo domyślił się, że układa testament; rozweselił bo to go przekonywało, że siły ojca nie opuszczały, kiedy mógł własną ręką pisać, i jakiś promyk nadziei, że zachowa ojca, mu zaświtał.

Strażnik kazał go przywołać do siebie. Michał zaczął mu skrzepłe nogi całować, a stary rzekł do niego; — Mój Michasiu, niech ciebie w czoło pocałuję; wiesz, że wkrótce ciebie pożegnają, ale tak już wszystko rozporządziłem, że gdy zawita pozew śmierci, stanę z wszelką gotowością.

— Ach miły ojcze, ani tego do głowy nie przypuszczam. Jegomość dobrodziej lepiej niż wczoraj wyglądasz, i całą noc spokojnie przespałeś; da Bóg pożyjesz dla mojego szczęścia.

— Dobrze, dobrze, mój Michasiu, jednak wierzaj mi więcej, niż sługom i lekarzom. Jeszcze dwie doby wam służyć będę, a pojutrze umrę. Nie płacz tak, mój kochany, bo mnie samemu twoje łzy utrudniają ostatnią podróż. Niech się stanie wola Boża. Śmierci się nie obawiam, jeno Jego strasznego sądu, ale mam pełną ufność, że niewinna męka Jego Syna mnie zbawi, bo

chociahem nędzny grzesznik, jestem krwią Jego okupiony; chociahem nieraz wykroczył, zawszem statecznie wierzył, i nigdy nie zaparłem się Ojca, Syna i Ducha Świętego. Doświadczysz kiedyś przy śmierci, jaka to jest wielka pociecha i jak ułatwia wyjście ze świata. Czegóż ty płaczesz, mój Michasiu i mnie chorego niepotrzebnie rozrzewniasz? wszakże każdy z kolei umrzeć musi: *quod mihi hodie, tibi cras*. Czy zwątpiłeś o mojem zbawieniu, lub myślisz, że w niebie gorzej niż tu? Albo nie dość się nażyłem? Mój kochany, im dłuższy żywot, tem więcej grzechów. Wiesz co, Michasiu? żal mi ciebie opuścić, a jednak, gdyby mnie jaki doktor potrafił do razu wyleczyć, żebym mógł równemi nogami z łóżka wyskoczyć, jak to dawniej bywało, ot możebym się bał zdrowia. Bo czyby to było na długo? a drugi raz czy byłbym tak dobrze przygotowany? Miałębym taką nadzieję w miłosierdziu Boga, w zasługach mojego Zbawiciela, i w przyczynie Najświętszej Panny? Mój Michasiu, wzięłeś mojem opatrzaniem wychowanie nie wykwiłne, ale prawdziwie szlacheckie. Nie włóczyłem ciebie po zagranicznych akademiach, gdzieby ciebie nauczono gardzić obyczajami twojego narodu, i szydzić z wiary twoich przodków. Twoje wychowanie zrobiło z ciebie obywatela i urzędnika pożytecznego. Te wszystkie zagraniczne rozумы, któremi niektórzy nasi panieze się zaprzatają, nam się na nic nie przydadzą*). Mamy nasz własny rozum, tak rodziny jak nasze dęby i jodły; tego się trzymajmy. Rozkosze i zabawy nowomodnego świata, jego żarciki z naszymi, jak on nazywa, zabobonów, to wszystko do czasu tylko. Dla nich potrzeba młodości, zdrowia, pomyślności; ale jak się noga powinie, jakaż w nich znajduje się pociecha! A Bóg zawsze z nami. Dobrze li się dzieje, on błogosławi naszą pracę i ostrzega, by z niej się nie pysnić. Przyjdą niemocy, nieszczęścia, utrapienia, on nas pociesza, a razem naucza, żeby się nie nadto przywiązywać do rzeczy przemijających. Z pomyślnością wszystko nas opuszcza, Bóg jeden pozostaje, a pomimo wykroczeń nieoddzielnych od ułomności ludzkiej, kto będzie jemu wiernym do końca, tego na rękach wypiastuje i zabierze do swojego Królestwa, by się nim cieszyć na wieki. Przyjmij ojca umierającego błogosławieństwo, a wiem, że z niem i Boskie otrzymasz, bo przez całkowity twój żywot, nawet najmniejszym zapomnieniem nie zraziłeś ojcowskiego serca. Byłeś mi zawsze pociechą, podpora, zaszczytem; od dzieciństwa twój ciągle przemysływałem, by tobie po mojej śmierci zabezpieczyć doczesność szczęśliwą.

*) Czy u nas okazuje się postęp w świetle, czy cofnięcie? Wartoby się zastanowić, czy światło, które żadnego pożytku nie przynosi, może się nazywać światłem? Już Soplca gdzieś powiedział, że teraz namnożyło się mnóstwo rozumnów drążkowych, jak te urzędy bez jurydykcyi, które napotyamy po starych polskich kalendarzykach. I ztąd cenili tylko te nauki, które się zaraz dawały stósować: matematykę, żeby rozwiązywać zadania; prawo, żeby pisać meryta i pozwy i t. p. Dziś lubią filozofię, politykę, a to dlaczego? oto dlatego, że na tem stanowisku można pleść językiem i nawet piórem jaknajdłużej i wmawiać, że się coś umie, a w tamtych naukach niedołążność odrazu się zdradza. Filozofowie nasi tak rozumują, że aż ckliwo się robi, ich czytając; ale gdyby i gruntowniej umieli rozumować, nie na wieleby to się przydało.

I odpuść mnie Boże, że do zbytku troszczyłem się powiększaniem mojego majątku, chociaż do jego wzrostu cudza najmniejsza krzywda się nie przyczyniła. Zrobiłem dopiero postanowienie względem tego majątku, który tyle pracy mnie kosztował; dziś jeszcze w przytomności przyjaciół o tem postanowieniu się dowiesz. Niech ta praca moja, którą na ciebie spuszczam, służy ci, ale o tyle tylko, o ile ją obracać będziesz na chwałę Bożą, pożytek twojej duszy i usługi ziomków; bo, umierając, proszę Boga, by cię raczej nawiedził ubóstwem, niemocą, sromotą ludzką, wprzód niżbyś go miał obrazić aby jednym grzechem śmiertelnym. Dopiero przy skonaniu człowiek obejmuje całą szkaradę grzechu. Teraz zostaw mnie samego, mój Michasiu, bom się trochę rozrzewnił, ciebie błogosławiąc. Muszę się odrobinę pomodlić, bym się na nowo pokrzepił.

Wojski powtórnie ucałował nogi ojcowskie i odszedł, by swobodniej wylewać te łzy, które połykał w przytomności starca.

Około południa zjechało kilku przyjaciół strażnika, nie takich rzekomych, jak dziś widujem, ale przyjaciół z serca, których doświadczał w całkowitym żywocie i z którymi miał przecucie żyć w krainach wieczności.

Wojski i generał, od początku choroby przyjaciela mieszkający w jego domu, z córką swoją i z łowczanką przyjmowali gości, którzy z poruszoną twarzą w sieniach jeszcze pytali ich o stan strażnika. Trzeba wiedzieć, że JW. Ślizień, podkomorzy, i WW. Kocieli, podczaszy, i Wojszwillo, regent ziemski, którzy dnia tego przybyli, a jak się później okazało, wezwani byli od strażnika, z pomiędzy wszystkich byli właśnie ci, co ze strażnikiem i generałem żyli w najściślejszej zażyłości. Dwaj pierwsi byli w rejestrze zapisani jako najdawniejsi przyjaciele, bo ich znajomość jeszcze szkół sięgała, a trzeci, jak wiadomo czytelnikowi, kiedyś dependował u strażnika, a jego syna wojskiego prawnictwa wyuczył.

Ledwo się rozgościli, kiedy ojciec gwardyan, po zwykłym chrześcijańskim powitaniu, oświadczył, że pan strażnik rad powitać szanownych gości. Zaczęli oni go badać o zdrowie sąsiada, ale w tym względzie nic pocieszającego nie otrzymali.

Weszli, jaknajmniej robiąc hałasu, do sypialni mocno okadzonej bursztynem. Ale strażnik, jak tylko ich zobaczył, podniósł się na swojej pościeli trochę, by okazać swoją radość.

Starzec był wychudzony, wybladły, wynędzniały, ale jakaś dziwna, że tak powiem niebieska pogoda zalegała jego oblicze, a na ustach był uśmiech świadczący wewnętrzną jego pociechę.

— Przepraszam was, szanowni przyjaciele, że was zaprosiłem do umierającego starca, który was wielce umiłował; ale trudno mi było umierać, po raz ostatni was nie pożegnawszy. Oj, oj, czy ja wart tego, byście tak skwapliwie na moje wezwanie stanęli. Tak to niegdyś JW. podkomorzy, świętej pamięci ojciec pański, pan chorąży Ślizień, na moich rękach skonał, a ja potem pana jak umiałem pocieszałem; teraz mojego syna będziesz pocieszać. A ty,

panie podczaszy, pamiętasz, jakem testament pisał twojemu ojcu? On był podstarosta, a ja regentem; nikomu nie wierzył, tylko mnie. Teraz przysłała na ciebie kolej mój testament podpisać. Dobrze, że nasz kochany regent z wami przybył; wszak to niegdyś mój uczeń. On swojego czasu poświadczy, że ten testament moją własną ręką pisany i podpisany, bo chociażem znacznie osłabiony na ciele, jeszcze się czuję na umyśle czerstwym. Z tem wszystkim dziś wam służę, ale jutro mam nadzieję Świętą Trójcę oglądać.

Na to podkomorzy:

— Panie strażniku, odrzuć taką myśl! Wpan jeszcze długo z nami pozostaniesz.

— Daj pokój, panie podkomorzy, dobrodzieju, już będzie z tego świata; jutro umrę, to inaczej być nie może. Dziś rano przyjąłem Oleje św. Powinśzujecie mi, że zachowałem całkowitą przytomność w tym wielkim akcie. Nie każdy znalazł podobną łaskę u Boga. A gdybym umarł na Wołoszczyźnie z morowego powietrza, jak było tego blisko! Jakby to było nieprzygotowanemu stanąć do sądu! Teraz wszystko jak potrzeba się ukartowało. Ale mówmy o czem innym, bo to was smuci; jeszcze tylko trochę pozwólcie się załatwić.

I dobywszy z pod poduszki pudełko czerwonym safianem obite, wyjął z niego kilka spinek kosztownych.

— Te wszystkie precyzoza — rzekł — są dary przyjaźni; niechże po mojej śmierci przyjaciółom służą, aby je nosząc, za moją duszę do Boga westchnęli.

I każdemu spinkę ofiarował, a jedną z nich, na której były na błękitnej emalii z brylancikami ułożone litery K. X. R., cyfra księcia wojewody, oddał synowi, dodając:

— To jest spinka munduru albeńskiego; żądam w tym mundurze i z tą spinką być pochowanym, i tobie, Michasiu, to zalecam pod mojem błogosławieństwem; bo i na ostatnim sądzie chcę stanąć jako przyjaciel księcia Karola. A oto, panie regencie, mój testament, przeczytaj go z łaski swojej głośno. Może jako stary i chory coś z prawa prześlepiłem, to mnie szanowny regent poprawi.

Wszyscy stali jak wryci w ponurem milczeniu, że wszyscy byli przywiązani do strażnika. Nawet regent Wojszwillo, lubo jako podstarzały bezżennik nie był miękkiego serca, głosem jednak drżącym odczytał testament, gdzie oprócz jakiejś kwoty pieniężnej odkazanej Ludwikowi, właśnie jakby dla okazania, że go od ojcowskiego błogosławieństwa nie odpycha, cały swój majątek jako dorobkowy zapisywał Michałowi. Innych nie było legatów, bo co komu przeznaczył gotówką odliczył, i bez żadnych papierków sownie obdarzeni zostali księża, słudzy i poddani, gdyż o nikim nie zapomniał. A egzekutorem testamentu mianował JW. Sliźnia, podkomorzego.

Po ogłoszeniu testamentu zaprosił strażnik przyjaciół, by go raczyli stwierdzić podpisem.

Już zaci mężczyźni zabierali się tę posługę uczynić przyjacielowi, wkrótce mającemu ich opuścić, kiedy wojski, który przez ten cały czas pasował się z sobą, by niemięzkim żalem jeszcze więcej nie pomieszać dostojnego zgromadzenia, i tu nawet oglądając się na obowiązki gospodarza, ukląkł przed łóżem starca i odezwał się, mowę swoją częstem przerywając łkaniem:

— Ojcie drogi, nie rób tej krzywdy Ludwikowi, by go wyzuwać z prawa natury. Czyż to jego wina, że wychowany za granicą, nie nauczył się po naszymu myśleć? Ale czyż wydziedziczeniem swoim da siebie sprostować? Owszem, jak obaczy, że pomimo różności w opiniach, ojciec go nie odpycha od swojego serca, przekona się, że my poczciwie myślimy. Jeżeli ten testament istnieć będzie, słusznie będzie mnie podejrzewać, że korzystając z mojego przy ojcu nieodstępstwa, nikczemne pod nim robiłem podstępny. Niech nam kochany ojciec jaknajdłużej żyje, ale jeżeli taka jest wola Pana Boga, bym go przeżył, czyż połowa ojcowizny nie będzie dla mnie chlebem dostatecznym?! Wszakże własną pracą już sobie zarobiłem trochę majątku, a przyjaźń generałówny i potomstwu, da Bóg, mojemu obszerny zawód odkryje. Dobra sława lepsza mi jest, niż największe dostatki, a z daru ojca większa mi będzie szkoda w sławie, niżeli zysk w majątku. Nie wstanę od nóg twoich, miły ojcie, pokąd tego testamentu nie zniszczysz. Nie tyle mi chodzi o krzywdę brata, którą zawsze mógłbym wynagrodzić, ile o duszę ojca. Bo czy cnotliwy i bogobojny ojciec pochlebiać sobie może, iż śmiało stanie przed Bogiem z sierzystością przeciw własnemu synowi?

— Poczciwie masz serce, Michasiu — odrzekł starzec — ale zważ sam, czy sprawiedliwie, żeby syn, który się nigdy nie pokazał ojcu, który zawsze trzymał z jego nieprzyjaciółmi, równy otrzymał udział ojcowizny z tym, co nieodstępny ojcu towarzysz, pracą swoją przyczynił się do jej wzrostu?

— Moja praca dla ciebie jedynie, kochany ojcie, była poświęconą; ani przypuścić mogłem, bym dla siebie samego pracował. Nie rób mi, ojcie, tej krzywdy, bym miał ściągać na siebie żal starszego brata, którego mam miłować i szanować; a jeżeli zasłużyłem czemkolwiek na łaskę ojca, niech w nagrodę otrzymam zupełne przebaczenie dla brata.

Rozczulił się starzec, uściskał szlachetnego syna, mówiąc:

— Czytam na waszych twarzach, przyjaciele moi, że podzielacie zdanie Michała*) Niechże i tak będzie! Zniszcz więc to świadectwo mojej ostatniej woli. Daj Boże, by się tobie brat źle nie odwdzieczył! — A połączywszy dłonie Michała i Zosi, pobłogosławił ich, oświadczając, że pewność połączenia losów tych cnotliwych dzieci umniejsza mu żalność rozstania się z przyjaciółmi

*) Proszę uważać na czas, w którym to się działo. Wiem, że dziś nietylko że bez wyrzutu dziecię korzysta z udobrodziejstwowania ojcowskiego, chociażby ze szkodą braci i sióstr, ale nawet ci co do podobnych aktów wpływają radą, piórem, namową, bynajmniej nie tracą na opinii obywatelskiej. Trzeba przypomnieć sobie, że te skrupuły wylegały się w czasach barbarzyństwa, a że teraz żyjemy w wieku ukształconym, odrodzonym w nauce.

z którymi doczekał się zgrzybiałości. Niech cię Bóg pobłogosławi, kochany Michasiu — dodał — niech ci da wszelką doczesną pomyślność, ale o ile ona nie będzie przeszkodą do twojego zbawienia. Jeszcze ci to powtarzam, bo ten świat jest plewą, wiatrem, jedno nic, a wieczność wszystkim. Bądź zawsze wiernym Bogu i krajowi, i w każdej chwili bądź gotów życiełożyć dla obu matek twoich: Kościoła i ojczyzny. Mniejsza o to, że nie będziesz szczęśliwym, byleś zawsze był cnotliwym. — Dodał błogosławieństwo i dla starszego syna, wszystko jemu z serca odpuszczając. Ale to wszystko tak rozbiło starca, że słowa coraz słabiej wymawiał i zdawał się usypiać.

Wszyscy na palcach wyszli do bawialnej izby, usiedli, spoglądając na siebie, i milczeli, bo każdy tak był poruszony, że słowa wymówić nie mógł.

Wszakże pod wieczór strażnik zdawał się przychodzić do siebie. Znowu wszystkich zaprosił do swego łoża i tak przytomnie z nimi rozmawiał, iż zaczęli wierzyć, że choroba się przesiliła i że zdrowie odzyska.

Było to ostatnie zjawisko gasnącego żywota, okazujące się zwykle przed skoniem.

Jednak cały ten wieczór przepędził w miłym obcowaniu z tem, co miał najdroższego na tym świecie.

Żaden z gości do swego domu nie wrócił.

Ale nazajutrz zrana, jak się często dawał z tem słyszeć strażnik, że dnia tego nie przeżyje, przecucie nigdy nie zawodzi ludzi prawdziwie pobożnych, w samej rzeczy zasnął w Bogu, prawie bez konania, na rękach ojca gwardyana i wojskiego, wtedy kiedy jego przyjaciele jeszcze spoczywali.

Można wystawić sobie, jakie to było ich przebudzenie, jaki smutek ich ogarnął: ale nie się równać nie może z rozpaczą pocziwego wojskiego.

Przyjaciele nie odważyli się go opuścić w tej goryczy serca, przynosili mu pociechy przyjaźni i religii, a widząc go w niemożności zajęcia się czemkolwiek, sami zatrudnili się pogrzebem, żeby tę ostatnią posługę oddać współurzędnikowi i ścisłemu przyjacielowi.

W kilka dni po śmierci strażnika, pogrzeb jego odbył się w Słonimie, u OO. Bernardynów, gdzie wedle jego woli jego zwłoki miały być złożone. Pogrzeb był wspaniały; ledwie nie połowa kapłanów całego powiatu, tak jednego jako i drugiego obrządku, na nim się zgromadziła. A nie było w Słonimskim obywatela, któryby na ten obchód nie zjechał, nawet wiele z innych powiatów i województw, a Albeńczyków tylu się zebrało, że same żółte konтусze zdawały się snuć po ulicach.

Na stypie kilkaset osób za stołem siedziało, a nietylko piwnica nieboszczyka, zawsze tak opatrzona, wypróżniona została do szczętu, ale, jak się obywatelstwo rozjechało w całym Słonimie wina na lekarstwo nie można było dostać.

Urzędnicy powiatowi sami nieśli trumnę zmarłego kolegi.

Oprócz eksport duchownych, więcej dwunastu mów świeckich dało się słyszeć, bądź na stypie, bądź przy grobowcu, bo każdy chciał sławić zasług o-

nego męża. A generał Kunicki tak w mowie swojej się rozszlochał, że mu sił nie stało do jej zakończenia.

Wojski kilkakrotnie zemdlał, a nawet po powrocie do domu obłożną niemocą przyplącił to ciągle pasowanie się z sobą samym.

Po odbytym pogrzebie, generał Kunicki wyznaczywszy dla Michała i Zosi dzień ślubu, trzecią niedzielę po niedzieli kończącej żałobę Michała, opuścił na zawsze wioskę, którą miał w Słonimskiem, a gdzie przesiadywał jedynie dla sąsiedztwa strażnika, i powrócił do Niewodowa, dawnego swojego mieszkania pośród szerokich dóbr, które posiadał w mińskiem województwie.

Wojski, utuliwszy się nieco z żalu po tak bolesnej stracie, do czego dopomogło mu szczególnie przekonanie, że co tylko z woli Boga przychodzi, z jakiegoś względu musi być koniecznie dobrem i pożytecznym, zajął się majątkiem, ażeby w nim było wszystko gotowe do działu; a do brata napisał list obszerny, donosząc mu o ich wspólnem osiereceniu — że ojciec umierający w ostatniem błogosławieństwie żadnej nie czynił różnicy między pozostałymi po nim synami; że skład interesów domowych wymaga najrychlejszego podziału dość znacznej ojcowizny, a nadewszystko ich zbliżenia się do siebie, by osobiście się umówić względem niektórych okoliczności familijnych, ile że ojciec ich odumarł bez żadnego rozporządzenia; że będąc właścicielem połowy tylko spadku, ma ręce związane w obrocie całkowitej masy. Zatem najusilniej go uprasza, by, nie tracąc czasu, choć na parę tygodni raczył zjechać do Litwy i przy tej okoliczności poznać brata do niego zawsze przywiązanego, uważającego w nim głowę swojej rodziny i który postanowił sobie we wszystkim ile możności dawać się jemu powodować, jako młodszy brat starszemu. A nakoniec doniósł mu o znaczeniu terminu, w którym los jego na zawsze ustalonym będzie.

Ludwik odpisał, nie szczędząc wyrazów tkliwych w wynurzeniach swojego żalu po nieodżałowanej stracie, która ich obu dotknęła: że to jedynie go pociesza, iż po skończonej żałobie patrzeć będzie na postanowienie brata, gdyż nie omieszka być na jego weselu, by do ołtarza prowadzić kochaną bratową; ale że teraz stolicy żadnym sposobem opuścić nie może, bo w czasie agitującego się sejmu król Jmc ciągłych jego usług potrzebuje. Co do spadku po ojcu pisał, że go już doszła wieść, iż ojciec był rozporządził całym majątkiem na wyłączną korzyść brata, i tylko na usilne jego prośby to postanowienie cofnął; że ta wspaniałomyślność brata bynajmniej go nie dziwi, a na jego miejscu inaczejby nie postąpił, wszakże nie przestaje mu zachowywać dozgonnej wdzięczności, ile że się opiera na najwyższym szacunku do jego osoby. Zresztą będąc z siebie dość bogatym mało dba o spadek ojczysty, a zatem niechaj brat rozporządza się wedle woli swojej w tym majątku, który rzeczywiście jemu samemu był przeznaczony.

Do tego listu dołączył najobszerniejszą plenipotencją, napiętnowaną wszelkiemi formalnościami, jakie tylko juryści mogą obmyślić, na imię brata. W niej nietylko, że mu poruczył administracją swojej ewentualnej schedy,

ale mu nawet przyznał prawo alienowania jej, gdyby tego widział potrzebę, uwalniając go od wszelkiej kalkulacji i odpowiedzialności.

W rzeczy samej, nie tyle interesa publiczne zatrzymywały go w Warszawie, ile miłostki, które prowadził z krajczynią wielką koronną, jedną z najpoważniejszych dam dworu króla Stanisława.

Jednak pomimo najszczerzego jego pragnienia pozostawania w stolicy, okoliczności się tak złożyły, że prędzej się poznał z rodziną Litwą, niż się tego kiedykolwiek spodziewał.

VI. List starosty Wieluńskiego do księcia generała Ziem Podolskich.

„Z pod strzechy rodzinnej, gdzie bez najmniejszego ustępstwa duchowi czasu, przechowują się obyczaje sarmackie, piszę do waszej księżęcej mości. Z rozkazu króla Jmci wyjechawszy do Litwy, zostaję w gościnie u mojego brata, wojskiego słonimskiego, długi czas zawołanego jurysty, czas niejaki zbrojnego poplecznika sprawy księcia Panie Kochanku! a teraz gospodarza wzorowego, grykosieja, łapigrosza, zawsze zabitego Litwina, ale summa summarum, najpocziwszego z ludzi. Niech mówią co chcą, ale musi być w cności jakiś urok, kiedy ja, przywykły od dzieciństwa do myśli i wykuintności oświeconego świata, ja, sybaryta we wszystkich moich nałogach, mieszkam w izbie przesiąkłej gliną, lub okadzonej smołką litewską, coraz w nocy przebudzony zostaję wyciem psiarni mojego brata, karmię się barszczem i jakąś tatarską strawą, co ją tu nazywają wereszczaką: nie słyszę innego wyrazu francuskiego prócz tego, co wychodzi z ust mojego Laflera, a z tem wszystkim czuję jakąś mimolną zazdrość do mojego brata, że jego wewnętrzne usposobienie pozwala mu obrać dla siebie podobny tryb życia. Widzę w nim, lubo temperament jego jest nieco melancholiczny, jakiś spokój serca, jakąś błogość duszy, od których czuję się być dalekim. Słynę na wielkim świecie z wesołości i jednostajności humoru, mają mnie wszyscy za jednego z ulubieńców fortuny; a gdyby umiano mnie przeniknąć, prawdziwie nie byłoby czemu zazdrościć. Znalezionoby czezość, odczarowanie, przesynt wszystkiego. Co tylko przywabia swojemi przynęty, już jest obnażone z szat swoich, a nagość tych rzeczy, za któremi się upędzamy, bez których już nawet żyć nie umiemy, jest obrzydliwa. Wszystko jest nicestwem, i my sami jesteśmy nicestwem. Niema nic rzetelnego w żadnej zasadzie; do niej wiąże pociąg, bojaźń, lenistwo, a nakoniec nawyknięcie daje jej siłę nałogu. Wiara czy niedowiarstwa, religia czy filozofia, wszystko to są igraszki słów, a ten rozum, którym się tak pyszniemy, najczęściej na słowach poprzestaje. Każdy filozof chlubi się, że jest wyznawcą prawdy, ale co to jest prawda? jak się przekonać, że prawda jest prawdą? Czy jest na świecie jaka prawda? Rozumowanie, co najwięcej, dowodzi zdolności rozumującego, ale jest-li rzeczywisty związek między rozumowaniem, a rzeczą rozumowaną? Rozum może fałsz

oczywisty podnieść do godności prawdy. A sam rozum czymże jest? ma-li on rzetelne znaczenie? Rozum jednego człowieka jest głupstwem drugiego człowieka; rozum jednego pokolenia jest głupstwem drugiego pokolenia. Po-wiem więcej: przekonany jestem, że rozumowania na naszych postępkach żad-nego nie wywierają wpływu, a pociągi tylko nami władają. Gdyby szerm-y rozumu miały jaką siłę przekonywającą, kto wie, czy w takim razie zreasu-mowawszy rozumowania za filozofią i za zabobonem, szala-by się ku ostatnie-mu nie przechyliła? Co do mnie, żyjąc w ścisłych stosunkach z koryfeusza-mi encyklopedyi, chociaż ledwo nie każde ich słowo było grotem ciśniętem na religię chrześcijańską, nic jednak nie sły-szałem takiego, coby było zdolnem obalić moje przekonanie, gdybym zka-dinad do tej religii czuł jakiś pociąg; a jednak usłyszałem za nią jeden argument tak wrażliwy, że aż mi utkwił w pamięci.

W pierwszej mojej młodości, będąc na służbie u króla Leszczyńskiego, byłem świadkiem jednej rozmowy przy wieczerzy. Siedział za stołem król, księżna de Luxembourg, Wolter, Fréret, Tressan i ksiądz Proyart, a ja, za drzwiami otwartymi w przedpokoju, gotowy na każde zawołanie królewskie. Wiadomo księciu, że król lubo był oddany wszystkim zabobonom katolickim, lubił towarzystwo filozofów i bez granic tolerował objawienie zdań najzu-chwalszych, najprzeciwniejszych jego przekonaniu. Wolter, wedle swojego zwyczaju, szydził z religii, do czego mu dopomagał Fréret. Ksiądz Proyart i Tressan stawali im w oporze, król milczał, a z podobnymi ludźmi i zaczep-ka i odpór były dzielne. Nakoniec król się odezwał: — Żadne rozumowania wasze na mojem przekonaniu wrażenia nie robią, bo niema rzeczy, którejby rozumowaniem nie można było zarówno obalić lub utwierdzić; dla mnie więc rozumowanie jest niczem, a fakt wszystkim. Nie mam trudności wierzyć w rzeczywistość religii chrześcijańskiej, bo ona jest niezaprzeczonem faktem.

Na to Wolter: — Najjaśniejszy panie, wszakże każda religia, zaczynając od pogańskiej, była faktem, wszakże i filozofia jest faktem!

— Co do filozofii — odparł król — ten fakt albo doświadczeniem cał-kiem nie był stwierdzony, albo doświadczenie owszem przeciw niej świadczy. Co się nigdy nie dało zastosować do życia społeczeńskiego, czymże jest, jeże-li nie teoria? O pogaństwie tyle tylko powiedzieć można, że ono, jak wszy-stkie opinie ludzkie, swój czas odbyło. Każda opinia, otrzymawszy panowa-nie nad ludźmi, jeżeli się już wątlić zaczyna, nie ma sposobu jej pokrzepić. Historya nas przekonywa, jak w podobnem przedsięwzięciu i Neoplatonizm i cesarz Julian się rozbili, i w tem prawie nie może być wyjątku, bo żadna myśl, jedynie ludzka, sama w sobie siły zaradczej nie posiada. W idei chrześ-cijańskiej, przeciwnie, jeżeli się odwołamy do doświadczenia, przekonamy się, że ta idea kolejno zbliża się do schyłku, a potem sama z siebie wzmaga się i powraca na dawne swoje stanowisko. Jest-to jedyna wyłączość w dziejach świata.

— Wieleż to opinii — odezwał się Fréret — filozoficznych, naukowych, politycznych, które, skonawszy, później odżyły!

— Prawda — odpowiedział król — ale warto zauważyć, czy te niby wskrzeszone opinie były zupełnie te same? czy były powszechnie panujące w społeczeństwie? czy nakoniec wpływały na jego przeznaczenie? Religia chrześcijańska, otrzymawszy panowanie nad ukształconym światem, tak się już była rozłożyła pod pociskami arianizmu, że już, wedle wyrazów jednego świętego filozofa, świat był zwątpił, czy jest jeszcze chrześcijańskim. A jednak, po chwilowem zaćmieniu, taż sama idea chrześcijańska bez najmniejszego ustępstwa, bez najmniejszej modyfikacyi w swojej istocie, na nowo świat opanowała, tak dalece, że śladu arianizmu nie pozostało. Niechże mi kto ukaże podobny fakt z jakąkolwiek opinią ludzką!

Tu księżna de Luxemburg, mająca dar szczególny urywać rozmowy, które jej nie bawily, rzuciła jaki żart dowcipny i wszyscy o czem innem mówić zaczęli.

Pomyślisz sobie książę, że już na Litwie zostałem bigotem. Nie, wcale nie. Jestem i będę filozofem, nie żeby argumenta filozofii były bez odporu, ale dlatego, że ona mi jest miłą, że moje postęпки do niej stosować mogę, że mi nie podaje obowiązków, których dopełnienie przechodzi możność moją; a nadto jestem uczciwym człowiekiem, bym usty wyznawał to, czemubym moje uczynki kłamstwo zadawały.

Życie wiejskie, strzecha rodzinna, obyczaje prostackie, są to rzeczy bardzo piękne w poezyi, ale ich rzeczywistość dla mnie nie ma powabów, a tylko im się oddawszy można żyć po chrześcijańsku. Religia na wielkim świecie jest zaniebawaną... Szacuję filozofów, bo każdy z nich może usprawiedliwić swoje postęпки przez opinie, które go zholdowały. Ale cóż powiedzieć o nabożnisiach wielkiego świata, którzy tak postępują jak tamci, a ogłaszają siebie za wyznawców opinii, też postęпки potępiającej? To nie dla nas, mości książę, honor nie pozwala nam kłamstwa, jakabykolwiek była forma; nasze postęпки powinny zawsze stosować się do naszych wyznań, i tego, do czego czuję przyrodzony pociąg, nigdy potępiać nie będę. Moja filozofia jest uleganiem woli, wszystkim pociągom, jakich doświadczać mogę i dopókad ich doświadczam; bo o niczem nie zdołam być przekonany, tylko, że to mi się nie podoba, lub jest przeciwne mojej naturze, a skoro się podoba, tem samem musi być dla mnie dobrem. Nasze pociągi są dla nas niezłą rzeczona prawdą, bezwątpienia względną, ale innej prawdy nie pojmuję. Szanuję mojego brata i jemu podobnych wieśniaków, bo poddawszy się surowemu prawu umieją z niego wyciągnąć dla siebie następstwa praktyczne; pogardzam tymi, którzy postępkami swojemi depeczą to samo prawo, któremu się poddali, a nie mając dość energii w duszy, by je z siebie zrzucić; ale ani pierwszych, ani drugich naśladować nie myślę.

Niech to księcia nie zadziwia, że tak sobie filozofuję. Jest-to duch czasu; nasz umysł nigdy nie spoczywa, tylko ciągle szuka jakichś pewników, lubo

ich nigdy znaleźć nie może. A zkąd to pochodzi? oto ztąd, że my wszyscy, ludzie niby rozumni, jesteśmy najwięksi próźniacy. Temu z nas, kto ciągle marzy, lub czyta jakieś nowomodne książki, zdaje się, że on pracuje; a jeśli broń Boże jaką myśl swoją na papier położy, już ma siebie za męża wielce pożytecznego. A niech to będzie między nami, nie ma tak lichego szewca naprzykład, coby nie był nierównie czynniejszym, niż najpierwszy myśliciel. Wiesz, książę, że ten dziwak Rousseau klina mi w głowę zabił, utrzymując w mojej przytomności, że człowiek, który myśli, jest zwierzęciem zepsutem. Jest-to zapewne przesada, ale w niej jest coś prawdziwego. Jakkolwiek bądź, nie powiem myślenie, ale myślicielstwo, rozprawianie, piśmiennictwo, wszystko to jest równowzględną modyfikacją zarozumiałego próźniactwa.

Mój brat naprzykład, choćby i miał nawet do tego zdolność, kiedyżby znalazł czas do filozofowania? Wstaje przed piątą; po odbytych pacierzach, i to niekrótkich, zasiada nad dokumentami, bo w pieniackim narodzie, jakim jest litewski, gdzie każdy jego przyjaciel po kilka wpisów ma co kadencyi, te wszystkie sprawy o niego się opierają, każdy prosi go o radę, bo rada dobra i za nią płacić nie trzeba. Ja śpię, a on pisze objaśnienia; ja śpię, a on już całe gospodarstwo konno objechał; ja śpię, a on zmęczony i zgłodniały powraca. Ja wstaję nakoniec, obwijam się w szlafrok, a on już i stąki się napił i opchał się wędliną. Ja się zabieram do ubrania, a on już ubrany przychodzi piłować mnie swoją grzecznością: a czy mi czego nie dostaje? czy mi nie brak na wygodach? czy się nie nudzę? A jakże mu powiedzieć, że się nudzę, że nie mam tych wygod, do których przywykłem, a o których tu nawet wyobrażenia nie mają, kiedy ten poczciwy brat radby mi nieba przychylić, jak to mówią, radby mi ptasiego mleka dostać.

Zatem męczy mię, żebym z nim przystąpił do działu fortuny, po ojcu naszym pozostałej, fortuny, jak na szlachecką zamożnej. A wiesz, książę, że nasz ojciec całkowity swój majątek, jako dorobkowy, jemu był zapisał? A on od ojca, na śmiertelnej pościeli leżącego, ledwie wymógł, że ten korzystny dla niego testament zniszczył. Przynosi mi, powiadam księciu, kompletną bibliotekę rachunków, skryptów, dokumentów, inwentarzów, i każe mi to czytać. Ja ledwo się wypraszam, odkładam od jutra do jutra; mówię mu: bracie, sam rób dział i daj mi co ci się podoba. Wszakże wszystko miało być twoje; jeżeli wtedy nie chciałeś mię ukrzywdzić, to i teraz nie ukrzywdzisz. On się smuci, że to być nie może, a jużci on mię do tego nie namówi, bym wertował te wszystkie papierzyska; to nad moje siły.

Przychodzi pora obiadowa: ja najczęściej nic prawie nie jem, raz, że mi to nie do smaku, powtóre, że ledwo nie codziennie cierpię migrnę. On je za czterech, bo za ośmiu pracował. Po obiedzie radbym z nim rozmawiać o interesach publicznych; gdzie tam! Ledwo zaczniemy mówić, a już widzę, że mu w głowie wyruszyć w pole z chartami. żeby dławić zajaca; albo, co gorzej, wizyta jakiego sąsiada. Brat mu rad, jakby Pana Jezusa za nogi uchwycił (widzisz, książę, że się wyuczam tutejszych przysłowiów), i zaraz przyj-

muje go kielichem; a gość najczęściej tak nudny, że aż oszaleć trzeba. Notabene, mam osobliwsze szczęście do nudziarzów; do brata pije, a on do mnie mówi; o czym? oto o gospodarstwie, o sprawach agitujących się w powiecie, o ostatnim sejmiku deputackim; a tego wszystkiego brat tak łakomie słucha, jak słuchają w Paryżu relacyi o nowej sztuce teatralnej, lub o nowych miłościach królewskich. A ja, prawdziwy wychowaniec dworów, tak natężam ucha na te dyskursa, jak gdyby wydatek gorzelniany, umłot owsa i kondemnata, otrzymana przez pana cześnika na panu strukczaszym, nad wszystko mię obchodziły. Uważa ksiązę, że i między bracią szlachtą przydatna dworszczyzna na wielkim świecie nabyta. Potem, jak sami z bratem zostaniemy, on bojąc się, bym się nie nudził, rad mię bawić jak umie i może, ale ja, widząc, że on jak na szpilkach siedzi, tak go korci obejrzyć stadninę, czy oborę, czy browar, czy jaką fabrykę, nie mam serca go zatrzymywać; owszem, sam go proszę, iżby mię zostawił, a sam ułatwiam moją korespondencyą i filozofuję. A jak brat powróci przed samą wieczera, a potem naje się jak wyrobnik, przy świecach radbym kozetkę przedłużyć: ale cóż? jak mówić o Wersalu, lub nawet o Warszawie, to go tyle obchodzi, ile mię obchodzą niedźwiedzie przeszłego roku na Litwie ubite. A nakoniec niebcrak, przed piątą zrana na nogach, a cały dzień w ruchu nieustannym, tak zmęczony, że ledwo nie stojąc zasypia. Kiedyż to takiemu filozofować?

Mój brat jest wielkim religiantem, psotnikiem, jałmużnikiem, sodalisem, promotorem rćzańca, a nigdy o tych rzeczach nie mówi. I to mię nie dziwi, bo on w to wszystko szczerze wierzy. My sceptyki o wszystkim lubimy rozumować, bo w niczem nie mamy przekonania; jest-to w porządku rzeczy. Tutejsze zakonniki, ludzie gorącej wiary, wyjąwszy w kościele chyba, przymuszeni mówią o religii. Nasi Labusie przeciwnie, i świeckim damom ciągle trąbią o rzeczach duchownych, teologicznych. Zkądże ta różnica? Oto ztąd, że pierwsi wierzą jak oddychają powietrzem, a drudzy wmówili sobie, że wierzą, i o tem chcą wszystkich przekonać. Mój brat jest żywym wizerunkiem prawości, tak dalece, że ma za jakieś przywłaszczenie odezwanie się w materyi wprost do niego nie należącej. Ile razy wypadnie mówić o prawie okazuje się ognistym, wymownym, często nawet ostro decydującym. Prawa przytacza z pamięci i rozplywa się nad niemi, a za nic w świecie żadnemu z nich nie przygani. Każde prawo u niego święte, bo prawem; ale jako prawodawca to prawo zniesie. dopiero odważy się przyznać, że było złem, bo już przestało być prawem. Jeżeli w jego przytomności jaki ksiądz wyzwany zmuszony jest rozprawić o religii, on będzie go słuchał z natężoną uwagą, ale swoich trzech groszy do dyskursu nie doda. To księdza, a nie moja rzecz, pomyśli sobie i będzie milczał. Co takiemu gadać o reformie publicznej, o zmianie formy rządowej, o zadaniach publicznych, socyalnych, moralnych, kiedy u niego, co tylko nie napętnowane prawem religijnem lub krajowem, jest niczem. A szkoda! bo gdyby go można było przeciagnąć na naszą stronę,

toby była zd obycz niełada; cały powiat słonimski w niego wierzy jak w pro roka; ale na to nie ma sposobu.

Onegdaj byłem przytomny dwóm wypadkom i one najlepiej malują mojego brata. Zrana takiego gwałtu narobił pod mojami oknami, że ażem zerwał się z pościeli, myśląc, że dom się pali; a cała rzecz szła o to, że jeden wół na browarze stojący, opiwszy się wywaru, zdechl przy korycie. Miał się czego nasłuchać pisarz browarny, a czeladź przy wołowni będącą kazał sownicie poobdzielać plagami. Tego samego dnia po obiedzie przysła wiadomość, że jego umocowany, niegdys dependent, odwoząc jego sumę czterdzieści tysięcy wynoszącą do Nieswieża, dla ulokowania jej w skarbie Radziwiłłowskim, w Świerżniu na przewozie z bryką i rzeczami zatonał. Ledwo, że ludzie wpław Niemen przebywając, ocalili siebie, ale nie zgoła nie wyratowali. Cóż powiesz, książę? najspokojniej zniósł tę przygodę, ani się zmarszczył. Powiedział tylko swojemu rządzy: Mości panie, trzeba nam dobrze wziąć się w kupę, żeby tę dziurę załatać; tymczasem podziękujmy Bogu, że ludzie cali. — Nie mogłem nie powiedzieć jemu: — Winszując, bracie, że tak po stoicku klęskę swoją znosisz; przyznam ci się, żem po tobie tego się nie spodziewał. — A to dlaczego? — A wszakże dziś zrana narobiłeś hałasu, tartasu, za utratą jednego wołu; jakaż to była szkoda w porównaniu tej drugiej?

— To wcale co innego; to nie z czyjej winy, jeno z woli Boga, a tamto z niedozoru sług.

On od swojego gospodarstwa nie odłącza wyobrażenia powinności; utrzymuje, że jako pan obowiązany jest pod ciężkim grzechem mieć baczenie, żeby słudzy należycie dopełniali swojej powinności. Takie są jego zasady i jest w nich coś szlachetnego, nawet coś budującego, jak we wszystkich jego zasadach. Ale ileż to trzeba prostoty w sercu, żeby być nim! Takowe cnoty i w tej formie już nie są dla nas. Żeby który z naszych chciał je naśladować, byłoby to dziwactwem, głupstwem, jak każda rzecz nie pochodząca z przekonania, ale wymuszona na przekonaniu.

Jednak cóż to za życie, życie bez namiętności, kiedy rzeczywista godność człowieka jest oparta na grze namiętności, której rozum daje jakąś harmonijną równowagę? Mój brat żadnej namiętności nie ma; on niby zakochany w swojej narzeczonej, która ma być i bardzo piękną i dobrze wychowaną; ale pewny jestem, że gdyby władza duchowna ogłosiła, że przyjaźń rodziców stanowi jakieś powinowactwo, z czego dla związków ich dzieci zachodzi *impedimentum dirimens*: natychmiast przestałby ją kochać i do innej obrócił swoje zamiary. Żeni się, bo szlachcic nie ksiądz, nie żołnierz, powinien się żenić, bo jego ojciec i dziad swojego czasu się żenili, bo w domu lepiej z gospodynią, niż bez niej, bo czuje wolę Bożą, a jako dobry katolik, nie może jej uleść jedno drogą sakramentu. Ale żeby tam była miłość, żeby wyobrażenie miłości, to się na moim bracie nie pokaże. Kilkakrotnie zaczępiłem go o wdziękach jego ulubienicy, o rozkoszach hymenowych, których z nią ma kosztować: zaczerwieni się jak piętnastoletnia panienka i albo ury-

wa rozmowę, albo od niej ucieka jak żak. Żeby to przynajmniej miał portret swojej narzeczonej, choćby pukiel jej włosów, nareszcie bindę, którą się przepasywała. A to nie a nic, coby ją jemu przypomniało, oprócz pierścienia w czasie zaręczyn otrzymanego, a który zawsze na palcu nosi; ale nie dla innej przyczyny, tylko, że taki jest zwyczaj, taki obrządek, *a testimonio veterum*.

Prawdziwie u tych ludzi starego kopyta jest jakieś unicestwienie indywidualizmu. Wszystko się dla nich układa wedle prawa i zwyczaju nieodmiennego. Na co człowiekowi myśleć, kiedy wprzód jeszcze, nim się urodził, wszystko z góry już było dla niego obmyślanem? Wiesz, książę, dlaczego taki wstręt czuję do obyczajów samowładnych, ustaw zasadniczych społeczeństwa i innych rzeczy równie poważnych? Nie żeby w potrzebie one się nie dały wytłómaczyć jakimś wywodem logicznym, ale dlatego, że one wszystko, przewidziawszy i opatrzywszy dla człowieka jego przeznaczenie, poniekąd usuwają od wpływu jego woli. Musi książę pamiętać, kiedy to będąc razem u pani Geoffrin, Rousseau wpadłszy w entuzjazm, tak wymownie zaczął się unosić nad Spartańczykami i ustawami Lykurga; nad tą społecznością, gdzie każda czynność prywatna, chociażby najpotoczniejsza, była prawem oszrankowana. Jeszcze wtedy Duclos tak nas rozśmieszył, a Rousseau'a zgorzszył, twierdząc, że co do niego on tylko jednej rzeczy spartańskim ustawom zazdrości, to jest igrzysk, gdzie dziewice bez szat walczyły z sobą na publicznych widowiskach. Chciałbym obeznać Rousseau'a z tutejszymi żydami, bo pod względem posłuszeństwa wszędowściubskiemu prawu, oni są rzeczywiście Spartańczykami. Zdaje mi się, że to jego przybliżenie się do nich niemaloby ostudziło jego zapał. Otóż to skutek niezbędny oparcia żywota społeczeńskiego na niezmiennych prawach, na świadectwie starych, na podaniu przekazanem od zeszłych pokoleń. Trzeba zostać żydem, albo Chińczykiem; a na tem stanowisku wymyślić nie można ani balu wersalskiego, ani opery paryzkiej.

Oj Paryż, Paryż, móści książę! tam jest nasz horyzont. W oddaleniu od Paryża my wszyscy pleśniejemy. Sam książę przyznasz, że Warszawa o tyle tylko jest nam przyjemną, o ile choć w czemkolwiek Paryż przypomina.

Król Jmśc jest moim dobroczyńcą, obdarzył mię orderami, urzędami, intratami; ale na honor szlachecki przysięgam, że jego darów nie ukradłem, na nie zasłużyłem. Ja królowi duszę i ciało zapisałem, jak Twardowski władcy piekiel. Książę wiesz o tem, że kochałem i byłem kochany. Krajczyna była mojem bóstwem; król się w niej zakochał, jak Dawid w żonie Uryasza, a ja, nie chcąc się wdawać w spółzaloty z panem swoim, zostałem ofiarą wierności poddańskiej.

A jednak król mi nie dowierza, kiedy mnie, a nie innego wyprawił do Litwy, żeby na jego rzecz poburzyć dysydentów i tem podkopać księcia Pannie Kochanku; to jest muszę, gwoli królowi, związać się z nieprzyjaciółmi mego Kościoła i szyć buty rodzonemu bratu i dobroczyńcy. Kochankę, bra-

ta, wiarę, wszystko królowi poświęcam, a do tego nudzę się na śmierć w te-
 raźniejszych dla niego posługach. Niechże przynajmniej dotrzymuje danego
 mi słowa w obecności Waszej Książęcej Mości, że mię usadowi na pierwszym
 wakującem senatorskiem krześle, a król wie z doświadczenia, że w potrzebie
 dobrą potrafię dać radę. Prawdę powiedziawszy, nie nadto liczę na tę pań-
 ską obietnicę, bo królowi aby z oczu, to i z myśli. Wszakże książę zawsze
 łaskaw na swego starego sługę, nie omieszka przy zrzeczności rzucić o tem
 jakie słóweczko królowi. Tego jestem nadto pewny, a ja tu szczerze zajmuję
 się poleceniami Najjaśniejszego Pana. Jutro jadę do Grabowskiego, głowy
 dysydentów litewskich, a mojego niegdyś kolegi w wojsku francuzkiem, i na-
 stępną pocztą uwiadomię księcia o tem, co się zrobi. Przepraszam Waszą
 Książęcą Mość, że tak rozwlekłe rozszerzam się, ale kiedy to tak trudno ob-
 cując z księciem, nie starać się tego obcowania przedłużyć. Zresztą czuję, że
 się starzeję, bo i robię się gadułą i zaczynam łaknąć dostojenstw. Ale książę,
 przywykły rodem swoim do piastowania najwyższych godności świata, wy-
 brazić sobie nie możesz, co to jest senatorstwo dla szlachcica, co to jest chodzić
 jemu w Wersalu narówni z panami Francyi, i z ust Ludwika XV usłyszeć
 do siebie obrócone wyrazy: „*Mon Cousin*.” Jest na czem oszaleć z radości.
 Jeżeli za łaską króla, pomocą Waszej Książęcej Mości i mojem szczęściem
 zostanę senatorem, zaraz, choć na kilka tygodni, pojedę do Wersalu. Jak się
 zadziwią moi niegdyś towarzysze broni, gdy król chrześcijański powie do mnie:
 „*Mon Cousin*“ *O utinam!*

Przyjm Wasza Książęca Mość i t. d.

Szypiany, dnia 20 Września 1768 r.

X. Drugi list starosty Wieluńskiego do księcia generała Ziem Podolskich.

Przecie byłem tak szczęśliwy, że królowi panu mojemu miłościwemu
 odpisać mogłem.

Tyle miałem powodów radości w tych dniach, że muszę je Waszej Książę-
 czej Mości wynurzyć, jako mojemu szczególnemu łaskawcy.

Pozawczoraj zrana odebrałem pakę listów z Warszawy. Król jegomość
 raczył mnie zaszczyścić obszernem pismem, i umiałem uczuć ten dowód łaski
 pana względem swojego najwierniejszego poddanego.

Jednak nie tyle mi biło serce, jak kiedy na innym liście, wprzód jesz-
 cze nimem go otworzył, poznałem rękę Waszej Książęcej Mości. Wdzięcz-
 ność moja za te powtórzone zakłady jego pamięci wysłowić się nie da, bo są
 uczucia, które z żadnymi wyrazy zrównoważyć się nie mogą. Dostałem tak-
 że list pełen wiadomości o Paryżu, list z trzech ćwiartek drobno napisanych
 od mojego brata przyrodniego Mycielskiego, którego Wasza Książęca Mość
 zaszczycała łaską swoją w Paryżu, a którego listy przezemnie czytane królowi
 na czwartkowych obiadach miały szczęście jemu się podobać. W odpowiedzi

mojej do króla zrobiłem wypis z listu tego, gdyż najbieglejszy agent dyplomatyczny gruntowniejszego opisu dworu francuskiego i tego co się na nim teraz dzieje, nie byłby w stanie przysłać.

Pisze, że nasza partya coraz gorzej stoi w Wersalu, że ksiązę do Choiseul żadnej nie opuszcza okoliczności, by przeciwko nam wicherzyć — a to dlatego, że nie może znieść, iż ten sam, któremu dawał posłuchanie w Wersalu, nosa do góry zadzierając, jest teraz równym jego panu. Donosi mi, że od śmierci margrabiny de Pompadour Ludwik XV jest nadzwyczajnie znudzony, a pokątne rozpusty, którym się oddaje, nie są zdolne zapełnić czczości, co ją doświadcza; że lubo ten samolub koronowany rzeczywiście nic nie umiał miłować sercem, nałóg w rozwiązłym starcu ma wszystkie cechy przywiązania. Nakoniec wystawia obraz pełen dowcipu wszystkich zabiegów Gyneceju wersalskiego, żeby otrzymać wakujące miejsce faworyty królewskiej, oraz niepowodzenia księcia Choiseul w kierowaniu na to dostojęństwo swojej siostry, księżny de Grammont, której przymilenia król odplaca stateczną oziębłością. Z tego wszystkiego pokazuje się, że albo żadnej urzędowej faworyty nie będzie, albo jeżeli się zjawi, to chyba z niskiego plemienia, gdyż król nadto się obawia możnowładztwa otaczającego, by go jeszcze tak silną podporą pokrzepiał. W pierwszym przypadku, położenie Choiseula będzie niewzruszone, w drugim jego duma, a jeszcze więcej jego siostry, która nim włada, przywoła burzę, a ta go niezawodnie wywróci, czego my powinniśmy życzyć z całego serca. Zresztą, przy najrzadszym dowcipie, mój brat Bertrand jestto dziecię zepsute. Będąc koligatem nieboszczki królowy francuskiej, otrzymał był stopień kapitana w Berszeni huzar. Ale od dwóch lat, do wszystkich podwojów kołatał, żeby być przeniesionym do gwardyi królewskiej; nakoniec teraz otrzymał przedmiot swoich zabiegów. Ktoby myślał, że musi być najszczęśliwszym z ludzi, otóż przeciwnie, jest w rozpacz, a to dlatego, że za kulisami teatru francuskiego aktorki z niego żartowały, że mu nierównie więcej były wąsy do twarzy niż fryzura.

Odebrawszy i odczytawszy listy, oświadczyłem bratu wojskiemu, że muszę nawiedzić mojego towarzysza broni wojsk francuskich, Grabowskiego, mieszkającego w Izabellinie o mil pięć od Szypian i prosiłem go, by ze mną pojechał, a przyznam się księciu, że umierałem ze strachu, by na to się zgodził. Wypadało mi albowiem dać tym nawiedzinom pozór tylko grzeczności, a niczego więcej, a zapraszając do niego najgorliwszego poplecznika księcia Panie Kochanku, tem samem go przekonywałem, że w niej nie było celu politycznego.

Jakoż ta moja chytryść wybornie mi się udała.

Mój brat niczego się nie domyśla i oświadczył, że ani ma, ani pragnie zabierać przyjaźni z panem Grabowskim.

Jakkolwiek byłem uszczęśliwiony, że nikt mi nie będzie na przeszkodzie w konferencyi, którą zawiązać miałem z głową dysydyntów litewskich, nale-

„Czytelnia Polska.“

gałem na niego, by mi swojego towarzystwa nie odmówił. Ale wyraźnie mi oświadczył, że lubo prawo zabezpiecza dysydentom dopełnienia ich obrządków wobec prawowiernych, nie nakłada na tych ostatnich obowiązku szukać z nimi stosunków i że z nimi przestawać nie myśli.

Okazałem mu zadziwienie, że nie unika żydów, że żyje w przyjaźni z kilkoma ze szlachty bisurmańskiej, a od więcej do nas zbliżonych kalwinów ucieka jakby od zapowietrzonych.

Wszakże on mi tę sprzeczność wytłómaczył zdaniem jakiegoś księdza Katenbrynga, spowiednika księcia Radziwiłła, że niewierni są zupełnie obcy Kościołowi, a kalwini są jego poddani, będący przeciw niemu w stanie rokoshu, a więc gorsi.

Szanując tak potężną logikę, samopas puściłem się do Izabellina.

Uściskałem więc naszego pocziwego kalwina, mojego niegdyś kolegę w *Royal Allemand*, zawsze najwierniejszego poddanego Jego Królewskiej Mości, a prawdziwego sługę kochanego księcia.

Nudzi się nieborak na wsi, gdzie go interesa własne przytrzymują. Skarżył się, że go sąsiedzi oprymują, że mu się worują w jego grunta, a potem zgodnym sposobem proponują targ krakowski, żeby połową awulsów się kontentował; że tu z nikim nie można mieć najmniejszego stosunku, aby się natychmiast jakiś interes nie zawiązał, i pragnie jak najrychlej wrócić do Warszawy.

Jednak posiedzi on długo na Litwie; ale grając w niej odtąd rolę polityczną, spodziewam się, że nudzić się nie będzie.

On był przygotowany do moich nawiedziny i domyślał się, o co rzecz szła; więc, nie tracąc czasu, złożyłem mu list wierzytelny króla, i tak się ukartowało, że aż miło.

Jednak przyznać trzeba, mości książę, że fanatyzm konfederacy radomskiej wydzwignął nas z ostatniej toni.

To nasze szczęście, że umieliśmy ją pobudzić do szukania zaczepki z dysydentami. Gdyby jej matadory miały choć za trzy grosze przenikliwości, gdyby same nie wleciały w sieci przez nas zastawione, gdyby same nie były podniosły rozprawy o różnowiercach, byłoby już po nas. A król jegomość wcześniej czy później musiałby, jak niegdyś Jan Kazimierz, starać się o opactwo we Francji.

Wiesz, książę, że choć przez parę dni chciałbym widzieć króla opatem? Na reprezentacyi jemuby nie zbywało. Toby był spowiednik dla Ludwika XV, dla tego króla prawdziwie chrześcijańskiego, który lubo porywa przez agentów swoich nadobne dziewczęta z łona ich matek, tak gorliwie się trudni ukończeniem ich wychowania, że można mu to przebaczyć. Ma on w pilnem baczeniu, żeby każda z nich i poranne i wieczorne pacierze odmawiała, i kiedy która u niego na służbie sam się z nią modli. Kto z Bogiem, Bóg z nim. A niech książę sam powie, czy nie cud Boży utrzymuje tę piękną Francję? juści nie ludzie. Bo wszyscy co z jakiegokolwiek strony wpływają do rządu, król, ministrowie,

generałowie, biskupi, wszystko robią by ją zaprzepaścić, a jednak tej sztuki dokazać nie mogą.

Tymczasem król jegomość jeszcze tą razą ujdzie kapicy, w którąby go radzi oblec ksiązę wojewoda Wileński i ksiązę biskup Krakowski.

Dysydenci litewscy podniosą konfederacyę w Słucku, jak koronni w Toruniu, a pewnie Golcz ani gorliwiej, ani zręczniejsz od naszego Grabowskiego pracować nie będzie.

Stanie więc konfederacya dysydyentów. a ta, domagając się *liberum exercitum religionis*, podda się pod protekcyę dworów gwarantujących konstytucyę polską, a tem samem wszystkie swobody obywatelów.

Jednak miałem jedną trudność do przełamania. Domagałem się, by w akcie konfederacyi napisano: *My obywatele wyznania wschodniego, ewangelickiego i reformowanego*. Grabowski nieco skrupulizował. Powiedział mi, że niemasz na Litwie obywatela wyznania wschodniego; jakże możemy działać w imieniu tych co nie istnieje, ten ani cofnie umocowania, ani go zaskarży, a więc w żadnym względzie umocowany do odpowiedzialności pociągniętym być nie może! — I zapewniłem go, że żaden z naszych kanclerzy tej uwagi nie przełoży dworom, bo kto chce być ślepy, wszystko prześlepi.

Grabowski mi się zwierzył, że innych kanclerzy zna sposób myślenia, i względem nich jest spokojny, ale że się obawia Zamoyskiego. Parsknąłem mu od śmiechu w żywe oczy. O, mój kochany kolego, powiedziałem mu, jakże mało znasz ludzi. Pan Andrzej, jest to cnota myśląca i mówiąca, ale nikt nie dokaże, żeby była działającą. Chociaż szczerze miłuje prawdę, najmniejszą cnotą nie uwiadomi o niej mocarstw ościennych, skoroby to uwiadomienie sprzeciwiało się woli królewskiej. Będzie przed swoimi poufałymi płakał, narzekał na króla, a potem umyje sobie ręce od wszystkiego. Zresztą mając siebie za drugiego Lykurga, niczem nie jest zajęty jak ułożeniem kodeksu praw dla narodu, kodeksu, do którego największą wagę przywiązuje, i który ma zapewnić jemu nieśmiertelność, a narodowi szczęście.

I tak te wszystkie skrupuły przełamane, dodawszy do tego skuteczniejsze środki w rozdawnictwie królewskim zostając.

Mógłbym powiedzieć jak Cezar: *veni, vidi, vici*, bo cały nasz układ nad godzin kilka nie trwał, gdyby to wszystko nie było już wprzód ułożone Najjaśniejszą mądrością. Byłem tylko szczęśliwym wykonywaczem planów i przenikliwością mojego Pana.

Na jednym z czwartkowych obiadów ksiądz Krasicki, nominat Warmiński, utrzymywał, że łatwiej osłabić przekonanie dziesięciu rozumnych fraczkowych, niż jednego prostaka Polonusa z goloną głową, na alwarze wychowanego, i tem niby chwalił szlachtę na prowincyi osiadłą. Ale to się łatwo wytłumaczyć daje. Czemże przyglądać człowieka, którego potrzeby są tak ograniczone? Mój brat naprzykład za miliony nie robi ustępstwa najmniejszego ze swojego przekonania. Ale ciekawy jestem, na coby się te miliony jemu przydały, kiedy, mając z siebie kilkadziesiąt tysięcy intraty, zaręczam, że i jednego dziesiątka nie straci na własne potrzeby. Jego budżet bardzo łatwo

może być wyrachowany; parą tysiącami wszystkie jego osobiste wydatki opędzone być mogą: pozwólmy, że dla zachowania popularności do zbytku, stosując się do obyczajów przyjętych, trzydzieści antałów wina z przyjaciółmi wypróżni w domu swoim, oto i cała zbytkowność. O żadnej innej wyobrażenia nie ma.

Co się u niego zje, to się na jego gruncie rodzi. Ekwipeł: konie domorosłe; kolebka przez domowego kołodzieja sporządzona; uprzęż, praca rytmarza poddanego. Na co jemu miliony cudze, kiedy swoim własnym rady dać nie może?

Kto chce się przekonać o małości potrzeb naszej szlachty, niech tylko rzuci okiem na inwentarz ruchomości swojego ojca, który kilkanaście wsi i znaczne kapitały posiadał.

Co tylko w domu (bo piwnicę zawsze wyłączam), pewnie pięćdziesiąt czerwonych złotych nie kosztowało, a połowy tego niewarte.

Sprzęty z krajowego drzewa, stołowa bielizna w domu robiona, a srebra, kilka tuzinów łyżek, bo już widelce i noże żelazne w trzonkach kościanych, a wazy i półmiski latercynowe.

Kto na takim trybie życia poprzestaje, temu nie wielka sztuka być stoikiem. Ale z naszym ukształceniem, z naszym usposobieniem, znaczny majątek jest tak niezbędnym, że bez niego nie ma sposobu być poczciwym. Ponieważ jestestwo poprzedza przymioty, trzeba żyć wprzód, niż to życie będzie poczciwe lub nie. A jakże żyć bez czynienia zadość tym potrzebom, których opędzenie jest koniecznym warunkiem naszego żywota?

Któż o tem wątpić może, że im więcej się rozprzestrzenia w narodzie oświata, ta wprowadzeniem nowych potrzeb musi zwątląć obyczaje narodu, musi wzniecić zaprzedajność w urzędach prawodawczych i sądowniczych. Ale cóż na to poradzić? Korzyści muszą się okupywać jakimiś szkodami. A publiczność w zmianie obyczajów zyska przynajmniej na tem, że działalność rządowa będzie swobodniejsza.

Gdyby w społeczeństwie żyły same Katony, żaden rząd nie byłby podobnym, a więc byłyby tylko indywidua, ale nie byłoby narodu, bo całkowite życie narodowe jest w rządzie.

Małość potrzeb naszego obywatelstwa jest węgielnym kamieniem anarchii, w której żyjemy, bo jakież może być stosunek między rządem a obywatelem, który go nie potrzebuje?

Szlachcie każdy ma zapewniony kawał chleba bądź z własnego majątku, bądź ze służby prywatnej. Jeżeli nie ma majątku, a do służby nie jest zdolnym, ma w pogotowiu chleb duchowny; może się przyczepić do sąsiedniego pana i u niego wyprosić lub wykpić zabezpieczenie swoich lichych potrzeb, a rząd dla niego jakby nie był.

Ale niech-no zbytki rozprzestrzeniają nowe potrzeby, niech się odłużą fortuny szlacheckie, wtedy sama z siebie reforma nastąpi a naród, już ukształcony, wejdzie w koleje wszystkich ukształconych narodów.

Wkrótce się dowie Rzeczpospolita z niemałym zadziwieniem, że ma w łonie swoim obywatelów wyznania wschodniego, którym *liberum exercitium* wiary jest odmówione.

Może kto pomyśli, że nie przystoi fałszem podkopywać nieprzyjaciół swoich? Ale intrygi dyplomatyczne nie zawsze mają woń wody różanej. Był to już ostatni ładunek w naszej ładownicy, trudno było z niego nie wystrzelić, kiedy zażarty nieprzyjaciół na nas nacierał. Jest to prawdziwie wystrzał rozpaczy, a sprawa natury ma ten niezbity pewnik: *conserva te ipsum et bona tua*. A potem, mości książe, zażartować ze swoich nieprzyjaciół, swoich prześladowców, jest rozkoszą bogów.

Nadokuczali nam te wąsale arystokraty. Za co ta ich nienawiść do naszego mądrego, dobrego króla? Każdy z nich ma sobie za ubliżenie być jemu posłusznym. A to człowiek nowy! — mówią. Jak gdyby nawet wedle teorii arystokratycznych, kasztelanie krakowski, urodzony z Czartoryskiej, a wysoki dygnitarz, każdemu magnatowi nie był równym. Jak gdyby którykolwiek z tych dumnych możnowładców był zdolnym z podobnym wdziękiem koronę nosić. Oj! czas koniec temu położyć.

Jako tryumfator wróciwszy do Szypian, nie zastałem mojego brata, i aż w godzin kilka po mojem przybyciu wrócił ze Słonima, dokąd był wyjechał. A w jakim interesie, nauczył mnie jego rządca. Oto sporządził donacją kilkunastu tysięcy, co je miał na kahale Słonimskim, na rzecz ojców Jezuitów. Jakem się o tem dowiedział, ledwo wstrzymałem się od śmiechu. Czyby kto uwierzył w Paryżu, że są jeszcze ludzie, co robią donacją mnichom; a jednak, chociaż pod inną formą, wszędzie się to samo dzieje. Teraźniejsi panowie Francyi tak świadczą filozofom, jak ich przodkowie Benedyktynom. Dawniej z kieszeni wydobywał złoto zabobon, a dziś uprzedzenie. Za Ludwika XIV Montmorency z natężonem uchem słuchał niezrozumiałych rzeczy, co mu je wypowiadał Dominikan z ambony, a pod Ludwikiem XV inny Montmorency, wnuk tamtego, słucha z równą uwagą nie więcej od siebie zrozumianych rzeczy, co mu je encyklopedysta plecie z fotela. Jest-to jakieś błędne koło, po którem ludzkość nie przestaje się obracać. W Polsce próżniak zabezpiecza sobie wszystkie wygodę życia. We Francyi próżniak ogłasza się filozofem i tego samego celu dopina.

Mój brat Bertrand donosi mi, że dziś wiele hałasu robią w Paryżu piśma pana Vauvenargues, że cała koterya pani Geoffrin ogłasza go za jednego z pierwszych myślicieli XVIII wieku. Znałem go osobiście, kiedy był jeszcze kapitanem w jednym pułku piechoty, i ta jego dzisiejsza wziętość służy na dowód tego, co piszę. Gdy brak zdrowia i tej tęgości niezbędnej do naszego rzemiosła zniechęciły go od niego, podał się do dymisyi, z wielką radością swego pułkownika, człowieka służbistego i bicza na wszystkich oficerów opieszających w pełnieniu obowiązku swojego stanu. Uwolniwszy się, wstąpił do cechu piśmiennych próżniaków i tenże sam, który seciną ludzi dowodzić nie

umiał, dziś już chce kierować rodem ludzkim, a wszystkim wmówił, że jest do tego zdolnym. O biedna ludzkości!

Ach, mości ksiązę, jaki kłopot spada na moje barki! Ksiązę Panie Kochanku opuszcza na kilka tygodni Warszawę, żeby celebrować swoje imieniny w Nieświeżu, a król jegomość każe mi tam jechać, by mu w jego imieniu złożyć powinszowanie. I ksiązę kanclerz podobnem zleceniem mnie obarcza.

Pan każe, sługa musi. Ale aż mrowie po mnie przechodzi, ile razy wspomnę sobie, że muszę się za dni kilka znajdować w środku tego steku barbarzyństwa i głupstwa, i gdzie spodziewam być przyjętym z równą uprzejmością, jak pies w kręglarni.

Jeżeli służba przy łasce monarchy ma wiele ponęt, przyznać trzeba, że miewa chwile okropnie nieprzyjemne.

Cała moja nadzieja w protekcyi mojego brata, który, będąc jednym z najfanatyczniejszych Albeńczyków, tem samem jest głęboko wkorzenionym w sercu tego potężnego dziwaka.

Niech się dzieje wola Boża i najjaśniejszego pana.

Mam honor być, etc...

XI. Droga do Nieświeża.

W kilka dni potem mnóstwo pojazdów toczyło się po wszystkich gościńcach prowadzących do Nieświeża, bo to był 4 listopada, dzień radości dla Litwy, gdyż przynosił rocznicę imienin ulubionemu księciu Karolowi Radziwiłłowi, wojewodzie Wileńskiemu i marszałkowi generalnemu konfederacyi obu narodów.

Ksiązę zalimitował sejm na kilka niedziel, żeby mógł obchodzić uroczystość swoją w Nieświeżu.

Ten dzień był tem więcej oczekiwany od Litwinów, że gdy od lat kilku ksiązę, to wojował, to tułał się zagranicą, osierociały Nieśwież już nie odbijał odgłosów radości, w dniu tym zwykle powtarzanych.

W żadnej porze roku drogi litewskie nie były tyle udeptane.

Przy szlakowych karczmach stały wszędzie pojazdy cen rozmaitych, bo w stodołach zajezdnych umieścić się nie mogły, a przy pojazdach snuły się hajduki, pajuki, kozaki, węgrzynki, a między nimi i kontuszowi panowie różnego wieku, dający im rozkazy, pilnie uważając, czy konie obrok spożywają i czy niema czego uszkodzonego w pojazdach.

A żydzi zdawali się w kilka razy nasób pomnażać swoje jestestwo, by wszystkim usługiwać i z każdym się rachować.

Lubo pora roku spóźnioną, nadobna litewska jesień zdawała się wyczerpywać wszystkie swoje skarby, jakby dla uczczenia patrona pierwszego senatora Litwy.

Słońce przygrzewało, a nawet nieco dopiekało, pomimo chłodzącego wietrzyku. Najmniejsza chmura nie zasepiała błękitnego przestworza. Jodły

i sosny zachowywały całą świeżość swojej statecznej barwy a brzozy i klony po wdzięcznej zieleni rzucały smugi poczerwienione jesienią.

Widne były wprawdzie gdzieś ślady pogorzeli ostatniej wojny domowej, jak obraz nędzy, podobnej do tej, która co kroku dręczy podróżującego za granicą, nie raził przechodnia.

Włościanin umiarkowaną pracą bogacąc swojego właściciela lub dzierżawcę, resztę swojego czasu obracał na korzyść własną i rodziny.

Jeżeli kalectwo dotykało członka włościańskiej rodziny, on dla niej nie był ciężarem, bo, włóczęc się po odpustach, jeszcze coś dla niej przynosił z ofiar miłosierdzia i pobożności publicznej.

Ale oprócz odpustów, gdzie ze wszystkich stron ciągnęły się te upośledzone istoty, by sięść pod kruchtą kościoła, dającego im przytułek przez wzgląd na te słowa naszego Zbawiciela: „*zawsze ubogich mieć będziecie między wami*,” nigdzie nie było widać żebraków.

Włościanin miał swojego pana, który o jego potrzebach pamiętał, bo nareszcie i prawo krajowe do tego go zmuszało.

A szlachcic podupadły nigdy żebractwu się nie oddawał. Szukał służby po szlachcie możniejszej, a jeżeli do niej nie był zdatnym, osiadał na chlebie majątniejszego krewnego, albo u jakiego obywatela protegującego ród jego.

Bo starożytna szlachta wiernie się trzymała swoich poddań.

Jeszcze z pseudo-szlachectwem samolubstwo nie było zaraziło narodu.

Zbytki i źle wyrachowana chciwość ani ołłużyły były, jak dzisiaj, prawie całkowitego szlachectwa ani uciskiem nieustannym nie zniszczyły poddaństwa, którego dobry byt jest węgielnym kamieniem pomyślności obywatela.

Jeszcze podli dorobnicy, dla jakichś nikczemnych oszczędności, nie byli wprowadzili szerzącego się obyczaju, żeby odpychać ubogą szlachtę od usług ekonomicznych, by je zdawać na poddanych*).

Inny był obraz kraju, bo możnowładztwo istniało w całkowitej swojej sile.

Ale to możnowładztwo składało się z ogniw. Były domy pańskie, liczące między swoimi klientami często bardzo możnych obywateli, którzy także mieli klientów własnych w uboższej szlachcie, a ci mieli znowu stosunki dobroczynności ze szlachtą jeszcze uboższą, zaściankową, okoliczną, która u nich pomoc znachodziła. Od magnata senatora aż do czynszowego szlachcica ciągnął się łańcuch, którego ogniwa we wzajemnych przysługach się hartowały.

*) Razu jednego dowodził księciu Eustachemu Sanguszce jeden przyjaciel jego domu, że zadzierżawiając obszerne swoje dobra, we dwójnasób powiększone mieć będzie swoje dochody, a znacznie zmniejszone wydatki. O tem, gdy przekonał księcia, książę mu odpowiedział: „To prawda, ale jak zadzierżawię moje dobra, w co się obróci uboga szlachta, zostająca teraz w moich usługach?”

Tych słów, godnych potomka Olgierdowego, nie powiedziałby nigdy ani wysoki baron giełdy, ani żaden z plebienia dorobniczego.

Magnat najmożniejszy sam przez siebie nie nie znaczył pośród równości szlacheckiej. Jego potęgą opierała się na mnogości przyjaciół, których trzeba było zjednywać.

Możnowładztwo było silne, bo opierało się na popularności, a jej nie można było otrzymać bez wielkiej szczodroty.

Szlacheic, jakkolwiek zawisły od magnata, nie ulegał innej sile, tylko takiej, która jego miłość i przekonanie szkołdowała.

Na gościńcu między Kleckiem i Nieświeżem, gościńcu w dniu tym tak udeptanym karetami, kolebkami, bryczkami, wózkami i prostymi wozami, toczyły się poważnie dwa pojazdy nierównej między sobą wartości, ale, że drugi trzymał się metodycznie zawsze tej samej odległości od pierwszego, wniesć można było łatwo, że oba do jednego dworu należały.

Pierwszym pojazdem była angielska karetka podwójna, żółto lakierowana, werdepanową trypą wybita, a na niej błyszczał klejnot herbowny, ozdobiony hrabiowską koroną i insygniami kilku orderów.

Sześć ogierów brudno-kasztanowatych z konopiastemi grzywami, jakby z jednej formy ulanych, a wysokiej ceny, ciągnąc wykwintny pojazd, rżenia posyłały lasom i polom.

Stangret, po meklembursku ubrany, z długim harcapem, z wąsikami dobrze otynkowanymi sadzą i lojem, z małym kapelusikiem stosowanym, na głowie silnie upudrowanej, niekiedy trząskał z sążnistego bicia i dawał przestrogi forytującej dziecinie. Strzelec w zielonej odzieży siedział na koźle obok stangreta, a dwaj lokaje w liberyach, barwą swoją stosujący się do l'erbu, zdobiącego karete, stali za pojazdem.

Za kareta toczyła się bryka wygodna, bo na pasach, obładowana, że ją ledwo cztery konie dzielne, siwo-srokate, w krakowskich chomątach uciągnąć mogły, a nad temi końmi prowadził samowładne rządy stary woźnica, odziany w ferezyę jasno-orzechową, z kołnierzem czarnym manszestrowym.

Obok woźnicy siedział chłopiec mniej więcej szesnastoletni, w stroju węgierskim, który ciągle wyzywał do swawoli poważnego sąsiada, czasem ofukującego młodego trzpiota. A w samej bryce drzemał rozwalony coś nakształt starego eleganta, bo z fryzurą utapierkowaną, a obwinęty w chałacie, bielestkami podszytym.

Przed kareta dwóch Bośniaków uzbrojonych w proporce, na grubo płaskich żmudzkich koniach, uzupełniając orszak przepychu, przekonywali, że jeżeli podróżni jeszcze nie należeli do klasy magnatów, to przynajmniej być musieli z liczby tej możnej szlachty, trzymającej pośrednictwo między panami ledwo że monarchom nie równymi, a równością rodu.

W karecie siedziało dwóch młodzieńców, bo nad lat trzydzieści nie okazywały ich oblicza. A chociaż w ich odzieżach żadnego nie było stosunku, rysy ich twarzy zdradzały wspólność rodu.

Po lewej stronie siedzący miał wąs zawieszisty, jasny, a z pod czapk,

szafirowej, kasztanowatem jagnięciem obłożonej, na bakier posuniętej, wyglądała czupryna od wąsów nieco ciemniejsza, wysoko podgolona. Miał na sobie tarata^kę barwy szafirowej jak czapka, a podszytą perwistkami; taratatkę opasywał pas podróżny z czarnej palonej skóry, zamykający się klamrą srebrną, z dwiema pochwami, z których wyglądały pistolety. A wedle zwyczaju szlachcica podróżującego miał zawieszoną od prawego ramienia ładownicę z cyfrą Najświętszej Panny.

Kawaler po prawej stronie siedzący miał na głowie coś naksztalt czepek, z gęstej czarnej siatki jedwabnej, z pod którego dostrzedz można było kilka papilotów nad uszami. Ten rodzaj czepków męzkich, nazwany w Paryżu *réseau à la Biron*, był sprzętem niezbędnym dla podróżującego wykwintnisią francuzkiego, w czasie gdy staranność około werżeta i loków cechowała ton dobry i ród wysoki. W podróżach żadna fryzura utrzymać by się nie mogła w przyzwoitej świeżości; więc one się odbywały w wyrachowanym zaniedbaniu, a dopiero na miejscu zdejmował się czepek i układały się włosy pod misterną ręką fryzjera. Ubioru jego nie można było widzieć, bo siedział obwinęty w płaszczu z aksamitu czarnego, podszytego gronostajami, na którym się bielił wielki krzyż ośmiokątny z batystu. A na jego kolanach, jakby się jeszcze niedość uzbroił do walki z jesienią litewską, leżał zarękawek z bogatych soboli.

Obaj podróżni do siebie nic nie mówili, bo Sarmata odmawiał swój różaniec, a zachodnik nucił arję z jakiejś opery francuzkiej.

Ale że każda rzecz, która się zaczyna, musi się też i skończyć, więc pierwszy skończył nietylko ostatnią dziesiątkę, ale i litanie loretańską, i nawet antyfonę *sub tuum praesidium*, a jego towarzysz donucił swoją arję, kiedy tamten ucałowawszy medalik od paciorków i schowawszy je do kieszeni od taratarki, odezwał się temi słowy:

— Przyznam się bratu, że mi wielki ciężar spadł z głowy, odkąd pan Teodor Szabański, koniuszy księcia wojewody, upewnił mnie swoim listem, że już mamy zabezpieczony kwaterunek w jego dworku; trzy izby obszerne zdaje mi się, że bratu wystarczą. Mnie nic, bo należąc do Radziwiłłowskiej czeladzi, u każdego kolegi znalazłbym kątek dla siebie; byle konie miały wygodę, dla mnie samego wszędzie dobrze. Z bratem trudniejsza sprawa, bo nielada przestrzeni potrzeba dla rozłożenia wszystkich jego wykwintnych rupieci. Odkąd brat, gość tak długo odemnie oczekiwany, zawitałeś do naszej ojcowizny, gdzie nie miałem czasu nim się nacieszyć, to powiem, że brata fryzjerowi, co śpi jak zabity na mojej bryce, niczem nie mogłem dogodzić, taki Niemiec wymysłny. A to mu piec ogrzewaj, choć jeszcze ciepło na dworze, a to mu kawę dawaj, a uciekaj jak niepyszny z piwem grzanem, a tu mu funduj wino, ile się w gardło wleje, jak gdyby krew szlachecka w jego żyłach płynęła. A coby-to był z nim za kłopot w takim zgiefku! Teraz aż dusza się raduje, że przecie kochanego brata w porządnej kwaterze usadowię, gdzie już na niego czeka jego kamerdyner.

— Dziękuję ci, *mon frère*, a za mojego Laflera przepraszam; rad nie rad muszę temu lotrowi co zechce pozwalać, bo bez niego głowa moja pozostałaby w sieroctwie. Tak uprzejmie mię przyjąłeś, *avec une hospitalité si nationale, si fraternelle**), że niczem tego odwdziaczyć nie mogę, chyba, że ciebie bogowie kiedyś zaprowadzą do Warszawy. Tutaj twój świat i, jak widzisz, jestem u ciebie na respekcie. Wszakże pod twojemi skrzydły stanę w Nieświeżu, by złożyć waszemu księciu powinszowanie króla i księcia kanclerza. *Mission très peu de mon goût***), a od któregobym się wymówił, gdyby nie chęć zbliżenia się do ciebie. Ale jeżeli kiedy zawitasz do Warszawy, zajeżdżaj prosto do mnie, do błękitnego pałacu, żebym ci mógł dowieść, że i ja na swoim świecie umiem przyjmować drogiego brata.

— Wszędzie mi będzie miło z szanownym bratem; ale czy tak dalece przerobiliście Warszawę, że tam swojego świata już nie znajduję?

— Ani słowa, że teraz wasza na wierzchu; kiedy ja, naczelnik gabinetu królewskiego, muszę jechać do Nie-wieża, by tam jakby jaki szlachetka wysokie składać powinszowania. Cała rzecz w tem, czy będzie trwać długo wasze panowanie?

— Dlaczegoż nie ma być długotrwałem? wszakże, prócz kilku osób, całkowicie naród z nami trzyma.

— Tem-ci gorzej, ale mnie to bynajmniej nie zadziwia. Nie odrazu rozum przewycięża przesady, *mais à la longue****) rozum musi otrzymać swoje prawa.

— Mój miły bracie, nasz nieboszczyk ojciec mawiał, że każdy naród ma swój rozum, dla niego tylko przydatny. Zostawmy obcym ich zagraniczny rozum, a my naszego starego trzymajmy się.

— Bracie Michale, jesteś pod wpływem przesądów i nałogów zgubnych dla ojczyzny, a w zaślepieniu twojem podzielasz myśli tych, co odrzucają wszelkie środki, mogące ją wydzwignąć z nierzędu i barbarzyństwa. Wychowywani i zamieszkały w pół dzikiej Litwie, wyobrażenia nawet nie masz o narodach ukształconych. Co do mnie, wyrosły i wychowany we Francyi, mój powrót do ojczyzny, jakkolwiek miły (bo gdzież serce bić może silniej niż między swymi?) krwawo mnie jednak zasmucił i wielce upokorzył. Zdawało mi się czasem, że znajduję się w środku Azji. Te miasteczka brudne, te żydy po nich snujące się jak złe duchy, te pany oddane zbytcom i próżniactwu, to sknerstwo pomieszane z najdziwaczniejszą rozrzutnością, a ta szlachta burzliwa, a zarozumiała,

— Ale pocziwa, ale poświęcona Bogu i krajowi.

*) Z gościnnością tak narodową, tak braterską.

***) Posłannictwo niebardzo przypadające mi do smaku.

****) Ostatecznie.

I cóż z tej poczeiwości, z tego poświęcenia bez zdrowych wyobrażeń politycznych? Widząc naród podzielony na dwa stronnictwa, nie wahałem się związać z partya, kierowaną przez ludzi światłych i zdolnych wydzwignąć Polskę z nierządu. I gdyby nie wasz upór, nasza ojczyzna możeby już otrzymała miejsce jej należne w polityce europejskiej. Cofnęliście to, niebaczni, co się miało skutecznąć dla waszego dobra.

— Bracie Ludwiku, co mówisz, może być bardzo rozumnem, ale nie do mnie należy o tem sądzić. Jeżeli, nigdy nie przekroczywszy granicy mojej ojczyznej ziemi, nadto nawykłem do jej nałogów, być może, iż ty, bracie, zanadto od nich odwykłeś. Nie myśl, bym wierzył, że u nas wszystko jest doskonałem. Wiele jest złego i u nas, i nie u nas, bo tylko na tamym świecie dobre jest bez ale. Tylko pozwól mi sobie powiedzieć, w cóżbyśmy się obrócili, gdyby każdemu zaufanemu w swój rozum było wolno niszczyć w ustawach krajowych to, co się jemu zdaje być niegodnem? Ludzie są skwapliwi do dowierzania własnemu rozumowi, a do pogardzania cudzym. Dlatego jest prawo, mądrość powszechna, której bez poniżenia siebie, mądrość prywatna uledez musi. Jeżeli u nas co złego, starajmy się to poprawić, gdzie!? na sejmach walnych, w instrukcyach, danych naszym posłom. Tak robili nasi ojcowie w czasach, kiedy rzeczpospolita kwitnęła.

— Ale, *mon frère*, czy podobna zaprowadzić reformę przez liczne zgromadzenie, które pierwszy pijak rozproszyć może!

— Jednak za naszych przodków rzadko kiedy okazał się widok zerwanego sejmu. A jeżeli za świętej pamięci króla Sasa sejmy nie dochodziły, to nie z przyczyny tych, co ich nazywasz barbarzyńcami. Wiadomo wszystkim, czy i adherenci rwali sejm, by wszelkie środki obrony odjąć narodowi *). Ci sami, co naszych starożytnych ustaw na złe używali, nam niewinnym śmieją wyrzucać, że możemy ich nadużywać. I jak nas o tem przekonowali? oto, rozpędzając sejmiki **) obeym żołnierzem, nie dopuszczając legalnego sejmu, prześladowając do ubóstwa i krwi wszystkich tych, co się takiemu bezprawiu opierali. Wybaczaś, bracie, ale, tak postępując, trudno poczeiwych przekonać.

— *Mon frère*, nie chcesz się dać przekonać, że zastarzałe błędy bez jakichś środków gwałtownych wykorzenie się nie dadzą. Nie chcesz oczów otworzyć, by widzieć co się dzieje i na co się wkrótce gotuje. Nie poznajesz, że lada chwila piorun uderzy i was roztrzaska. Upojony chwilowem po-

*) Za Augusta III jeden tylko sejm, nazwany *pacificationis*, pod laską Wacława Rzewuskiego, doszedł; wszystkie inne zerwane zostały przez adherentów tej samej partyi, która później próbowała wyrzucić dawną formę rządową, by ją zastąpić niby mądrzejszą. To rwanie sejmów nie dopuściło rzeczypospolitej wejść w koalicję z innemi dworami przeciw Fryderykowi w czasie siedmioletniej wojny.

**) W czasie bezkrólewia, książę Poniatowski, generał wojsk austriackich, zagranicznym żołnierzem rozpędził sejmik prowincyi pruskich w Grudziądzu zebraany. Na sejmach konwokacyjnym i elekcyjnym województwa pruskie były bez posłów.

wodzeniem, myślisz, że dyktatura waszego możnowładnego bałwana nigdy się nie skończy, a tu...

— Bracie kochany, proszę cię, nie lżyj przy mnie naszego księcia. On był przyjacielem i dobrodziejem naszego ojca. A ja, będąc Albeńczykiem, tylko od starszego brata cierpliwie słyszeć mogę w obelżywym sposobie wspomniane imię księcia. Jak go lepiej poznasz, przekonasz się o jego cnotach. Może on błędzić jako człowiek, ale Boga biorę na świadka, że żadna prywatna nim nie kieruje, i że w każdej chwili życia i majątek ma na zawołanie dla ojczyzny. Co się tyczy piorunu, którym mnie grozisz, nie myśl, by on mnie zastał nieprzygotowanym, nie pierwsze to będzie dla mnie przesładowanie losu; ale idę za przekonaniem, a nie za szczęściem.

— *Mon frère*, szanuję cię, ale razem lituję się nad tobą. Czyż nie żal patrzeć na tak szlachetne serce, które, uwikławszy się w przesady, przywołuje zapasy z niedolą bez żadnej korzyści dla kraju? Jakkolwiek różność naszych zasad politycznych rzucić nas może w przeciwnoległe stronnictwa, nigdy nie omdleje moje przywiązanie ku tobie. Brat cię prosi, przyjaciel cię ostrzega: stoicie nad przepaścią. Jeszcze chwila, wszystkie władze narodowe wrócą do rąk naszych; a wkrótce wasz książę będzie mógł odnawiać swoje tułactwa. Wiem, że w uporze waszym znowu rozpocznie wojnę domową, ale jej skutki nie są dla mnie wątpliwe. A jednak, gdybyś z nami chciał trzymać! Nie widzisz, że Stanisław August do niczego nie dąży, jak tylko do poniżenia magnatów, aby na gruzach ich dziwacznej władzy podnieść powagę i tronu i narodu? Patrz, jak rozdaje pierwsze urzędy szlachcie, żeby jej użyć za narzędzie swoich zbawczych widoków dla ojczyzny, przeciwko tym dumnym możnowładzcom. Przyłącz się do nas, a wkrótce wyższe dostojęstwa otworzą dla ciebie obszerne pole, na którym działać będziesz dla dobra kraju. Ale widać, że moja mowa jest próżna, że do twojego przekonania nie trafię; wszakże rachuj na moje serce. Ile razy w nieszczęściu, które wam grozi, wezwiesz mojej pomocy, bądź pewny, że zawsze ją znajdziesz.

— Szanowny bracie, czemu zawsze mnie dręczysz, kusząc, bym się zachwiał w powziętem statecznie przekonaniu? Bóg świadek, że służę sprawie księcia wojewody i tyle dla niej cierpiełem dlatego tylko, że wierzę, że ona jest sprawą narodu. Żadna prywatna mną nie kierowała, ani zapragnąłem czegokolwiek wynieść dla własnej korzyści. Nasz książę stoi teraz na czele całego narodu, a czy jego stronnicy za czem się ubiegają? Dostał mi się urząd wojskiego, *nec officium, nec beneficium*, i sam żartowałeś nieraz z tej mojej wielmożności, która mi jest jednak tak drogą, iż na niej do śmierci poprzestanę. Dziękuję ci za względy króla; będzie się trzymał *Pactów Conventów*, i bez jego darów będę mu poświęconym poddanym; zechce-li wywracać naszą formę rządową, *quidquid nocivi scivero avertam*, o ile będzie w mojej mocy. Pragnę Bogu i krajowi służyć, a swój chleb jeść. W twoim zawodzie, kochany bracie, byłeś szczęśliwym; dostały się tobie starostwa, komendorye, ordery. Ciesz się twojem powodzeniem; potrzebniejsze takowe rzeczy

dla ciebie, bo już przywykłeś do zbytków wielkiego świata; ale co do mnie i połowa ojcowizny jest dla mnie nad moje potrzeby. Ja sobie szlachcie zwyczajnie: będzie kawał ziemi własnej, wygrzebie się z niej na barszcz i obuwie; nie będzie jej, to, pracując około cudzej, znajdę kawał chleba, wreszcie przy kratkach coś się zarobi. Bóg mnie nie opuści, a jeśli przyjdą niedostatek, niemocy, niedaleko do brzegu. Mam jakieś przeczucie, że długo żyć nie będę: jednak dziękuję bratu za ofiarowaną mi pomoc w nieszczęściu. Przyjmuję to braterskie oświadczenie z najwyższą wdzięcznością; wszakże wypuszczać nie mogę tak smutnej wieszczby, żeby druga wojna domowa miała nas rzucać w nieprzyjazne obozy. Jednak gdyby tego nieszczęścia Bóg od nas nie oddalił, może i moja pomoc dla brata nie będzie bez pożytku. Lecz na cóż tak daleko zapuszczać myśli swoje? W moich postępkach nigdy nie mam obyczaju brać rzeczy na rozum; robię co Bóg każe, a na niego najlepiej złożyć staranie. Teraz mi co innego w głowie. Nie mogę doczekać się działu pozostałego po ojcu majątku. Chwała Bogu jest czem się dzielić: mapy, inventarze i wszystkie prawne papiery oddawna gotowe i teraz są na mojej bryce. Ażaliż nie przyjdzie bratu je przeglądać i ułożyć dwóch sched, z których jako młodszy jedną wybiorę, jak żąda tego prawo? Ile razy Niemiec brata czesał, ja zawsze naprzykrzałem się z papierami; brat zawsze jedno a jedno, na nie okiem rzuci, kilka kartek poprzerzucha, o czem innem myśląc, a potem na stół odkłada, jakby o tem wiedzieć nie chciał. A interes jak leżał odłogiem, tak leży. Kochany bracie, rób koniec ze mną i nie rób mi tej krzywdy, bym, żeniąc się w roku następnym, nie wiedział dokąd żonę mam zawieźć.

— *Mon frère*, sto razy mową i pismem powtarzałem, że co sam postanowisz, to przyjmę z wdzięcznością, bo wiem, gdyby nie twoje szlachetne serce, nie miałbyś potrzeby ze mną się dzielić. Wszakże jeżeli z waszego porządku wypada, żeby ktoś nas dzielił, udajmy się do przyszłego twojego teścia. On był przyjacielem naszego ojca, jemu najwłaściwiej podzielić pozostałych synów; on siebie da uprosić. Ja ci szczerze wyznam, że tych waszych cyrografów prawnych i ekonomicznych nie rozumiem. Po odbytem mojem poselstwie w Nieświeżu, gdzie mam nadzieję poznać przyszłą siostrę, udamy się razem do generała Kunickiego, a ten wszystkiemu da koniec. Proszę cię, *mon frère*, temu się nie opieraj, bo napróżno żądać odemnie, bym wartował *tout ce grimoire*.*) Już widać bielejące wieżyce zamku nieświeskiego, bo to on być musi. A przyznam się tobie, że nie bez niespokojności stanę przed waszym księciem, z którym zaniedbałem zabrać znajomość w Warszawie. Nie wiele liczę na uprzejmość, z jaką Nieśwież przyjmuje tych, co w długich sukniach nie chodzą ani podgalaają sobie czupryn; chyba, że pod twojemi skrzydłami będzie mi bezpiecznie.

— Błędne masz wyobrażenie, bracie, o naszej gościnności; księżę lubi czasem żartować i jeżeli kto go odeprze żartem, za to bynajmniej się nie

*) Pismo szatańskie.

gniewa, ale jest najgrzeczniejszym z panów. Czy myślisz, że tylko samych jego przyjaciół tam znajdziesz? Księżę biskup wileński, najzawzięty księcia i nas wszystkich prześladowca, przecie często bywa u niego, jak gdyby nie miał niczego do wyrzucenia sobie; a ty, bracie, lubo z nami nie trzymałeś, ani krew niewinna twoich rąk nie zmasała, ani cudza krzywda ciebie wzbo-gaciła, za cóżby tobie nie mieli być radzi? A jaki liczny świat obaczysz; w waszym Wersalu, na imieninach króla, pewnie więcej szlachty się nie zbiera. W Nieświeżu poznam brata z naszymi krewnymi, z łaski Pana Boga mamy ich niemało. I moją narzeczoną tam znajdziemy, bo chociaż generał dla podeszłego wieku w taki zgiełk nie odważa się wcisnąć, wysłał córkę swoją z panną łowczanką. Z Nieświeża wyprawię umyślnego do Niewodowa do mojego przyszłego teścia, i to zaraz po naszym przybyciu, a brat z łaski swojej list swój do niego mi wręczy. Potem udamy się do Nowogródka dla przyznania inskrypcyi, a ztamtąd do generała, ale jak się skończą uczty nieświeskie. A kto wie? może w Nieświeżu, gdzie znajdziesz tyle familiantek, która z nich wpalnie w oko kochanemu bratu, że młodszego zechcesz przykład naśladować i, skoligaciwszy się z możliwym domem, po tylu wędrownkach osiadziesz na roli ojczystej. Coby to było dla mnie za szczęście sąsiadować z bratem o miedzę.

— Twoje tylko sąsiedztwo, *mon frère*, mogłoby mnie skłonić do wiejskiego życia; ale każdy musi iść za swoim przeznaczeniem. Zazdroszczę ci, bracie, że arkadyjskie pasterstwo przychodzi tobie do smaku. To wszystko piękne błogie, *très édifiant* *), ale nie dla mnie. Ja otrzymałem starostwo Wieluńskie, sześć folwarków, to nie bagatela, wyjechałem dla obejrzenia mojego władztwa: po zanikalowaniu moich substytutów w grodzie, chciałem próbować gospodarki, ale to mnie tak znudziło, że dosiedzieć nie mogłem trzech tygodni. Zadzierzałem moje folwarki jakimś tamecznemu amatorowi, a z pieniędzmi w szkatułce nazad do Warszawy, i pewnie drugi raz moje starostwo nie uchwyci mnie w swoje objęcia. Jak skończę z tobą dział, o jedną łaskę, *mon frère*, będę ciebie prosił; weź w dzierżawę moją schedę, i zapłać mi za nią co zechcesz, a puść mnie jaknarychlej do naszej Warszawy. A jeżeli mnie chcesz największą łaskę zrobić, dosyłaj mnie czasem dubeltów i jarząbków: *c'est un met délicieux* **). Król jegomość nad wszystkie specyały ma pieczone z dubeltów-bekasów, a wiesz, jaki to znawca kuchennego kunsztu. We Francyi dubeltów nie znają, prawda, że tam błotnistych rud niema. Otóż, *mon frère*, jak zostaniesz moim dzierżawcą, uwolnisz wielce do ciebie przywiązanego brata od tych ekonomów, rachmistrzów i pisarków, *une vraie peste* ***), chociaż tak lubicie z nimi przestawać; ach! co też to za nudne figury! Między nami, wolałbym się dać okraść przez nich, niż słuchać ich tłumaczenia; tym sposobem obaj bylibyśmy z siebie kontenci.

*) Wielce budujące.

**) Wyśmienita potrawa.

***) Istna zaraza.

Zasmucił się wojski tem szyderstwem z zatrudnień ojezystych, do których sam największą przywiązywał wagę i zamilkł, tem więcej, że właśnie wjeżdżali do Nieświeża.

XII. Elegancya dwóch światów.

Zajechali bracia Strawińscy prosto na dziedziniec pana Szabańskiego, gdzie zastali, jak to dziś nazywają, furgon, a wtedy skarbnicę, na której wojski był wyprawil pościel i garderobę braterską, wraz z jego kamerdynerem, Korendowiczem i szatnym swoim Czesławem Buńczukiewiczem.

Pan Szabański z poufałością zażyłego przyjaciela kilkakrotnie uściskał wojskiego, skłoniwszy się z oznaką głębokiego uszanowania przed panem starostą, i nie bez zadziwienia spoglądał na tę mieszaninę stroju męskiego, ubrania głowy niewieściego, a płaszcza nakształt kapłańskiego. Z głową schyloną zaprowadził go przed sobą do mieszkania, dla niego przeznaczonego.

Było izb trzy: pierwsza dla usługi, ostatnia sypialnia starosty a średnia na ubranie. Ta była najobszerniejszą i w niej już zastali porozkładane na wielkim stole liczne i gustowne sprzęty, niezbędne dla wykwintnisia wielkiego świata.

Pan wojski naprzeciwno, w komnacie pana Szabańskiego, założył główną kwaterę i do niej poszedł z gospodarzem, by bratu dać czas rozpoczynać pracowite przebranie.

Wojski z panem Szabańskim poszli do stajni, ulokowali pojazdy, konie i ludzi. A potem pan wojski, napisawszy wedle umowy list do przyszłego teścia, ze swoim szatnym wziął się do ubrania.

Na żółtych safianowych butach nałożył karmazynowe hajdawery, które oskurzem jedwabnym z kwastami zawiązał ściśle niżej brzucha. Przywdział żupan z atlasu błękitnego tak świeży, jak dopiero rozkwitły w pszenicy bławatek, zapiał go na szyi czterema guziczkami jedwabnymi, tejsze samej barwy pośrodku których zaczepił spinkę z emalii błękitnej, gdzie błyszczała brylantowa cyfra księcia Karola Radziwiłła, nie zaniebawszy spuścić kołnierzyk od koszuli, na dwa palce szeroki, a biały jak opłatek, na kolendę ofiarowany do brodziejowi klasztoru. Na tem wszystkim kontusz z sajety koloru słomianego, błyszczący jak złoto, z kołnierzem błękitnym, z takiemiż obszlągami, a podszyty atlasem z tejsze sztuki co i żupan. Zapmomocą pana Szabańskiego opasał się pasem litym, cudowną słucką robotą, gdzie na tle szczerozłotem równianki z niezabudek i astrów błękitnych zdawały się być świeżo zerwane. Pięć razy okręcił się w pasie, a za każdym razem zrobił *memento* do rany Zbawiciela. A węzeł tak zgrabnie ułożył pan Szabański, że jakkolwiek nasz wojski był mało próżnym, kilka razy z upodobaniem popieścił wzrok bogatym kwastem od pasa, a myśl obrazem swej narzeczonej, którą miał za chwil kilka oglądać. Przyczepił do pasa karabelę, która mu się dostała w zdobyczy pod Łohojskiem, gdzie mu ją oddał wzięty przez niego w niewolę hrabia Tyszkiewicz, który później poślubił rodzoną synowicę królewska, a umarł

hetmanem wielkim Litewskim. Klinga była hiszpańska, jak mówiono, ze starzych mulich podków wykuta przez jakiegoś Araba dla księcia Alby. Ten książę oddał tę szablę naszemu Janowi Karolowi Chodkiewiczowi, służącemu przy jego boku, w nagrodę jego męztwa, a później z posagiem jednej Chodkiewiczówny weszła w dom Tyszkiewiczowski. Napróżno hrabia Tyszkiewicz ofiarował wojskiemu trzydzieści tysięcy na jej okup. Kiedy się ona dostała wojskiemu, nazywała się *czarownica* i dawał się na klindze widzieć złotem nabijany arabskimi literami jakiś wyjątek z Koranu. Ale nowy jej właściciel przezwał ją *Alfa* i *Omega*, kazawszy wprzód zetrzeć bisurmański napis, a nabić na jego miejsce te dwa wiersze Psalmisty:

Ztąd wedle ciebie tysiąc głów poleże,
Ztąd drugi tysiąc ciebie nie dosięże.

Różne anegdoty o tej szabli kursowały po Litwie. Jednak to pewna, że w domu pana kasztelana Rdułtowskiego, pan Pac, starosta Ziółowski, jeden z pierwszych rębaczy litewskich, a posiadacz ogromnego zbioru szabel, wybrawszy sobie najlepszą, jaką między nimi mógł znaleźć, dopóty nalegał na pana wojskiego, aż musiał z nim spróbować swojej *Alfy* i *Omegi*. Otóż od pierwszego składu pan Michał na dwoje przeciął klingę swojego przeciwnika, jakby była z masła, tak, że pan Pac zdumiony powiedział: „Panie Michale, żebym na twojej szabli nie czytał sentencji z Pisma Św., a nadewszystko żebym ciebie nie znał tak prawowiernym katolikiem, jak mi Bóg miły, myślałbym, żeś inkluza do niej doczepił“. Rękojeść szabli była szczerozłota, w turkusy oprawna, ale na znak małej żałoby była obwinięta przeroczystą krepa. Na tej rękojeści położył wojski czapkę z aksamitu błękitnego, okoloną jasno-kasztanowatym wyporkiem krymskim wysokiej wartości. Wyloty od kontusza zarzucił i kazał je zapiąć na hafeik; wasa wymuskał przed zwierciadłem i zupełny Albeńczyk, poszedł z gospodarzem do izby brata, by się upomnieć o przywołecany list do generała.

Zastali starostę siedzącego w pudermantlu z jedwabnej białej materyi, przy małym stoliku makatą turecką okrytym. Na tym stoliku stała miednica i kubek srebrny pozłacany, kilka elegancyi do toalety potrzebnych i duża kryształowa szklanka wiekiem przykryta, z herbatą tak tęgą, że ją można z razu wziąć za wino królewieckie. Przed starostą dwóch służących trzymało zwierciadło w ramach srebrnych; w tem zwierciadle starosta się przeglądał, podczas gdy starszy fryzyer, ufryzowawszy mu głowę, sypał na nią starannie szron pudru biało-żółtawego, a tak zaprawionego piżmem, że niezwycajonemu trudno było dosiedzieć.

Kamerdyner starosty, który służył mu czasem za sekretarza, skończył był właśnie list, co mu dyktował jego pan do generała, a pan, podpisawszy go, bez użycia nożyczek, ale jedynie palcami swemi, zrobił nań zgrabną kopertę, z wielkiem podziwieniem pana Szabańskiego, który się niemniej nad tem zastanawiał, jak nad użyciem tak tęgiej herbaty, on co jej zażywał tylko

po wielkiem przepiciu i to dwie szczypty z szafranem zmieszanej, rozgotowane w trzech kwaterekach wody.

Zapieczętowałwszy list herbową pieczęcią od kieszonkowego zegarka, wręczył go starosta swojemu bratu, a ten go oddał jednemu z swoich bośniaków, i wyprawił natychmiast do Niewodowa. Wrócił wkrótce do brata, gdzie zastał pana Szabańskiego siedzącego jak wryty; tyle mu było ciekawe ubieranie się starosty.

— *Comme vous vous êtes fait beau, mon frère**) — odezwał się starosta roztargniony, pilnie przed zwierciadłem oskrobując z czoła puder nożykiem srebrnym, tępy, *plioir* nazwanym, a oprawionym w trzonek złoty, kameryzowany. Poczem, za danym znakiem, lokaje ze zwierciadłem rozstąpili się, a pan powstał i, raptownie zrzuciwszy pudermantel, wziął na siebie szlafrok z perskiej materji w wielkie kwiaty różnobarwne na tle ponsowem, przepraszając pana Szabańskiego, że przy nim się ubiera. Usiadł na nowo, i podał nogi klęczącemu kamerdynerowi, który z nich zdjawszy skarpetki z surowego jedwabiu, na ich miejsce wciągnął pończochy, spodnie blado-inkarnatowe a wierzchnie *à jour*, z robótkami po bokach, a cienkie jak tkanka pajęczyny. Te pończochy uchwyciły niżej kolan złote sprzączeczki z mory białej, ostatniej mody wersalskiej. Wcisnięto mu na nogi trzewiki z wysokimi korkami ponsowemi, a tak lakierowane, że zwierciadło mało co jaśniej odbijało przedmioty. Te trzewiki zacisnęły się na nodze złotemi wielkimi sprzączkami. Zrzucił na chwilę szlafrok, by odmienić koszulę; wziął koszulę z najcieńszej holenderskiej tkanki, prania paryzkiego, z poczwórnemi żabotami koronki brabantkiej, a szyję kamerdyner obwiązał chustką wąską haftowaną, na którą mu zarzucił krzyż komandorski św. Jana loretańskiego, cały w soliterach, i jakiś krzyż mało co mniej bogaty na zielonej wstążce. Znowu podano mu szlafrok, a Lefler z taką powagą, jak dziś marszałek, prowadzący w czasie wyborów szlachtę swojego powiatu do przysięgi, układał jego kos w harbejtlu kiltajkowym, na którym przszyta była misterna kokarda.

— Już prawie jestem gotowy, *mon frère*, jeżeli karetą jest już wymyta, możesz kazać zaprządz, jestem na twoje rozkazy. — A do kamerdynera: — Korendowicz, żeby furman, foryś, strzelec i lokaje nową liberyę wzięli. *Pardon, mon frère*, i mości Szabański, że panów jeszcze w szlafroku przyjmuję. Suknie wezmę, jak karetą zajedzie, żeby jej świeżości w niczem nie uszkodzić. Jako poseł wielkiego króla do wielkiego pana, muszę się pokazać w całej okazałości. Ale ty, *mon frère*, ubrałeś się, jakby zapomocą czarodziejskiej laski.

— Albo to nasz staroświecki ubiór składa się z tylu sztuk, ile wasz nowomodny?

— Bój się Boga, *mon frère*, zapytaj mojego Korendowicza, czyby trzech z naszego bractwa ód stóp do głowy nie ubrał, zanim jednego pasa po waszemu zawiązał. Ja uważam, *mon frère*, ty w swoim rodzaju jesteś wielkim elegantem: ta długa suknia, ten pas bogaty, te safianowe buty, *c'est oriental*,*) ma to swoją piękność. Pamiętam, jak w Lunewilu wielki efekt zrobił między

*) Jakżeś się zrobił pięknym bracie.

Francuzami przybyły tam książę Lubomirski, staroście Kaźmirski, kiedy na dworze króla Leszczyńskiego w tym ubiorze wystąpił. *Mais cela n'a pas duré; **)* ten książę wkrótce potem zakochał się w Paryżu w jednej aktorce ledwo drugiego rzędu i zjadłszy z nią szalone pieniądze, jeszcze dla jej pięknych oczów przybrał się po francuzku.

— I to co najrozumnniejszego mógł zrobić, że nie chciał naszego kontusza paskudzić, włócząc się za komedyantkami.

— *De gustibus non est disputandum*, jak mawiał nasz ojczym Mycielski, któregoś nie znał, *mon frère*, a szkoda, bo to był człowiek tak dobry, że prawdziwie można go było do rany przyłożyć. Z kilkorga dzieci, co je miał z naszą matką, jeden tylko pozostał syn, a ten ze mną się wychował w Lunewilu w szkole rycerskiej, ale ja, kilkoma laty starszy, przed nim wyszedłem do pułku i zaraz poszedłem na wojnę. On służył w Berchenyhuzar, a pisze do mnie, że go przenieśli do gwardyi królewskiej; jest już kapitanem i za nie chce do Polski wracać. Ale ty, Michale, nie znasz twoich krewnych z Wielkopolski; wszak Bertrand Mycielski jest twoim i moim bratem przyrodnim.

— Bardzo się cieszę, że go nie znam osobiście, gdyż on nie chce pokazać się w naszych stronach, a ja mojego kraju opuszczać nie myślę; tęskniłbym tylko za nim.

— O! to prawda, żebyś za nim tęsknił, gdybyś go poznał — odparł Ludwik, wycierając szczołeczką swoje paznogie — bo miłszego chłopca na szerokim świecie nie znajdziesz; a do tego nosił wąsy jak ty, tylko że czarne jak krucze pióra; zgryziony, jak pisze do mnie, że przenosząc się do gwardyi, musiał z tych wąsów zrobić ofiarę. A chłopiec walczy z losem. Nie możesz sobie wyobrazić, *mon frère*, co to się działo w domu naszej matki; nasz ojczym, człowiek dobry, ale zwyczajnie *Roger Bontemps, ***)* o jutrze nie myślał. Odłżył fortunę, przyszedł niedostatek, mnie odwieziono do Lunewilu z wielkim żalem naszej matki, potem dzieci zaczęły umierać, jeden pozostał Bertrand, a i tego nie było o czem w domu wychować, i trzeba było go wyprawić tam, gdzie i mnie wyprawiono. Matka ze zgryzoty, że wszystko w domu źle idzie, wpadła w suchoty; znalazły się potem i skrupuły, że pierwszego męża porzuciła; nakoniec umarła. A gdyby chciała i siebie i męża mogłaby uszczęśliwić, bo stary Brühl, który za króla Augusta robił z Polską co chciał, tak się w niej zakochał, jak piętnastoletni chłopiec; ale ona się oszańcowała swoją cnotą, aż ta cnota nakoniec ledwo że nie do głodu ją doprowadziła.

— Co też to wygadujesz, bracie? czy my nie powinni się cieszyć, że nasza matka wolała umrzeć w niedostatku, niżeli żyć w zbytkach i niesławie?

— Niechże żyje nasz wojski ze swojemi pięknymi maksymami. Nasza matka takby robiła, jak damy wielkiego świata w Warszawie; one dobrze się bawią póki młode, na starość oddają się dewocyi, a tej niesławy nigdy nie

*) Jest to wschodnie. **) Ale to niedługo trwało. ***) Marnotrawca, utracysz.

doświadczają. Zresztą żona ze swoich postępów co najwięcej przed swoim mężem jest odpowiedzialną, a nasz ojczym, jak go znałem, nie był od tego.

— Dobrze to nasz niebożczyk ojciec powtarzał, że Warszawa jest Sodomą.

— Niech i tak będzie, ale to pewna, że w tej Sodomie wesoło. Żadne dziecię nie prosiło rodziców o danie mu życia, więc oni mają obowiązek, żeby to życie, które najczęściej jest ciężarem, osłodzić. Żeby nasza matka była rozsądnie miłowała Bertranda, miałby w swojej Ojczyźnie posadę odpowiednią zacności jego rodu; a tak, cóż najlepszego zrobiła dla niego? Oto, wytworne przyjąwszy wychowanie z łaski króla Leszczyńskiego, spokrewnionego z domem Mycielskich, wyszedł subalternym oficerem w pułku huzarskim, z dwoma tysiącami franków pensyi na szkatulce królewskiej *pour tout potage*¹⁾. A co to być familiantem, hrabią i nie mieć odpowiednich przychodów! Ciągnął ci nasz Bertrand diabła za ogon, jak mówią, a po śmierci ojca z całego spadku nie została mu się szmatka do obwiniecia palca. Jakem przybył do Polski, gdzie za łaską króla JMści i mojem szczęściem dostałem starostwo Wieluńskie i komandoryę Poznańską, odstąpiłem na rzecz naszego biednego brata intratę, którą otrzymałem we Francyi od króla Chrześciańskiego nie powiem za rany, odebrane na wojnie (*quelle bêtise! tout le monde est brave*²⁾), ale za menueta, któregoś tańczył w jego przytomności z margrabina de Pompadour, kiedyś moją najosobliwszą dobrodziejką; wiesz, *mon frère*, że jestem uczniem wielkiego Gardela³⁾; a poczciwy Bertrand tak mi jest wdzięczny za tę bagatelę, jakbym mu dał to, czego urodzeniem i gładkością swoją ma prawo domagać się od Opatrzności. Co roku przysyła mnie z Paryża suknię *de la dernière mode*⁴⁾; zaraz ją na mnie obaczysz i sam wyznasz, że nie można mieć więcej gustu. To też go za to Bóg teraz błogosławi; zakochała się w nim od roku jakaś hrabina de Vermont — ma być piękną, a do tego złotem nadziana Kreolka, która na niego szalenie traci. Od niego zależy pojąć ją za żonę i mieć tłumy poddanych czarnych i kasztanowatych w Martynice. Tylko że Bertrand taki trzpiot że dla pierwszego kaprysu gotów to wszystko opuścić. Ale jak widzę ekwipaż gotów, *il faut achever sa toilette*⁵⁾.

Wstał, rzucił za sobą szlafrok i wziął na siebie westę długą z atlasu białego, haftowaną blaszkami złotemi. Pod nią przyczepił kamerdyner pendent ze szpadą, której rękojeść ze stali angielskiej, co do blasku, równała się brylantom, zwłaszcza przy świetle kunsztownem. Nareszcie zarzucił wstęgę świeżo ustanowionego orderu Świętego Stanisława; długą wstążką obwinął rękaw od koszuli, żeby ogarniowanie koronkowe z pod rękawa gładko się wysunęło; łóżaje ubrani w liberyi kąpiącej złotem podali mu zwierciadło, w którym się z upodobaniem przeglądał; i nie pewniejszego, że trudno było widzieć nadobniejszego kawalera.

Nakoniec podano mu suknię, a tę ze wszystkich stron oglądał z najskrupulatniejszą uwagą, ażali najmniejszy fałdzik nie znieważa jej świeżości. Suknia była z aksamitu koloru nazwanego w Paryżu *Pompadour*, z powodu

¹⁾ Za całkowity dostatek. ²⁾ Co za głupstwo, każdy się dobrze bije. ³⁾ Gardel, najslawniejszy baletnik paryzki owego czasu. ⁴⁾ Ostatniej mody. ⁵⁾ Trzeba skończyć ubieranie się.

że Ludwik XV. w puszczy Senar, w amazonce tego koloru, pierwszy raz spotkał tę zalotną piękność, u nóg której wraz z sercem całe swoje państwo położył. Ten kolor, trzymający środek między najżywym szafirem a najświetniejszym amarantem, był w największej modzie w Wersalu, jakby dla uczczenia niedawno zmarłej margrabin, która pierwsza wprowadziła go do Wersalu.

— *Mon frère* — odezwał się starosta, kładąc na siebie tę ostatnią sztukę wykwiutnego ubioru — ta suknia, którą pierwszy raz używam, jest zbiorem darów miłości, sławy, szczęścia i przyjaźni. Sama suknia, jakem ci już powiedział, jest dowodem pamięci wdzięcznej brata Bertranda, a ten wokoło niej złoty filigranowy garnitur, w dzień moich imienin był mi dany na wiązanie przez księcia kanclerza Czartoryskiego. Tę gwiazdę brylantową dał mi Król Jegomść, Pan nasz miłociwy, w sam dzień ustanowienia orderu swojego. Ta druga gwiazda ze szmaragdów i brylantów, na której czytać możesz napis: *avis atavis*, i ten krzyż na zielonej wstędze, co go mam na szyi, są to insignia orderu Świętego Łazarza; wielkim mistrzem tego kawalerstwa jest książę Orleanu, pierwszy książę krwi królewskiej. Żeby otrzymać ten znak, oprócz wziętości u dworu, rangi do tego jeszcze pułkownika, potrzeba jeszcze udowodnić trzysta lat szlachectwa bez żadnej *mésalliance**): przyznam ci się, *mon frère*, że to jest jeden order, o który starałem się najgorliwiej. Bo chociaż u dworu żartujemy pomiędzy sobą z arystokracji, jednak przez jakiś nałóg zastarzały dobijamy się jak możemy do wszystkich zaszczytów zacnego urodzenia. Kiedy książę Orleanu, nie mogąc oprzeć się prośbom mojej protektorki, przysłał mi nakoniec tę samą gwiazdę tak ozdobną, powiem ci, że szalałem z radości. Ten drugi krzyż na czerwonej wstążeczce jest nagrodą, daną mi z rąk Ludwika XV, i nosi imię jego patrona. Powinieneś go czcić, *mon frère*, bo oprócz zasługi rycerskiej, on jest świadectwem prawowierności, i tylko wyznawca katolicko-apostolskiego Kościoła może go nosić. A te guziki mozaiką florencką, z kosztownych kamieni wyrabiane, a tak bogato opracowane, których ocenić nie można, są darem miłości i prawdziwej miłości; książę Bedford był je otrzymał od wielkiego księcia Toskańskiego. Chcąc się niemi popisać na dworze wersalskim, ubrał się w nie, gdy był proszonym na bal królewski, żeby niemi zaćmić panów francuzkich; ale że się namiętnie kochał w pannie Gaussin, najpiękniejszej aktorce teatru francuzkiego, do niej wstąpił po drodze, żeby się przed nią swojemi guzikami popisać; a ona przez swawolę mu te wszystkie guziki odstrzygła, mówiąc, że tym sposobem aż do dnia jutrzejszego zatrzyma go u siebie. Książę uszczęśliwiony takim dowodem przywiązania, z zachwyceniem darował jej te guziki, które później jej piękne rączki oddały mi na pamiątkę. — Wkrótce potem Bedford, obżarty jak zwyczajnie milord, umarł z niestrawności, a ja właśnie w sam dzień jego śmierci pokazałem się pierwszy raz w Wersalu w jego guzikach. *Cela a fait fureur a la cour**). *A propos*, nuże Lafler! Korendowicz! czy wszystko dobrze? czy czego nie brakuje? Jestem gotów, *mon frère*, siadajmy.

*) Skojarzenie się związkim małżeńskim z osobą niższą rodem.

*) To zrobiło niestychane wrażenie u dworu.

Kamerdyner podał mu kapelusze jedwabny do trzymania w rękę; tabakierkę złotą z portretem królewskim, otoczoną brylantami, w którą nie omieszkał nasypać winegrelu, żeby na każdy wypadek mieć czem damy trzeźwić; drugą tabakierczkę, *printanierką* zwaną, z której za otworzeniem, zapach rozchodził się wokoło; trzecią tabakierczkę z piórkiem do zębów; zegarek z brelokami i kieszę z dukatami holenderskimi. To wszystko starosta rozlokował po różnych kieszeniach; zlekka rzucił na barki płaszcz ponsowy, białym racy-morem podszyty, ozdobiony szczytami guziczkami, wziął trzcinę z bogatą skówką, chustkę do nosa uperfumował jakimś wonnym paryskim wyskokiem i wyszedł z bratem do zajeżdżającej przed ganek karety.

Siedli do niej te oba typy starego i nowego świata w ówczesnej Polsce. Wojski usiadł poważny i nieco zamysłony; starosta wesoły i śpiewający, jak wszyscy ci, do których przyszłość należy. I puścili się ku zamkowi nieświeskiemu.

XIII. Imieniny.

Nim nasi bracia stanęli na zwodzonym moście zamku, już trębacz przed nim czatujący otrąbił przybycie nowych gości; a za mostem warta Radziwiłłowska stanęła pod bronią, dla ich uczczenia. Godzina była piąta po południu, kiedy kareta zastanowiła się przed perystylem, czy, jak to dawniej nazywano, kruzgankiem zamku. Natomiast dwóch sążnistych hajduków otworzywszy karete, na rękach z niej wynieśli naszych gości i lekko ich postawili na samym progu. Starosta, nie obzierając się za sobą, rzucił płaszcz z plec swojemu strzelcowi, a wojski nieco uważniej zdjął hańkę swoją i oddał ją hajdukowi, z napomnieniem, by o niej miał staranie, poczem podwoje prowadzące do wielkiej sieni zamku przed nimi się rozwarły.

Zastali w sieniach kilkanaście osób, a między niemi księcia wojewodę, który jako gospodarz pełen gościnnej grzeczności, za każdym odezwaniem się trębacza biegł do sieni dla przyjęcia każdego, łaskawie pamiętającego na dzień jego imienin. Książę był wysokiego wzrostu, przyzwoitej otyłości, twarzy na której pogoda serca się malowała, z uśmiechem, któremu się oprzeć było trudno. Duże oczy błękitne, pełne ognia i dowcipu, błyszczały jak dwa szczęsne luminarze na licach, których białeść mogłaby pobudzić zawiść kobiety. Wedle zwyczaju litewskiego głowę miał wysoko podgoloną, a wąs gęsty, do góry podkręcony, uzupełniał obraz prawdziwego Sarmaty. W dniu tym nosił na sobie mundur albeński, tak jak wojski i wielka część gości przybyłych, z tą tylko różnicą, że wszyscy Albeńczycy na spinkach nosili cyfrę, ale na podobnej emalii błękitnej miał trzy litery brylantowane F. A. F., których znaczenie było: *fiducia amicorum fortis*. Kiedy bracia zbliżyli się do niego, książę obu się skłonił, a do wojskiego naprzód obracając mowę:

— A przecie nasz wojski zawitał; zacząłem już tęsknić za waćpanem panie kochanku, Generał Kunicki mnie skrewił; myślałem już, że i jego przyszły zięć na mnie nie łaskaw.

— Bóg świadek, książę panie, że pan generał nigdy tyle nie narzekał na niemocy swoje, jak dziś, za to jedynie, że waszej książęcej mości służyć nie może.

— To też żart tylko, panie kochanku; moi przyjaciele to całe moje bogactwo, znam ich serce, bo kiedy byłem w biedzie, to mogłem ich doświadczyć. Pan Józef był moim dobrodziejem, tak i pan strażnik świętej pamięci ojciec waćpana, po którego śmierci nieraz się łzami zalewałem, jak i wszyscy moi Albeńczycy. Za granicą wasz chleb jadłem, to też wszystko co mam jest waszem. A wiesz, panie kochanku, że twoja narzeczona już dawno u mnie? W bawialnych pokojach ją znajdziesz z moimi siostrami. A jaką śliczną dziewczeczkę dobrałeś sobie! Ruszajże sobie do niej panie kochanku, bo widzę, że w duchu dyablami mnie karmisz za to, że cię tak długo zatrzymuję.

— Wolne żarty waszej książęcej mości, ale w tej chwili nie tyle mi narzeczona moja w głowie, ile to, żebym umiał wynurzyć moją radość, iż doczekałem się dnia, tyle pożądanego od nas sług i przyjaciół waszej książęcej mości, w którym mogę mu złożyć najgłębsze powinszowanie, najprzychylniejsze życzenia, a razem przedstawić mu mojego brata, starostę Wieluńskiego.

— Bardzo się cieszę, że w moim domu przyjąć mogę pana starostę; przypominam się jemu, bo niejednokrotnie na pokojach królewskich miałem zaszczyt oglądać jego oblicze. Cóż to za szczęśliwa dla mnie gwiazda sprowadza pana starostę, orderowego pana i tak znakomitego kawalera wielkiego świata, do domu szlachcica, wieśniaka i jeszcze w dniu jego imienin? Chyba żeby z nas wzorki zbierać, i w Warszawie panów wielkiego świata zabawiać kosztem naszym.

— Mości książę, oddawna chciałem być przedstawiony w jego własnym zamku dostojnemu protektorowi nieboszczyka ojca i żyjącego brata i złożyć mu moje uszanowanie w dniu tak świetnym dla całego narodu. A Król Jego-mość i wuj jego, książę kanclerz Czartoryski, wiedząc o tym moim zamiarze, na moje ręce przesyłają waszej książęcej mości listowne oświadczenie ich życzliwości, które to listy księciu Jmci śmiem składać.

— Z najgłębszem uszanowaniem przyjmuję ten dowód łaskawej pamięci Najjaśniejszego Króla, pana mojego miłościwego; a co się tyczy księcia kanclerza Litewskiego, tem wdzięczniejszym mu jestem, że nie zawsze zaszczycał mnie podobną łaską.

— Był czas mości książę, kiedy książę kanclerz za odmiennem idąc przekonaniem sprzeciwiał się waszej książęcej mości, ale to pewna, że dziś niczego więcej nie pragnie, jak tylko dawać mu niepłonne dowody swojego wysokiego szacunku i życzliwości.

— A tak, tak, teraz i ja o tem nie wątpię— a obracając się do jednego starego Albeńczyka, tuż przy nim stojącego: — Rekomenduję panu staroście mego dobrego przyjaciela, pana Stanisława Płaskowickiego, podczaszego Nowogrodzkiego, który w moich nieszczęściach na krok mnie nie odstąpił, chociaż ósmy krzyżyk na jego metryce wschodzi, a jego syn, pan Jerzy, okoliczny Smoleński, niemało też ucierpiał. Otóż pan Stanisław przez całe życie swoje był wielce umizgalski. Nie wstydź się, panie kochanku, i nie zasłaniaj oczu, bo co prawda, to prawda. Ze mną będąc w Rzymie, *delicta juventutis* tak go zaczęły trapić, że aż poszedł do wielkiej penitencji, by zupełny odpust

otrzymać; ale spowiadając się wielkiemu penitencyaryuszowi, przyznawszy się, że za młodu ciągle był zajęty kobietami, dodał, że za łaską Boga przecie się upamiętał na starość i że tylko stare grzechy oplakuje, nowych do nich nie przydając. Na to jednak penitencyaryusz: A ty nic dobrego! myślisz Pana Boga oszukać, chwając się, że już poprzestałeś grzeszyć? Nie ty grzechy, ale grzechy ciebie opuściły; żebyś tylko mógł grzeszyć, piękną miałby z ciebie Pan Bóg pociechę. Jeżeli nieprawda, zadaj mi kłamstwo, panie Stanisławie. Ale, wracając do łaskawego oświadczenia księcia kanclerza, ja sobie prosty człowiek, panie starosto; szczerze wierzę w pojednanie nieprzyjaciół. Ksiądz biskup Massalski naprzykład, czy mogę ja wątpić o zmianie jego serca na korzyść moją, kiedy on zjechał sam winszować mnie imienin, i obaczysz go pan na pokojach? Albo mogęż wątpić o łasce księcia kanclerza, kiedy tak grzecznym listem ją oświadcza dla mnie? Przed kilkoma laty w sam dzień Ś-go Karola ogłosił dekret sejmowy, skazujący mnie jako *hostem patriae* na banicję *et abjudicationem ab omni activitate*; ale dzisiaj mnie to wynagrodził, przysyłając mnie wcale inne wiązanie w nawiedzeniu znakomitego męża, wielce zasłużonego ojczyźnie, bo już orderowego pana.

— Nie chępię się z żadnych zasług, dla kraju, mości ksiązę, a jeżeli król Jmć, pan mój miłościwy, raczył orderem swoim wesprzeć me dobre chęci, jakkolwiek ten zaszczyt mało waży u waszej ksiązęcej mości, za złe mi wziąć nie można, że wysoko cenię dowód łaski mojego monarchy.

— Jak to, mało ważyć? Ja panie jego wiele ważę. Może go w duchu WPanu zazdroszczę, bo król mnie tej łaski nie zrobił, by mi pozwolił nosić swój order.

— Wolne żarty waszej ksiązęcej mości: król Jmć chyba nie śmiał go dać waszej ksiązęcej mości, jako kawalerowi wyższego orderu u nas i tytu wysokości zagranicznych.

— Nie wierz pan temu, mości starosto! Ja kilka razy przymawiałem się do tego zaszczytu, a król zawsze jakby tego nie chciał zrozumieć. Nareszcie pan Michał Rejtan, który zaraz może mi zadać kłamstwo, jeżeli zmyślam, jako szambelan Najjaśniejszego Pana, będąc u niego na służbie, wprost jako łaskawy na mnie przyjaciel zaczął prosić króla o order Ś-go Stanisława dla mnie; ale król mu powiedział: Wasz Radziwiłł młody, głupi, nic nie zrobił dla kraju, nie dam, pokąd na niego nie zasłuży. I tak nas z kwitkiem odprawił.

Starosta zaczerwienił się, zacisnął zęby, ale tyle zostało mu rozwagi, że nie biorąc tego za żadną przymówkę, lekki uśmiech, acz nieco kwaśny, dołączył do głośnych śmiechów orszaku otaczającego księcia. Po chwili milczenia ksiązę się odezwał:

— Mości panie starosto, najpokorniej przepraszam, że go tak długo zatrzymałem w miejscu tak nieprzyzwoitem dla jego godności; ale mam w zwyczaju, po naszymu przyjmować gości łaskawych u podwojów mojego domku. Dałaby mi bracia Litewska, gdybym aż gdzieś na nią czekał, póki się pierwsza ze mną nie przywita, jak to bywa u koroniarzów, gdzie gospodarz ani ruszy z miejsca, choć tarkotanie kół na dziedzińcu zaprasza go do sieni. Proszę pana starosty z sobą na pokoje, bo nasze panie i panny pomyśla, że

my na nie jakieś spiski knujemy. I nisko się jemu skłoniwszy, puścił go przed sobą, a obracając się do wojskiego:

— Panie Michale, coś się trębacze nie odzywają; jak widzę, już nikogo więcej nie mam się spodziewać. Zapieczętowałeś, panie kochanku, liczbę Radziwiłłowskich przyjaciół. Oj, oj, oj! czemuż nie widzę mojego strażnika? To był mój przyjaciel, pan Wojciech! Ta to ja jeszcze sylabizować nie umiałem, kiedy mnie smarkacza uczył nożem do celu trafić. Jednego poranku raz u niego dwadzieścia tyńfów wygrałem, ale potem te zabawy dały mi się we znaki; ś. p. księżę hetman, mój ojciec, porządną batogową sprawił mi łaźnię za to, że rozmawiającemu z nim panu pisarzowi Rymszy ciśnięciem noża wyłot od kontusza w ścianę zagwoździłem.

I po tych słowach, wszystkich puszczając przed sobą, poszedł za nimi do pokojów, opierając się z jednej strony na panu wojskim, a z drugiej na panu Michale Rejtanie.

Starosta, przechodząc salę staroświeckiego zamczyska, nie bez zadziwienia uważał skromność jego ubrania. Nie widać było ani bronzów, ani mahoniów, ani tych innych wymysłów, napełniających mieszkania nierówno mniej możnych obywateli w Warszawie. Tu zaś, oprócz kobierców kiedyś kosztownych, ale noszących ślady czasu i rabunku tego zamku, żaden zbytek, żadna wykwintność nie raziły równości szlacheckiej. Gdy weszli do sali, nazwanej portretową, że już to się zbliżała szósta godzina, a pajuki zapalili światła, mógł więc uważać na ścianach szereg długi przodków Radziwiłłowskiego domu, poczynający się od protoplasty Lezdejki, ofiarnika wielkiego Perkuna, a kończącego się na księciu hetmanie wielkim Litewskim, ojcu księcia wojewoży, którego wasy w kształcie kłów dzika strzyżone, coś surowego przydawały do twarzy zresztą łagodnej. W około tej wielkiej sali pod ścianami były ławki, obite aksamitem utrechckim, kiedyś zielonym; a między ławkami jakąś przerwę okazywały gdzieniegdzie kanapy dwa razy wyższe od ławek, z dwoma stopniami, jak ołtarze, aksamitem pokryte jedwabnym karmazynowym, ale nie mniej spłowiałym. Oprócz tego mnóstwo krzeseł i stołków, z których formowały się różne grupy, było porzucanych w rozmaitych dyrekcyach sali. Zamiast dzisiejszych posadzek z arabski wyrabianych, była poprostu gładka podłoga dębowa, starannie jednak woskowana. Jedyny sprzęt, któryby w tej sali mógł na sobie zatrzymać czas jakiś wzrok wędrownika, nawykłego deptać szlaki zagraniczne, był to pajak na pułapie zawieszony z kryształu weneckiego, oświecony trzystoma świecami, wprawdzie żółtymi, ale których blask, odbity w tysiącu brylantowych kryształkach, wracał sownie wszystkie utracone blaskiienne. Takich pajaków było w zamku dwanaście, oświecających w potrzebie rozmaite sale. Była to jedyna spuścizna, spadła po królu Michale na dom Wiśniowieckich, a weszła z różnemi na Ukrainie i Polesiu dobrami w dom Radziwiłłowski, kiedy księżę hetman zaślubił ostatniego tego domu potomka.

HENRYK RZEWUSKI.

LISTOPAD.

ROMANŚ HISTORYCZNY Z DRUGIEJ POŁOWY XVIII. WIEKU.

TOM II.



POZNAŃ.

NAKŁADEM WYDAWNICTWA „CZYTELNI POLSKIEJ“.
CZCIONKAMI DRUKARNI „PRACY“.

1900.

XIII. Imieniny.

W tej-to sali zebrani byli obojga płci krewni, przyjaciele, klienci i słudzy najpotężniejszego bogactwem i popularnością magnata polskiego; a między nimi niejedna wcisnęła się osoba, co dopiero okazawszy księciu swoją niechęć w najdotkliwszym sposobie, z odmianą szczęścia na jego stronę skwapliwie się ubiegała, by obłudnem nawróceniem zatrzeć we wspaniałym umyśle pamięć krzywd od niej doświadczonych. Książę biskup Wileński i Chreptowicz, podkanclerzy Litewski, obaj głowy partyi książąt Czartoryskich w Litwie, obaj prześladowcy księcia i wszystkich z nim trzymających, tak składali jemu powinszowania, jakby zawsze byli jego gorliwymi stronnikami. A książę jakkolwiek czytał we wnętrzach ich duszy, pamiętny na święte prawa gościnności, przyjmował ich oświadczenia tak, jakby o ich szczerości był przekonany. Kobiety siedziały na ławkach, matrony poważne urzędem i z płci drugiej ważne osoby duchowne i świeckie, z niemi na wygodniejszych kanapach rozmowę prowadziły; a inni, usiłując i panów i damy zabawić, kolejno od jednych do drugich przenosili grzeczności swoje.

Kiedy książę wszedł do sali z braćmi Strawińskimi, chociaż to jego przyjście może dziesiąty raz się odnowiło, wszystko na chwilę powstało, by go powitać uniżonym ukłonem; on też wszystkim jaknajniżej się odklonił, a zbliżywszy się do księcia biskupa Wileńskiego, jeszcze raz mu podziękował za zaszczyt jemu zrobiony jego przybyciem, i dodał, przedstawiając mu swojego gościa:

— Mości książę, przedstawiam waszej pasterskiej mości pana starostę Wieluńskiego, zapewne dobrze mu znanego z Warszawy.

— Nietylko w Warszawie, ale i w Wersalu miałem przyjemność często widywać pana starostę, kiedy to jeszcze był pułkownikiem w wojsku francuzkiem; a nawet nieco głębiej możemy zapuścić naszą pamięć, bo znam pana starostę od niemowlęstwa, gdyż byłem blizkim krewnym i opiekunem jego matki.

— Wiadomy mi jest ten zaszczyt; nawet kolligacya z waszą księżęcą mością niemało mi dopomogła do otrzymania orderu św. Łazarza.

— A prawda — na to książę wojewoda — zapomniałem, że Massalska was rodzi. Ona *secundo voto* była za Mycielskim, kasztelanem Poznańskim,

blizkim krewnym mojej macochy. Pamiętam, że w całej Warszawie jego lauffer był najbogaciej ubrany i najprędzej biegał.

— Tak jest, mości ksiązę, ale jego majątek jeszcze prędzej biegał, bo syn jego, a nasz przyrodni brat, który służy zaszczytnie w wojsku francuzkiem po nim nie znalazł z czegoby sprawić sobie żałoby.

— To szczęście — odezwał się ksiązę wojewoda — że ma zamożnego krewnego w osobie jego pasterskiej mości, księcia biskupa Wileńskiego, który mu zginąć nie da. Ale pozwól, mości starosto, żebym waćpana poznał z moją siostrą Morawską, gospodynią mojego domu. — I zaprowadził go przed panią generałową, która blisko nich stała, opierając się na księżniczce Maryi, najmłodszej siostrze księcia, przezwaney Lilią Nieświeską, dla nadzwyczajnej białości i wysmukłości jej kibici. Księżniczka słynęła z piękności, ale taka była nieśmiała, że ją ksiązę inaczej nie nazywał tylko siostrą-flegmiczką. Ukłonił się starosta księżniczkom poruszeniem pełnem dworszczyzny, oświadczając radość swoją, że może poznać tak znakomite i piękne damy. Na to rubaszna generałowa:

— Panie starosto, tylko ostrożnie z temi komplementami, bo jak powiesz wyraźniej mojej siostrze Maryi, że piękna, gotowa się rozpląkać. Ja na takie rzeczy mam więcej odwagi, bo jużem się tego nasłuchiwała będąc panną. Jednak starosto, jeżeli zechcesz chwalić piękność moją, nakwasisz czasu niepotrzebnie, bo już mam takiego, co aż do naprzykrzenia unosi się nad mojami wdziękami; oto widzisz go, jak zakręcając węża z niespokojnością na nas spogląda. Ale obejrzyj się w około siebie, mój starosto, a obacz, ile tu znajdziesz piękności, które nietylko mówą, ale i wierszem pochwalić można, chociaż to prawda, że po paryzkich i warszawskich, może nasze wieśniaczki nienajlepiej się wydadzą jego oczom.

— *Princesse*, piękność Polek jest słynną w całej Europie: ile razy w Wersalu jaka dama nasza pokazała się dla uczczenia królowej rodaczki, rozpacz była pomiędzy Francuzkami. I aż nadto o tem przekonać się można, okiem w około siebie rzuciwszy. Ale gwiazdy gasną przy słońcu, obok którego się znajdują.

Generałowa parsknęła ze śmiechu.

— Piękna to poezya, panie starosto, ale wołę pana w krainę rzeczywistości zaprowadzić, pokazując mu osobę, którą ze wszelkiego względu winieś poznać. — I na głos się odezwała: — Zosiu, Zosiu, mam ci coś ciekawego do pokazania.

Na te słowa powstała młoda dziewczica z ławki, gdzie siedziała obok osoby już podeszłej w wieku, a która ją oddalającą się od siebie, z oczu nie spuszczała, i z postawą pełną uszanowania i skromności przybliżyła się do generałowej. Czystość jej rysów, żywość granatowych jej oczu, osłoniętych długimi a ciemnymi rzęsami, giętkość jej talii, wszystkie te wdzięki razem, wprzód nim usta otwierała, już zniewalały; a sposób, jakim była ustrojona, przekonywał o stopniu położenia towarzyskiego, na którym Opatrzność ją umieściła.

Jej włosy czarne, trefione w kilka gęstych i długich kędziorów, łączył grzebień z igrających szafirów, ledwo nie równających się w blasku jej oczom, z brylantami je otaczającymi. Na śnieżnej szyi miała kolie z brylantów i topazów; bransoletki takiego samego kształtu zdobiły jej ręce, prawie do połowy ramienia obnażone, a kolce z czystych brylantów uzupełniały bogactwo jej ubioru. Gors, nad wszystkie te skarby bogatszy, zasłonięty był koronką we trzy rzędy spadającą; ale wzrok błędzący nie takie w tej obsłonce znajdował przeszkody, by nie mógł przedzierzać się do celu zbyt słabo zakrytego. Suknia z gazy białej, w złote haftki haftowana, okazywała się nad inną spodnią odzieżą, z atlasu jasno-słomianego, tak odbijającego wdzięki nadobnych czarnobrewek. Ta suknia nieco kusa, bo do tańców przygotowana, pozwalała widzieć arystokratyczną nóżkę, w pończoszkę lyońską obwiniętą, a zamkniętą w trzewiczek atlasowy biały, złotemi blaszkami wyszyty. To wszystko tak było dobrane, tak sporządzone z tym smakiem wrodzonym, którego wszystkie narody zazdroszczą naszym Polkom, że nie ma na kuli ziemskiej miejsca, gdzieby zjawienie się podobnej niewiasty w takim stroju jakiegoś wrażenia nie zrobiło.

— Powiedzże teraz, mości starosto — rzecze p. ni generałowa Morawska, śmiejąc się — która tu z nas gwiazdą, a która słońcem?

Stanął jak wryty starosta na widok tyłu wdźwięków, którym karmin wstydu, po tych słowach generałowej, nowych powabów przydawał. Skłonił się pannie z uszanowaniem, jakiegoby przed królową francuzką większego nie okazał, a mowę obracając do generałowej:

— *Princesse*, domyślał się, że ta szlachetna pani musi być jedną z jej siostr, a więc wszystkie należąc do jednego z rodu luminarzów, bez żadnego współzawodnictwa z sobą możecie panować nad nami.

— Nie, mości starosto, mylisz się i jak widzę płonne to rzeczy, co ludzie mówią o zmyślności serca, bo gdyby ona była w istocie, powinien byłbyś zgadnąć kto jest ta panna tak hoża: jestto Zosia Kunicka, przyszła pańska bratowa.

— Zosia została purpurową, a generałowa odskoczyła od nich, śmiejąc się do rozpuku, i skacząc przybiegła do wojskiego, by mu opowiedzieć poznanie brata z jego narzeczoną.

Chwil kilka starosta pozostał w milczeniu: nakoniec wziął Zosię za rękę, a przycisnąwszy ją do ust:

— Pani — rzecze — ile szczęśliwym się czuję, że przecie poznaję przyszłą siostrę, przyszłą ozdobę domu mojego. Jakżem się nie domyślił po gwałtowniejszem biciu serca, że się zbliżam do tej, której już jestem od kilku miesięcy kochającym bratem. Znam panią z listów brata mojego, ale że rzeczywistość tu jest wyższą nad wszelkie opisanie, wyznaję, że panią wziąłem za jedną z siostr księcia wojewody.

— Co do mnie, ani chwili nie zostawałam w wątpliwości, że pan jesteś starszym synem niebożczyka pana strażnika, bo obraz przysłany jemu tak do pana podobny, jak jedna kropla do drugiej.

— Byłże więc obraz mój tak szczęśliwy, byś raczyła go chować w pamięci?

— Winnam panu staroście ponowić moje dzięki za dar, coś mi go pan raczył przysłać na pamiątkę, a który i teraz mam na sobie, jak pan widzi.

— Nie innego widzieć tu nie mogę oprócz pani samej; ale z jakąś bojaźnią przybliżam się do pani, chociaż serce moje do niej gwałtem mnie przyciąga, bo wszystko, coby gdzieindziej za mną przemówiło, tu będzie obrócone na moje potępienie.

— Nie rozumiem pana starosty.

— Łaska króla, niewinnie będącego przedmiotem nienawiści u jej blizkich, młodość moja w rzemiośle rycerskiem, ale za granicą strawiona, nawet ten strój, tak obcy tutejszym okolicom, wszystko przegradza mnie od przyjaźni pani.

— Cóż może mieć wspólnego różnica ubioru z przyjaźnią?

— Ach pani, czyż na wstępie do tego pałacu nie doświadczyłem, ile ten mój ubiór ściąga na mnie podejrzania? Sam książę, zapomniawszy na chwilę o względach należnych w domu swoim gościowi, przybywającemu do niego z hołdem grzeczności od wspólnego im króla, a uszanowanie od siebie, przywitał mnie cierpką przymówką. Pogardliwie dał mi poznać, jak lekceważy zasługi moje za granicą nabyte, a których świadectwo na sobie noszę; a jednak jakaś sława, zyskana od Polaka w ziemi obcej, własnej ojczyźnie nieczęści nie przynosi. Wszakże obojętnie zdołam uważać te wszystkie uprzedzenia, byłem sobie mógł pochlebiać, że dla pani nie jestem obcy.

— Nie dla nas biednych dziewcząt o tych rzeczach przystoi rozumować; ale to pewna, że syn najściślejszego przyjaciela mego ojca nie może być dla mnie obcym.

Starosta jakby zachwycony, drugi raz ujął białą i pulchną rączkę przysłej bratowej, gdy głośny śmiech pani Morawskiej zwrócił go za sobą; ujrzał wesolą generałową, opartą na ramieniu Michała.

— Wstydz się — rzekła do swojego przewodnika — mości wojski — żeś się dał mnie uprzedzić; wszakże do ciebie, a nie do mnie należało poznać brata z twoją narzeczoną. Ale coś zawczasu postępujesz po męzowsku; zagawroniłeś się z swoimi Albeńczykami, a do biednej Zosi dotąd i słówka nie obróciłeś. Tymczasem starosta swoją rolę przy niej wygrywa. Nikomu nie wierz, mój wojski, a najmniej tym Paryżanom; dopiero pod bokiem mojego wąsala sypał mi komplementa. Teraz tłómacz się sobie przed Zosią, żeś ją zariębał. Już obiadowa pora, wojski niech swoją Zosię prowadzi, waćpan, mości starosto, prowadź moją siostrę Marysię, która trzyma oczy spuszczone, jakby szpilek szukała na podłodze. A ja muszę poszukać Morykoniego; jest to Włoch z przodków, ale w kontuszu, przecie starosta grodowy Wilkomirski, ale wkrótce będzie, nie potrząsaj tak głową, Marysiu, moim bratem. — I spostrzegłszy go o kilka kroków za nimi, spoglądającego na księżniczkę Maryę, porwała go za rękę i kazała sobie prowadzić do sali obiadowej.

Był to czwarty i ostatni obiad z rzędu, gdyż od godziny pierwszej po południu, co dwie godziny stoły zastawiano; na Ś-go Karola bowiem w Nieświeżu zjazd był tak wielki, że nie byłoby sposobu wszystkich umieścić za jednym stołem. Książę biskup, a z nim duchowieństwo, szli naprzód, a po nich książę wojewoda podał rękę JW. Niesiołowskiej, wojewodzynie Nowogrodzkiej, siostrze księcia biskupa, którą tyle szanował wraz z dostojnym jej małżonkiem, ile pogardzał osobą i sposobem myślenia jej brata. Po nich koleją postępowaly pary, które jeszcze nie obiadały. Na niekończącym się stole z orzechu, który nie na jedno pokolenie Radziwiłłowskie patrzył, były pozostawiane srebra prawdziwie monarchiczne, bo jedno pokolenie przekazywało je drugiemu, a zawsze z naddatkiem. Sala, był to długi prostokąt, którego węższe ściany były obite kobiercem gobelin zwanym. Pradziad księcia dostał go w darze od Ludwika XIV, wraz z orderem Ś-go Duchy, kiedy się żenił z siostrą króla Jana. Jedna z tych makat wyrażała gody Kany Galilejskiej, druga nakarmienie pięcioma chlebami liczego narodu, zebranego dla przysłuchania się słowom naszego Zbawiciela. Książę kanclerz zawiesić je kazał w sali obiadowej, jako najstosowniejszej do przedmiotów, na tych kobiercach wyrażonych. I on i syn jego książę hetman długo przemyślivali, by dobrać podobnych kobierców i do ścian dłuższych, ale zmuszeni byli tego zaniechać, aż nakoniec ten ostatni kazał je domalować al fresco przez dwóch sławnych malarzy, umyślnie na to sprowadzonych z Rzymu. Na jednej ścianie były oddane łowy, na których pan Ilinicz, wojewoda Brzeski, rozdartym został od niedźwiedzia, a na drugiej wjazd królowej Radziwiłłówny do Krakowa. Oprócz doskonałości pędzla, to było w tem malowaniu najszacowniejsze, że wszystkie osoby na tych obrazach były zdjęte z przyjaciół i sług księcia hetmana. Każdy więc Litwin, siedzący za stołem, mógł rozpoznawać znajome, a często drogie oblicza.

Nie się nie pokazało na tym obiedzie, czegoby każdy zamożny szlachcic nie znalazł w potrzebie i u siebie. *Ad libitum* barszcz i rosół dymek wonny puszczały z mis farfurowych; a na ogromnych półmiskach i jeszcze ogromniejszych blatach, wszystkiego z srebra, pajuki roznosili wołowinę ze chrzaniem, flaki z imbierem, kaczki z kaparami, indyki z podlewą migdałową, kapłony z serdelami, cietrzewie z buraczkami i różne dziczyzny pieczone. A to wszystko przeplatane ze szczupakami złoconemi szafranem, karpiami miodem zarumienionemi, jazgarzami i sielawą zaprawionemi goździkami i kwiatem muszkatołowym. Były też rozmaite przysmaczki w Litwie tylko widziane, jako łapy niedźwiedzie z wiśniowym sokiem, ogony bobrowe z kawiolem, chrapy łosie z figatelami, jeże pieczone garnirujące naroki sarnie przysmażone z pistacyami, głowy odyńca w korzennem winie duszone. To wszystko zakrapiało się w żołądku winem z Królewca sprowadzonym, gdyż odwieczna piwnica Nieświeska tak została zrabowana, że na siłę znaleziono w niej parę tuzinów butelek starego węgrzyna, dla częstowania pierwszych matadorów tak duchownego ja i świeckiego stanu. Niknęły półmiski pod zębem litewskim,

a księżę, jako gospodarz, chodził około stołu od panów do szlachty, wszystkich przepraszając, że nie przyjmuje ich jeszcze wedle swoich życzeń i ich wartości. I nieraz na przyjacielskim talerzu brata szlachcica, nabierze jakiegoś jadła i śpiesznie go spożywa na jakimś stoliku, postawionym pod jakąś ścianą.

Starosta, wstrzemięźliwy w pokarmie, zjadł trochę rosołu, ze wstrętem odwrócił się od pływającego w szafranie szczupaka, z większym jeszcze od łap, podobnych do ludzkiej ręki, przekąsił jednak skrzydło od indyka i trochę głowizny dzika, jako potraw najwięcej zbliżonych do cywilizacji kuchennej. I na tem poprzestawszy, czekał z niecierpliwością końca obiadu, w ciągłej obawie, by mu pajuki, noszące półmiski, w niwecz nie obrócili galowej sukni. Tem niecierpliwiej wyglądał hasła do wstania od stołu, że mając po prawej ręce księżniczkę Maryę, której wdziękom umiałby oddać sprawiedliwość, pomimo niejednego natarcia, żadnym sposobem nie mógł żwawej z nią zawiązać rozmowy, chociaż znalazłby się u niej do tego dostateczny zasób. Ale jej nieśmiałość z osobą nieznaną przechodziła wszelkie wyobrażenie, a do tego zajęta była kawalerem gładkim, jej odpowiednim w posadzie, którą zajmował w towarzystwie, a nadto silnie popartym przez jej brata i opiekuna. Z sąsiadem po lewej stronie siedzącym nietrudno mu było wprowadzić wdać się w gawędę, choćby najrozwicklejszą; był to pan Wierzejski, pisarz grodzki Nowogrodzki, wielki prawnik i gaduła; i kilka razy próbował ze starostą o prawie wszcząć rozmowę, ale ta materya była zupełnie dla niego obcą. Dawał na zapytania pisarza jakieś odpowiedzi odczepne, zapewne niebardzo stosowne, przeklinając w duchu sąsiedztwo nudziarza, jemu o sobie jeszcze gorszą opinię zostawując. Zaczęły kolejno kielichy krążyć za zdrowie solenizanta i innych, co jeszcze więcej popsuło mu humoru, ile że się nie mógł wymówić od spełnienia solenizantowskiego wiwatu z kielicha, który już wielu ust się dotykał i to winem węgierskiem, żadnego podobieństwa nie mającem z tem, co je wytłaczają mieszkańcy brzegów Garonny i Saony. A kiedy inne zdrowia zaczęły się powtarzać, pomimo najusilniejszych nalegań pić nie chciał, tłumacząc się piersiową chorobą, która pod karą śmierci zabrania mu być uczestnikiem tej miłej zabawy. Znudzony, roztargniony, głuchy na wszystkie krotofile kielichowe, nawet na genialne kłamstwa gospodarza, kiedy niekiedy szukał okiem swojej przyszłej bratowej, która opodal siedziała między jego bratem, wedle swojego zwyczaju, mało do niej mówiącym, i jakimś innym Albeńczykiem, z podwójną kresą na czole, który do niej ciągle się obracał, jakieś jej mówił rzeczy, z których sam tylko się śmiał serdecznie, robił jej jakieś galeczki z chleba i pokazywał je na swoim talerzu. Na zapytania odpowiadała Zosia, ale jak uważał, to wszystko niewiele ją zajmowało. Nie wiedział, kto to jest ten Albeńczyk, ale domyślał się po jego poufałości z Zosią, że musi być jej krewnym. Siedział starosta jak na szpilkach i pewnie w kaplicy zamkowej, asystując królowi, nie z taką niecierpliwością czekał końca kazania, ile teraz czekał końca obiadu, chociaż siedział obok księżniczki młodej i pięknej.

XIV. Bal. — Dobrana para.

Przyszedł nareszcie długo pożądanym od starosty koniec obiadu. Kawalerowie odprowadzali swoje damy do sali bawialnej, gdzie pozostało mnóstwo osób, które na wcześniejszych obiadach poprzestały. Już z galeryi znikła była kapela księcia i na hasło zaczynającego się balu huknął taniec, który księżę otworzył z J.W. wojewodziną Nowogrodzką. Tańczyły i rozmawiały z sobą pary, a kielichy krążyły i krążyły. Na wielkich balach nie ciekawszego, dla badacza, jak uważać rozmaite grupy, tworzące się po obszernej sali. Przy ławce zajętej przez Zosię i łowczankę słyszeć się dał głos starosty:

— Dziękuję ci, *mon frère*, że tak piękną i ukształconą dajesz mi bratową.

— Żebyś to szczerze mówił, bracie — rzekł wojski — nie tak prędko myślałbyś nas rzucać, nie takbyś tęsknił za swoją Warszawą. Biorę pannę generałównę za sędzię, niech powie, czy mamy wierzyć w przywiązanie brata tak skwapliwego do opuszczenia nas?

— Pan starosta — odrzekła Zofia — przez dobroć serca może być na nas łaskawym, ale nie do tego stopnia, by długo z nami chciał się nudzić. Za złe mu brać nie powinniśmy, że przekłada Warszawę, gdzie towarzystwa więcej są ukształcone, odpowiadające jego wychowaniu.

— A co, bracie? Jak widzę, już przegrałeś sprawę.

— Ach pani, czy zasłużyłem na tak cierpką przymówkę, na tak nie-litościwe szyderstwo? Pomijam jej wdzięki, ale samem wychowaniem jużbyś zdołała pani zawiść wzniecić między najsłynniejszymi damami stolicy.

— Niech pan starosta poprzestanie tym sposobem mówić do mnie; chyba chcesz bym myślała, że choć na tak krótki czas wydalony z Warszawy, boisz się zapomnieć języka tam zwyczajnego, a z którym my na prowincyi nie jesteśmy oswojeni. Wszakże skwapliwość jego do powrotu najgruntowniej mnie o tem przekonywa.

— Ani jutro, ani za tydzień nawet nie opuszczam tych stron rodzinnych, które dopiero teraz nauczyłem się oceniać. Zatrzymam się, ile tylko będę mógł, jakkolwiek obowiązki dla króla, dobroczyńcy mojego, mało mi czasu zostawiają dla siebie, dla własnego szczęścia: Wszakże za dni kilka będę służył szanownemu ojcu pani w jego domu; jemu ponowię ustnie moją prośbę listowną, by raczył zacząć i skńczyć nasz interes działowy. Brzydziłem się dotąd prawnymi i ekonomicznymi zatrudnieniami, lecz teraz zaczynają one być dla mnie powabne, kiedy z ich powodu przez dni kilka będę do pani zbliżony.

— Dni kilka! żartuj sobie bracie; byleśmy ciebie uchwycili w dom generała, niełatwo wyślizniesz się z rąk naszych.

Tu przerwała im rozmowę masa dam, szukających kawalerów do mienianego tańca, a na ich czele generałowa Morawska, która porwawszy za rękę starostę:

— Proszę ze mną — zawołała — a waćpan, panie Michale, nuż z Zosią za nami.

Wojski, skłoniwszy się, wymówił sobie tem, iż jego żaloba się jeszcze nie skończyła; ale pan Wazgird, ten nakresowany Albeńczyk, który w czasie obiadu siedział obok Zosi, porwawszy ją za rękę:

— A widzisz, siostrzyczko, że zawsze gotów jestem na twoje usługi! Ale coś mi nieszczerze oddajesz rękę, coś mi się zamysłasz niepotrzebnie. No, no, poczekaj! zamawiam cię do pierwszego mazura, tam rozweselimy się hasaniem, a tymczasem proszę w taniec.

W jednym rogu sali była inna grupa. Tu siedział trzymając w rękę kielich pan Horain, sędzia grodzki Słonimski i coś rozprawiał szlachcie koło niego siedzącej. Między nimi siedział Miecznikowicz witebski, pan Bonifacy Sołłohub, chłopiec młody, wesóły, najswawolniejszy z pomiędzy wszystkich Albeńczyków, który ciągle dokuczał poważnemu sędziemu, przerywając mu mowę.

— Słyszysz, panie podkomorzycu Nowogrodzki — odezwał się do przechodzącego blisko nich pana Tadeusza Rejtana, zawsze zamysłonego — posłuchajno, jakie koszalki plecie nasz poważny sędzia; chce nam wyperswadować, że nie nawozem bydlęcym, ale wapnem sterkoryzuje swoje grunta.

— Chciej jednak wierzyć waćpan, że tak jest; bo jeżeli grunt lekki, a trafisz pod posuchę, nawóz bydlęcy całą oziminę wypali, a wapno do każdego gruntu przydatne.

— Co waćpan mówisz!

— Oto co waćpan słyszysz!

— Porzuć, panie sędzio; żeby rolę wapnem posypać, to po lada deszczu ogień się zrobi.

— Wedle waćpana głowy; pojedź-no pan Bonifacy do Wołczy, a obaczysz, że nie inaczej gospodaruję; a daj Boże do śmierci oziminę, jaką miałem tego roku.

— To pan podkomorzycu temu wierzy?

— Za cóż nie mam wierzyć, kiedy i urzędem i wiekiem poważny mąż to twierdzi.

— Czy słyszysz, panie Bonifacy? jak to zaraz poznać człowieka ze zdaniem. Naucz się waćpan od pana Tadeusza rozumu; co waćpanu ze mną się spierać?

— Kiedy tak, to może i prawda, co nam dopiero powiedział pan sędzia, że ma takiego charta, co pojedynczo wilka osadza; czy i temu podkomorzycu uwierzysz?

— Czemuż nie ma być prawda? wszak niedaleko ztąd do Radziwilmontów; u księcia wojewody Mińskiego podobnego charta zobaczysz.

— I to pan na własne oczy widziałeś?

— Nie inaczej.

— Co waćpan znasz? co waćpan wiesz? zapytaj się godnego ojca a mojego łaskawcy, pana miecznika Witebskiego, gdzie byleś jeszcze, kiedy już ja gospodarowałem i polowałem?

— Nie gderaj, sędzio szanowny; zabierają się do krakowiaka, trzeba pójść na służbę, byle mi tylko młodszej podkomorzanki Reitanówny kto nie zamówił. — I odszedł, skacząc, a sędzia: — Ruszaj sobie do pańienek, świstaku; z panem Tadeuszem to ale rozmowa, ale u pana Bonifacego sama plewa w głowie.

Trzecia grupa, złożona z pana Ambrożego Korsaka, porucznika kawalerji narodowej pana Walentego Wojzbona, sędzica Mściślawskiego pana Symeona Korbuta, mestowniczego Lidzkiego i innych. Po skończeniu tańca polskiego, pan Jan Wazgird zbliżył się do nich szukać próżnego miejsca. — Oto masz — rzecze pan Wojzbon — siadaj koło mnie, mości kawalerze Ś-go Jędrzeja.

— Cóż to ma znaczyć, panie Walenty?

— A przypatrz-no się temu krzyżowi, co go nasz ksiązę nosi zawieszonym na szyi; jest-to krzyż Ś-go Jędrzeja, obacz czy ten krzyż nie jest takiego kształtu, jak ten co go na czole nosisz.

— Tędy wasz o zajeżdża? a wiesz, że moja dubeltowa kresa tak jest osobliwsza, że za nią dozgonną wdzięczność zachowuję nieboszczykowi Wołodkowiczowi: ile razy obaczę siebie w zwierciadle, tyle razy mówię na jego intencję jedno Zdrowaś Marya. Obznaczył ci on mnie w dwa tempa, ale szlachciec bez kresy, jak tanecznica bez fartucha.

— Co do mnie — rzecze pan namiestnik Reutt — chwała Panu Bogu, na głowie nie mam kresy, bo tyje ich rozdałem, że dla mnie żadnej nie zostało.

— Dobrze, dobrze, mości namiestniku; jednak u mnie to nie jeździec, co nigdy nie spadł z konia. Ale uważacie, że coś kompania nie tak animowana jakem się spodziewał?

— Poczekaj — powie pan Korbut — tylko co się zaczęły tańce.

— Nie, nie, ja wiem co mówię. Siedziałem koło generałówny, mojej ciotecznej siostry u obiadu; coś mi stetryczała i chociaż koncept po koncepte snuły się z ust moich, półgębkiem tylko się śmiała. Dopiero z nią skończyłem taniec; prowadząc ją, takie zabawne rzeczy jej mówiłem, że gdyby to dawniej, gwałtuby krzyczała od śmiechu, a ona, jakbym o czym pogrzebie rozprawiał. Żeby mężczyzna tak się okazał obojętnym na mój dowcip, zaczepkibym z nim szukał.

— *Deus me custodiat* — odezwał się pan Korsak — niebezpieczny z waćpana człowiek, panie Janie; ile razy do mnie mówić będziesz, proszę mię z góry uprzedzić, że to co powiesz będzie konceptem, ażebym się zawczasu usposobił do śmiechu, a tem ocalił moją skórę od waćpana szabli.

— A co? złapałeś za swoje, panie Janie — wykrzyknął pan Wojzbon, trzymając się za boki od śmiechu.

— Niema co mówić, złapałem; zato za zdrowie twoje wypiję ten kielich, panie poruczniku; w ręce twoje, panie Walenty!

— Z miłą ochotą przyjmuję kielich; ktoby takiego zdrowia nie wypił. Ale wiesz co, panie Janie powiem ci otwarcie, że ile jestem przyjacielem pana wojskiego, tyle jego brata nie cierpię; ani pije, ani się z nami zapoznaje; coś to ni w pięć, ni w dziewięć. Choćbym miał potem od kogo drugiego dostać w łeb półtuzina takich podwójnych kres, jakie nosisz na czole, rad bym z moją szablą pójść na tego błyszczącego szpikulca, co go u boku nosi.

— Co waćpanu się dzieje, panie Walenty! Słyszałem, że nasza szabla jest niczem w porównaniu tego szpikulca. Jak weźmiesz po łbie szablą, pierwszy cyrulik chlebem z solą temu zaradzi, ale jak taki rożen w kiszki wlezie, to i doktor księcia biskupa nie pomoże.

— A co to ja? malowany? nim pomyśli o moim brzuchu, uręczam, że mu wymuskana główkę rozplątam.

— I niewielka byłaby szkoda — odezwał się pan pisarz Wierzejski, który dotąd nie mieszał się do dyskursu. Ach jakiś to półgłówek! siedziałem obok niego za stołem; myślę sobie, przecie starosta sądowy, jest z kim o prawie pomówić; jak pocziwy człowiek zabieram z nim znajomość, zapytuję go z dyskursu o *modum executionis* wyroków grodzkich w Wielkiej Polsce, w sprawach *expulsionis*. Cóż powiecie? odpowiedział mi ni to ni owo. Pokazało się, że gadaj mu o prawie czy procedurze, jak w rogu. Ażem się wziął za głowę. Otóż to mi starosta sądowy! Ciekawy byłbym poznać substytutów, jakich on instrumentuje, bo jakim dyablem on się pozna na ich wiadomościach prawnych? Panie! *averte a nobis* takich starostów!

— Z tem wszystkiem, panie Walenty — rzekł Wazgird — żeby czasem doprawdy nie przyszła waćpanu fantazyja szukać zaczepki starości; pamiętaj, że on tu przybył w poselstwie od króla do naszego księcia, a nadewszystko jest bratem naszego pocziwego Michała, którego waćpan pewnie nie chciałbyś obrazić.

— A niech mię Pan Bóg od tego broni.

Tam była inna grupa.

— Panie podczaszy — zapytał pan Bazyli Czeczot — czy uważasz, z jaką uprzejmością nasz książę przyjmuje księcia biskupa, jakby on rzeczywiście był wart tego?

— Wielkie święto — odpowie pan podczaszy Płaskowicki — jakże ma źle przyjmując biskupa i to w swoim własnym domu. A jakieżże waćpan wiary?

— Jaki to biskup, co mu dobra rabował, a przyjaciół rozstrzeliwał!

— To swoją drogą, a to swoją. Odpowie on kiedyś przed Bogiem za wszystko co narobił, ale że nasz książę mu rad, to dowodzi jego prawowierności. A czy samby nie był niedowiarkiem, gdyby w czasie pokoju powszechnego w narodzie, biskupa senatora nie ugaszczal według jego godności?

— A w czasie wojny?

— Inna wtedy rzecz! Gdyby kto obwinił chociażby biskupa o *crimen perduelionis*, na takiego sąd, zdjęcie sakry, choćby i szubienica; ale zdaje mi

się, że w takim przypadku bez duchownych sędziów obejść się nie można. Ale o to spierać się nie będę.

— Jeżeli osoby duchowne są pod ręką, zgoda — ozwie się pan Karol Ryś, strażnik Miński — ale jeżeli ich niema, wyraźnie stoi w prawie kanonicznem: „*Suspectus episcopus, alicujus rei status potest suspensus esse in tempore belli potestate iudicis extraordinariae cognitionis, etiamsi esset laicus*“. To też kiedyś się zapędził za księciem biskupem zaraz po rozstrzelaniu Wołodkowicza, byłbym go *constientialiter et legaliter* zasuspendował na pierwszej gałęzi, gdyby mię nie był postrzelił karabiner z jego eskorty. Pamiętasz panie Bazylu? bo byłeś ze mną, wszakże i tobie się wtedy dostało.

— A jakże nie pamiętam? kolasa biskupa drapnęła, kiedy mię kozacy kłóli jak wieprza.

— A gdzie to waszeć takie prawo wyczytał, mości strażniku Miński — przemówił się ksiądz Katenbrynk, rektor kollegium Nieświeskiego — że wolno świeckim duchownego sądzić?

— Gdziem wyczytał, gdziem wyczytał... już ja zanadto dawno skończyłem szkoły, bym się stawił na egzamin; dość żem wyczytał i kwita. A wreszcie księżę wojewoda nie dałby mnie ordynansu porwać biskupa żywcem lub umarłego, gdyby to było *contra fidem*.

— To nie żadna racya; przykład księcia tu służyć nie może; konfederacya *non est applicatio, sed convulsio legum*.

— A przytem — dodał pan podczaszy — instygowanie księcia biskupa, które o śmierć nagłą przyprawiło pana Wołodkowicza, było *delictum flagrans*; to wcale co innego.

W ostatnim węgle sali przy podwojach prowadzących do sali jadalnej, była piąta grupa, ze wszystkich najhuczniejsza śmiechem, bo w niej pan Leon Borowski dokazywał. Gdy się te śmiechy na chwilę przerwały. Powiedz-no nam, mości dobrodzieju, czy rad jesteś ze swoich gości — rzecze do pana Szabańskiego pan Górski, ciwun ejragski.

— Czemu nie mam być rad ale, pana wojskiego ale od konwiktu znam ale, kiedy to jeszcze laskę nosił ale przed księciem panem, jako przed prefektem kongregacyi *Sodalis Marianus* ale. I zawsze się szczycę ale jego przyjaźnią.

— Nie o nim mowa, ale ten starszy, co to hasa polskiego, chociaż mu po ojcu żałoba się nie skończyła, a tak świeci klejnotami jak królowna na wydaniu albo krzak leszczyny w nocy Świętojańskiej, a fertyczny, a kusy, a nosa do góry zadzierający; powiedz waćpan co to za człowiek.

— Co, mości ciwunie dobrodzieju, na wołowej ale skórze nie napisac com ale widział i słyszał ale od niego. Naprzód kiedy do mnie zajechali ale to gdyby mnie ale nie był uprzedził pan Michał ale listem, to Bóg świadek nie byłbym zgadł ale, czy on ale pan, czy pani; czy ale ksiądz, czy świecki. Bo to twarzyćka ale nie szpetna wcale, a na głowie ale czepek.

— Czy to być może dobrodzieju?

— A tak, tak ale, jestem *sodalis*, a do tego ale płaszcz jakby Trynitar-ska kapa, bo i z krzyżem ale, tylko że białym. A płaszcz ale aksamitny. A moiści ciwunie ale dobrodzieju, herbatę piję szklankami, a tak ale tęga, że jak piwo wygląda. A to nie jeszcze, ale asystowałem mu ale do ubioru, a tak ale byłem ciekawy, że z miejsca ruszyć nie mogłem ale. Sześćdziesiąty szósty rok kończę, ale nigdy ale nie widziałem tego, na co ale dzisiaj patrzałem.

— Co takiego, moiści dobrodzieju.

— Cula, dziwy ale, cały dzień tego nie wygadam, co się przez dwie, trzy godziny robiło i wypowiedzieć tego ale czy potrafię.

— Mów, co też przecie tam było ciekawego?

— Jakże nie ciekawego ale? Pięciu dragalów potrzebuje do swego ubrania, a każdy innym językiem mówi ale, to znowu się zrywa, to znowu siada, a szlafroków ale kilka, a palcami kraje kopertę do listu jak nożyczkami, a tak z niego czuć zapachy ale, jak z apteki ale.

— To mniejsza, ale czy waćpan dobrodziej słyszałś go mówiącego?

— Jakże nie słyszałem? mówił do mnie ale i słyszałem ale, jak długo r zprawiał bratu ale i skrobał wtedy czoło bardzo pięknym nożykiem. Jeszcze zauważał ale, że ma te same przysłowia co i nasza księżniczka Marya, kiedy mówi z księciem panem ale; *mofre*, coś nakształt tego, ale i inne ma przysłowia niezrozumiane ale; jednak tamte rzadziej, a najczęściej ale *mofre*.

— Jakież u niego zdanie, czy człowiek do rzeczy?

— To jest las, moiści ciwunie dobrodzieju; jakiej chcesz tam zwierzyny, dostaniesz; to gada roztrcpnie, że miło ale słuchać, chociaż tłumaczy się nieco złamaną mową, coś ale zarywa na kapelmajstra księcia pana. To potem plecie nie do rzeczy ale. Oto ale tłumaczył przed nami, z kąd data jego crderów: że jeden z nich dostał dlatego, że dobry ale katolik, a drugi, że dobry szlachcic ale.

— A więcej co?

— A mówił nam, że jego kusa suknia z samych ofiar, a król, a księżę kanclerz, a jakaś komedyantka na niego się złożyli ale; no, więc nie miał ale jej za co sam sprawić sobie ale. A tam znowu jakieś starostwo czy tam królewszczyznę we Francyi, ale odstąpił bratu potrzebnemu, to mnie zbudowało ale, że potrzebnym ale się udziela i grubo.

— No, to wszystko bardzo przyzwocie...

— Tak jest, ale *obstupui*, jak zaczął bratu dowodzić, że ich matka, kasztelanica, ale Poznańska, źle zrobiła, że nie chciała zostać faworytą u pana Brühla, że temby mogła ale dać promocyę mężowi i dzieciom. Uważajcie, państwo! ja nie chciałem uszom własnym wierzyć; a gdzież tu honor ale?

— O ja temu łatwo wierzę — powie pan ciwun, westchnąwszy — co tam jakieś staroświeckie skrupuły przeważyć mają gustowny i bogaty ubiór. Teraz zaczynają się mnożyć panicze, którzy o wierze, o enocie nigdy nie wspominają, ale co chwila mają w uściech honor, przyrzekają na honor, zaklinają się na honor. I mają słuszność, bo cnota jest z hartowanej stali, uginąć

się nie daje, a honor jest z zamszowej skóry, wedle woli każdego się rozciąga.

— Już to prawda — rzecze wmieszawszy się do dyskursu pan Dominik Łappa, sędzia ziemski Telszewski — że honor, to istne utrapienie. Długów nie płąć, w karty oszukuj, konie przedawaj wypiekły im zęby, szczekaj na ludzi, w których sieniach nie godzien jesteś się mieścić; byłeś się w potrzebie wybił, śmiało możesz nazywać siebie człowiekiem honoru.

— Żebyż to przynajmniej biło się porządnie — na to pan Leon Borowski — ale czy to raz się zdarza, że ślepemi ładunkami i nieszkodliwym machaniem szabel, sprawy, jak oni nazywają, honorowe się kończą? Ale powiedz-no nam, panie Teodorze, jak omal nie miałeś sprawy honorowej z twoim gościem, jakieś na niego napadł.

— Ja? w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego ale, a to zkad data?

— Bo slysze, jakieś zobaczył jego wór z pudrem, myślałeś, że mąkę wozi na pierogi, i wymówiłeś mu niedelikatność, że jako sługa księcia wojewody nie ścierpisz tej krzywdy jego domowi wyrządzanej, iżby goście swoje wiktuały wozili.

Tu wszyscy zaczęli się śmiać, że ledwo kapeli nie zagłuszyli.

— Rada gęba, kiedy pan śpi, a jaki uradowany ale pan Leon, że nową anegdotkę na swoim ale warsztacie wykuł dla księcia pana, bo ja wiem ale, że tu na nią koniec; pójdzie ona dalej ale; tylko kiedy zmyślasz, to ale zmyślaj gładko. Bo jego puder biały jak waćpana wilczate konie, tak podobny do mąki, jak waćpan do poważnego człowieka ale.

Tu nie można było posłyszeć odgryzienia się pana Leona, bo jakiś szmer powstał w sali.

Pani generałowa Morawska z innemi damami i księciem wojewodą, zaczęły prosić pana starostę Ludwika Strawińskiego, by raczył tańcować menueta, jaki był w używaniu na dworze króla francuzkiego. A że pani generałowa wiedziała, że Zosia w Wilnie uczyła się tego tańca, przyprowadziła ją do pana starosty, jako parę do menueta. Pan starosta ze zwyczajną uległością dla dam kawalera wielkiego świata, skłonił się na znak posłuszeństwa, ale że kapela księcia o tym tańcu nie miała wyobrażenia, on, uchwyciwszy pierwsze skrzypce, zaczął ją uczyć tej muzyki jakby z niechcenia, ale po zacięciu smyczka zaraz można było poznać mistrza. Po dwóch, czy trzech powtórzeniach, pojętna kapela była w stanie rozpocząć zawód i taniec się zaczęła. Uroda i bogaty ubiór tej pary, zgrabność, którą oboje rozwijali w poruszeniach pełnych godności, to wszystko tak zajęło, tak zachwyciło Litwinów, że wszyscy stali jak posągi, czekając końca tej pantominy, prawdziwie czarodziejskiej. Ale kiedy przyszło do gawota i Zosia ożywiona powszechnem uwielbieniem, drobną stopką ziemi tykając, a cała ku niebiosom wzniesiona, wyciągając czasem zaokrąglone ramiona do swojego tancerza, kreśliła rygodony lub polotne antrusza, a obok niej uczeń ulubiony Gardela, ze sprężystością baletnika niekiedy tylko ziemi końcem trzewika dotykał, oboje zda-

wali się być z liczby tych istot, któremi wyobraźnia zaludniła nieprzebyte krainy powietrznego widokresu. Wszystko na takowe zjawisko się poruszyło, najwięksi nieprzyjaciele zagraniczyzny, jakimś pociągiem mimowolnym odstępując na chwilę od swego przekonania, nie mogli nie dołączyć swoich pochwał powszechnych. Odgłos jednomyślnych klaskañ liczonej publiczności odpowiedział skromnemu i unizõnemu, ale pełnemu wdzięku ukłõnowi, którym zakończyła menuet tak dobrana para. Nigdy w zgromadzeniu z Polaków zebranem podobna jednomyślność nie dała się widzieć, a szlachta, która dopiero ponurym i podejrzliwym wzrokiem spoglądała na starostę, jakby uderzona czarodziejską laską, nietylko że hurmem tłoczyła się do niego z oznakami uprzejmości i przyjaźni, ale hucznie dopominała się, aby zdrowie wypić tak gładkiej pary. Uzupełniony tryumf starosty zakończył krzyżujące się wraże nie tego balu.

XV. List starosty Wieluńskiego do hrabi Mycielskiego.

Szczęśliwy człowieku! Parki ci przędą nić z jedwabiu i złota, bądź u nóg twojej nadobnej kreolki, bądź wśród zabaw z niczem nieprównanego Wersalu, kiedy ja muszę się błąkać jakby jaki wywołaniec po borach litewskich. Cobys powiedział, gdybys się ze mną znajdował, ty co w Poznaniu nie mogłeś miesiąca wytrzymać, a trzeba wiedzieć, że Wielkopolska jest to Francya w porównaniu do Litwy. Tak to, kochany Bertrandzie, najszacowniejsze lata mojego żywota oddaję nudom, jedynie ażeby w późnej mojej starości urzeczywistnić te wzniosłe marzenia, które po upłynieniu burzliwej młodości robią z nas istnych niewolników. Azaliż doczekam się tej starości?

Jakkolwiek bądź, chociaż w ojczyźnie mojej na wstępie spotkały mnie zaszczyty i dostatki, chociaż osypany jestem łaskami mojego krõła, przyznam ci się, że jestem znudzony życiem. Z Francją opuściłem szczęście, ciągle marzę o tej krainie, której z takim poświęceniem oddałem moją młodość, a która napawała tę młodość nektarem sławy, rozkoszy i nadziei.

Niema dnia, żebym sobie nie przypominał pierwszego mojego zjawienia w Wersalu, kiedy zwycięzkie zdobycze składałem pod nogi wielkiego krõła, jak na jego balu tańczyłem z władczynią Francji pośród zdziwionego dworu, jak ze wszystkich stron okrzyki *le beau Comte Polonais*¹⁾ odbijały się o moje uszy. Był to wstęp do wyższych powodzeń: najpowabniejsze damy okazałego dworu dobijały się o moje zaloty; książęta krwi panującej wpraszali się, że tak powiem, do mojej przyjaźni. Bo ty wiesz, że *un homme à la mode*²⁾ jest o we Francji istota potężna. Ale czy to długo trwało? Ledwo rozeszła się u dworu wiadomość o zmianie uczuć dumnej niestalej Sułtanki, wszystko w jednej chwili dla mnie się odmieniło, i gdyby nie stosunki, które jakby jakim przeczuciem umiałem zawiązać z niektórymi rodakami, musiałbym, na

¹⁾ Piękny hrabia polski.

²⁾ Człowiek będący w modzie,

szczupłej pensyi poprzestając, osiąść w głębi jakiej prowincyi, by dyszeć między zawiedłymi kawalerami Ś tego Ludwika, albo co najszcześliwszego, dowodzić pułkiem pod rozkazami jakiego szefa dworaka, któryby mnie peryodycznie upokarzał opowiadaniem powodzeń swoich w Wersalu, a do tego znosić wszystkie chimery inspektorów przeglądowych. I dziś nawet, chociaż stoję na niepłaskiej posadzie, bo będąc szefem gabinetu królewskiego jestem tem, czem są u was sekretarze stanu a mam obietnicę kasztelanii, co wedle etykiety wersalskiej postawi mię na równi z panami Francyi; czy choć jeden z moich dworskich przyjaciół pamięta o mnie? czy choćby listeczkim zapytał, jak też mnie się powodzi? Żeby nie ty, brat, a tem samem przyjaciel przyrodzony i nie kilku literatów, co duchem prozelityzmu zagrzani radzi mieć korespondencyę z całym światem, nie wiedziałbym co się we Francyi dzieje, chyba przez gazety i stosunki dyplomatyczne, które tu przez moje ręce przechodzą.

Nie bez przyczyny piszę tak do ciebie; oznajmujesz mi, że hrabina de Vermont, nie poprzestając na twojej miłości, radaby ciebie na zawsze uwięzić powagą sakramentalną, i ty to w żart obracasz. Dziecię ukołysane szczęściem przyszłości nie przewidujesz. Moja braterska rada: bij żelazo póki gorące, bo jak zastygnie, będziesz tego całe życie żałować. Dwa kroć sto tysięcy liwrów intraty nie jest to rzecz do odrzucenia hrabiemu bez hrabstwa, jakim jesteś, tem więcej, że taki związek da tobie pozycyę socyalną, na której ci zbywa. Niema podobnej nędzy, jak potomka wysokiego rodu, cierpiącego niedostatek; nadto hrabia cudzoziemiec, nie skojarzony przynajmniej żoną swoją z narodem, któremu służy, ma zawsze postać awanturnika. Z królem bywasz na łowach; wiedzą o tem, że masz krwi stosunki z nieboszczką królową; z tem wszystkiem, jak zejdziesz z pola, jak piękne oczęta przestaną obracać się ku tobie, a masz wiedzieć, że bohaterowie kulis prędko się zużywają, bez krewnych, bez związków familijnych, bez majątku, wkrótce zostaniesz zapomnianym, i na starość na bardzo suchym chlebie będziesz musiał poprzestać. Ale jak będziesz miał żonę bogatą, do tego spokrewnioną, to choćby ciebie oddalono od dworu, dadzą ci jakiś urząd, coś takiego, żeby ile możności ciebie pocieszyć.

Wreszcie, gdybyś w takim razie przyjechał z żoną do Warszawy, nie uwierzysz, jaki miałbyś dla niej powab, raz, że kiedy się odezwiesz po polsku, to taką wymową, że nikt ciebie nie zrozumie, powtóre, że jesteś zupełnie sfrancuziały w każdym poruszeniu. A cóż dopiero, jak się dowiedzą, że masz dobra pod ekwatorem, przez murzynów uprawiane. Nie będą wiedzieli, na jakim miejscu cię posadzić, bo tu tylko zagranicznymi i pieniądze mają jakąś wartość. Co się tyczy dowcipu twojego, ten jest tak wielki, tak różnobarwny, że można ci go pozazdrościć. Czytuję twoje listy królowi, i on się nie może ich odchwalić; radby ciebie poznał, radby ciebie miał przy boku swoim. Z tem wszystkiem bezpieczniej tu przybyć z gotowym funduszem, niżeli królowi z ręki patrzeć. I dla niego już się skończył miodowy księżyc jego panowania. Żeń się ze swoją kreolką, a potem przyjeźdź do naszej Warszawy; zaręczam,

że kilka miesięcy w niej przyjemnie przepędzicie. Ale prowincyi nie życzę tobie poznawać.

Zapytujesz mnie, Bertrandzie, jakie też u nas kobiety? Odpowiem ci na to, że co się tyczy Warszawy, kobiety, zwłaszcza wyższego tonu, są rodzone siostry dam wersalskich. Tymże samym mówią językiem, temiż samemi zasadami się rządzą; równe wdzięki, równe obyczaje, a zapas zalotności i próżności jednych i drugich, i co do ducha i co do formy, jest ten sam. Wyższe towarzystwa wszystkich stolic europejskich, są to monety pod jednym stemplem wybite, a ten stempel przechowuje się w Paryżu, jak wzory wag i miar ludu Bożego były zawieszane w świątyni Jerozolimskiej. Odcienie narodowości zachowują się jedynie na prowincyach. Naród francuzki jest najpierwszym w świecie narodem, tego nikt sumiennie nie zaprzeczy; a zkadże ta jego wyższość? oto ztąd, że on jeden posiada stolicę żyjącą z własnego funduszu umysłowego; inne wszystkie karmią się pożyczonym od niej chlebem. W Warszawie szczególnie, im kto gorliwiej usiłuje uchodzić za patryotę, tem więcej małpuje Francuza. W zamku same sfrancuziałe Polaki, lub usiłujące uchodzić za sfrancuziałych; a choć się tam zdarza spotkać figury typiczne pólazyatyckiego narodu, zaraz poznać można, że to są goście we własnym domu. Zaręczam tobie, że gdyby Wolter lub Lekain¹⁾ stanęli na pokojach mojego króla, więcejby się czuli być u siebie, niż naprzykład Radziwiłł, wojewoda Wileński, lub Potocki, wojewoda Kijowski. Pierwszy awanturnik Francuz, wnąciwszy się do naszego dworu, jeżeli z miną protekeyonalną powie magnatowi dworu: „*Messieurs, vous êtes les Français du nord*“²⁾, to ten nie posiadzie się z radości. Na prowincyi jeszcze tego języka nie rozumieją; tam zachowuje się dotąd polskość w czystym swoim sarmatyzmie; ztąd magnaci kontuszowi, przedstawiciele pierwiastku rodzimego, oddali się domatorstwu. Nienawidząc stolicy, dla której się stali obcymi, rzadko kiedy się w niej pokazują, i to z musu; a zresztą żyją zasklepieni we wsi, jak ślimak w swojej skorupie, z tą tylko różnicą, że nie w samotności, ale z licznym orszakiem swoich dworzan i klientów, między których rozsypują swoje dostatki. Oni są mocni, bo strona im przeciwna liczebnie składa się z ledwo dojrzonej mniejszości narodu. Jednak oni są ku schyłkowi, bo pomimo ich liczby, bogactw, a nawet prawości, bardzo mało mają sił politycznych, i tych nigdy nie zdobędą. Raz, że wiatr stolicy, ciągle wiejący na prowincyę, wcześniej czy później musi ją przekształcić; powtóre, że to nie są ludzie rządowi. Umieją robić opozycyę, ale na tem się kończy ich zdolność; chociaż z kolei rząd się im czasem dostaje, czego i teraz mamy przykład, jednak jego nie zatrzymują. Gdybyśmy nawet w bezczynności zostawali, samiby się odrzekli od tego ciężaru dlatego, że rządząc już nie można być w opozycyi przeciw rządowi, oraz, że siedząc w Warszawie i pełniąc urzędy rzeczywiste, nie zaś tytularne,

¹⁾ Lekain, najslawniejszy aktor francuzki ośmnastego wieku, umarł w Paryżu r. 1778. W tymże samym roku skończyli życie Buffon, Wolter i Rousseau.

²⁾ Panowie jesteście Francuzi północni.

i to ciągle, trzebaby rozbrat uczynić z tem nałogowem lenistwem, z tem rozkasznem próżniactwem, które ich wkorzenia do życia wiejskiego. Zjawisko niesłychane, a które w jednej Polsce się okazuje, że rząd jaki jest i jaki będzie, nie może pochlebiać sobie, by mu sprzyjały pociągi narodowe: bo żywioł Polaków jest wieczna opozycya przeciw wszystkim, co stać będą przy sterze rządu. Gdzieindziej opozycya bywa środkiem do dopięcia czegoś, tu jest ona celem; opierają się rządowi byle się opierać; napróżno w tej opozycyi chciałbyś wynaleść jakieś widoki polityczne. Pomimo tego, przekonany jestem, że nie łatwiejszego, jak owładnąć podobnym narodem, bo opinia publiczna nic rzeczywistego w nim nie wyraża, a rząd bezkarnie może z niej żartować. Polska jest rajem dla intrygantów pracowitych. Jednem słowem, największa opieszałość w działaniu, przy nieograniczonej energii w mowach, czyli skrzętność czynów przy napływie słów, oto jest obraz Polski.

Od dwóch dni bawiąc w Nieświeżu i w domu brata naszego obcując ze szlachtą prowincjonalną, nie uszła ona mych uwag. Trudno ją opisać, bo ona wyraża pasmo samych sprzeczności. Naprzykład, ona posiada przywileje niesłychane, i pod tym względem żadnego innego narodu magnat nie może się równać do najuboższego tutejszego szlachcica; tymczasem, cóż powiesz? szlachta czuje się być gminem w porównaniu do swoich magnatów, i tak jak jest pokorną obok swojej zuchwałości, że słowo *szlachcic*, wyrażający wszędzie jakąś wyższość, tu owszem jest wyrazem poniżenia. Codziennie usłyszysz szlachcica na prowincyi mówiącego: „Gdzie też szlachcicowi mieć takie rzeczy! u mnie zwyczajnie jak u szlachcica ubogo;“ albo strofującego małego synka, który się gościowi nie chciał ukłonić: „A zkąd ta krnąbrność? czy waść nie szlachcic, żebyś się nie umiał kłaniać? masz wiedzieć, że u nas szlachcic, żeby się czegoś dorobił, powinien czapkę mieć częściej w rękę, niż na głowie, a kark zawsze zgięty i nie wypreżony.“

Dobór narodu, to co my nazywamy we Francyi: „*le baronage*,“ wyłącznie się ściska w magnatach, a ci, lubo bytu swojego nie opierają na żadnem prawie, są istotnymi przedstawicielami narodu. Oni wspaniałością obcowania nie różnią się od parów Francyi, lub grandów Hiszpanii, a nawet więcej jeszcze wyrażają żywioł arystokratyczny, bo dotąd im nie oberżnięto tej potęgi feudalnej, którą rozciągają w szerokich dobrach swoich. Zapyta kto, dlaczego szlachta posiadająca udzielnność dopuszcza tak niesłychanej prepotencji magnatom, których byt nie jest znany konstytucyi krajowej? Wszakże wedle tej konstytucyi krajowej: „szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie.“ Zkądże ta uległość? Odpowiedź na to łatwa. W Polsce jest ze trzydzieści domów, co ich pańskimi zowią, a całkowitą szlachtę można na dwie części podzielić: jedna im służy, a druga, choć nie służy, darmo ich chleb je. Póki więc magnaci będą mieli co dawać szlachcie i czem ją karmić, póty równość narodowa drzemać będzie w *Volumina Legum*. Nie szlachta, ale magnaci potwarzają to przysłowie: szlachcic na zagrodzie etc... I Radziwiłł Panie Kochaku, jak się upije, wydobywa rzemienny oskórz z pod pasa, mówiąc, że tylko

na wierzchu jest panem, a wewnątrz szlachcicem. Ani w głowie szlachcie równać siebie do magnatów. Dopiero, jak ich objadłszy i obdarłszy odejmie im sposobność nadal karmienia i obdarzania, wtedy przypomni tobie, że jest im równą. Ta biedna Polska stanęła przed mojemi oczyma w całej swojej nagości; jest w niej coś przerażającego, jest to jakiś stan rzeczy trawiący dawne, a świetne pamiątki, ale gdzie upatrzeć nie można żadnej siły działawczej; jest to anachronizm polityczny, a jego rozwiązania nikt przewidzieć nie może, Reforma jest niezbędna, i my wszyscy, co nie jesteśmy uwikłani w przesady, do niej dążymy; ale że nie ma siły w narodzie, mogącej ją do skutku doprowadzić, więc do obcych udawać się musim. Powie kto, że to jest rzecz ohydna; ale cóż na to poradzić kiedy i *status quo* utrzymać się nie może bez zezwolenia obcych mocarstw? Gdyby przed kilku laty nasz król, zamiast zbytniego dowierzania intrygom, które sam prowadził, użył tej siły, którą jemu sąsiednie rządy były powierzyły, reforma byłaby już dokonana; ale on z burzliwymi panami i z szlachtą zaślepioną, w swem przywiązaniu do nich, jak kawaler romansowy postępował; reformę radykalną chciał zaprawić wodą różaną, z kąd nasze położenie wielce się pogorszyło. Partya, której służyć, nie przestaje dążyć do zupełnej reformy, ale, prawdę powiedziawszy, jej wodzowie niewielką wiarę pokładają w przyszłość. Żyjemy od dnia do dnia, w ciągłych intrygach, obawiając się tej przyszłości, którą samą przywołujemy jedynie dlatego, że terazniejszości znieść nie możemy.

W istocie stan terazniejszy żadnym sposobem dotrwać nie może. Na czymże się on albowiem opiera? Oto na potędze magnatów, która innego źródła nie ma, oprócz marnotrawstwa; tem marnotrawstwem ich dostatki spełznąć muszą i o połowę już rzecz dokonana. Ta kolosalna fortuna Radziwiłłowska już tak jest odłuzona, że dalej to marnotrawstwo urwać się musi, a z niem i popularność. A jeżeli jaki magnat, oglądający się na przyszłość, umiarkowanie jakie okazuje w wydatkach, to ten u szlachty ani miłości, ani znaczenia nie znajduje. Gdyby magnaci chcieli się połączyć z królem, by jego władzę nad wszystkie inne podnieść, reforma byłaby najłatwiejszą, bo wrzaski szlacheckie zagłuszałibyśmy nie złotem, ale piaskiem. Lecz magnaci najpotężniejsi, to jest ci, co na prowincyi żyją, nam się opierają; niebaczni, nie umieją poznać, że my dla nich samych pracujemy, bo tem tylko ocalić się mogą ich majątki. Bez rządu silnego, ściśnionego w jedną rękę, żadna usilność, żadna przezorność nie wyratuje ich od łapczywości szlacheckiej. Chociażby wszystkie królewsczyczyni między siebie rozchwytali, to będzie tylko paliatywem, bo i to z czasem się zmarnuje; chociażby ostremi prawami zabezpieczali całość swoich ojcowizn, marnotrawstwo jednych, a łakomstwo drugich, ręce sobie podawszy, te prawa zniszczą. I mamy tego świeży dowód. Jeden książę Ostrogski, zapobiegliwy o los swoich potomków, utworzył kiedyś majorat z tysiąca przeszło wsi, na prawach, jakie służyły innym narodom Europy, które mają majoraty, z warunkiem, że po wygaśnięciu jego plemienia tak po mieczu, jako po kądzieli, te kolosalne włości mają zostać własnością

zakonu maltańskiego, który je podzielił na komandorye dla szlachty polskiej. Zastrzegł, by żaden ordynat nie był mocen alienowania, ani odłużenia tego księstwa. Sejm aprobował tę fundacyę osobną. I cóż to pomogło? terażniejszy ordynat, właśnie ostatni potomek tego domu, *mente captus*, sodomita, całkowity swój majorat rozdarował między szlachtę. Kto go na kmotra zaprosił, on chrzestnemu dziecku przynajmniej wieś darował; jedno dziecko po kilka razy czasem chrzciono, i takowe bezprawie lada chwila ctrzyma sankcyę sejmową, bo kilku panów i mnóstwo szlachty obłowiwszy się sownicą, pod pozorem równości szlacheckiej domagać się będzie recessu ordynacyi: a sejm będzie działać po ich woli. Bo szlachta poczciwa, bezinteresowna, woląc roli pilnować, nie stara się o poselstwo, żeby nie jechać do Warszawy, a o nie się dobijają po większej części tacy, dla których miłość ojczyzny jest miłością kieszeni.

Pytasz mnie o kobietach na prowincyi zamieszkałych; odpowiadam że piękne, a nawet często dobrze wychowane. Teraz poznałem w Nieświeżu ledwo nie całą Litwę, tak po mieczu jako i po kądzieli, i niejedną napotkałem twarzyczkę, za którą, uręczam, szalałby cały dwór Ludwika XV. Jakaś chorążyna lub podstolina, której stopka przez całe życie sążnia kwadratowego miejskiego bruku nie udeptała, a tak zgrabna, tak wykwiłtna, a do tego tak świeża, z rysami tak szlachetnymi, a przytem *si mignonne*, że nie chce się od niej oczu odwracać. Jakkolwiek ją będziesz obserwował, nie parafiańskiego nie dosłuchasz. Ubór najgustowniejszy, poruszenia pełne wdzięku, nierzadko mowa w najczyściejszej francuzczyźnie. A obok niej mąż Sarmata, z głową ogoloną, często pokiereszowaną, z wąsem zawieszonym, z marszem imponującym. Z tem wszystkiem prowincya w Polsce nie jest to kraj dla tego rodzaju zalotów, do którego nawykło dobre towarzystwo w Paryżu i w Warszawie. Nie żebym myślał, że u tych nadobnych Litwinek serca są z twardego granitu wyciosane; i owszem, myślę, że one są palniejsze niż gdzieindziej; ale samo położenie rzeczy ich cnoty od szwanku chroni. Naprzód, niema sposobu związać intrygi ze sługami domu imości, bo każda sługa jest albo szlachcianką, albo poddanką; jeżeli szlachcianką, to pewnie z rodziny zasłużonej mężowi. Między panem a sługą są takie stosunki z jednej strony dobrodziejstw i osłony, z drugiej wdzięczności i przywiązania, że gdyby pokojówka przyczyniła się do popsucia pożycia swoich panów, własny ojciec lub brat gotówby ją zabić. Jeżeli poddanka, wie ona dobrze, że gdyby zdradziła swojego pana, żaden zakątek Rzeczypospolitej, żadna osłona, nie zdołałaby ją zabezpieczyć od jego zemsty. Chcący więc wnieść się do serca obywatelki na wsi mieszkającej, zaraz znajdzie na drodze mnóstwo oczów śledczych obróconych na niego, bo dom każdego możnego szlachcica jest małym Wersalem, choć często słomą pokrytym. Uwodząc żonę majątnego szlachcica, trzeba być przygotowanym do podobnych niebezpieczeństw, jakie gdzieindziej grożą temu, co oczy śmie podnieść na krew panującą, i teby go spotkały przed rozwiązaniem dzieła; ale tak wysoko nie sięgając, i trzymając się w zalotach swoich kasty arystokra-

tycznej, tu zemsta szlacheica zazdrosnego jest straszniejszą, niż we Francyi najpotężniejszego pana. Tam co najwięcej szpady dobyć, a tu czuły amant może zostać obatożonym, i dla niego nie pozostanie żadnego środka odwetowania swojej krzywdy, gdyż małżonek brutal mieć tu będzie wszystkich za sobą.

Jedyny przedmiot, coby tutaj mógł być wielce pomocny *pour un homme à bonnes fortunes*¹⁾, jest zdolność pić bez umiarkowania, bez tracenia przytomności. Bo tu każdy ma pretensję do mocnej, jak to mówią, głowy, i nie mu więcej nie pochlebia, jak kiedy może się pochwalić, że w domu swoim gościa przepił. Więc pijąc z gospodarzem małżonkiem do upadłego, a powaliwszy go o ziemię, samemu nie straciwszy przytomności, udać się do żony z natarczywą śmiałością; rzecz może się udać, bo kobiety tutejsze są ptaszki łatwiejsze do złowienia, niż do przybliżenia się do nich. A jeżeli się nie uda, ta natarczywość może być rzuconą na rachunek upicia się. Pan mąż nie tylko się nie obrazi, ale nawet wielce się ucieszy, że współzawodnik do kielicha nie bezwarunkowo nad nim otrzymał zwycięstwo, kiedy, nieprzytomny, gospodyni domu się naprzykrzał; ale to nie nasze rzemiosło, zwłaszcza dla mnie, który wolę mieć w brzuchu kolec od szpady niż kilka butelek wina.

Bodajbys miał ze mnie szydzić, iż nadto dobrze trzymam o kobietach w ogólności, powiem ci, że tutejsze obywatelki, lubo dostępne wszystkim podszepcom próżności, jednak nie do tego stopnia, by aż potargać co tu nazywają uczciwością małżeńską, bo przesady religijne na nie silnie działają.

A potem wiem z doświadczenia, że kobiety nie tyle gubi miłość własna pochlebiona, ile miłość własna obrażona.

Dlaczego w Paryżu i w Warszawie niewierności żon są tak częste? oto dlatego, że mężowie im do tego dają przykład.

Ledwo młodzian wyższego tonu zaślubi młodą dziewicę, te zaraz się przywiązują do niego z najwyższą namiętnością, widzi w nim skład całkowitego szczęścia, całkowitej przyszłości; a on jakże jej się wywzajemnia? Dla pierwszej kokietki, pierwszej śpiewaczki lub baletniczki ją zdradza i nawet wcześniej daje jej do poznania, że jest znudzony jej przywiązaniem. Co więcej, sam upoważnia do niej zaloty swoich przyjaciół, raz, żeby uniknąć śmieszności odgłosu zazdrośnika, powtóre, żeby się oswobodzić od jej narzekania. Biedna żona, poznaawszy, że nie jest potrzebną do szczęścia niewdzięcznika, że owszem jest mu zawadą do szczęścia, nie mogąc znieść brzemienia pogardy, stopniami skłania ucho zabiegom przyjaciela, chcącego być jej pocieszycielem. I czułością zostaje zwyciężona.

Błędy męża prowadzą ją do pierwszej niewierności, potem źle odplacone jej poświęcenie się dla pierwszego kusiciela prowadzi ją stopniami do rozpusty; ale komu ją przypisać?

Tu nie podobnego być nie może, a jeżeli się i wydarzają wykroczenia,

¹⁾ Człowiek szczęśliwy u kobiet.

musi to być rzecz niezmiernie rzadka, bo chyba sama żona wzięłaby inicjatywę niewierności, co jest prawie niepodobnem.

Tu mąż, lubo pojmuje żonę bez istotnej miłości, bo w wyborze swoim idzie więcej za radą krewnych i przyjaciół, niż za popędem serca, wszakże składa hołd największego szacunku, niczem niezachwianej przyjaźni, i z niemi kojarzy wszystkie swoje uczucia religijne i obywatelskie.

Prawda, że najczęściej stopień ukształcenia żony jest wyższy, więcej europejski niż męża; prawda, że on nie tym, którego jej serce przeczuwało; ale sama nie może go nie szanować. A jest w przyrodzeniu naszym, że dobijamy się o szacunek tych, których szacujemy.¹⁾

W małżeństwie wielkiego świata często żona pogardza mężem, wprzódymu mu zostanie niewierną: tu, jakże wielką walkę musiałaby odbyć z sumieniem, myśląc o zdradzie tego, którego nie może nie szanować, który w niej największą ufność pokłada, niczego bez jej rady nie przedsięwzięmie i, poprzestając na towarzysze danej mu wedle jego wyobrażeń od Boga, pożądanego wzroku na żaden inny przedmiot nie zwraca. Gdyby takiemu mężowi żona złamała wiarę, byłby to wypadek szczególny, jakaś wyłączność w zwyczajnym biegu rzeczy. Bo źle robiąc, zawsze pozostaje potrzeba jakkolwiek przed sobą się usprawiedliwić. W tej tu powszechnej niewinności serca pojmują, że dziewczynę uwieść nietrudno; ale mężatkę jest rzeczą prawie niepodobną.

Pisałem do ciebie, Bertrandzie, o naszym bracie Michale; wystawiłem przed tobą w ostatnim liście moim²⁾ najrzetelniejszymi farbami ten typ szlachectwa polskiego, a który pomimo tak ścisłych krwi związków jest tobie nieznanym; ale gdybyś się zbliżył do niego, nie poznałbyś go więcej. Trzeba przepędzić przynajmniej lat kilka w Polsce, żeby podobnych ludzi zrozumieć; wyobraź sobie człowieka ciągle opierającego się na prawach i obyczajach, przeciwko wszelkim pociągom, a który tym sposobem wypruł z duszy wszystkie namiętności. W jego słowniku wyraz „mity“ nie istnieje, na jego miejscu jest zapisany wyraz „godziwy“. Co religia, prawo krajowe i obyczaje, do których nawykł, zabraniają, jest dla niego występkiem, i to bezwzględnie. Jest w nim zupełne umorzenie rozsądku, niewola umysłu; tak stoi, tak jest napisano, a więc musi się spełnić.³⁾ Pociąg przyrodzony, a nie poparty religią

¹⁾ W zawodzie autorskim nie mi tyle nie pochlebiało, jak oburzanie się na moje piśma ludzi, których i stopniem ukształcenia i sposobem myślenia pogardzałem. Jest to uczucie tak błogie, że tylko pochwały ludzi, których się szacuje, im sprostować mogą. Wyznają, że mnie nie tyle nie martwi, jak pochwały głupców. „Vituperia stultorum laus est.“

²⁾ Ten list zaginął.

³⁾ Zjawisko szczególne, że ludzie wysokiego światła i obszernych wiadomości, to jest tacy, którzy przeszli silne nauki, nie mają trudności w zasadach moralnych i religijnych iść za zdaniem przekazanem podaniem, podczas kiedy ludzie niższej intelektualności i nauk powierzchniowych odznaczają się wyuzdaną wolnością myślenia. Żeby się ci ostatni chcieli przekonać, że trzeba się uczyć długo, nim się nauczy myśleć, że kiedy się im zdaje, iż myślą, oni tylko marzą, tem przekonaniem jużby wiele nabyli światła.

lub prawem, które dla niego jest drugą religią, jest mu pokusą szatana. Rozumowanie jest igraszką słów; każdy jego postępek jest zaprawiony cnotą, ale w nim samym nie ma nic samorzutnego; robi dobrze i gorliwie, co mu jest przykazano, ale dlatego tylko, że jest przykazano; jest najpoczciwszym z ludzi, bo religia, którą zapamiętałe wyznaje, przykazuje mu być poczciwym. Gdyby się był wychował w religii, nakazującej występki, byłby zbrodniarzem bez wyrzutu sumienia.¹⁾ Ciągłe oddany żywotowi czynnemu bo z kolei był prawnikiem, wojakiem, gospodarzem rolnym, ma jednak w sobie coś ascetycznego, coś z tego żywołu, który wyrobił Anachoretów i Fakirów. Nie idzie za zdaniem własnem, ale za zdaniem od wieków podanem; jest to umysł skamieniały w formie niesłychanie wyrazistej; jest to żołnierz nieustraszonej sprawy, która go raz na zawsze sokołowała; ale wodzem nigdy być nie może, bo nie ma w nim nic indywidualnego, tylko jakiś charakter ogólny, wyrażenie okresu już przechodzącego, a który z duchem już nadeszłej epoki przez żaden sposób nie da się mieszać.

Dziwne są igrzyska losu. Uprzedziłem ciebie, że nasz Michaś wkrótce się żeni, a nie widziałem jeszcze wtedy jego narzeczonej. Onegdaj ją poznałem na balu; ach Bertrandzie, cóż to za stworzenie! co za wdzięki, co za ukształtowanie, jaka delikatność w uczuciach, jaka trafność w rozumie, tego ci opowiedzieć nie jestem w stanie: powiem tylko, że odkąd żyję nic podobnego nie widziałem. Napróżno chciałbym ci opisać wrażenie, jakie na mnie zrobiło pierwsze moje spotkanie z tą czarującą dziewczyną. Jaka kibić, jakie rysy słodkie i szlachetne, jaki uśmiech, a oczy koloru niewidzianego: nie jest to szafir, nie jest to granat, ale coś jak fiołek, ozdobione, ocenione długimi i gęstymi czarnymi rzęsami. A jaki dźwięk srebrzysty w jej słowach, kiedy się odezwie i to francuszczyzną tak czystą, że i w Wersalu lepszej nie usłyszysz. Tańcowałem z nią menueta z gawotem, w obliczu prawie całej Litwy; powiadam tobie: nic podobnego do jej tańca nie widziałeś! Jest to jakaś inspiracja; gdyby Gardel to widział, oszalałby: a nasz brat, jakby obcy, zaledwo kiedy niekiedy na nią wzrok obróci, i to z ukosa. Ona jest jego przyszłą żoną, bo już po zaręczynach, a więc go ominąć nie może; po cóż więc o nią się troszczyć? po co się starać być dla niej przyjemnym? Prawdziwie ta obojętność mojego brata ledwo że do wściekłości mnie nie doprowadza. Otóż to ludzie bez namiętności! Jakże ta para jest niewłaściwie sprzeczna! co za przywłaszczenie ustaw i obyczajów na rozsądku, na naturze! Czyż ta anielska istota będzie kiedykolwiek zrozumianą od naszego brata? Czy może być przeznaczeniem jej życia, całkowitego jej życia, rozdawać kłaki prądkom, wyprawiać na błotniste targi masło i twaróg, i klepać godzinki z czeladzią? A chwile wolne od zatrudnień przepędzać w pomaganiu mężowi do bawienia gości, których tylko kielichem ubawić można? — bo takie jest życie mężatek polskich

¹⁾ Każdy systemat może nakazywać cnoty, ale religia chrześcijańska tylko użycza sił dostatecznych do ich dopełnienia. Tego ludzie wolnomyślnicy rozumieć nie chcą.

na prowincyi zamieszkałych.¹⁾ Co za przeznaczenie dla istoty rozumnej, tkliwej, delikatnej, usposobień tak przeciwnoległych!

Odwołuję się do sumienia każdego niezaślepionego fanatyzmem, czy to jest godziwe, by dla układów familijnych robić sobie igraszkę z przyszłości tak cudownej, tak doskonałej istoty.“

XVI. Dom możnego szlachcica.

W powiecie mińskim nad jeziorem Wielożańskim, rozlega się wieś obszerna, dziś nazwana Korwinowem, a która jeszcze niedawnemi czasy nosiła nazwisko Niewodowa. Tam wznosi się teraz pałac murowany, pokryty blachą połyskującą majowym kolorem, którego gzymsy opierają się na pilastrach korynckiego porządku. Od pałacu aż do jeziora rozciąga się ogród angielski, gdzie rośliny z czterech części świata ściagnione, z zadziwieniem spotykają się pośród borów napół hyperborejskiej Litwy. Sam pałac, oparty na dwóch pawilonach, zdaje się natrzęsać z kurnych chat, nad którymi panuje, a których mieszkańcy, jego przepychem zniszczeni, radziby, jak ewangeliczny Łazarz, pożywić się jadalnemi wymiotami, codziennie z jego wnętrzów wyrzucanemi. Dzisiejszy właściciel, założyciel tego gmachu, niczego nie zaniedbał, żeby ozdoby wewnętrzne i tryb życia były mu we wszystkim odpowiednie. Okna jednoszybowe, z Petersburga sprowadzone, stały się przedmiotem podziwienia, niemniej od mahoniowych mebli, których połysk jasno brunatny odbijają złociste brzozy. Ognie z kosztownych pajaków, kandelabrow i lamp kryształowych rzucane, powtarzają się w klamanym mistrzowską ręką marmurze ozdobionym sztukateryą. W niektórych pokojach wiszą materye w Lyonie wyrabiane, w innych widać naturę pędzlem zwyciężoną. Napatrzeć się można na zegary bogato orzeźbione, na stoły z malakitu i mozaiki włoskiej, na sążniste zwierciadła, na obrazy kosztowne, albo przynajmniej w kosztownych ramach ubrane. Przepych stołu odpowiada przepychowi pałacu, a kapela pod wodzą artysty z Neapolu sprowadzonego, przynajmniej dwa razy na tydzień melodyjnemi tony popisuje się przed gospodarstwem i gośćmi, którzy ich nawiedzają. Jednem słowem, Korwinów jest przedmiotem nietylko zawiści, ale i jakiegoś uszanowania całej sąsiedniej okolicy.

Takim jest dzisiejszy obraz Korwinowa; ale jeżeli cofniemy się o lat kilkadziesiąt, wcale inaczej wyglądał, wcale był inny tryb życia jego mieszkańców. Zamiast ogrodu angielskiego były trzy długie ulice lip niebotycznych, jak trzy ściany w środku zamkniętego sadu; czwartą, od południa

¹⁾ Teraz nieco się tryb życia odmienił, jednak chwala Bogu nie powszechnie jeszcze. Są obywatelki, które, zaniechawszy oborę i motki, zajmują się literackimi dysertacyjami, nawet zasilają dzienniki swojemi pismami. Starajmy się mężczyźni dobrze nauczyć się gospodarstwa kobiecego, żeby się damom odwdziżyć, kiedy nas zaczną nauczać filozofii i literatury.

było jezioro Wielizańskie, a na jego brzegu widać było kilkanaście grzęd tytuniu, kapusty i innych jarzyn. Między domem a równoległą ulicą lipową róże mchowe, bzy tureckie, ostróżki i stokroć, oparkanione wokół porzeczkami i agrestem, były jedyne rośliny niby pieszczone. Z przeciwnej strony szerzył się dziedziniec tak ogromnie, że jego część była zasiana makiem i anyżem. Parkan był z wysokiego dębowego częstokołu; za parkanem obszerny wygon, zamknięty półkolem chatami czystymi, których dziedzińce, oszańcowane żerdziami, świadczyły o dobrym bycie mieszkańców. W obrębach dziedzińca pana wioski był dom niemały, drewniany, ale na podmurowaniu, nieco mniejsza oficyna kuchenna, gdzie oprócz kilku izb gościnnych był jeszcze warsztat sukienny. Naprzeciwko oficyny imbar czyli świronek, z pod którego wyskakiwały często pierzchliwe króliki, a w samym świronku były znaczne zapasy gorzałki, skór, wosku, słoniny i innych płodów jeszcze niezniszczonego kraju. Ku bramie wznosił się gołębnik, dalej wędlarnia, dalej murowana stajnia z wozcwnią i masztarnią i jeszcze jedną izbą, gdzie pod strażą drzwi żelaznych spoczywały archiwa domowe.

Sam dom, szumnie od wsi mieszkańców nazwany zamkiem, wysoki a spadzisty dach nosił na barkach swoich, dach, w którego wnętrzach była suszarnia na mąkę. Dom się opierał na ganku przestronnym, na którego facyacie był odmalowany starożytny Lubicz, godło rodu Kunickich, a pod nim napis dużemi literami: *Nisi Dominus aedificaverit domum, in vanum laboraverunt qui aedificant eam.*

Z ganku wchodziło się do sieni obszernej, w zimie ocieplanej, gdzie czeladź dworska, na zydlach i ławkach siedząc, czekała rozkazów pańskich, nie z założonemi jak dziś rękami, ale robiąc sieci i niewody. W sieniach, nad drzwiami, prowadzącemi do bawialnego pokoju, wisiał obraz Najświętszej Panny Boruńskiej. Meble tego pokoju, niby najwykwintniejszego w całym domu, składały się z dwóch kanap i tuzina stołków, obitych drelichem sinym w warcabnicę, z dwóch stolików i jednej komody, na czarno bejcowanych. Przy oknach były firaneczki z muślinu, luzowane miesięcznie przez drugie także; nad kominkiem zwierciadło w tynk wpuszczone, a na ścianach obrazy św. Kazimierza Jagiellończyka, króla Augusta III-go i królowej Maryi Józefy, księcia hetmana i księżnej hetmanowej Radziwiłłów, ich syna Karola, wojewody Wileńskiego, olejno malowane przez Niewodowskiego, Unickiego parocha, który je zdjął z oryginałów, zawieszonych w sali familijnej Nieświeskiej; na koniec cztery obrazy przodków gospodarza, ale już znacznie uszkodzone.

Po jednej stronie bawialnego pokoju były drzwi od bokówki; tak nazywano izbę, przeznaczoną na sypialnię dla najświetniejszych gości, i książę wojewoda nieraz ją zaszczycił noclegiem. Tej izby sprzęty były jeszcze skromniejsze. Dwa tapczany z siennikami, zakrytemi kilimikiem domowej roboty; dwa stoły dębowe bez nakrycia, na jednym z nich tualetka z warcabnicą, na tamtym krucyfiks drewniany, dalej jedna szaraga, sześć stołków, a na

ścianach obraz błogosławionego Fabiana ze Stoupców i św. Antoniego Padewskiego.

Po drugiej stronie alkierz; tam za kotarą z karmazynowego adamaszku stało łóżko żelazne gospodarza, pod opieką obrazu Najświętszej Panny Ostrobramskiej, który to obraz kilka pokoleń, jedno drugiemu, z błogosławieństwem przekazywały; pod obrazem gromnica, woda święcona z kropidłem, kilka gałęzi wierzbowych z ostatniej kwietniej niedzieli i para wianków aromatycznych na Boże Ciało poświęconych. Przy łóżku duży stół, ponsowem suknem okryty, na nim na postumencie hebanowym mały krucyfiks srebrny z kosowami paciorkami i dzwonkiem loretańskim, który w czasie burzy tętniąc w rękę chłopca, biegającego wokoło domu, cały Niewodów od piorunów i gradów zasłaniał. Nad drzwiami do bawialnego pokoju wisiał ogromny ryngraf z wizerunkiem Najświętszej Panny Częstochowskiej, który nie w jednej potyczce ocalił życie pobożnemu rycerzowi, z wiarą go noszącemu. A na przeciwległej ścianie sztychowany na żółto-gorącym atłasie konterfekt biskupa Koncewicza, dedykowany gospodarzowi od Ojców Jezuitów Mińskich, którzy w tej dedykacji, także sztychowanej, nie omieszkali wyrazić nazwiska wszystkich domów pańskich i szlacheckich, tak koronnych jako i litewskich z imieniem Kunickich skoligaconych. Dalej kufer bawoli w żelazo okuty, obwarowany podwójnym zamkiem, a na nim co niemiara motków i kłębków. Naprzeciwko łóżka wielka szafa, ledwo nie dotykająca pułapu, a na niej wyglądały zapyłone papiery, zardzewiałe pistolety, smołka do kadzenia, remizowe gniazdo, sztof gorzałki na jakieś ziele nalanej, kilka worków z ołowiem myśliwskim i spora karafinka z wiedeńskim prochem.

Od alkierza, nie drzwiami, ale obsłoną z drylichu na pręcie żelaznym, obrączkami mosiężnymi na taśmach zawieszoną, oddzielała się izba, pomieszkowanie starej klucznicy, na której pod dyrekcją panny łowczanki, polegało domowe gospodarstwo. Z tej izby ku ogrodowi wychodziła ciemna szpiżarnia, dokąd często klucznica kierowała swoje kroki. A co też to wiktuałów w tej szpiżarni się mieściło: mój Boże! pospolite ruszenie całego powiatu mogłoby się parę dni nakarmić.

Sień, o której wspomniałem wyżej, przedzielała pokój bawialny od sali, a ta była obszerna, kiedy pośrodku stał nieruchomy od założenia domu stół, przy którym czterdzieści osób mogłoby się wygodnie usadowić na ławkach także odwiecznych, obitych suknem niedys zielonem. Między drzwiami wchodowymi a kominem był zegar z kukułką, wedle którego odbywał się porządek dzienny całego domu; po drugiej stronie ku oknom była szafa kredensowa, a jej półki zdradzały się kratą drewnianą ukośną. U spodu szafy były trzy wielkie szuflady z bielizną stołową, to wszystko pod pieczę starego kredensarza, uposażonego długimi siwymi wąsami, a który jeszcze pełnił drugie urządowanie, to jest golibrody i goligłowy swojego pana. Na szafie stał butel z piskorzami pluskającymi się w wodzie, dwa razy na tydzień odświeżanej. Barometr nie kosztowny, ale rzetelniejszy od tych, co je z niemałym wydat-

kiem aż z Niemiec sprowadzają. Przy szafie wanienka, a w niej dzban szeroki, miedziany, wewnątrz grubo pobielany, z wodą kryniczną, czystą jak łza, przezroczystą jak ranek majowy, świeżą jak mleka Litwinka.

Z sali wchodziło się do skromnej, ale pod pewnym względem najważniejszej izby całego domu: była to kancelarya jegomości. W niej najpierwej uderzało wążiutkie łóżko żelazne, na niem materac zielony skórzany, szerścią wybity i poduszka zamszowa; na nim jegomość codziennie odpoczywał godzinę po obiedzie. Nad poduszką wisiał obraz Św. Józefa, patrona gospodarza, pod nim mapa Europy, a nad samem łóżkiem mnóstwo kołków, na których zaczepione były rozmaite części zbrojówki szlacheckiej. Cztery karabele z furdymentem, ładownica podróżna, torba myśliwska z borsuka, dwie koszule ze siatki żelaznej, kordelas, kilka strzelb, nahaj z srebrną skówką, laska z toporkiem. Przy łóżku stolik z szufladką, na nim krucyfiks, para brzytw, mydlniczka cynowa, pasek skórzany, osełek z grabiny skamieniałej do wecowania brzytw i książka do nabożeństwa, nazwana Żołtarz. Przy jedynem oknie kancelaryi drugi stolik, na nim kalendarz tegoroczny, talia kart polskich w starej kopercie zawinięta i próbki rozmaitych ziarn. Ale najglówniejszy sprzęt był kantorek z Kłajpedy sprowadzony, wysoki, wznoszący się na czterech kolumnach żelaznych z mosiężnemi kapitelami, z ponad szuflad dolnych, a dźwigających sam kantorek, oklejony sukmem zielonem, przy którym stojąc, generał pisywał. Szuflad dolnych było dwie, i w nich zamykały się księgi rejestrowe, kasowe, inwentarz i raporta ekonomiczne. A między kolumnami leżała biblioteka, wedle dzisiejszych wyobrażeń szczupła, ale jak na owe czasy obszerna, gdzie jednak bezwątpienia znaleźć można było więcej zdrowych myśli i prawdziwej nauki, niżeli w wielu terażniejszych, które śmieciami umysłowemi zapełniają panowie księgarze drukujący na wagę. Albowiem szczegóły biblioteki były następane: Biblia Wujka, Herbarz Niesieckiego¹⁾, Nowe Ateny, Wojsko zarekrutowanych afektów²⁾, Rekolekcyje Św. Ignacego, Swada Polska, Żywoty świętych Skargi³⁾, Kronika Strykowskiego, Psalmy Kochanowskiego, Zegar monarchów i kilka książek łacińskich. Bo osobno leżał w szufladzie zamknięty Statut Litewski, Haura o gospodarstwie i inwentarz prawa Żeglickiego. A największy volumen w księgozbiórze był in folio, do większej połowy zapisany zbiór różnych wierszy, mów kazań, anegdot, spostrzeżeń, uwag medycznych, prawnych, meteorologicznych, pod tytułem: *Otia*

¹⁾ Herbarz Niesieckiego jest jednym z najważniejszych naszych pomników. Jaka szkoda, że terażniejsze wydanie jego, w Lipsku sporządzone, zamiast przedruku, jakim było być powinno, samemi kłamstwami jest oszpecone w dodatkach, któremi je śmiano znieważać.

²⁾ „Wojsko zarekrutowanych Afektów“ często śmiech litości pobudza u naszych półmędrków, którzy się nie domyślają, że pod swoją formą dziwną to dzieło więcej myśli zawiera, niż to wszystko, co pewne towarzystwo ludzi uczonych przez całe swoje istnienie wymyśliło.

³⁾ Jest to najpoetyczniejsze dzieło polskie, tak się wyrażał przedemną pan Adam. Nie wiem, czy zjawienie się ogłoszonego Epos Litewskiego jego zdanie zmieni; jednak o tem wątpić pozwolono.

Domestica, ze zwyczajnem godłem: *Ad majorem Dei gloriam*. A na samym kantorku widać było laseczkę laku, stoczek, kałamarz, piaseczniczkę, żelazne piętno, kilkanaście kalendarzy z adnotacyami i jedno pióro do pisania. W samym kantorku starannie pod kluczem była zamknięta mapa ekonomiczna, kilka liber papieru, kilka funcików: jeden z gallasem, drugi z koperwasem, trzeci z bursztynem, czwarty z minią, zbiór listów od przyjaciół i sąsiadów, genealogia familijna, metryka generała i jego córki, sepultura żony obok jej intercyzy, patent na rotmistrza kawaleryi narodowej, drugi na generała-adjutanta hetmańskiego, laudum dane mu za jedno poselstwo od województwa Mińskiego i trucizna na szczury.

Były jeszcze trzy pokoje przybudowane, które wchodziły w ogród, bo gdyby były od strony dziedzińca, popsułyby symetryę architektoniczną dworu. Z tych pokojów jeden był obrócony na garderobę Zosi i łowczanki z przepierzeniem na apteczkę, drugi na ich sypialnię, w trzecim bawiły się, pracowały i przyjmowały sąsiadki je nawiedzające.

Taki to obraz rezydencyi generała Kunickiego istniał rzeczywiście w końcu pierwszej połowy i w początkach drugiej zeszłego stulecia: wszystko było skromne, pomierne, pospolite.

Jedyna rzecz, która i zewnątrz architekturą i w środku ubraniem swoim mogłaby zastanowić przechodnia obeznanego nawet z cudzemi krajami, była kaplica Niewodowska, na dziedzińcu dworu wzniesiona.

Jeden z tarażniejszego okresu pisarz, Jan Paweł Rychter, jeżeli mnie pamięć nie zawodzi, twierdzi, że gdzie domy prywatne poziome i ubogie a obok nich gmachy publiczne okazałe, tam społeczeństwo musi być silne, żywotne, pełne przyszłości. W przeciwnym razie, kiedy kościoły drewniane z pozieleniałemi gontami i klecone szkółki parafialne są zesromocone pysznemi pałacami właścicieli wsi, wtedy można powiedzieć: biada temu krajowi, biada jego mieszkańcom¹⁾.

Kaplica, o której mówię, była egzekwowaną na wzór Chrzcielnicy Medyolańskiej przez doskonałego architekta, wywiezionego z Paryża przez księcia biskupa Wileńskiego, a pokryta blachą miedzianą, na ogniu pozłacaną. Ołtarz był z granitu szlifowanego, kolumny, na których się opierały organy, były z gipsu, a barwą i połyskiem naśladowującego marmur. Lichtarze, ramy od obrazu Najświętszej Panny nad ołtarzem, lampa we dnie i w nocy świecąca się przed Najświętszym Sakramentem, były ze szczerego srebra; a jakie bogactwo ornatów, kap, aparatów kościelnych.

¹⁾ Szczególnie w Krasnorusi biedna szlachta intelektualnie, dobrze spieniężająca swoje produkta w Odesie, znalazła domy rodzicielskie ciasnemi i wzięła się do murowania pałaców. W każdej wsi prawie stanął pałac; ale że ci, dla których te pałace się wznosiły, o sztuce nie mieli wyobrażenia, lada awanturnik ogłaszał się architektem i stawiał im pałace. Zamiast szlacheckich domów, ciepłych, wygodnych, stały gmachy zimne, dziwacznej struktury, bez żadnego sensu wewnątrz rozporządzone, a które z tem wszystkim zrujnowały szlachtę. Trudno widzieć pierwszy raz jaki z tych pałaców, żeby się nie uśmieć serdecznie.

Ale wracając do samej tylko architektury, musiała ona być piękną, kiedy jedna tylko kaplica zdołała siebie ocalić od ogólnego wywołania staroświeczyny, lubo wprawdzie jej przeznaczenie odmienione zostało.

Gdzie był dwór i zabudowania dworskie, teraz rosną klomby angielskie; na miejscu stajni wznosi się cieplarnia, zamiast grzęd warzywnych, obszerny i pieszczony kobierzec gazonu zalega brzeg jeziora; nawet ciemny szpaler lipowy nie uszedł niszczącego topora. Dawna kaplica, zamieniona w altanę, dotąd przepychem swojej budowy zadziwia; oprócz niej, wszystko się odmieniło, i ludzie i ich dzieła.

W tym to czasie, kiedy u nas ludzie nie umieli rozprawiać o moralności, ale praktycznie ją dopełniali, kiedy nie głosili siebie za odrodzonych w nauce, ale umieli doskonale to wszystko, co chrześcjanin i szlachcic umieć powinien, generał Kunicki, Niewodowa dobrodziej i samowładny pan, nakwasivszy się niemało przez dni kilka, że do Nieświeża nie mógł pojechać na Św. Karol, już się nieco wypogadzał, przyjmując wracające z Nieświeża Zosię i pannę łowczankę. Rad był córkę o wszystkim rozpytać, ale wstrzymał swoją ciekawość przez politykę zwyczajną uwczesnym ojcom, żeby nie uwłaczać swojej powadze, okazując otwarcie całe przywiązanie do dzieci.

Że Zosia wedle niego musiała być zmęczona podróżą, wcześniej ją odesłał do spoczynku, zachowując sobie nazajutrz od obiadu do wieczora obszerniejszą z nią rozmowę o zabawach nieświeskich.

Gdyż do obiadu, który punktum zgromadzał u stołu towarzystwo Niewodowskie, córka widywała ojca tylko w kaplicy, podczas Mszy św.; a wychodząc z kaplicy, ucałował rękę ojca na dzień dobry, zaraz z łowczanką, wracały do siebie, dla zajęcia siebie i niewieściej czeladzi dworskiej dzienną robotą.

Od tego obyczaju stary za nicby nie odstąpił.

Odesłał więc córkę do wczasu, jak tylko kukułka ośm razy usłyszeć się dała; pół godziny wszakże zatrzymał łowczankę, bo bez jakiejś konferencji z gospodynią swojego domu snu spokojnego by nie zażył, ile, że otrzymał był listy, o których z nią mówić wypadało.

Najważniejszy przedmiot tej konferencji było ulokowanie gości, których się spodziewał.

Alte zdaje mi się, że opisał rezydencję Niewodowską, wartoby obeznać czytelnika z jego mieszkańcami, gdyż dotąd poznał dopiero samego gospodarza i jego dziedziczkę.

Pierwsze miejsce między mieszkańcami Niewodowa zajmowała bez najmniejszej wątpliwości panna łowczanka, cioteczna siostra generała, kronika żyjąca jego domu. Na jej rękach umarła generałowa, na jej rękach urodziła się Zosia, najmłodsze z kilkorga dzieci, które wszystkie pomarły, a której urodzeniem Bóg pocieszył generała już w podeszłym wieku. Zosię nad życie miłowała, nie tylko jak wychowankę, ale jak własną córkę, tak dalece, że niczego odmówić jej nie mogła. Gdyby Zosia nie miała natury tak łagodnej

nie byłoby pod słońcem dziecka więcej zepsutego; taka była dla niej słabość łowczanki, że gdyby Zosia była się napařła trucizny, nie wątpię, iż ciotunia i temu dziwactwu nie umiałyby się oprzeć. Jedyne jej zmartwienie było, kiedy Zosia się zamyślała, zaraz rozmaite aprensye przypuszczała do głowy, i całemu domowi pokoju nie dawała. Zresztą była osobą szczęśliwą w całej mocy wyrazu. Całkowitym domem brata rządziła samowładnie, i to bez żadnego współzawodnictwa, często nawet jego samego zburczała, jeżeli jego charty jaką szkodę zrobiły, albo jaki ze stajennych w piekarni lub koło pralni nieprzyzwoitem słówkiem przywitał dziewczę z jej fraucymeru. O to szczególnie bywały burze, z powodu, iż generał czasem brał stronę stajennego; wszakże ten opór niedługo trwał, i rzecz się zwykle kończyła plagami. Jej życie uczuciowe ścieśniało się w przywiązaniu do Zosi i generała; potem zaraz następowała miłość dla Diaroletki, suczki bonońskiej, która jej kolan nigdy nie opuszczała, a piskliwym skowyczeniem nieraz o niecierpliwość przypawiała generała.

Potem przyjaźń i ufność dla kapelana domu, a nieco w niższym stopniu te same uczucia dla unity parocha Niewodowskiego, a szczególnie dla jego córki, która dziesiątek lat na jej usługach zostawała. Co się tyczy życia czynnego, to zajęte było staraniem około sierot szlacheckich, których rodzice pomarli na gruncie braterskim, urządzeniem przedziwa, nabiału i rozmaitych przysmaczków, którymi Niewodów słynął w całej okolicy. Nadewszystko łowczanka miała rozum swojego wieku; nie była dostępną tym różnym pretensyom i dziwactwom, które zwykle robią tak nieznośnemi zestarzałe panny, a zawsze była rada sobie. Na jej obliczu, pokrzywdzonym nieco wiekiem, ale jeszcze czerstwem, malowały się pogoda, zadowolenie wewnętrzne, jakaś szlachetna duma z sumienia, które nigdy dla niej nie było ciężarem. Oblicze to zdawało się przemawiać, że nikt od niej ani gorliwiej nie dopełnia przepisów religijnych, ani pędzi doskonalszych wódek, ani smaży smaczniejszych konfitur.

Drugą figurą Niewodowską był ojciec Kleofas, Bernardyn, od lat trzydziestu kapelan domowej kaplicy, zawołany ogrodnik, tokarz, a nawet architekt. Pobożny i skrupulat, ale dla siebie tylko, poczytywał być grzechem pokazywanie się przed świeckimi inaczej, jak z wesołym obliczem, bo czuł, że kapłan nie powinien szorstkością obcowania odpychać od siebie owieczek, ale owszem przywabiać je osobistą przyjemnością. Teolog niełada, był dalekim od cienia fanatyzmu, a choć wierzył, że tylko w łonie kościoła można być zbawionym, nietylko że się nie dąsał na widok różnowierców, ale żył nawet w ścisłej przyjaźni z panem pułkownikiem Kryczyńskim, mahometaninem, lubo szlachcicem litewskim, na dwóch wsiach obsiadłym dziedzicem; nawet dom jemu wyarchitektował. Prawda, że ile razy go nawiedzi, bo pułkownik mieszkał o cztery mile tylko od Niewodowa, namawia go, by od swojego uporu odstąpił i dał się przekonać. Ale małomówny bisurman, niczemu nie przecząc, chociaż puszczał dym tytoniu to nosem, to gębą, zdaje się słuchać z natężoną uwagą, co mu tak dobitnie ojciec Kleofas przekłada; jednak jak

tylko ochrypli już Bernach skończy swoją perorę, on zagai o czem innym, a najczęściej radzi, żeby gadanie zapić albo piwem jałowcowem, albo turecką kawą. To wszystko ich wzajemnej przyjaźni nie osłabiało, tak dalece, że ile razy zdarzy się pułkownikowi nocować u generała, od którego także wiele przyjaźni doświadczał, ojciec Kleofas bez niczyjzego zgorszenia daje mu kwarterę u siebie w oficynie. Oprócz duchownych posług, szanowny Bernardyn wielce był pożytecznym generałowi w życiu potocznem; grywał z nim w marysza i w arcaby, co roku kilka beczek miodu mu sycił, z jagód tarniny, wygotowanych w soku brązowym, robił mu napój stare wino naśladowający, urządzał tytuń do palenia ułagodzony wołoszką, tabaką swojej roboty obdzielał nietylko łowczankę, ale wszystkie stare sąsiadki, a wszystkie drzewa rodzajne sadu niewodowskiego jego rękami były szczepione i wypieszczone. Co dziwniejsza, z pozytywką wyuczył gila śpiewać kilku kurantów tak doskonale, że mu pan Jan Wazgird dawał za niego wózek lakierowany i parę koni z uprzężą, tak się był zapalił; ale o tem i słyszeć nie chciał. Nakoniec tak był wziętym w zakonie, że od lat wielu na każdej kapitule ofiarowano mu pastorał gwardyański, ale on zawsze od tego się wymawiał, częścią z pokory, częścią iż był, że tak powiem, wrośnięty w domie niewodowskim, a szczególnie w oficynie, gdzie sam mieszkał, a która była wystawiona z jego planu i pod jego dyrekcją.

Trzecią figurą z rzędu był pan Jacek Buńczukiewicz, mąż prawie sześćdziesięcioletni, a jednak chrzestny syn generała, rządca generalny klucza niewodowskiego. Zarządzał tą ziemią, na której się urodził, idąc w tem za przykładem ojca i dziada, bo i oni, nim się przenieśli do wieczności, zstąpili się na tychże usługach w domu Kunickich. Pradziad jego z dziadem generała opuścił Małopolskę dla Litwy; miał więc i własne i spadkowe zasługi. Pan Buńczukiewicz, otyły, trędowaty, siwowąsy, krzykała, był zaszczycony nieograniczoną ufnością swojego pana, którego sprawy nietylko że był wyznawcą, ale nawet męczennikiem. Bo gdy w czasach ostatnich zamieszają w kraju generał siadł na koń i poszedł z Księciem Karolem Radziwiłłem, pan Buńczukiewicz, opierając się rabunkowi Niewodowa, od kozaków dostał kilkaset nahajów na wieczne nieoddanie. Tak ucierpiawszy za sprawę publiczną, nie uważał siebie być osobą zupełnie prywatną; owszem, lubił się mieszać do dyskursu, ile razy coś *ex publicis* było na stole; i chociaż miał dworek obszerny i sowitą ordynaryę, prawie codziennie przychodził na obiad do JW. pana, gdzie po zdaniu mu sprawy z tego wszystkiego, co już się zrobiło i co się jeszcze ma zrobić w gospodarstwie, występował z wiadomościami politycznemi, jakie pobierał u żydów arendarzów karczem szlakowych, i niemi bawił pana. Przed dwudziestu kilku laty, wzięwszy z rąk nieboszczki generałowej jej pokojówkę, miał z nią żyjących szesnaścioro dzieci, dziesięciu chłopców i sześć córek. I nietylko, że tak liczne potomstwo go nie zasmucało, ale niczego tylo nie żądał, jak przybycia dwóch synów jeszcze, dla otrzymania starostwa, jako ojciec dwunastu synów w małżeństwie szlacheckiem spółdzonych. Czegóż zresztą miał się troszczyć? czyż to dawniej tak trudno było z dziećmi, jak

dziś? Dwie starsze córki już były zameżne, jedna za geometrą przysięgłym, druga za parochem unickim wsi sąsiedniej, a rodzonym synowcem parocha Niewodowskiego; trzecia była w nowicyacie u panien Benedyktynek Nieświezkich; czwarta pokojówką u Zosi; dwie tylko drobne były jeszcze na chlebie rodzicielskim. Co do chłopców, z których ostatni był przy piersiach, a dwóch w piekarni hodowało się z czeladzią folwarczną, wyglądając, rychło li dyrektor weźmie ich w obroty, żaden z innych nie siedział mu na karku. Dwóch z nich generał swoim kosztem utrzymywał w konwikcie Mińskim. Najstarszy głowa familii, był już koniuszym u generała, a ożeniwszy się z jego nałożnicą, miał w ekspektatywie obowiązki ojca po najdłuższem jego życiu. Drugi już był odbył profesję u Dominikanów, trzeci był szatnym u pana wojskiego, przyszłego zięcia generała, czwarty był pisarkiem przy wuju, bawiącym się szyprowką z Królewcem i Klajpedą, i nietylko, że od rodziców szelaga nie potrzebował, ale co roku przywoził im gościńca w rodzynkach, migdałach i szafranie. Piąty, tępy do nauki, ale chłopiec piękny, ulany jakby z żelaza i trochę burdowaty, był towarzyszem w chorągwi generała.

Pan Buńczukiewicz był przywiązany do swojego ojca i dobroczyńcy, i najwierniej mu służył. Nie był to gospodarz zapobiegliwy, owszem częste omyłki popełniał w gospodarstwie przez zbytnią łatwowierność dla rad jemu udzielanych od pierwszego co go napotka. I tak, razu jednego zaprzepaścił panu kilkaset kop zboża, składając je w sterty jak na Rusi, nie osuszywszy snopów w osieciach, i to w rok mokry, dlatego, że ktoś mu wyperswadował, iż za podłożeniem pod stertę wilczego sadła, nigdy zboże się nie zgrzeje. Innego razu, gdy ktoś mu wmówił, że co tylko się sieje w marcu, obawiać się nie ma przymrozków, a zdarzyła się pogoda w tym miesiącu, wszystek jęczmień rzucił w ziemię chłodną i z wielkiem swoim zadziwieniem samą chmułę zebrał w żniwie. I kto wyliczy wszystkie jego baki. Prześladowuje go generał za te omyłki, ale to jego ufności bynajmniej nie zmniejszało. I lubo często na niego gdera, tak był do Buńczukiewiczowskiego plemienia nawykły, że gdyby jego nie stało, prędzejby dobra swoje zadzierżawił, niżby je innemu rodowi miał powierzać. On też był wart łaski pańskiej, bo pracował jak mógł i umiał, i majątek wzrastał pod jego pieczę; nawet tyle miał poświęceń, że choć był wielkim miłośnikiem zagrzewających napojów, za nic w świecie w dniu roboczym umysłuby nie zaplatał; prawda że w niedzielę i święta *sancrosancto* upić się musiał. Po obiedzie żonka mu warzy krupniczek z gorzałki, patoki i korzeni, a on nim celebkuje do wieczora święto Pana nad Panny i dzień odpoczynku. Pan generał z ojcem Kleofasem wykradną się niekiedy do niego na krupniczek, że chociaż dworek blisko zamku, pani Buńczukiewiczowa musi ich wózkami odsyłać. Zresztą służba była i wygodna i korzystna, bo chociaż roczna kapitulacya nie przenosiła trzechset tyńfów, ale ordynarya szoroka i akcydensów co niemiara — a pozwolenie wykarmienia kilkunastu sztuk bydła na browarach skarbowych, a to ogród lnem zasiany albo konopiami, gdyż nie miał potrzeby siać warzywa, z kilku ogrodów

folwarcznych mając je i bez tego poddostatkiem; a to dozwolone sobie kontraktowe od żydów; a zarobek na koniach; a nadewszystko nadzieja otrzymania tego dożywocia, co je mieli ojciec i dziad, t. j. dworek, stawek, ogród, łąkę, trzy włóki ogromne gruntu, i pięciu poddanych.

Czwartą figurą niewodowską był ksiądz Nowochacki, pleban tameczny obrządku ruskiego, stary wdowiec, wielki dworak, mający największe względy u generała, a nawet u proboszcza łacińskiego z Kojdanowa, do którego parafii należała i włość niewodowska. Miał on syna i córkę; syn, przeszedłszy na obrządek łaciński, i w nim przyjąwszy kapłaństwo, był już profesorem prawa kanonicznego, i posiadał niezgorsze *beneficium* w okolicach Brześcia, gdzie sam mieszkał przy seminaryum. Córka, wychowanica panny Iowczanki była zaślubioną kapłanowi unickiemu, a ten od roku był przydany do parochii niewodowskiej dla pomocy już zestarzałemu teściowi. Nie był ci on wprawdzie tak zgrzybiałym, żeby się jeszcze nie sam trudził swoją parafią, gdzie kilka pokoleń ochrzcił, ożenił i pochował; ale to rozporządzenie zwierzchności nastąpiło z powodu, który, o ile mu zobowiązał szanownego kollatora, o tyle go naraził na animadyersyę władzy duchownej. Tak lubił polowanie namiętnie, jako i generał, ile razy ten wyjeżdża o świecie z ponową, już jemu ani w głowie Oktoja, Mineja, i Tryod, ale dawaj strzelbę i ruszaj saneczkami do lasu i aby zoczył zwierza, już jego. Bywał o za to często turbowany od officyała, ale go jakoś generał zawsze z biedy wyrejterował. Nakoniec ta namiętność, zamiast ustawiania, gdy z wiekiem coraz się wzmagała, duchowieństwo jego obrządku, będące w tym względzie skrupulatniejsze od naszego, tak się zaczęło gorszyć, że już nie było sposobu zachowania mu w zupełności dawnego stanowiska. Za wdaniem się generała, dodano mu przynajmniej zięcia za koadjutora. Tak dzieci mając przy sobie, a sam tak dobrze jak nie trudniąc się parochią, oddawał się swobodnie myśliwstwu i innym zabawom. Nie dbał o przychody *curae animarum*, które dostały się zięciowi, mając kilkanaście tysięcy na procencie u generała. Jemu kapelanował, ile razy ojciec Kleofas wydali się na kapitułę lub na jaki odpust, kuruje mu psy, łowi kaczkę, i kilka razy na rok występuje z kazaniem w cerkwi lub kaplicy zamkowej. Nawet był niezgorszym malarzem, i dziwnie trafiał podobieństwa, to też jego dworek był ubrany w portrety jego pędzla wszystkich matador niewodowskich, tak po mieczu jak i po kądzieli. Pan Buńczukiewicz, którego córka była za jego synowcem, wielce go szanował i zawsze się jego radził w gospodarstwie, nawet cierpliwie słucał jego napomnień za tę jego łapczywość zdania takich, z którymi beczki soli nie zjadł. Pan generał go wielce lubił, i jeżeli jaki dzień nie przyjdzie do niego na obiad, albo przynajmniej po obiedzie na kufel miodu, zaraz na niego się kwasi, i to mu przy pierwszym spotkaniu wymawia. Tak sobie żył starowina spokojnie i szczęśliwie, cieszył się dziećmi, wygodą już zabezpieczoną, wypracowanym kiedyś chlebem i łaską kollatora. Trzeba wiedzieć, że generał tylko w dni powszednie słucał mszy świętej w kaplicy; w świąteczne chodził do cerkwi, swoim kosztem

wymurowanej, gdzie wszystkie obrazy były pamiątką księdza Nowochackiego. Chodził raz dla przykładu, powtórnie dla większej okazałości nabożeństwa, po trzeciej, że, jakkolwiek bądź, miło mu było słyszeć w liturgii wymawiane swoje i swojej córki imiona i moleben śpiewany na każdą uroczystość swojego domu, zaszczyt którego w obrzędku łacińskim dostąpić nie mógł, nie będąc z krwi panujących. W dni świąteczne służba Boża w cerkwi niewodowskiej odprawiała się jakby w jakiej kollegiacie, można było albowiem wysłuchać dwie msze ruskie, jedną łacińską ojca Kleofasa, a czasem i drugą jakiego kapłana, nawiedzającego naszego generała, jak to bywało.

Piąta osoba, należąca do ówczesnego zakładu zamku niewodowskiego była krzewem wkorzeniem jak tamte w jego gruncie, była gościem częstym, ale nie tubylcem. Był to blizki krewny generała, wielce od niego szanowany, jako brat cioteczny i duchowna osoba. Trudno było odmówić mu szacunku, bo nań zasługiwał i wysokiem światłem i najrzadszemi cnoty. Jednak jego przybycie z pewnym rodzajem niesmaku oczekivanem było od większej części mieszkańców Niewodowa, gdyż to przybycie przerwę czyniło ich zwyczajnym zajęciom.

Ksiądz Prosper Chlebowicz, ów gość niewodowski, przyjąwszy starowne wychowanie w domu rodzicielskim, a wydoskonaliwszy się jeszcze po akademiach zagranicznych, spróbowałszy różnych zawodów, w których mu się nie powiodło, obmyślił nakoniec wybrać dla siebie stan duchowny, do którego kierowały go i prawdziwa pobożność i chęć nauczania drugich. Ale że ludzkość nie może być bez jakiejsz skazy, surowość jego obyczajów, nauki, które, jak to zwykle bywa, więcej cenil dla trudów do ich nabycia poniesionych, niż dla ich rzeczywistej wartości, — nadewszystko cześć całej jego rodziny, nawykłej uważać za wyrocznię każde jego słowo; to wszystko razem tak podniosło jego przyrodzoną pychę, że gdyby siebie był zgłębił, jako człowiek świątobliwy nie mógłby się nie zatruzyć. Ale zrobił z sobą jakiś kompromis, coś nakształł restrykeyi Jezuitów, którzy, widząc w świeżo nawróconych Indyanach niewykorzenione przywiązanie do swoich bałwanów, pozwolili im nosić pagody na procesyach chrześcijańskich, byle cześć, którą objawiali dla wizerunków Wiszmu i Bramy, mentalnie była odnoszoną do Boga w Trójcy Świętej jedyne. Tak i on te oznaki uszanowania, co ich się domagał, odnosił mentalnie do wysokiego swojego powołania, a cześć dla swojego rozumu do użytku *ad majorem Dei gloriam*, który mu go przeznaczył. Tym sposobem w spokojności sumienia swobodnie oddał się dumie niepohamowanej, a dlatego też ciągle rażonej. Starał się o biskupstwo, nie przez samolubstwo, ale że był przekonany, iż na tem Kościół wiele zyska; a na tym stopniu może niezręcznie, ale bezwątpienia z największą gorliwością, starałby się wziąć w kluby co tyłkoby zauważył być rozwolnieniem w duchowieństwie. Ale pomimo cnót i nauk, nie mając wyobrażenia o wielkiej, a zupełnie praktycznej nauce obcowania z ludźmi, przy najlepszych chęciach obraził współbraci duchownych, a nawet tak zniechęcił przeciw sobie zwierzchność swoją, że stra-

cił nadzieję osiągnięcia wyższych dostojęństw w swoim zawodzie. Nie obwiniał siebie, bo sumienie nie mu nie wyrzucało: cóż albowiem zrobił złego? Ciągłe i ciągle, czy to świeckich, czy to duchownych nauczał, nie domyślając się nawet, ile to trzeba zręczności, żeby najlepsza nauka stała się zbawienną. Rażąc drugich i sam ciągle rażony, pomimo miłości bliźniego, którą pałał, uczuł wstręt do każdego, kto nosił na sobie znamię jakiejś wyższości umysłowej.

Tak tedy, utraciwszy nadzieję *altiori ascensus* w hierarchii, a nadto możny, żeby się starać o beneficja kollacyi panów, ścieśnił swoją działalność między krewnymi wyłącznie. A że generał Kunicki był jednym z jego najbliższych, że jak się już powiedziało, wielce go i szacował i miłował, często u niego przesiadywał, nie mogąc znieść samotnego życia, jak zwykle ci, którzy posiadają znaczne zasoby umysłowe. Miał ci on wprawdzie między swoimi tę wielką pociechę, że mógł sam rozprawiać, bez obawy być przerwany lub uchwyconym na słowie; ale z drugiej strony, to słuchanie zupełnie milczące nie było dla niego dostatecznem, bo chociaż mocno się obawiał wyższych od siebie rozmów, z którymi jego wywody na niebezpieczeństwo byłyby narażone, wszakże zbyt niska niższość w ukształceniu nie dostarczała mu żadnej karmi. Mowa, obrócona do istot na wszystko zgadzających się, staje się podobną do szumu wiatru, a mówca bez zachęty, bez wątku, musi nakoniec uczuć niesmak do własnej swojej mowy. Jemu potrzeba było takich, coby z nim pocertowawszy, ulegli nakoniec, zwyciężeni, jego światłu; ale tu nie podobnego. Generał Kunicki był pierwtworem prawdziwego szlachcica polskiego owych czasów: dla niego religia była obyczajem, nałogiem, ale nie nauką. Byłe zdrów, żadnego odpustu w okolicy nie opuści; ale napróżno chciałbyś mu dać jasne pojęcie tego, czem jest odpust. Dnia nie przepuści bez słuchania jednej, a czasem dwóch mszy, i to po długich rannych pacierzach; co wieczór odmawia godzinki i różaniec, ale ani czuł w sobie tego podniesienia ducha, którem modlitwa zostaje przyjemną, ani się o nie troszczył. I owszem, im więcej modlitwa zdawała mu się przykra, tem więcej zaspokojenia doświadczał, bo od nabożeństwa nie mógł odłączać wyobrażenia jakiegoś utrudzenia; i właśnie dlatego uczęszczał na kazania, że go każde śmiertelnie nudziło. Napróżno ksiądz Presper chciał go nauczyć medytacyi; póki klepie pacierze, lub czyta w książce, póty niby się zajmuje tem co robi, ale jak tylko każe mu rozmyślać to, co dopiero przeczytał, zaraz myśl jego zaczyna bujać po ucztach, po polowaniach, po sejmikach, po gospodarstwie; a zbawienie, sądy Boże, wieczność już znikły z przed jego umysłu, ku wielkemu zmartwieniu nauczyciela. Dla niego zabawą były: kieliszek, maryasz, polowanie i gawęda; zatrudnieniem — gospodarstwo i urzędowanie; a nabożeństwem — nudzenie siebie zapomocą wymawiania pacierzy bez końca, lub słuchania kazania, czy jakiejś pobożnej rozmowy, albo czytania książki. Cóż takiemu rzucać zadania teologiczne, kiedy on czuł, że świecki nie powinien ani tyle wiedzieć, ani tak się doskonale modlić, jak ksiądz lub zakon-

nik, i dlatego, jeżeli jest majątnym, winien mu świadczyć, żeby przy jego modlitwach i własna doszła gdzie trzeba? A ze swego dodawał co mógł; choć stary od żadnego postu siebie nie uwalniał. W sobotę, przysługując się Najświętszej Pannie, nic nie jadł ani pił, tylko półkopy grzanek, kilkanaście ząbków czosnku, kilka garncy piwa, i kwartę oleju z orzechów laskowych. I był nierównie spokojnym na sumieniu, niż ksiądz Prosper, którego nabożeństwo, acz szczere, nosiło postać paroksyzmu śledzony osłabionej, a którą i siebie i drugich bezustanku dręczył. Ile razy przyjedzie do generała, pokoju mu nie daje, chcąc gwałtem w jego duszę przelać własne skrupuły, ale wszystko nadaremno. Gada mu o lasce skutecznej i dostatecznej, o niebezpieczeństwie fałszywego pokoju sumienia, o błędach galikańskich, ku którym skłaniała się akademia krakowska, jako córka paryskiej; czyta mu swoje kazania i przekłady teologiczne o tych przedmiotach. Szlachcic niby słucha, ale jak w rogu, a najczęściej o czem innem myśli. Jeżeli z tego czytania coś mu wpadnie w ucho, co mu przypomni dzieje Polski, to się odezwie, ale rzadko. Raz czytał mu historję Soboru Florenckiego przez siebie tłumaczoną: gdy przyszło do Marka Efeskiego opozycyi, odezwał się generał: a to coś nakształt naszego Sicińskiego. Ksiądz Prosper, uradowany, że słuchacz uwagę przykładu do jego czytania, zabierał się jemu tę okoliczność tłumaczyć, ale na nieszczęście generał spostrzegł przez okno, że jego gończych para, wysworowawszy się, zapędziła się za królikami, wyszedł więc do sieni i krzyku narobił na ludzi, zostawując księdza skonsternowanego nad swoim rękopismem.

Zresztą, lubo generał i kochał i szanował księdza-brata, zawsze mu rad będąc w swoim domu, z którego nie puszczał go i dwa i trzy tygodnie, a że gnając, jeszcze za progiem dziękował za już, a prosił o jeszcze; z tem wszystkim oddychał po jego odjeździe, jakby mu spadł kamień z karku; bo szanowny ksiądz Prosper przytomością swoją do góry nogami przewracał i zabawy i tryb życia Niewodowa. I tak generał, żeby bawić gościa, już nie stawiał trzechgroszówek w ulubionego maryasza przeciwko pacierzom ojca Kleofasa, a rubaszny Bernach w przytomności uczonego i dumnego księdza nie śmiał się popisywać ze swojemi conceptami. Ksiądz Nowochacki, odrzekając się miodu, ani się nie pokazuje we dworze, bo boi się, żeby go nie ciągnięto na egzamin i coś mu nie bąknięto *de clamorosa venatione*. Buńczukiewicz zaraz po obiedzie ucieka do uniata, żeby *ex publicis* z nim się wygadać, bo jakże poważnym i surowym gościu opowiadać nowiny pochwymane to tam, to owdzie od żydów?

Jedna Zosia była rada, przysłuchując się pięknym rzeczom snującym się czasem z ust księdza wujaszka, gdyż wychowaniem swoim już cokolwiek więcej była dla nich przystępną. On też ją najwięcej lubił ze wszystkich swoich bliskich; wszakże często ją upominał, jak się tłumaczył, żeby jej w pychę nie wbić, a w rzeczy samej, żeby jej przynajmniej dać uczuć tę władzę, którą nad każdym rad był rozpościerać.

Generał, wedle swojego zwyczaju wstawszy o piątą zrana, a w kance-

lary swojej przy świetle łożowej świecy naklepawszy pacierzy bez liku, po nich wypróżniwszy ogromną misę latercynową piwa grzanego z twarogiem i śmietanej czekał mszy świętej, rozmawiając ze swoim koniuszym, i zaczął się ubierać, bo za nicby nie słuchał mszy w kapocie, słusznie myśląc, że jeżeli do możnego obywatela przystoi ustroić siebie, cóż dopiero idąc do Pana nad Pany, przytomnym będącego na ołtarzu! Wziął więc na siebie mundur kawaleryi narodowej, nie przepomniawszy ani szlif, ani szabli, i siadłszy przy stoliku zaczął fajkę kurzyć.

Przy pierwszych promieniach wschodzącego słońca sygnaturka kaplicy słyszeć się dała, co jemu nie przeszkadzało dopalać fajki, gdyż jak kapitan okrętu w razie niebezpieczeństwa zatonięcia, nie opuszcza go wprzód aż się przekona, że ani jeden z jego podwładnych na nim nie został, tak i generał dopiero wtedy szedł do kaplicy, kiedy cała czeladź już w niej była zebrana. Przekonawszy się więc, że już pora, oddał fajkę swojemu węgrzynkowi, a sam poszedł do świątyni, gdzie już zastał ojca Kleofasa przy ołtarzu, Zosię i łowczankę w ławkach, a całą czeladź klęczącą. Generał wysłuchał mszy ojca Kleofasa prawie całej klęczący, i wtedy dopiero usiadł na ławce, kiedy ksiądz Prosper wyszedł ze mszą drugą; ale gdy i ona się skończyła z nie-małym ukontentowaniem, poszedł ze siostrą i córką do domu, i zaraz po przywitaniu odesłał ich do siebie, a sam w swojej kancelaryi zaczął się rozbierać, by nanowo wziąć zwyczajny ubiór zimowy, żupan z haładziejki, taratatkę perwistkami podszytą i pas półjedwabny. A podczas tego przestrojenia, słudzy wokoło niego stali, na ich czele Buńczukiewicz, rozprawiający o rozmaitych spekulacyach, o których dla dobra skarbu przemyślał. Poczem wyszedł generał na ganek i robił przegląd swoich koni; dalej słuchał raportu swojego dojeżdźacza Mirona, o niedźwiedziu, co go miał pewność ściśnienia w ostępie, o wilkach, które się na wab odzywały, o maciorze z sześciu warchlakami z czego generał tak był uradowany, że swoją ręką nalał kieliszek gorzałki Mironowi. W czasie tej rozmowy arendarz generalny przyniósł mu listopadową ratę, samemi nowemi złotówkami, wybitemi pod stępem Stanisława Augusta w świeżo od niego erygowanej mennicy; a arendarz wedle zwyczaju głowę cukru i dwa oka kawy przydał do raty. Cukier i kawę odesłano łowczance, a pieniądze generał z Buńczukiewiczem zrachowawszy, zawiązał je w worku i sygnetem wycisnął na nim pieczęć z papierkiem, na którym zapisana była ilość kwoty zawartej, i położył ten worek obok innych w kufrze bawolim; którego klucz z innemi zawsze nosił w hajdawerach. A spostrzegłszy przez okno, że kolebka, na której swoje objeżdżał gospodarstwo, zajechała, siadł do niej i kazał siebie zawieść do browaru, w asystencyi komisarza, koniuszego, dojeżdźacza i pokojowego na koniach. W browarze na wszystko patrzył niby okiem znawcy, ale w rzeczy samej nie wiele rozumiał co się tam święciło, i cała uwaga, na jaką się zdobył, i zaco ofuknął pisarza była z tego, iż na burtaku obaczył leżącą siermięgę, co uważał być wielkim nieporządkiem. Ale pisarz niby skonfudowany odezwał się: — Jaśnie pańskiego oka nic nie

ujdzie; ja sam nie rozumiem, jak to mogłem prześlepić. — A widzi waść, jak to na was spuścić się nie można; żebym się nie pilnował, tobyście tu rozerwańską ulicę zrobili; oko pańskie konia tuczy. — Z tem wszystkiem pochlebstwo pisarza podwoiło mu wesołość już znacznie podniesioną akuratnością arendarza i dobremi wiadomościami dojeżdżacza.

W różnym humorze kazał siebie zawieźć przed oficynę, żeby nawiedzić księdza-brata, ale ten go nie przyjął, gdyż medytacyi swojej nie był jeszcze ukończył; poszedł więc nieco zachmurzony do ojca Kleofasa o ścianę od księdza Prospera mieszkającego. Jednak przywykły do podobnego obejścia się z nim księdza-brata, wrócił do zwykłej wesołości, zwłaszcza że gil, jakby dla oddania jemu dnia dobrego, rozpoczął swoje kuranty, i ledwo nie pół godziny go bawił, tak, że po skończonej muzyce generał się odezwał:

— Wiesz wasze, ojcze Kleofasie, że twój gil majster; mowy mu tylko nie staje, taki rozumny, żeby darmo twojego chleba nie jadł, sto kwart gorzałki z wczorajszego wypędu daruję waszeci na konwent miński, a że mój arendarz Mordko jutro jedzie do Mińska, jakoś go uprosisz, żeby beczułkę tam odwiózł.

Skłonił się nisko kapelan, a generał mówił dalej: — Książ-brat, waszeci sąsiad, wolałby rozrywać siebie, chociażby ucząc ptaszki z pozytywką, niż tak tetreczyć. Ale to człowiek bardzo rozumny; nieprawda?

— Porządna i uczona głowa, jaśnie wielmożny panie; jemu być prymasem. Bo i głowa i postawa do tego.

— To prawda, to prawda, całe moje nieszczęście, że nie umiem go bawić. Ani o gospodarstwie, ani o polowaniu mówić nie lubi, a ja te uczone rzeczy już dawno pozapominałem; boję się, żeby w domu moim się nie nudził. Z jego ojcem a świętej pamięci moim wujem szło gładziej; mój Boże! co też my z sobą łosiów i dzików nie nabili! Jeszcze to wtedy ksiądz Prosper nie był na świecie; ale jutro mieć będziemy gości, z którym lepiej się zabawi; nasz wojski i brat jego starosta Wieluński: to wszystko przy mnie się rodziło. Chciałem pana starostę w bokówce ulokować; jak sobie chcesz, ale urzędnik wysoki i orderowy pan; lecz pan Michał pisze, że dla niego koniecznie trzech izb potrzeba. Więc u Buńczukiewicza rumacya; on z całą rodziną przenosi się do księdza Nowochackiego, zwyczajnie swat do swata, a cała komisarya na usługi pana starosty. Kaduk wie, jak temu panu dogodzić, bo za granicą wychowane, czy moje szlacheckie obiadki będą mu do smaku?

— Co! Jaśnie Wielmożny pan chyba żartujesz! Ktoby u pana nie był syty, tego oto temi ogórkami wartoby ochłostać.

— Tak myślisz, ojcze Kleofasie? wprawdzie pisze do mnie i pan Michał, że brat jego w ubieraniu się tylko jest wymyślnym, a we wszystkim innem co mu dadzą, to z dobrem sercem przyjmuje. Wszakże chociaż pan Michał jest moim przyszłym zięciem, pan starosta w to nie wchodząc, mnie wybrał za superarbitra, żebym między nimi dział zrobił pozostałej po ojcu fortuny. Pisał do mnie, że w przyjacielu nieboszczyka ojca widzi drugiego ojca; bar-

dzo jakoś to dobrze i pięknie ułożył: ta ufność jego wielce jest obowiązująca, bo kto inny mógłby pomyśleć sobie, że bliższa koszula ciała niż suknia.

— Znają JW. Pana charakter i w Litwie i w Koronie. Czy to takie interesa o pańską głowę się opierały? a wszakże i pan starosta musi o tem wiedzieć, że gdyby pan wojski nie był uprosił ojca umierającego, by rozdarł testament, nie miałby teraz potrzeby utrudzać JW. Pana ich działem.

— Tak jest w samej istocie; ale widzisz wasze, świat jest tak podejrzliwy, że kiedy na czyją ufność się natrafia, za nią całe życie trzeba być wdzięcznym. Tymczasem trzeba mi ruszyć do domu, zająć się wygodą oczekiwanych gości. A wasze, jako z księdzem-bratem *noster vester*, oświadczyć mu moje uszanowanie i dowiedz się od niego, czy mu dobrze u nas, czy mu czego nie brak; jabym rad jemu nieba przychylić, byle się u mnie nie nudził. — To wyrzekłszy, odszedł, i kazał siebie podwieźć do domu, gderając na woźnicę, że mu konie zrywa.

Przybywszy, poszedł nie do siebie, ale do córki, co mu się bardzo rzadko zdarzało; i tam z nią i łowczanką więcej godziny przesiedział. Zosia musiała zdać mu rachunek z całego pobytu w Nieświeżu. Tańce i uczytynie wiele go obchodziły; ale każde słówko księcia wojewody po kilkakrotnie musiało być powtórzone, zwłaszcza te, które wyrażały przyjaźń księcia dla niego. Przerywał to opowiadanie podobnemi wykrzyknikami: — Co to za kochany pan! jaki to wielki senator! I po co siostra mnie nie pozwoliła z wami jechać? niby ta podróż więcejby mnie zmęczyła, niż moje polowanie. At, gniewam się na waćpannę. — Trzeba było Zosi jeszcze się rozszerzyć nad stopniem łaski, jakiej doświadczała od siostr książęcych.

Wszystkie doniesienia Zosi, potwierdzone od łowczanki, tak ucieszyły starego, że natychmiast posłał po ojca Kleofasa, aby radość swoją z nim podzielić.

Pożegnawszy córkę i siostrę, poszedł do swojej kancelaryi, żeby się jeszcze wygadać ze swoim kapelanem, i wysłuchać przed obiadem (wedle przyjątego od lat kilkudziesiąt zwyczaju) nie mniej nie więcej dwóch stronnic egzercycyów Św. Ignacego; obyczaju tego dochowywał z równą wiernością, jak wypróżnienia przed samym obiadem sporego kieliszka starej gorzałki.

XVII. Szermi duchowne.

Kukułka raz kuknęła, a dzwon blisko ganku zawieszony na to hasło się odezwał i tem przywołał towarzystwo niewodowskie do pańskiego stołu. Zwykle społecność przy nim usiadła oprócz Unity, który, ciągle chowając się przed księdzem Prosperem, tym razem mógł się wymówić oporzędzaniem kwatery z powodu oczekiwanego starosty. Generał, pełen dobrej fantazyi, zaczął mówić o łowach, może setny raz powtarzając szczegóły tego polowania, na którym się sam znajdował, kiedy to ksiązę Radziwiłł, chorąży litewski, przyjmując króla Augusta wtórego, przez jedną noc stworzył mu w czystem

polu las napełniony grubą zwierzyną. A kończąc opowiadanie dodał: — Przepraszam księdza brata, że go nudzę, bo wiem, że nie jesteś przyjacielem myśliwstwa.

— Broń Boże, my księża powinniśmy owszem wielce lubić myśliwstwo. Ale jakie? Muszę też państwu opowiedzieć jedną historię myśliwską, której byłem świadkiem. Oto w Rzymie w czasie zapust jest najpomyślniejszy polów zwierzyny. W tymże więc czasie, przechodząc przez Corso, spostrzegłem, że jakiś zakonnik w komży stanął przed jedną kamienicą, a obok niego braciszek także w komży, podniósł ogromny krzyż. Zaczął się naród około niego zbierać, i ja też przybliżyłem się z ciekawości; a zakonnik tak się odezwał do narodu: „Mili bracia, nadeszła pora, gdzie myśliwi szczególnie zajmują się łowami. I Chrystus Pan także do polowania się zabiera; już nas wysłał, żeby ku strzałom jego napędzać zwierzynę, a ta zwierzyna, są to dusze wasze. Jeżeli będziecie uciekali z ostępów, jeżeli my was do nich nie zdołamy zwrócić, pan nas wychłosta za to, że darmo jego osypkę zjadamy, jemu żadnego nie przynosząc pożytku. Mieście więc litość i ruszajcie za mną do kniei gdzie na was czeka, ażebyście temu dobremu łowcowi pociechę przynieśli“. — I zaprowadził nas do kościoła swojego zgromadzenia, gdzieśmy usłyszeli najpyszniejsze kazanie. A co, panie Józefie, nie pięknież to polowanie?

Jest to dobra krytyka na nas, księżo bracie; jednak z przeproszeniem waszej godności, ja tak niewinnej, tak szlachetnej zabawy jak polowanie, za grzech trzymać nie mogę. Wszakże ksiązę wojewoda, jaki gorliwy katolik, a przecie zapalony myśliwy, toż i pan Rejtan, podkomorzy Nowogrodzki, toż i świętej pamięci ojciec księdza brata, jednym słowem wszyscy, co po staremu trzymają. Mój dziad, który był świętym człowiekiem, wszakże on fundował klasztor Bernardynów w Iwieńcu, tak lubił polowanie, że chociaż był kasztelanem Zawichojskim, z Małopolski przeniósł się na Litwę dla zwierzyny. Otóż kiedy królowi Janowi wyprawiał swoją chorągiew z moim ojcem, było w niej czterdziestu towarzyszków, a każdemu dał po jednej skórce niedźwiedziej, a każdego z tych niedźwiedzi własną ręką położył. Wtedy na Litwie było nierówno więcej niedźwiedzi, niż teraz.

Tu ojciec Kleofas poparł swojego kolatora:

— Polowanie JW. panie tak dalece nie jest grzechem, że po starych mszałach znaleźć można mszę Św. Huberta, umyślnie dla myśliwych. Ta msza jest omal nie przez połowę krótszą od zwyczajnej, żeby myśliwym czasu nie zabierać.

— Jak uważam, panie Józefie — odrzekł ksiądz Prosper — chcesz siepać biednego Petreistę, kiedy aż zakonnika bierzesz na pomoc. Jeszcze raz powtarzam to, co już nieraz mówiłem panu Józefowi, że polowanie nie jest grzechem, ale marnowaniem czasu, mogącego być użytym na coś lepszego. Bóg się W Pana nie spyta, ile niedźwiedzi i dzików zabiłeś, a pamiętaj, że masz siedemdziesiąt dziewięćty rok.

— Ale jestem zdrów i czerstwy, a możebym tych lat nie doczekał, gdybym nie polował. A czy polowanie nie jest dobrym uczynkiem? Dawszy pokój wilkom, małoby one szkody bliźniemu narobiły? Ja swego czasu się modłę, a swego poluję. *Et haec facienda, et haec non omittenda*. Nowomodni panicze wcale nie nabożni, z nas żartują jako z fanatyków, a między nimi niewielu myśliwych. Jutro ksiądz brat poznasz pana starostę Wieluńskiego, rodzonego brata naszego Michała; on pewno nie myśliwy, bo to światowiec; będzie miał ksiądz brat z kim mówić, bo to ma być i rozumny i uczony kawaler.

— Gdzie też on zechce wdawać się w rozmowy z nędznym sługą Bożym!

— I owszem i owszem, on sam będzie szukał księdza brata, jako uczonego, bo on słyszę czytany; przecie szefem gabinetu dzisiejszego króla, który sam ma być wielkim literatem. Pan starosta, chociaż kuso się nosi, jest nawet łacinnikiem; czytałem jeden jego list do nieboszczyka strażnika, mojego wielce ścisłego przyjaciela, a list tak piękną łaciną, że rektor jezuicki lepszego nie napisze. Prawdziwie Duch Święty dla mojego ratunku natchnął księdza brata, że tu przedłużył swoją bytność; będzie komu się bawić z panem starostą, bo ze mną jednym na śmierćby się zanudził. Zmiłuj się księżu bracie, nie stroń od niego, bo ja jemu nie dam rady.

— Stronić nie będę, ale wątpię, żebym mu był do smaku, bo dla przypodobania się jemu, mojego sposobu mówienia nie odmienię; moja wiara jest mojem życiem. Będę mówił jemu to, co i panu Józefowi mówię, że za kilka dni umrzeć trzeba i pójść na wieki — gdzie?... Wszak chyba tysiączny do nieba się dostaje. Jeden teolog miał objawienie, że do piekła dusze padają, jak gruszki z potrząsnętego drzewa. Wątpię, żeby ta mowa jemu się podobała.

— Jeżeli uczony, jak oni mówią — odezwał się Bernach — to może o to z waszą rewerencją podysputuje, i będzie utrzymywał, że z męki naszego Zbawiciela, nie mniejsza, ale większa część ludzi korzystać musi.

— O! bardzo przepraszam! Wyraźnie stoi *multi vocati, pauci electi*. Penitentów swoich usypiać nie trzeba fałszywym pokojem, żeby później nie nastąpiło okropne przebudzenie; jedna chwila grzechu zniwecza kilkadziesiąt lat cnotliwego żywota. Czytałem w pismach jednego mądrego teologa, że jeden seminarzysta żył tak świątobliwie, iż gdy umarł, jeszcze nie wyświęcony, zabierano się do jego kanonizacyi. Aż przełożony otrzymał objawienie: ujrzał tego młodzieńca zanurzonego w piekle za to, że zasnął, bawiąc się myślą nieczystą, a z tego snu nie powstał. Niema co tu głową kiwać, ojcze Kleofasie! Do waszeci się odzywam, czy to jest *possibile*?

— *Possibile concedo, ale czy probabile, o tem nie wiem, ile za takowe teologiczne anegdotki non sunt de fide.*

— *Non sunt de fide, sed non negantur sine temeritate.* A nawet ten wyraz anegdotki, z przeproszeniem ojca Kleofasa, tu wcale nie na swoim miejscu.

Bernach zasznurował sobie usta, a generał możeby i się przestraszył, ale na jego szczęście ledwo ksiądz Prosper zaczął swoją powieść o kleryku potępionym za jedną tylko myśl, spostrzegł, że piskorze zaczęły nadzwyczajnie pluskać się w butli. Odezwał się więc:

— To na śnieg, nie daj Boże, żeby na deszcz. Jeżeli na śnieg, będziemy mieli wysmienite pole. Buńczukiewicz! żeby mi waśc zaraz po obiedzie księdza Nowochackiego odszukał, to jest kalendarz chodzący; trzeba go zapytać, czy przeczuwa ponowę, bo pojutrze w pole nam koniecznie wyruszyć trzeba; pana starostę zostawię z księdzem bratem, a pana Michała zabieram z sobą; to myśliwy jakich niewielu. Tymczasem, mości Jacku, przykaż synowi, żeby niewiele osypki dosypywał pijawkom, bo my na niedźwiedzia może pojedziem, a pies zajadlejszy kiedy trochę głodny. Ale przepraszam księdza brata, żem mu przerwał; *mea culpa*, boś mówił tak rozumnie, tak do zbudowania, że mało dziesięć uszu każdemu, by go wysłuchać. Ale zwyczajnie gospodarz, rad słuchać, a w tem to to, to owo przychodzi do myśli, że w głowie jak w trybunale. Proszę księdza brata, jeżeli mam łaskę, przedłużyć swój piękny dyskurs.

— Jużem skończył, zresztą pan Józef niezbyt lubi te rzeczy duchowne.

— Jakże nie! a cóż wart człowiek bez obroku duchownego? I słucham i czytam rzeczy pobożne, niech powie ojciec Kleofas. Niezadługo adwent, a z nim zacznie się czytanie księdza Skargi. Bogu chwała, żeśmy się jeszcze jednego roku doczekali; azaliż ten adwent nie będzie szczęśliwszym od przeszłorocznego?

— A cóż było złego w przeszłorocznym adwencie, braciszku? odezwała się łowczanka.

— Chyba zapomniałaś, że był jeszcze mniej stałym, niż łaska panów; to przymrozek, to znowu odwilż, błoto zamiast śniegu, polować ani sposobu. A co mi też kłaczy pozrzucalo! A zapominasz, że pod koniec adwentu mój kochany strażnik zaczął chorować? „Ale człowiek wszystko przeżyje, tylko śmierci nie przeżyje“. Wszak tak księżu bracie? Oto jemu dziś rano służyłem, tylko że jak zwykle byłeś zatrudniony, przypiekleł moje nawiedziny. Chciałem się dowiedzieć, jak się spało? czy kawa była dobra? bo u mnie dusza na ramieniu; czy księdzu bratu na wygodach nie zbywa...

— Nigdzie mi lepiej być nie może, jak u pana Józefa, i daję tego dowód, tak często go nudząc moją bytnością.

— To szczęście dla mnie; proszę nigdy nie wyjeżdżać z Niewodowa; błogosławieństwo Boże ksiądz brat mnie przynosisz.

Tak rozmawiając doczekali się końca obiadu. Generał zaprowadził gościa i domowników do bawialnego pokoju, a sam wedle swego zwyczaju wysunął się do kancelaryi dla spoczynku. Za jego przykładem wyszedł i Bernach z nosem na kwintę spuszczoneym, i Buńczukiewicz znudzony, że ciągle milczeć musiał. Ksiądz Prosper, zostawszy z Zosią i łowczanką, używał pociechy nauczania ich i strofowania, co obie z pokornem sercem przyjmowały, pierwsza

zajmując się atlasową robotą, a druga robiąc pończoszkę, i trzymając swoją Darioletkę na kolanach.

Po godzinnem wytechnieniu generał wsiadł do swojej parokonnej kolebki, i kazał siebie zawieść do dworku Buńczukiewicza, by opatrzeć kwatere, przeznaczoną oczekiwanemu gościowi. Wszystko znalazł po myśli swojej: zastał tam sługi obu braci, naprzód wyprawione, którzy rzeczy pańskie rozkładali; przypatrywał się z ciekawością różnym galanterjom starosty, rozmawiając z jego kamerdynerem. Ztamtąd zajechał do swojej stadniny, ale skończywszy przegląd klaczy, spotkał księdza Nowochackiego piechotą idącego. Zabrał go z sobą do psiarni, gdzie, jak się pokazało, najdłużej zabawił, rozmawiając z unitą i pieszcząc swoje ogary i pijawki, wedle stopnia ich zasługi i zdolności, każdego zowiąc po nazwisku. Już dobry był zmrok, kiedy przybywszy do pokoju bawialnego, zastał świece pozapalane. Zosia, ponieważ przez obawę by nie psuła sobie wzroku, ciotunia jej krosienek nie pozwalała, kiedy słońce już zniżało, na kościanych drutach robiła kaftanik dla ojca; łowczanka, zawsze z swoją Darioletką na kolanach, związała w kłębek nici z motka, który trzymał na obu rękach klęczący przed nią koniuszy Buńczukiewicz; a Bernach, siedząc przy kątowym stoliku, sypał swoje dykteryjki, zapijając je jałowcowem piwkiem.

Generał, usiadłszy przy stoliku ojca Kleofasa, kazał sobie lulkę nałożyć, i kurząc wonny tytonik, wziął się do piwka, przyczem się odezwał: — Już szósta biła, a księdza brata nie widzę.

Łowczanka. Przyjdzie, braciszku, za pół godziny; z nami więcej godziny po obiedzie bawił, ale wyszedł, bo ma coś do pisania.

Generał. Niech pisze, niech pisze a drukuje dla pożytku ludzi; niech no się pokaże jego książka drukowana, zaraz kupię i zapłacę bez targu co księgarz zaceni. Będzie ale co czytać, bo to człowiek niepospolitego rozumu; wszak prawda, ojcze Kleofasie?

O. Kleofas. A jakże nie? Jemu być biskupem! Takiej głowie nie bieret, ale infuła przystoi.

Generał. A cóż powiecie, ot! nie ma szczęścia. Książę biskup Wileński, o którym fama, że byle gdzie rozumnego kapłana zwietrzył, zaraz go popycha, czy oszalał, że dla księdza brata nie nie robi? A jak mi się widzi, w całym Wilnie nie ma jemu równego. Jak on to mnie mądrze onegdaj dowodził, że mój patron Św. Józef starszy od Św. Jana Chrzciciela, chociaż temu ostatniemu Pismo Święte starszeństwo zdaje się przyznawać.

O. Kleofas. Wszyscy święci są równi między sobą; i jakże im wynajdywać stopnie? Tem więcej, że nie pojmuję, na jakiej powadze ksiądz Chlebowicz swoje zdanie opiera.

Generał. Widzi wasze, on to jakoś tak dowodzi, że choć Pismo Święte za świętym Janem trzyma, to nie w tej myśli, że by na tem Św. Józef cierpiał. Ale chce powiedzieć, że jeden starszy wedle reguły, a drugi starszy wedle nie reguły. Czy uważasz? Zresztą tak jestem cały dzień zajęty że tego *de re et nomine* nie jestem w stanie odpowiedzieć; dość, że to, co mówił ksiądz brat,

było tak mądre, że nie każdemu odrazu to zrozumieć; ale jak go poprosisz, to on waszeci wszystko na boku akuratnie wyłuszczy; i mnie potem to lepiej wbijesz w głowę, żebym, jak się obaczę z panem Janem Radziszewskim, podwojewódzym Smoleńskim, nagził go starszeństwem mojego patrona. Nieprawda, ojcze Kleofasie, że ksiądz brat to całą gębą uczona głowa?

O. Kleofas. A jakże nie uczona głowa!

General. To tylko szkoda, że ciągle nad książkami siedząc, stetryczał nieborak. Nie zajmuje się niczem takim, coby go rozerwać mogło: ztąd smutnych myśli nie odganiając od siebie, został skrupulatem i dla siebie i dla innych. Sam się czegoś ciągle boi, za to i drugich straszy, czy uważałeś wasze, jak on mnie do piekła odsyłał, że do zbytku lubię polowanie, a niedość nad książkami siedzę? A coby to się zrobiło z gospodarstwem, gdyby człowiek każdą rzecz na serce brał? A wiesz, ojcze Kleofasie, że przy obiedzie zmieszał mnie trochę? Źle odpoczywałem, i aż wyjechać musiałem dla przewietrzenia niespokojności.

O. Kleofas. Żartuj sobie JW. pan zdrów z tych straszaków; czyż to już jeden ksiądz Chlebowicz na świecie? Że rozumny i obczytany, to ani słowa, ale i nas nie dla śmiechu wyświęcono, a może mamy tyle, ile i on doświadczenia. Daj mu Boże być tyle ludziom pożytecznym w swoim zawodzie, ile JW. pan nim jesteś w swoim; wszakże więcej trzydziestu lat jestem pańskim spowiednikiem, i mnie też wierzyć godzi się. A co to? JW. pan krzywdzisz bliźnich? gorszące życie prowadzisz? żałujesz swojego chleba ubogim i klasztorom? zaniedbujesz przepisy Kościoła, żebyś się miał piekła obawiać? Sam ksiądz Chlebowicz, jak mu śledziona przestanie dokuczać, będzie miłosierniejszym.

General. Tak mówisz? To też choć mnie nafrasuje, to nie na długo; a że go kocham i szanuję, nie chcę się jemu sprzeciwiać. Jednak chciałbym, żeby kto go namówił, a żeby z nami katolikami zawieszenie broni uczynił, a wziął się do nawracania naszych Tatarów. Naprzykład mojego pułkownika; jakby to było pięknie, żeby waszeci, ojcze Kleofasie, z przed nosa jego nawrócenie uchwycił. Niech sobie wszelako na nas gdera zdrów, a niech zaspokoi śledzoną, bo to wielce rozumny człowiek, a poczciwe serce. Dobrze, że przynajmniej będzie miał z kim bawić, bo i starosta ma być głowa nielada. Ot kto wie? jak się pozna z księdzem bratem, że z królem często rozmawia, może mu bąknie o nim jakie dobre słówko, że go i na biskupstwo wyniesie.

Lowczanka. Nic z tego nie będzie, braciszku, bo jeszcze dopiero przed nami się oświadczył wyraźnie, że za nic biskupstwa nie przyjmie, chyba mu to rozkaże Ojciec Święty pod kłątą.

O. Kleofas. Póki panna lowczanka będzie mu je ofiarowała, póty odmawiać będzie; ale jak król przemówi, spodziewam się, że nie będzie tak twardy.

General. U Buńczukiewicza wszystko gotowe do przyjęcia braci Strawińskich. Już rzeczy starosty przyszły, i tak są porozstawiane, że izba wygląda jak cacko. A jakie drogocenne rupiecie! my chwała Bogu, ani tego

potrzebujemy, ani się na tem znamy. Poznałem jego fryzjera, zwyczajnie opasłe Niemczyisko; z nim ani mowy, ani rozmowy. Ale podobał mi się jego kamerdyner, Polak i do rzeczy; rozmawiałem z nim. Bywalec, mospanie, u starosty jego nie pierwsze pole. Ale, ale, mości Buńczukiewicz młodszy! żeby kamerdyner i fryzjer pana starosty mieli miodu podostatek, miodu trojniaku, który wybornie za stary uchodzić może.

Koniuszy. Słucham, jasnie panie. Ale pokazuje się, że Niemiec umie o sobie pamiętać. Bo kiedy znoszono rzeczy jego pana, spostrzegłem, że między nimi była barylka, przynajmniej czterogarcowa. Dowiedziałem się od kamerdynera, że to jest wino, które fryzjer wyprawił z Nieświeża dla swojego użytku.

General. A niecnota! bez wina obejść się nie może? Niech-no u nas zasiądzie, tak się gorzałką rozpije, jak wszystkie tutejsze Niemcy. Ale coś się przeziębilem w psiarni, a piwo więcej chłodzi, niż rozgrzewa. Wszak to czwartek, siostruniu; należy się nam krupniczek, zapomniałaś o mnie i oju Kleofasie.

Łowczanka. I owszem, bardzo pamiętałem; panie Buńczukiewicz, żeby zaraz przynieśli tacę z tem wszystkim, co na niej jest; stoi na komodzie w moim pokoju.

Przyniesiono co było trzeba, kawę i śmietankę dla kobiet i księdza Prospera, a dla generała i Bernacha gorzałki, lipcu patoki, goździków i zórawinowego soku. Łowczanka w rondelku nalala patokę gorzałką, dodała goździków i wonny płyn zapaliła, blaszaną łyżką mieszając ciągle, żeby patoka dobrze się rozpuściła. Błękitny płomień igrał swobodnie nad rondlem, póki sam przez się nie wygasł. Łowczanka, ostudziwszy płyn pozostały, napełniła nim do trzech części dwie szklance, a czwartą uzupełniła zórawinowym sokiem. Purpurowy napój zaczął rozweselać dwóch starców, kiedy ksiądz Prosper ich powitał chrześcijańskim pozdrowieniem.

General. Witam księdza brata. A jakże ze zdrowiem? Czy niczem nie straciłem jego łaski?

Ks. Prosper. Zawsze dobry sługa Wpana, panie Józefie, a co do zdrowia, *oro et laboro*. Widziałem przez okno, jak pan Józef wyjeżdżał dla obejrzenia swojego gospodarstwa; wielcem się z tego budował, bo dopełniasz rozkaz dany od Boga, żeby pożywać chleb swój w pocie czoła. A ja nad sobą się zastanawiałem, że dotąd nic jeszcze nie zrobiłem dla chwały Bożej; jestem *inutile pondus terrae*. Tak, tak, panie Józefie; w twojej sali jadalnej nad zegarem stoi napis: zegar dzwoni, czas ucieka, śmierć goni, wieczność czeka. A jaki to mądry napis! Czy myślisz, panie Józefie, że lada dzień umrzeć trzeba?

General. A jakże nie myślę? Codziennie raz, a nawet dwa razy, bo wstając i idąc do snu przy modlitwie myślę o śmierci. A czy się o niej myśli, czy nie, ona wszelako swojego czasu przyjdzie.

Ks. Prosper. To zdanie, pozwól sobie powiedzieć, na wiatr rzuciłeś, panie Józefie, bo nie idzie o to, by śmierć przysła, ale żeby zastała nas dobrze do niej przygotowanych.

Generał. Nie inaczej, księżu bracie, ale ja będąc gospodarzem, muszę robić po gospodarsku; na wszystko mam swoje godziny, a teraz jest godzina zabawy. Bo widzisz, księżu bracie, przy kawie i krupniczku niegładko jakos idzie rozpamiętywanie śmierci; a jeszcze ja, gospodarz, miałbym gości zasnucać? Na ich przyjęcie trzeba przygotować jaknajweselsze oblicze. Buńczukiewicz, żebyś wziął z mego kantoru bursztynu do kadzenia i odeślij go do dworku twojego ojca, oto masz klucz; i nie zapomnij miodu posłać. Przepraszam księdza brata i słucham.

Ks. Prosper. Kiedyś obejdział gospodarstwo, ja sobie czytałem traktat o śmierci jednego wielkiego teologa Włocha. Przetłumaczę z niego niektóre rzeczy dla Wpana. Czy wierzysz, że jak djabeł pomiarkuje, że człowiek lada chwila skona, wtedy najstraszniejszymi pokusami, a to nieczystości, a to niedowiarstwa, a to rozpaczy, na niego naciera.

Generał. A jakże nie mam wierzyć: *quid est fides? credere quod non vides.*

O. Kleofas. Nie chcę się narażać szanownemu księdzu Chlebowiczowi, a z obowiązku mojego winienem JW. pana ostrzedz, że zdania teologów, jakkolwiek poważne, nie są artykułami wiary i bez grzechu można je odrzucać. Sam temu nie zaprzeczy.

Generał. Co! nie są artykułem wiary? Bóg ci zapłać, ojeze Kleofasie, że mi ciężar z głowy zdjąłeś. Z przeproszeniem twojem, księżu bracie, temu wierzyć nie będę; ten twój teolog, choć bezwątpienia musiał być mężem światłym i pobożnym, jako Włoch rodowity musiał być lękliwego serca i śmierci do zbytku się obawiał.

Ks. Prosper. Oho! już bujasz sobie, panie Józefie; lepiej milczeć, niż tak się odzywać. Bo chociaż to, co ja przytaczam, nie jest artykułem wiary, jest przecie prawdopodobnem.

Generał. Kochany księżu bracie, wierz mi, że tak nie jest; a co ja mówię, to nie z książek, ale z doświadczenia. Czy to mi raz w oczy śmierć zacierala! Wszak to ja jeszcze ze Szwedami tłukłem się na ostre. Kiedy my to trzymali z Moskwą przeciw Karolowi XII-mu, byłem już namiestnikiem w chorągwi księcia kanclerza; tylko co mi się wąż wysypał, ten sam, jeno że wtedy był czarny. Jeszcze to wtedy cesarz Piotr Wielki robił nasz przegląd w Mereczu. On nas wyprawiał do Kalisza; Rzewuski hetmanił wojsku polskiemu, Sieniawski saskiemu, a Menszykow Rosyanom! Daliśmy ducha Szwedom, ale i około nas było kręto z początku. Mój brat przyrodni tuż koło mnie zabity został; szwedzkie armaty przez kilka godzin sypały a sypały na nas kartacze, ale jakoś się przeważyło. Ani mi było w głowie, że tę bitwę przeżyję, bo nasi jak muchy padali, a jednak żadnych takich pokus, o których ksiądz brat mówisz, nie doświadczałem. Tylko polecisz duszę Bogu, a od-

mówiwszy: „Kto się w opiekę“ — naprzód! Większa połowa naszej chorągwi roztopiła się, a my z resztą dwie armaty Szwedom odebraliśmy, otrzymawszy plac bitwy i nabrawszy Szwedom mnóstwo armat, pulwerkarów i niewolników. Menszykow nie mógł się nas odchwalić. Jego piechota, to był mur chodzący, ale jego kawaleryi daleko do naszej; sam to przyznał.

Ksiądz Prosper nieco się zasępił, a generał z Bernachem dopijali swój krupniczek, gdy słyszeć się dały trzaskania z bicia.

— Któż to być może — odezwał się generał — wszak na jutro dopiero spodziewamy się gości.

Wtem służący wpadł z oznajmieniem, że jakaś karetka stanęła przed ganikiem. Generał spieszenie wyszedł dla przyjęcia gości i wkrótce wrócił, wpuszczając ich do pokoju przed sobą.

XVII. Przybycie starosty do Niewodowa.

Nówoprzybyli goście byli to bracia Strawińscy, którzy, jak się pokazało, pospieszyli, i zamiast nazajutrz, tego samego dnia stanęli w Niewodowie. Wojski miał na sobie kontusz rabarbarowy i żupan błękitny w srebrne kwiateczki, takowy garnitur wówczas był w największej modzie; a starosta był w mundurze kawaleryi narodowej, bo między innymi zaszczytami otrzymał był pułkownikostwo w chorągwi królewskiej.

— Bardzo przepraszam pana starostę — rzekł generał — że mnie tak zastajesz nieprzygotowanym do jego przyjęcia. Ale to prawdziwa dla mnie niespodzianka, że się cieszę pańskim przybyciem, bo dopiero jutro ich się spodziewałem.

Starosta. Taki był mój zamiar, ale łaknąc poznania się z przyjacielem i łaskawcą naszego ojca, ani chwili czasu tracić nie chciałem. Przecie stanęłem u kresu moich życzeń, i pan generał pozwolił mi ucałować rączki przysłej bratowej i panny łowczanki.

Generał. Siostruniu, i ty moja Zosiu bawcie pana starostę, a ja na chwilę odejdę, żebym się mógł jemu przyzwoiciej pokazać.

Starosta. Panie generale, proszę mnie tej krzywdy nie robić, postępując ze mną jakby z obcym. Niczego nie pragnę, jak być uważanym w jego domu za krewnego.

Generał. Ale kiedy to mi wstyd siedzieć w kabacie, obok pana starosty w mundurze.

Starosta. Jako stary żołnierz, znam moje obowiązki zanadto, abym się ważył inaczej, jak w mundurze, przedstawić się koledze w stopniu starszemu, i jeszcze tyle zasłużonemu ojczyźnie.

Generał. Proszę, żeby przynajmniej ta etykieta była po raz pierwszy i ostatni, a teraz niech pan z łaski swojej się rozgości i zdejmie ten oręż, bo jesteś w przyjacielskim domu. Mój Boże! wiele to razy ja pana starostę na moich rękach nosiłem! A moja nieboszczka żona to pana ledwo że nie wię-

cej od własnych dzieci kochała, których było kilkoro. Ale to wszystko Bóg nam zabrał; mój syn zginął na wojnie, szczęście, że Bóg na starość obdarzył nas tą dziewczyną; ot co się zostało z wszystkiego: biedna sierota, która swej matki nie знаła. Ale co mam i siebie i panów smucić? to już się nie wróci. Pan starosta całą młodość swoją oddał wojskom zagranicznym i na siedmioletniej wojnie sławę sobie zjednał, bo wiem o tem. Miło mi jest widzieć teraz w nim mojego kolegę, gdyż jeden mundur nosimy; pan starosta od niedawnego czasu, a ja sześćdziesiąty już trzeci rok. Kiedy zostałem towarzyszem, to jeszcze nie było mundurów; nosiliśmy pancerze, misiurki, koncerze. Nie tak to wyglądało jak dziś; ale jak to się było! jak mnie widzisz mości starosto, w kilkudziesiąt potyczkach znajdowałem się osobiście. Jeszcze *anno domini 1709* rozpoczynałem wojaczkę, kiedy Szwedzi szastali się po Koronie i Litwie; mnie było rok osiemnasty, ale byłem takiego wzrostu jak dziś jeno było trochę więcej siły. A że natura ciągnie wilka do lasu, to, choć stary, jeszcze niedawno siadłem na koń. Pan starosta nie z nami trzymał, ale też i nie bił się przeciwko nam; nawet byłem tak szczęśliwy, że nigdzie mi się nie zdarzyło spotkać partyi królewskiej, bo bić się przeciwko swoim to smutna rzecz. Doświadczyłem tego smutku w wojnie szwedzkiej, ale młody wszystko wytrzyma. Kiedy nas Podgoryczanin rozbił pod Nieświeżem, to ja, nieboszczyk strażnik, nasz wojski, wszyscy byliśmy razem, i pędzono nas ztąd aż na Wołoszczyznę. Ale od dwóch lat z całym światem zrobiłem przy mierze; już mnie nie wojować. Co to panie, osiemdziesiąt lat nadchodzi, a jednak się liczę w komputowem wojsku, i mam moją chorągiew dotąd; za nią Bóg wie cobym mógł dostać, lecz chcę umrzeć rotmistrzem kawaleryi narodowej. Niech nas młodzi sobie jak chcą uczą rozumu, niema jak kawalerya narodowa! Na co nam fortece? na co obciążać siebie piechotą? to są piękne rzeczy, ale nie dla nas. Polak do konia stworzony, a piechotą chodząc prędko na nogi zapada. Żeby w każdym powiecie była jedna chorągiew kawaleryi narodowej, cały świat radyby im nie dał. W tym powiecie chorągiew weźmie w skórę, w drugim się poprawi, a naszych powiatów secinami, a jak się utworzy wojsko z piechotą, armatami itd., a wlezie gdzieś na jedno miejsce, a potem da się rozbić, już będzie po wszystkim. Ale, ale! pozwól, mości starosto, poznać pana z moim bratem, księdzem Prosperem Chlebowiczem.

Starosta. Proszę mnie tak znakomitemu kapłanowi przedstawić, odgłos jego cnót i światła do nas przecie doszedł. Jakże rad jestem, że mogę się poznać z księdzem, i starać się o jego przyjaźń.

Ks. Prosper. To zanadto dla mnie zaszczytu; gdzież panu staroście szukać przyjaźni u biednego księdza? Pan jesteś dla nas niezupełnie świecką osobą, będąc bliskim krewnym naszego pasterza.

Starosta. Widziałem się w Nieświeżu z księciem biskupem, znalazłem go zdrowym i wesołym. Ale dlaczegóż ksiądz dobrodziej nie zawitał do Nieświeża na Św. Karol? Tam było mnóstwo osób duchownych.

Ks. Prosper. Czybym się docisnął między takimi matadorami? A nie śmiałem się puścić pod skrzydła JW. biskupa, będąc tak bardzo niepewnym jego łaski.

Starosta. Co za próżna obawa! Książę biskup rad się otaczać tem, co ma znakomitszego w swoim duchowieństwie. Nie myśl, książę, byś nie był znany narodowi, u mnie samego, chociaż jestem żołnierzem, w zbiorze książek niepoślednie zajmuje miejsce dysertacya księdza Chlebowicza: *De oratione jaculatoria*.

Ks. Prosper. I panu staroście znane to pisemko?

Starosta. Ledwo że go na pamięć się nie nauczyłem, tyle razy go odczytałem. A jaka piękna łacina! sam król nad nią się unosił. A wszakże to być musi ojciec Kleofas, o którym mój brat nie mógł się naopowiadać takim jest jego przyjacielem.

O. Kleofas. Prawdziwy sługa JW. starosty i jego brata, jako był sługą świętej pamięci ich ojca dobrodzieja naszego zgromadzenia, dlatego i pan wojski na mnie łaskaw.

Starosta. Mój brat pokazywał mi w Szypianach plan, co mu ojciec Kleofas odrysował na dom; wielce mi się podobał, bo i ja architekturą czasem się bawię. Mówił mnie brat, że uskarżasz się, ojcze, iż nie masz dobrych instrumentów; pozwoliłem sobie przywieźć mu mój sztuciec matematyczny, bo nie może być złożonym w lepsze ręce, i mam go z sobą w karecie.

Wojski. Zmiłuj się, bracie, nie oddawaj go dziś ojcu Kleofasowi, bo z radości całą noc spać nie będzie.

O. Kleofas. O! jak to zaraz pan wojski mnie osławiasz przed JW. bratem. Ja niewart jego łaski, anim na nią miał czas zasłużyć; wszakże nadzieja jeszcze silniej działa na sen, niż pewność; ztąd wielce mądre przysłowie: *qui cito dat, bis dat*.

Starosta. *Mon frère*, proszę cię, każ przynieść sztuciec, żebym się zaraz mógł napatrzeć na ukontentowanie tak znakomitego architekta, który i przy lada narzędziach już cuda robi.

Wojski wyszedł i wkrótce powrócił z sztuccem safianowym; gdy go otworzono, a Bernach zobaczył w perłową macię oprawne cyrkle i wszystko co tylko potrzebnem było, nawet kompas i libellę, ledwo nie oszalał z radości; każdą sztukę po razy kilka obracał w rękach, w ciągłych wykrzyknicach; szczególnie nad kompasem się zastanawiał.

— No, jasnie wielmożny panie — odezwał się do generała — od dnia jutrzejszego zegar pański będzie iść jak się należy. Odkąd żyję, nic nie widziałem równego darowi, którym otrzymał dopiero, i po mojej śmierci będzie on chlubą naszego zakonu.

Wojski. Spodziewam się, ojcze Kleofasie, że kilka koronek zmówisz na intencyę mojego brata.

O. Kleofas. Co to koronki! Ja przez pięć piątków dyscyplinować się będę, ażeby Bóg najwyższy tyle mu dał błogosławieństw, ile ja radości doświadczam.

Starosta. Nie, nie, dyscypliny nie przyjmuję, o koronki proszę, a jeżeli łaska jedną mszę na moją intencję zmówić, to zanadto będę wynagrodzony.

O. Kleofas. Odmówię ich dziesięć i to śpiewanych; na jutrzejszą zapraszam JW. starostę do tutejszej kaplicy, która architekturą swoją zapewne zasłuży na jego pochwałę.

Generał. Czemże mogę służyć panu staroście? Czy pan pozwolisz sobie rozgrzać po podróży kieliszkiem starego wina?

Starosta. Dziękuję panu generałowi dobrodziejowi; piersiowa słabość pod karą śmierci nie pozwala mi używać mocnych napojów. Jeżeli pan pozwolisz zasiąść przy stoliku i wproszę się do panny łowczanki, żeby dostać tej kawy, której wonia tak pieści zmysły. Jakżem szczęśliwy, że przecie tu panie znajduję, boście miały panie z Nieświeża po drodze wstąpić do jednej ze swoich krewnych, jakieście mnie mówiły.

Łowczanka. Było to w projekcie, ale że pani generałowa Morawska i księżniczka Marya zatrzymały nas na jedną dobę nad zamierzony czas, nie mogliśmy zbaczać z drogi, wiedząc o niecierpliwości z jaką braciszek nas oczekiwał.

Zosia. A droga tak zła, żeśmy ledwo w dwa dni zajechały do domu, chociażśmy śpieszyły ile można było, by ojcu pomagać do przyjęcia oczekiwanych gości. Od czterech lat pierwszy raz na tak długo odłączyłam się od ojca; i to mi było tak przykro, że wśród zabaw Nieświeża nieraz się smucałam.

Łowczanka. Braciszek koniecznie z nami chciał jechać do Nieświeża; ja, lękając się o jego zdrowie, ledwo mu to wyperswadowałam. Myślałam, że bez nas będzie statkował, ale on nic nie robił tylko polował. Żeby już to polowanie mu obrzydło nakoniec! Czy można w tym wieku męczyć się po zimie i słotach, jakby jakiemu młodzikowi?

Generał. Atbyś nie gderała, siostró! Gdyby nie polowanie, dawnobyś po mnie płakała, to moje zdrowie. Coby to człowiek robił na wsi gdyby nie polowanie? Czemu to ja, siostró, nie przeszkadzam tobie pończoszkę robić? Ale to tak zawsze z babami, wszystko gderze na moją psiarnię, chociaż jej nie widzi tylko przez okno, a ja nic nie mówię, że jej suczka ciągle na jej kolanach siedzi, i byle co tak piszczy, jakby ją zarzynano. Z niedzieli, mości starosto, wezmę się do działu moich panów, bo w sobotę muszę koniecznie w las wyruszyć: mamy wiadomości dobre od mojego Mirona. Jest odyniec i maciora z warchlakami. Panie Michale, będziemy mieli bal; pan wojski to ale myśliwy; pan starosta jako kawaler wielkiego świata, tem się zapewno nie bawisz?

Starosta. I owszem, chociaż czas mi nie pozwala oddać się tej pięknej zabawie z namiętnością, jednak polowanie lubię, i nieraz polowałem z kró-

lem francuzkim na jelenie i dziki; proszę pana generała zabrać mnie z sobą na sobotnie polowanie. Mam z sobą dobrą strzelbę, i chciałbym spróbować litewskich łowów.

Generał. I wierz mi, mości starosto, że niemasz zabawy miłszej i więcej właściwej szlacheckiemu stanowi. Kiedy po szczęśliwem polowaniu wracam do domu, córka, siostra domownicy, wszystko miłszem mi się wydaje.

Starosta. Panie generale dobrodzieju, pan w kniei, a córka i siostra za nim tęsknią. A ja sierota prawdziwy, bezżenny, bezdzietny, bezdomny, niema komu mnie powitać, i jak umrę, pamięci po mnie nie zostanie.

Wojski. Ożeń, się bracie, osiadź w mojem sąsiedztwie na roli ojczystej, pójdz torem naszych ojców. Sam przyznajesz, że życie samotne jest ciężkie.

Generał. Coś młodszy *ad rem* przemawia.

Starosta. Niema sposobu, panie generale, opierać się swojemu przeznaczeniu, jakkolwiek ono jest trudne. Byle się uspokoiło w ojczyźnie, moim zamiarem królowi podziękować i udać się do Malty, by tam wykonać formalne śluby zakonu, którego jestem komandorem. Będę zupełnie waszym bratem, ojcze Kleofasie; takie jest moje postanowienie niezmienne. A tak majątek po ojcu objęty tam wróci, dokąd był przeznaczony, a nawet z nadatkiem, bo z łaski króla, pana mojego miłościwego, mam już inny majątek aż nadto dostateczny dla potrzeb poczciwego człowieka. Po tylu wojnach, podróżach, poświęceniach dla świata, czas myśleć o duszy, i o obowiązkach nie światowego, ale chrześcijańskiego rycerza.

Wojski. A to co za nowa myśl!

Starosta. Nie, bracie, wcale nie nowa, i nie w innej myśli przyjąłem komandoryę poznańską. Nawet nie bez wyrzutu sumienia i honoru noszę znaki, pobieram dochody, a nie dopełniam obowiązków zakonnika.

Ks. Prosper. Dobrze mówi pan starosta i wiele się z tego buduję. Rycerz-zakonnik, ale prawdziwy zakonnik, jest najwyższą ozdobą szlacheckiego stanu. Pan Michał, zamiast utrudniania powołania brata, powinienby się owszem z niego cieszyć; ja sam przypatrywałem się w Malcie okazałości waszego zakonu i miałem zaszczyt być przedstawiony wielkiemu mistrzowi. On jest dostojnego w Hiszpanii rodu Ximenesów. Jaki to mąż pobożny! żywy przykład dla wszystkich zakonników, chociaż udzielny monarcha.

Generał. Jak pan starosta skuteczni swoje przedsięwzięcie, swojego czasu, możesz też zostać monarchą na tej wyspie: jaki byłby to zaszczyt i promocya dla jego synowców; nieprawda, panie Michale?

Wojski. Wolałbym, żeby brat robił tak jak my, a nie myślał o tych Maltach. Wszak tak, ojcze Kleofasie?

O. Kleofas. Piękna to wprawdzie Malta, a jej rycerze są mi podwójną bracią, bo i szlachta i professy; ale co tam Polak dobrego wymyślić może, siedząc na gołej skale? Chyba wędka śledzie będzie łapał, a tem ani ojciec, ani dziad JW. starosty się nie bawił. Wszakże *homo proponit, et Deus disponit*. Nikt nie jest panem swojej woli; układa człowiek siak, a zrobił się tak.

A co ma być, to będzie, bo *sine Dei consilio, sine Providentia, sine causa nihil fiet in orbe.*

Ks. Prosper. To ja widzę, ojciec Kleofas z Jansenistami, trzymasz, *in praedestinationem* wierzysz.

O. Kleofas. Ja to z Jansenistami? Wszakże ja przytaczam sentencję z Tomasza a Kempis.

Jakże mi panowie Francję przypominacie. Kiedym ją opuszczał, o niczem nie mówiono tylko o Jansenistach; ale od czasu jak Polskę zamieszkałem, ten wyraz Jansenizm pierwszy raz obija się o moje uszy. Wszak ksiądz Chlebowicz, który był we Francyi, musi wiedzieć, że ksiązę do Choiseul, pierwszy minister, uchodził za gorliwego poplecznika Jansenizmu, chociaż ci, co go bliżej znają, mówią, że w Boga nie wierzy. Jednak grzeszę, to o nim mniemanie powszechne powtarzając, bo był wielce łaskaw na mnie, kiedy służyłem chrześciańskiemu królowi, a ta łaska spada teraz na naszego brata Mycielskiego.

Generał. Mój Boże! jak to lata mijają. Ja od ołtarza prowadziłem wazę matkę, kiedy ona wiarę zaprzysięgała najserdeczniejszemu mojemu przyjacielowi; ta to już będzie temu około lat trzydziestu pięciu. Czy mogłem się spodziewać, że ją przeżyję! Ona nie miała nad lat siedemnaście, prawdziwy pączek róży; pan starosta jesteś jej żywym obrazem, jakbym na nią patrzył; pan Michał ojca więcej przypomina. Jakie oni piękne pożycie mieli na wsi; ale jak później pan Wojciech został deputatem, a z żoną przenieśli się do Wilna, Bóg święty wie, co z nimi się porobiło. A trzeba było takiego nieszczęścia, że jedna sprawa sukcesyjna zatrzymywała mnie właśnie wtedy we Lwowie; bo gdybym został w Wilnie, nigdyby do tego nie przyszło. Byłbym pani Wojciechowej to wyperswadował, gdyż ona wiele miała we mnie zaufania. Jak przyjechał do mnie strażnik z panem Michałem, któremu wtedy rok piąty się zaczynał, i mnie powiedział, że już po rozwodzie, a ja tylko co powróciłem z Korony, powiadam panu staroście, że uszom moim wierzyć nie chciałem.

Zabawiało się takim sposobem całe towarzystwo. Wszakże wśród tych ogólnych rozmów pan starosta niemało grzeczności umiał powiedzieć Zosi łowczance, a z tem przymileniem dowcipu, chcącego się wszystkim podobać, w rzeczy samej wszystkich zajął osobą swoją. Nawet ksiądz Prosper, chociaż zwyczajnie kwaśny dla wszystkich, zwłaszcza nowych znajomości, pomimo uprzedzeń, jakie miał przeciwko kawalerom wielkiego świata, mający odgłos nauki i światła, ciągle do niego się zbliżał, rad jego uwagę wyłącznie ku sobie ściągnąć. Pochwała z ust jego wyszła dysertacyi teologicznej: *De jaculatoria oratione*, robiła mu nadzieję czytania przed nim, w swobodnej chwili, swoich rękopisów, czem obiecywał sobie go zniewolić, ile że mu nie było tajno, iż starosta, posadą swoją zbliżony do króla, szafarza wszystkich łask tak dla świeckich, jako i dla duchownych, często z nim poufale rozmawiał. O ile więc pan starosta wszystkie serca usiłował podbić powabami swojego obcowa-

nia, o tyle ksiądz Prosper starał się dać mu o sobie wysokie wyobrażenie, sypiąc monologi najeżone przytaczaniami greckimi i łacińskimi, których starosta słuchał z tą cierpliwością, z jaką ludzie dobrego wychowania, niewidomy gwałt sobie czyniąc, umieją obcować z tymi, którzy ich najwięcej nudzą. Takie położenie rzeczy przetrwało i wieczór i wieczere. Potem nastąpiły długotrwałe ceremonie ze strony generała, chcącego koniecznie *personaliter* odwiedzić starostę na kwaterę; ale starosta przez żaden sposób na to nie chciał pozwolić. Odwiozła więc kolasa generała samych braci Strawińskich na komisaryę, w asystencyi koniuszego Buńczukiewicza, który ich konno przeprowadził, a goście niewodowscy jeszcze godzinę pozostali, by z sobą pomówić o gościu.

— Bardzo mi się podobał starosta — zagaił generał — chociaż kawaler nowomodny, zna rzeczy polskie, a jak pięknie się tłumaczy. Szkoda, że tak gorliwie trzyma z Poniatowskim, bo ja zawsze swoje powtarzam, że z tego narzutu nie będzie dla nas pociechy.

— Trudno też wymagać — odezwał się Bernach — żeby nie popierał strony swego dobroczyńcy; dobre za nadobne, jak mówią. Wreszcie kiedy takie szczęście Stanisława Augusta, że został naszym królem, i wszyscy królowie za takiego go przyznali, cóż pozostaje lepszego, jak zgodzić się z wolą Pana Boga? Dość, że pan starosta jest pan uczciwy, grzeczny, pełen zdania, i umie szanować ludzi wiekiem od niego starszych.

— Już to prawda — rzekła, mieszając się do dyskursu panna łowczanka — że za dawnych czasów więcej nie szanowano starych, jak ich szanuje pan starosta, chociaż wysoki urzędnik i orderowy pan. A każdemu umie coś powiedzieć, że go za serce chwyta. Wiesz, braciszku, że choć jak w Nieświeżu byli uprzedzeni przeciw niemu, nakoniec umiał wszystkim się podobać. A jak tańczy! jak gra na skrzypcach! a jak gładko rozmawia po łacinie! Ksiądz Katenbrynk przed nami wyznał, że sam lepiej od niego w tym języku się nie tłumaczy, a przecież dość długo rozmawiali z sobą.

Nawet ksiądz Prosper, może pierwszy raz w życiu, rozszerzał się z pochwałami człowieka świeckiego.

— Niczego mu nie braknie — dodał jak zrobić profesyę w Malcie; z takimi zaletami on tam niezawodnie dojdzie do najwyższej godności. Będzie przecie i Polak wielkim mistrzem, i wtedy się upomni o te fundusze zakonu maltańskiego, które tranzakcyja Kolbuszowska okraść usiłuje.¹⁾

Tak to starosta był u wszystkich przedmiotem pochwał i nadziei. Na wszystkich ustach brzmiało jego nazwisko, a nigdy bez jakiego zaszczytnego przymiotnika. Jedna tylko Zosia milczała.

Bracia znowu na swojej kwaterze, jakkolwiek znużeni podróżą, nie mil-

¹⁾ Tranzakcyja Kolbuszowska zamieniwszy ordynacyę Ostrogską w dobra dziedziczne, chociaż po wygaśnięciu krwi założyciela już była własnością zakonu Maltańskiego, otrzymała sankcyę sejmową.

cząc poszli do wczasu. Starosta wedle swojego obyczaju kazał podać sobie szklankę tęgiej herbaty, którą pijąc, rozbierał się i rozmawiał z wojskim.

— Co to za godny starzec, twój generał! a jakie życie, jaka czerstwość zdania w tym człowieku! Wierzaj mi, *mon frère*, że nie mogę tobie nadziejkować się, żeś mnie tu przywiózł. Niewodów, to jest szkoła dla mnie. Moje wyobrażenia są od waszych odmienne, *cela ne saurait être autrement*¹⁾, ale nie mogę nie wyznać, że tu tylko widziałem figury typowe, naturę na fackie schwytaną. W Warszawie są to tylko wybladłe kopie francuzkie²⁾, bez inspiracyi, bez życia. Przewiduję, że jak wrócę do Warszawy, śmiertelnie nudzić się będę. Dla mnie nie ma nic pośredniego; albo Paryż, albo polska prowincya. Potem, jak tu wszystko dobrane! Ten Bernardyn, tak niespodziewany w swoich uwagach, ta łowczanka tak naiwna w przywiązaniu swoim do brata, te ich wzajemne gderania, a widać, że bez siebie obejść się nie mogą. I to wszystko służy jak za oprawę Zosi, która pośród nich błyszczy, jak soliter bez skazy. Co to za dziwna osoba! jaki takt! to wykwentne wychowanie, bynajmniej nie przeszkadzające jej zostawać w ścisłej harmonii z tem wszystkim, co ją otacza! ta jej postawa królowej, coś symbolicznego w jej osobie! Zdaje się, że to jest klejnot herbowny chodzący.

Wojski. Niech Bóg błogosławionym będzie, że ci nasza Litwa tak się podobała. Obaczysz, bracie, że jak między nami zasiądziesz, to nie będziesz się mógł rozstać z naszymi borami; wyjdą ci z myśli i Malta i Paryż i Warszawa.

Starosta. Pod względem moralnym wasz kraj jest rajem, ale to wasze życie obywatelskie trzeba z mlekiem wyssać, trzeba do niego wychowaniem swoim być usposobionym. Wiesz co, *mon frère*? jeżeli z jednej strony to co widzę mnie pociesza, z drugiej gorzej zasmuca.

Wojski. Dlaczego?

Starosta. Bo to wszystko już jest na schyłku. Światlejsza część narodu wiarę, obyczaje, nałogi ojczyste już znieważa; wszystko jakimś pędem niewstrzymanym dąży do odmiany; jakaś przyszłość się gotuje, może nieszczęśliwa, ale jej cofnąć niepodobna: rzeki do źródeł nie mogą być zwrócone.

Wojski. A więc brońmy podstawy naszego szczęścia, o ile nam sił pozostaje, a Bóg da, że zachowamy to, co ciebie samego zniewala.

Starosta. I owszem, *mon frère*; powinniśmy, ile jest w nas siły, dążyć do tej przyszłości, żeby od niej nie być wydziedziczonymi. Patrz, jak ci wszyscy co stoją u rudła rządowego, ze wzgardą spoglądają na starą narodowość.

¹⁾ To nie może być inaczej.

²⁾ Brak oryginalności dawniej, jak dziś, zawsze cechował Warszawę; to najlepiej się wyjawia w literaturze, która jest wyrażeniem ducha społeczeńskiego. Dawniej ona była odbiciem samej tylko literatury francuzkiej, dziś gmatwaniną przekopiowaną z Francyi, a częścią z Niemiec, ale jeszcze dotąd oryginalnego pisma nie wydała Warszawa. Nie można sobie wyobrazić, ile ten pohop Warszawy do naśladowania bądź Paryża, bądź Berlina, i to we wszystkim, szkody przyniósł intelektualności narodowej.

Duch reformy wszystko ogarnął: i wyższe duchowieństwo, i wychowanie publiczne, i wojsko, i dwór, i wielką część młodzieży. Cóż dobrodusznosc zdoła uczynić przeciwko zabiegom i zręczności waszych przeciwników? Każda śmierć was osłabia, każde prawie narodziny pokrzepiają stronę przeciwną. Ktoś wyższe przyjąwszy ukształcenie, jeżeli jest poczciwym, głośno oświadczając się będzie za naszą wiarą, za naszym prawodawstwem, za naszymi obyczajami; ale sam się uwodzić będzie, bo już jego wyobrażenia, jego sposób myślenia rzeczywisty jest zupełnie innej natury. Może miłować to na co patrzy, ale w to nie będzie wrośnięty jak wy. Weź na przykład ojca Kleofasa, to mi prawdziwy Bernardyn polski, a ksiądz Prosper, chociaż równie pobożny, że wyższe przyjął ukształcenie, już wcale jest innym, usiłuje być narodowym, a w rzeczy samej jest odbiciem społeczeństw wam obcych. Nawet jego fanatyzm, lubo racjonalny, jest krzewem zagranicznym, wędniejącym między wami. *A propos* księdza Prospera; wielce ci jestem obligowany, *mon frère*, że, jadąc do Niewodowa, uczyniłeś mi wzmiankę o jego łacińskiej dysertacyi; uważałeś, jakem go na wstępie zobowiązał, chwalać to jego pismo.

Wojski. Uważałem, bracie, i nawet mocno się zatroszczyłem o ciebie: wszak gdyby zaczął po szczegółach mówić z tobą o dziele swoim, mógłby cię zmieszać, bo pokazałoby się, żeś go nigdy nie czytał.

Starosta. Nie znasz miłości własnej autorskiej, *mon frère*, kiedy podobne przypuszczasz obawy. Żeby pochlebiać królom, na to trzeba osobnej zdadności; kobiecie nawet, żeby pochlebstwem trafić do serca, trzeba jakoś je okrasić; z autorem wygodniej, im grubsze pochlebstwo, im mniej do prawdy podobne tem bezpieczniej można go użyć. W Paryżu żyłem w ścisłych stosunkach z autorami, bo oni teraz w modzie; co to za plemię próżne i niezdolne! Był który z nich kilka arkuszy myśli, to tu, to tam pochwytych, puścił w obieg, mniema już, że cały świat na niego ma zwrócone oczy. Czy to we Francyi czy w Polsce, czy gdzieindziej, wszyscy są na jeden kopyt ulani¹⁾. Myślisz, że jak wasz ksiądz Prosper zaczepi mnie o szczegółach swojego pisma, tem mnie zmiesza? Obaczysz, że go przekonam, że jak tylko sam sobie jestem oddany, niczem innym nie jest zajęty, jak pożeraniem jego utworów. Teraz o niczem nie myślę, jak o wyratowaniu siebie od nieszczęścia, którem jestem zagrożony.

Wojski. Jakiego nieszczęścia?

¹⁾ W tym obrazie są zapewne wyłączości. Znam osobiście autorów pożytecznych, wzorowych, pełnych skromności, a równie obojętnych na pochwały pism czasowych, jako na ich nagany. Tacy autorowie, mając szczególne, sobie właściwe powołanie do spełniania, postępując w swoim zawodzie z miłością bliźniego w sercu, i z silną wiarą w przyszłość, ani siebie mają za doskonałych, ani się nie dziwią, kiedy inni ich za takich nie poczytują. Mówię zaś wyżej o tym gminie pisarzy koteryjnych, istnej zarazie wieku zużytego cywilizacyą i tak znudzonego, że tylko dziwactwami go bawić można. Większa część dzisiejszych autorów pisze nie dla księgozbiorów, ale dla gabinetów lektury, bo kto ich raz przeczytał, po raz drugi pewnie w ręce nie weźmie.

Starosta. Oto słuchania jego pism dotąd nie ogłoszonych, a musi być tego poważna ilość. Wy przynajmniej, kiedy kto wam czyta swoje nudne banialuki, ratujecie się kurząc fajkę; ale ja nie wiem czem sobie dać radę, jak mnie ksiądz Prosper weźmie w obroty.

Taka była rozmowa braci, która blisko do północy trwała; nakoniec starosta, uważając, że bratu już się oczy kleiły, a wiedząc, że jeszcze długie pacierze ma do odmawiania, pozwolił mu pójść do odpoczynku. Sam zostawszy, zamiast pacierzy, od których był odwykł, zaczął wedle zwyczaju francuskiego pisać swój dziennik, pokąd z rąk snem odrętwiałych pióro nie wypadło.

XIX. Pobyt starosty w Niewodowie.

Starosta był człowiekiem honoru, szacował i miłował szczerze brata, umiał mu być wdzięcznym, i bez wahania zrobiłby dla niego ofiarę z życia i majątku. Ludzie namiętni, nie oparci na silnych zasadach religijnych, jeżeli mają serce szlachetne. w nadzwyczajnych okolicznościach wydobyć są zdolni z duszy wielką energię w postępkach, wielkie ofiary dla cnoty; ale w życiu potocznem, nie będąc nawykli do ścisłego wglądania w tajniki sumienia, nie umieją unikać małych niebezpieczeństw, które niewidomą drogą nakoniec w przepaść wtrącają. Gdyby starosta do tych przymiotów, któremi tak hojnie był uposażony, miał jeszcze religię, ze strachem byłby rozpatrywał to wrażenie, które robiły na nim widok, obcowanie, każde słowo wychodzące z ust Zosi; byłby po dwudniowym pobycie opuścił Niewodów, a w Warszawie wkrótce pracowitość zawodu byłaby wymazała z jego pamięci rysy niebezpieczne. Spokój tylu istot cnotliwych nie byłby zatrutym; ale starosta, nie umiejący opierać się żadnemu pociągowi, nie umiejący przewidywać żadnych smutnych następstw z tego wszystkiego, co mu się zdawało przyjemnem, siedział w Niewodowie pomimo wezwań powierników swoich warszawskich, ulegając prośbom przyjaźni, które go w gościnnym domu zatrzymywały. Oni wszyscy byli zaślepieni, lecz i on niemniej od nich był zaślepiiony, i oddawał się bez wyrzutu sumienia słodyczom przyjaźni z przyszłą bratową; obu się zdawało, że to była niewinna przyjaźń, a tymczasem najwłaściwiejsza miłość wkradała się w dwa serca, które szranki honoru i najświętszych obowiązków na zawsze od siebie przegradzać były powinny.

Już starosta był zniewolił wszystkich mieszkańców Niewodowa ponętami swojego obcowania, i kiedy w obliczu brata rozmawiał z Zosią w języku francuskim, ten, daleki od wszelkiego podejrzenia, cieszył się owszem, że jego żona przyszła znajduje w bracie najprzywiązańszego przyjaciela. W pierwszych dniach swojego pobytu do reszty zawojował generała, bo, oświadczywszy chęć towarzyszenia mu na łowy, pojedynczo wyszedł na odyńca, pomimo nalegań brata i księdza Nowochackiego, stojących na pieńkach, żeby tak nienarażał swojego życia, i przypuściwszy go nie więcej jak na trzydzieści kroków od siebie, wystrzałem powalił na miejscu. Stary unita, największy *venator coram*

Dei, jakiego można było znaleźć w narodzie tak myśliwym jak Litwini, nie mógł do siebie przyjść z podziwu, że pan kuso, się noszący, tak śmiało i tak zręcznie mógł niebezpiecznego zwierza położyć. Jednak nie tyle to jeszcze przypisywał wprawie jego oka, ile doskonałości strzelby, która w samej istocie i co do dobroci, i co do bogactwa oprawy, była wytworem. A starosta, uważając pożądlive spojrzenia, jakimi stare generalisko pieściło tę strzelbę, z nadto czuł się uszczęśliwionym, że ją raczył przyjąć od niego w upominku. Tak siebie rozbroiwszy dla generała, już bezpiecznie odtąd wymawiał się od towarzyszenia jemu w dalszych łowach, i kiedy oni ścigali w lesie zwierza, on swobodnie się oddawał miłemu towarzystwu z Zosią, obok łowczanki, Bernacha i księdza Prospera, którzy aż do uniesienia się byli jego przyjaciółmi. Generał i wojski nie mogli naopowiadać się o jego przymiotach.

— My dzieci — mawiał stary przy panu; pan nam, myśliwym, świata dałeś widzieć; ksiądz Nowochacki, który także jest majster, mówi, że jemu iść w kął teraz; ale jakąż mi pan dałeś strzelbę, świat i Korona Polska podobnej nie widziały. A co powiesz, panie Michale? Wszakże ja wasz super-arbiter; czy to nie będzie korupcyja? Żebyś waćpan potem mnie nie zapozwał *de male gesto officio*.

— I owszem, panie generale dobrodzieju, proszę sam za moim bratem; jemu więcej potrzeba niż mnie, a cieszę się, że on znajduje u pana łaskę. Wszak to starszy brat, protektor *natus* młodszego.

— A choćby miał schedę trochę lepszą — odezwał się ksiądz Prosper — to wszystko będzie dla waćpana dzieci, panie Michale, bo ja wiem, że starosta zrobi profesyę w Malcie; to go nie ominie.

— At! — mieszając się do dyskursu ojciec Kleofas — natura ciągnie wilka do lasu, a szlachcica do roli. Czy to pan starosta pierwszy, co z wojny, w wojnę, z peregrynacyi w peregrynacyę pół wieku zmarnowali, a jednak nakoniec na wsi osiedli, żeby kopy liczyć? Panowie z rozkoszy Bóg wie co wymyślają; ale wszystko się skończy na tem, że JW. starosta u nas osiadziesz i będziesz dobrodziejem naszego Słonimskiego zgromadzenia, jakim był świętej pamięci wasz ojciec, pan strażnik.

— Jeżeli o to chodzi, ojeze Klefasie, nic na mojej niebytności nie straciecie; wasze modlitwy są dla mnie nadto potrzebne, bym się o nie nie miał starać. Co tylko nieboszczyk nasz ojciec dawał rocznie na klasztor Słonimski, ja to w stały przychód zamieniam, i pismem urzędowem zalecę, by z mojej schedy całkowicie było dostawiane.

Sklonił się ojciec Kleofas. — Niech Bóg nagrodzi JW. panu jego uczynność dla nas, biednych zakonników; ale ja zawsze swoje powiem: że milejby nam było z kolędą do JW. pana przyjeżdżać, niż do jego rządu. Ale ja nadziei nie tracę; to być nie może, byś JW. pan nas miał na zawsze rzucać.

— Najprzód, ojeze Klefasie, z żadnym moim rządcą nie będziecie mieli do czynienia, tylko z moim bratem wojskim, bo jemu zadzierżawię moją schedę; a mam nadzieję czasem przyjeżdżać do mojego braterstwa na Litwę.

Tu generał się odezwał:

— Wszakże z kolei, w roku następnym, da Bóg doczekać, sejm będzie w Grodnie; może na nim powitamy pana starostę posłem Wieluńskim, a w każdym względzie, gdzie król, tam będzie i szef jego gabinetu. Pan Tyzenhaus, podskarbi litewski, pisał do mnie tego lata w interesie, bo *intra parenthesis*, mam u niego sunkę na procencie; otóż pisze do mnie te słowa: „Mój generale, tuszę, że na sejmie nadchodzącym w Grodnie będziesz posłował z Mińskiego; jak powiedzą sejmowi amen; a król jegomość wróci do Warszawy, dam tobie w ekonomii polowanie na żubry i dwie sztuk pozwolę zabić, ale tobie jednemu“. A jak wie podskarbi, w jaką dudę dać! Wszak to ja jego na rękach nosiłem. Ale gdzież mnie staremu o tem myśleć! Ja już swoje odbyłem. Panu starości to alembyć posłem; albo waćpan, panie Michale, dlaczego nie miałbyś się starać o poselstwo w Słonimskim? Cała tameczna szlachta za waćpanem, a ja tam przecie mam swój głos. Da Bóg doczekać, pojedę na sejmik do Słonima forsować za waćpanem; w Słonimskim kij rzuci na psa, w brata Albeńczyka trafisz. Jeno pan Michał za sobą nie umie mówić, ale za to ja mu usłużę; a najpiękniejby było, gdyby jeden brat posłował z Wielkopolski, a drugi z Litwy; nieprawda, mości starosto? Za tygodni dwadzieścia trzy od dzisiejszej niedzieli moja Zosia będzie panią wojską Słonimską, a i drugie trzydzieści tygodni do sejmu prędko miną; może da Bóg, będziesz jaśnie wielmożną posłową, i brata przyjmiesz w Grodnie już jak formalna gospodyni. Cóż tam, Zosiu? zasznurowałaś sobie usta, jak gdybyś się na mnie gniewała.

— Cóż mam mówić, ojcze dobrodzieju? czyż^{le} przyszłość nas biednych dziewcząt, od nas zależy?

— Dobrze powiedziałaś, Zosiu. Najlepiej wprzód na Boga, potem na rodziców złożyć staranie; młodzież zwyczajnie o jutrze nie myśli; dziecko napiera się cacka, a jak je dostanie, zaraz sobie i sprzykrzy. Ale my, starzy jak zaczniemy kunktować, a rzecz obracać na każdą stronę, a potem postanowimy co ma być, to musi być dobrze, bo należyście obmyślane. Teraz świat zaczyna się psować, karność dzieci nie taka jak była wprzód; ja sam byłem świadkiem jak ksiązę hetman, świec panie nad jego duszą, kazał synowi swojemu, terażniejszemu wojewodzie Wileńskiemu, a wówczas miecznikowi Litewskiemu, dać sto batogów, a ksiązę Karol przeciw temu nie szemrał, i po dziś dzień bez łez w oczach słyszeć nie może wspomiane imię swojego ojca. Ale to do ciebie się nie ściąga moja Zosiu; wiesz, mości starosto, że to dobre i łagodne dziecię jest skarbem chodzącym. Od urodzenia swojego nigdy się nie sprzeciwiła, jest to obraz jej matki, która była aniołem w ludzkim ciele. Ja, wychowany w obozach, zwyczajnie żołnieraka, byłem prędko, gwałtowny nawet, a ona jakoś tak umiała to wszystko łagodzić dobrocią swoją, że potem co chciała robiła ze mną; nieprawda, siostruniu? otóż kubek w kubek i moja Zosia. — I rękę podał Zosi, ta ją ucałowała z uszanowaniem, ale na wspomnienie matki rozplakała się. Było widzieć, jak się zaraz wszystko po-

ruszyło, a łowczanki turbacya wypowiedzieć się nie da; jak to ona z laren-dogry flaszką w jednym ręku, a ze szklanką wody krynicznej w drugim, do niej biegła, generała ofukując, a ją zaklinając, by spirytus wachała, a woły się napila; i ksiądz Prosper powstał na ciotecznego brata.

— Wolałbyś Wpan swoją córkę z chimery polając, niż igrać z jej tklivością. Po co to było biednej sierocie wspominać o matce? Wpan wszystko robisz po pancernemu, a nie wiesz, że z czułem sercem trzeba jak ze szkłem być ostrożnym.

— No, no, moja Zosiu — rzekł generał — jak będę ciebie przepraszał, żem został przyczyną twoich łez, to jeszcze więcej tem ciebie rozczulę; ale wyjdź sobie z ciotunią, a jak się uspokoisz, przyjdiesz, żebym ciebie uściskał; bo wiesz, jedynaczko droga, że ciebie miłuję nad wszystko co jest na ziemi.

Zosia z łowczanką znikły, ale nie na długo, bo Zosia, poznawszy frasunek ojca, wkrótce wróciła, i niczem nie była zajęta, jak uspokojeniem starca, który dopiero wtedy dał poznać, jakie miał dla niej przywiązanie.

Nazajutrz, że to była niedziela, wojski zawiózł brata do cerkwi wiejskiej na nabożeństwo. Śpiewano godzinki Niepokalanego Poczęcia; wśród tych chrapliwych i piskliwych tonów dał się słyszeć staroście głos srebrzysty Zosi, tak zajmujący, że wszystkie te fałszywe brzmienia znikły przed nim, a tylko jej głos odbijał się o jego czucie. Machinalnie odezwał się z wtórem, i głos jego, błędzący wśród tylu krzyżujących się innych, zdołał zjednoczyć się z głosem Zosi. Śpiewał, ale bez najmniejszego wpływu woli; płynął myślą na oceanie dumań, błąkał się po krainach nieznanych, do których duch jego dotąd nigdy nie wkraczał. Nic dziwnego, że takich uczuć doświadczał, bo lubił namiętnie muzykę, i był w niej mistrzem; u Zosi głos był tak miły, tak czarujący, metody żadnej, czysta tylko melodia bez sztucznych ozdób, melodia rodzima, samorzutna, o której kunszt nie ma prawa sądzić, a która uczuciem tylko daje się pochwycić.

Wracając z cerkwi, Ludwik jeszcze długo nie mógł się ocucić ze swojego roztargnienia. Głuchy na usilności brata, chcącego z nim zawiązać rozmowę, coś nucił, a raczej improwiował jakieś motywa muzyczne, które znawca umiałby ocenić, bo prawdziwa muzyka, jak i poezya, jest tylko improwizacją. Są w człowieku czynności zupełnie zwierzęce, gdzie jego część umysłowa zostaje w odrętwieniu podobnem do unicestwienia. Są ludzie, których wola ciągle kieruje do myślenia; te myśli, istne twory, bywają szczytne, potężne, często nawet działawcze, wcieliwszy się w jakieś wielkie osobistości, które im nadają postać dotykálną; a znowu jest jakiś stan ekscentryczny, gdzie duch tonie w oceanie zmysłom niedostępnym. Myśl po myśli pędzi ducha człowieka, jak fala po fali okręt, z tą różnicą, że jest bez sternika; już niema ani rozsądku, ani woli, a na ich miejsce powstaje najżywotniejsze, a tem samem najdrażliwsze czucie. A ten stan ekscentryczny, u ludzi czułych, pobudzony muzyką, tylko muzyką może się wyrazić: kto jest pozbawiony zmysłu muzycznego, ten wielu rzeczy psychologicznych nigdy nie pojmie.

Kiedy się towarzystwo zebrało około pory obiadowej, starosta unosić się zaczął nad głosem Zosi i, rozmawiając z nią samą o muzyce, przekonał się, że ma niesłychane pojęcie tego kunsztu. Ztąd przyszło, że oświadczył, iż przez te kilka dni, co bawi w Niewodowie, chciałby dać Zosi kilka lekcji śpiewu, gdyż szkoda, żeby taka wielka zdolność leżała odłogiem. Ksiądz Prosper, będący sam znawcą, wielce aprobował myśl starosty; generał, lubo nie wielki wielbiciel muzyki, przez wzgląd na Ludwika pozwolił, by klawikord z pokoju córki przeniesiono do pokoju bawialnego; a Ludwik, sam go nastroiwszy, rozpoczął zawód nauczycielski. Ach, co za przyjemność mieć uczennicę z takim pojęciem, z taką zmysłnością muzykalną! Po dwóch lekcjach już przejęła metodę starosty, którą on kiedyś łyzy wyciskał z oczów kobiety najzimniejszego serca, margrabiny de Pompadour. Śpiewał z Zosią duet w przytomności łowczanki i ojca Kleofasa, który, jak się pokazało, namiętnie lubił muzykę; i ksiądz Prosper często oklaski dawał ich śpiewowi. Razu jednego po powrocie generała z polowania, przy całym zgromadzeniu niewodowskiem, we dwoje egzekwowali kantyk: *in voi credo o Dio mio*. Muratori pisze, że ojciec Salvatierra, apostoł Kalifornii, z lutnią w rękę, a tym kantykiem w uścich, nawracał ludożerców, i tak urzeczywistniał bajkę o Orfeuszu. Tu egzekucya była prawdziwem dobrodziejstwem; nie dziwnego, że wojski był w zachwyceniu, bo lubił muzykę, i ksiądz Prosper, który ją znał doskonale; ale generał, który od ogólnego wywołania wszelkich instrumentów muzycznych jedną tylko trąbkę myśliwską ocalił, do łez był rozczulonym i domagał się powtórzenia.

Tak tydzień po tygodniu upływał, generał już był skończył dział obu braci; interes, który ściągnął Ludwika do Niewodowa, nawet pozornych przyczyn nie poddawał, by go dłużej zatrzymać, a jednak o wyjeździe nie myślał. Napróżno naglące listy odbierał z Warszawy; przykuty duszą swoją do klawikordu Zosi, już nic nie umiał przedsiębrać. Rozmawiał z Zosią, albo w śpiewie jednoczył jednoczył z jej duszą duszę własną; oboje siebie rozumieli, chociaż przed sobą samymi nie umieliby zdać rachunku ze swoich myśli. Zosia częściej niż kiedy się zamyślała; Ludwik bez niej był milczący, ponury, nieprzystępny. Ile razy wojski na osobności zapytywał brata o pobudki jego smutku, ten się tłómaczył listami, które często odbierał z Warszawy, a które nagliły jego wyjazd, kiedy on rad był osiąść na zawsze w sąsiedztwie brata i wziąć rozwód z temi wyniosłemi żądzami zaszczytów i znaczenia, do których pałał, nim skosztował słodyczy życia wiejskiego w jego towarzystwie i przyszłej jego rodziny. Wojski poprzestawał na tem tłómaczeniu, z serdecznym afektem ścisnął brata w swoich objęciach, i lżą czułości skrapiał nieraz jego lica; a tymczasem cała okolica szemrała.

Jednego poranku z poczty przybył do starosty posłaniec z paką listów; było między niemi pismo od króla własnoręczne, które niezwłocznie domagało się jego powrotu, i to pod utratą na zawsze łaski. W tem piśmie oświadczył król, że się gotuje jakaś ważna okoliczność, mająca dać zupełnie inny obrót

interesom politycznym kraju; że jego współdziałanie jest niezbędne, gdyż nikomu tyle nie ufa; nakoniec w liście tym przejawiały się wielkie jakieś nadzieje w przyszłości, pokryte jednak tajemniczą powłoką. Ludwik czas jakiś pasował się z sobą, ale głos honoru i powinności zdołał przeważać wszelkie inne pociągi: odczytał Michałowi z listu królewskiego rozkaz mu dany stawienia się jak najrychlej w Warszawie, a pomimo nalegań Michała, żeby jeszcze tydzień pozostał z nimi, przekonał go, że nazajutrz musi Niewodów opuścić. I tak wszystko mimo siebie puszczając, a wierny nakoniec rozkazom swojego pana, zalecił Korendowiczowi, by wszystko na dzień jutrzejszy było gotowe do wyjazdu, a skończywszy swoje przebranie, z sercem, boleścią przesytem, wyruszył w saniach miejscowych, co dnia dla niego przygotowanych do dworu, gdzie Michał już go był uprzedził.

Kiedy przybył do bawialnego pokoju, wszystkich mieszkańców Niewodowa zastał w smutku, bo już brat jego był ich dopiero zawiadomił o rychłym wyjeździe. Michał i Zosia mieli oczy wilgotne żalem; ojciec Kleofas przywitał starostę tym rubasznym zwrotem: — Wolałbyś JW. pan był do nas nie przyjeżdżać niż tak rychło nas rzucić; — łowczanka oświadczyła, że tak jego pojazd uprowadzi wiktuałami, że do samej Warszawy dojdzie niegłodny; ksiądz Prosper ścisnął go za rękę i wyrzekł głosem dźwięcznym szczerością: Bądź przekonany, mości starosto, że prawdziwych przyjaciół tu zostawujesz. Ale gościnność generała była nad wszelkie opowiadanie. Pomieście nam szyki — powiedział — mości starosto dobrodzieju swoim wyjazdem; dziś tą saną pocztą, co Wpanu dobrodziejowi przywiozła tę dla nas wszystkich smutną ekspedycję, odebrałem także list z Warszawy; jak pisze do mnie moja rodzona siostrzenica JW. Weyhorowa, kasztelanowa Inflancka, już teraz musi być w drodze, i lada dzień do nas przybędzie; onaby pana starostę umiała zabawić, bo to kobieta wielkiego świata, i jej byłoby weselej z panem niż z nami wieśniakami.

— Jakto — przerwał starosta — pani kasztelanowa Inflancka jest siostrzenicą pańską?

— Nie inaczej; albo ona panu znajoma?

— A jakże! mieszkając w Warszawie, nie miałbym znać największej ozdoby dworu! Król jejomość wielce ją szacuje, i nawet często jej się radzi; ale nie wiedziałem, że z Paryża już wróciła, bo kiedym opuszczał Warszawę, o jej powrocie nie mówiono.

— Bo to widzi pan starosta, u tych kobiet światowych projektów tysiącami, a ledwo jeden z nich do skutku przyjdzie, zaraz trzeba go urwać i coś innego przemyśliwać. Ona się rozwodzi z mężem swoim JW. kasztelanem: jes to najlepszy człowiek na świecie, i pewnie lepszego męża nie znajdzie; ale cóż z kobietami poradzisz? Chciała za granicą czekać końca swojego rozwodu; tymczasem pisze do mnie, że Paryż opuściła, zatęskniwszy się za własnym krajem, i że z mojego domu chce doglądać swojej sprawy. Ja zawsze jej rad, choć to te rozwodowe sprawy, które się zagęszczają poczynają z tem

nowem panowaniem, pocziwych ludzi gorszą, a tylko niepocziwym korzyść przynoszą; ale cóż mi w to wchodzić? Moja siostrzenica, choć pusta głowa, ale dusza najlepsza; jaka szkoda, że pan starosta odjeżdża! Gdybyście byli razem, gęba wamby się nie zamykała, bo i ona ma o czem mówić; nie dla ozdoby nosi główkę.

— A główkę piękną odrzekł starosta — i dobrze wewnątrz opatrzoną. Król utrzymuje, że ona w Warszawie jest najrozumniejszą kobietą; i ja na to się piszę; wszakże ona tak nawykła do Warszawy, że i tu nawet za tęskni się za nią, kiedy sam Paryż nie zdołał z jej myśli wypłoszyć Warszawy.

— Ale, ale — odezwał się generał — dobrze, żem się opatrzył! Dziś niedziela; za nic z mojego domu pana starostę nie wypuszczą w poniedziałek. Jest to dzień feralny. Broń Chryste Jezu w dniu tym podróże rozpocząć! Gdyby jaki przypadek pana starostę w drodze miał spotkać, całe życie wyrzucałbym sobie, że go zaryzykowałem. We wtorek inna rzecz; kiedy już taki wyrok ostateczny, daj sobie, łaskawy panie starosto, do Warszawy; nie mam prawa przeciw temu nic powiedzieć; ale jaki byłby ze mnie gospodarz, gdybym gościa puszczał na podróż w dzień złowieszczny. Panie starosto, proszę tylko dzień jutrzejszy nam podarować. — I Michał do brata się przybliżył, i Zosia, przygazzone nieco źrenice podnosząc, odezwała się głosem srebrzystym a pieściwym: — Czyż dnia tylko jednego będziesz nam jeszcze skąpił.

110

Nie mógł się oprzeć starosta prósbom brata, przyszłej bratowej, gospodarza, którego czcił i kochał jak własnego nie mógłby więcej. Nakoniec czuł, że w krótkim i gorzkim żywocie ludzkim miło jest choć dobę jeszcze przepędzić z tymi, co nas miłują; każda chwila, błogo przepędzona, zdaje się, iż jest ukradziona przeznaczeniu. Dał się więc uprosić. Cały dzień przeszedł wesoło, bo już nie był ostatnim, w którym korzystać mieli z obcowania starosty; a on sam, nadzwyczaj wesoły, wydobywał wszystkich skarbów dowcipu, żeby zająć przyjaciół, z którymi blisko dwa dni jeszcze miał przepędzić. Generał, nawet ksiądz Prosper, ze zwykłego trybu życia robiąc ofiarę, ten dzień do późnej nocy przedłużyli. Odszedł ich nakoniec starosta z bratem swoim; wszyscy byli weseli.

Ach! czemuż odłożył swój wyjazd? Jedna doba zdaje się niczem, ale wieluż nieszczęść ta doba stała się przyczyną!

XX. Pojedynek.

Na dobrych parę godzin przed świtem, wojski, nie oglądając się na feralność dnia poniedziałkowego, wyjechał naprzód, by czekać brata w Słoniemiu, kędy trakt szedł do Warszawy. Nie było to bez celu; trzeba było działań uświęcić prawnymi formalnościami, które wojski brał na siebie tak, żeby starosta wszystko zastał gotowem, a oprócz tego z rachunku należało się od

wojskiego przeszło trzydzieści tysięcy, bez których ten ostatni nie chciał go puścić do stolicy, lubo starosta o to nie nalegał. Już wojski mil kilka był ujechał, kiedy starosta w twardym spoczynku tak patrzył na Zosię, jakby ją widział na jawie, bo innego przedmiotu sennie marzenia mu nie przedstawiały; przebudził się nakoniec, zadzwonił, spojrzął z roztargnieniem na godzinnik podróżny. Wszedł Korendowicz i skarpetki jedwabne na nogi mu naciągnął; dopiero wyskoczywszy z łóżka, rzucił na siebie szlafrok i szerokimi krokami zaczął mierzyć przestrzeń swojego pokoju; potem usiadł i powiedział:

— Herbaty i Laflera!

Przyszedł Lafler z grzebieniem i pudrem, przyniesiono herbatę, machinalnie przybliżył napój do ust, gdy Lafler upiętrzał jego głowę. Starosta zaczął nucić arye, które z Zosią egzekwował, i myślał bez wyrzutu sumienia, bo już wszystkie zdolności jego duszy były w odrętwieniu; fibra tylko serca zostawała żywotną, a że w niej siła uczucia do uczucia do najwyższego stopnia była podniesiona, tem samem już sobą władać nie umiał. Korendowicz dziwił się odmianie, którą spostrzegał w nałogach swojego pana; dawniej, nim się zdeterminował suknię wziąć na siebie, przynajmniej godzinę robił przegląd garderoby, naradzał się z nim, słowem ubiór był dla niego jakby sprawą stanu; a teraz od dni kilkunastu już, żadnej nie miał z nim konferencji, a brał na siebie cokolwiek mu podawał, żadnej uwagi do tego nie przykładając. Zauważył, że raz zapomniał był swego kapelusza, jadąc do dworu, i że aż w połowie drogi dopędził go Bośniak ze zgubą; co większa, chcąc go doświadczyć, dał mu był raz jednego suknię w paski żółte z czarnym, której moda już więcej roku przeszła, a on cały dzień w niej chodził i ani spostrzegł, że takiego dopuścił się anachronizmu. Nie mógł pojąć Korendowicz, co się to ma znaczyć i z kąd raka odmiana? a jednak, gdyby chciał, łatwoby rozwiązał węzeł całej tej tajemnicy, bo w szynku niewodowskim już nawet przejezdni o tem głośno mówili. Tylko że Korendowicz w żadne rozmowy ze sługami dworu generalskiego się nie wdawał, przestrzegając powagi swojej kamerdynerskiej, a wolne chwile od usług pana obracał na granie w pikietę z Laflerem, namiętym graczem, a którego oszukiwał niemilosiernie, tak dalece, że większa połowa lafy fryzyera do jego rąk przechodziła.

Obojętnie skończywszy swoje strojenie się, pojechał starosta do dworu i tam zastał wszystkich zebranych w pokoju bawialnym; dziwnym trafem w dniu niby ostatnim jego pobytu w Niewodowie, i on i Zosia, jakby się umówili, jedną barwę na siebie wzięli: starosta miał suknię błękitną na spodzie białym, a Zosia szlafroczek błękitny biało ogarniowany, i tę stosowność barwy najpierwej ksiądz Prosper zauważył. Ale te uwagi obojętnie przyjmował generał, mocno będąc poruszony.

— Mości starosto — odezwał się — wczoraj odebrałem od mego siostrzeńca list z Wilna, gdzie w seminaryum oczekuje wyświęcenia, po którym otrzyma kanonię, kilkanaście tysięcy przynoszące dochodu. Jest-to bardzo

światły młodzieniec, który był u mnie na opiece, a z którego i Kościół i Rzeczpospolita swojego czasu mieć będą pociechę, bo ksiądz Hołowiński, takie jest nazwisko mojego siostrzeńca, i dobrze się uczył i jest familantem. Otóż on mnie, wujowi i opiekunowi swojemu, dosyła czasem nowe książki, które się drukuje w Warszawie, a za które szkoda pieniędzy marnować. Miarkuj, panie starosto, że mi przysłał drukowany projekt jakiegoś bezimiennego do następnego sejmku, w którym radzi, żeby na sejmikach zabronić głosu nieposesyonatom, a mieszczanom dozwolić wyboru posłów na sejmy. Wierząc mi, panie starosto, że ledwo paraliżu nie dostałem ze złości, czytając te bluźnierstwa, żeby ten furfant swoje nazwisko był położył na czele obrzydliwego pisemka, zostałbym jego delatorem, i choć stary, popierałbym sprawę narodu przeciw niemu; ale on bezimienny, szukajże wiatru w polu; a niecnota! To chyba on musi być z przechrztów: odjąć szlacheica przywileje, za które ich przodkowie gardłowali i krew przelewali, a żeby swoim zapewnić ich użycie spokoju, dlatego tylko, że majątku nie mają; a obdarzyć niemi mieszkańców, łokciem i kwartą bawiących się, którzy, nie kontentując się swoją magdeburką nam, szlachcie, chcą prawa pisać. Ciekawy jestem, kto by takich praw słuchał i jaki poseł szlachcie chciałby w ławicy siedzieć obok mieszcucha!

— A krakowscy mieszczenie, JW. panie — odezwał się ojciec Kleofas — czyż do najwyższych nie dochodzą dostojęństw?¹⁾

— To wcale co innego; mieszczenie krakowscy są szlachcią; choć Krakowa obywatel nie *Generosus vir*, ale przynajmniej *Nobilis*. Ale żeby z innych miast mieszczanin, *qua* mieszczanin, mógł posłować, a, panowie moi!... domaganie się tego jest *crimen Status*, bo narusza prawa kardynalne narodu. Otóż to teraz takie rzeczy piszą, o których za królów Sasów i myśleć niktby się nie odważył; dziś gadają, piszą takowe nowinki, bez niczyjzego zgorszenia.

— Wszakże król jegomość — odrzekł starosta — nie ma w swoim ręku cenzury i wyjąwszy rzeczy tyczących się wiary, które podlegają roztrząśnieniu biskupów, we wszystkich innych materyach *nemini vox deneganda*. Cóż więcej król winien, że ktoś, nie pytany i nie pytający, wyrwie się z drukowanym absurdum? Pewny jestem, że król, czciciel przywilejów szlacheckich, gdyż sam ze stanu rycerskiego, dostąpił korony, takich zdań, o jakich pan generał wspominałeś, nietylko, że nie aprobuje, ale niemi się gorszy.

— Djabła tam, mości starosto! On człowiek światowy, a tym ludziom wielkiego świata co stare, to się nie podoba; oniby chcieli, żeby prawo i ustawy były zawsze świeże jak ich suknie. A to przeciwnie; prawo jest jak wino, im starsze, tem lepsze; co wart żołnierz nieostrzelany? tyle co prawo, które jeszcze nie było w obiegu i nie przeszło przez przypadki. Niech największy mędrzec, napisawszy prawo, zapyta mię, jak o niem trzymam? ja mu na to śmiało odpowiem: da Bóg doczekać za sto lat powiem waszmość panu, czy

¹⁾ Morsztynowie, Szembekowie, Wodzicy, mieszczenie krakowscy, do najwyższych przychodzili godności i z najpierwszymi koligacili się domami.

dobrze czy źle, bo prawo dopiero po skutkach, jakie otrzymało w narodzie, ocenić się daje. Ja to co mówię, nie z palca wyssałem, ale w tem podzielałam zdanie najznakomitszych naszych statystów, poczynając od brata pańskiego, przez którego ręce więcej spraw przeszło, niż przez moje niedźwiedzi, łosiów i dzików. Chociaż pan starosta obowiązany jesteś królowi i jego stronę trzymasz, ja wszelako otwarcie przed nim wynurzę moje zdanie, iż bezpieczniej mu wierzyć przez pół, niż ze wszystkiem. Jako przyjaciel świętej pamięci waszego ojca, a przyszły teść pańskiego brata, ośmielam się panu staroście dać jedną radę: oto, porzuć służbę królewską, a sam króluj na swoich dobrach. O niewdzięczność nikt go nie obwini, bo jeżeli masz dary króla, to też wiernie jemu służyłeś, więc między wami kwita; a z nami siedząc, prędzej nawet trafisz do wyższych dostojęństw, będąc dla króla obojętnym, niż mu zanadto nadskakując; bo u nas zdawna takie założenie, że kto się królowi okazuje groźnym, ten coś dobrego uchwyci, a kto mu jest potulnym, na mniejszem poprzestać musi. Ale może zanadto sobie pozwalam...

— Nie i owszem; nikt od pana generała nie ma więcej prawa dawać mi przestrogi, i może da Bóg, przekonam go, że jego nauka w las nie poszła.

Ksiądz Prosper mieszał się do dyskursu, a starosta tyle był uzyskał na nim wpływu, że zamiast dokuczania przytomnym cierpkością swoich morałów, oddawał się swobodnie ponętom rozmowy dowcipnej, zasilając ją skarbami niepospolitego rozumu, a ojciec Kleofas rubasznemi dykteryjkami rozweselał całe towarzystwo.

Przed samym obiadem przybyło dwóch gości niespodziewanych; jeden w ubiorze albeńskim, drugi w mundurze kawaleryi narodowej; pierwszy, był to pan Jan Wazgird, ów Albeńczyk z podwójną kresą na czole, który w czasie obiadu nieświeskiego siedział obok Zosi. On, będąc jej bratem ciotecznym, miał wielkie zachowanie u generała, w którego domu się wychował, gdyż matka jego, siostra nieboszczki generałowej, ale znacznie młodszą, z ich domu wyszła za męża; drugi był pan Sztyrmer, chorąży chorągwi generała. Pan Wazgird pocałował w rękę generała, łowczankę i księży, i głośny całus położył na każdym policzku Zosi, a starostę zaszczycił ukłonem, przypominając, że w Nieświeżu szukał z nim znajomości. Jego powitanie ze starostą, jakkolwiek grzeczne, było jednak zimne, i w jego spojrzeniu można było dostrzedz coś nieco zaczepnego. Pan Sztyrmer był skromny i poważny. Przy obiedzie gęba się nie zamykała panu Wazgirdowi, był bowiem z liczby tych trefnisiów, w których prowincya wówczas obfiłowała. Zabawiał lub usiłował wszystkich zabawiać różnemi anegdotami dworu nieświeskiego, wypadkami na łowach książęcych wydarzonemi i przygodami, co ich sam doświadczał, już w podróży na sejmikach nowogrodzkich, lub na sejmikach w Zelwie; a w tych opowiadaniach sypał nieraz cierpie przymówki, lub nawet otwarte szyderstwa na obyczaje zagraniczne. Gospodarza i Bernacha do rozpuku rozśmieszał; łowczanka i ksiądz Prosper dzielali acz nieco w niższym stopniu ich wesołość.

Zosia, przymus sobie czyniąc, nieraz się uśmiechnęła, na jednym tylko staroście uważać było można, że z tych nawiedzin wcale nie był ucieszony.

Po skończonym obiedzie generał wysunął się dla spoczynku, wszyscy inni pozostali. Po kilku chwilach milczenia, pan Wazgird, wzięwszy poufale Zosię za rękę, a siejąc na starostę spojrzenia szydercze, rzekł:

— Cóż to, siostrzyczko? Jak widzę, Niewodów cuda dokazuje! Pan starosta, na zagranicznym chlebie wykarmiony, doby nie powinienby usiedzieć w towarzystwie parafian we wsi zasklepionych, a tu siódmy tydzień bawi, i zdaje się, że już zapomniał o Warszawie. Komuż tak wielką odmianę w jego nałogach przypisać? czy wujowi, czy ciotuni, czy księdzu Chlebowiczowi? Wszak prawda, mości starosto, że pan tu się nie nudzi?

— Mości panie — odpowiedział Ludwik — z tak szanownymi, tak przyjemnymi gospodarzami, jakimi są mieszkańcy Niewodowa, nudzić się niepodobna; a co się tyczy obcych, chociaż tu często przebywają goście, do dnia dzisiejszego nie było między nimi nudziarza.

Pan Wazgard nosa nadstawił i wąsa zaczął kręcić, a po chwilach kilku zastanowienia:

— Pan starosta — rzekł z ukosa — chce mi dać do poznania, że ma mnie za nudziarza?

— Mój mości dobrodzieju, niczego nie chcę, tylko pokoju z całym światem; nie wglądam w niczyje postęпки i nie wkraczam, pragnąc, by i w moje nie wglądano, i nic innego waszmość panu nie chcę dać do poznania; zresztą przysłowie niesie, że w stół uderzyć, nożyce się odezwą.

— Ja podobnych alegoryi nie lubię i nie rozumiem, a po parafiańsku wezwyczajony jestem każdemu otwarcie mówić to, co chcę, by wiedział. Prosiłbym więc pana starostę, by mię raczył oświecić, czy to przysłowie, dopiero co przez niego przytoczone, jest pociskiem na moją głowę wymierzonym?

— A ja proszę najpokorniej waszmość pana dobrodzieja od nauczania jego osoby mię uwolnić.

— A kiedy tak — rzekł Wazgird — to sobie samemu trzeba to wytłómaczyć. A więc...

Tu ksiądz Prosper mu przerwał.

— Cóż to, pan Jan, jak uważam, wedle swojego zwyczaju chcesz szukać kłótni; ale mój brat generał waćpanu wcale nie będzie obligowanym, gdy się dowie, że w jego domu napastujesz gości, których poważa; a ja śmiem prosić pana starostę, bys raczył odśpiewać z Zosią ten prześliczny duet onegdajszy: *Il dolore della sceura*; zaręczam, że i panu Wazgirdowi to się podoba.

Starosta usiadł przy klawikordzie z Zosią, a pan Wazgird, przy oknie siedząc obok pana chorążego, zaczął jemu coś szeptać do ucha; ale kiedy się duet zaczął, przybliżyli się obaj do klawikordu.

Ileż ta muzyka miała stosunku z położeniem obojga śpiewaków! Starosta śpiewał po mistrzowsku, ale gdy Zosia się odezwała, było w jej głosie coś tak tkliwego, coś tak niepojętego, że Ludwik pod koniec duetu musiał się

pilnować, by łez nie uronić. Wszakże ta muzyka była tak czarująca, że nawet pan Wazgird zdawał się być udobruchanym; zbliżył się do starosty i szczerze zaczął mu dziękować za przyjemne wrażenia, jakich z jego łaski doświadczał; ale starosta tak był wzruszony, że wyjść musiał, a spostrzegłszy na dziedzińcu jakieś saneczki, kazał się zawieźć na swoją kwatere, gdzie znalazł ludzi swoich, zajętych pakowaniem rzeczy.

Wkrótce po przybyciu starosta spostrzegł przez okno zajeżdżające przed dom sanie, a z nich wysiedli pan Wazgird i pan chorąży i weszli do jego izby; starosta, przyjmując ich z uprzejmością, gospodarzowi właściwą, prosił, by raczyli usiąść, gdy pan Wazgird mowę do niego obrócił temi słowami: — Mości panie starosto, nie mam czasu do tracenia, a jako szlachcic ze szlachcicem otwarcie i szczerze muszę się mu wytłumaczyć. Brat pański jest zaręczony z moją siostrą, której sława droższą mi jest nad życie, a jej sława nie mała cierpi na przedłużonym przez pana pobycie w domu jej ojca. Rozchodzi się wieść, że pan na nią spoglądasz występniem okiem; nie w innym celu tu przybyłem, tylko żeby pana zapytać, jak mam trzymać o tych wieściach, oraz go prosić, iżbyś nietylko wyjechał z Niewodowa, ale dał mi rękę na to, że przynajmniej ze trzy lata od dzisiejszej daty żadnych stosunków ani osobistych ani listownych mieć nie będziesz z moją siostrą: bo jakkolwiek chcę wierzyć, że te stosunki są niewinne, dosyć dla mnie, że w opinii publicznej krzywdę przynoszą i jej i domowi mojego wuja.

Ludwik uczuł, że krew mu zakipiała w żyłach, jednak nie wyszedł z granic umiarkowania.

— Mości panie Wazgirdzie — odpowiedział — sława narzeczonej mego brata niemniej od Wpana mię obchodzi, ale i dla niej i dla siebie pogardzam podłą potwarzą. Z moich zaś postępków nikomu sprawy nie zdaję i pozwól Wpan sobie powiedzieć, że dla niego od mego obyczaju nie odstąpię.

— Przewidywałem Wpana odpowiedź — odrzekł Wazgird — i dlatego uprosiłem z sobą pana chorążego Szyrmera; a czy w mojem przekonaniu odpowiedź waćpana pochodzi z obrażonej dumy, czy z zadraśniętego sumienia, czy obojga pospołu, to przy sobie zostawiam. Nic nam tedy nie pozostaje, jak ułożyć się o czas i miejsce rozprawy, cokolwiek żwawszej od tych, co na słowach się się kończą; pan chorąży jest moim świadkiem, prosiłbym pana, byś ze swojej strony podobnego wskazał, bo już odtąd wszystko od nich tylko zależeć będzie.

— Chociażbyś Wpan zostawiał do tego czas dostateczny, w tych stronach świadka nie umiałbym znaleźć, a moje starania około jego szukania, tem samem nie pozwoliłyby mu przyjscia do skutku; upraszam więc pana chorążego, by razem raczył być i moim świadkiem, upewniając go, że z nieograniczoną ufnością polegam na jego honorze szlacheckim i oficerskim.

— I na nim się pan nie zawiedziesz — odrzekł chorąży, skłoniwszy się. — Jakiż jest czas dla pana starosty najdogodniejszy i jakiej broni pragniesz użyć do tej sprawy?

— Czy nie może być inny, jak jutro o świcie. Co się tyczy broni, szabla, z wymówieniem, jakie tu jest w używaniu, że pchnąć nie można przeciwnika, jest mi bronią tak obcą, jak zapewne szpada panu Wazgirdowi: najwłaściwiej pistolety wszystkie trudności rozstrzygnie. Mam tu w pudełku pistolety doświadczone: jeden z nich panu Wazgirdowi ofiaruję.

— Nie, nie — odezwał się Wazgird — niech każdy swoich używa, mam z sobą moje, którym wierzę. W przytomności pana chorążego każdy swój pistolet nabije. Co do miejsca, mniej niż o ćwierć mili od dworu na trakcie wileńskim stoi karczma; tam przed świtem jutro się zobaczymy, jeżeli wola pana starosty.

— Zgoda — odpowiedział starosta.

— Teraz — przedłużył Wazgird — wracajmy razem do wuja, żeby niczem nie dać poznać, co myślimy z sobą zrobić przy wszczynającym się dniu jutrzejszym; wiem, że pan starosta, w podobnych sprawach doświadczony, nie zechcesz przedwcześnie narazić mię na gniew mojego wuja; wracajmy razem i starajmy się uprzyjemnić wzajemnie ten dzień ostatni jego pobytu, a może i żywota jednego z nas

— I owszem, z całego serca; pozwólcie państwo, bym kilka słów tylko napisał, a potem zaraz im służyć. — Kazał sobie podać pugilares podróżny, a dawszy rozkaz Korendowiczowi, żeby jego rzeczy upakowawszy, jak zmrok nastąpi, wyruszył z nimi do umówionej karczmy i tam na niego czekał, wziął się do pisania. Po odbytej ekspedycji, która więcej nad kwadrans nie trwała, przeprosiwszy gości, że ich przetrzymał, lubo z sercem, pałającym gniewem, z powierzchownością jednak przyjacielską, wsiadł z nimi do sań i wrócili razem do generała bawialni, gdzie nie bez niespokojności ich oczekiwano.

Jakkolwiek pan starosta lekce sobie ważył obyczaje narodowe, we wszystkim prym przyznając Francji, pan Wazgird dał mu próbę waleczności polskiej, której nie mógł nie oddać należytej sprawiedliwości; widział go albowiem na kilka godzin przed śmiertelną walką tak obojętnym, tak wesołym, jak gdyby był zaproszony na ucztę. Niczem nie zdawał się być zajęтым, jak tylko pomaganiem wujowi, by mu ten ostatni wieczór jego pobytu uprzyjemnić: rozmaite koncepty sypały mu się jak z rękawa, koncepty nie zawsze szczęśliwe, ale które wszystkie pobudzały jednak niepohamowany śmiech generała. Zosia była ciągle zamyślona, a ta jej widoczna niespokojność tyle wywierała wpływu na Ludwika, że się wewnątrznie rumienił, iż nie mogąc sprostać w wesołości swojemu przeciwnikowi, czuł siebie być poniekąd upokorzonym. On, co zwykle wieczerzy nie jadał, mniej niż kiedy był kuszonym do odstąpienia od tego obyczaju, a uważał, że Wazgird jadł za trzech. Przy wieczerzy generał nalał spory kielich winem węgierskiem starem i spełnił zdrowie starosty, w ręce pana Wazgirda; pan Wazgird z największą uprzejmością wypił to zdrowie¹⁾ i kubek próżny oddał panu chorążemu; z równą

¹⁾ Bitwa szlachecka jest aktem uroczystym; jest ona niejako przywołaniem sądu Bożego na krzywdy, którym sprawiedliwość ludzka zadość uczynić nie może. Ztąd ludzie,

uprzejmością, chociaż małym kieliszkiem, starosta wypił zdrowie i gospodarza i gości, odwdzięczając im tę pamięć o sobie. Po wieczerzy generał, nad swój zwyczaj, do pierwszej po północy bawił się z towarzystwem, aż nakoniec starosta, widząc go snem zmorzonym, ledwo uprosił, by przyjął jego pożegnanie i raczył pójść do wczasu. Stary, odchodząc powiedział: — Zosiu, ponieważ za godzin kilka przyszedł twój brat odjeżdża, bawże go póki sam was nie pożegna. Jutro cały ranek swoje odeśpisz, a waćpan, panie siostrzanie, pomagaj Zosi, by ten ostatni wieczór, w który mam szczęście posiadać w moim domu pana starostę, pozostawał mu w milej pamięci.

Generał odszedł, wszyscy pozostali; Zosia była smutna, ledwo niekiedy lekkim uśmiechem odpłacając rubaszne krotofile swojego kuzyna i bernacha, bo ten, choć stary, wraz z łowczanką placu dotrzymywał. Ani się spostrzegli, kiedy kukułka sześć razy kuknęła. To już było oczywiście hasłem do rozstania się: starosta ze wszystkimi zaczął się żegnać. Zosia już łez wstrzymać nie mogła, a on sam niemęskim smutkiem dał poznać, ile to rozstanie go kosztowało. Wyszedł nakoniec do żywego wzruszony, a pan Wazgird i pan chorąży oświadczyli, że go odwiozą na kwaterę. Wyszli; mróz był umiarkowany; noc miesięczna, a jej ciszy najmniejszy wietrzyk nie poruszał; gdy sanie wyjechały za wrota, starosta towarzyszom swoim oświadczył, że pieszo chce powracać, na co się oba zgodzili tem chętniej, że ich przekonał, iż to potrzeba uczynić, ażeby wóźnica ich nie zdradził. Sanie odeszły, a oni piechotą puścili się do umówionej karczmy. Tę około ćwierci mili litewskiej pieszą przechadzkę pan Wazgird starał się jeszcze uprzyjemnić staroście grzecznością i uprzejmością swoją. Kiedy doszli do celu podróży, już pierwsze brzaski krasić zaczęły niebiosa; w karczmie zastali wszystkich nietylko przebudzonych, ale już krzątających się.

Nie tracąc czasu, starosta kazał Korendowiczowi podać pudło z pistoletami; Wazgird swoje miał pod pachą, a chorąży niósł w kieszeni, co było potrzebnem do ich nabicia. Pistolety starosty, bogato oprawne, wzbudziły podziw i przeciwnika i świadka; ale po chwili pan Wazgird, pokazując swoje panu staroście, dodał:

— Może moje lazarynki niepokazne, ale cnotliwe; będę się starał pana o tem przekonać.

— Korendowicz — zawołał starosta — zaraz strzelać się będę z tym panem; jeżeli zginę, nie pokazuj się w Niewodowie, ale ztąd natychmiast i najspieszniej ruszaj do Warszawy z moim ekwipażem. Żebyś nigdy przed

mając się z sobą potykać, czują dla siebie poniewolny jakiś szacunek a nawet miłość, i starają się wynagrodzić sobie zemstą tem wszystkim, co ukształcenie może mieć najpowabniejszego. Jeżeli kto kogo wyzwałszy stroni od niego, śmie przeciw niemu rzucać obelgi zaoczne, jest to człowiek podły i tchórz, pomimo swojej opryskliwości, i można iść o zakład, że albo bitwy nie będzie wcale, albo bitwa odbędzie się bez istotnego dla obu stron niebezpieczeństwa. Człowiek porywczy i grubianin jest zawsze tchórzem: umiarkowanie, władanie sobą, firmą waleczności.

nikim słowa nie wyrzekł o tem wszystkiem, co się dzieć będzie przed twemi oczyma, oto masz list, wręczysz go generałowi ziem podolskich: nie zapomniałem ani o tobie, ani o żadnym z moich sług, ale to, co dostaniesz, będzie pod warunkiem twojego milczenia. — A pan Wazgird, obracając się do arendarza, piorunującym krzyknął głosem:

— Żydzie psie, żebyś ani ty, ani żaden z twoich nie pisał o tem, co się zaraz zrobi za twoją karczmą, albo proś twojego Boga, żebym zginął; bo jeżeli żyw wyjdę, a ktokolwiek wspomni o tem, co się tu działo, ani ciebie, ani twojej żony, ani twoich bahurów ziemia przedemną nie schowa. Znasz mnie.

Żyd milczał, ale aż posiniał od strachu; pan chorąży opatrzył pistolety, a starościńskie przeżegnawszy, szepnął nad niemi jakąś modlitwę, żeby na wszelki przypadek od nich inkluza odpędzić, a obracając się do starosty:

— Przepraszam pana, ale pomimo jego wiedzy zagranicą ci bezbożnicy mogli co niedobrego do jego broni przyczepić; co do pistoletów pana Wazgirda, ja za nie ręczę, że poczciwe; wszakże jeżeli pan starosta ma w tem wątpliwość, niechaj po mojemu nad niemi zmówi krótki egzorcyzm.

— A broń Boże — odpowiedział, śmiejąc, starosta — jakżebym słowu pańskiemu nie wierzył? A zresztą, chyba pan chorąży nie wiesz, że jestem komandorem maltańskim, a żaden inkluz nie ma władzy nad rycerzem-zakonnikiem.

Potem każdy zaczął nabijać swój pistolet pod rozważnem okiem chorążego, poczem poszli wszyscy poza karczmę. Chorąży dziesięć kroków odmierzył, stanął na samym środku równoległej linii, przeżegnał się, toż samo i pan Wazgird za nim, i powiedział:

— Uważajcie, panowie, na moją komenderówkę; powiem raz, dwa, a jak usłyszycie trzy, palcie do siebie w imię Boże! a który z was nie wystrzeli, ten traci strzał.

Zaczął komenderować; starosta uważał, że Wazgird brał go wyżej kłęba, on wziął go na cel w głowę, a mając i rękę wprawną, był pewny, że mu ją roztrzaska. Wszakże czy można wątpić o przeznaczeniu? Na to hasło: trzy, pistolet starosty, tak niezawodny, tak doświadczony, spalił na panewce, a kula przeciwnika na wskroś go przeszła. Padł; pan Wazgird zbliżył się do niego, prosząc w imię Boga o przebaczenie.

— Z całego serca — powiedział starosta — ani się waćpan domyślasz, jakąś mi zrobił przysługę, odbierając mi życie.

— Zanieśli go, położyli na łożku żydowskiem, a wkrótce wszystko znikło przed nim, nawet uczucie własnego jestestwa.

XXI. Wyznanie.

Ledwo ujrzeni starostę na pościeli, pan Wazgard z panem chorążym, nie tracąc czasu, śpiesznie wrócili do domu i pokładli się w łóżkach dla nich

przygotowanych, jakby o niczem nie wiedzieli. Ale arendarz, widząc że starosta jeszcze niezupełnie zabity, pojechał co tchu oświecić komisarza Niewodowskiego, żeby dał jaki ratunek rannemu. Jednak pamiętny na groźby Wazgirda, czyniąc relację, naprędce ułożył bajkę, że kiedy starosta przybył do jego karczmy, już tam zastał dwóch jakichś panów nieznanomych, którzy od godziny na niego czekali, że nawet koni nie kazali wyprządz. Że jeden z nich strzelił do starosty za kar. zma, ale po kawalersku, a powaliwszy go, natychmiast z towarzyszem podróży zniknął. A tę relację później i Korendowicz potwierdził. Pan Buńczukiewicz wezwał ojca Kleofasa i jego zabrał ze sobą do karczmy. Ojciec Kleofas, nieźle obeznany z chirurgią, naprędce choremu obandażował rany, wprzód je obmywszy, i na drogach derkami pokrytych zanieśono go do dworu i ulokowano nie na dawnej kwaterze, ale w samym dworze, w bokówce obok bawialnego pokoju. Natychmiast sprowadzono z Mińska regiment felczera pułku Massalskich tam konsystującego.

Felczer, człowiek w rzemiośle swoim doświadczony, rozstawionemi końmi przybywszy, pochwalił ratunek Bernardyna, i skonkludował, że jeżeli dwie doby przeżyje, to wyjdzie z niebezpieczeństwa, bo pokaże się, że kula przeszliźnęła się po kiszkach bez ich naruszenia, że potem cała usilność na to ma byćłożona, ażeby zmniejszyć gorączkę. Nakoniec zostawił lekarstwa, obiecując przyjechać nazajutrz, a chorego do jutra porучzył staraniom ojca Kleofasa, zalecając mu szczególnie, żeby na wypadek odzyskania przytomności nie dopuszczał choremu mówić, gdyż tylko największa spokojność może zdrowie wrócić w podobnych przypadkach. Generał z nadzwyczajnem wzruszeniem przyjął tę wiadomość; zaraz umyślnego posłał, żeby zawrócić pana wojskiego, gdzie go znajdzie, a dowiedziawszy się, że pan Wazgird i pan chorąży Szytmer odprowadzali pana starostę, wziął ich na egzamin. Ale pana Wazgirda takie było tłumaczenie: — chcieliśmy odwieźć pana starostę na jego kwaterę i siedliśmy z nim razem na sanie, lecz za wrotami oświadczył on, że koniecznie chce iść piechotą. Myśmy go odprowadzili, pomimo jego nalegań, by go samego zcstawić; wszakże jak zaczął nas zbywać, odrzucając naszą grzeszność, radzi nieradzi musieliśmy go odstąpić, nie chcąc okazać się natrętnymi. Generał trochę się gniewał na siostrzeńca, że w tem go usłuchał. Ale pan Wazgird dodał: — Jużci trudno było, kochany wujaszku, jemu się nabijać, kiedy naszego towarzystwa nie chciał. A czartby się spodziewał, że, zamiast do swojej kwatery, pójdzie do karczmy za wsią, żeby się w niej strzelać. — I tem go przekonał; ile że pan chorąży, któremu we wszystkim wierzył, kubek w kubek takie samo dawał tłumaczenie. Poczem pożegnawszy wuja i Zosię, pan Wazgird z chorążym wrócili do Nieświeża, zkąd byli przyjechali.

Starosta blisko dwóch dni leżał bez przytomności, nakoniec zdało mu się, że z twardego snu się przebudził. Otworzył oczy: nie wiedział, gdzie się znajduje, a wszystkie wypadki, któreby go mogły przekonać o jego jestestwie, tak były pomieszane w jego umyśle, że ich wątku wynaleźć nie umiał. Otworzył oczy jeszcze więcej, skupia ile możności myśli swoje, czuje wrażenie

światła migającej lampy, zastanawia się nieco rozważniej nad sobą. Cóż spostrzeżę? oto dwie niewiasty. Jedna z nich, siedząc naprzeciw niego, ma głowę opartą o stół, i zdaje się drzeć; druga, stojąc przy łóżku, zdaje się śledzić każde jego poruszenie. Wpatruje się w ten przedmiot, natęży osłabione siły umysłu, by sobie wytłómaczyć to widziadło; zdaje mu się, że anioł zbłądził ku niemu. Przeciera oczy, przebóg! poznaje Zosię. — Siostró — odezwał się przytłumionym głosem — tyś to jesteś przy moim łóżku boleści? czyż zasłużyłem na tę pociechę?

A ona, palec położywszy na ustach, rzekła: — Niewolno tobie mówić. Ja tu z cicią przybyłam ciebie pilnować; myślałam, że o tem nigdy wiedzieć nie będziesz. Ach, cóżem zrobiła! cóż o mnie pomyślisz?

— Będę myślał to, co zawsze myślałem, żeś cudowną, żeś anielską istotą.

— Ludwiku, cóżes uczynił! mógłżeś tak obojętnie życie swoje narażać i miecz utapiać w łonie tylu osób przywiązanych do ciebie? Przyznaj się, żeś ranę odniósł z rąk mojego brata Wazgirda.

— Zkądże powzięłaś takowe mniemanie!

— Nikt się tu tego nie domyśla, ale przenikliwość przyjaźni omyłoną być nie może. Wreszcie ten okrutnik, żegnając się ze mną, sam dał mi to do poznania. Proszę cię, wyznaj przedemną, jaki był powód waszej nienawiści?

— Zofio! czemu mnie o to pytasz? Twój krewny jest najgodniejszy, najmężniejszy z ludzi; zginać z podobnej ręki jest zaszczytem. On zdołał wyczytać w mojem sercu to, co przed sobą samym rad byłem ukryć. Jeżeli mam żal do niego, to za to, że lepiej jeszcze we mnie nie ugodził. Gdyby mi był życie od razu odebrał, ileby nieszczęść mi oszczędził!

— I ty możesz mnie to mówić?

— Tak jest, on przeniknął nieene moje uczucia: Zofio! już dłużej przed tobą tajemnicy mojego serca ukrywać nie mogę: wiem, że mną pogardzać będziesz jak nikczemnikiem, ale już na wszystko jestem obojętny. On przeniknął prawdę: kocham cię nad życie, nad sławę, nad powinność.

— Uspokój się, Ludwiku! czy zapomniałeś, do kogo mówisz?

— Zofio! o wszystkim zapomniałem. Już przeszła pora, kiedy kłamnym pozorem mogłem zaśłaniać prawdę; bliskim będąc skonu, pokażę się tobie takim, jakim jestem w istocie. Kocham cię aż do szaleństwa, ale cieszę się, że, to wyznawszy, już nie będę przeszkodą do szczęścia mojego brata. Poprzysięgam ci na honor rycerski, że czuję, iż po tem mojem wyznaniu już mi żyć niewolno. Twoja wzajemność tylko zdołałaby z życiem mnie pogodzić; ale znam ciebie, znam twoje przywiązanie do ojca, twój szacunek dla mojego brata, twoją cześć dla cnoty; winienem siebie poświęcić waszej spokojności. Ostatni raz mnie widzisz. Za godzin kilka skończę żywot skołatany; odrzucę te wszystkie środki, użyte dla wrócenia mi tego zdrowia, którem pogardzam. Mam nadzieję, że litościwa twoja pamięć będzie ci niekiedy przypominać nieszczęśliwego brata, a ta myśl osłodzi ostatnie chwile mojego technienia.

— Okrutny, i tybyś sobie życie śmiał odbierać!

— Czy mnie na to żyć każesz, bym zawistnem okiem spoglądał na szczęście mojego brata? żebym z uczuciem szatańskiem patrzył, jak będziesz jemu szafowała te wdzięki, których samo wyobrażenie w obłąkanie mię wprowadza? Żebyś komu innemu przynajmniej, a nie bratu wiare przysięgała, odważyłbym się żyć, na to tylko, żeby mu życie z piersi wydobyć; ale brat, brat, Zefio! Oddał się, nie przeszkadzaj mi umierać; żyć nie chcę, żyć nie mogę; żegnam cię na zawsze: bądź szczęśliwą!

— Ludwiku, ja cię kocham, kocham cię nad wszystko! Żyj, ratuj swoje zdrowie, tego żądam od ciebie; a potem opuść nazawsze te strony. Jakiegokolwiek są skłonności serc naszych, między nimi stoi przepaść nieprzebyta. Okażmy się jednak godnymi siebie. Z twojem przybyciem szczęście moje znikło; pozwól, bym przynajmniej sumienie nieskażone do grobu zniosła. Ty o mnie kiedyś zapomnisz; dla was mężczyzn sława, znaczenie, łaski królów, zdolne są zatrzeć chociażby najdroższe pamiątki; dla nas kobiet całkowite jestestwo jest w uczuciach; ty nigdy nie znikniesz z pamięci mojej. Jednak losowi mojemu opierać się nie będę. Twój brat zostanie moim mężem, a tę wiare, którą w mojem imieniu mój ojciec mu przyrzekł, którą mu przyobiecałam w przytomności waszego ojca już konającego, nieskazitelnie dochowam. Jeszcze cię błagam, zaklinam cię na tę miłość, o której ostatni raz mówię: żyj i opuść nas! Każda chwila twojego u nas pobytu jest zabójczą, nie powiem dla szczęścia mojego, bo już to szczęście na zawsze zniszczone, ale dla mojej sławy, dla spokojności twojego brata, którego nieszczęśliwą żoną być muszę. Kocham cię, jeszcze raz tobie to powtarzam, bo wiem, że szlachetność twoich uczuć nie pozwoli tobie nadużywać mojej szczerości. Żegnam cię, i rozkazuję ci żyć; twoje posłuszeństwo przekona mnie, żeś mię prawdziwie kochał. Już mi się nie godzi po tem wyznaniu dłużej z tobą pozostać; żegnam cię i zaklinam, byś udawał sennego. — To wyrzekłszy, lekkim poruszeniem za ramię obudziła łowczankę i obie, na palcach wychodząc, znikły z przed oczów Ludwika.

Starosta pozostał jakby w zachwyceniu. Umysł boleścią ciała osłabiony, a dopiero wystawiony na takie poruszenia, długi czas nie mógł się upewnić, czy to zjawisko było rzeczywiste, czy tylko marzone. Ale ten głos srebrzysty, który wyrzekł *kocham, kocham ciebie nad wszystko*, ciągle tętniał w jego uszach; całkowite jego jestestwo było wplecione w te wyrazy. Był kochanym, i cóż więcej go obchodzić mogło? Besztę nocy oka nie mógł zmrużyć, ale wycieńczony wrażeniami wpadł w ten stan nieczułości, co go lekarze atonią zowią: dusza wszelkie działanie w nim zawiesiła. Czuł coś jakby boleść, coś jakby pragnienie, ale już nie miał samopoznania własnych uczuć; wszystkie jego zmysły były w stanie drażliwym, niemi kierować się nie mógł, bo nie był już w możności sądu o nich wydać.

Przed samym porankiem odzyskał zupełną przytomność; gorączka była silna, wszakże nie co się zmniejszyła. Machinalnie wyciągnął rękę do stołu,

przy łóżku będącego, dotknął się szklanego naczynia z jakimś chłodzącym napojem, co go felczer był przepisał, i wypróżnił do dna, czem się uczuł znacznie orzeźwionym. Zaczął rozbierać rozważnie wrażenia w nocy doświadczone: namiętność i sumienie straszną walkę rozpoczęły z sobą w jego umyśle, ale sumienie zwyciężone zostało. — Cóżem ja winien? — pomyślał sobie — jestem pod wpływem przeznaczenia, jakiejś konieczności, a te spełnione być muszą, bo moja wola napróżno im się opierała. Chciałem odjechać, chciałem przestrzenia całego kraju przegrodzić sobie od tej, której mi niewolno kochać. Trzeba właśnie, żeby jej krewny, obstając za jej sławą, za jej spokojnością, stał się przyczyną mojego tu powrotu, a tem samem wszystkich następstw, jakie z niego los wyprowadzi. Byłże tu wpływ mojej woli? Czyż we wszystkim nie chciałem być posłusznym głosowi sumienia? Czyż największą ofiarę nie byłem gotów dla niego zrobić? Jednak najświętsze moje przedsięwzięcia wywrócone w jednej chwili zostały! Czyż nie mam najsluszniejszych powodów do wierzenia, że to wszystko jest zrzędzeniem jakiejś władzy wyższej, której zmuszony jestem uleże?

Wśród takich marzeń usypiających sumienie, sen zaległ jego powieki; wszakże ten sen nie był spokojny, ale naprowadzający jakieś widziadła dręczące, jakieś groźby, jakieś zabójstwa, coś tak poplątanego, że kiedy się przebudził, tym snem więcej był zmęczony, niż bezsennością.

Było około jedynastej przed południem. Gdy oczy otworzył, ujrzał mieszkańców Niewodowskich otaczających jego łóżko; był generał, był brat jego wojski, byli księża, był i Buńczukiewicz; kobiet tylko nie było. Wojski za rękę prowadził felczera, który znalazł, że wszystko idzie dobrze, tylko że gorączka jeszcze silna. Ci zaciąg ludzie ledwo mu spoczywać dawali, tak go zajmowali staraniem i uprzejmością. Lecz starosta był na to wszystko obojętnym i bez trudności ulegał zaleceniom lekarza, żeby nic nie mówił; bo Zosi tam nie widział. Oczekiwał ją w dniu, w nocy myślał, że to zjawisko, które mu już raz dało poznać rozkosze niebieskie, jeszcze raz się powtórzy. Wszakże na nadzieja, jakkolwiek zawiedziona, uspokajała jego cierpienia; czasem zasypiał o niej myśląc, bo już o niczem innem nie myślał, a sny łagodniejsze pieściły duszę jej obrazem.

Tak upłynęło dni kilka, w których znacznie zdrowie starosty poprawiać się zaczęło. Już mógł o swojej sile siedzieć w łóżku, mógł nawet pisać, i oczekiwał z niecierpliwością chwili, w której lekarz przynajmniej po pokoju przechadzać się pozwoli; kiedy gość pożądany od generała przybył do jego domu.

XXII. Przybycie pani kasztelanowej.

Była to pani Wejherowa, siostrzenica rodzona generała, kobieta wyższego wychowania, a której piękność słynna była w całej Warszawie.

Po pierwszych przywitaniach z uradowanym wujem, i z jego domownikami, bo umiała wszystkich obowiązywać, chciała koniecznie widzieć starostę

i nie czekając zezwolenia wuja, ze zwykłą swoją zyczliwością weszła do jego pokoju, a położywszy pulchną rączkę na jego ustach: — Co to, mój starosto! odezwała się — nigdy, jak widzę nie zaprzestaniesz swojego gladyatorstwa, kiedy aż w naszej zapadłej Litwie, gdzie nie miałeś nawet czasu znajomości robić, znalazłeś sposób potykania się w pojedynczym boju. Ktoś z dalekich stron musiał cię tu szukać, bo nie pojmuję, z kimbyś tu mógł mieć zajście. Pewnie jakiś amant nieszczęśliwy, jakiś małżonek zazdrosny zemścił się na tobie; gdyż w każdym ważniejszym wypadku twojego życia koniecznie kobieta główną wygrywa rolę. — A zwracając się do generała: — Wiesz, wujaszku, że starosta zadał kłamstwo przysłowiu: „wielkim panom aby z oczu, to i z głowy? Król tak za nim tęskni, jakby za kochanką, a jednak był jego rywalem; i pani krajezynie, terażniejszej sultance panującej, ile razy kto wspomni starostę, łzy w oczach stają. Widzę, Ludwiku, żeś prawdziwie chory, kiedy mnie nie zapytujesz o Paryż, gdzie cztery miesiące mnie przeszły jakby cztery godziny, a który dopiero szósty tydzień opuściłam. Poznałam twojego brata, Bertranda; on w największej modzie, bo ciebie cokolwiek przypomina; żeni się nieborak, i podobno już ożeniony z hrabiną de Vermont, bogatą kreolką.

— Moja siostrzanko droga, co to się znaczy kreolka?

— Wujaszku kochany, tak nazywają w Paryżu Amerykanki.

— Jakto? brat przyrodni pana starosty i naszego wojskiego z czarną kobietą, miałby się żenić?

— Ale nie, wujaszku, to są Francuzki, które się rodziły na amerykańskich wyspach, i są białe, jak bielszemi być nie można, a szczególnie bratowa panów Strawińskich, której piękność głośzą po towarzystwach paryskich pierwszego rzędu. Zapewne, że już musiał o tem donieść dawno bratu swojemu, ale wujaszkuwi opowiem szczegóły ich zaręczyn, bo te były świetne, i na nim tak niespodzianie wymożone, że rad nierad trzeba było zezwolić; cofnąć się nie było sposobu. On od dwóch lat prawie był z nią w romansie i pomimo niewierności swoich szczerze się do niej był przywiązał; ona chciała zostać jego żoną i on nie był od tego; ale jakże kawalerowi będącemu w modzie, roztrzepanemu, od jednej do drugiej ciągle przenoszącemu swoje afekta, obrąć raz na zawsze stan poważny? Co się skłoni ku temu, to zaraz żarciki a do księżnej Villeroy, a do hrabiny Boufflers, a to panny Dufé, czy Armal, czy jakiej innej aktorki tak go zbijają z kontenansu, że chłopiec choćby rad się ożenić nie śmie. Otóż w Wersalu był wielki bal, na którym się znajdowałam, i nawet figurowałam, bo należałam do jednego sławnego kadryla, o którym zapewne dotąd jeszcze mówią. Była to niespodzianka przygotowana dla króla, a stary Gardel cały tydzień do tego kadryla nas przygotowywał; król francuski lubi nad wszystkie inne kolory błękitny, wszystkie też osiem par naszego kadryla były ubrane w błękitny jedwab: mężczyźni w sukniach haftowanych blaszkami srebrnymi, a my kobiety ozdobione perłami i brylantami. Hrabina de Vermont promieniała wdziękami i brylantami, a tańcowała z gra-

cyą Paryżanki, oraz z żywością kreolki. Kiedy król przybliżył się do naszego koła, z takim zapalem zaczęłyśmy skakać, że było prawdziwe czarodziejstwo; musiało się nam udać, bo król, przybliżywszy się, do skończenia naszego tańca już z miejsca się nie ruszył. Gdy muzyka ucichła, król do mnie przystąpił, i powiedział mi kilka grzeczności, na które odpowiedziałam jak umiałam; a potem, zbliżywszy się do hrabiny Vermont, która wyglądała jak nimfa, jej piękności głośny hołd zaczął oddawać, ale aż do pobudzenia zazdrości w Bertrandzie, cofniętym o kilka kroków przez uszanowanie a który do tej zazdrości tem większe mógł mieć powody, że od śmierci margrabiny de Pompadour królewskie serce wakowało. Wtem król, okiem zmierzwszy hrabiego Mycielskiego, łaskawem skinieniem kazał mu zbliżyć się do siebie i powiedział mu: — Słyszałem, mości hrabio, że żenisz się z piękną hrabiną, której byłeś partnerem; czy można wiedzieć, na który dzień wasz ślub naznaczony? — Najjaśniejszy panie — odpowiedział Bertrand — wszystko to zależy od woli hrabiny, której jestem najwierniejszym sługą. — Król do niej więc obracając mowę, rzekł: — Nie myśl, hrabino, żebym przez płonną tylko ciekawość zapytywał hrabiego Mycielskiego o dniu waszego ślubu; on jest krewnym nieboszczki królowej, los jego mnie obchodzi. Kiedy się dasz skłonić upragnieniom jego stałego przywiązania? — Hrabina pomieszana odpowiedziała: — Wtedy, kiedy rozkaże wasza królewska mość, — a król na to: — Nie daję sobie prawa rozkazywać waćpani, ale cieszyłbym się, gdyby to nastąpiło od dnia dzisiejszego za tydzień. — Ledwo chwil kilka upłynęło, a już wszyscy dworzanie i damy dworu z kolei powinszowania swoje obudwom roznosili. Tak węzeł gordyjski ich romansu przez potężnego króla rozwiązany został; już nikt się nie odważył żartować z Bertranda, że świat sobie zawiązał, bo król tego żądał. Nie uwierzysz, kochany starosto, jak wasz brat mnie męczył, żebym na jego ślub została; ale tak spieszyłam do Warszawy, że trzeciego dnia po tym balu już byłam na wielkim trakcie. Co to za nieoszacowany chłopiec, ten Bertrand Mycielski; niemożna jego nie lubić; najprzód tak wesoły, że już samem przybyciem swoim rozwesela; powtórę tak zabawnie mówi po polsku, że aż pękać trzeba ze śmiechu; po trzecie, że kocha wszystkich swoich. Nic dziwnego, że kocha Ludwika, który był dla niego drugim ojcem, ale wszystkich krewnych swoich, których nawet nie zna. Jak się ożeni, jego dom będzie opatrnością dla każdego z naszych w Paryżu. Z tem wszystkim, dzięki Bogu, że cokolwiek czasu przepędzę w domu wujaszka: z panem starostą nagadamy się o Warszawie. — Potem, siadłszy na kolanach generała i pieścąc go, dodała: — Wujaszku moja rzecz porządek wprowadzić w zabawach niewodowskich. W twoich zatrudnieniach, kochany wujaszku, żadnej przeszkody nie zrobię; ale salon już odtąd do mnie należy, a ja go przenoszę do pokoju starosty: on przychodzi do zdrowia, trzeba go bawić; otaczając jego łóżko, ostatki słabości wypłoszę. Sami mężczyźni niewiele mu pociechy przyniosą; proszę wujaszka, żeby ciocia łowczanka i siostrzyczka Zosia mnie pomagały do uzdrowienia starosty; wszak

ci on wkrótce będzie jej bratem, więc ceremonie miejsca mieć nie powinny. Zatem tak stało, że pokąd doktor mu nie da absolucyi, póty u niego nasz bawialny pokój: nieprawda, wujaszku?

Generał miał dla niej wiele słabości: — Siostrzanko kasztelanowo — odpowiedział — rozporządzaj się w domu moim, jak ci się podoba, a tylko o to proszę, byś jaknajdłużej w nim siedziała; wiem, że lepiej odemnie zdołasz bawić starostę, bo ja sobie, zwyczajnie prosty człowiek. Dziś po obiadku wszyscy się zbierzemy, jak każesz u pana starosty, a pozwolicie, bym jutro pojechał na polowanie. Pomożesz mi siostrzanko, przeprosić szanownego gościa: od jego nieszczęśliwego przypadku, za który całe życie sromać się będę, że się na moim gruncie wydarzył, o krok z domu nie odstąpiłem: ale teraz, kiedy już wyszedł z niebezpieczeństwa, to mnie o zwierzynie pomyśleć pozwoli.

Starosta, jak umiał, wynurzał wdzięczność swoją, najusilniej prosząc gospodarza, by siebie oddał zwykłym zabawom.

W istocie po obiedzie wszyscy się zebrali w komnacie leżącego starosty; była z nimi i Zosia; Zosia, którą Ludwik oglądał pierwszy raz od tej chwili, w której się ona mu nie powiem pokazała, ale objawiła, bo w poglądzie co na nią rzucił, nic nie było cielesnego. Ona wtenczas była tak powietrzna, tak duchowna, że to było snem więcej niż jawą, ale snem, jaki Bóg zsyła tylko swoim wybranym. Teraz pokazała mu się z zatrzważającą bladością, ale tak piękną, tak wrażliwą; spojrzenia jej ciemnych źrenic były nieco przygaszone; wszystko to się działo na jawie, jednak w jej poruszeniach, w jej spojrzeniu było coś takiego, co już do tego świata nie zdawało się należeć. Kiedy się zbliżyła do starosty i zrobiła jakieś niewyraźne zapytanie o stanie jego zdrowia, lekki rumieniec zalegał mat alabastrowy jej lica; starosta coś równie niewyraźnie odpowiedział, serce zaczęło w nim bić gwałtownie, oczy pomimowolnie zawrzcęć musiał; stracił z uwagi wszystko, co się obok niego działo.

XXIII. List kasztelanowej do szambelana Gintowta.

„Nie mogę być obojętną na twoją pamięć, Albercie, że co trzeci dzień odbieram od ciebie list długi; bo tem dowodzisz, że lubisz o mnie myśleć, że choć listownie pragniesz ze mną rozmawiać, że mnie kochasz statecznie, a przynajmniej usiłujesz mnie o tem przekonać, a i to przecie zasługuje na wdzięczność. W ostatnim liście twoim szeroko rozwodzisz się z bojaźnią, żebym o tobie nie zapomniała, nie dowierzając poniekąd mojej dla ciebie stałości. Rzecz pewna, że nie może być przywiązania bez odrobinki przynajmniej zazdrości. Mieję ją sobie, Albercie, ale pod miarą i odwagą, to jest tyle, ile ci jej mieć pozwolę; bo jeżeli cię kocham, nie godzi się mnie wymówkami udęczać, a jeżeli przestałam cię kochać, na cóżby ci się twoja zazdrość przydała? Przyrzekłam tobie moją rękę, i jak tylko mój rozwód się skończy, danego słowa dotrzymam. Wszakże do tej mojej obietnicy ani rodzice, ani krewni,

ani przyjaciele nie wpływali; był to czyn własnej mej woli, a więc, na mojem słowie poprzestając, proszę cię, oszczędzaj mi wszelkich wymówek, bo nakoniec mógłbyś niemi mnie znudzić, a miłość niczem tak prędko się nie wypląsa, jak nudami. Jestem szlachcianka, i ktoby się popisował jakąkolwiek władzą nademną, bądź pewny, że zbrzydziłabym go sobie odrazu; wszakże gdybym inaczej myślała, wróciłabym do pana Wejhera, o którym nie mogę powiedzieć, żeby był mężem bardzo niewygodnym. A tyle mam doświadczenia, że nie mam powodu obawiania się losu żab Ezopa, które, zbrzydziwszy sobie królowanie kłosa, otrzymały bociana. Pokazuję ci się wedle mego zwyczaju zupełnie taką, jaką jestem, bez najmniejszej obłudy. Kocham cię i za nicbym tego nie wyrzekła, czegobym nie czuła, ale jeżeli chcesz długo się cieszyć mojem przywiązaniem, ostrzegam cię, żebyś w niczem nie sprzeciwiał się mojej woli.

„Mój rozwód, Albercie, idzie szybko, bo książe biskup Massalski nietylko że mi trudności nie robi, ale jest moim doradcą, moim protektorem: dał mi adwokata konsystorskiego, który jest feniksem w swoim rodzaju. Za pięćdziesiąt czerwonych złotych matce dziesięciorga dzieci dowiedzie, że jest bezpłodną. A oprócz niego wynalazł książe biskup na defensora matrymonialnego jakiegoś kanonika, który, wzięwszy dwadzieścia pięć czerwonych złotych, tyle tylko broni ważności małż.ństwa, ile tego potrzeba dla mojego interesu. Musiałam się znajdować na gruncie, podczas zjazdu nakazanego przez konsystorz. Mus najlegalniej udowodniony: piwniczny zeznał, że słyszał jakem mówiła, że mój ślub z panem Wejherem do grobu mnie wtrąci; Węgrzynek nieboszczyka ojca oświadczył, że podsłuchał, jak mój ojciec przechadzając się po ogrodzie z panem Wejherem, mówił mu, iż wolę, by moja córka nie żyła niż żeby miała pójść za kogo innego niż Wpana. Dwie kawiarki i kredensarz wyznali, że w czasie benedykcyi tak szlochałam, że ani słowa słyszeć nie można było. To wszystko moi poddani, ale najlepiej mi dopisał Francuz, niegdyś przy mnie metr muzyki, a któremu dożywotnią płacę pensyę; on zeznał, że kiedy przy ołtarzu ksiądz mnie zapytał: — masz-li wolną i nieprzymuszoną wolę? ja odpowiedziałam nie, a że jednak pomimo tego ręce nam związali stułą. Te zeznania były pod przysięgą. W dwóch dniach wszystko się odbyło na gruncie, a świadkowie i sta czerwonych złotych mnie nie kosztowali. W konsystorzu sprawa nie zależy; cała rzecz o to idzie, żeby z konsystorza wileńskiego sprawa postąpiła do sądów prymacyalnych, a nie do nuncyatury; i tego dopilnuj, Albercie, bo chociaż i w nuncyaturze niema podobieństwa, żeby pan Wejher mógł zważyć dekret konsystorski, tak on będzie mocno napisany, ale na co nam te zwłoki praktykujące się w nuncyaturze? Spodziewam się, że chcąc jaknajprędzej zostać moim mężem, tego interesu nie zaśpisz.

„Czekam końca mojej sprawy w domu mojego wuja, generała Kunickiego. Jest to człowiek staroświecki, trochę fanatyk, a jednak pomimo mojego rozvodu wielce na mnie łaskaw. Ale moja kasztelania wpływa na tę jego wyrozumiałość; jak zostanę panią szambelanową, to póki cię król nie podnie-

sie urzędem wyższym, ani mi się pokazywać w Niewodowie. Jeszcze żebyś przynajmniej był cześnikiem, lub mostowniczym, toby było pół biedy. Ale szambelanem, i to takiego króla, który w kontuszu nie chciał się koronować...

„Żartują z nas kobiet, że my tak wielką ważność przywiązujemy do ubioru, a w to nie chcą wchodzić, że nasza zmysłność jest częstokroć niezawodniejszą od najgłębszych rozumowań. Ubiór zawsze objawia stopień ukształcenia; my pierwsze tego się domyśliły, a najwięksi prawodawcy, spotykając się z naszym zdaniem, nie mieli powodu tego żałować, i dobrze wiedział Piotr Wielki co robił, kiedy wprowadził ubiór zagraniczny do państwa swojego. Co do mnie, nie pojmuję, jak można być człowiekiem cywilizowanym w kontuszu i w żółtych butach; do tego stroju zaraz przywiązują się zabobony, nietolerancya, gnuśność, szorstkość. Powiedz, Albercie, czy możesz sobie wyobrazić, żeby kobieta w górnem towarzystwie żyjąca, i z jakąś starannością wychowana, kochać mogła eleganta z goloną głową? Jakkolwiek kupidynek jest kapryśnem dziecięciem, żaden malarz nigdy się nie odważy go umieścić na węźle pasa słuckiego. Mogę wystawić sobie kontusznika ojcem, synem, wreszcie małżonkiem, ale kochankiem kochanym nigdy! Gracye i uciechy uciekają od tej długiej sukni, od tej czupryny potem stłuszczonej.

„Wszakże mam tu przed oczyma amanta starej daty, któremu mój wuj przyobiecał swoją jedynaczkę, dlatego tylko, żeby mieć zięcia z tego samego sklepu, z kąd i on sam wyszedł; tylko że zięć jest mniej wesołym, a tem samym najkompletniejszym nudziarzem. Ten człowiek, między nami siedząc godzin trzy i cztery, gęby nie otworzy, chyba że kto kichnie, bo wtedy powie: „sto lat zdrowia“, a potem znowu umilknie. Ale niechno otworzy Statut Litewski, nad pierwszym rozdziałem, który napadnie, ledwo nie tak się rozplywa, jak ty nad listem Nowej Heloizy. Do tego głowa ogolona jak u Bernardyna, wąsy dłuższe niż u twojego stangreta, a co najśmieszniej u stołu tak się obwiązuje serwetą jak dziecko, żeby żupana nie obryzgać.

„I kogoż jemu przeznaczają? Dziewczynę tak piękną... co to, nie podobnego w życiu nie widziałeś. Jest to bóstwo; ja, kobieta, w niej się kocham. A do tego tkliwa, romansowa, wychowana dla zupełnie innego świata. Ale pomimo tych zaręczyn, tych uroczystych obietnic, czy to przyjdzie do skutku, szeroko o tem mówi król Dawid; mam w Bogu nadzieję, że z tego nic nie będzie. Ten oblubieniec, który za każdym zbliżeniem się do swojej oblubienicy coś nakształt konwulsyów sprawuje, jest pan Michał Strawiński, wojski Słonimski, brat rodzony, ktoby to powiedział, naszego starosty, pod którym pracujesz w gabinecie królewskim. Wszak wiesz, jaki to bywalec z Ludwika; a cóż powiesz, on jest zakochany, ale jak piętnastoletni chłopiec, w narzeczonej swojego brata. A ona — słuchaj, Albercie — już ja zaręczam, że takiego uczucia, jakie on w niej wzniecił, żaden romansopisarz wystawić nie umiał. Niech się twoja Nowa Heloiza schowa z listami. A wszyscy jakby zaślepieni, nikt tu tego nie widzi, co ja od pierwszego rzutu oka poznałam. Spada na mnie przyrodnym sposobem rola nieco drażliwa: jestem konfi-

dentką, opatrnością dwojga serc dla siebie stworzonych i, bądź co bądź, opuścić ich nie mogę. Wszakże nie wszyscy kontuszowi równie są ślepi. Jakiś pan Wazgird, siostrzan nieboszczki generałowej, a jeden z tych burdów albeńskich, co to ich ten tatar Radziwiłł wysztyftował, domyślił się jakoś, że nie dla samego działu starosta przesiaduje w Niewodowie. Przyczepił się do niego obstając jakoby za sławą swojej siostry, bo takie słowa pompatyczne są zawsze w usciech tutejszej szlachty. Ty wiesz, jak uszy starosty są łaskotliwe na wszelki dźwięk mający jakieś podobieństwo do groźby. I cóż z tego wynikło? oto że bili się z sobą na ostre, i że ten rozbójnik Wazgird na wskroś przestrzelił naszego starostę. Jednak ten Wazgird musi być niepospolitym człowiekiem, kiedy się na takiego porwał, i jeszcze go powalił. Unikaj go, Albercie; gdybym wiedziała, że z tobą się znajduje w jednym mieście, umierałabym ze strachu. Zrozumieźże szlachtę tutejszą! Bo żeby dla kochanki, dla siebie, narażać życie, nicby nie było dziwnego, ale dla przyjaciela, żeby panu wojskiemu nie odkochano narzeczonej — prawdziwie to są barbarzyńcy!

„Chociażbym miała w tobie najgwałtowniejszą zazdrość obudzić, powiem ci otwarcie, że się bynajmniej nie dziwuję, że moja kuzynka jest jakby oczarowaną przez Ludwika, bo jemu nie ma sposobu się oprzeć. Widziałam go leżącym na pościeli; oczy czarne, których ognia choroba nie zdołała przygasić; błękit jego brody tak wdzięcznie odbijający alabastrową białość lica. Szlachetność całej jego postawy, coś tak zimnego, tak rycerskiego w jego męztwie, coś tak skromnego w jego układzie, pomimo tylu wawrzynów zdobytych i na polu sławy, i w buduarach, a do tego tak ciężko ranny dla miłości. Szczęśliwa kobieta, która myśl jego ośwładnęła — okrutna, niegodziwa, jeżeli srogością jemu się odplaci. Wiesz, Albercie, że nie tak nie zniewala serca kobiety, jak męztwo, ale prawdziwe męztwo; nikczemna tylko kobieta oddać może serce swoje tchórzowi. Męztwo kochanka nietylko że usprawiedliwia, ale nawet uszlachetnia słabość kochanki. Ty sam tylko wdychałeś do mnie, lubiłam twoje towarzystwo, bawił mnie twój dowcip, a jednak żadnej tobie nadzieji nie pozwoliłam. Ale kiedy ująłeś się za mnie, kiedy zmusiłeś do milczenia nędznika, który potwarczym językiem popisował się moją łaską dla niego, kiedy nazajutrz orężem rycerskim przeszyłeś mu piersi, już nie mogłam tobie nie oddać siebie w nagrodę. I nasz Ludwik powinien być wynagrodzonym, chyba że i rozum i zręczność już mnie odstąpiły. Zosia musi być żoną Ludwika, a jak ją poprowadzi na pokoje królewskie, zaręczam, że krajczyna umrze z zawiści. Bo jeszcze ci to powtarzam, nie możesz wyobrazić sobie, co to jest za piękność; napróżno chciałbyś szukać skazy najmniejszej w tym wysiłku natury: tu nawet mikroskopijne oko zawiści olśnąć musi. Jakże ta para będzie dobrana!

„Nie są tobie tajne zalecenia, z jakimi od króla pojechałam do Litwy, i tych nie wypuszczam z uwagi. Starosta przychodzi do zdrowia, już się przechadza po swojej izbie, już się nawet zajmuje swoją fryzurą, nie domyślając się o niebezpieczeństwach, którymi jest okrażony. Nie wie, że lada

dzień może być napadniętym od Albeńczyków, ale ja nad nim czuwam, i jeżeli jego nieprzyjaciele są straszni, straszniejsi nierówno są sprzymierzeńcy, których jemu dostawiłam, a ci go z oka nie spuszczaają. O! ja o tem nie wątpię, że Albeńczyki radziły go dostać w swoje ręce, bo to zakładnik niepospolity; wiedzą oni dobrze, ile król go waży. Ale nie jest to dla was zwierzyna, mości panowie Albeńczycy! Napróżno na niego ostrzycie zęby, wolelibyście czem innem się zająć.

XXIV. Konwalescencya starosty.

Starosta szybkim krokiem wracał do zdrowia, a o ile siła fizyczna w nim się wzmagala, o tyle jego stan moralny coraz silniejsze mu przynosił udreżczenia. Póki trwała jego niemoc, widok Zosi w gronie otaczających jego łóżko przyjaciół dawał mu czuć błogość, przerywaną często przez zgryzoty, jakie oznaki przywiązania wojskiego w jego sumieniu wzniecały. Ale ta błogość była tak wielką, iż ze strachem przewidywał, że lada dzień wypadnie mu opuścić ten dom, do którego ścian sercem już był przykuty. Miłość, jakiej podobnej nigdy nie doświadczał, i wyrzuty sumienia taką walkę w nim sobie powiedziały, że wszelki hart duszy już był utracił. Bez uczuć religijnych, które jedne są zdolne ocalić czerstwość duszy w jej walce z namiętnościami, przywykły żadnego oporu nie stawiać pociągom, których doświadczał — w czynieniu zadość namiętnościom widząc owszem największe szczęście, jakie człowieka spotkać może, i uprawniony w swych zasadach przez rusztowanie sofizmów, składających *corpus juris* tej zabójczej filozofii, która już była owładala wyższe części społeczności europejskiej w ósmnastym wieku, dziwić się trzeba nad dobrocią jego natury, że jeszcze mógł doświadczać wyrzutów sumienia, że jeszcze czuł jakiś powolny, jakkolwiek jałowy smak do cnoty. Gdyby roztropny i prawdziwie cnotliwy przyjaciel, wyczytawszy w sercu jego, był mu podał rękę, kto wie? może szlachetna jego dusza, gorzkim ale zbawczym napojem podanym ręką pokrzepiona, byłaby zdolną wykonać wielkie ofiary. Ale na nieszczęście, głos przyjaźni, tak niezbędny, tak pożądany w utrapieniu, wychodził dla niego z ust najniebezpieczniejszych. Kasztelanowa, kobieta pełna dowcipu, tej łatwości w pożyciu, która prócz tęgości, nosi wszystkie cechy cnoty, a tem samem tak do siebie przywiązuje, była osobą jak najmniej zdolną do wzbudzenia w sercu przyjaciela w niej ufego, przedsięwzięć rozsądnie obmyślanych, a energicznie dokonanych. Miała serce najlepsze, była zdolną największe ofiary zrobić dla przyjaźni, wedle swego sposobu myślenia; zresztą najlekkomyślniejsza osoba w zasadach, nie pojmowała nawet cnoty, która ofiarę robi ze skłonności serca. Naiwna w łatwości obyczajów, bez oporu, bez wyrzutu, oddawała siebie wszystkim pociągom, w żadnym wypadku nie zadając woli swojej gwałtu: miłość i przyjaźń były to dwie osie, na których rydwan jej żywota postępował. Niestała w miłości, wierna w przyjaźni, szczerze przekonana była, że silne przywiąza-

nie wszystko usprawiedliwia, że nawet nie wolno jemu się opierać. Przyjaciółka Ludwika, szczerze przywiązana do Zosi, widziała w ich połączeniu jakąś harmonię, która ją czarowała, i wierzyła, że ma świętą powinność to połączenie zawiązać; w niem albowiem upatrywała szczęście dwóch osób jej drogich, a wszystko temu przekonaniu ustąpić musiało.

Jeszcze Ludwik zupełnego zwycięstwa nie był odniósł nad boleścią, która go do łóżka przykuła, jeszcze nie mógł przechadzać się nawet po izbie, kiedy po długim śnie, obudziwszy się, ujrzał siedzącą na łóżku swoim kasztelanową, która śledziła jego poruszenia. Kasztelanowa, wzięwszy go za rękę, rzekła:

— Ludwiku, jak widzę czas już zatarł moją pamięć w sercu twojem. Już zapomniałeś, jaka przyjaźń, przyjaźń czysta, prawdziwa, nas wiązała; zapomniałeś, jak my sobie pomagaliśmy wzajemnie, kiedy moja wola była prawem dla króla, kiedy on tylekrotnie nam powtarzał, że my dwoje jesteśmy niezbędni do jego szczęścia, zapomniałeś już o tem wszystkim; i muszę się teraz wpraszać do twojej przyjaźni, do twojej ufności...

— Jaby miał zapomnieć!

— Na co mamy siebie ludzić? Ja wszystko przeniknęłam, ja wiem o wszystkim. Ty kochasz Zosię, kochasz ją, jakieś nigdy w całym życiu twojem nie kochał nikogo. Ta miłość już jest przeznaczeniem twojego żywota.

— Ach! czemuż mi mówisz o tem, cobym chciał przed sobą samym ukryć?

— Dlaczegoż?

— A wszakże ona jest zaręczoną z bratem moim, ona jest jego najdroższym skarbem, i ja miałabym myśleć o niej, miałabym dopuścić się tej zbrodni!

— Ludwiku, piękne i szlachetne uczucie kładzie w usta twoje to, coś wyrzekł, ale uwodzisz siebie, bo są ofiary nad możność ludzką. Jeszcze gdyby ofiara na tobie jednym się kończyła; uwielbiając twoje poświęcenie, możebym ciebie zachęcała do tak szlachetnego, do tak godnego ciebie przedsięwzięcia; ale los Zosi jest nieodłączny od twojego losu: ona ciebie kocha nad życie, nad wszystko. Mój Boże, jakże ci mężczyźni są pozbawieni zmysłności serca! Jej ojciec, brat twój, księża, codziennie patrząc na nią, nie widzą, że ona umiera z miłości. Patrz na jej błądliwość, na te jej lica, jakkolwiek prześliczne, pokryte jednak jakąś, że tak powiem, ognistą boleścią. Jakem ją obaczyła, przestraszyłam się. Łowczanka, prosta sobie kobieta, w całym życiu swoim była obcą namiętnościom naszym, a jednak wrodzoną przenikliwością płci naszej wszystko poznała. Długie miałam rozmowy z Zosią o tobie. Wierz mi, Ludwiku, kilkakrotnie łzami się zalałam na widok jej niedoli, cierpień; ona płakać nie może.

— Ach cóżes wyrzekła! Świadczę się honorem, świadczę się wszystkimi tu znajdującymi się, że chciałem opuścić te strony. A tobie wyznaję, że chcia-

łem nawet nazawsze oddalić się z Ojczyzny; chciałem gdzieś na krańcach świata pędzić dni napełnione goryczą, kiedy może dwie godzin przed chwilą, w której miałem rozpocząć podróż moją, broń piekłem nabita przykuła mnie do tego niebezpiecznego siedliska. Wszak już wyczytałaś wszystkie tajemnice mojej duszy, tajemnice, którebym rad przed sobą samym ukryć; kocham Zosię ze wszystkich sił mej duszy, kochać ją będę, póki tchu we mnie stanie. Ta miłość jest mojem życiem, mojem jestestwem, ale ona pogrąża mię w przepaść niezgłębioną; ona moją być nie może, a nie pozostaje mi nawet ta pociecha, że bezemnie może być szczęśliwą.

— Ludwiku, jeżeli się oddalisz z tych stron, cóż się wtedy zrobi z Zosią? Ona rękę odda wojskiemu, zaprzysięże jemu wiarę, myślę nawet, że mu jej dochowa, bo walka długo nie potrwa; ona umrze. Jeszcze gdyby przed tobą nie była odkryła swojego przywiązania, możeby jakaś zabłysła nadzieja jej ocalenia; ale teraz i miłość, i wstyd, i wstręt, co go czuje do Michała, wszystko to razem taką walkę miota w jej duszy tkliwej, niewinnej, bojaźliwej, że to jest nad jej siły: ona tej walki długo nie wytrzyma.

— I cóż mnie pozostaje czynić! Naucz mnie, godna przyjaciółko.

— Nie rozpaczaj, lecz przeniknij się chęcią jej ratunku. Ludwiku, nieśluszenie wyrzucasz sobie twój pobyt w domu jej ojca; wprzód nim ciebie poznała, już ona kochała się w tobie; twój obraz, coś go przesłał swojemu bratu, już dał wyrok o jej przeznaczeniu. Ty jesteś jej ideałem; ona szanowała Michała, wszystko, co ją otaczało, wdrożyło ją do tego, ale oprócz szacunku, cóż jemu oddać mogła? I czy może dusza tak tkliwa, jak Zosi, poprzestać na tak zimnem uczuciu dla tego, z którym nieodstępnie żyć musi? Wszakże, gdyby była obojętną i dla ciebie i dla wszystkich, czy jej związek z twoim bratem, związek nierozzerwalny, nie byłby igrzyskiem zawistnego losa? Czy jest jakikolwiek stosunek w wychowaniu, w uczuciach, w wyobrażeniach tych dwóch istot! Ja nie pojmuje Michała, że jej tak gorąco pragnie dla siebie. Czyż to jest dla niego żona? On sam siebie uwodzi, on jej kochać nie może. Jest w nim chęć zadosyćuczynić woli zmarłego ojca, jest przywiązanie dla generała, posunięte aż do skolidgacenia się z nim; ale żeby była miłość dla osoby, z którą zkađinąd żadnej styczności niema, temu nigdy nie uwierzę. O czemże on z nią mówić będzie? Michał jest sobie bardzo poczciwy szlachcic, ale cały pokarm jego umysłowości redukuje się do katechizmu i statutu litewskiego. Wierz mi, Ludwiku, że biorąc Zosię dla siebie, nietylko że nie zrobisz bratu krzywdy, ale nawet ochronisz go od największego nieszczęścia, od wszelkich następstw niedobranego małżeństwa. Ile razy pan Michał przybliża się do Zosi, trzeba być zaślepionym, by nie widzieć, co się wówczas z nią robi, jak wyraźnie na jej obliczu maluje się rozpacz i trwoga. Ludwiku bądź posłusznym głosowi przyjaźni! Wszak większej odemnie nie masz przyjaciółki, ja ci to mówię: ratuj Zosię, ratuj brata twojego! On sobie dobierze szlachciankę, która się oborą i przedziwem zatrudniać będzie, która z nim modlić się będzie z rubrycelli, i rok w rok, prawie bez bólu, będzie mu ro-

dzieć dzieci: bo w podobne kobiety nasza Litwa obfituje. A ty, jako człowiek uczciwy, myśl o wyratowaniu Zosi, miłość i honor nałożyły na ciebie ten obowiązek. Jeszcze ci to powiadam: jeżeli ją opuścisz, jeżeli pozwolisz, żeby została ofiarą obietnicy na niej wymożonej, ona umrze, a ty całe życie mieć to sobie będziesz do wyrzucenia.

— Ach droga pani, rozpaczać mi się nie godzi, kiedy twoja przyjaźń mnie wspiera, ale zastanów się, czy usilności twoje mogą otrzymać skutek pomyślny? Jakże odmienię to, co już zostało postanowione od ludzi niezachwianych w przedsięwzięciach raz powziętych? Mniejsza z tym wyrokiem, co go nim generał zagroził dziecie, któreby jego postanowieniem wzgardziło: dostatki Zosi są dla mnie obojętne; jej wdzięki, jej serce, są dla mnie wszystkim; ale czy ona się skłoni do tego, by mi siebie oddać przeciwko woli rodzica? czy jej dusza ma dość siły, żeby się dla mnie narazić na niesławę, jaka w jej mniemaniu spada na dziewczynę, która nie dotrzymuje uroczyscie danego słowa? Czy się nie narazi na przekleństwo ojca?

— Ludwiku, nie rozpaczaj tylko, a ufaj w przyjaźń moją! Jeśli jesteś stałym, jeżeli umiesz wywzajemnić się tej, która tylko dla ciebie żyje, bądź pewnym, że niema takiej zapory, coby jej ręka zręcznej kobiety pokruszyć nie zdołała. Będziesz mężem Zosi, wasze połączenie na niebie jest zapisane.

Ludwik w uniesieniu chciał wyskoczyć z łóżka, by się rzucić do nóg tej nieoszacowanej przyjaciółki. Ledwo że kasztelanowa zdołała wstrzymać jego zapęd; opuściła go na chwilę; Ludwik został sam jeden, a jakkolwiek sprzeczne uczucia nim miotały, już siebie nie mógł mianować nieszczęśliwym, kiedy taka przyjaźń brała go w opiekę.

Jakkolwiek kasztelanowa jedna, i dla Ludwika i dla Zosi, nie tracąc odwagi, ciągle promieniami nadziei usiłowała rozpędzać gęste i ponure tumany ich przeznaczenia; jakkolwiek ta nadzieja wstęp otrzymywała do serca Ludwika; póki była przy nim kasztelanowa, póki balsam słów leczących rozlewała na jego rany, póty czuł siebie szczęśliwym. Ale gdy sam sobie zostawał oddany, niepewność, bojaźń i te wszystkie uczucia, służące za orszak nieprawej miłości, tak zażartą wojnę mu wypowiadały, że zmęczony wpadał w rozpacz, i nieraz przemyślał życie sobie odebrać, tylko że przezorna przyjaźń kasztelanowej wszelkie do tego środki już była usunęła.

Zosia nie zdawała się być spokojniejszą. Tymczasem starosta wracał do zdrowia. O! gdyby rany serca tak łatwe były do zagojenia jak ta, co mu ją zadał zawzięty Albeńczyk! Parę dni po tej jego rozmowie z kasztelanową, pierwszy raz wyszedł o swojej sile do bawialnego pokoju; wszyscy mu tego winszowali z wylaniem, któreby najzimniejsze serce skruszyło; wszyscy starali się go bawić, bo widzieli smutek na jego twarzy, co przypisywali jedynie chorobie. Nakoniec, wedle zwyczaju, który w owych czasach zabawy zawsze jakimś zatrudnieniem przeplatał, wszyscy wyszli; został tylko Ludwik, a przy nim kasztelanowa i Zosia.

Kasztelanowa po krótkim milczeniu tak zaczęła: — Zosiu, czas przecie między sobą otwarcie pomówić w przytomności Ludwika. Na co masz przykładać wszystkie usilności swojego rozumu, żeby i siebie i Ludwika dręczyć? Kochasz go, widzisz jak od niego jesteś kochana; umiejże być śmiałą dla waszego wspólnego szczęścia. Nieraz powtarzałaś przedemną, że Michał jest najcnotliwszym, najszlachetniejszym z ludzi; czemuż więc nie udajesz się do tych jego cnót tak zachwalonych, a których nie zaprzeczam? Powiedz mu: Michale! posiadasz mój szacunek, moją przyjaźń, ale innego uczucia dać ci nie mogę, bo już mi ono nie jest podwładne. Z woli ojca mojego otrzymałaś obietnicę mojej ręki, ale czyn to będzie godnem ciebie, jeżeli poprowadzisz do ołtarza konającą ofiarę uczucia, którego podzielić nie może? Kocham twój brata, tej miłości przezwyceżyć nie mogę. Bądź wspaniałym, Michale, wróc ojcu mojemu dane ci przez niego słowo, zostań naszym opiekunem, naszym obrońcą przed nim, a możesz-że otrzymać większą nagrodę nad patrzenie na szczęście dwóch istot do ciebie przywiązanych a które tobie przez całkowity żywot będą poświęcone?

Zosia. Nie siostrze, na to się nigdy nie odważę. Znam dobrze mojego ojca; danego słowa za nic nie cofnie, onby mnie przeklął; i czy myślisz, że do Michała można tym językiem przemawiać? Jeżeli on nie poznaje mojego wstretu, to ztąd, że jest zaślepiony przywiązaniem. Myślisz, siostrze, że on jest zimnym? nie znasz go. On niestety zanadto mnie kocha, a do tej miłości wiążą się jeszcze inne uczucia, niemniej dla niego święte: a ta przyjaźń, która go łączy z moim ojcem, a ta ostatnia wola jego ojca, który konając włożył moją rękę w jego dłonie.

— Bądź zdrow, Ludwiku, dłużej zostać przechodzi siły moje; nadto z tobą mówiłam. Żegnam cię.

Ludwik nie miał siły jej zatrzymać; był jak obłąkany, strumień łez puścił się mu z oczu. Chodził po pokoju bez celu, bez myśli, rzucił się nakoniec ku drzwiom i chciał pobiedz za nią. Kasztelanowa go wstrzymała:

— Ludwiku, opamiętaj się! co robisz? czyż chcesz i siebie i Zosię zgubić?

— Ach droga przyjaciółko, widzisz jakie szlachetne serce mi jest oddane, a ja, bajeczny Tantal, widzę je, posiadam je, a osiągnąć go nie mogę! Ach czemuż mi odjęłaś wszelką broń, by tylko przedłużyć moje męki?

— Ludwiku, zaklinam cię na przyjaźń moją dla ciebie, na szczęście i twoje i Zosi, nie rozpaczaj; Zosia będzie twoją, poprzysięgam, że będzie twoją. Jakim sposobem, tego ci nie powiem, bobyś tylko niszczył moje układy; ty nie jesteś w możności nic działać, nic przedsiębrać; zostaw mnie czuwanie nad losem waszym. Uspokój się, Ludwiku, ja ci to każę, a pamiętaj, że dla spokojności Zosi cała przytomność twojego umysłu jest niezbędną.

XXV. Przedwstęp do konfederacyi.

Od godziny piątej zrana ruch był wielki w zamku Nieświeskim. Liczny dwór, liczniejszy jeszcze orszak przybyłych przyjaciół Radziwiłłowskich,

wszystko to się snuło po obszernych salach zamczyska czekając kiedy ich książe przywoła, bo wszystko to się zebrało na wielkie łowy przygotowane w Nalibockiej puszczy. W sali dotykającej sypialni księcia był komin olbrzymi, gdzie jak w hucie, w jaskrawych płomieniach niknęły sążniste kłody, wokoło gościnnego komina szlachta rozmawiała posilając się piwem grzanem ze śmietaną i twarogiem, które dworska usługa roznosiła kufłami. Wszyscy się dziwowali, że już szósta dochodziła, a książe, tak ranny zwykle, dotąd się nie pokazywał. Zastanawiali się nad tem w milczeniu, kiedy pan Karol Ryś, postawiwszy na kominowym gzymsie wypróżniony kufel, pierwszy się odezwał: — Cóż to, u sto par dyabłów! książe jegomość nam obwieścił, że dziś na nas czekają niedźwiedzie w Nalibockich lasach, a wczasu nad swój obyczaj zażywa. Szósta dochodzi, a nas nie wołają; ja słucham i podsłuchuję pode drzwiami, a niczego podsłuchać nie mogę. Wiecie panowie bracia, że coś jak gdyby mi szeptało, że wkrótce zrobi się coś nadzwyczajnego.

— Chyba pan strażnik nie wiesz — rzekł pan Bonifacy Sołohub — że przed północą przybył umyślny z Warszawy do księcia z jakąś ważną ekspedycją, i bardzo ważną, kiedy aż księcia obudzono. Jakiś to koroniarz nam nieznajomy, a który papiery wręczywszy księciu, znikł jak kamfora. A książe pan zaraz posłał po pana Bohusza, który odtąd z nim siedzi zamknięty.

— Tak rzeczy się mają? — miészając się do dyskursu ozwał się pan Sabiński. — No, kiedy ale tam siedzi pan Bohusz, ale, to będą nieprzelewki. Kiedy książe ale z panem Bohuszem godzinę pokonferuje, to to, co się z tej godziny ale wywiąże, mało roku, żeby to tylko opowiedzieć ale — —

— Kiedy tak — odparł pan Ryś — może książe nas poprowadzi na polowanie innego rodzaju.

— A niech nas Bóg broni od nowej włóczęgi — bąknął pan Płaskowicki, stary podczaszy Nowogrodzki.

— A to znowu co takiego, mości podczaszy? — odrzekł pan Jan Wazgird — pluń na to, coś powiedział, ażebyś tego drugi raz nie wymówił. Aż przykro nam siedzieć w bezczynności. Dałby Bóg, żeby się nowa konfederacya podniosła, tylko nie taka jak Radomska, co wiele gada, a nic nie robi, ale prawdziwa konfederacya, gdzieby się bić można. Pamiętasz, panie strażniku, jak to my się dobrze bawili zaraz po sejmie koronacyjnym; aż miło, bo co w oczy, to nieprzyjaciel.

— At, pleciesz zwyczajnie jak młody — odpowiedział pan Płaskowicki. — Albo waćpanu w głowie co to jest wojna domowa? Ja, chwała Bogu, chociaż mógłbym być dziadem waćpana, nigdy nie byłem ostatni do siadania na koń i nie odmieniłem mojej natury, a jednak, lubo jestem karmazynowym szlachcicem, pozwoiliłbym sobie do szubienicy przyczepić, byle mi zaręczono, że po mojej śmierci święta zgoda na zawsze utwierdzi się w narodzie.

— Daj pokój, panie podczaszy — przerwał mu pan Ryś — tego my się nigdy nie doczekamy: jak nie będziemy się konfederować legalnie i porządnie, to będziemy napadać na siebie o grunta, o polowania, o emulacye

sejmikowe. Taka nasza natura, a dalibóg że dobra. Na co daleko szukać? Macie przed wami naszego Wazgirda; wszakże teraz jest pokój w narodzie, a czy mu to przeszkodziło polecieć z Nieświeża do Niewodowa, jakby z procy, podstrzelić nielada gracza, i potem powrócić jakby po odbytych odpuszcach? Mój Jasiu, tęgoś się nam popisał, niechże ciebie za to uściskam. Opowiedz nam po szczegółach, jak tam było, wszak jesteś między swoimi.

— Proszę pana strażnika w tem mnie zaniechać, bo do niczego się nie przyznam, jest to dla mnie materya tak drażniąca, że o niej i słuchać nie chcę. Wolimy zgadywać, co też nasz książe odebrał z Warszawy, i co on uradza z panem Bohuszem

Na te słowa pan Tadeusz Rejtan, który dotąd chodził zamyślony po sali, przybliżył się do nich i rzekł:

— A na co ta ciekawość, panie Janie? wszak nas uczono, że ciekawość to pierwszy gradus do piekła. Czyż dla nas nie dość, że możemy być pewni, że to co uradzą będzie pocziwem? Nasza rzecz słuchać, co starsi każą i oddać siebie Bogu. Wiem, że my się zebraли, by uderzyć na Nalibockie niedźwiedzie i to mnie mocno zadziwia, że nam nie dostaje kilku znakomitych myśliwych, co zawsze pierwszymi byli do podobnej zabawy.

— Naprzykład? — odezwał się jeden głos.

— Pierwszy pan poręcznik Korsak, co nigdy nie spudłował do zwierz.

— Albo nie wiesz — na to pan Czeczott — że trzeci dzień jak go wyprowadził JW. strażnik wielki Litewski aż na Ukrainę za kupnem koni dla swojej chorągwi? Wczoraj do mnie wstąpił po drodze na obiad i wam wszystkim kazał się kłaniać.

— A nierozzerwalni przyjaciele Węclawowicz i Koryzna — ciągnął pan Rejtan — co to nigdy żadnego polowania nie opuścili; co to jest, że ich dotąd nie widać?

— A chyba nie słyszeliście o ich przypadku — odezwał się z żalnością pan Leon Borowski, który do zbytku zawsze wesóły, teraz siedział ponury i zamyślony.

Wszyscy Albeńczycy, powstawszy, otoczyli go, prosząc, by im to opowiedział.

— Oni, jak wam wiadomo, z łaski księcia trzymają Nikorowicze nad wielkim traktem: onegdaj o świcie Koryzna, wracając z browaru, spotkał dwa powozy kryte na płozach; okna były zasłonięte, że nie można było widzieć siedzących w pojazdach, a przy nich był liczny poczet uzbrojonych żołnierzy. Koryzna zatrzymał dowódcę pocztu, zapytując go kogo on wiezie, a ten za odpowiedź kazał go natychmiast związać, wsadzić na telegę i zabrać go ze sobą: tyle tylko pozostało czasu Koryznie, że kazał chłopcu za nim idącemu dać wiedzieć we dworze co się z nim stało. Jak się opowiedział chłopiec, Węclawowicz, niewiele myśląc, zebrawszy swoich z dziesięciuro dworskich, a u nich każdy dworski strzelec zawołany, z nimi konno pospieszył na ratutek przyjaciela. Ale cóż się było porywać na tak przewyższającą siłę? Dwóch swoich stracił, sam pokłótym zostawszy, żywcem się dostał, i jego wywieźli z tam-

tymi. Jednak Węclawowicz dyabelnie musiał nacierać, bo Nikorowiccy chłopię kilku trupów, od tamtej strony zostawionych, pogrzebali obok wiejskiego cmentarza. Byłem wczorajszego dnia w Nikorowicach — mój Boże! żebyście widzieli ich żony, a dzieci jak bobu..

— I kogóż to oni w tych pojazdach wywieźli? zapytał pan Płaskowicki.

Zapewne, że coś bardzo ważnego — odpowiedział pan Leon — ale niewiadomo kogo. Wszakże to się długo utaić nie może.

Wtem podwoje księżęcej sypialni się otwarły i Bukowski, szatny, wszystkich zaprosił do księcia.

Sypialnia księcia była salą obszerną, z podłogą marmurową, wszystkie ściany były w niej gołe, wyjąwszy tej, przy której stało wąziutkie łóżko księcia; bo ta była wybita karmazynową makatą. Sprzętów nie było innych, tylko mnóstwo stołków dębowych, a przy łóżku stał duży stół orzechowy, okrągły, na którym książę składał, idąc do wczasu, rozmaite rzeczy, co je zwykł przy sobie nosić, jako: dwie pary krócie nabitych, krzesiwko, kilka zegarków, sznaber do puszczenia krwi, tabakierkę, paciorki kokosowe, sygnet herbowy spinkę, pugilares, kieskę, szkło do zapalania, nóż składany z kilkoma klingami, szablę itd.; bez tych wszystkich rupieci kroku nie zrobił. Zastali księcia siedzącego w krześle przy stole, a obok niego siedział pan Bohusz i z natężoną uwagą przezierał jakieś papiery, jedne paląc, a drugie składając w pugilaresie. Dwie żółte świece mdłym światłem oświecały i stół i przy nim siedzących mężów; reszta sali oświetlona była kominem. Książę miał na sobie kaftan z łosiej skóry, na nim ładownica, zapewne dobrze opatrzona, ryngraf z wizerunkiem N. Panny Ostrobramskiej, i pas rzemienny, kłamrą stalową zamknięty, z po za którego wyglądały kolby dwóch par pistoletów podróżnych. Zdawał się być pogrążony w smutnych myślach, bo ciężko sapał, wsa do dołu nakręcał i często zażywał tabaki z tabakierki, co mu ją Bukowski co moment otwierał. Przybycie ulubionych Albeńczyków nie od razu było zdolne ocucić go z zadumania; wszakże gdy w milczeniu się przybliżyli, gdy otoczyli stół, przy którym siedział, książę po chwilach kilku powstał i powiedział: — Rozgoście się, panowie bracia, i siadajcie! Albeńczycy się skłonili, ale żaden z nich nie usiadł. Książę, wzięwszy głowę w obie ręce, głęboko westchnął i powiedział: — Niema końca naszym utrapieniom; zaprosiłem was na polowanie, a tu na innego zwierza pójść trzeba. Mój Boże! czyż już nigdy pokojem nie będziem się cieszyć? Zdawało się, że gdy konfederacja Radomska w sejm zamieniła się, już oddychać będziemy swobodnie, a teraz sprawa dysydentów wszystko do góry przewróciła. Dysydenci ze wszystkimi dworami nas pokłócili; umiano im wmówić, że chcemy wojny religijnej, że myślimy o jakiejś krucyacie: Bóg wie jakimi kalumniami nas opaskudzili; i, nie przekonawszy się o żadnym występku, kilku członków sejmujących stanów porwano, i Bóg wie gdzie wywieziono; dostało się tam i mojemu teściowi, starcowi, który Bogu duszę winien. A wszakże król elekcyjny nie to co dziedziczny, bo to gatunek umowy; nasz król nie ze krwi panującej, której sam

Bóg daje władzę. — A cała ich wina, że nie chcieli nadać dysydemtom przywilejów, których oni nigdy u nas nie mieli, i o których nasza konstytucya bynajmniej nigdzie nie wspomina. A sejm złotem pisał, a nie wiedzieć, czem zapieczętował! Nic rozumniejszego nie umiały wymyślić stany, dopuściwszy takiej krzywdy, jak szumny manifest napisać i rozjechać się. Koryzna i Węclawowicz dość, że spostrzegli gwałt; nie wchodząc na kim, oparli się jemu jak mogli, ale nie udało się im. A to wszystko przez tego biskupa krakowskiego... Ja, jakbym przeczuwał co z tego będzie, nie chciałem przenosić sejmu z Radomia do tej utrapionej Warszawy; dowodziłem mu, że u nas bezpieczniej ufać braciom szlachcie, niż szewcom i rzeźnikom; mówiłem mu, że w tej opętanej stolicy my ludzie prostoduszni nie oprzem się intrygom babskim. — Bóg i ludzie słyszeli te słowa moje; ale jak zaczął książę biskup pleść mi androny o stosunkach swoich w Warszawie, a o dyplomacyi, o dobrym duchu mieszczan, powiadam wam, że z rozumu mnie wyprowadził, uległem jego namowom, żeby mnie za zarozumiałego nie mieli. Zgrzeszyłem panie kochanku; przebacz Boże, księciu biskupowi, bo on srodze pokutuje teraz za swój błąd. Ale ja od niego winniejszy; po co mi było dać zdeptać mój stary instykt litewski przez tę nowomodną mądrość? I jak można było podejrzywać starych, którzy doczekali się zgrzybiałości, zawsze wiernie służąc królowi i krajowi? Oni spiskowi, oni, co się dali wziąć bez oporu? I na mnie była pułapka; teraz skrobia sobie głowę w Warszawie, żem wprzód wyjechał, a może tego nie powinni żałować; jaby nie dał wziąć siebie jak barana, panie kochanku, jaby się bronił. Zapewne, że martwym lub żywym możeby mnie nakoniec dostano, ale, że trzaskiby latały i to pewna. No, no! napróżno chcieć tego, czego pan Bóg nie chce; mamy cierpieć, niech będzie wola święta Jego — a jak będziemy przeciw niemu szemrali, to zginiemy ze wszystkim. Dość smutku! Smutek niczemu nie zaradzi, a tylko serce we flaki zamienia — trzeba nam o czemś innym pomyśleć. — Nie mam nic tajnego przed wami. — Mojego teścia zdradził dziedziczny sługa i przyjaciel jego domu, ale ja moich Albeńczyków się nie boję — nie litewska to rzecz zdradzać. Panie kochanku, wypada nam na nowo nasze dawne rozpoczynać włóczęgi.

— Zgoda! — odezwali się wszyscy — my z księciem panem pójdziemy, chociażby i pod ziemię. Podnieśmy konfederacyę: księcia pana zapraszamy na marszałka, a prosimy pana Bohusza, żeby sporządził akt konfederacyi, upraszający pana stolnika Litewskiego, żeby sobie na wojaż pojechał, bo on bardzo lubi zagranicę.

— Hola, hola — odrzekł książę — a jakże w gorącej wodzie Alba kąpać! Akt trzeba sporządzić, ale o tem co mówicie ani słówka! Przed niewodem ryby nie łapaj. Powtóre, panie kochanku, znacie mnie dobrze, bić się będę do upadłego, i poradzę jak umiem, może niedobrze, ale przynajmniej szczerze; wszakże marszałkowstwa za nic nie przyjmę. Już konfederacya Radomska otworzyła mi oczy; nie mam szczęścia.

— A, książę panie! — odezwała się cała drużyna — nie godzi się

nam odmawiać swojego dowództwa, wszak my księcia pana przyjaciele.

— Ale, moi bracia, czy z wami, czy przed wami, zawsze będę waszym sługą, i póki chcecie z wami chodzić będę gdzie gorąco; ale wytlómaczę się dlaczego marszałkowstwa przyjąć nie mogę. Oto ja do tego niezdatny; nie umiałem się oprzeć księciu biskupowi krakowskiemu, a potem, panie kochanku, marszałek nietylko bić się, ale jeszcze powinien dobrze radzić; to dla mnie za wiele, wolę jednego się trzymać. Na co mnie po dwa naboje kłaść w rurę? Do mnie piszą, że wedle wszelkiego podobieństwa Krasieński podkomorzy Rożański będzie marszałkiem od korony. A! sobie zwyczajnie poczciwy szlachcic; jemu z rozjazdem na przepiórki chodzić, a nie z oszczepem na niedźwiedzia. Prędeż się zdrzemie na piernacie, niż osadzi tureckiego bachmata; ale mąż *de moribus antiquis*, i koligat domu saskiego. Trzeba mu więc dobrać z Litwy człowieka tęgiego, jak to mówią *de hajda*, któryby miał to właśnie, czego tamtemu nie dostaje; naprzykład naszego Paca, starostę Ziołowskiego. Wszak prawda, że przeciwko niemu niema nic do powiedzenia? Wy go znacie; wszakże to nasz Albeńczyk! Już on o tej porze musi być gdzie blisko Wołoszczyzny; ogłosił go marszałkiem, akcedując do konfederacyi koronnej, a jeżeli wasza łaska, podejmuję się pod nim regimentarstwa, żeby przed wami iść tam gdzie generalność rozkaże.

— Zgoda, zgoda — krzyknęli wszyscy — niech żyje Pac, marszałek konfederacyi Litewskiej, i książę Karol Radziwiłł, regimentarz generalny naszej prowincyi! Prosimy pana Bohusza, żeby akt raczył napisać, a my na siebie gotowi dać sponsyę, że to, co tu postanowimy, cała Litwa tego nie zaprze.

— Panie kochanku — odrzekł książę, obracając się do pana Bohusza — napisz waść co potrzeba, ale tak jak umiesz, krótko i węzłowato. — A do zgromadzonej szlachty: — Wiem, że żaden poczciwy Litwin nas się nie zaprze; zapytuję więc was, czy w imieniu waszem i braci waszej rozsypanych po domach swoich ślubujecie mi ufność i posłuszeństwo?

— Jeżeli na to przysięgi potrzeba, prosimy o krucyfiks — odpowiedziała jednomyślnie szlachta.

— Nie, aż nadto dostateczne słowo wasze.

— Mości książę — odezwał się pan Bazyl Cieczot — gdy już tak rzeczy zaszły daleko, a nas nie garstka przecie, proszę nam oświadczyć, gdzie na gorącym razie uderzyć mamy; bo te kunktowania na nic się nie przydadzą. Ja mam jakieś przecucie, że niepodobne rzeczy nam się udadzą, jeżeli uderzym nie tracąc czasu, a że nic z tego nie będzie, jak rzecz pójdzie na delatę.

— Nie, panie kochanku, napróżno tu powstawać. Przeciwnicy zalewają Litwę; jak się porwiemy, zgniotą nas jak rude myszy; nam trzeba przedrzeć się na Ukrainę. Porta Ottomańska obiecuje nam posiłki. Jak słońce zejdzie, stąd wyruszę ku Ukrainie, żeby się przedrzeć do pana Joachima Potockiego, podczaszego Litewskiego, który na mnie czeka. W trzydzieści koni co najwięcej wyruszę, żeby nie dać podejrzenia o sobie nieprzyjacielom czatom.

Ze mną będzie pan Bohusz, sekretarz generalny konfederacyi, pan Michał Rejtan, pan Bonifacy Sołohub, pan Leon Borowski, pan Seweryn Soplica, a oprócz nich kilkunastu sług moich, którzy zawsze i wszędzie mnie towarzyszą. Szabansiu, oni do twojego departamentu należą; ich więc ze mną poprowadzisz. Żywności ani dla siebie, ani dla koni nie potrzebuję, bo my przecie iść nie będziemy *per Arabiam desertam*. Od komina do komina zajeżdzać będziemy, i każdy nam da chleba i owsa. A wiem, że każdy ma broń opatrzoną i ładunki w zapasie, bo to u mnie tak z dawien dawna we zwyczaj. Wy, panowie bracia, starajcie się każdy z tem, co zbrojnego za sobą poprowadzić może, ściągając się do Bara, tylko małemi kupkami, bo tam zebrać się mamy. Wybuchnie swojego czasu i na Litwie konfederacya, ale nie teraz; jeno jak za sobą wojsko przywabimy, wtedy będzie dla niej pora. Waszeć, panie Tadeuszu Rejtanie, ruszaj sobie do swojego Berezdowa; masz jakąś nadzieję na swoich Witebszczanach, próbujże z nimi szczęścia, panie kochanku. Może tam Bóg da co dobrego, a moi komisarze z Newła, Siebieża i Kopysia będą na twoje zawołanie. Waszeć, mości Antoni Rupejko, ruszaj sobie do Żmudzi, cywunuj sobie w swojej Eyragole, i tam cicho siedzieć, nie dając siebie w podejrzenie, póki się o mnie nie dowiedzie; święta teraz cierpliwość, a swojej pory będzie i na mężtwo czas. Waszeć, mości Bazyli Czczott, zaraz jedź do Luszek, i tę ekspedycyę wręcz panu Żabie, kasztelanowi Połockiemu, ale żeby ona koniecznie jego rąk doszła; wtem na waszeci się spuszczam, bo wiem panie kochanku, żeś zręczny jak list, a pan kasztelan już ci powie co masz robić. A waść, mości chorąży Starodubowski, zostaniesz w Nieświeżu, będziesz administrował mojami dobrami, jakieś dotąd niemi administrował, i co będziesz mógł dosyłać mnie pieniędzy, żeby ja i moi nie pomarli z głodu. A żeby w niebytności mojej żonom Węclawowicza i Koryzny na niczem nie zbywało. Pamiętaj o moich starych sługach, którzyby radzi iść ze mną, tylko, że ani siła ani wiek po temu. A proszę cię, mój Radzisziesiu, żeby moja psiarnia nie sparszywiła; przynajmniej raz na tydzień każ dodawać mięsa do osypki. Opuszczam teraz Litwę, ale mam w Bogu nadzieję, że do niej wrócę, a może przedzej, niż się spodziewają. Żegnam was, bo za godzinę *plus minus*, już mnie ztąd wyruszyć trzeba.

Tu się przybliżył do księcia pan Wazgird: — Ach! mości książę — rzekł — czyż ja tego nie wart, bym księciu panu teraz służył? jestem we wszelkiej gotowości. Szabla dobra u boku mojego, druga w zapasie, sztuciec garłacz, gdzie pół tuzina kul oprócz lotek wsadzić można; pistolety ponabijane, pas pełen ładunków, koń podemną doświadczony, takiż i pod moim lukiem. Niech książę będzie pewny, że w potrzebie nie będę zawadzał.

— Poczekaj, panie kochanku, mam ja co innego dla waszeci, a jak moje zlecenie spełnisz, to jakoś się złączysz ze mną, świat, choć bardzo szeroki, ja jeszcze z niego wynosić się nie myślę, więc mnie na nim znajdziesz. Teraz powiedz-no mnie, co to miałeś za przeprawę z bratem naszego wojskiego, co to w Nieświeżu was wszystkim swoim tańcem tak oczarował?

— Nic, książę panie, pojechałem do Niewodowa z atencją dla wuja generała; tam zastawszy pana starostę wdałem się z nim zwyczajnie w dyskurs aż mnie coś przemówił, a przynajmniej tak mi się wydało, a że mi się z tego nie chciał usprawiedliwiać, zaprosiłem go na taniec. A wie książę pan, że starosta, lubo kuso się nosi, jest gracz. Tak mnie brał na cel, że aż gorzko było w gębie, ale na moje szczęście pistolet jego pstryknął; mój wystrzał był szczęśliwszy, bo go powalił. Żałuję, że mi nie przyszło do myśli przed rozprawą wymówić, że kto zwycięży, zostawi przy sobie broń przeciwnika na pamiątkę, bo jego pistolety przesłizne.

— Waść nie bałamuć, panie Janie; to nie poszło z przymówki, było tam coś innego. Wypowiadaj się waćpan głośno; między nami święta szczerość, wszakże my wszyscy Albeńczycy.

— Ot ja powiem waszej książęcej mości całą prawdę, choć mi wstyd o tem mówić. Przyjaciele mnie ostrzegali, że ludzie gadają, jakoby pan starosta zalecał się mojej siostrze, a narzeczonej swojego brata, i że te rzeczy już daleko zaszły. Ja, troskliwy o sławę mojej krwi, nie nie chcąc czynić na oślep, pojechałem do Niewodowa, żeby się przekonać czy ludzie myślą się, czy nie — czy prawda, czy potwarz. Cóż książę pan powiesz? W samej rzeczy tak było, okiem tylko rzuciłem i poznałem całą rzecz; a pan Michał jaki rozumny, a tak ślepy, tak zawojowany od tego franta, że jakby nic o niego nie chodziło. Ja po odbytej sprawie z starostą, a trzeba wiedzieć, że w Niewodowie dotąd nikt się nie domyśla, że on leżał z mojej łaski, otóż opuszczając Niewodów, poszedłem pożegnać Zosię i jej się przyznałem, że to była moja robota, przytem bez ogródki powiedziałem: — Pfe siostro! gniazdo swoje hańbisz! Zmusiłaś mnie ujmować się za twoją sławę. Jeszcze drga ten gach oberwawszy za swoje, ale ty powinabyś Boga prosić, żeby go dyabli wzięli.

Ja z mojej strony robiłem co mogłem, żeby w związku twoim z panem Michałem nikt nie kładł palca między młotem a kowadłem, bo jeżeli szczerze do mnie mierzone, to też i jam nie żartował. Alboż to moja mowa pomogła! stała blada jak trup, aż złości brały na to patrzeć. A słyszałem, że panicz już się wylizal, o swojej sile przechadza się po izbie. Ale ja się poprawię, ta bieda jeszcze się nie skończyła, na infamię mojej krwi pozwolić nie mogę. Jak przyjdzie do zupełnego zdrowia, zaproszę go, żeby się odegrał; ja zawsze gotów, ale i on nie od tego, bo za cóżbym nie miał oddać jemu sprawiedliwości — on ma serce.

Nie, nie, panie kochanku, tu czego innego potrzeba. Mój Boże! co też to za ladaco, do narzeczonej brata jeszcze tak dobrego, się palić; jak gdyby innej już nie mógł znaleźć; a Zosia, Zosia, ktoby temu uwierzył, że do czegoś podobnego się skłania? Taka dobra dziewczyna, tak przywiązana do ojca, cośmy ją uważali jako wzór dziewcząt; ale cóż się dziwić, że tak szczywany lis niedoświadczoną dziewczkę zbałamucił? Otóż to szkoła wielkiego świata, przebrzydłe wychowanie za górami. Nasze stare generalisko, nasz wojski śmiały jak lew, pokorny jak zakonnik, a dobry, że go do rany przy-

łożyć można, kapłani, którzy tego domu staropolskiego nigdy nie opuszczają, wszystko to poodrwiwał ten niecnota; i potem na czwartkowych obiadach będzie bawił swojego pana naszą łatwownością. To prawda, że my łatwowni; temesmy zawsze grzeszyli. My nadto poczciwi na terażniejsze czasy, dlatego też nam nic się nie wiedzie.

Tu wstał książę i mocniej zaczął sapać, szerokimi krokami mierząc komnatę swoją, a pan Wazgird szedł za nim. Nakoniec książę przerwał milczenie: — Panie kochanku, gdzie dyabeł sam przez siebie nie da rady, tam, zaraz jakąś babę zrobi swoim plenipotentem; wszak kasztelanowa Inflancka siedzi w Niewodowie; o! to nielada główka do łotrostwa. Opuściła naszego Wejhera, poczciwego z kośćcami, który jej takie rzeczy odpuszczał, że aż zgroza o tem mówić, a teraz wychodzi za jakiegoś podpiska pana stolnika Litewskiego. Nie na promowaniu swojej rozwodowej sprawy kończy się cel jej podróży do Litwy; nasza słabizna umie używać tych ministrów w fartuchach. Gdyby u nas baby pilnowały grzędy i kądzieli, nie byłoby tyle złego w rzeczypospolitej. Panie Janie, posłuchaj mnie z uwagą — trzeba, żebyś Wpan w kilka, lub w kilkanaście koni natychmiast ruszał do Niewodowa, i tak rzecz poprowadził, żeby nam koniecznie żywcem dostać tego milutkiego starostę; a jak go porwiesz, nie tracąc czasu, zawieź go do Łachwy, tam mój Trzciniński będzie wiedział jak ma z nim postąpić. Będziemy mieli z niego nielada zakładnika. Jego pan ma tyle do niego przywiązania, że kto wie, może odda naszych dostojnych branców; tylko spraw mi się gracko i roztropnie. O! żebyś mógł dwie pieczenie na jednym rożnie upiec, i tę kasztelanową porządnie różgami oćwiczyć, zyskałbyś wielkie odpusty. Lecz z tem mniejsza, a starostę Wieluńskiego staraj się koniecznie uchwyć.

— Nigdy żadnego rozkazu waszej książęcej mości z większą radością nie spełniałem; jednak nie dość tu na sile, trzeba tę rzecz prowadzić ministerjalnie. Książę pan zna mojego wuja, jakim on jest wyznawcą prawa gościnności; jemu się zwierzyć, gotów będzie bronić swojego gościa, żeby mu obelgi nie wyrządzono na jego gruncie, boby to poczytał za największą hańbę dla siebie; a jak go porwę bez niego, to już do śmierci mi się nie pokazywać w Niewodowie. Ale i jego gniew mimo siebie puszczam; wszak Bóg widzi, że tu nie idzie o żadną prywatę, ale o dobro pospolite. Niech książę pan na mnie się spuści, wyproszę jakoś tego lisa z jądzwiny. Panu Michałowi oczy otworzę, dam mu takie dowody, że jeżeli mnie nie uwierzy, to niechże w niego piorun trzaśnie. Będęjmuję się tej wyprawy; jakoś to będzie.

— Mocno mnie to dziwi, panie kochanku, że pan Michał tu nie zjechał, a miałbym potrzebę z nim pomówić; ale to darmo, czekać nie mogę. Jak go obaczysz, powiedz mu coś słyszał odemnie, i że go oczekiwać będę w Barze. Ale starosta, starosta ostrzę sobie zęby na niego. Ot! już pokazują się pierwsze brzaskiienne! bywajcie zdrowi, panowie bracia. Mnie może dziś jeszcze będą szukać w Nalibockiej puszczy, a ja tymczasem wielkim gościńcem dążyć będę ku wołyńskiemu Polesiu.

Po tych słowach w jednej chwili wypróżniły się Nieswieskie sale; jednak nie rozjechało się bez podpisania aktu konfederacyi Litewskiej, który to akt pan Bohusz w krótkości sporządził i zabrał go z sobą, by go swojego czasu złożyć przed generalnością.

XXVIII. Objawienie

Podczas kiedy książę wojewoda, we dwadzieścia koni, żadnym nieobciążony pojazdem, ciągnął ku kijowskiemu Polesiu, a pozostali Albeńczycy rozpraszali się po swoich majątkach, pan Jan Wazgird w szerokich otwartych saniach, ciągniętych przez czwórkę koni dzielnych, przy których luzem szły dwa wierzchowce w całkowitym moderunku, posuwał się traktem mińskim. Siedział zawinięty w delii lisiej, zdobywszy jego myśliwskich popisów, a obok niego wierny Achates, Skołuba, syn czynszowego szlachcica z jego dziedzicznego majątku, który, kilkoma laty od niego starszy wiekiem, od szkół jeszcze był jego nieodstępny sługa. Wykonywacz woli pańskiej, najczęściej w żywe oczy ganił swojego pana, zęb za zęb z nim się sprzecząc, a pan Wazgird tak był wezwyczajony do jego gderania, że gdyby po otrzymanym od niego rozkazie milczał, na samym wstępie zwątpiłby o jego wykonaniu. W czasie ośmioletniego pobytu z panem swoim w konwicie nieswieskim, po kilkakrotnie rozpoczynał swój zawód w *proformie*, ale zawsze go przerywał, gdyż pomimo przyrodzonego sprytu, widać, że wedle systemu Galla, któremu nasz Jan Głogowczyk może dał pierwszy początek, nie musiał mieć na czaszce protuberencyi literackiej, kiedy pomimo niemałych usilności nigdy się nie mógł dobrze obeznać z abecadłem; aż przekonawszy się o swojej nieudolności, zupełnie go zaniechał, chwając Boga z pamięci, a nie z książki. Rozwinął on później inne zalety, aż nadto przeciwważące tę niedołążność naukową. Był nałzwyczaj odważny, rębacz niepospolity, strzelec zawołany, miłośnik gorzałki, której do zbytku mógł używać bez tracenia przytomności, a nade wszystko jedyny do wywiadów. Po wszystkich domach obywatelskich, gdzie uczeszczał z panem swoim, tak ściśle stosunki pozawiazywał z czeladzią, że nigdzie dla niego nic tajnego nie było. Królował po sieniach i piekarniach szlacheckich, i to powołanie władztwa tak silnie było w nim rozwinięte, że ile razy mu się zdarzy zawitać chociażby do nieznajomej szynkowni, kwadrans nie pozostanie z biesiadnikami, a już, że tak powiem, ich wszystkich zawojuje. Wezwyczajony od dzieciństwa do najniższych obowiązków służebnictwa, przy panu miernego majątku, z czego się nawet chełpił, nie był on pospolitą figurą, bo wpływy, jakie uzyskał po czeladziach dworskich, szynkowniach, szlachcie czynszowej, okolicznej, bojarach, były tak wielkie, że w potrzebie mogłyby nawet wygrywać jakąś rolę polityczną. W części przynajmniej jego pan to poznawał, bo chociaż go często łajał, niekiedy nawet poszturchał, wszelako w nim pokładał ufność i wiele mu poufałości z sobą pozwalał. Najczęściej szedł za jego zdaniem, a chociaż je czasem i odrzucał, wszakże bez niego był jakby nie swoim.

Skołuba był to pierwotwór zaufanego sługi owych czasów: buty pańskie czyścił, izbę zamiatał, konie wierchowce chędożył, tam śpieszył, gdzie go pan pośle, wydatki jego utrzymywał, cierpliwie znosił jego wybryki w chwilach gwałtownego uniesienia, a jednak wyobrażenie równości szlacheckiej silnie było napiętnowane na jego duszy. O prawodawstwie tyle tylko wiedział, że *neminem captivabimus nisi jure victum*, i że szlachcic do korony się rodzi; o historii, że Piast był zaściankowym szlachcicem z Kruświcy, bawiącym się kołodziejką, i że się dobrze działo za króla Sasa. A z tem wszystkiem pojmował praktycznie konstytucyę swojego kraju: ztąd w opiniach a postępkach swoich okazywał te pozorne sprzeczności, które zawsze były dla cudzoziemców, nawiedzającym naszą ziemię, niedocieczoną zagadką. I tak, jeżeli magnat, lub nawet urzędnik powiatowy powita go łaskawem słowem, padnie mu do nóg; nie wzdrzgnie się przyjąc z ręki swojego pana chłosty na kobiercu; a jednak gdyby jego czy największy pan usiłował równość szlachecką zastąpić jakąś hierarchią kastową, zacierając święte wyznanie, że „szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie“, bez wahania byłby go rozsiekał. Czuł, że jest *candidatus natus* do wszystkich dostojęństw, nawet do korony, a chociaż wiedział, że ta kandydacya idealna nigdy do rzeczywistości zbliżoną być nie może, ani tegoby pragnął, za nic w świecie od niejby nie odstąpił. Rzecz dziwna, a która tylko u nas widzieć się dawała; służący był rzeczywiście członkiem ciała politycznego. Podzielał on naturalnie, ale z wewnętrznego przekonania, opinie swojego pana, które uosabiał księżę panie kochanku, i obok niego zdrowie przynosił im w ofierze; do konfederacyi po sejmie elekcyjnym związanej zrobił akces znakiem krzyża świętego, gdyż, jak się powiedziało, ani czytać, ani pisać nie umiał. W zawodzie cywilnym niemniej bywał czynny, bo żadnego sejmiku nie opuszczał. Miał on kontusz i żupan w zapasie, które tylko podczas sejmiku brał na siebie, i tak odziany gardłem i szablą popierał stronę, której pan jego był poplecznikiem, a po rozwiązaniu sejmiku składał tę odzież między szatami pańskimi, a powracał do skromnej kaptoty i do skromniejszych jeszcze obowiązków służebnictwa.

Pan Wazgird, nie w różanym humorze opuszczając Nieśwież, bo szczerze pragnął księciu wojewodzie towarzyszyć w podróży, ciężar swojego nieukontentowania zwałił był na sługę. Upatrzwszy jakiś nieporządek, rzeczywisty czy mniemany, w uprzęży, tak niemiłosiernie złajał Skołubę na wyjezdne z Nieświeża, i to przy świadkach, że ten siedział na saniach rozdąsany, i w zaciętem milczeniu słuchał pana, kiedy ochłonawszy z chimer, próbował wejść ze sługą w rozmowę. Napróżno pan Wazgird, rozwijając plany, jakieby wykonać pragnął dla uwięzienia pana starosty Wieluńskiego, zukosa dawał do poznania, ile w podobnych razach zręczność doświadczonego sługi bywała mu zawsze pomocną. Skołuba, mając na sercu impetyczne wyrazy, któremi pan dotknął jego osobę w Nieświeżu, wszystkie te zwierzenia pańskie zdawał się przyjmować obojętnie, nie nie odpowiadając oprócz „słucham“, albo „jak pan każe“. Nakoniec pan Wazgird przestał mówić, i tylko

przemysliwał, jakby uczynić zgodę ze sługą, bez poniżenia wprost swojej własnej godności, bo nudno mu było milczeć, a jeszcze nudniej mówić bez doświadczenia ze strony słuchacza jakichś dowodów współczucia, ale Skołubie potrzeba było jakich parę godzin przynajmniej do oddąsania się, poczem dopiero wracał do zwykłego humoru.

Lecz to, czego nie dokazały pracowite zabiegi pana, okoliczność trafunkowa w jednej chwili zdołała skutecznie, widać, że to była chwila przesilenia, że już gniew omdlewał, a dobry humor czekał lada hasła do powrotu. Jakieś sanie rozminęły się z naszymi podróżnymi, a na nich siedział stary w prostym baraním tułubie. Pan Wazgird nie miał czasu go zauważyć, ale Skołuba ledwo okiem nań rzucił, poznał go, i parsknął od śmiechu na cały głos.

-- Czego ty się śmiejesz? — zapytał uradowany pan, że przecie się odmarszczył sługa.

— Bo poznałem księdza kanonika Zahorę, proboszcza Cyryńskiego, bo gacza, a skąpca jakiego świat dotąd nie widział, i przypomniałem sobie, jak niechcąc zażartował z niego wychowaniec, sierota, głodem od lat kilkunastu morzony, a składający cały jego dwór.

— Jakże to było? — zapytał pan Wazgird, nie z ciekawości, bo mu to zdarzenie było dobrze wiadomem, ale to był gatunek koncesyi dla Skołuby, jakiś krok do zgody, który sam z siebie jemu się nasuwał.

— Oto kolatorka księdza, JW. Szczyttowa, instygatorowa wielka litewska, wracając z dóbr, co je ma na Rusi, przywiozła mu gościńca, kilka słojów konfitur kijowskich. Książd powierzając je chłopcu, w obawie, by się do nich nie przypytał, wyperswadował mu, że to trucizna na szczury. Aż w kilka dni potem, kiedy książd po obiedzie spoczywał, chłopiec, myjąc talerze, przez nieostrożność kilka sztuk z kredensu potłukł, a bojąc się kary, w taką wpadł aprensję, że chciał sobie życie odebrać, i objadł się trucizny na szczury... — na tem skończył Skołuba, bo silny paroksyzm śmiechu mowę mu zamknął.

I pan śmiać się zaczął, żeby utwierdzić przymierze zawiązujące się ze sługą, a potem odezwał się:

— Dobrze, że się śmiejesz, tobie tak do twarzy, nie jak dopiero, co siedziałeś zasepiony jak smarkacz, którego do szkół odwożą, i czego tobie było się smucić? żem ciebie połajał za niedbalstwo — i byłoż czego stracić fantazy?

— Ej to powszedni chleb u pana, żeby tylko mieć w głowie! Mnie było markotno, że nas książę pan nie zabrał z sobą na Ukrainę.

— A ty tam na co potrzebny?

— Możeby się człowiek na coś zdał; wszak mnie nie pierwszy raz wojować, a kto od tego, żeby najwięcej świata widzieć? Już ta Ukraina, o której słyhać, że to ma być raj, raz mnie ominęła. Mieliśmy tam iść, wszystko było w pogotowiu, ale jak pan oberwał pod Swojatyeczami, żeś potem kilkanaście tygodni musiał słuchać rekolekeyi doktorskich w Nowogródku, trudno

mi było pana opuścić. Na coś podobnego i teraz się zanosi, a to nielada rzecz poznać się z nowym krajem, i to służąc w dobrej sprawie.

— Wszędzie można służyć dobrej sprawie, byle wesoło spełniać, co starsi każą. Jak się dostanie w nasze ręce ten pan starosta, com go przywiłtał w Niewodowie, to nas tak pochwalą, jakbyśmy we dwóch całą chorągiew przelamali, a mam w Bogu nadzieję, że to jakoś nam się uda.

— A ja niewielką.

— Głupisł waćpan, mości panie Skołubo. Ciekawy jestem, dlaczego nie miałyby się udać; ja osiadam milkę od Niewodowa w Szykutowiczach u pana Mateusza Gieczewicza, tam doczekam się w jednej dobie kilkunastu bojarów z Kojdanowa, a wiesz jakich, bo to i konni i zbrojni, a w potrzebie pan Mateusz z całym dworem na moje zawołanie. Ty, Skołubciu, dojedziesz do Niewodowa na wywiady, a jak upatrzysz porę, my w nocy naprzód w łóżku go capniem i zaraz knebel w gębę i na sanie. Ani się panicz spostrzeże, jak my go do Łachwy dostawimy, a potem Ukraina nam nie ucieknie, ona z miejsca na miejsce nie przenosi, trafimy do niej.

— Piękna to myśl, już ją pan przedemną rozbierałeś, ale o to rzecz chodzi, żeby ją można do skutku doprowadzić, o czem bardzo wątpi Kościół boży.

— Jaki z ciebie ślamazarnik! Anim się tego spodziewał po moim Skołubie, pfe! a wszystko dlatego, żeby się mnie sprzeciwił. Co to za filozofia, żeby we dwudziestu, albo więcej, jednego powalić; zwłaszcza jeżeli się ty gracko sprawisz, że w twierdzy nie będą go bronić. Twoja rzecz, żeby wujaszka czeladź twardo spała, kiedy my zapładrujem w domu.

— Nie tu sęk, panie. Ludzie JW. generała spać będą jak ja zechcę, o to pokój. Nawet na sanie położymy pana starostę, albo na konia — ja to biorę na siebie; ale potem?

— Potem do Łachwy; cóż ci mam jedno a jedno powtarzać!

— Tak to panu się zdaje, że już wszystko pójdzie jak z kłębka; muszę więc panu swoje opowiedzieć. Kiedyśmy to byli z panem chorążym w Niewodowie, to ja, obeznany i pokumany z całym dworem, zacząłem szukać znajomości i z gościnnymi sługami. Świętej pamięci ojciec pański, wielmożny cześnik Miński, bywało mawiał: im kto więcej ludzi zna, tem rozumniejszy. Już to nie było sposobu poznać się z fryzyerem pana starosty, bo z Niemcami ani mowy, ani rozmowy, a jego kamerdyner więcej niż jego pan nosa do góry zadziera. Na mnie patrzył, jakby z wieży świętej Anny w Wilnie, a nie wie, że może ja lepszy od niego szlachcic. Zaniechałem Warszawczyka; z jego strzelcem i lokajem poszło mi siako tako, ale kiedy później pan mnie cichaczem tam posyłał, żeby się dowiadywać, czy pan starosta jeszcze dysze, albo czy już po nim, to ja sobie nie do dworu, broń Boże, ale na wsi rzecz swoją robię. Otóż tam przybyła JW. kasztelanowa, siostrzenica naszego generała, żeby pilnować swojego rozvodu. U mojego kuma, pana Błażeja, stelmacha Niewodowskiego, poznałem się z jej ludźmi, bo pan Błażej jej karetę

moderował, nieco obszarpaną przez podróż, a jej słudzy niby dla pilnowania roboty od niego nie wyłazili; ale ja poznałem, że to dlatego, że pani Błażejowa kobieta gładka, a pan wiesz, jacy to skrupulaty warszawskie lokaje. Otóż zaprzyjaźniłem się z nimi, i zaprosiłem ich do szynku na miodek, a z miodku przyszło i do krupniczku, a tak się dobrze ukartowało, że jeszcze sami zapłacili za swój traktament. Otóż poszła między nami gawędka, że aż miło; niby z niechcenia, bo siebie nie przedawałem za ciekawego, ale jakoś samo z siebie wyszło, że ich pani po drodze wstąpiła w Kojdanowie do jakiegoś księcia, z którym miała dawną przyjaźń w Warszawie, a że ten książę tam stoi z pułkiem dobrze podszytym, któremu rozkazy daje, to wszystko myślę sobie nie bez przyczyny, aż tu uważam, że dwóch jakichś podróżnych w siermięgach nie najnowszych przybyło do szynku. Ledwo okiem rzuciłem zaraz poznałem, że to bywalce, nie tem są czem się wydają, bo chociaż to niby tylko gorzałeczką się zajmowali, poznałem, że całkiem siedzieli w uszach, a jak jeden z nich parę słów powiedział żydkowi szynkarzowi, mnie panie w ciemię nie bito, wyszedłem z karczmy, bo już dla mnie było dość. My się pilnujemy, ale i oni się pilnują.

— Ty bo chcesz zawsze mądrego udawać; dziś dopiero otrzymałem rozkaz od księcia pana, i projekt *ex abrupto* wyszedł z ust jego, a już o tem przed kilkunastu dniami miała wiedzieć przeciwna strona; opamiętaj się waś, panie Skołubo.

— Racya fizyka, że Kaśka nie ma butów; a cóż to? albo nie wiedza, że pan starosta między nami jak błędna owca? My trzymali z księciem panem, a on z panem stolnikiem Litewskim, któremu nie raz, i nie dwa my się dali we znaki; a choć to między nami była lyczana zgoda, my nigdy w nią bardzo nie wierzyli, a oniby się mieli na nią spuszczać! A wszakże już dziś ta zgoda się urwała, kiedy książę pan aż pod granice tureckie rusza, żeby piwa nawarzyć; wszak to panie nie z lalkami robotą. Obaczysz pan, że my rady nie damy, chyba, że pan wojski jego wywiezie pod jakimś pozorem, bo brat z bratem to nikogo w oczy nie ukole.

— Tać to bez pana Michała się nie obejdzie; trzeba będzie przed nim siebie otworzyć, żeby nam nie przeszkadzał. Ale jak ci się zdaje? czy on będzie z nami działał?

— Czemużby nie miał działać, jak się dowie, jakiego to ma braciszka w panu staroście, i jakiego węzełka on mu nawiązuje w Niewodowie?

— Co ty chcesz przez to powiedzieć?

— Daj pan pokój, ja choć głębę tulę, oczy i uszy mam otworzone; chociaż mnie pan o tem ani słówka nie pisał, a jednak jam dobrze wiedział, że pod karczmą szlakową nie o same przymówki poszła panów sprawa. To co się dzieje w Niewodowie, o tem nie tylko czeladź, ale cała wieś gada, aż uszy bolą słuchać. Tylko pan generał, pan wojski i księża ślepi; ale jak prawdę wykryjemy panu wojskiemu, to może nastąpić wielka burza. On rzadko kiedy się gniewa; zdaje się, że wszystko po nim idzie płazem, ale jak

mu dopieczę, broń Chryste Jezuu, jaki zły! Wszakże my tego byli świadkami; dobrze to ludzie mówią, że jak cicha woda się wzbierze, to groble rwie..

— Nieźle waść mówisz, panie Skołubo! I ktoby waści powiedział, że masz głowę nie do rady, a coś innego nie do krzesła, śmiało mu powiedz, że łże. Moje zdanie kubek w kubek jest takie jak twoje, i z niem się głośno oświadczyłem w Nieświeżu. Muszę koniecznie widzieć się z panem Michałem; trzeba nam dziś jeszcze na parę godzin zawadzić o dom wujaszka.

— O panie! zaniechaj tego! Niechaj się pan w Niewodowie nie pokazuje.

— Dlaczego? a cóż to, ja tam się znaleźć nie potrafię?

— Dalibóg, pan wszystko popsujesz: pańska twarz zaraz wyda, co się w pańskim sercu dziać będzie. Pan abyś wziął na siebie kontusz, i poczuł szablę u boku, to zaraz się jemu zdaje, że szeroki ten świat jest jego dziełstwem, że na zawołanie góry z miejsca przed nim ustąpić muszą. A ta kasztelanowa z warszawskim rozumem, a mająca z panem swojactwo, zaraz się czegoś domyśli, i ani się pan spostrzeżesz, jak go weźmie na konfesatę i z rozumu wyprowadzi. A pan starosta, choć dworak, pan wiesz z doświadczenia, że zuchwały; on się skrzywi jak tylko pana obaczy, a jak pan to spostrzeżesz, to chociażbyś na rany Chrystusowe poprzysiągł, że będziesz dysymulować, nieprawda! burdę zrobisz i utopisz cały interes. Ot wiesz panie, jaki mi koncept do głowy przychodzi? najbezpieczniejszy, a który niezawodnie się uda. Niech pan do niego napisze, że ponieważ on zdrow, więc go pan nanowo zapraszasz do tańca, na tem i na tem miejscu. On niezawodnie stanie, tam niech znajdzie pana, ale z dobrą zasadzką, żeby go wziąć na pewniaczka.

— Schowaj się z taką radą, hultaju! plunę sto razy na własny mój herb, wprzód niż do podobnej podłości dam siebie namówić. O! to mnie znasz! jak komu dam słowo, to go pewnie dotrzymam, a cóż dopiero wdawszy się jeszcze w pisma.

— A ktoby tam farmazonowi dotrzymał słowa!

— Dość o tem, Skołubo, co innego wymyśl, a to zaniechaj, jeżeli ci buchańca oberwać nie miło. Gwałt zrobię, nie jestem od tego; ale zdrada, to nie moja rzecz.

— Pan bo chce razem i chytrować i być szczerym, a tu jednego trzeba się trzymać: kiedy pan taki skrupulat, wróćmy do pierwszego. Tylko co nie widać Sasanowieckiej karczmy traktowej: — wszakci to piąta godzina jak jedynym tchem kłusujem — wartoby popaść koniki. Z tej karczmy do Niewodowa mil pięć, do Szykutowicz półpiętej: popaśszy w karczmie, trzeba nam zajechać na noc do Szykutowicz, i tam ściągnąć pana wojskiego.

— Co tak to ale Skołubusiu, jak tylko staniemy w karczmie, najmę konia jakiego u arendarza, i ciebie na nim wyprawię do Niewodowa z listem do pana Michała, a sam będę na was czekał u pana Mateusza.

— Co się panu dzieje? mnie się teraz ani pokazywać w Niewodowie. Znają mnie tak jak złego szeląga, zaraz się czegoś domyślą. Icko Wołoszyn

arendarz dobrze nam znany, a do tego minister: pan napiszesz kilka słów, a Icko wyprawi posłańca, że interes ważny, on zięcia swojego wyprawi, a ten taki sprytny, że dyabła samego przeda, odkupi i drugi raz przeda. Obaczy pan, że będziemy mieli tej nocy rezolucję w Szykutowicach.

— Niech i tak będzie, napiszę parę słów do pana Michała. Jak przeczyta, że z rozkazu księcia wojewody czekam na niego u pana Mateusza, a na liście z góry wyczyta te słowa: — *tibi soli* — wielkimi literami, to natychmiast *sub secreto* do nas się wysunie, a jak się zobaczymy, będzie rozprawa niepospolita.

Po tej wojenno-dyplomatycznej konferencji między panem a sługą, obaj utonęli w morzu zadumań nad jednym i tymże samym przedmiotem, kiedy przed ich oczyma stała karczma zapowiedziana od Skołuby, a niecierpliwie wyglądana od woźnicy i od koni dobrze potem oblanych, pomimo mrozu żwawego, zaprawione gołącym wiatrem. Wtem Skołuba krzyknął raptownie:

— Wszelki duch pana Boga chwali! mowa o wilku, a otóż i wilk. Wszak to sanie pana wojskiego stoją przed karczmą, oto jego siwo-srokate konie i Grzesio z niemi; nie inaczej, pan wojski musi być w gospodzie, więc niema potrzeby listu do niego posyłać. Zajeżdżaj prosto w sieni.

Pan Wazgird, skoczywszy z sani jakby z procy, wszedł do izby, i tam zastawszy siedzącego na zydlu pana wojskiego, rzucił się w jego objęcia. Może ktoby myślał, że był wielce uradowany z tego spotkania, i bezwątpienia był rad; ale to pewna, że czuł jakąś niespokojność w sercu, gdy tuż zbliżała się pora ważnych objawień, a pan Wazgird nie wiedział od czego zacząć, i jak zaczynać; bo chociaż przez cały dzień do tego się gotował, jak go zobaczył, pokazało się, że wcale nie był przygotowany. Po przywitaniu zaczął z nim dyskurs, ale tak przerywany, wyrazy tak się z sobą nie kleiły, że wojski z zadziwieniem widząc jakby pomieszanie w człowieku niełatwym do zmięszania się, nie mógł mu nie powiedzieć:

— A co się waćpanu stało, panie Janie? Pleciesz jakieś koszalki opalki, że jedno drugiego się nie trzyma; prawdziwie waćpana nie pojmuje.

Pan Wazgird, pogłaskawszy sobie czuprynę i nakręciwszy wąsa, na taki się zdobył koncept:

— Takem zziął i zmęczył się podróżą, że do siebie przyjść nie mogę, a mam ci do komunikowania niesłychanie ważne rzeczy. Panie Michale, przemocujmy tu a jak się ogrzeję i rozgoszczę, z wszystkiego gładko się objaśnię.

— Cóż to za nowy koncept, panie Janie? Ja mam w karczmie nocować, kiedy jeszcze wieczór się nie zaczął, a przez całą noc prawie księżyc świeci? Ja choć późną nocą muszę stanąć w Nieswieżu, wytłumaczyć się przed księciem z mojego opóźnienia, a może mi wypadnie go szukać w Nalibokach.

— Ba, ba, ba! waćpan widzę siedziałeś za górami, że nie wiesz co się dziś święci w Nieswieżu. Książę o świcie wyruszył wierzchem aż na Ukrainę, gdzie pod powagą turecką ma stanąć konfederacya, a na samem odjeźdźnym do waćpana mnie wyprawił, a z ezem, o tem się wkrótce dowiesz.

— Jezus Marya! co waćpan mówisz?

— Acha! czy na tem koniec? Senatorów porwano w Warszawie i wywieziono Bóg święty wie dokąd; na swoją biedę spotkali ich Koryzna i Węclawowicz. Konfederacya w łeb wzięła, jakby jej nie było; na wclowej skórze tego nie zapisać wszystkiego co ci powiem. No, no, bez ceremonii, każ wnieść swój tłomok: jak nam pościela, *semotis arbitris* zabiorę głos. Nie mamy czasu do tracenia! Hola Ieku! żeby sanie pana wojskiego do sieni wciągnąć, a usługa niech piorunem porządek zrobi w izbie; naszym koniom owsa dosypuj, ile w gardło wlezie; siana dla nas dwóch każ wnieść, a na niem niech nam pościela.

Pan wojski siedział zdumiony, a pan Wazgird, przybrawszy rolę gospodarza, krzyczał to na żyda, to na sługi, a to wszystko dla zobojętnienia niepokojności, która go trapiła. Jeżeli użyć można tego wyrazu, nastrajał siebie do tych objawień, któremi wkrótce ma rozedrzeć serce przyjaciela; a pan wojski, obojętnie patrząc na rozporządzenia pana Wazgirda, czekał tylko z upragnieniem chwili, w której z nim doczeka porządniejszej rozmowy: ten zaś bez przestanku się szwędął po izbie gościnnej, szynkowni i stajni, póki słudzy nie ukazali się w izbie i pościeli nie przygotowali. Zapalono na kominie, pan Wazgird usiadł koło wojskiego, ale znowu powstał raptownie i drzwi otworzywszy:

— Skołubo! — krzyknął — odegrzej no bigos co go z sobą mamy i powiedz Iekowi, żeby nam półgarnca miodu wytoczył. Wszak prawda panie Michale? na sucho źle się rozprawia, a miodek *bibilis*.

— Dobrze, dobrze, ja waćpanu placu dotrzymam; ale dla miłości Boga zaczynaj, bo mnie trzymasz jak na szpilkach.

— Poczekaj, *nemo sapiens nisi patiens*, jako mawiał nasz regens w konwicie, ojciec Haraburda; pamiętasz, panie Michale? Ja zacznę mówić i jeszcze *ex publicis*; a ten arendarz zacznie dzwonić lampeczkami; otóż przerwa, znowu zaczynaj a capite! Ale jak wszystko będzie gotowe, buty nam pościągają, a kurtki podróżne ustąpią miejsca chałatom, obaczysz, że mój język jedynym tchem dojdzie do mety.

— Święta z tobą cierpliwość, panie Janie. Niechże i tak będzie, ażaliż doczekam się jakiegoś końca. — Przyszedł Ieko z miodem, Skołuba zastawił stół bigosem, któremu niepospolite świadectwo przyniosły zgłodniałe, żołądki naszych podróżnych, a potem obaj przyjaciele, rozebrawszy się i zasiadłszy przy gościnnym miodku, wzięli się do dyskursu, ile że pan Wazgird nie zaniedbał obwarować izby zasunięciem rygla. Nim się miodek wypróżnił już pan wojski był świadom o wszystkich szczegółach, tyjących się dostojnych jeńców wywiezionych, o zamiarach księcia wojewody i panów rady z nim wspólnie działających, a nakoniec dodał pan Wazgird:

— Z waćpana łaski, panie Michale, nie towarzyszę księciu panu w jego podróży. Mojego Skołubę ledwo dyabli nie biorą ze złości, że to mi się nie udało, bo szczerze tego się napierałem, ale książę, wiedząc o naszych związ-

kach i że się wkrótce spokrewnić mamy, wyprawił mnie do waćpana z rozkazem, a wiesz, że on jest regimentarzem generalnym konfederacji obojga narodów; to nie piechotą chodzi. Otóż rozkaz jest, żebyś pan starostę Wieluńskiego porwał i *à sub secreto* zawiózł do Łachwy, a ja waćpanu asystuję ze wszystkim, co do tego może być potrzebne; ale zrób to chytrze, mądze, niby go do Warszawy chcesz odprowadzić, żeby się nie domyślił, że na Łachwę jedzie, a mu tam źle nie będzie dalibóg! Rzecz o to tylko chodzi, żeby było z czem potargować się z panem stolnikiem Litewskim, azali za niego nie odda naszych senatorów. Co na na to powiesz, panie Michale?

— Panie Janie, mój brat wybierał się przed kilku tygodniami do Warszawy i tylko na usilne prośby moje i generała dzień jeden jeszcze miał się zatrzymać w Niewodowie; jeżeli swój pobyt przedłużył, to z wypadku, co go omal życiem nie przypłacił, wypadku, o którym tyle tylko wiem dotąd, że widział bez przytomności, krwią własną oblanego. Do ciebie się odwołuję, czy mi się godzi, sromocąc dom przyszłego teścia, taką zdradę wyrządzać starszemu bratu? zapytuję ciebie, panie Janie, czy to jest rzecz godziwa?

— Przeciw temu nic nie powiem, panie Michale. Ale jakkolwiek bądź regimentarz generalny tobie tak każe; rozkaz spełnić trzeba, a choćby i było w nim coś nie dobrego, o czem nie jestem przekonany, ale pozwólmy, że tak jest, to niech się wstydzi ten co rozkazuje, a nie ten co rozkaz spełnia; bo jakazby to była konfederacya bez posłuszeństwa?

— Powiedz że, panie Janie, jak uczciwy człowiek, czy na to wyraźny rozkaz? mnie samemu?

— A jużci nie inaczej.

— Dajże mi na to słowo szlacheckie.

— Tać to Bogiem a prawdą, rozkaz nie był tobie dany w całej rozciągłości tego wyrazu. Rozkaz mi był dany, ale kiedy księciu oświadczyłem, że się tobie zwierzę, on mi nie powiedział nie rób tego; jeżeli więc nie zganił, tem samem rachuje na ciebie. Pomówmy po ludzku! Pan starosta jest pierwszym zausznikiem tego, coby rad Rzeczpospolitą w łyżce wody utopić; kraj, to wielka rzecz, tyś bratem, ale i obywatelem. Wszak nas uczono w konwikcie, jak to w świętem państwie rzymskiem i syn i ojciec na bok, kiedy o Rzym chodziło; ty to lepiej wiesz odemnie, bo jam się tego uczył pod batogiem, a ty z ochoty. A tu nie ojciec, jeno brat — nie puginał ale koza. Opamiętaj się panie Michale, a te dziecinne skrupuły półoś pod piętę. W zwyczajnych czasach jużby one były przesadzone, a cóż dopiero w czasach konfederacji. Panie wojski! powiedz mi, jeżeli Boga miłujesz, że mam słuszność.

— Próżne słowa, panie Janie, nietylko, że w tej zdradzie działać nie będę, ale o mil kilka go przeprowadzę, i będę go bronił na wypadek napadu więcej niż samego siebie, chociażbym miał go bronić przeciw waćpanu samemu; potem dostawię go, a gdzie, tego się odemnie nie dowiecie, i pójdę kra-

jowi służyć, ale nie takim sposobem. A wy, jeżeli go bezemnie znajdziecie róbcie co chcecie, bylem ja do tego nie należał. Ja miałbym podstępem imać brata, polegającego na mojej poczciwości! Ja miałbym zdradzać, być Kainem, i jeszcze z własnego domysłu, bo waćpan sam przyznajesz, że na to nie mam wyraźnego rozkazu. A przez rany Chrystusa, jak waćpan śmiesz do tego mnie nakłaniać! Waćpan Boga się nie boisz! To nie chrześcijańska, nie szlachcka rzecz; jeżeli mam cokolwiek łaski, proszę mi o tem więcej nie mówić.

— Otóż masz! za moje dobro jeszcze mnie zburczał, a to osobliwszy człowiek! No, panie Michale, kiedy widzę waszeci tak zaciętym, to jak ci powiem jedną rzecz, spodziewam się, że będziesz łatwiejszym do interesu.

— Nigdy!

— Obaczymy!

— Słucham, że nie gorszego mi nie powiesz nad to, com dopiero słyszał. Tu się zerwał z miejsca pan Wazgird, drzwi otworzył i krzyknął:

— Icko! jeszcze kwartę miodu.

— Co waćpanu się dzieje? — odezwał się pan wojski. — Czy mnie nie chcesz czasem upoić, panie Janie, żeby pijanego na słowo wyciągnąć. Już ja więcej pić nie będę.

— Będziesz pił, będziesz. Coś mnie burczy w żołądku po kapuście, a ty wiesz, że *omne trimnum perfectum*; jakem sodalis, sam powiem, co będzie z nas. A ja ci odkryję coś takiego, że jeżeli masz rozum, o czem nie wątpię, to mnie za to podziękujesz. Przyniesiono miód, pan Jan powtórnie drzwi zaryglował, nalał dwie szklanki i powiedział: — No, panie Michale, zdrowie twojej bogdanki, a my Kochajmy się! A widzisz, że przed tem zdrowiem się nie cofasz? Co tak, to ale! — Poczem przybliżywszy się do wojskiego, wyciągnął ramię swoje, i oparłszy się na jego ramieniu, te słowa powiedział: — Michale, kolego szkolny, obozowy i sejmikowy, przyjacielu omal nie trzydziestoletni, ty wiesz, że ciebie Kocham. W imię naszej starej przyjaźni zaklinam ciebie, byś mnie słuchał cierpliwie; tylko nie zżymaj się. Dopiero zadrasnałeś mnie, a ja, że ciebie Kocham, to puściłem mimo siebie; a jak mnie znowu ofukniesz, cóż ci z tego przybędzie, że mnie zniecierpliwisz? czyż już nie mamy z kim innym, żebyśmy aż z sobą zwady szukali? Michale, ty z przyrodzenia jesteś *cunctator*; dajże mi na to rękę, że będziesz bezstronnym, jakim być powinien sędzia, chociażby we własnej sprawie; że się nie będziesz uprzedzał ani za jedną, ani za drugą stroną; że się nie będziesz zżymał, ani mnie ofukiwał, ale że cierpliwie mnie do końca wysłuchasz. Dajże mi na to rękę.

— Oto masz ją, Jasiu drogi! Bóg widzi, że polegam na twojej przyjaźni, na twojej uczciwości, wszakżeśmy nie dziś i nie wczoraj się poznali; mów, wyprowadź mnie z niespokojności, słucham.

— Mam twoją rękę, śmiało więc mówić będę. Słuchaj! wiesz, kto pana starostę skaleczył?

— Kto?!

— Ja, ja, i nietylko, że się tego nie wstydzę, ale tego żałuję, że go nie zabił. Nie zrywaj się, Michale! Mam twoje słowo, że spokojnie słuchać będziesz. Pan starosta Wieluński sam wyzna, że wszystko się odbyło uczciwie i prawnie, a że wygrana była przy mnie, tego ani mojej odwadze, ani mojej zręczności nie przypisuje. Zostałem zwycięzcą, bo stanąłem w dobrej sprawie, bo ja byłem czystym na sumieniu, że na armaty poszedłbym spokojnie; ale pan starosta tego o sobie nie powie. Wie o tem twoja narzeczona, bo ja na odjezdnem z Niewodowa jej się przyznałem, i nie bez przyczyny.

— Ach, panie Janie, czemu się tobie Ludwik naraził? i jakież miałeś powód nastawać na życie rodzonego brata, twojego najgorliwszego przyjaciela?

— Jaki powód? oto ten, że ciebie zdradza, że zapomniawszy o Bogu, że niepamiętny na twoje dobrodziejstwa, gotuje ci hańbę; ty jego zaufania nie chcesz zawodzić dla ojczyzny, a on twoje sromotnie depce dla miłości. On twoją Zosię kocha, a co więcej, już ją zbałamucił; teraz rozumiesz dlaczego szukałem z nim zaczepki?

— To być nie może, panie Janie! To jest potwarz rzucona na mojego brata i na twoją siostrę; temu wierzyć nie mogę! Panie Janie, na Boga ciebie zaklinam, nie rób sobie igraszki z mojej duszy, ze sławy mojej przyszej żony; to nie jest, to być nie może, ja z nimi ciągle byłem w Niewodowie, nic takiego przedemnąby się nie ukryło.

— Panie Michale, ty, mój wuj i może księża są ślepi, ale cały Niewodów wie o tem, i o tem mówi. Ale czy tylko Niewodów? cała Alba, cała Litwa to widzi. Twoi przyjaciele od pierwszego do ostatniego to wiedzą i ubolewają nad tobą, a żaden z nich oczu tobie otworzyć nie śmie. Ja śmielszy od innych; bo nareszcie, sława mojej siostry jest moją sławą; odważyłem się prawdę odkryć przed tobą.

— Wam tak się zdaje, ale to być nie może! Jakże brat podobną myśl mógłby przypuścić? Przekonaj mnie, panie Janie, zkaż ty to wiesz? kto ci o tem pierwszy powiedział?

— Ach, panie Michale, co ci mam mówić kto powiedział? Pytaj kto nie powiedział; ja stoję przed tobą jako delator, a ty przekonaj się, czy jestem prawym czy potwarcą. Byleś chciał nie łatwiejszego. W Niewodowie bawi pani kasztelanowa Wejherowa, oddawna z panem starostą pokumana; dziś ona wszystko prowadzi, kto wie, jak daleko rzeczy już zaszły. Nie pierwszy raz tobie inkwizycyę ciągnąć; nie wierz mi, zapytaj ludzi; co to ludzi? oprócz generała, kto żyw ściśnij go, a usłyszysz co śpiewać będzie. Panie Michale, czy możesz przypuścić, żebym ciebie baśnią chciał turbować, dla Boga żywego! rzucić podejrzenie na cioteczno-rodzoną siostrę, brata narażać na impet brata? To nie to co powiedzieć, że u niedźwiedzia długi ogon; to nie żarty panie Michale. Wszak ja katolik panie; jeżeli ci to mówię, to nie bez fundamentu.

— Panie Janie, ty mówisz szczerze, bo mówisz co wierzysz, bo to ci powiedziano; ale któż się ustrzeże od złośliwych języków? Małóż mój brat

ma nieprzyjaciół? Jednak jak sobie niektóre okoliczności przypominam... ale nie, to być nie może, temu nie uwierzę, aż własnymi oczyma się przekonam.

— Zgoda, panie Michale. Ja chociaż to co ci mówię, gotów jestem juramentem ewinkować, nie domagam się u ciebie ślepej wiary. Przekonaj się; ale jak się przekonasz, spodziewam się, że nam dopiszesz, i że nam pomożesz zabrać winowajcę. Jutro przed świtem pojedziemy do pana Mateusza Gieczewicza; ztamtąd, upatrzwszy porę, cichaczem puść się do Niewodowa, byle tylko ciebie kasztelanowa nie zpodjadowała. Ty masz doświadczenie, wiesz jak nici w kłębek się zwijają, a ja ci dodam Skołubę; ty go znasz, wiesz jaki z niego majster.

— Zrobię co każesz, ale nie w innym celu, tylko żeby ciebie przekonać o niewinności dwóch istot tak dla mnie drogich. Bo to być nie może, to jest piekielna potwarz, w którą daliście siebie uwikłać, dobranoc, panie Janie, takiego klina w głowę mi nabiłeś, że aż poty zimne na mnie uderzają. Daj mi odpocząć, niech panu Bogu się pomodłę, żeby mnie natchnął i oświecił, a jutro jadę gdzie każesz. Ale słuchaj panie Janie! jeżeli, przez zapał obywatelski, na to tylko pobudzasz podejrzenie moje, ażebym ci pomagał w zamiarze, jaki masz przeciwko mojemu bratu, sumienie swoje nadwerężając, chociażby dla dobra kraju, Bóg ciebie za to ciężko skarże; pamiętaj!

— I owszem, i owszem, jeżeli nieprawdę mówię, niech mnie ukarze, sam tego żądam. Wiesz dobrze, panie Michale, że nigdy nie byłem łapczywym do pióra; dlatego też do palestry nie poszedłem, i z prawa tyle tylko się wie, ile to tu, to tam się nachwytało, a jednak własną ręką napiszę dla siebie sponsyę taką, a jeżeli to, co ci powiedziałem, nie jest prawdą, to domagam się u pana Boga, żeby na sądnym dniu postawił mnie między kozłami, a póki żyję, żeby mnie mieli za podłego; i to dopiszę, że moja wola, jak umrę a położą mnie na katafalku, żeby zamiast obrazka to własnoręczne moje pismo włożono mi w ręce. Już ci więcej nic powiedzieć nie mogę; masz rozum, módl się i ruminuj, a ja, krótko się pomodliwszy, bo nie uwierzysz, jak mnie ta rozmowa nasza zmęczyła, położę się, ile że jutro przed świtem wyruszyć nam trzeba. Dobrej nocy życzę waćpanu, panie Michale, niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

— Na wieki wieków.

XXIX. Katastrofa.

Obaczmy co się dnia następnego działo w Niewodowie. Już pan starosta odzyskał był zdrowie, jakkolwiek bladeść pozostała zachowywała jeszcze ślady odbytych cierpień; nie tylko, że się przechadzał po dziedzińcu, ale już nawet od kilku dni po godzinie i więcej śpiewał z Zosią i napawał się pochwałami kasztelanowej i domowych Niewodowskich a jeszcze więcej postęпами pojętej uczennicy. Czuł dobrze, że trzeba mu było oddawna wracać do Warszawy, ale, przykuty sercem do ścian szlacheckiego domu, nie miał dość odwagi,

żeby myśl swoją nad tą potrzebą zatrzymywać, ile że ani gospodarz, ani żaden z gości i domowników tego mu nie przypominali. Wszakże w smutnych zamysłeniach, niezbędność wyjazdu często przelotnie przed nim się nasuwała: kasztelanowa odebrała była listy, między niemi był jeden do starosty, więcej niż wszystkie te, które dotąd był odebrał, naglący jego powrót; ale hart jego duszy już tak był zardzewiał, że go dość obojętnie przeczytał. Gdy po obiedzie zebrało się towarzystwo w bawialnym pokoju, pan Buńczukiewicz zbliżył się do generała i wręczył mu list przez umyślnego posłańca dopiero przywieziony; od kogo, nikt tego nie wiedział, ale można było poznać, że w nim musiało coś być ważnego, bo generał, nałożywszy okulary, ledwo jedną stronicę wyczytał, zerwał się z oznakami wielkiej niespokojności, i mrugnawszy na Buńczukiewicza, z nim razem wyniósł się do swojej kancelaryi.

Po odejściu generała, łowczanka zagaiła rozmowę: — Uważałeś, ojcze Kleofasie, że braciszek coś nadzwyczajnego musiał odebrać, bo jak oparzony zerwał się z krzesła.

— Uważałem to bardzo dobrze — odpowiedział Bernach — ale będziemy o tem wiedzieli, bo nic się długo nie utai. Żyjemy w takich czasach, że co chwila to coś nowego; a na głowie JW. Generała wszystko się opiera. Wszelako, jak mi się zdaje, musi to być coś *ex publicis*, bo widzę jak na dłoni, że lada dzień będzie jakieś zamieszanie w kraju.

— Zkądże ta smutna wieszczba? — rzekł ksiądz Prosper, mieszając się do dyskursu.

— Zkąd — odparł ojciec Kleofas — oto śmiejecie się państwo ze mnie; tej nocy śniło mi się, że, zabierając się do mszy świętej, mszału nie mogłem znaleźć na ołtarzu. Wtem się ocknąłem, ale tak zatrwożony, że aż poty na mnie były: wykrzesalem ognia, zapaliłem stoczek, była druga po północy, nie mogłem wody się napić, bo za kilka godzin trzeba mi było wyjść ze mszą, ale wzięłem mój brewiarz, otworzywszy go na los szczęścia. Pierwsza rzecz com napotkał był ten psalm: *Quare fremuerunt gentes?* Powiedziałem sobie: Oj! to coś niedobrego zwiastuje! — i zacząłem się modlić.

— To jak widzę — na to ksiądz Prosper — ojciec Kleofas w sny wierzy, i używa brewiarza jako to niegdyś *sortes virgilianae* do badania przyszłości; winszuję, ale nie zazdroszczę.

— Sen mara, a Bóg wiara — odparł ojciec Kleofas — któż o tem wątpi, księżę kanoniku? Jednak i temu trudno zaprzeczyć, że czasem Bóg z miłosierdzia swojego niegodnym sługom we śnie zsyła przestrogi; mamy na to powagę Pisma Świętego.

— O tak przestroga była bardzo jasna, że mszał zniknął z Ołtarza.

— A juści, to dowodzi jakieś zamieszanie; wszakże i to co brewiarz powiedział, tego w kąć rzucić nie można.

— Ach, ojcze Kleofasie — odezwała się znowu łowczanka — przypominam sobie, że onegdaj we śnie widziałam cały nasz dom w ogniu. Nazastrz chciałam się waszeci opowiedzieć, ale przy rozmaitych turbacyach, to

mi jakoś wyszło z głowy. Buńczukiewiczowa mówi, że ogień znaczy gości, ale mnie się widzi, że to coś gorszego.

— Otóż to skutek waszych dykteryjek, ojcze Kleofasie — odrzekł ksiądz Prosper — że waszeć na wróżbitę kierują.

— Ja to, co mówię — odparł Bernardyn — nie daję za artykuł wiary, broń Boże! Mówię, że mój sen może być przestroga, lub może nią nie być. Wszakże ksiądz kanonik dobrodziej mówisz, że kiedy ma nastąpić zmiana aury, to o tem z góry wiesz, bo go nerwy ciągną; jeżeli ciało przeczuwa przyszłość w fizycznym porządku, dlaczegożby dusza nie miała przeczuwać rzeczy do niej stosowne?

— Nic łatwiejszego jak zabobon utwierdzić jakimś pozornem rozumowaniem, zwłaszcza tam, gdzie do zabobonów już i tak wiele skłonności. Szkoła ojcze Kleofasie, że jak się wziąłeś do brewiarza, dalej się w nim nie rozczytałeś; możebys doszedł do słów Świętego Piotra: *A veritate avertunt, ad fabulas autem convertuntur.*

— *Gratias tibi, illustre domine,* za przytoczenie tak pięknej sentencji; choć stary, będę się starał korzystać z nauki; ale nie żebym się kwitował, tylko żeby i swoje trzy grosze dodać, przytoczę aksjomat w Kościele Bożym powtarzany: *In dubio libertas, in fide veritas, in omni charitas.*

— *Dubium, dubium* — odparł ksiądz Prosper — cała rzecz w tem, czy to jest *dubium.*

Tu przerwał rozmowę generał, który, co mu się nigdy nie zdarzało, wszedł ledwo że nie z traskiem, i tak był poruszony, że wszyscy się zdziwili.

— Straszne rzeczy — odezwał się — straszne rzeczy. Pięknie się popisał waćpana dobrodzieja król, mości starosto; odbierałam właśnie wiadomość o godnej jego sprawie. Oto kazał porwać dwóch biskupów, hetmana i posła, i pod strażą ich wywieźć. Nie godziło się królowi elekcyjnemu tak postąpić, mości starosto dobrodzieju, bo w konstytucyi dotrzymanie przez obranego króla obowiązków, w *Pactach Conventach* objętych, jest nam wyraźnie zabezpieczone, a tam stoi, że bez sądu szlachcica nie można imać, i że *immunitates ecclesiae*, jakie są w statucie Aleksandra będą dochowane.

— Mości generale — odezwał się starosta — tu coś się innego pokaże; nie mogę przypuścić, by król był winnym. Wszystko mu prędzej wyrzucić można, niż gwałtowność.

A kasztelanowa: — Ja trzymam z starostą; wszakże ja znam króla, tak jak siebie samą; on miękkiego serca jak kobieta, on w życiu nikomu przykrego słowa nie powiedział, a dopiero taką krzywdę miałby godnym ludziom wyrządzać! Obaczy wujaszek, że tu się pokaże egzageracya.

— A co mnie waćpaństwo chcecie z rozumu wyprowadzić! Cóż to! ja chłystek, żebym lada czemu wierzył; jak wół stoi w tem co do mnie piszą, że bezprawie nad bezprawiami zrobiło się w Warszawie i że zaraz po jego spełnieniu sejmujące stany się rozjechały; ten co to pisze, w życiu swoim dla żartu nie skłamał, i nie skłamię, choćby mu za to pieczęć Litewską dawa-

no, taki z niego twardy katolik. A tu się rozwodzą nad miękkością serca pana stolnika; mówią, że on łagodny jak baba! Niby to baba złego napłatać nie potrafi! Mości starosto dobrodzieju, Bóg świadek, że mam za szczęście i za zaszczyt jego pobyt w moim domu, ale już go teraz zatrzymywać nie śmiem. Wokoło nas wszystko kipi, gotowi na mój domek napaść, żeby panu starościu, jako przyjacielowi tamtej strony krzywdę wyrządzić: i to co mówię nie mówię bez fundamentu; chociaż na wszelki wypadek ja stanę w obronie mego szanownego gościa, jego krzywda jest moją krzywdą, a ja, póki stanie siły nie dam siebie pokrzywdzić chociażby mi mieli dom spalić!

— Niech pan generał będzie spokojny — odezwał się starosta — dom jego będzie cały, a niech tylko nie myśli o mojej obronie. Jeżeli kto przybędzie, żeby mnie szukać, postaram się sam, żeby mnie znalazł; ani przed przyjacielem ani przed wrogiem nie mam zwyczaju się ukrywać.

— Nie, nie, tak nie będzie! — na to generał — Mój Buńczukiewicz późną nocą wywiezie pana starostę manowcami; tylko na każdy wypadek niech pan starosta weźmie na siebie moją lisiurę i dobrze moją czapkę nasunie na uszy.

— A ja — odezwał się Bernardyn — co innego poradzę. Ofiaruję JW. panu mój habit bernardyński, *sciendum* tedy, że u nas wszędzie i zawsze pod kapturem bezpiecznie.

— Bardzo państwu dziękuję — odrzekł starosta z dumnym uśmiechem — za te dowody ich życzliwości, ale ja kłamać nie umiem. Jakim jestem, takim się pokazuję, i ani mową, ani odzieżą nie przybiorę obcej dla mnie postaci.

— Tać to, by nie było zupełnem kłamstwem, JW. panie, gdybyś raczył użyć mojego habitu; wszakże zakon, którego JW. pan jesteś komandorem, trzyma się naszej reguły.

— To naprózno — odezwała się kasztelanowa — do tego nie namówicie starosty, znam starostę i hardość jego duszy. Ale ja wszystko na siebie biorę. Widzisz, wujaszku drogi, że i mnie tu dłużej nie siedzieć: dziś jeszcze pana starostę wyprawię, a w kilka godzin po nim i ja pojedę. Niech się wujaszek na mnie spuści; i starostę i siebie wywiozę bez szkody, a dom wujaszka i od niebezpieczeństwa i od hańby uchowam. Tylko proszę wujaszka, żeby nam żadnej straży nie dodawać; toby nam nie pomogła, a tylko podejrzenieby ściągnęła, ale żeby mi nikt się nie sprzeciwiał.

— A któżby ci się sprzeciwiał, siostrzanka kasztelanowo? Wiemy, że kiedy sobie co uroisz, musisz tego dokonać; rób co chcesz, nikt ci słówka nie wtrąci, rozkazuj, a wszędzie posłuszeństwo znajdziesz. Jeszcze takiego trzeba nieszczęścia, że pan Michał właśnie wyjechał wczoraj; ale kto się tego mógł spodziewać?

Starosta na to wszystko zdawał się być obojętnym, siedział zamysłony. nie mieszając się do dyskursu. A Zosia! Zosia! — trzeba było tak być za-

ślepiącym jak generał i księży, żeby nie wyczytać z jej twarzy, co się w jej duszy działo.

Kasztelanowa, ułożywszy plan, wykonała go z przezornością kobiety wprawnej do intryg wszelkiego rodzaju i wykonała go tem łatwiej, że i generał i starosta we wszystkim byli posłuszni — pierwszy powodowany wiarą w jej rozum, drugi obojętnością dla wszystkiego, co się do jego osoby odnosiło.

Wkrótce po tej rozmowie ekwipaż starosty zajechał przed ganek. Starosta, ze wszystkimi czule się pożegnawszy, siadł do karety, ale wedle umówionego planu zajechawszy przed chałupę ogrodnika, z niej się wysunął i przez furkę ogrodową przeprowadzony został do tej części domu, gdzie mieszkały kobiety. I kiedy na wsi i we dworze myślano, że już pan starosta na wielkim gościńcu, jego ludzie dążyli ku Lidzie a on sam w pokoju kobiecym oczekiwał chwili, kiedy się miał po raz ostatni żegnać z osobą, którą kochał i której wzajemności był pewnym. Dopiero o samej północy miał razem z kasztelanową wyjechać.

Kto kochał i był kochanym, ten łatwo pojmie, co się z nim dziać musiało, kiedy w samotności oglądał sprzęty, napiętnowane pamięcią Zosi. Siedział zatopiony w marzeniach, lub chodził krokami szybkimi po siedlisku istoty, która już owładała wszystkie zdolności jego duszy. Czasem lzy kipiące wylewał, czasem jakiś promyk nadziei przed nim zabłysnął; skołatany namiętnością, o jakiej dotąd wyobrażenia nie miał, co go oprócz Zosi obchodzić mogło? — Brat, obowiązki, sumienie, nic już do niego nie przemawiało, a niebezpieczeństwa, które go otaczały, ani przelotnie nawet jego uwagi ku sobie nie zwracały. Oczekiwał z niecierpliwością gorączkową chwili, w której jeszcze raz miał oglądać Zosię. Całkowite jego jestestwo było uwiązane do tej chwili, po za którą nie umiał nie chciał nic przewidywać.

Już dziesiąta uderzyła, kiedy weszła kasztelanowa z Zosią i łowczanką; jeszcze więc pozostawało dwie godziny, w których Ludwik mógł oglądać, mógł rozmawiać z władczynią myśli swoich.

— Przyznaj, Ludwiku — odezwała się kasztelanowa — że umiem chodzić koło interesów. Oświadczyłam, że jutro o piątej z rana wyjeżdżam; uprosiłam nawet ojca Kleofasa, żeby o czwartej wyszedł ze mszą, bo z Bogiem pragnę każde moje przedsięwzięcie rozpoczynać. Będzie jutro czekał ksiądz wiatru w polu, bo za furką ogrodową przed samą północą będzie moja kareta w wszelkiej gotowości, a my przez ogród do niej trafimy. Teraz odprowadzę ciocię łowczankę do jej łóżka, bo ciocia zmęczona twoim frasunkiem, Zosiu, i poruczę jej, żeby po naszym wyjeździe ciebie jak może pocieszała. Jak tylko ciocię uspię powracam do was, by dowiedzieć się o czem wy z sobą mówili.

Zosia i Ludwik, zostawszy sami:

— Zofio! — zaczął Ludwik — czy już nic do ciebie nie przemawia? Czy w chwili rozstania się ze mną na zawsze nie masz mi nic do powiedzenia?

— Cóż ci powiem, Ludwiku, o czembyś już dawno nie wiedział? Cóż ci mogę innego powiedzieć, jak tylko, że jestem nieszczęśliwa.

— Nie, Zofio, to co cierpisz jest niczem; ty się litujesz nademną, dusza twoja anielska nie może patrzeć na moje katusze bez jakiegoś udziału w moich cierpieniach. Ale cóż za porównanie z tem, co się dzieje we mnie. Czemuż jest litość obok miłości, i takiej miłości?

— Ludwiku, cóż ci przyjdzie z tego, że ci powtórzę to, cobym życiem rada okupić, a co ci jednak tyle razy powtarzałam: — kocham ciebie nad wszystko, ty wiesz o tem — przy naszym rozstaniu, po raz ostatni jeszcze ci to powtarzam, ale to wyznanie w niczem nie odmieni mojego przeznaczenia. Nie myśl, bym nie czuła, że tem wyznaniem okrywam się hańbą przed tobą samym, ale jednak w niej się nie zanurzę tak, żebym aż miała zapomnieć com winna Bogu, ojcu, samej sobie. Bądź szczęśliwym, Ludwiku, zapomnij o mnie.

— Ja miałbym ciebie zapomnieć, kiedy twój obraz w mojem sercu wyryty już został najszlachetniejszą częścią mojego jestestwa! jabym się oddalał, kiedy ty mnie żadnej nadziei nie zostawujesz! jabym się oddalał, wiedząc, że jesteś nieszczęśliwą, że wkrótce będziesz we władzy tego, którego nienawidzisz, wiedząc, że każdą myśl o mnie, nawet przelotną, wyrzucać sobie będziesz jako zbrodnię! Ach! tysiąc śmierci wolałbym ponieść! Zofio, zaklinam ciebie, miej litość i nademną i nad sobą! Powiedz mi, że twoje połączenie z Michałem nie jest pewne, zostaw mi jakąkolwiek nadzieję!

— Bądź szlachetnym, Ludwiku, bierz przykład z biednej dziewczyny! Wszystko poświęcam powinności, ale Bóg na mnie patrzy; czy myślisz, że wyrzucie siebie ze szczęścia, ze swojego jestestwa dla ocalenia sumienia, nie zasługuje na jego nagrodę? Pośród nocy bezsennych we łzach przepędzonych, czasem takie marzenie kołysze duszę moją — myślę, że Bóg wymaga odemnie tej ciężkiej, tej krwawej ofiary, ale po jej spełnieniu, albo jakimś cudem uspokoi duszę moją, albo ją zabierze do chwały swojej; tę myśl przyjmuję za natchnienie.

— Więc po moim wyjeździe zostaniesz żoną Michała, i ty to możesz przedemną wyrzec?

— Nie inaczej; żebym się sprzeciwiła woli ojca, żebym się zaparła słowa przez niego danego, ojciecby tego nie przeżył, a jego przekleństwo ścigałoby mnie nawet po za grobem; nie Ludwiku, siebie samą poświęcę, ale nie powinność moją.

— Zofio! powiedz, że będziesz moją, że dobrowolnie nie chcesz być dla mnie na zawsze straconą, a wszystko da się przerobić. Króla, prawa, gwałtu, wszystkiego użyję, żeby ciebie otrzymać; ale nie! tyś mnie nigdy nie kochała! — gdybyś nie była obojętną na to wszystko, co cierpię, nie odbierałabyś mi nadziei.

— Jakaż nadzieję dać ci mogę?

— Słuchaj, Zofio, ty mnie jeszcze nie znasz! Daj mi tylko nadzieję, że twoje serce mnie się nie zaprze, a będziemy razem jedno dla drugiego żyli; ja się wydamę, lecz za dni kilka powrócę — wpadnę, ciebie porwę, a wszyscy wasi Albeńczycy nie zdołają wydrzeć ciebie z rąk moich; ojciec tobie przebaczy jako ofierze gwałtu; a ja wszystkich sprężyn użyję, żeby potem twój ojciec nas pobłogosławił.

— Ach, Ludwiku, cóż śmiałeś wyrzec! żebyś uległa twojej woli, do czego skolatane serce moje aż nadto jest skłonne, żebyś siebie dała wykraść, czyżby się nie znalazła kara gotowa? tobyś mnie wydarł ojcu i bratu, wywiozłbyś w dalekie strony, niczego byś nie zaniedbał, żeby przygłuszyć wyrzuty sumienia, uspiłbyś mnie tem wszystkiem co wielkość, bogactwo znaczenie, życie wielkiego świata mieć mogą powabnego; ale jakież potem nastąpiłoby przebudzenie? Miłość twoja nie oparta na szacunku, jakąż rękojmię trwałego szczęściaby mi dała? przestałbyś mnie kochać, a twoja wzgarda byłaby następstwem koniecznem mojej zbrodni. Ludwiku, żegnam cię, odejdz; błagam ciebie, broń mnie odemnie samej, weź w opiekę sławę moją.

— Zofio! jedno słowo tylko, poprzysięgam ci na ten honor, który jest Bogiem moim, że chyba na moim trupie oddasz rękę bratu mojemu.

— Okrutny! wzdrygnąłbyś się życie mi odebrać, a nierównie większą krzywdę chcesz mi wyrządzić! Czyż w obliczu tego honoru, do którego się odwołujesz, nie jestem twoją siostrą? czyż nie zdradzasz twojego brata? czyż mnie nie nakłaniasz do współnictwa zbrodni?

— Ach, Zofio, utapiasz pugnał w serce moje, a zostawiasz mi życie na to tylko, bym piekielne cierpiał męki: nie mów tego, że zostaniesz żoną Michała! W imię honoru zapytuję ciebie, czy możesz mu zaprzysiądz miłość, której dla niego nie czujesz? — Czy taka przysięga nie jest zdradą?

— Nie, Ludwiku, nikt nie jest obowiązany działać nad możność; po moim nieszczęśliwym ślubie z bratem twoim wszystko mu wyznam, oddam mu w straż moją sławę, moje zbawienie, a to wszystko wynagrodzę mu poświęceniem nieograniczonem, przymuszę go, by mnie szacował, a jeżeli ta walka rychłą śmiercią się zakończy, jeżeli umrę, to przynajmniej umrę siebie godną.

— Piękna myśl — przerwała kasztelanowa, wchodząc do izby. — Wszystko słyszałam. Jakże ty niezdolna, Zosiu, z swojemi romansowemi myślami; kochasz Ludwika, a chcesz być żoną Michała dlatego tylko, że twój ojciec jemu ciebie przyobiegał. A wszakże ksiądz Prosper, chociaż taki skrupulat, przecie sam wyznał, że układy rodzicielskie bynajmniej dzieci nie obowiązują, co do ich osoby. A ta spowiedź, którą masz po ślubie zrobić Michałowi, jest także myślą piękną: i swoje i Ludwika szczęście na zawsze zabijesz, a do tego wzniecisz wieczną niezgodę między braćmi. Czy wojski odpuści kiedykolwiek staroście, że go wyrugował z twojego serca? wszak jest przekonany, że szalałaś za nim, wprzód niż Ludwika poznałaś; tym kontuszowym na dobrej opinii o sobie nie zbywa. Zrobisz z siebie ofiarę, ale jaką? Ty tego nie poj-

mujesz; tą ofiarą nawet zgody familijnej nie utrzymasz, chyba, że, o czem nie wątpię, Ludwik do grobu będzie złożony, bo on tego nie przeżyje. Ty wiesz, siostruniu, ile jestem do ciebie przywiązana; czyżbym mogła dać tobie złą radę?... Prawdziwie ja twojego sumienia nie rozumiem. Odwlekać od dnia do dnia twoje zaślubiny pod różnemi pozorami, aż przyjazna dla kochanków gwiazda zabłyśnie, to wedle ciebie jest rzeczą nieuczciwą, a ślubować w obliczu Boga miłość temu, do którego wstręt nieprzełomny się czuje, to ma być rzecz godziwa. Oddać komuś serce napiętnowane cudzym obrazem, to ma być rzecz szlachetna, bogobojna, zasługująca na jakieś nadzwyczajne względy u Boga. Zosiu droga, nie odbieraj nadziei temu, co umiera z miłości ku tobie. Patrz, jak gorzkie łzy wylewa ten sam, który prawie w obecności twojej strzał śmiertelny przyjął bez zmrużenia oka — i tak to twoją miłość odpłacasz — daj tylko słowo, że zwlekać będziesz, że nie pójdziesz za Michała, że chcesz siebie powierzyć czasowi i nam, nie odbieraj wszelkiej nadziei Ludwikowi, a zobaczysz, że to, co ludzie robią, to ludzie i przerobią.

— Ach siostrzo, do czego ty mnie nakłaniasz? i ty, i Ludwik, i ja sama, wszyscy przeciwko mnie.

— Zofio! — krzyknął Ludwik w największem uniesieniu — nie zabijaj mego szczęścia, mego jestestwa, zostaw mi choć małą iskierkę nadziei, a pozwól czasowi i miłości mojej ją rozżarzyć. Czy chcesz, bym w przytomności twojej życie sobie odebrał?

— Zosiu — dodała kasztelanowa — daj się ubłagać. Czyż okrucieństwo, którem prerażasz serce tak szlachetne, tak do ciebie przywiązane, jest cnotą? Czyż opór woli Najwyższego jest pobożnością?

— Ach, okrutni! czegoż po mnie żądacie?

Tu Ludwik padł do nóg Zosi, ich oczy wzajemnie wlepiły się wejrzeniem, Zosia pozbawiona przytomności przychyliła się do Ludwika, ich usta się spotkały, a na tych ustach zdało się, że ich dusze z sobą się złąły...

W tem drzwi się rozwarły i wojski stanął przed nimi. — Starosta zerwał się, ale stanął jak wryty. Zosia wrzasnęła głosem przygłuszonym, chciała coś wymówić, ale słowa zlodowiały w jej ustach. Kasztelanowa śmiało się odezwała:

— Czemu mamy przypisać te nawiedziny pana wojskiego o tak późnej porze?

Wojski ją przeszył spojrzeniem tak pełnem pogardy, że go znieść nie mogła i poniewolnie oczy spuściła. Po chwilach kilku wojski przerwał okropną ciszę:

— Jestem gościem niespodzianym, nieprawda, mości starosto?

Starosta stał osłupiały.

— Michale! — odezwała się Zosia — słuchaj!

— Milcz, nیکzemna! wyrodne plemię najnotliwszego starca. Między nami już odtąd niema nic wspólnego, ale waćpan, który nیکzemną zdradą nadużywając mojej ufności, odważyłeś się potargać najświętsze obowiązki, wać-

pan, który mnie w jednej chwili wyzuleś ze wszystkiego, co mnie do życia przywiązywać mogło...

-- Bracie! — przerwał starosta — wiem, ile się winnym okazuję przed tobą, jednak posłuchaj, jeszcze się odwołać mogę do twojej sprawiedliwości.

Przerwał mu mowę Michał:

— Przystałeś być moim bratem, żegnam cię na zawsze, może gdzieś się spotkamy, bo znieść nie mogę widoku wiarołomstwa i podłości — żegnam cię, jednak wyrzekając się wszystkich związków, które mnie łączyły z tobą i z tą nieszczęśliwą ofiarą twoją i tej podłej kobiety, którą widzę między wami, jeszcze ci ostatnią daję przestrożę: uciekaj! oczyść to siedlisko starodawnej cnoty z twojej niecnej obecności! — uciekaj najspieszniej, po godzinie już może być zapóźno — za godzinę możebyś opłacił wszystkie twoje zdrady. Łatwoby mi było pomścić się we krwi twojej, ale wolę cię zostawić zgryzotom sumienia, zapewne, że z nich teraz żartujesz, ale kiedyś brzemię ich przywali ciębie.

To rzekłszy, oddalił się z pośpiechem.

Już Michał był zniknął, a pozostali jeszcze czas jakiś do siebie przyjsć nie mogli. Potok łez wytrysnął z oczu Zosi, i w tem jakiejs ulgi doświadczyła.

— Ludwiku! — odezwała się — uciekaj z siostrą, słyszałeś grozną przestrożę twojego brata, zaklinam cię, uciekaj!

— Co? jabym miał uciekać, ja miałbym cię zostawić na pastwę zemście ojca, prześladowaniu brata? Nie, nie, czekam śmiało rozwiązania mojego przeznaczenia; nic już mojej niedoli powiększyć nie może. Odjedź, kasztelanowo, a mnie tu zostaw.

— Ludwiku! — przerwała Zosia — czy pragniesz, bym do nóg twoich upadła, błagając cię, abys siebie ratował? Na mnie się spuść; może przyszłość jeszcze nas połączy, zachowaj siebie dla tej przyszłości.

— Nie, nie, już rzeczy zaszyły nadto daleko! Zosiu! masz tylko dwie drogi przed sobą: nie pozostaje ci, jak albo razem ze mną uciekać, albo być świadkiem haniebnej śmierci dla mnie przygotowanej, a którą jednak za największą łaskę przyjmę.

— Ludwiku! cóż powiedziałeś?

— Powiedziałem to, co się stać musi; przysięgam na honor szlachecki, że bez ciebie ani pół kroku wstecznego nie zrobię.

Milcząca dotąd kasztelanowa odezwała się:

— Ani chwili nie mamy do stracenia. Zosiu, ruszaj z nami przez ogród do chałupy ogrodnika, tam już moja karetka musi czekać, inaczej twój Ludwik będzie wisiał na tym dziedzińcu; będziesz mogła napawać wzrok twój jego haniebną śmiercią, i powiedzieć sobie, żeś go zabiła, bo ja tobie ręczę, że żadna potęga ludzka nie skłoni go do tego, by to miejsca opuścił bez ciebie — i, nie dawszy Zosi czasu opamiętania się, rzuciła na nią salopę futrem podszytą, wzięła pod rękę, Ludwik wziął ją z drugiej strony, i drżącą, nieprzytomną, więcej martwą niż żywą, powlekli przez ogród do chałupy ogrodnika, gdzie

już zastali karetę kasztelanowej. Tam z największą szybkością do niej wsiedli, usadowili Zosię, i cwałem puścili się w drogę.

Około półgodziny już leciała karetka ku Kojdanowu, a Zosia jeszcze nie przysłała do siebie. Strach, wstyd, czułość, wyrzuty sumienia, wszystko razem tak nią miotano, że nie mogła przed sobą zdać sprawy ze swoich uczuć, nie wiedziała nawet co się z nią dzieje. Napróżno towarzysze podróży usiłowali balsam słów pociechy wlewać do jej ran serdecznych, by jakąś ulgę im przynieść: ona słyszała słowa, ale na najmniejszą odpowiedź zdobyć się nie mogła. Ile razy zdawała się odzyskiwać zdolność rozpoznania i siebie i swojego położenia, lży obfite zraszały jej jagody, i to niby jej jakąś chwilową ulgę przynosiło, ale ledwo oczy wysychały, zaraz wracała do swego stanu biernego, gdzie przy jestestwie traci się samopoznanie tegoż jestestwa. To milczenie, niekiedy przerywane łkaniem, więcej trapiło podróżnych, niżeli niebezpieczeństwa które ich otaczały. Kasztelanowa i starosta zatapiali się w marzenia o środkach, jakieby obmyślić trzeba było dla jakiegoś jej uspokojenia, kiedy tentent koni i przeraźliwe krzyki raptownie ich przebudziły. Wkrótce ujrzeli się otoczeni od hufca zbrojnego. Dowódca tego pocztu krzyknął: — stój! — i przybliżył się do karety. Po głosie i po postawie kasztelanowa poznała Wazgirda: nie tracąc przytomności spuściła okno od karety, a zakrywając osobą swoją towarzyszyków podróży, głowę wychyliła i rzekła:

— Co za niespodzianka, kochany kuzynku, i czemu mam przypisać twoje nawiedziny na wielkim trakcie?

— O tem się waćpani zaraz dowiesz, bo i do niej mam osobny interes. Ale niech-no jejność tak nie zasłania swoich kompanów; wiemy co się święci. Nie chowaj tak swojej głowy, mości starosto, a i pannie generalównie się kłaniam; w dobrem i uczciwym waćpanna towarzystwie, z ludźmi bogobojnymi; bardzo się ucieszy pan generał, jak się o tem dowie. Z przeproszeniem państwa, ich plan musi być nieco odmieniony.

— Cóż to! — na to kasztelanowa — waćpan z kobietami wojujesz?

— Moja poczciwa pani, odemnie zaraz weźmiesz różgami na niezabud i zostaniesz z panną generalówną w karecie, póki ze dworu po was nie przyjadą, bo ja konie zabieram bez ceremonii, zdadzą się one do czegoś lepszego, niż do wykradania panienek, a pana starostę mam honor prosić z sobą, jest dla niego koń przygotowany — no, no, niema gadania, zaraz mnie konie odpręgać.

Ludzie kasztelanowej, jak łagodne baranki wszystko zrobili co im rozkazał.

— Panie starosto — dalej rzekł Wazgird — proszę wysiąść, jeżeli nie życzysz sobie być ściągniętym.

— Pan widzę ludzi bezbronnych na wielkim trakcie napadasz — rzekł starosta — wieszując szlachetnej zabawy.

— Panowie umiecie odparł Wazgird we własnych domach imać i więcej większych panów, niż my obadwa. Pan umiesz wykradać panienki z rodzicielskiego domu i tem odpłacać gościnność, którejs od nich doznał; a więc

godzi mi się z panem pokwitować. Będziesz panie świadkiem kary, przeznaczonej dla pani kasztelanowej, a co się z panem stanie, o tem się później dowiemy — a obracając się do swoich: — Kubusiu, Gerwazieńku i ty Jalutku, zsiąść mi z koni i wyciągnąć z karety co tam znajdziecie żywego.

Piorunem skoczyli bojary, i już zabierali się gospodarować około karety, kiedy Skołuba, zbliżywszy się do swego pana, rzekł: — A niechno pan obejrzy się w prawo od siebie, ta to chmura jakiegoś wojska pędzi ku nam.

— Ach do kroć dyabłów, prawda — krzyknął Wazgird — na koń bracia, szykuj się do boju!

— Co panu do głowy przystąpiło? — odrzekł Skołuba — czy pan oszalał? nas piętnastu, a tamtego ćma. Noga nasza nie ujdzie, wolimy rzecz na poczekawszy odłożyć; wygodniej na koniu niż w trumnie, a w lesie niż w dybach; niech pan na drogę pistoletem poczęstuje pana starostę, a potem w las, za nami się nie puszcza.

— Masz słuszność, Skołubusiu. — Ciąg się w lewo, marsz! — a dobywszy pistolet i, odwiódłszy kurka — jeżeli ciebie żywcem porwać nie mogę, łotrze, krzyknął na starostę, to przynajmniej łeb ci roztrzaskam — i przez okno wyrzucił rurę na starostę. Ale Zosia, odzyskawszy przytomność, rzuciła się na starostę, robiąc mu tarczę ze swojego ciała. Napróżno chciał ją starosta powoli odepchnąć, ona go tak ramionami zacisnęła, że nie mógł się z nich oswobodzić; kasztelanowa gwałtu wrzeszczała.

— Panno Zofio! — krzyczał Wazgird — waćpanna do tego się nie mięszaj, puść-że pana starostę, bo ja do waćpanny gotów wypalić; ustąp się! — A to dyabeł nie dziewczyna — już ci dziewczyny zabić nie mogę — niechże was trojga wszyscy dyabli porwą! — do obaczyska, mości starosto, a gałganie! a psie podły! Pan Bóg sam wyrzekł, że na waćpana szkoda ładunku; zda się on na nieprzyjaciela, a na zdrajcę stryczek — nie tracę nadziei waćpana do niego ucześcić. — To wyrzekłszy, znikł ze swoimi jak błyskawica.

XXX. Sługa dawnych czasów.

Już od lat trzech konfederacja Barska walczyła ze stronnictwem królewskim. Były czyny wielkie, czyny znakomite odwagi; ale w rzeczy samej ścieśniona w kilku województwach Małej Polski, wszystkie jej usilności, by rozprzestrzenieć się po całym kraju, zawiedzione zostały. Litwa, która stanowiła największą siłę rzeczypospolitej, lubo dzieci swoje wysyłała ku Karpackim góróm dla podsycania hufców konfederackich, ogołocona ze swoich naczelników, była nieczynną. Nakoniec Ogiński, hetmann wielki Litewski, po długim wahaniu się, podniósł zbutwiałą chorągiew. Władza hetmańska jeszcze nie była wyzutą ze swoich przywilejów; Ogiński swoim akcesem nie małą siłę przynosił konfederacyi, zwłaszcza w tem, że pierwszy w osobie swojej okazywał władzę legalną, niezaprzeczoną, a Litwa była właśnie prowincją, która największą wagę przywiązywała do form legalnych. Przybył więc Ogiński, porożył wszędzie wici hetmańskie, powołujące do pospolitego ruszenia ry-

cerstwo Litewskie, i wkrótce stanął obozem pod Stołowiczami na czele kilku tysięcy szlachty. Wielu Litwinów przedarło się było z Małej Polski, by jemu ułatwić powstanie, i bez wątpienia, gdyby jeszcze przynajmniej kilka tygodni mu pozostało czasu, ogromne wojsko mogłoby się zebrać na rozkaz hetmański. Lecz sam hetman, człowiek dowcipny, oglądony wychowaniem zagranicznym, nawet odważny osobiście, z drugiej strony lekkomyślny, zarozumiał jak każdy człowiek miernych zdolności, otoczony pochlebcami, pasibrzuchami z bruku warszawskiego, był jaknajmniej sposobny do kierowania obszernem poruszeniem. Licząc na nieomylne zwycięztwo, wszystkiego zaniedbał co mu je zjednać mogło, a na większe nieszczęście swoje, kiedy lada wódz doświadczony jużby był zdolnym do pokonania go, miał do czynienia z największym bohaterem owego czasu. Suworów, dowódca wojsk posiłkowych króla Stanisława, stał natenczas w Lublinie, z kąd miał wyruszyć ku Podgórzowi, by zadać cios ostatni konfederacji Barskiej, gdy nagle, uwiadomiony o powstaniu Litwy, postanowił przemienić plan kampanii. Wyruszył z Lublina ku Litwie, i z tą nadzwyczajną chyżością, która zawsze cechowała jego poruszenia, w dwóch dniach stanął blisko Stołowicz. Siły jego co do liczby nie mogły się równać z temi, któremi dowodził Ogiński, ale z niemałym zadziwieniem przekonawszy się, że niedołączny jego współzawodnik ani czat, ani placówek nie porozstawiał, chwili nie traci, znużonemu żołnierzowi nie pozwala odpocząć, i o samej północy uderza na obóz. Nie była to bitwa, bo nie było prawie krwi rozlewu: porozbieranych, sennyh w niewolę zabrał, z całego wojska Litewskiego niespełna czterysta koni, pod dowódctwem generała Bielaka, Tatara, zdołało się uratować, reszta wpadła w ręce zwycięzców, lub rozsypała się pojedynczo po okolicznych lasach. Sam hetman winien był swoje ocalenie poświęceniu się Michała Strawińskiego, który mu podał własnego konia, a nawet oddał swoją alfę i omegę, a sam bezbronny i spieszony schwytanym został. Kasa, ogromne zapasy, bogate sprzęty hetmana i panów pod jego rozkazem będących, wszystko to zostało własnością zwycięzców. Tak konfederacya, rozpoczęta na Litwie, na samym wstępie stłumioną została.

Po tak świetnem i stanowczem zwycięztwie, Suworów czasu nie marnował; pokrzepiwszy dotąd słabe stronnictwo Stanisława Augusta, kilkaset żołnierzy zostawił dla utrzymania Litwy w spokojuści, a sam, trzy dni odpocząwszy, wrócił do Lublina, żeby ztamtąd ściagać Puławskiego najdzielniejszego z wodzów konfederacyi, gdyż on jeden umiał utworzyć jakąś karność w tłumie, złożonym ze szlachty i ich sług domowych. W Litwie, po Stołowickiej klęsce, taki był popłoch, że natychmiast cała prowincya uległa królowi. Jak to zawsze bywa w podobnych okolicznościach, każdy się oświadczał za królem, każdy się zapierał postępków, jakich się przeciw niemu dopuszczał a jeżeli ich nie mógł zataić, składał je na bojaźń, na mus, głośno potępiając tych, nad których losem w skrytości duszy ubolewał. Tymczasem jeńcy zalegali gościeńce: wielu udawało się ratować ucieczką, gdyż poczty, co je prowadziły, były słabe. Czasem dwóch Kozaków kilkudziesiąt brańców prowadziło,

a po większej części ich straż chłopom była powierzona. Często rozbici, błakając się po lasach oskrzydlających gościńce, zbierali się w większe kupy i małemi drogami z przodu im zabiegali. Chłopi, za lada napadem, odrzekali się swoich niewolników i sami uciekali do wsi swoich: nieład był wielki, ile że posiłkowi królewscy, nie będąc w sile, a już nieodzownie zniszczywszy działalność przeciwników, mało dbali o pojedyncze ucieczki. Jednak ci, którym jakąś przewagę w działaniach przyznawano, jako otaczający hetmana, lub dowodzący oddziałami, byli pod ściślejszą eskortą trzymani; i takich kilkudziesiąt, między którymi znajdował się i pan wojski, pod eskortą dwudziestu Kozaków królewskich było prowadzonych.

Kiedy generał Bielak zdołał zebrać swój oddział, pan Jan Wazgird i jego Skołuba byli z liczby jego podwładnych: ledwo kilkaset kroków zrobili, a prawdę powiedziawszy nikt ich nie ścigał, pan Wazgird opatrzył się, że jego drogi przyjaciel pan wojski nie był z nimi.

— Skołubo! — powiedział słudze — pan wojski na kwaterze hetmańskiej nocował, pewnie musiał wpaść w niewolę; ruszajże sobie pod Bożą opieką, żeby go odszukać.

Ani mi się bez niego nie pokazuj.

A jak go wykradniesz, razem będziecie wiedzieli, gdzie mnie szukać.

Skołuba, posłuszny na rozkaz pański, rzucił broń, rozsiadł konia i oklep odłączył się od pana, jak zwyczajnie masztalerz, a nie konfederat. A miarkując, że jakiś czas upłynie, nim jeńców wyprawia, bo potrzeba było nie jednego, ani dwóch wozów po tylu ludzi, co się w jednej chwili nie przygotowuje, puścił się do Nieborowszczyzny, do domu pana swojego o mil cztery od Stołowicz. Tam stanąwszy o świcie, przez kilka godzin gospodarował; wszystkie sreberka pańskie upakował w łubianem pudle, opatrzył się w spiżarni chlebem i wędliną, dwugarncową flaszką skórzaną napełnił starą gorzałką; z piwnicy kazał wynieść beczkę stuletniego miodu spadkowego, której pan Wazgird strzegł jak oka w głowie, a wybrawszy dwie najlepsze szkapy, jakie mógł wynaleźć w stadninie folwarcznej, zaprzął je do wózka niepokąznego, ale dobrze okutego; na nim ułożył beczkę, pudło, i zapas żywności, do tego rydel i siekierę; i wziął w imieniu pańskim kilkaset złotych należnych za ratę od arendarza. Jeszcze na waletę kilka butelek wina wypróżnił z podstarościm, a czule się z nim uściskawszy, siadł na obładowany wózek i puścił się w podróż *corde laeto et anima impavida*. Wkrótce zanurzył się w puszcze Świtezka, łączącą się Kołdyczowską i Korelicką, puszcze, której od niepamiętnych czasów siekiera nie tknęła, a która rozciągała się po nad wielkim gościńcem. Jak się dostał do puszczy gdzie tyle lat polując znał każdą drożynę, lepiej może niż niedźwiedzie, których była ojczyzną, był spokojnym, bo wiedział dobrze, że żadna potęga ludzka tam go nie wytropi. Ruszał sobie blisko wielkiego traktu, by niewidziany mógł swoje strategiczne kombinacje do skutku doprowadzić; miał żywność i dla siebie i dla koni, miał zapas gorzałeczki, nadewszystko czyste sumienie, któremu zawsze ufnąć w Bogu to-

warzyszy; czegoż mu więcej było potrzeba? Pierwszy jego nocleg był w borze, pod rozłożystą lipą, a przy pierwszych brzaskach jutrzeńki, posiliwszy się wódeczką i wędliną, puścił się w drogę. Pod wieczór, ukrywszy wózek w gęstwinie i spętawszy konie, odziany w chłopską siermięgę z chodakami na nogach, wyszedł piechotą na wielki gościniec i zaszedł do szlakowej karczmy; tam nabrawszy wiadomości, z których umiał korzystać, wcześniej wrócił do swojego wózka, i w swojej głównej kwaterze przenocował, a dopiero po wschodzie słońca dogodnym marszem, bo stępą, posunął się dalej, zawsze nie więcej jak o kroków kilkaset od gościńca.

Ujechawszy parę mil litewskich, jakieś widowisko zatrzymało go raptownie; leżał koń zdechły, a przy nim spieszony jeździec porządnie ubrany, który załamał ręce, głośno płakał, i tak był zatopiony w swoim frasunku, że nie spostrzegł zbliżającego się wózka. Skołuba, zawsze przezorny, wstrzymał konie, ale pomyślawszy sobie, że to musi być jakiś rozbit Stołowickiej porażki, tej samej barwy co i on sam, odezwał się głośno: Niech będzie pochwalowy Jezus Chrystus, mości płakso!

Młodzieniec zadrżał na głos ludzki i obrócił głowę ku Skołubie.

Skołuba parsknął ze śmiechem: — Kłaniam waszeci, mości panie Szatny, a co waćpan tu porabiasz?

— Co porabiam, mości panie Skołubo? co porabiam? oto trzeci dzień już w gębie kawałka chleba nie miałem, a oto koń, mniej odemnie wytrzymały, padł, jak waćpan widzisz, koń pański, na którym z bitwy uszedłem.

— No, no, mości Czesławie Buńczukiewiczzu, Pan Bóg nas sprowadził jednego dla drugiego, twój pan wzięty, a ja na to posłany, by go odszukać. Cztery oczy lepiej widzą, niż dwa, a że waćpan głodny napij się tymczasem wódki; nie żałuj zęba, mamy chleb i szynkę, a jak się posilimy, trzeba skórę zdjąć z waścinego konia. W pierwszej karczmie możemy za nią dostać przynajmniej sześć tyńfów i tego szkoda; ja, odkąd żyję, jeszcze szeląga nie znalazłem na drodze. Do waćpana, panie Czesławie! — i nachyliwszy flaszę do gardła, oddał mu ją; a Czesław, trochę wypiwszy, przypytał się do szynki.

Gdy się najedli:

— A co? — odezwał się Skołuba — przyznaj się, mój Czesławieńku, że jak mnie poznałeś, stanąłem tobie jak anioł przy śmierci. Teraz trzeba nam się wziąć do roboty. Myślałem, że panu mojemu dowiozę to pudło ze srebrem, ale nie, rozmyśliłem się, że bezpieczniej je zakopać, a w swojej porze odszukać. Waćpan masz rydel, kop-że mi jamę pod tym jesionem, a ja się wezmę do zdjęcia skóry, bo ja na to majster.

Zaczęła się robota, i trzeba wyznać, że Czesław, choć szatny, wziął się do niej rześko; jama się wykopała, skóra się zdjęła. Skołuba rzucił skórę na wózek, a lubiane pudło spuścili w jamę, którą ziemią zasypali, a kobylinę ze skóry obdartą zawlekli na zasypaną świeżo ziemię, potem odezwał się Skołuba, rzucając rydel opodal od siebie:

— Teraz on nam niepotrzebny. Daj Boże, żeby poczciwy człowiek go znalazł, a ty, Czesławienku, zrzuć z siebie tę kapotę nieco za wykwitną i szablę, bo nam tu nie bronią wojować, i buty swoje zzuć bez ceremonii, a nałóż na nogi chodaki, nie wstydz się, bo to dla ciebie nie nowalia. Czy raz w nich chodziłeś na bekasy z panem wojskim i z księdzem Nowochackim, i brnąłeś po naszych błotach. Oto masz i drugą siermięgę; bez czapki się obejdiesz, bo u mnie drugiej niema. A wszystkie swoje ubiory trzeba gdzie w gęstwinie rzucić na szczęście komu dobremu, bo nam nie kiermaszować między pannienkami. Mój pan z JW. Bielakiem poszli w świat, a twój gdzieś w sieci; ale go z niej wypłaczę, chyba, że się nie nazywam Skołuba. Srebra mojego pana cudzemu się nie dostaną. A beczka miodu wiele nam pomoże; ona króla Jana Kazimierza pamięta. Byłeś jej szklanekę wypił, a kto ci powie: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“, zaręczam, że niewyraźnie odpowiesz: na wieki wieków“. Teraz dążmy tam, gdzie nam nocleg wypada, a jak staniemy na nim, na waćpana zdam konie, a sam wysunę się piechotą na wielki trakt, z dwoma uszami i jednym językiem. Jutro zaś przed zachodem słońca, da Bóg doczekać, staniemy na nocleg w Bortnicach i zajdziemy prosto do karczmy; a wkrótce po nas do dworu zajadą nasi pod dobrą strażą: pamiętaj, Czesławienku, że to o twojego pana chodzi, o twoją skórę. Czy będziemy się smucić, czy weselić, to nam w niczem położenia nie odmieni; nam myśleć tylko o tem trzeba, jakby twojego pana wybawić.

— Myśl sobie waćpan, panie Skołubo, bo już ja myśleć nie umiem; a czy mnie powiesz ksobie, czy od siebie, zrobię jak każesz.

— Pamiętaj, że odprzegłem konie, żeby je napoić; teraz waćpan je zaprzęgnij. O tak, dobrze się bierzesz, aż miło; widzę, że chociażęś szatnym, do furmaństwa masz zdadność; będziesz tedy powoził, a ja siądę na wózku. Waszeci oddam lice, a waszec mi oddasz język. Żebyś nie nie gadał, jak kogo spotkasz, bo słuckiego pasa sobie nie wygadasz, a stryczka jak najprędzej; bo jak nas broń Boże poznają, bez ceremonii powieszają, do tego wcześniej się przygotuj.

— Ja mam się odzywać przed ludźmi? Ja ich się teraz tak obawiam, że trzy dni nie jadłem, żeby się z nimi nie spotkać! Gdyby nie waćpana laska, to umarłbym z głodu, a wolę umrzeć z głodu, niż na szubienicy.

— Starajmy się żyć; ruszaj, a powoli.

I tak pod sterem baczego Skołuby młody Buńczukiewicz powoził wózek, ale takimi krętaninami, że to były wytwory woźniczego kunsztu.

Wędrowali w milczeniu, przerywanem niekiedy wyrazami: ksobie! od siebie! a batem-że narecznego! — które często wychodziły z ust Skołuby. Czasem spotykali węglarzów lub siabrow; każde takowe spotkanie na chwilę przynajmniej przerażało szatnego, ale Skołuba z każdym choć parę słów zamienił. Częstoował ich tabaką i ofiarował targ na kobyłą skórę, a najczęściej pytał o drogę do miejsc, do których ani myślał dążyć, lubo lepiej znał drogę

od nichże samych, a że się ciągle tłumaczył narzeczem rusko litewskiem, nikt się domyślić nie mógł, że mówi ze szlachcicem. Tak tedy przybyli na jedno miejsce, gdzie były jeszcze szczątki pieca, gdzie przed laty kora brzoźowa w gęsty płyn się dystylowała. Skołuba kazał się zatrzymać, wokoło się obejrzał i wyskoczywszy z wózka:

— Czesławienku — powiedział — jestem w domu; chociaż wcześniej, jednak tu nocować będziemy, ja pójdę przed końmi, a waść za mną, noga za nogą, bo tu mamy przebyć gęstwiny niepospolite.

I w samej rzeczy, chociaż z niemałym trudem, przeprowadził ekipaż aż na miejsce odkryte, mające kilkadziesiąt łokci wzdłuż, tyleż wszerek, a zewsząd otoczone gęstwiną ledwo że nie do przebycia.

— O, tu będzie nasz nocleg — przedłużył Skołuba. — Piąty rok temu, jak na tem samem miejscu jednym wystrzałem dwie sarny położyłem i dostałem za to od pana Rejtana Tadęusza podkomorzycy Nowogrodzkiego, sześć tyńfów na piwo. Widzisz, że całe życie umiem pamiętać, gdzie raz byłem; tu trawa dobra, nikt niepotrzebny nie zajdzie, a choć komary trochę dokuczają, na to okurzelisko. Do wielkiego gościńca niema nad pół mili, tam jest karczma traktowa, nazywa się Wagnanka; zaraz muszę pójść do niej, a za godzin parę mniej więcej powrócę. Waćpan, jak konie się napasą, napoisz je w tej rudzie, a potem parę garncy owsa im zasypiesz. Czekażże na mnie w wesołej myśli; trzeba mnie i tę skórę zanieść, i tytuniku dostać w karczmie, bo mój się wysypał, a niezdrowo zasypiać, nie trzymają fajki w zębach. Jakbyś ty się popisał, gdybyś mój kapszuk przedziurawiony załatał! Masz kłębek, igłę i latkę do przyszycia.

Potem wyrąbał gruby kij z dzikiej jabłoni, skórę włożył na plecy i stronę przeciwległą drożynie, którą wjechali, znikł w zaroślach; a pan Czesław, spętawszy konie, wziął siekiere i zajął się przygotowaniem ogniska, którem pod wieczór miał odstraszyć roje natrętnych komarów.

Dobrze się zmęczywszy rąbaniem i rozłożeniem polan, podszywszy jak umiał kapszuk i nie zaniebawszy opatrzyć koni, a sądząc, że zasłużył na posiłek, łyknął haust starki ze skórzanej fiaszy, i z apetytem młodzieńczym nadszawszy się półbochenkiem chleba i porządnym zrazem wędzonej słoniny, nie tknąwszy miodu powierzonego jego wierności, razem ze swojemi końmi w rudzie pragnienie ugasił. Póki słońce zsyłało rozweselające promienie, póty Czesław był dość spokojny, ale gdy już się znacznie pochyliło, samotność coraz więcej dla niego traciła powabów. Nie można powiedzieć, żeby pan Czesław był tchórzem; owszem, w rozmaitych potyczkach przy boku pana swojego szlachectwa nie skaził; ale nie był z liczby tych, co umieją wziąć inicjatywę odwagi: przy Skołubie, naprzykład, dziesięciu uzbrojonych przeciwników nie zdołałoby go zastraszyć, ale lada baba samego jednego mogłaby zmieszać; był on jak godzinnik, który idzie kiedy go kto nakręci; sam sobie oddany,

żadna siła moralna poruszyć nim nie umiała. Ztąd okazywał dwa sprzeczne żywioły: szlachetnej odwagi, obok najnikczemniejszej bojaźliwości. Zatopiony w ponurych marzeniach, próbował we śnie szukać ratunku, ale sen uciekał z jego powiek, ile że roje komarów wypowiedziały mu były wojnę; zerwał się, wziął się do krzesiwa, wykrzesał ognia, i zapomocą płuc rozdymał płomień; nieco spokojniejszy ze strony komarów, napróżno jednak szukał spoczynku. Niezszcście pana, niepewność własnego losu, bojaźń szubienicy na wypadek wpadnięcia w nieprzyjazne ręce, to wszystko tak go zaczęło trapić, że rzewnie płakał, a chociaż dla ulgi udawał się kilkakrotnie do skórzanej fiaszy, ta nie tylko że nie zmniejszała, ale powiększała jego frasunek. Kiedy Skołuba powrócił do towarzysza podróży, z niemałym zadziwieniem zastał go siedzącym przy ognisku a płaczącym jak bóbr.

— Dobry wieczór waćpanu, mospanie szatny; dobre nowiny, skóra się sprzedada, oto dostaliśmy za nią spory woreczek miedziaków. Jest i tytunik, i nawet gościńca przynoszę dla waćpana, luleczkę; jutro będziemy w Bortnicach, i tam zjedziemy się z komendą, prowadzącą jeńców. Wszystko o czem wczoraj wiedziałem, dziś się potwierdza; a jutro albo Kapucyn albo starosta, czy, żeby się jaśniej wytłomaczyć: albo uwolnimy pana wojskiego, albo będziemy wisieć.

— Najprędzej będziemy wisieć.

— Jeżeli tak się stanie, to przynajmniej w dobrej kompanii. Wszak ludzie mówią, że cygan dla kompanii dał się powiesić; a waćpan płaczesz; at! wstydzilibyś się takiego babstwa, panie Czesławie! Co łzy komu dobrego poradzą?

— Co poradzą? ani łzy, ani nic nam nie poradzi. Obaczysz waćpan, że wcześniej czy później nie wykręcimy się od szubienicy.

— Co się z waćpanem stało? pfe! opamiętaj się, Czesławieku! Tać to do szubienicy jeszcze daleko, a gdyby mnie nawet do niej ciągniono, i w takim razie wstydzilibym się płakać.

— Jaki waćpan szczęśliwy, panie Skołubo, że ci bieda dopiec nie może; a ja ją tak czuję, tak czuję, że tego opowiedzieć nie mogę, tylko płacząc nad sobą z żalu! Ach czemuto ja w żywocie macierzyńskim nie zaśniedział!

— Nie bluźń, Czesławieku, nie narzekaj, że cię Bóg jeszcze przy życiu zachowuje, a jeżeli ci źle z niem, przeżegnaj się i proś go, żeby było lepiej.

— Ale już ja nigdy modlić się nie będę; wszakże to ja w stołowiekiej farze przed wielkim ołtarzem leżałem krzyżem i spowiadałem się na intencyę nas wszystkich; a patrz waćpan, w co to my się nazajutrz obrócili.

— Oto mi gracz! Teraz pretensya do Pana Boga, że nie stanął na zawołanie. Jak się odrobinę pomodlił, już wszystko ma iść jak z kłębka; a święci Pańscy i dłużej i lepiej się od nas modlili, a jednak czy to takie biedy jak nasze Pan Bóg na nich dopuszczał? Obacz waćpan w Stoupcach

obraz świętego Onufrego, to był królewicz przecie, a killkadziesiąt lat na puszczy się męczył, i takich jak my wędzonek nie jadał; albo Józefat, pan całą gębą, bo któż u nas Kuncewiczów nie zna, a jednak go kijami okładano. To Pan Bóg ich dotykał, a takich durniów jak my miałby żalować! Wstydzilibys się narzekać!

— Czy to każdy taki jak waćpan, panie Skoľubo, waćpanu czy dobrze czy źle, to wszystko jedno.

Jużci nie jedno, wołę w Nieborowszczyźnie na mojej pościółce się wyspać, niż pod lipą w asystencyi komarów; wołę zające gonić, niż samemu być gonionym, ale co Bóg daje, to przyjmuję bez szemrania, a nigdy mu się nie naprzykrzam, żeby odemnie biedę oddalał, ale żeby mnie nie odbierał siły i męztwa do jej znoszenia, bo nam koniecznie biedować potrzeba. Chłop, jak pańszczyznę odbędzie, ma święty pokój; żyd, choć cały tydzień szwędą się, jak czart w wodzie święconej, ale w szabas wylega się; też i Niemiec; ale szlachcie ciągle bieduje — a dla czego? — bo szlachcie. Jednak za wszystkie maślacze i piernaty całego świata, mojego szlachectwa nie oddam; wszakże to my chudopacholki, a czyby to nam przystało leżeć do góry brzuchem? Ej! nie ciągnij mnie za język, żebym czasem waćpanu nie powiedział, żeś głupi; jemu się bieda już naprzykrzyła; a księżę panie kochanku, jaki pan, a czy on siedzi spokojnie w Nieświeżu! Tłucze się jak cygan po całym podgórzu, jemu świst kul muzyką, a szabłą spisę wytrącać — taniec; toż samo i innym magnatom. Nie wymyślaj, Czesławienku, bo to niepięknie, nie po szlachecku, wszak waszeć nie z neofitów, żeby tchórzyć, a potem wiesz co? jak bieda dokuczy, to tem się pocieszyć można, że z kolei przyjdzie i dobre; ale nuż się dobre naprzykrzy, jak sobie wtenczas poradzić?

— Niby to się kiedy naprzykrzy dobro!

— I bardzo, i bardzo Czesławienku, a Jan Kazimierz, o którym starzy rozprawiają, co o nim nasłuchali się od ojców swoich; on królował w Litwie, w Koronie i w Szwecyi; możesz miarkować, jakie z tego wszystkiego płynęły bogactwa. Otóż to wszystko tak mu nakoniec obrzydło, że aż Bernardynem został, i gdzieś tam za górami po kweście chodził. Wypim się, mości panie, teraz pomódlmy się Bogu, żeby nam się udało uchwycić pana wojskiego.

— Aj panie Skoľubo, żeby nam to Bóg dał; ja nad sobą często płaczę, ale częściej jeszcze nad moim panem; co bo to za kochany pan! Wszak ja z małego u niego służę, on mnie kazał wyuczyć czytać i pisać, on o niczem tyle nie myślał, iż żeby ze mnie zrobić człowieka; jabym wszystką krew moją dał z siebie dla niego wytoczyć. On wart tego; co to za rzadkie serce! Żeby jeszcze takiego Pan Bóg nie ratował, to chybaby w nim nie było sprawiedliwości.

— A waćpan ostrożnie z językiem, panie Czesławie! Jak Bóg zechce, tak będzie, a my swoje róbmy; już to prawdę powiedziawszy, z samego pana

wojskiego niewiele będziemy mieli pomocy, on na to wszystko obojętny, od lat trzech jak przybity. On nigdy nie był nadto wesołym, ale teraz taki tetryczny, że nie do poznania.

— Co to tetryczny? Czy uważylesz, panie Skołubo, jak osiwiiał, a przecie jemu dopiero rok trzydziesty trzeci; serce się kraje, patrząc na niego. Nie można powiedzieć inaczej: i na Podolu, i na Podgórzu, po swojemu się popisował; ale na naszej Litwie co dokazywał, i waćpan i ja patrzyliśmy na to; wyraźnie szukał śmierci, a ona od niego uciekała. Kiedy z ludźmi, bawi się niby z nimi, z każdym rozmawia uprzejmie, ledwo nie wesoło; ale za to kiedy sam, to albo się modli, albo godzinę i dwie siedzi nieruchomy, głowę oburącz trzymając. Ale bo też i doświadczył nieszczęść, nie pod wagą i miarą: co to panie, zdradzony od narzeczonej i od własnego brata, on, co ich obu tyle miłował. A czy na tem koniec! Pan generał po wykradzeniu córki umarł ze wstydu i zgryzoty; za nim wkrótce poszła i panna łowczanka; a panna generałówna, poszedłszy za pana starostę, przysłali umocowanego z Warszawy dla objęcia majątku. Chcieli oni nadal utrzymywać mojego ojca, ale on nie chciał służyć tym, co zamęczyli nieboszczyka pana. To jeszcze szczęście, że przed śmiercią pan generał dał naszemu ojcu porządne dożywocie, bo nie miałby gdzie starych kości położyć. Ojciec Kleofas odrzekł się swojej ulubionej oficyny i osiadł w kłostorze Mińskim, nawet ksiądz Nowochacki słyszę już przestał polować; śludzy się porozbiegali, wszystko jak wymiecione, a gdzie dopiero był dom zamożny i ludny, teraz same pustki. A cóż ma robić pan wojski? On się gryzie, drugi możeby już dawno oszalał.

— Czesławieńku, ja twojego pana pewnie nie mniej od ciebie kocham, a szanuję go, jakbym więcej biskupa nie szanował, ale nie pojmuję, żeby rozumny człowiek tak żywo brał to na serce. Prawda, że szkaradnie zdradzonym został, ale żebym był na jego miejscu, plunąłbym na wszystko. Mój pan naprzykład, choć ani głową ani mową, z twoim równać się nie może, i samby się obraził, żeby ktoś ich na jednym szczeblu chciał postawić, w tem jednak roztrośniejszy; jak mu się przytrafi jakie nieszczęście, podrapie sobie trochę głowę i zaraz do mnie: — Skołubo, kiepsko z nami! — i zaraz albo do kniei z gończemi, albo z chartami dawaj dławic zające, a jeżeli pole zupełnie niezdatne, każe mnie bić się z nim w palcaty. Wymacha się godzinę, potem się wyśpi, i jak się przebudzi, już mu ani w głowie.

— To prawda, że pan Wazgird zawsze wesoły, ale też i wielkiej biedy nigdy dotąd nie doświadczał.

— At gadasz, ta to on za mojej pamięci razy dziesiątek się kochał, a zawsze dostał rekuzę; czy myślisz, że to przyjemnie? A długo tem się kłopotce? rekuza zrana, a po obiedzie już co innego w myśli. Albo w gospodarstwie mało doświadczał biedy? pomorek na bydło, gradobicie, pożar, zalew wody, rabunek domu, ale do szczętu; przez wszystkośmy to przechodzili,

a zaręczam, że ja sługa więcej tem się troszczyłem, niż on pan. Jeszcze bywało ze mnie żartuje, że tak to biorę na serce. A w interesach jaki niedbały! Dlatego też, choć wszyscy mu przyjaciele, żaden mu nie chce oddać córki. Nieboszczyk cześnik jemu i jego starszemu bratu zostawił piękny majątek Raszkiewiczze, wieś jakich nie wiele na Litwie, ta to ja się tam rodziłem. Otóż pan Aleksy, starszy brat, że wyszedłszy ze szkół zaraz się ożenił, do tego z kobietą rodzajną, powiedział mu: — Wiesz co, panie Janie? waćpan kawaler, a ja żonaty; na co nam się dzielić? Gładziej pójdzie na jednym gospodarstwie, niżeli drobić ojcowiznę. Ja za nas dwóch będę roli pilnował, a waćpanu intratę powoli opłacać będę, żebyś miał zawsze świeży grosz. — Zgoda — odpowiedział pan Jan. — Tyle też ma pociechy ze swojego dzieciństwa; dotąd od brata złamanego halerza nie dostał. To kiedy go potrzeba przycisnie, żżyma się na pana Aleksego, krzyczy w naszej przytomności, że jak go obaczy, łep mu rozplata, i w takich burzach jedziemy do Raszkiewicz. Ja, póki nie poznałem całej hramoty, bywało go mityguję w złości; mówię: nie godzi się na starszego brata napadać; jeszcze sam za to ccś oberwę. Cóż powiesz, Czesławienku? Pan Aleksy jaki papinka, a mój całą gębą szlachcic, bo i lwie serce i lwia siła; otóż jak stanie przed starszym bratem, trzech nie umie przeliczyć, zająkując się prosi o swoje, jakby o jałmużnę; a pan Aleksy na niego z góry: — U mnie dzieci jak bobu; mnie w głowie jakby to okryć i nakarmić, a ten mnie w uszach trąbi swoje głupie rachunki. — I dobrze zburczany, pan Jan jeszcze go przeprasza, i jak niepyszny z kwinkiem nazad. Aż mię brał śmiech na to patrzeć; i tego dobrego po kilka razy bywało na rok.

— Ale dlatego pan Jan nie bez funduszu; trzyma on z łaski księcia pana Nieborowszczyznę, to dobry kawał.

— Co to dobry kawał? to złote jabłko! Łączka, mączka, ryby, grzyby, wszystkiego znajdziesz po pas, to też gdyby nie łaska księcia, nie mielibyśmy koszuli na grzbiecie. Ale cóż, kiedy Bóg wie po jakiemu idzie gospodarza: jak pan przybędzie niby gospodarować, to i gospodaruje po swojemu. Podstarości z nim ciągle musi polować, a chłopci pańszczyznę odbywają, chodząc na obławę; kiedy pan w Nieświeżu, to wtedy jako tako idzie w domu. Jak kapnie jaki grosz, to chyba ja z niego coś urwę na opędzenie niezbędnych potrzeb, bo z tego co wpadnie w kieszeń pańską niedługa pociecha; pierwszemu, którego spotka, zaraz i wysypie.

— Kto ma wielu przyjaciół, trudno temu mieć zeszytą kieszeń.

— Czy myślisz, że mój pan tylko dla przyjaciół jest uczynny? Żeby ci dać o nim wyobrażenie, to ci jedno zdarzenie opowiem. Raz pojechaliśmy do Nowogródka. Zajeżdżamy wedle naszego zwyczaju do Mordka Rabinowicza, zacząłem pana przebierać, aż on widzi na drzwiach kredę, napisane te słowa: „Ja szlachcic Grzegorz Samplawski z województwa Chełmińskiego,

przybywszy do Nowogródka na sprawę, a sprawy nie skończywszy, tak się wyniszczyłem, że dwieście złotych zostałem dłużny Mordkowi Rabinowiczowi, jeżeli to przeczyta jaki możny a poczciwy szlachcic, w imię Zbawiciela go proszę, żeby za mnie zapłacił.“

— Mordko! — krzyknął mój pan — powiedz mi, co to ma znaczyć ten napis?

— Jasny panie — odpowiedział żyd — tej wiosny zajechał do mnie jakiś szlachcic porządny bryczką i czterema końmi i tu u mnie mieszkał, jadł i koni i ludzi karmił, a to wszystko na kredę przez dziesięć tygodni, całą kadencję. Jak odjeżdżał, ja widzę, że mnie nie płaci, chciałem jemu parę koni wyprządz, ale on jak zaczął mnie prosić, i to napisał na drzwiach, obiecując, że ktoś za niego zapłaci, mnie żal się zrobiło i puściłem go; wszyscy się teraz śmieją, bo moje dwieście złotych przepadło.

— Otóż nie przepadło — odrzekł mój pan.

— A któż zapłaci? — na to żyd — czy jeden to czytał?

— Ja zapłacę, a na biedę kilkaset złotych był wziął dnia wczorajszego zadatku na gorzałkę. Ja na to:

— Bój się Boga, panie, to musi być jakiś filut.

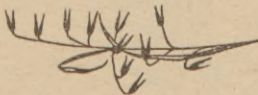
— A zaraz filut, dlaczego? każdemu z nas nieszczęście może się przytrafić. Żyd miałby być uczynniejszym dla szlachcica, niż ja sam brat szlachcic? — i niewiele myśląc zatarł co było napisano na drzwiach, i dwieście złotych odliczył żydowi; tak, że my dwa dni przesiadawszy w Nowogródku i rozplaciwszy się gospodarzowi, o dwóch tyrfach w kieszeni pojechaliśmy do domu. Taki to był kalkulator z mego pana; ażeby się pieniądz jego trzymał, to mógłby być bogaczem świata, bo to pół wsi ojcowizny, a druga wieś całkowita z łaski księcia, a teraz pula Nieświeska, to dobra wieś, ale wszystko to się rozchodzi kaduk wie gdzie.

— Jakaż to pula?

— Ot pytasz się, albo twój pan raz grał w nią z księciem panem i z Albeńczykami, szczególnie w czasie wiosny? Każdy stawi coś do płatki, a potem strzela z pistoletu w lot do jaskółek; kto chybi, nietylko, że przepadła mu stawka, ale jeszcze do puli musi dodać, a ci co trafia, między siebie rozbierają pieniądze. Czasem mój pan samem złotem obładuje kieszeń i bardzo wtedy wesoły, ale też nie smuci się kiedy goły, co jeszcze częściej z nami bywa, i tak przystoi szlachcicowi. No, panie Czesławie, już słońce dawno zaszło, odmówmy Godzinki do Niepokalanego Poczęcia na cześć Najświętszej Panny, orędowniczki naszego szlachectwa, a potem fajkę w pysk i spać. Waćpan jak widzę już wieczerzał, a jam swoje odbył w karczmie. Przedawszy żydowi skórę za sześć tyrfów, porękawicznego dostałem porządny traktament, kwaterek wódki, misę jajecznicę i cztery dzwonka szczupaka, po żydowsku nadzianego cebulą i pieprzykiem, nie wspominając o piwie; czegoż więcej potrzeba poczciwemu człowiekowi? No, mości szatny: „Zacznijcie wargi

nasze chwalić Pannę świętą“. — Zaczynicie opowiadać cześć jej niepojętą“ wtórzył pan Czesław; z łona pustyni podniosły się głosy do Tronu Przedwiecznego. Skołuba, który przez zbytnią ostrożność dotąd cicho mówił, na cały głos intonował pieśń do Matki Boskiej; ani mu przez myśl przeszło, by obcując z niebem, jakiegokolwiek ostrożności miał używać przez bojaźń ludzi. Wiara była wtenczas tak silną, że przed jej potęgą wszelka niknęła obawa; ztąd pomimowolnie u naszych ojców weszło w obyczaj głośno się modlić. Zastopieni w modlitwie, nie oglądali się naokoło; ta modlitwa głośna była, że tak powiem machinalnem zaproszeniem całego przyrodzenia, by się łączyło do przewodzącego głosu, ażeby chwalić Pana nad Pany. Łatwo to pojmie każdy, kto rozpamiętywał psalm 148, codziennie powtarzany od tych wszystkich, co mają we zwyczaju modlić się z Rubrycelli. *Laudate Dominum de coelis, laudate Deum in excelsis*, a dalej: *Montes et omnes colles; ligna fructifera et omnes cedri; bestiae et universa pecora, serpentes et volucres pennatae etc.* Półmędek z politowaniem zapyta, jak można zapraszać do modlitwy istoty bez duszy, a nawet bez czucia, ale prawdziwy chrześcjanin więcej i gruntowniej się ulituje nad tymi nieszczęsnymi co zdołali zatłumić w sobie zmysł religijny.

Koniec tomu drugiego.



HENRYK RZEWUSKI.

LISTOPAD.

ROMANS HISTORYCZNY Z DRUGIEJ POŁOWY XVIII. WIEKU.

TOM III.



POZNAŃ.

NAKŁADEM WYDAWNICTWA „CZYTELNI POLSKIEJ“.

CZCIONKAMI DRUKARNI „PRACY“.

1900.

XXXI. Uwolnienie.

Ledwo jutrzienka z nocnych cieni zaczęła wydostawać drzew wierzchołki, już Skołuba był na nogach. Z troskliwością doświadczonego człowieka opatrzył konie i uprząż nucać sobie: „Kto się w opiekę odda Panu swemu“, poczem konie do wody poprowadził, przedłużając pacierze. Dalej, stojąc przy wózku, przekładał na nim pakunki, patrząc ze szczerym śmiechem na towarzysza podróży, który po tamtej stronie bryki leżał na ziemi zaspany. Był to widok w samej rzeczy śmieszny; Czesław spał twardo, a owad latający pokojowi mu nie dawał. Wszystkie jego rysy były w ciągłych poruszeniach; najdziwniejsze miny wyrabiał, czasem ręką odganiał nieprzyjaciół swojego spoczynku, ręka jakby martwa opadała z łoskotem o ziemię, a z tem wszystkim przebudzić się nie mógł. Aż nakoniec Skołuba, naśmiawszy się dowoli, porwał go za rękę i potrząsnawszy nim całym, jak gruszą dla dostania owoców, rzekł:

— Dzień dobry waćpanu, panie szatny; wstawaj waćpan: dziś wszystko dobrze nam pójść powinno, bo na piękny dzień się zanoszą; patrz jak mgła osiada.

Czesław wytrzeszczył wielkie oczy, ziewnął porządnie, obie ręce wyciągnął, a z takim wyprężeniem, że aż stawy odezwały się z trzaskiem, i zerwał się równemi nogami. Przeżegnał się, coś mrużąc pod nosem i boso pobiegł do rudy, przy której się umył; czem orzeźwiony, wrócił do wózka, przywitał się ze Skołubą, wdział chodaki, płócienne szarawary zaciągnął oskurzem, włożył na siebie siermięgę, i przyklękawszy, zaczął się modlić, nawet z podniesieniem ducha; bo jeżeli wieczorne modlitwy najczęściej klepał nawpół zaspany, albo myśląc o czem innem, trzeba mu oddać sprawiedliwość, że co się tyczy porannych, te mu rzadko kiedy służyły za materiał do spowiedzi. Modlił się gorliwie z dwóch przyczyn, raz że po obmyciu się już go sen przestał być trapić, powtóre, że się nieco obawiał, bo pierwsza myśl, która po obudzeniu nasunęła mu się, była śmierć na szubienicy, chaniebna dla szlachcica, na przypadek wpadnięcia w nieprzyjazne ręce, ile że w dniu tym, wedle słów Skołuby, miało nastąpić rozwiązanie ostateczne ich dramatu.

Skołuba nie przeszkadzał mu w modlitwie, zaczął zgromadzać szczątki zgasłego okurzeliska, okrył tlejące ognisko świeżemi polanami i połą od siermięgi, jakby miechem kowalskim, rozdmuchał ogień. Już przez wszystkie szczeliny płomień się dobywał, kiedy pan Czesław we wszelkiej gotowości stanął przed Skołubą, i z twarzą wypogodzoną, jakiej dotąd nie miał, odezwał się:

— A co, panie Skołubo, czy mam już konie zakładać?

— Poczekaj, mości szatny, na wszystko pora; do Bortnicy nie mamy nad mil cztery, a nam nie potrzeba tam być aż dobrze po południu. Ale cieszę się, że przecie waćpana widzę w dobrym humorze; a to dlatego, że rano wstałeś. Nigdy czekać nie trzeba, póki aż słońce nam nie powie dzień dobry, ale wyskoczyć z pościeli na jego spotkanie, by z życzeniem dnia dobrego uprzedzić; tym sposobem dzień przejdzie wesoło, bo słońce gniewać się nie będzie. Teraz napijemy się kawy, przyniesz-no waćpan naszą flaszkę skórzaną i chleba na przekąskę.

Czesław przyniósł i wódkę i chleb.

— Wypij do mnie.

— Łyknął młodzieniec i oddał flaszkę Skołubie. Skołuba splunął, przeżegnał się i, dobrą porcyą zakropił wnętrzości.

— Teraz, Czesławenuku, trzeba pomyśleć, żeby czemś ciepłym ogrzać żołądek: mamy kociołek i baniak, waćpan w króbeczce znajdziesz worek z jagłami, wykroisz szynki kawał i słoniny wędzonej, mamy wodę w rudzie, a kiedy waćpan jeszcze spałeś, ja uzbierałem trochę borowików. Obaczysz, że będziemy mieli krupnik, któryby się nie powstydział pokazać na stole Nieświeskim.

— Ani wątpię o tem — odpowiedział Czesław i wszystko co potrzeba wydobywszy z wózka, majster i czeladnik wzięli się do kuchmarzenia. Wkrótce potem, pilnie śledząc oczyma kipiącą sperandę porządnego śniadania, rozpoczęli z sobą gawędę.

Czesław pierwszy zagaił.

— Wiesz co, panie Skołubo, jak zaczniesz się bać, to nakoniec się przeboi. Przyznam się waćpanu, że dziś jeszcze przebudziwszy się, byłem w wielkim strachu na wspomnienie stryczka aż mrowie po mnie przechodziło, a teraz już się człowiek z tą myślą oswoił; wcześniej czy później, siak czy owak, a umrzeć trzeba. Jak to pięknie napisano w Słonimie na marmurowym grobowcu świętej pamięci pana Strażnika, ojca mojego pana: *quod mihi hodie, tibi cras*; on te słowa często w ostatniej swojej chorobie powtarzał. To się ma tak rozumieć: co mnie dziś, tobie jutro. Chociaż tego jeden drugiemu powiedzieć tu nie możemy, bo broń Boże nieszczęścia, dziś od jutra nas nie przegrodzi, gdyż wedle wszelkiego podobieństwa, będziemy razem wisieli. Dla waćpana to nic, a dla mnie jakem rozpaczył, pół biedy.

— A to czemu?

— Temu, że sam sobie nie dowierzam i gotów jestem stchórzyć; ale przy

waćpanu, wiem, że mnie dobrem słowem pokrzepisz, i nie pozwolisz, żebym przed cudzymi na duchu upadł; nieprawda?

— At, młodyś, Czesławku! czyż to już zaraz i wisieć! Kiedy wielkie zło, to bieda musi się przesilić, a kiedy nadto dobrze, to bieda grozi. Przy-
pomnij-no sobie, jakto w Stołowicach jeszcze we wtorek wieczór ziemia się
trzęsła pod kopytem naszych koni; nam się zdawało, że cały świat pod-
bijemy, a we środę z rana już to wszystko było albo w kozie, albo w lesie;
a czy kto mógł tego się spodziewać? Teraz, chociaż miną nadrabiam, czuję
dobrze, że nas okulbaczyła ostatnia nędza, więc z tego wnioskuje, że wkrótce
coś dobrego nastąpi; bo widzisz, Czesławku, szczęście i nieszczęście są przy
nas, jak skrzydła przy wiatraku: to jedno, to drugie na wierzchu, a tymcza-
sem zboże się miele.

— Jaki waćpan mądry, panie Skołuho.

— Ba, a dlaczego dyabeł rozumny? bo stary. Waćpanu rok dopiero
dwudziesty; pożycz-no prawie lat tyle, jak ja to także o wielu rzeczach się
dowiesz, o których ci jeszcze dotąd ani się śniło. Nie zdaje mi się, żeby
nasza wyprawa na szubienicy skończyć się miała, tak być nie powinno: ale
dajmy na to, żebyśmy się od niej i nie wykręcili, czyż zaraz rozpaczać? oddać
się Bogu i być spokojnym. Wszakże to nie za rozbój, nie za złodziejstwo,
Pan Bóg dobry i sprawiedliwy; jeżeli tu źle, za to tam będzie lepiej. Mnie
to cieszy, żeś i waćpan się uspokoił: mam przeczucie, że nam dobrze pójdzie,
a broń Boże noga się pośliznie spuść się na mnie, ja waćpanu nie dam stchó-
rzyć.

— Ja się nie spodziewam przy waćpanu takiego wstydu, ale pomówmy
no z sobą: jakże weźmiemy się do tego, by mojego pana uwolnić? bo musi
być dobra straż przy nim.

— Albo ja wiem? Tak się robi, jak Pan Bóg zrządzi. Waćpan zwy-
czajnie młody, wszystko chciałbyś z kopyta, a na świecie nie tak rzeczy idą,
wiem, że pan wojski pod strażą, że dziś mieć będzie nocleg w Bortnicy na
komisaryi, że Bortnica należy do księcia biskupa Massalskiego, że tam ekono-
mem generalnym jest pan Oskierko. Ale jaka tam straż, czy ostrożna, czy
niebąła, czy z hulaków, czy z psotników, czy straż dziedzińca zdana będzie
na Kozaków, czy na chłopów, o tem nie wiem, a dopiero jak się dowiem,
wedle tego i postąpię: i to jeszcze zostaje do odgadnienia, czy dowódca kome-
ndy, stojąc w przyjacielskich dobrach, spuści się na ekonoma z pełną ufnością,
czy nie? bo i na tem wiele zależy.

— Ja tu nie widzę różnicy, jaki pan taki kram: Kozak czy ekonom księ-
cia biskupa, to dla nas na jedno.

— At! powiedział co wiedział! Na dwoje babka wróżyła: co to z góry
stanowić, i z zawiązanemi oczami szukać czarnej owcy między białemi. Jak
godzinę pobędę w Bortnicy, będę wiedział o wszystkim: a teraz tyle tylko
wiem, że w dobrach pana, co z królem trzyma, Kozaki króla nie będą tak
ostrożni, jak w dobrach tych, co się przeciwko niemu oświadczyli. Zresztą co

mam gadać, o czem jeszcze nie wiem: ale ty, Czesławu, pamiętaj, byś: zasznurował sobie usta jak staniemy w Bortnicy. Pilnuj koni, leż przy nich, a choć pójdziesz do szynku, nie odzywaj się: pamiętaj, że człowiek rozsądny najlepiej wychodzi, kiedy go cudzy mają za gapia.

— Albo ja głupi z kimkolwiek wdawać się w rozmowy? tylko z waćpanem mówić będę.

— I ze mną niebardzo. Jak się kto waszeci o co zapyta, odpowiedz — Ha? — to on głośniej się odezwie z pytaniem; waćpan i drugi i trzeci raz powiedz: — Ha? — wezmą ciebie za głuchego, dadzą ci pokój, a tymczasem coś dobrego może ci wpaść do ucha. Ja sam będę do ciebie krzyczał co tchu stanie, uważasz? Ale oto i krupnik gotowy; bądź co bądź, a najesć się trzeba.

Przeleli krupnik z baniaka w ostudzony kociołek, Skołuba wyjął z zanadra dwie łyżki drewniane, obaj siedli na ziemi, postawiwszy między sobą kociołek i pierwszy raz od dni kilku posilili się ciepłą strawą.

Po skończonem śniadaniu, po upakowaniu wózka, Czesław, zaprząwszy konie, siadł na miejscu woźnicy, a Skołuba zajął zaszczytną posadę właściciela. Wędrowali w milczeniu, bo pan szatny już się wprawiał do roli głuchego, co ją miał wygrywać w Bortnicy, a Skołuba niczem się nie chciał odrywać od rozwagi niezbędnej dla sternika: ciągle tylko się oglądał wokoło, żeby między tyloma krętymi manowcami nie zbłądzić. Wózek szedł jak okręt pośród wichrów nieprzyjaznych, czasem się zbliżał do wielkiego gościńca, czasem się od niego oddalał, dążył ci wprawdzie do zamierzonego celu, jednak nie prostą linią, a te wszystkie obroty nie były zrządzeniem ślepego trafu, bo każde poruszenie, bądź uboczne, bądź nawet wsteczne, Skołuba mógłby w potrzebie usprawiedliwić logicznym wywodem. Palił lulkę, myślał i uważał. Czesław był jak w rogu; nie wiedział gdzie się znajduje, czy się zbliża, czy się oddala od celu podróży; tylko przy krzyżujących się drożynach, wedle komenderówki Skołuby, zwracał lejece w prawo lub w lewo, zacinał tę lub ową szkapę. Tak się posuwając, byli odbyli jeden popas i od dwóch godzin po południowym obroku przedłużali swój pochód, kiedy od strony gościńca usłyszeli głosy głuche, a między niemi jeden głos donośny, rozkazujący, jednym słowem szlachecki.

Skołuba kazał stanąć, zszedł z wózka, posłuchał czas niejaki, nakoniec obrócił się do Czesława, mówiąc:

— Nie to, jednak trzeba się dowiedzieć dokładnie, czy to jest, czego się domyślam, czy co innego.

Kilkanaście kroków gęstwina przeszedłszy, a zawsze kierując się głosem słyszany, obaczył tabor z kilku ludzi, a z nimi konie juczne i wierzchowe. Między tymi ludźmi stał żyd, a jakiś pan czy podpanek w łosim kaftanie, z szablą w jaszczur oprawną u boku, z ładownicą srebrną na plecach, na niego krzyczał:

— Rozstąp się ziemio! mocium panie, przeklęty żydzie, gdzież ta lasowa karczma, o której od południa mnie pleciesz? Umieram z głodu; ktoby mi dał kieliszek wódki, byłby moim największym dobrodziejem, czy długo żydzie myślisz mnie możyć?

— Jaśnie panie — odezwał się żyd — za pół godziny przeprowadzę państwa do Korelicz, tylko co ich nie widać, o tu! pokazując ręką od strony wielkiego gościńca.

Po dumnej postawie, po ogromnych wąsach, a szczególnie po przysłowiu, Skołuba poznał pana Chłusowicza, chorążego Wołkowyskiego, który był do Stołowicz przyprowadził z sobą do kilkudziesiąt szlachty i ludzi dworskich, uzbrojonych i na dzielnych koniach. Wysunął się gładko z gęstwiny do swojego wózka, tam w jedną rękę wzięwszy pudło z wiktuałami, w drugą flaszę skórzaną, z tem stanął pośród dworu pana chorążego.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! — krzyknął chorąży na jego widok — a co waść za jeden?

— I ja go chwale, wielmożny chorąży, panie i dobrodzieju.

— Rozstąp się ziemio, mocium panie, waść mnie znasz? i mnie się zdaje, że waść gdzieś widział; kto waść taki?

— Jestem gajowym z Korelickiej puszczy i strzelcem JO. księcia pana.

— Rozstąp się ziemio, teraz rozumiem, z kąd data naszej znajomości. Czy to ja raz z księciem wojewodą polowałem w waszej puszczy? Witam waść, mocium panie; ja przyjaciel, a waść sługa Radziwiłłowski. My z jednego sklepu; a co to masz waść w rękę?

— Słyszałem, jak wielmożny pan skarżył się, że mu głód dokucza. Niechże wielmożny pan pozwoli służyć tem, co Bóg dał.

— Rozstąp się ziemio, mocium panie, waść poczciwy człowiek jak widzę. Bylebym się spotkał z księciem panem, moja głowa w tem, żeby waść na podłowczego postąpił. I gorzałkę masz? o toś mi brat. Powiedz-no waść szczerze, czyś szlachcic, czy nie?

— Szlachcic, wielmożny panie, choć ubogi, ale tak zacny, jak pan stolnik Litewski.

— Niewielka to filozofia, mocium panie, być tak dobrym szlachcicem jak on. Pijże waść do mnie, bo na waszecine sumienie się spuszczam, żeś szlachcic.

Skołuba, trochę łyknąwszy, podał flaszę; chorąży, łyknąwszy: — Rozstąp się ziemio, mocium panie, wódeczka kapitalna, ażem się orzeźwił! — i zaczął zajadać wędzonki, unosząc się nad ich zaletami.

— Niech wielmożnemu chorążemu ta króbką i ta flasza służą; jest kilka bochnów chleba, słonina, szynka, kilka łokci kielbasy z czosnkiem; pan leśniczy wyprawił mnie z Korelicz do Słucka, wziąłem z sobą zapas, właśnie jakbym przeczuwał, że się nim przysłużę tak znakomitemu panu.

— Rozstąp się ziemio, mocium panie, nie wiem, jak się waść nazywasz i o to nie pytam; — a zdjąwszy sygnet z palca: — Słuchaj waść, panie bracie, oto masz mój sygnet herbowny, przyjeżdż do Dziewiątkowicz, żebyś mógł

odwdzięczyć ten traktament traktamentem, a jak mnie zwrócisz ten sygnét, przez całe życie tego żałować nie będziesz.

Skołuba, ucałowawszy kolano chorążego, zapytał go, z jakiego wypadku zbił się z wielkiej drogi aż w bezdroże leśne?

— Rozstap się ziemio, mocium panie, a co te waśc za górami siedział, że mnie o to pytasz? Pięćdziesiąt chłopców na koniach zaprowadziłem do Stołowicz: ale mocium panie, co poradzisz na zdradę? rozbili nasz obóz, ja ledwo z tem co waśc widzisz umknąłem w lasy i piąty dzień w nich się błąkam i to wszystko przez Ogińskiego. Ja przybywszy radziłem, żeby od tego zacząć, by go powiesić. Jak mu wierzyć, kiedy jego żona jest cioteczną siostrą pana stolnika Litewskiego? on się niby z nią rozstał, ale to tylko na oko. Zdrada, mocium panie! Abych się dostał do domu, w nim kąta nie zagrzeję, rozstap się ziemio, a muszę znaleźć Ogińskiego, żeby go powiesić, i tem skończę sprawę graniczną, którą z nim toczę od lat dwudziestu; a jak po nim buława Litewska dostanie się księciu wojewodzie, dopiero dobrze będzie na Litwie. Żebym to ja był prowadził konfederacją pod Stołowiczami, toby nieprzyjaciel błądził teraz po lasach, a nie swoi; ale władza hetmańska wszystkim głowy była pozawracała. Każdy mówił: Pan hetman! pan hetman! a pan hetman zdrajca! co to z męztwem zrobisz naprzeciwko zdrady! Musiałem uciekać i tak nakoniec zabłądziłem, że ani ja, ani ta garstka moich ludzi nie wiedzieliśmy gdzie jesteśmy. Na szczęście spotkaliśmy tego żyda, który ma nas do samych Korelicz przeprowadzić, a ja mu za to obiecałem sto tynfów, jeśli mnie tam całego doprowadzi. No, moje dzieci! wiem, że wasze żołądki próżne, obdzielcie się tym bochenkiem jak możecie; a wódki wam nie dam, bo już jej niewiele.

Skołuba przybliżył się do chorążego i, skłoniwszy się:

— Oj! wielmożny panie, coś temu żydowi z oka niedobrze patrzy! Wielmożnego pana ma przeprowadzić do Korelicz, a dąży zupełnie w przeciwną stronę ku wielkiemu traktowi; on wielmożnego pana chce wprowadzić między nieprzyjacielskie komendy.

— Rozstap się ziemio, mocium panie, znowu zdrada! Żydzie, a to waśc jesteś szpiegiem jak widzę?

— Nie, jaśnie panie, ja poczciwy żydek, mnie wszyscy znają, bo ja wszystkim obywatelom służę.

A Skołuba na to:

— A gałganie, ty niby pana prowadzisz do Korelicz, a czy tam Korelicze? Ty go prosto wabisz do Bortnicy, gdzie dziś jeszcze nieprzyjaciół silny oddział ma stanać.

— Rozstap się ziemio, damże ja tobie niecnoto! Moje dzieci, weźcie tego hultaja i przyczepcie go szyją do gałęzi.

— Co, jaśnie pan żartuje?

— A to się wkrótce dowiesz, mocium panie, czy to są żarty, czy praw-

da. Waść szpieg, a szubienica jest choroba, na którą szpiegi kończą, jak hulaki z dobrej szlachty na podagrę.

— Gwałtu, jaśnie panie, to on sam szpieg, co w prostej siermiędze chodzi, a wozi jedzenie pańskie.

— Mocium panie, próżne słowa, waść wisieć będziesz! Moje dzieci, oddajcie mu zgrabnie tę ostatnią posługę.

— Gwałtu! ja wszystko powiem, ja nie wiem gdzie droga do Korelicz, ale jak jaśnie pan chciał dać sto tynfów, ja bidny zid chciałem zarobić; u mnie żona i dzieci.

— Mocium panie, nie naprzykrzaj się.

Zaczął wrzeszczeć żyd tak przeraźliwie, że aż Czesław przybiegł na ten głos i miał czas przypatrzeć się, jak ludzie chorążego, brzozę pochyliwszy, na jej wierzchołku uczepili żyda za szyję, z tyłu mu ręce związawszy i brzozę puścili. Żyd się jeszcze długo trzepotał, nim się nakoniec uspokoił, a ludzie aż się kładli od śmiechu.

— No, mocium panie gajowy — rzekł pan Chłusowicz — dzień szczęśliwy; z łaski waści nakarmiłem się, zdradęśmy wykryli i ukarali, dotąd wszystko dobrze; ale *sunt bona mixta malis*. Żyda zdrajcę powiesiliśmy, ale żaden z nas drogi nie wie, a jak waść nas odjedziesz, gdzieżmy się podziejem?

— Wielmożny pan niech tak zrobi: ja koniecznie muszę zaraz jechać do Bortnicy, ale choć późną nocą to jeszcze wrócę. Niech wielmożny pan tu na mnie czeka, a jak będzie zmrok, niech każe dobry stos zapalić, bo noc ciemna, trzeba żebym miał się do czego kierować, a jak powrócę, to potem sam wielmożnego pana doprowadzę do Korelicz.

— A na jaką godzinę mam się waści spodziewać?

— Wkrótce po północy.

— A jak nie przybędziesz?

— To wtedy niech wielmożny pan za mną i za tym moim woźnicą, który tu stoi, każe zmówić Anioł Pański, a jeżeli łaska da co na mszę: bo już oba nie będziemy żywi.

— Rozstap się ziemi, mocium panie, z waści desperat jak widzę. No, ruszaj sobie waść zdrów, a powracaj jeszcze zdrowszy, a jak mnie przeprowadzisz do Korelicz, możesz być spokojnym o swój los, bo już ja o nim pamiętać będę. Czy waść gajowy, czy strzelec, czy kto inny, mnie nic do tego wiem tylko, żeś dobry człowiek i kwita; zdaje mi się, że waści gdzieś widziałem, mniejsza o to. Ruszajże sobie z Bogiem, panie bracie, a jak się tylko zmierzchnie, ogień będzie rozpalony. Oj! żeby ten Ogniski dyndał obok żyda, nie takbym tęsknił za waścią! Ale co się odwlecze to nie uciecze. — Skołuba pożegnał chorążego ściśnieniem za kolano i, siadłszy na swój wózek, puścił się dalej w drogę.

— Godzina w zupełności nie upłynęła, a już nietylko Skołuba z Czesławem dostali się do wielkiego traktu, ale nawet do wsi wjeżdżali. W jej środku, stała karczma obszerna murowana, a pod karczmą siedziały baby prze-

dające mięsiwa, nabiał i inne wiktuały. Niemało fornalek stało przed karczmą, bo chociaż Bortnica nie była miasteczkiem, ale na wielkim gościńcu położona, często miewała kiermasze, i właśnie nasi podróżni na takowy trafili. Był to dzień świetny dla arendarza, gdyż nietylko, że do większej połowy był wypróżnił zapas gorzałczany, ale pokupował za bezcen mnóstwo drogocennych rzeczy, co je ludzie przynosili ze Stałowickiego popłochu. Niejeden ratujący się ucieczką, zabrawszy ze sobą pas lity, lub jaką inną sztukę z odzienia swego pana, za kilka tynfów sprzedawał pierwszemu żydowi, którego napotkał. I arendarzowi Bortnicy kilka podobnych facyend udało się zrobić; ztąd ręce założywszy za pas, przechadzał się koło swojej karczmy z oznaką największego zadowolenia. Kiedy Skołuba wjechał do sieni, arendarz zaczął pytać woźnicy, wedle kategorii Arystotelesa: z kąd? z kim? za czyją pomocą? Ale choćby Czesław sam z siebie nie pamiętał o roli głuchego, na niego nałożonej przez Skołubę, widok dyndającego żyda na gałęzi tak mu był utkwił w pamięci, że bez trudności okazał jakby oczywiście głuchym. Skołuba za niego odpowiedział, że jest gajowym z puszczy księcia wojewody, i że wiezie do leśniczego Korelickiego beczkę sytego miodu od komisarza Słuckiego. Arendarz radby może był szukał z nim napaści, żeby prawem kaduka do tej beczki się zaintromitować, ale imię Radziwiłła było tak straszne, że chociaż książę tułał się po Podgórzu, każdy żyd bał się jego sług zaczepiać, żeby, jak to już bywało, na przypadek powrotu książęcego na okropną zemstę nie być narażonym. Nietylko tedy, że mu przykrości nie wyrządził, ale go nawet potraktował kwartą piwa i, wziąwszy na stronę, oświadczył przed nim swoje przywiązanie do księcia pana, na którego gruncie się rodził w Lubiezu, i że po wszystkich kabałach modlą się za najrychlejszy jego powrót do Nieświeża. A tymczasem zabierał się pójść do ekonoma generalnego, by go uwiadomić, że do karczmy zajechał jakiś obszarpaniec Radziwiłłowski i że beczkę miodu z sobą wiezie, kiedy sam ekonom kolebką parokonną zajechał przed karczmę.

Pan Oskierko, ekonom generalny księcia biskupa w kluczu Bortnickim, nie był zupełnie złym człowiekiem choć, służąc księciu biskupowi, tem samem musiał popierać jego stronnictwo; jednak ile razy to mógł uczynić bez narażenia siebie na podejrzenie, przez szpary patrzył na zabiegi strony przeciwnej. Chciał zachować ufność swojego pana, ale obok tego nie życzył sobie wywołać naprzeciw sobie nienawiści zażartej, w czasach, które po kilkakrotnie okazywały przykłady, że tułacz i wywołaniec wczorajszy wracał nazajutrz i do majątku i do dawnego położenia towarzyskiego. Bogaty jak każdy, który się dotknął interesów księcia biskupa, pragnął jeszcze mieć wziętość jakąś w obywatelstwie: a trudno było ją otrzymać, nie wchodząc przynajmniej w tajne kompromisy z partją Radziwiłłowską. I tak, ile razy pan Oskierko wyprawiał jeńców konfederackich, krzyczał na nich, odgrażał się prawie z wściekłością: ale im doławał straż złożoną z największych gapiów, jakich mógł wynaleźć, tak, że jeńcy bez wielkiej trudności ratowali się ucieczką. Prawda, że potem włosy rwał sobie niby ze złości, że katował różgami nieroztropnych strażni-

ków, że dla okazania gorliwości sam wyjeżdżał dla odszukania zbiegów, ale zawsze udawał się w stronę przeciwnoległą tej, którą jence uciekali. Jednem słowem, święcie się trzymał aksjomatu, żeby tak postępować, by i wilk był syty i koza cała. Zajechawszy przed karczmę, rozkazał dyspozytorowi, którego ujrzał, kręcącego się na koniu świeżo nabytym podczas kiermaszu, żeby czterdzieści podwód wiejskich stanęło o świcie na komisaryi dla przewiezienia jeńców, gdyż co chwila oczekuje komendy wojsk królewskich z jeńcami, a spostrzegłszy okolubę, zaczął go wybadywać z kądem i dokąd jedzie? Skołuba odpowiedział rusko-litewskiem narzeczem zwyczajną antyfonę, że jest gajowym Korelickiej puszczy i że wiezie beczkę miodu komisarzowi Słuckiemu.

— No, mój kochanku — powiedział pan Oskierko — cieszę się mocno z tego: lada moment będę miał gości, Kozaków królewskich. Pana komisarza Słuckiego przeproszę, a moich gości jego miodkiem potraktuję.

— Budzie kryuda, panoczku.

— Co nie twoje bratku, o to nie dbaj; a potem, prosić nie będę — a obracając się do dyspozytora: — Mospanie Kluskiewicz, miej waść na oku beczkę, którą znajdziesz na wozie tego franta, żeby w szkodę nie poszła; a jak goście przybędą, to ją zaprosić do mnie. — Ledwo wymówił to słowa, a już beczka przeniosła się na fornalkę dworską, Skołuba zaczął kolana całować ekonomowi.

— Ach, panoczku, dajcież-że liściec, kaby nie było konfuzyi w Słucku.

— Bądź spokojny, dobry człowiecze; wasz komisarz dobry mój przyjaciel, porozumiemy się z sobą, a jak powrócę do domu, każę mojemu manualię list dla waści napisać, a ja go podpiszę, jeszcze waści zrobię wygodę u siebie.

Gdy to mówił, przyleciał jego pisarczyk, od kołowrotu wiejskiego, ale co koń mógł wyskoczyć, z oznajmieniem, że już transport jeńców czołem dotyka się wioski. Pan Oskierko wyprawił pisarczyka nazad do komendy, żeby ją przeprowadził na komisaryę a sam w swojej kolebce kazał siebie do domu odwieźć, dla przyjęcia gości i pożegnał Skołubę, mówiąc mu:

— Bratku, przyjdź na komisaryę, tam ciebie w piekarni napoją i nakarmią.

W jednej chwili wszystkich jakby wymieciono z karczmy, bo wszystko to hurmem tłoczyło się ku kołowrotowi dla spotkania Kozaków. Zostali tylko stara żydówka przy drobnych dzieciach w swym szynku, a w sieniach Skołuba z młodym Buńczukiewiczem. Pierwszy drugiego na bok odprowadziwszy, rzekł:

— Patrz-no, Czesławeńku, jak wszystko dobrze się kartuje, zobaczysz, że i Kozacy i sam pan ekonom tak się popiją miodem, że będą leżeć jak zabici. Ty dosypuj koniom owsa, a jak się zrobi noc, ty z drugimi idź na komisaryę; nie nie gadaj, a na mnie uważaj: ja tobie dam znak, zaraz konie zaprzęgaj i stań za bramą; poczem przyjdiesz na dziedziniec, że bym wiedział, że gotowe: wtedy z tobą pójde za bramę i powiem ci, co masz

robić. Pójdź teraz wraz ze mną na komisaryę, żebyśmy się z miejscem obeznali.

Poszli i zobaczyli na dziedzińcu kilka wozów obładowanych szlachtą, otoczoną od kilkunastu Kozaków; poznali zdaleka i pana wojskiego, ale przez myśl im nie przyszło do niego się zbliżyć. Szlachtę zaprowadzono do furdygi, a dwudziestu pięciu chłopów z drągami postawiono przy bramie dziedzińca. Dziedziniec był wokoło opasany głębokim rowem, nad którym gęsto sterczały ostrokoły, nie było sposobu wejść do dziedzińca jak przez wrota, ale obok rezydencyi ekonoma rowem przedzielone było gumno, napełnione zbożem w snopie, pośród którego stała obszerna stodoła, a dalej trochę śpichrz. Między gumnem a komisaryą był most zwodzony dla ułatwienia komunikacyi, ale ten most od dawnego czasu się nie podnosił, bo łańcuchy były znacznie uszkodzone. Komisarya, jak wszystkie rezydencye owych czasów, była prawdziwą forteczką; nawet na jej wałach pokazywało się kilka armatek żelaznych bez lawetów.

Pan ekonom u drzwi mieszkania swojego przyjął gości ze wszelkiemi powierzchownemi oznakami i uszanowania i radości; co chwila im się kłaniał, dziękując, że przecie kraj oswobodzili od swawoli i rabunków konfederatów i zapytywał, czem może im służyć. Że noc była piękna, a zrazy, kasza i pieczenie gotowe, kazał na podwórzu pozastawiać stoły, żonę swoją przedstawił oficerowi dowodzącemu oddziałem, i po uczestowaniu ich gorzałką, zaprosił do stołu, za którym wedle obyczaju kozackiego i starszyzna i szeregowi razem usiedli. Między dwcerską czeladź wcisnął się Skołuba, a pan Oskierko, okiem nań rzuciwszy, roześmiał się serdecznie i odezwał:

— Ale, ale! oto i gajowy mojego serca! zapomniałem o jego miodzie. To on przecie nas częstuje, mości panowie.

Dyspozytor przybliżył się do ekonoma i powiedział mu do ucha: — oto panie na dziedzińcu stoi mój wózek, a na niej beczka.

— No, no, gospodarzuje waćpan koło niej, każ zaraz na początek garniec jeden wytoczyć, pokosztujemy go.

Przyniesiono garniec, nalano szklanki: — zdrowie króla jegomości! — krzyknął pan Oskierko, i wychyliwszy szklanekę: — Ach! — odezwał się — przedni miód! — Kozacy także nie mogli się nachwalić. — Wypij waść, mości panie Kluskiewicz! — Niknęły szklanki jedna po drugiej ze zdrażliwym trunkiem, tak, że godzina nie upłynęła, a już wszyscy byli bez przytomności, nawet pani komisarzowa była zadrzemała. Aż Skołuba widzi zdaleka snującego się Czesława, i jak się tylko przekonał, że starszyzna dworska i kozactwo leżą bez przytomności, odezwał się do chłopstwa stojącego na warcie:

— A sztoż, kali moj miód wsi pijut, paprabujemy i my; a bo my nie takije ludzie jak ani?

Chłopstwo się natychmiast rzuciło do beczki. Skołuba ani kropli nie liźnął, bo wiedział, co się dzieje z tym, który szklanekę odważy się wypić; ale udawał, że pije, a chłopstwo piło do upadłego. Zostawiwszy więc ich

przy zabawie, przybliżył się do szatnego i wyszedł z nim po za bramę, przy której już nie zastali nikogo.

— A co, czy wózek zaprzężony?

— Oto go waćpan widzisz.

— Słuchajże, Czesławieńku! Widzisz to gumno za rowem? Oto masz siarkę, krzesiwo i kłaki, wszyscy z gumna przyszli tu gawronić i pić, więc nikogo w gumnie nie zastaniesz. Idź-że tam i podpal snopki, wietrzyk idzie z gumna prosto na komisarzę. Jak płomień buchnie, kto żywy na wsi pobiegnie do gumna, a ty, swoje zrobiwszy, zaraz do mnie powracaj. — Czesław oddalił się, a Skołuba dopajał strażników furdygi. Cłociaż pan Oskierko dał rozkaz, żeby przed dziesiątą podnieść most zwodzony, ale ten rozkaz utonął w miodzie. Już ostatki przytomności były znikły w garnizonie, kiedy Czesław przybiegł zadyszany, a wkrótce taki blask uderzył, że chociaż noc była ciemna, na dziedzińcu komisaryi szpilki można było zbierać. Skołuba, ani chwili nie tracąc, siekierą odbił drzwi od furdygi, rozbudził szlachtę, krzyząc: Panowie! panie wojski! Bóg z nami, uciekajcie! — Wszystko piorunem wyszło na dziedziniec, a tu dzwony wiejskiej cerkwi słyszeć się dały. — Niema czasu do tracenia — przedłużył Skołuba — za mną panowie do stajni, tam są konie ekonomiczne i kozackie, a oto szable uczezione do tych sennych ptaków.

Szlachta rzuciła się do szabel i zaczęli się opasywać, i nad nadzieję Skołuby wojski nie był ostatnim do uzbrojenia siebie. Jak piorun wpadli do stajni: było tam kilku stajennych, ale ci, obudziwszy się, nie tylko, że oporu nie czynili, ale sami pomagali kiełzać i kulbaczyć. Trzydziestu jeźdźców dzielnych pokazało się na dziedzińcu, dwudziestu pięciu z szablami, a pięciu ze spisami, bo szabel nie dla wszystkich wystarczyło. Jednomyślnością kolegów pan wojski wziął nad nimi dowództwo i przeprowadził ich za bramę, gdzie jego wierny szatny czekał ich, siedząc na swoim wózku.

— W którą stronę iść mamy, Skołubusiu? — zapytał wojski.

— Do karczmy za wózkiem — odpowiedział Skołuba. — Trzeba wózek żywnością naładować, bo ze trzy doby iść może wypadnie lasami, gdzie niczego nie dostać, nim się dobijemy do Korelicz, a w lesie nas czekają nasi.

Zbliżając się do karczmy, spostrzegł z radością wznoszącą się lunę z nad lasu; przed karczmą zastali arendarza, patrzącego na pożar pańskiego gumna.

— Żydzie — rzekł Skołuba — oświadczyłeś mi dopiero swoje przywiązanie do księcia wojewody, teraz możesz go dowieść; zaprzęgaj twoje siwe konie do bryki i naładuj ją owsem.

— Co panowie chcecie? gdzie u mnie tyle owsa? a te konie nie moje.

— A gałganie! — krzyknął Skołuba, przywitawszy go parę razy nahajką, dopiero zdobytą na Kozaku — niedawnośmy powiesili do ciebie podobnego żyda i tego jak widzę tobie się chce. Tymczasem zapalić mu karczmę.

— Aj! panie, gwałtu! bierzcie sobie i brykę i konie.

Na rozkaz wojskiego sześciu szlachty zsiadło z konia i poszli za Skołubą i Buńczukiewiczem, którzy szli przodem, trzymając między sobą żyda, żeby

im nie uciekł: zaprzęgli, a czterech z nich poszło na górę zrzucać wory z owsem na brykę. Naładowawszy brykę worami, wyprowadzili ją z sieni.

— Już większa rzecz się zrobiła — przedłożył Skołuba — wygoda koni zabezpieczona; teraz o swojej pomyśleć trzeba: — Żydzie! do śpiżarni.

Żyd, pokorny jak baranek, poszedł przed nimi do składu: co było chleba, bułek, krup, masła, przeniosło się ze śpiżarni na wózek Skołuby; ale wychodząc ze śpiżarni, Skołuba zobaczył wielki kufer zamknięty.

— Żydzie! — krzyknął — otwórz ten kufer!

— Na co panu ten kufer? tam niema nic do jedzenia.

— Jeżeli zaraz nie otworzysz, to nie nahajem, ale siekierą po łbie dostaniesz.

Żyd na wpół umarły otworzył kufer; kilka pasów litych zaraz uderzyło Skołubę.

— Aha, żydzie, to pasy, które dziś pokupowałeś od tych, co je ukradli; ale ja je odkupię, może Bóg da, że znajdę ich właścicieli.

Zabrawszy pasy i baryłkę gorzałki, Skołuba pożegnał żyda temi słowy:

— Bywaj zdrów i wesół, miły arendarzu, i jutro waszemu ekonomowi kłaniaj się odemnie: przeproś go, że sam nie służyłem mu z pożegnaniem, ale powiedz, że na wiwat piękną mu sprawiłem iluminację.

To wyrzekłszy, siadł brykę powozić, jak Czesław wózek, a szlachta, otoczywszy swoją amunicję powolnym krokiem ciągnęła ku łunie dobywającej się z puszczy.

XXXII. Spotkanie się kolegów.

Waleczny poczet, dążący do lasu, spotykał wieśniaków zbiegających się na rażący blask pożaru; spoglądali oni z zadziwieniem na to nowe wojsko Skołuba ich czasem zatrzymywał, kędy droga do tej lub owej wsi, o której nazwisku nikt nawet nie słyszał, albo: — Jak ci się zdaje, dobry człowiecze, zkąd ta łuna, która się wznosi tam? — pokazując palcem ku stronie lasu. Takowe pytania robił z wesołości, że mu wszystko tak dobrze poszło, a nie z obawy. Gdyż w rzeczy samej nie było czego się obawiać: wojsk prawie nie było w okolicy, a chociaż pojawiały się poczty na wielkim gościńcu, nie były one tak silne, żeby trzydziestu szlachty uzbrojonej i to pod dowództwem naczelnika tak odważnego i tak przezornego, jakim był pan wojski, nie mogło im dać rady. Nawet prawie wszyscy pragnęli podobnego spotkania, żeby zaraz działać zaczepnie. Całemu hufcowi był znany Skołuba; można więc łatwo wystawić sobie, jak jego imię, przechodząc z ust do ust szlchetnych wyzwolenców, wzrosło raptownie, jakie oznaki wdzięczności i radości objawiały się po szeregach.

Kiedy się już zbliżali do lasu, wojski kazał jednemu ze szlachty oddać swojego konia Skołubie, a samemu siaść do powożenia bryki: gdyż prowadząc oddział drogami krętymi, i to nocną porą, potrzebował mieć tuż przy sobie

przewodnika. Skołuba skoczył na konia, a wojski o kilka kroków naprzód jadąc przed oddziałem, kazał mu się zbliżyć i postępować obok siebie.

— Skołuba — powiedział — dobrze się wysłużyłeś naszej sprawie: niech Bóg i ludzie ciebie za to chwala. Generalność swojego czasu wiedzieć będzie, żeś tyłu pocziwym biedę ukrócił: widać, że Bóg tobie pomagał: wszystko teraz rozumiem, zapoiłeś wartę, odbiłeś nasze więzienie, opatrzyłeś nas końmi i bronią naszych strażników i to z taką łatwością, że chyba ślepy tu nie pozna palca Bożego. Jednak ci muszę jedną rzecz zganić. Domyślam się, że to sprawa twoja podpalenie całego gospodarstwa Bortnickiego.

— A moja, panie, nie inaczej.

— Otóż to było bez potrzeby: sam widzisz, że ten pożar żadnej rzeczywistej pomocy nam nie przyniósł. Wieśniacy, co na ratunek pobiegli i bez tego nie mieli możności nas zatrzymać, aniby się o to pokusili.

— To pan się obawiasz, żeby księciu biskupowi chleba nie zabrakło? Ma on tego jeszcze więcej, niż my wszyscy razem co tu jesteśmy: będzie i dla niego do jedzenia i dla jego oficyalistów do ukradzenia, o to niech pan będzie spokojny.

— Mój kochany, ty to w żart obracasz, a nie godzi się w śmiech obrać cudzej krzywdy. Przyjacielowi nie szkodzić, to i poganin potrafi, ale chrześcijańska rzecz być i dla nieprzyjaciela umiarkowanym. Gdyby w czasie odwrotu gumno przedzielało mnie od ścigającego nas wroga, nie pytałbym kto jego właścicielem: choćby to było moje własne, choćby pana Jana Wazgirda, kazałbym je zapalić: bo żadne gumno tyle nie waży, ile ocalenie choć jednego człowieka. Ale pastwić się nad nieprzyjacielem, — do jego krzywdy niezbędną przydawać jeszcze drugą ze swawoli, żeby tylko mieć powód do śmiechu, — wierz, Skołubo, że to jest ciężki grzech.

— Pan mówisz jak kaznodzieja; pan kiedy się jeszcze uczyłeś w konwicie Nieświeskim z moim panem, to już wtedy się zanosilo, że pan będziesz i wielkim obywatelem, i wielkim świętym; a ja sobie zwyczajny prosty szlachcic, ani pisać, ani czytać, a jednak nigdy nie poszkapilem się na mojem sumieniu. Ja pana przekonam, że to co mi pan wyrzucasz jako ciężki grzech, z tego nie mam potrzeby prosić księdza o rozgrzeszenie. I ja się na to piszę, że nieprzyjaciela krzywdzić bez potrzeby, tylko żeby się z niego naśmiać, to ciężki grzech; ale kiedy z potrzeby ta mu się krzywda stanie, za cóż dobremu człowiekowi się nie zaśmiać?

— I o tem byłoby do pomówienia; ale powiedz przynajmniej, jakąż miałaś potrzebę pracę ludzką podpalać? co ci ona zawadzała?

— Mógłbym na to odpowiedzieć: a czy pamięta pan jak to my, przeszedłszy Zbrucz z panem Puławskim, stanęliśmy obozem w Jezierzanach; jak to pan pięknie dowodziłeś, że w czasie konfederacji sądowe juryzdykcyje w takich zamieszaniach działają tylko o tyle o ile co złych ludzi do bezprawia zachęca. A że więc na każdym miejscu, gdzie się znajduje oddział konfederacyi, a niema juryzdykcyi sądowej przytomnej, tam dowódca jest w pra-

wie założyć swoją, żeby dla sprawiedliwości nie było bezkrólewia; otóż w Bortnicy, nimeśmy panów uwolnili, cała konfederacya była przy mnie i panu Czesławie Buńczukiewicz, a ja, że starszy, władza sądownicza była przy mnie; ile że juryzdykcyi sądowej nie było. A widzi pan, że pańska nauka w las nie poszła?

— To dobrze, ale w czymże pan Oskierko zawinił.

— Jakto w czym? a jużci, kto sprzężaje dostarcza, by uwięzić szlachtę, takiego ukarać należy.

— To zła racya, mój kochany; on spełnia rozkazy, jakie mu dają, i nie może ich nie spełniać; jakże karać nieprzekonanego o winę?

— Ja więcej powiem, nawet w potrzebie dam mu na to świadectwo przed generalnością, że on choć spełnia rozkazy mu dane, to jeszcze nie tak, jakby mógł je spełniać, gdyby był takiego samego sposobu myślenia, co jego pan; nawet o to bywał turbowany.

— Sam przeciwko sobie mówisz, za cóż więc tak strasznie pomściłeś się na nim?

— A panie! czy pan pamiętasz ten stary miód, co go mój pan w spadku po swoim ojcu dostał? Niechno pan sobie przypomni, jak to w Nieborow-szczyźnie mój pan przez swawolę pana jedną lampeczkę tego miodu potraktował, a pan ruszyć nie mogłeś ani ręką ani nogą, jeszcześ się nazajutrz trochę pogniewał na mojego pana za żart. Oto ja jedyną może beczkę stu-letniego miodu na całej Litwie przewoziłem na mojem wózku przez Bortnicę, a pan Oskierko gwałtem zabrał mi tę beczkę, dla traktowania swoich gości. Chociaż poprawdzie powiedziawszy wielcem się z tego ucieszył w duchu, pomyslałem sobie: będzie tobie miód! Oj, gdyby nie ten gwałt, panowie nigdybyście z furdygi nie wyleźli. Ale gwałtem, choćym go za to tylko ukarał, już byłbym czysty.

— A mój kochany, zmiłuj się, za beczkę, chociażby starego, podpalać szlachcica! a w jakimże naszym statucie to wyczytałeś? Wszakże i juryzdykcye konfederackie nie wedle innych praw sędzić mają, tylko wedle tych, które u nas są w używaniu.

— Zaraz, panie, ze wszystkiego się wytłómaczę, niech no pan pozwoli parę słów powiedzieć swojemu szatnemu, bo już las, a droga nie osobliwsza Czesławieńku, wpuść koła w koleje, noga za nogą, blask oświeca, patrzaj na mnie i z oka mnie nie spuszczej. Panie wojski, niech-no pan każe kilku panom zsiąść i piechotą iść koło bryki. Bryka żydowska wąsko idzie, żeby się czasem nie wywróciła, byłaby bieda na nowo ją ładować. Broń Boże oś się złamie, to i amen, przepadnie owies, a mamy kilkadziesiąt koni do karmienia, daj Boże, żebyśmy za dwa dni stanęli w Koreliczach.

Wojski stosownie zrobił rozporządzenie.

Pan wojski przywoławszy na nowo Skołubę, rzekł:

— Słucham końca twojego usprawiedliwienia, Skołobusiu, bo radbym tak pocziwego szlachcica, jakim jesteś, widzieć czystym na sumieniu jak bursztyn.

— I tak jest, panie, w samej rzeczy, jestem tu czysty jak bursztyn, to co się mówiło o dostawieniu sprzężajów, o gwałcie na naszym miodzie, to się mówiło, at zwyczajnie, żeby się wygadać. Nie było mi w głowie ukarać pana Oskierki, broń Boże, ale zrobiłem mu owszem największą przysługę, on mi całe życie dziękować powinien, za to, że kazałem podpalić jego gumno.

— Ciekawy jestem, jakże mi tego dowiedziesz?

— Nic łatwiejszego. A czy pijane kozactwo jak się obudzi, a obaczy się i bez koni, i bez broni (a pan wiesz co ich za to czeka), czy pierwsza myśl, mówię co do nich zawita, nie będzie, że padli ofiarą zdrady? „Tłómacz się no przed nami — powiedzą — mości ekonomie generalny, jak to my w rezydencji obronnej takiego sromu mogli się doczekać; wszakże nie kto inny jak waszeć darzem? Co to jest? To waść na dwóch stołkach siedzisz? póki słońce świeci, królewskie komendy częstujesz, a w nocy na nich konfederatów naprowadzasz? A wszakże to szubienicą pachnie!“ Chociażby może siebie nie dał powiesić pan Oskierko od ludzi bezbronnych, mając po sobie wiejskie posłuszeństwo, aleby go cskarżono przed księciem biskupem wileńskim; a pan wiesz, że on tak nas miłuje, jak czart wodę święconą. Aniby mu wyperswadować, tak byłby pewnym, że to zdrada była; takby to wziął na kiel, że koniec końców możeby i wisiał, pan Oskierko. Ale podpalenie gumna na wstępie ze wszystkiego go usprawiedliwi; żaden ekonom gumna nie podpali zaraz po żniwach, o tem wszyscy wiedzą; pan Oskierko, jak się obudzi, resztę włosów wyskubie sobie z głowy — A łajdaki! — krzyzczyć będzie — a rozbójniki, a psubraty barskie! Żeby noga wasza nie uszła! Musieli opium do miodu dosypać. A moja praca, mój dobytek, moja krew w popiół się obróciły! — i niema co powiedzieć, tem przed panem swoim okaże się prawym. A co, panie? prawda że mu się pokazałem życzliwym, że mu po przejadielsku usłużyłem?

— Prawda, Skołubusiu, niema co mówić; wylegitymowałeś siebie tak, że ani ludzie, ani Bóg ciebie potępić nie mogą.

— A widzi pan, że Skołuba ani zły, ani głupi! Teraz niech-no pan każe zaśpiewać pieśń konfederacką; jakoś weselej nam chodzić przy śpiewie. A potem trzeba pamiętać o panu chorążym Wołkowyskim, który bardzo za mną musi tęknąć przy swoim ognisku. Jak usłyszy naszą pieśń, to mu serce ledwo nie wyskoczy z radości.

Na rozkaz wojskiego wszyscy jednym głosem odezwali się.

„Stawam na placu, z Boga ordynansu“ itd.

Po odśpiewaniu tej pierwszej strofy, zastanowili się nieco wedle zwyczaju, azali ludzie lub aniołowie nie odpowiedzą; jakież było ich zadziwienie, kiedy kilka głosów donośnych, właśnie od strony, z kąd ogień oświecał las, odpowiedziały:

„Krzyż mi jest tarczą, a zbawienie łupem“ itd.

Zadziwienie było ich tem większe, że oprócz pana wojskiego, któremu dopiero coś o tem był bąknął Skołuba, żaden nie wiedział, że swoich znajdzie

przy tem ognisku. W tem poznali pana chorążego zbliżającego się ku nim, na czele kilku jeźdźców.

I ci i tamci stanęli o kilkanaście kroków od siebie i razem odśpiewali trzecią zwrotkę:

„Krew z ran wylana dla mego zbawienia“ itd.

Po jej odśpiewaniu, pan chorąży wysunął się naprzód:

— A to nasi, rozstap się ziemio mocium panie! Pozdrawiam was, bracia moi! Przy kim z was jest władza?

Skołuba zabrał głos:

— Pan Michał Strawiński, wojski Słonimski, tu rozkazuje, a wszyscy go słuchają.

— I ja chcę mu być posłusznym — odpowiedział pan chorąży — rozstap się ziemio! a to waćpan, panie wojski! Jeszcze żyje konfederacya na Litwie, kiedy my żywi: zapraszam panów braci do mojego ogniska.

Przyczem wszyscy zsiadli z koni i zaczęli się całować; pan chorąży z panem wojskim uściśnawszy się.

— Mości chorąży — odezwał się wojski — waćpan dobrodziej i wiekiem i zasługami i urzędem odemnie starszy; pozwól, żebym jemu złożył dowództwo.

— Nic z tego nie będzie, mości wojski, jakem szlachcic, jakem *sodalis*, na to nigdy nie pozwolę, stoję z mojemi pod rozkazy pańskie.

— Ale, mości chorąży, ja czuję, że mi nie przystoi dawać panu rozkazy.

— *Verbum nobile debet esse stabile*. Słowo się rzekło, mocium panie, kobyłka stoi u płotu; mam sobie za wielki zaszczyt być panu wojskiemu posłusznym. Hetmani zdradzają, ale szlachta zawsze poczciwa. Rozstap się ziemio, mocium panie, a to i pański adjutant, co nas karmił swoim chlebem: on mnie był w pole wyprowadził. Odrazu przypomniałem sobie, że go gdzieś widział. Ale gracz! Jak zaczął mnie pleść, że jest gajowym z Korelicz, myślę sobie, może go i spotkałem w puszczy, polując z księciem wojewodą; ale jak mnie żegnając do obaczyska, powiedział: — Jak nie wrócę po północy, proszę zmówić za mnie Anioł Pański, — rozstap się ziemio! mocium panie, pomyślałem sobie, tak mądrze gajowyby się nie odezwał. I przypomniałem sobie zaraz, że u mnie bywał z panem swoim, panem Janem Wazgirdem; poznałem całą hramotę, powiedziałem tylko, niech Bóg waści prowadzi, niby go jeszcze nie poznałem. Czy to zaraz ogłaszać, co się wie? Ze mną i szlachta i nie szlachta, a żyjemy w takich czasach, że zdrada, mocium panie, z przodu i z tyłu, i na prawo i na lewo. No, mocium panie, nie wiem waścinego nazwiska, ale aż nadto mnie przekonałeś, żeś prawdziwy szlachcic.

Skołuba, do usług pańskich.

— A, mocium panie Skołuba, gdzie się teraz pan Jan Wazgird obraca?

— Udało mu się umknąć z panem generałem Bielakiem, który w kilkakaset koni ciągnie ku południowi. I ja byłbym przy moim panu: ale jak zobaczył, że pana Wojskiego niema, kazał, żebym go odszukał. A ja z wierności sługi i przy pomocy Bożej, dopełniłem nad moją nadzieję rozkaz pański;

bo za szczęściem pana wojskiego tych panów, co ich pan chorąży widzi przed sobą, udało nam się uwolnić.

— Rozstąp się ziemio! mocium panie, łebski z waści szlachcić, panie Skołuho.

— Niechże pan chorąży pozwoli, bym mu oddał ten sygnet, coś mi go pan powierzył, a który może mi dał szczęście; wszak razem jakiś czas będziemy.

— Nie mocium panie, dopiero w Dziewiątkowiczach go wykupię. Mości wojski i wy, panowie bracia, proszę panów z sobą; tylko ogniem was poczęstować mogę, bo to, co miałem z łaski pana Skołuhy, już się zjadło. Cieszę się, jak przy śmierci na widok Anioła Stróża, więcej się cieszyć nie będę, że was panowie bracia oglądam; ale czem będziemy żyli? tego nie wiem.

— Skołuho wszystko opatrzył — odpowiedział pan wojski — bo nietylko, że nas żywych wyprowadził, ale jeszcze brykę obładowaną owsem zdobył, a jego wózek aż się ugina pod wiktuałami, które prawem kaduka zabrał ze spiżarni arendarza Bortnickiego.

— Rozstąp się ziemio! mocium panie, z waści złoty człowiek, panie Skołuho! Jak się dostaniem do Dziewiątkowicz, kolejnym kielichem waćpana zdrowie wypijemy, i to starym węgrzynem.

Po tej rozmowie przy gościnnem ognisku chorążego roztasowała się szlachta obozem. Chociaż nie można było spodziewać się napadu, jednakże wojski, jako wódz przezorny, nie zaniedbał użyć wszelkiej ostrożności. Z ludzi pana chorążego, jako nie zmęczonych pochodem, porozstawiał placówki, ile że oni jedni mieli broń ognistą, czem na każdy wypadek mogli dać ostrzeżenie obozowi. A sam je rozstawwszy, później po kilkakrotnie sen przerywał, żeby opatrzyć czy robią swoją powinność, i chorąży do tego mu pomagał; bo chociaż to nie był człowiek wielkiego zdania, jednak przyrodzoną zmyślnością i doświadczeniem, jakie nabył w ostatnich wojnach domowych, pojął rzemiosło rycerskie. Ale nim się udali do spoczynku, długo jeszcze rozmawiał chorąży z wojskiem, rozwijając przed nim najdziwacznwsze plany do ożywienia konfederacyi w Litwie, plany, których słuchał wojski z budującą cierpliwością.

— Mości wojski — mówił — wszystko pójdzie dobrze, tylko bez tego nic; trzeba nam dostać hetmana Ogińskiego i kazać go powiesić, jak *reum criminis status et perduellionis*. Od tego nam zacząć koniecznie trzeba.

Wojski niepostrzeżenie się uśmiechnął.

— Widzisz, mości chorąży dobrodzieju, że na wstępie rzecz się rozbiła. Wszakże pan hetman już dziś musi być w Prusiech, jakże go dobyć ztamtąd?

— Rozstąp się, ziemio! mocium panie to sęk; jednak mam znajomość i dobrą z umocowanym pana Kurfirsta: on mieszka w Tawroniach, póki skarb Radziwiłłowski do ostatniego grosza nie wypłaci tego, co jego panu winien. Otóż czyby nie można przez tego umocowanego jakoś trafić do pana Kurfir-

sta, żeby nam wydał Ogińskiego? C waćpan na to mówisz, mości wojski? możeby się to nam udało?

— To napróżno, mości chorąży, lepiej to odłożyć *ad feliciora tempora*. Po Stołowickiej porażce już niema co robić na Litwie, niech się pan chorąży zgodzi z wolą Pana Boga i ulegnie królowi; niech sobie siedzi zdrów w domu, zachowuje swoich przyjaciół, ma w pilnem baczeniu wychowanie dzieci, a w majątku swoim załata te dziury, których mu narobiły jego szlachetne poświęcenie się i nieszczęśliwe ich rozwiązanie. Niech się no pan chorąży w niczem nie naraża królowi i czeka cierpliwie, jak nami Bóg rozrządzi.

— A pan wojski co myśli z sobą zrobić?

— Będę się starał przedrzeć do naszych w Krakowskie.

— Rozstąp się ziemio! mocium panie, ja z waćpanem tam pójdę!

— Nie, mości chorąży, waćpan masz inne obowiązki; masz żonę, dziatki, nie godzi się ich na los szczęścia puszczać. Co do mnie, moje życie nikomu niepotrzebne, żadna powinność nie każe mi go oszczędzać. Wyjąwszy chwil krótkich, cały żywot mój był pasmem cierpień, i wielkich cierpień; własnych myśli, własnych przypomnień więcej się obawiam, niż tych niebezpieczeństw, któreby mi mogły zagrażać utratą majątku, życia, swobody. Takie jest moje przeznaczenie, i chociaż najmniejszej nie mam nadziei cieszenia się kiedyś powodzeniem moich przedsięwzięć, postanowiłem do końca im się poświęcać. Zdaje mi się, że Bóg na to mnie powołał, bym cierpiał i tak silną w tem mniemaniu pokładam wiarę, że jeżeli nie cierpię, zdaje mi się, że wykraczam.

Zamyślił się chorąży i westchnął kilkakrotnie, poczem zbliżyli się wszyscy do modlitwy wieczornej. Obóz rozdzielił się na dwa chóry. Jednym przewodniczył wojski, drugim chorąży, i na cześć Najświętszej Orędowniczki grzeszników, zaintonowali pobożne godzinki Niepokalanego Poczęcia, a po odbytych modłach: z tą ufnością w Bogu, osładzającą wszystkie złe przygody na nieco zroszonej ziemi rycerstwo udało się do spoczynku.

XXXIII. Wyjazd do Warszawy.

Obóz ze świtem wyruszył do Korelicz, dokąd bez przygód dostał się trzeciego dnia. Tam go spotkało szczęśliwe zdarzenie; pan Paweł Przećławski, cześnik Słonimski, sędziwy starzec, a któremu wiek podeszły nie pozwolił czynnie służyć konfederacyi, innego rodzaju poświęceniem wysłużył się ziomkom. Zaraz po Stołowickiej klęsce osiadł w Koreliczach i, zniósłszy się z panem Mikołajem Ancutą, rządcą generalnym tych dóbr Radziwiłłowskich, ułatwiał błakającym się niedobitkom środki bezpiecznego dostania się do ich domów, zręcznie usuwając przeszkody, jakieby im mogli stawić stronnicy królewscy. Tym sposobem i pan chorąży i towarzysze pana wojskiego wrócili do gniazd swoich. Sam wojski, zawsze stateczny w zamiarze raz powziętym złączenia się z konfederacyą, walczącą w województwie krakowskim, sporządził w Koreliczach testament, który uprawnionym został pod-

pisanem świadectwem pana cześnika i pana Ancuty; a pana chorążego uprosił, iż zezwolił na naznaczenie siebie egzekutorem testamentu. Majątek odziedziczony po ojcu bez żadnych wykrętów prawnych, jako na przykład obciążania sumami, jego wartość zmniejszającami, przekazał rodzonemu bratu, przyrodzonemu spadkobiercy, oświadczając, że żadnego przeciw niemu nie zachowuje żalu; że jeżeliby nawet brat jego względem niego coś przewinił, to mu z całego serca odpuszcza, prosząc go nawzajem o przebaczenie, jeżeliby go w czem obraził, czego sobie jednak nie przypomina. A swojemi kapitałami, jako własną pracą przysporzonymi, rozrządził już nie wedle krwi, ale wedle skłonności własnych. I tak: znaczny legat zrobił panu Janowi Wazgirdowi, niemniej zapisał sumy Dominikanom i Bernardynom Słonimskim, żeby mieli staranie o jego duszy, Skołubie zabezpieczył porządny kęs chleba, nie zapominając ani o Buńczukiewicz, ani o innych sługach. Powracając do swojej ojcowizny na Słonim, w Grodzie ten swój testament opieczętowany złożył. Pan wojski, szlachcic zasobny, oprócz kapitałów co je miał w skarbie Radziwiłłowskim, a którymi rozrządził testamentem, miał jeszcze kilkadziesiąt tysięcy reponowanych u Dominikanów Słonimskich; tę sumę podniósłszy, zamienił ją na złoto, dla łatwiejszego przewozu, i nią napchał trzy trzosi, którymi opasał siebie, Buńczukiewicza i Skołubę.

W majątku swoim znalazł u wiernego rządcy kilka tysięcy gotowych oprócz znacznych remanentów; pieniądze zabrał ze sobą, a zbożowym remanentem poobdzielał szlachtę czynszową na jego ziemi osiadłą i poddanych, a swojemu rządcy zapewnił folwarczek dożywota i zostawił mu najobszerniejsze zakwitowanie, żeby na wypadek śmierci swojego pana od jego spadkobierców o kalkulację nie był turbowany, dodając słownie, że go prosi, by i nadal opiekował się jego majątkiem z równą troskliwością. Tak tedy wywiązawszy się z obowiązków, do których się poczuwał jako chrześcjanin, przyjaciel i pan, zaczął się wybierać do podróży.

Wybrał choć niepokazną, jednak jaknajlepiej opatrzoną brykę ze swojej wozowni, do niej kazał zaprządz cztery konie także niepokazne, ale doświadczone, i trzynastego tygodnia po wypadku Stołowickim opuścił Litwę. Skołuba i Buńczukiewicz naprzemian powozili, już nie ubocznymi drogami, ale wielkim gościńcem Warszawskim, raz, że jadąc wielkim traktem, tem mniej wzbudzał podejrzania; powtóre, że chciał być w Warszawie, dla zasiągnięcia tam wiadomości, którymiby mógł oświecić generalność. Oszczędzając koni, a do tego bojąc się zbyt nim pośpiechem obudzić podejrzenie, po kilka mil tylko robił na dzień, tak, że konie z tuszy nie spadały. Przeciwnie, w czasie podróży zdarzali się na nie kupcy; ale pan wojski tem się składał, że mu koniecznie trzeba być najrychlej w Warszawie, gdzie już naprzód wyprawił kilka fur słoniny na sprzedaż, że więc koni za nic zbyć nie może. Odziany w kapocie sierakowej, w butach jałowicznych, w czapce z krajowego jagnięcia, łatwo uchodził wszędzie za jednego z tej szlachty, handlującej słoniną, co ich spotykano ledwo nie na każdym kiermaszu w Koronie i w Litwie.

Już ich tylko kilka mil oddzielało od Warszawy, kiedy zajechali na nocleg do karczmy obszernej, samopas stojącej przy wielkim trakcie, przy niej było mnóstwo fornalek obładowanych żywnością różnego rodzaju, które nazajutrz miały wyruszyć do Warszawy. Pan wojski w szynkowej izbie zabrał znajomość z podlaskim szlachcicem, który z Warszawą handlował słoniną, i miał właśnie z sobą dwie fornalki z tym towarem; za poradą Skołuby, zaprosiwszy szlachcica na kufel piwa, jak zwyczajnie słoniniarz litewski słoniniarza podlaskiego, z dyskursu taką mu zrobił propozycję:

— Panie bracie, jak uważam jesteśmy z jednego cechu; wyprawilem przed sobą dziesięć fur słoniny, które na mnie czekają na Pradze; waćpan ich masz z sobą dwie: jeżeli mnie je odstąpisz, będzie tuzin okrągły, liczba szczęśliwa, a przy hurcie może i łatwiejsza sprzedaż. Masz waćpan ze mnie kupca.

— Mój mospanie, waćpan co się także z tem bawisz, wiesz z doświadczenia, że my handlarze i koszulę z grzbietu zrzucimy, byle za nią nam dobrze zapłacono. Ja otwarcie powiem, mospanie, że mnie zręczniejsz ztąd powracać piechotą do Mordów, gdzie mam kawałek dziedzicznej ziemi, niż z prózną furą iść do domu, wyekspensowawszy się w Warszawie i na swoich koniach. Bo jużci kupując towar, musisz waćpan zabrać i to co go dostawia, wszak moich dwóch fornalek na swojej bryce waćpan nie zabierzesz.

— I na to zgoda, byle się waćpan nie drożył.

— Waćpan mospanie nie fryjer; te rzeczy musisz umieć na pamięć. Zapłać mi waćpan za każdą fornalkę słoniny po złotych osiemset, a za cztery konie po złotych dwieście za każdego: konie cztery lata na piąty, waćpanu wolno w zęby zajrzeć, bo to niedarowane. Suma dwa tysiące czterysta złotych. Jeszcze wasągi darmo waćpanu przyjdą, a ja z moim czeladnikiem, szlachcicem jak ja z Mordów, z biczem w rękę, do swojej baby powrócę.

Tu się Skołuba wniósł do dyskursu:

— To waćpan nie potrącasz ekspensy, jakąbys miał w Warszawie, nie wchodząc w to, że i to jeszcze pytanie, czy się uda sprzedać słoninę, bo już jej bardzo wiele z Litwy wyruszyło.

— Mój mospanie, jak towar dobry, znajdzie on i kupca; a i waszeci pryncypał u mnieby go nie targował, gdyby go się sprzedać nie spodziewał. Co do ekspensy, jam z góry do tego się przyznał, że bez niej ani opędzić Warszawy; a czyżbym sobie dał gadać o sprzedaniu towaru przed samą Warszawą, gdyby nie to, że człowiek radby sobie umniejszyć ekspensy? Ale z drugiej strony, mospanie, warto przecie porachować biedę, która na mnie czeka w domu, jak swojej babie gościńca nie przywiezę; a i to mospanie coś warto, że piechotą pielgrzymkę odbędę, za co odpustu nie dostąpię.

Targ w targ, szlachcie sto złotych spuścił, wymawiając sobie na poręczawiczne traktament od strony kupującej. Na co się pan wojski zgodził i dwa tysiące trzysta złotych Podlasianinowi wyliczył; a Skołuba, jako pierwszy minister, natychmiast zaintromitował się do koni i fornalek: postawił je koło swoich, dobrze je wprzódy opatrzywszy i dopiero powrócił do szynku.

Wojski kazał postawić na stole kwartę królewską anyżówki, garniec piwa i misę jajecznicy. Podlasiainin swojego czeladnika, wojski swoich dwóch przywołali do stołu i wszyscy pospołu zaczęli się bawić anyżówką. Wszystko szło gładko, jednak pan Czesław, jako młody, gorzałki przy panu swoim nie pił, tylko piwo, a i tego nie użył dowoli, gdyż na znak dany jemu od Skołuby, wysunął się za nim do sieni.

— Czesławieńku — powiedział mu Skołuba na osobności — kładnij się zaraz i wyśpij, bo ze świtem naprzód pójdiesz z temi dwiema fornalkami, a my ciebie napędzimy. Dobranoc, ja muszę panu pomagać do traktowania braci Podlasiain.

Tak też się stało. Czesław się położył koło koni, a Skołuba i pan wojski uradowali się z Podlasiainami jak się należy, tem więcej, że z dyskursu się pokazało, że szlachcic, który się nazywał Lechnicki, był klientem pana Kuczyńskiego, podkomorzego Drohiczyńskiego, męża wielce poważanego od księcia wojewody, a tem samem sprzyjał konfederacyi Barskiej. Nawet powtarzał na króla, że jest podejrzanego szlachectwa, że dziada swojego nie pokaże, jak to mu dowodzili na dworze JW. podkomorzego.

Przy pierwszych blaskach jutrzienki biesiadnicy dobrze podchmieleni zaprzestali zabawy. Skołuba pomógł wojskiemu rozebrać się i położyć na bryce, a sam, pamiętny na wszystko, rozbudził Czesława, założył mu nowo kupione konie do fornalek, i wyprawił na wielki trakt. Nakoniec położył się na tem samem miejscu, które dopiero zajmował pan Czesław.

I wojski i Skołuba aż dobrze po dziesiątej zrana się obudzili: chcieli się jeszcze pożegnać z panem Lechnickim, ale ten już od dwóch godzin ze swoim czeladnikiem stępował ku Podlasiainowi; puścili się i nasi w podróż. Czesław miał przed nimi kilka godzin, ale szedł noga za nogą, a brykę ciągnęły konie klusem; ztąd przed wieczorem dopędzili fornalki o milę przed Pragę, tam przenocowali, i przed świtem znów wyprawili Czesława, a sami, parę godzin wypocząwszy jeszcze, złączyli się z nim przy rogatkach Pragi. Zajechali razem do żydowskiego domostwa, ulokowali konie i powóz; a pan wojski, zdawszy na Skołubę sprzedaż swojego towaru, wzięł na siebie kapotę, jak zwyczajnie handlarz, i kilkanaście złotych w kieszeń, poszedł piechotą mostem, łączącym Warszawę z Pragę, i puścił się Bednarską ulicą do tej stolicy, gdzie lat dwa się uczył, a którą w dzieciństwie opuścił.

Już było po dziesiątej. Wojski nie lękał się żadnego spotkania; w Warszawie nie było nikogo z takich, z którymi był w zażyłości, a co się tyczy tych, co ich znał przed laty, on tak był osiwiiał, tak podstarzał, że chyba po wymówieniu swojego nazwiska byłby poznanym.

Gdy wszedł na Krakowskie Przedmieście, mnóstwo pojazdów angielskich, mnóstwo lokai lśniących się złotem, mnóstwo laufrów okrytych sztucznymi kwiatami, nie tyle go uderzyło obrazem przepychu, ile przekształceniem obyczajów narodowych na wzór zagraniczny. Rzucił wzrok pogardy na tę wystawę zbytku, zwiastującą upadek kraju, a pobudzającą nędzę, która zawsze obok

zbytku się wylęga: nigdzie na prowincyi nie widział podobnego ubóstwa; nietylko, że się ono pokazywało w łachmanach, ale nawet co kilka kroków spotykał ludzi niezgorzej odzianych, a jednak wyciągających rękę.

Zatopiwszy się w modlitwie, nic doczesnego nie żądał od Boga, cała jego modlitwa była ścisłym jednoczeniem woli własnej z wolą Stwórcy i Zbawiciela swojego. Rozpamiętywał wielką tajemnicę okupu naszego, a cierpienia swoje zanurzywszy w cierpieniach, które Bóg człowiek znosił na ziemi, uczył jakiś spokój serca, jakąś błogość duszy, któremi Bóg nawet wierne sługi swoje rzadko obdarza, a które, gdyby grzesznicy zdołali poznać, obmierzyłyby im ten świat, którego zostali niewolnikami; ale wkrótce jakiś szmer go przebudził.

Dwóch lokai sążnistych, bogato ubranych, zaczęli z trzaskiem lud rozpędzać, chociaż zgiełku nie było. Jeden z nich niósł mały kobierzec, drugi składane krzesło. Wojski, okiem na nich rzuciwszy, poznał barwę Strawińskich i godło swojego rodu.

Serce zaczęło mu bić gwałtownie, kiedy za nimi obaczył idącą tę niegdyś Zosię, którą ubóstwiał, na którą długo patrzył jak na towarzyszkę żywota daną mu od Boga, a której obraz dotąd w jego sercu nie był zatartym.

Prowadził ją za rękę widać jakiś pan dworu, bo jeszcze młody, a już gwiazda orła białego błyszczała na jego piersiach i oczy jego dumne rozsiewały pociski na lud ustępujący mu z drogi.

Zosia była piękniejszą niż kiedykolwiek, i powszechny szmer uwielbienia przywitał ją w całym kościele.

Za nimi szedł paż złotem i szkarłatem błyszczący, który, wysunawszy się przodem, podał pani swojej książkę do nabożeństwa. Ona, lekkim skinieniem głowy i uśmiechem pełnym wdzięków podziękowawszy swojemu przewodnikowi, klękła przed wielkim ołtarzem, podniosła w niebo swoje szafirowe oczy, potem usiadła, i z książki wykwintnie oprawnej zaczęła się modlić.

Jej kawaler, nie przeżegnawszy się nawet, stanął za nią o parę kroków i, dobywszy z kieszeni lornetkę, strzelał przez nią roztargnionym wzrokiem po wszystkich kierunkach kościoła, dopóki nie zbliżył się do niego inny młodzieniec, zaszczycony także orderem, chociaż niższym, który go powitał ukłonem pełnym uniżoności.

Kawaler orła białego, po zamianie z nim kilku słów, oparł się na jego ramieniu, obaj cofnęli się za konfesyonał, i zaczęli z sobą rozmawiać, dialog swój zaprawiając częstym, a głośnym śmiechem.

Zosia modliła się szczerze, i czasem łza wydobywała się z jej źrenicy.

Wojski przez jakiś urok nie mógł oczu oderwać od tego przedmiotu, który go na zawsze szczęścia pozbawił: westchnawszy z głębokości serca, tak do siebie przemówił: — Mój Boże! brat wszystkie obowiązki potargał, żeby ją ojcu, bratu, sławie odebrać, a teraz jej straż porucza jakiemuś możnemu wiercipięcie, który nieprzyzwoitością swoją gorszy lud korzący się przed Bogiem. Gdyby, jak być miało, była moja, czyżbym wszędzie, a zwłaszcza w domu Bożym nie był jej nieodstępny towarzyszem? O Zosiu! widzę

jednak łzy sączące się po twarzy twojej! Pomimo tego pozoru niezupełnie być musisz szczęśliwą; ale nie! to jakieś ulotne przypomnienie twojego sędziwego ojca, twojego rodzinnego domu. Po tym uśmiechu, którymś podziękowała swojemu przewodnikowi, widzę, że te łzy wspomnienia lada powiew wielkiego świata wysuszy. Bądź jednak szczęśliwą, o Zosiu; jużes dla mnie stracona na zawsze, już mi nawet myśleć o tobie niewolno. Oby Bóg ciebie ani za mnie, ani za twojego cnotliwego ojca nie karał; bądź szczęśliwą, o Zosiu! — I spiesznie wyszedł z kościoła.

Błąkał się po mieście bez celu, obojętny na gwary zawsze i wszędzie głupiego pospólstwa, na zuchwałstwo liberyi, na stroje zagraniczne, któremi próżniaki stolicy zacierali narodowość swoją. Spotykał często kontuszowych, którzy jak goście wyglądali wśród wynarodowionego grodu. Rozpoznawał jednak z jakąś uwagą rozmaite godła na facyatach pałacowych; ominął szybko pałac, który po orle czarnym na niej wyniesionym poznał być Radziwiłłowskim, a to z obawy żeby się nie natknąć przypadkiem na jakiego sługę księcia wojewody, gdyż w Warszawie chciał być dla wszystkich nieznanym. Ale zastanowił się nieco za Żelazną Bramą, przechodząc koło pałacu, jak widać świeżo wzniesionym, poznawszy na jego facyacie — połączone herby Strawińskich i Kunickich: — Tu jest — rzekł do siebie — mieszkanie mojego brata i jego żony; gdybym wstąpił do niego, dowiedziałbym bratu, że przeciw niemu nie piastuję żalu, że zapomniałem o krzywdzie, którą mi wyrządził. Byłby to z mojej strony krok wielce chrześcijański. Onby mnie dobrze przyjął; ale nie, stanę mu się tylko powodem zgryzoty, on mojego oblicza nie zniesie. Nie jest to człowiek bez sumienia; on zawsze był szlachetnym. Lepiej go ominąć; on może jest nieszczęśliwszym odemnie. Ja ciebie bracie żegnaj na zawsze — bądź szczęśliwym!

Kilka godzin będąc na nogach, nieborak się zmęczył i zabierał się szukać miejsca skromnego, gdzieby się mógł posilić stosownie do swojego powierzchownego ubóstwa, kiedy blisko Kapucyńskiego klasztoru obaczył idącego przed sobą jakiegoś szlachcica w mundurowanej kontusinie wytartej i z szerpentyną u boku. Zrównawszy się z nim, spostrzegł, że miał wielki kitajkowy plaster na czole. Wszakże szlachcic miał głowę odwróconą w stronę przeciwną, więc wojski nie mógł się przypatrzeć jego twarzy; ale coś w ruchach jego przeczuwał jakąś dawną znajomość, aż gdy nakoniec obrócił się ku niemu, zaraz wojskiemu się zdało, że to twarz znajoma i bardzo znajoma. Upatrywał jakieś podobieństwo z Wazgirdem; ale te go wstrzymywało, że Wazgird miał ogromne wąsy, z którymi za nic w świecieby się nie rozstał. Tak tedy się wahał, kiedy nieznanomy, przyskoczywszy do niego, wziął go pod ramię, i cichym głosem szepnął mu w ucho: — Nieprawda, Michsiu, że nie łatwo mnie poznać?

— Ach, to ty, mój drogi Jasiu!

— *O ter beata illa dies*, kiedy ciebie oglądam swobodnie przechodzącym po ulicach stolicy. Gdzież stanąłeś?

— Na Pradze, gdzie twój Skołuba, który z łaski twojej mnie oswobodził z utrapienia, na to tylko, żeby do was prędzej trafić.

— Powiedzże mi, Michasiu, jakież są w tej chwili twoje zamiary?

— Oto cierpię głód, bo obiegłem nogami ledwo nie całą Warszawę, szukam skromnego obiadku, stosownego do mojej odzieży.

— Ja ciebie proszę na obiad.

— A dokąd?

— Do siebie: kwateruję i stołuję się od trzech dni, jak tu bawię, u starej wdowy blacharza kapucyńskiego, z której synem teraz koleguję. Jej syn jest to poczciwy konfederat, szlachcic, a nawet towarzysz chorągwi JW. podczaszego Litewskiego; dał on mi list do swojej matki, a jaka poczciwa babcina! jak zablakana w tej Sodomie! jejby u nas żyć. Choć, będziemy mieli obiadek szlachecki i będziemy go jedli *semotis arbitris*.

Stanąwszy przed kamienicą, poleźli aż pod strych, gdzie, otworzywszy drzwi, pan Wazgird pozdrowieniem chrześcijańskim powitał staruszkę, siedzącą nad pończoszką i dodał:

— Moja jejmość, przedstawiam waćpani mojego dawnego przyjaciela, poczciwego jak ja Litwina, który, handlując słoniną, pierwszy raz do waszej Warszawy zawitał. Jemu daleko iść na Pragę, zaprosiłem go na obiad do jejmości. Niechże jejmość się stara, żeby nie wstał głodnym. Oto parę złotych, ale żeby obiad mógł być zaraz, bo obadwaj jesteśmy głodni.

— A dobrze, moje państwo — odpowiedziała staruszka — niech pan ten, którego honoru jeszcze nie wiem, siądzie za stołem na mojem miejscu, a ja jakoś pożywię moje stare kości tem co się zostanie.

— Nazywam się Poraj — odezwał się wojski — który w samej rzeczy tym herbem się pieczętował.

Staruszka, nisko się ukloniwszy, otworzyła szafę, z niej wyjęła sztof gorzałki i talerz szynki, to postawiła na stole okrytym chędogo bielizną, a sama wyszła zastawić obiad już gotowy.

Wojski już przy wódeczce zaczął pytania robić, ale Wazgird mu przerwał temi słowy:

— Po obiedzie babeczka nas zostawi; wszystko sobie opowiemy, jak zostaniemy sami.

Staruszka przyszła z obiadem, przyjaciele siedli za stołem, ona im usługiwała, a oni zawsze grzeczni, z nią tylko rozmawiali, bez zdradzania swojej niecierpliwości, by sami zostać, ale kiedy staruszka wyniosła za drzwi obiadu szczątki, obaj goście, siadłszy obok siebie pod okienkiem strychu, zaczęli wzajemnie otwierać sobie swe dusze.

Wojski opowiedział wszystkie szczegóły prawie cudownego swojego oswobodzenia, dalej pochód przez bory, nim się dostał do Korelicz, i nie zapomniał o podróży swojej do Warszawy.

— A co! mój Skołuba czy nie zuch? tego mi się popisał, jak go obaczę, upiję się z nim.

— Ja ci go przysnę tej nocy.

— Dobrze, a ja ci go po świecie odeślę; przyznam ci się, że gdybym nie wiedział, ile on tobie musiał być potrzebnym, byłbym za nim tęsknił. Tu bez sługi się obchodzę, bo nie myślę kąta zagrzać, ale w obozie źle mi z luzakiem, bo choć on wiernie służy i ma staranie o moich koniach, ale cudzy, nie mogę jakoś się wdroić do jego usługi. Swoje robi, to prawda, ale ani mi się sprzeciwia, ani się umie poznać na moich żartach; a nie tak jak Skołuba, co to mu się gęba nie zamknie: a nie naprzykrzył się tobie czasem, panie Michale?

— Gdzie tam! ja go pokochałem jak przyjaciela.

— Ale! ten cisawy koń, co go miałem z twojej łaski, a który mnie wyprowadził z pod Stołowicz, podziękował mi za służbę pod Lanckoroną: kartacz mu pierś rozdarł podemną; my obaj padli, tylko żem ja wstał, a on do tąd leży.

— Jak idą wasze interesa w Małopolsce?

— Albo ja wiem: rozumni ludzie mówią, że źle, ale tego nie widzę. Prawda, że niejednemu bieda musiała się naprzykrzyć: co to, panie Michale, od dwudziestu prawie tygodni, jak my się z tobą rozdzielili, odtrąciwszy ten tydzień, co mi go połknęła Warszawa i podróż do niej, a drugi, co go zjadł pochód od Stołowicz do Niepołomnicy, codzień prawie mogłem się obaczyć ze Świętą Trójcą. Kto słabego serca, to mu takie życie dokuczy; zwłaszcza koroniarze, co to z kopyta cuda dokazują, ale aby przeciwność, cierpliwość tracą i stygną. Prawda, że znalazł się taki, co nas odstąpił, że nie o jednym mówią, że chociaż z nami chodzi tam, gdzie trzeba, cichaczem stara się o zgodę z panem stolnikiem, ale czy to zaraz wierzyć, kiedy ludzie co złego o kim mówią? Jest to w naturze koroniarzów na bliżnim czci ni wiary nie zostawić: dość, że tych, o których najgorzej mówiono, widziałem na własne oczy tam, gdzie było dość kręto, a przecie żaden nie stchórzył. Prawda, że pan Sawa zginął, że pan Szyc dostał się do niewoli, ale mamy pana Walewskiego, pana Rzewuskiego, chorążego Litewskiego, pana Dzierżanowskiego, pana Zarembe, pana Demuliera, o którego szlachectwie czart wie, bo to Francuz, ale po szlachecku naciera z pałaszem w rękę, a nad wszystkimi pan Kazimierz Puławski, przy którym i tchórz musi zostać odważnym. Za cóż więc ręce opuszczać? oto tylko niedobrze, że naszego księcia trzymają w Proszowie; onby chciał bić się, a jemu każą ministrować; a ty wiesz, jak nam Litwinom źle bez niego. Jakkolwiek się dzieje, on zawsze mówi: — ku lepszemu idzie, panie kochanku!

— Po cóżes tu się dostał, panie Janie?

— Po co! a czemu się nie pytasz, gdzie się podziały moje wasy, co to ich cała Litwa zazdrościła, którychbym za dygnitarstwo nie oddał? Wszak ty wiesz, panie Michale, że dwa razy niemi uszy okręcałem; kiedyż to się ja ich na nowo dohoduję? A jednak złożyły mte wasy, ten skarb mój, na ołtarzu Ojczyzny.

— Nie uwierzysz, w jaką ciekawość mnie wprowadzasz.

— Oto generalność postanowiła wezwać króla do siebie, żeby sam stanął na czele konfederacyi, z groźbą, że jeżeli nie stanie, odsadzony będzie od korony za niedotrzymanie Paktów Konwentów. Najpierwszych prawników wezwano do aktu; ale cóż? trzeba mu pozew położyć, i to we własne ręce, jako królowi; tobie o tem nie mówić, bo prawo umiesz na pamięć.

— Cóż dalej?

— Poczekaj! Pan Puławski zebrał nas z dziesiątek, ale takich, których odwagi doświadczył, i taką zaśpiewał antyfonę:

— Panowie bracia, kto z was chce się podjąć ten papier oddać w rękę królowi? ale tego przed wami taić nie mogę, że jeżeli go złapią, niezawodnie podciągną go pod prawo *de laesa Majestate*, i ten swój krok gardłem przyplącić może. — Sami byli koroniarze, ja jeden Litwin między nimi; żaden się nie chciał podjąć; rozumie się, rzecz nienajsmaczniejsza. Mnie ambicya ruszyła o honor prowincyi: — Ja biorę to na siebie — odezwałem się. — Pan Puławski serdecznie mnie uściskał; przyznam się tobie, panie Michale, że później niemałą miałem pokusę od wszystkiego się jakoś wycofać, ale kłamka zapadła, szlacheckie słowo; wstyd, pfe! Poszedłem do spowiedzi do ks. Marka, i zaraz pokusa ustała; dyabłu nie wojować z księdzem: oto masz pozew, odczytaj go sobie.

Wojski zaczął go czytać z najgłębszą uwagą, poczem odrzekł: — Prześliczny pozew, gruntowny, na prawie oparty, przez całe moje życie nic równie pięknego nie czytałem; poznaję pióro pana Bohusza, on jeden u nas na coś podobnego zdobyć się może: jaka głęboka praw naszych znajomość! Przedłużaj opowiadanie swoje! jako przyjaciel, jako obywatel nie mogę ciebie nie słuchać z największą uwagą.

— Pan Kazimierz między czterema oczami dał mi instrukcyę, a nawet na piśmie inwentarz obywatelów, do których po drodze miałem zajeżdżać, ale pisany tajemniczym językiem, na co dał mi klucz. Oni mój przejazd ułatwili, bo jak się pokazuje, że oprócz Warszawy, której się z nim dobrze dzieje, po wszystkich województwach szlachta nie sprzyja panu stolnikowi: i te same domy, co mnie ułatwiły przejazd do stolicy, ułatwia i odwrót, jeżeli mi się uda z głową na karku zostać. Ale, jak widzisz, musiałem wąsy ogolić, bobym niemi wzrok ludzki ściągnął, a moją podwójną kresę na czole zakryłem czarnym plastrem.

— Wszystko to dobrze, panie Janie; tylko cała rzecz idzie o to, żebyś miał trzech świadków szlachty, jak pozew królowi położysz, inaczej mogą zaskarżyć relacyę pozwu.

— A to prawda, a mnie to ani przez myśl nie przeszło.

— Panie Janie, trzeba koniecznie, żeby ten pozew był położony królowi, jakibykolwiek los miał spotkać oddawcę. Niema wątpienia, że jak król pozew odczyta, natychmiast rozkaże schwytać zuchwalca; ale tu nie idzie o śmierć oddającego, ale o to, żeby relacya pozwu była zeznaną, a jak pójdziesz na rusztowanie, kto zezna twój pozew?

— Można iść o zakład, że król tego pozwu czytać nie będzie; wczoraj

byłem świadkiem, jak wychodzącemu z fary królowi mnóstwo suplik podano; to on na kilkadziesiąt takich suplik ledwo kilka odczytał, a resztę oddał szambelanowi na służbie będącemu.

— Słuchaj, panie Janie, ty wiesz, że jestem prawnikiem, do mnie ta rzecz należy. Woźnemu prawo nie zabrania innemu woźnemu zdać pozew, byle tylko był położony. Ja się lepiej od waćpana sprawię, ja pozew królowi położę, a będę miał was trzech świadków z rodowitej szlachty: ciebie, Skołubę i Buńczukiewicza. Każdemu z was dam kopię pozwu, ażeby, broń Boże na mnie nieszczęścia, był taki, coby mógł uczynić przed generalnością relację pozwu. Wmieszany między pospółstwem, wręcę królowi pozew, niby jako suplikę, a wy, jeżeli mnie porwą, uciekajcie co tchu do swoich, żeby relację zeznać z tego, coście słyszeli i widzieli.

— Ja miałbym ciebie narażać?

— Tu nie chodzi ani o mnie, ani o ciebie, ale o to, żeby wola generalności spełniona była. Jako obywatel, domagam się tego od waćpana, ażebyś się mnie nie sprzeciwiał.

— Ty masz odemnie więcej rozumu, panie Michale, winienem tobie ustąpić. Ale pamiętaj, że jeżeli król, odebrawszy twój pozew, a nie przeczytawszy, odda go w ręce swojego szambelana, ty wmieszaj się w pospółstwo i ruszaj piechotą do Falent, o pół mili od rogatek Jerozolimskich, do tamecznego plebana, dokąd i my trafimy. Ten pleban, który się nazywa Skrzepicki, ułatwia wszystkie porozumienia pana Kazimierza ze stolicą, i miałem list do niego. To człowiek z porządną głową, a jakkolwiek zauszniczy dworu go podejrzewają, nie mogą mu nic zrobić, bo ma największą łaskę u pani krajczyny koronnej, terazniejszej faworyty królewskiej. On nam ułatwi odwrót, w tem jego głowa.

— Niema czasu do stracenia! Dla Boga, daj mi pióro, kałamarz, i trzy arkusze papieru, żebym dla nas spisał relację pozwów.

Gdy Wazgird przyniósł mu co było potrzebnem, wojski zasiadł, i z wprawą doświadczonego jurysty w przeciągu godziny na trzy ręce napisał relację. Jedną z nich wręczył Wazgirdowi, a dwie drugie i sam pozew oryginalny schował w kieszeń swojej kapoty, w kieszeń co pokrywa serce. Poczem odezwał się:

— Panie Janie, dziś jeszcze musisz mi zrobić jedną wielką łaskę.

— Rozkaż.

— Dziś w kościele św. Krzyża widziałem moją bratową.

— Nie mianuj jej tak, panie Michale, bo się wstydzę, że ją ktoś mieć może za moją siostrę; ale przynajmniej nigdy jej widzieć nie będę.

— Dziś jeszcze musisz z nią pomówić.

— Do tego żadna potęga ludzka mnie nie skłoni.

— Potęga nie, ale przyjaźń, do tego ciebie zobowiąże; ty dla mnie to musisz zrobić. Ona była ze mną zaręczona, oto jest obrączka, co z jej rąk w przytomności tylu świadków i twojem odebrałem. Nie zwróciwszy mi znaku

mojej obietnicy, nie odebrawszy swojego, innemu wiarę przysięgła i odważyła się przed Bogiem wyrzec, że nikomu nie ślubowała małżeńskiej wiary. Idźże więc do niej, oddaj jej ten pierścionek i poproś o zwrot mojego, żeby już jej nie mnie nie przypominało. Powiedz jej, że ją uwalniam od dotrzymania danego mi słowa i że jej z serca wszystko odpuszczam.

— Trzeba być tak jak ja od ciebie zawojowanym, żeby się podejmować podobnego zlecenia, co chcesz, to zemną robisz: gdzież ona mieszka?

— Mają swój własny pałac za Żelazną Bramą, herby Strawińskich i Kunickich na nim się wznoszą, ale ja przed pałac sam ciebie zaprowadzę i tam pożegnam, bo trzeba mi się spieszyć na Pragę, ażeby się przygotować do jutrzejszej wyprawy.

To wyrzekłszy wziął przyjaciela pod rękę i obaj wyszli na ulicę.

*

*

*

Pan Wazgird przed samą bramą pałacu spotkał starca wychodzącego z dziedzińca. Starzec trzymał w ręku zawiniątko; przechodząc około Wazgirda, nisko się uklonił i chciał iść dalej, ale ten go zatrzymał temi słowy:

— A zkad to idziesz, dobry staruszkuz?

— Od mojej dobrodziejki, wielmożny panie, JW. pani starościny Wieluńskiej, niech ją Bóg błogosławi; nas jest kilku ubogich, co jedynie jej łaską żyjemy; a niedość, że nasze potrzeby opatruje, ale nawet każdego czasu daje nam przystęp do siebie. Tak wielka pani rozmawia z nami jakby z równymi sobie. My biedni chodzimy do niej przez garderobę; tam jedna z jej fraucymeru ma rozkaz, żeby nas do pani prowadzić, bo przez pokoje, gdzieżby liberya nas przepuściła! Oto w tem zawinięciu mam bieliznę, którą dopiero z jej łaski otrzymałem, żeby okryć moją żonę, biedną kalekę, od dziewięciu lat paralizem rażoną.

— A mąż pani starościny?

— I JW. starosta pan dobry, wspaniały: ile razy ubogi go poprosi o wsparcie, zawsze mu coś rzuci z kieszeni. Ale z nim nie rozmawia się, jak z samą; zwyczajnie, pan. Niech i jemu Bóg daje, czego tylko zapagnie!

— A czy zastanę pana starostę w domu?

— To chyba wielmożny pan z dalekich stron, że mu niewiadomo, że JW. starosta codziennie z królem coś pisze, że najwcześniej o piątej po południu powraca do żony, żeby z nią obiadować, jeżeli obiadowa u siebie.

— To tu po piątej dopiero obiadowa?

— A tak to pany tutejsze wymyślili. Jeżeli waćpan masz do JW. starosty interes, to godzinę i więcej na niego wypadnie poczekać; a jeżeli samą widzieć, to teraz pora. Ale niech waćpan idzie, kędy ja chodzę, to jest od prawego skrzydła pałacu, żeby z liberyą się nie spotkać; bo choć wielmożny pan szlachcic, jak widzę po jego szabli, ale z przeproszeniem honoru pańskiego, po wytartym kontuszu sędzę, że waćpan nie najlepiej się masz. A liberya jak zwietrzy, że kto potrzebny, broń Chryste Jezu jak mu dokucza!

— No, no, mój kochany, czy ubogi, czy bogaty, tobie nic do tego. Ja

sobie prosto pójdę do pałacu, bo nie spodziewam się, żeby liberya tutejsza chciała ze mną pożartować. Ażebyś nie miał do mnie żalu, żem ci darmo trochę czasu uchwycił, masz srebrny grosz, który możesz przepić za moje zdrowie.

To wyrzekłszy, prosto poszedł do pałacu, nie oglądając się na opasłego szwajcara. Puścił się temi schodami, które widział przed sobą, ale że szwajcar już był zadzwonił, zastał podwoje od przedpokoju otwarte, a przy nich stojących kilku lokajów.

— Czy jest pani starościna w domu? — zapytał lokaj, patrząc na nich z góry.

— A waćpan jaki masz do niej interes? — zapytał jeden z lokajów.

— To do ciebie nie należy; ja sam z nią o interesie, jaki mam, pomówię, a ty mnie do swojej pani zaprowadź.

Lokaje na siebie spojrzeli; jeden z nich, najwyższy wzrostem, odezwał się:

— Trzeba wprzód, żebym pani zameldował, co waćpan jesteś za jeden i czego żadasz, a dopiero wróciwszy, powiem waćpanu czy przyjmuje lub nie.

— Melduj trutniów do siebie podobnych, chłopie czy mieszczuchu w liberyi, a szlachcic jak ja wszędzie sam siebie melduje. Zaraz mi otwórz, hultaju!

Lokaje salon otworzyli, bo liberya ówczesna, chociaż bardzo zuchwała, obawiała się porywcości szlachty kontuszowej. Często bywały przykłady, że lokaj pański bywał skrzywdzony od szlachcica, a nawet świeży był wypadek głośny w całej Warszawie, jak dwóch braci Putkowskich z Podlasia, w przedpokoju księcia biskupa Płockiego dobywszy szabel, wypłazowali liberyę, która ich nie chciała puścić do pana; o co się i wytoczyła sprawa w sądach marszałkowskich.

Poszedł więc dumny szlachcic, drzwi po drzwiach otwierając przed sobą, przez obszerne salony, które przepychem ubrania bynajmniej go nie zastanowiły, aż natrafił na drzwi ze środka zamknięte i do nich zaczął szturmować. Otworzyły się i jakaś młoda dziewczyna stanęła na progu i skromnie zapytała, czego żąda i jak ma go mianować przed panią swoją?

— Moja panno, bo domyślam się, że musisz być pokojówką pani starościny, jestem szlachcicem litewskim; proszę oświadczyć swojej pani, że mam do niej ważny interes, tyczący się jej samej, a że dłużej kwadransu pozostać nie mogę.

Pokojówka zniknęła, a wkrótce sama pani się pokazała.

Jakkolwiek Wazgird był przeciwko siostrze uprzedzony, w jej obliczu w jej spojrzeniu było coś tak łagodnego, tak wpraszającego się do życzliwości że mu raptem serce zmiękło — Czy pani mnie poznajesz? — odezwał się.

Po głosie starościna go poznała. — Ach! to ty, kochany braciszku! Jakie szczęście dla mnie, że mogę cię przyjąć w moim domu. Spodziewam się, że pokąd pobawisz w Warszawie, ten dom będziesz uważał jako swój i od tego zaczniesz, że się do nas przeniesiesz.

Sklonił się Wazgird. — Gdzież mnie szlachcicowi mieszkać w tych pańskich pokojach.

— Cóż to! czy zapominasz, że jesteś moim bratem? żeśmy część żywota razem przepędzili, że byłeś zawsze dla mnie najtkliwszym przyjacielem? Zapomniałeś już o tem, lecz ja to zawsze zachowuję w pamięci.

— Nie mnie piąć się do waszego towarzystwa. Gdyby mnie tu spotkał pan starosta, wątpię, by jej życzliwość dla mnie pochwalił.

— I owszem, i owszem, braciszku, nie znasz mojego męża. Omal nie zginął z twojej ręki, a jednak nietylko że przeciwko tobie nie zachowuje niechęci, ale wspomina ciebie zawsze z największym szacunkiem, a ty nie przestajesz być jego nieprzyjacielem.

— Jestem przyjacielem pana Michała i nim być nigdy nie przestanę.

Starościna spuściła oczy i zamyśliła się. Wkrótce podnosząc oczy nieśmiało: — Bracie drogi — rzekła — może być, że ci los nie sprzyja; doszły mnie wieści, że przystałeś do konfederacyi Barskiej; lecz jeżeli los ciebie zawodzi, jeżeli czegokolwiek potrzebujesz, bądź pewny, że chwila, w której zażadasz mojej pomocy, będzie jedną z najszcześniejszych dla mnie. Wszystko co mam, wszystko, co mogę, jest na twoje zawołanie.

— Daję pani dowód niemałego szacunku, że osmielam się stanąć przed nią. Jestem konfederatem Barskim, jakimby pewnie był i mój wuj, a jej ojciec, gdyby się Bogu nie podobało zabrać go do chwały swojej. Gdybym w tej stolicy był poznany, utraciłbym natychmiast wolność, a jednak z jej strony zdrady się nie lękam. Pomimo pozornego mojego ubóstwa, wsparcia pieniężnego nie potrzebuję, ale mam inny a ważny interes do pani.

Tu weszła do pokoju piastunka z dzieckiem, które wyglądało jak aniołek. Starościna z rąk piastunki wzięła dziecię na ręce swoje.

— Nie bój się, braciszku — odezwała się — jest to Szwajcarka dopiero sprowadzona, nie rozumie mowy naszej. — A przybliżając się z dzieckiem do Wazgirda: — Patrz, braciszku, jak moja córeczka do ciebie się uśmiecha! a co? czy nie ładna dziewczynka? Ludwisiu moja, wszak to twój wujaszek, proś go za swoją mamę, żeby się na nią nie gniewał; ona i tak biedna. Bracie kochany, żądaj odemnie czego, żebym poznała, że mi wracasz dawną twoją życzliwość. Nie obawiaj się nikogo u mnie, żadna potęga z domu mojego ciebie nie dostanie. Dajże mi rękę, bracie, na znak, że mną nie gardzisz.

— Prawdziwie z temi kobietami oszaleć trzeba. Jestem żołnierzem, a mnie waćpani rozczulasz bez potrzeby. Co się stało, to się stało, a ja choć na waćpani czei ni wiary nie zostawiam, pokazuje się, że mam do niej słabość. Waćpani mnie z rozumu wywodzisz, a bez potrzeby, bo już nasze światy tak są przeciwnoległe, że jak stanę za jej progiem, to chyba na Józefatowej dolinie się zobaczymy. Wolę przystąpić do interesu, bo czas upływa. Oto jest pierścień, coś go dała Michałowi w naszej przytomności, przyrzekając mu dozoną przyjaźń; nie odebrawszy tego zakładu, nie otrzymawszy zezwolenia tego, który na jej słowo się spuszczał, wiarę jemu należną innemu przysięgłaś. Zwracam pani ten zakład z rozkazu Michała, który po to umyślnie mnie tu przysłał, i oświadczam jej w jego imieniu, że, zwracając go do

rąk, z których wyszedł, rozgrzeża ją z krzywdy jemu wyrządzonej, że najmniejszego żalu do was obojga nie zachowuje, że wszystko z całego serca wam odpuszcza, że wszelkiej pomyślności wam życzy. To mnie wyraźnie powiedział, a wiesz co znaczy jego słowo; a prosi o zwrot pierścienia, który dał w zamian tego, co go teraz odsyła, żeby on waćpani już żadnego wyrzutu nie czynił.

Starościna, wzięwszy pierścionek, oddała dziecę piastunce i wyszła, ale wkrótce wróciła z pierścieniem wojskiego. Piastunka z dzieckiem za nią była wyszła, więc sami byli w pokoju.

— Bracie — rzekła starościna — oddaję ci ten pierścień. Bóg nas słyszy, na Jego wielkie imię poprzysięgam, że nie jestem tak winną jak myślisz. Może już tak mną pogardzasz, że i ta moja przysięga nie zasługuje na twoją wiarę; ale winnam tobie wyznać, że jakkolwiek serce moje nie było zdolne oprzeć się Ludwikowi, z poświęceniem mojego szczęścia chciałam być godną mojego ojca. Żegnałam Ludwika na zawsze, kiedy Michał zastał brata kłęzącego przedemną; byłam nieprzytomną; ale byłam niewinną. Lecz czemżebym mogła jego przekonać o mojej niewinności? Michał mówić do siebie nie pozwolił. Wyszedł, a co się później ze mną działo, co ze mną zrobiono, o tem nie wiedziałam. Oddaj, bracie, ten pierścień Michałowi i powiedz mu... — tu łzy, jak dwa strumienie puściły się z jej źrenic, i Wazgirdowi łzy stanęły w oczach. W tem drzwi raptownie się rozwarły i jakiś pan w sukni haftowanej z wstęgą błękitną stanął przed nimi.

— *Belle comtesse* — powiedział orderowy, nisko się skłoniwszy — jestem przysłany do niej od jej męża, żeby ją uwiadomić, by pani dziś go nie czekała, bo król na cały dzień zatrzymuje go u siebie. *Il dîne avec le Roi en tête à tête* ¹⁾; a starosta kazał mi go zastąpić u stołu mojej pani. *Quoique premier sujet du Roi* ²⁾, większy mnie dziś honor spotyka niż ten, który dziś spotkał jej męża. *Mais que vois je? je romps un tête à tête fort sérieux* ³⁾. Pani płaczesz, *ce quidam* ⁴⁾ także poruszony, pierścionek w jego ręku; jakaś tajemnica sentymentalna. Nie mogę wyjść z zadziwienia.

— Mości księżę — odpowiedziała starościna poważnie, łzy chustą otarłszy — dotąd księciu nie dałam prawa ani wglądać w moje postęпки, ani wchodzić do mnie bez mojego pozwolenia.

— Ten mości pan, jak widzę, jest szczęśliwszym odemnie, kiedy się pani obrażasz *comme une coupable* ⁵⁾

— Bogu i mojemu mężowi winnam się tłumaczyć z tego, co czynię, a więcej nikomu.

¹⁾ Obiaduję z królem sam na sam.

²⁾ Lubom pierwszy poddany króla.

³⁾ Ale co widzę? przerywam rozmowę ważną na osobności.

⁴⁾ Ten ktoś.

⁵⁾ Jak winowajczyni.

Quelle noble fierté, madame! ¹⁾ Chyba od tego mościpana się dowiem czegoś. — Co waść za jeden?

— Szlachcić równy panu urodzeniem — odparł Wazgird.

— Czy wiesz, z kim mówisz?

— Nie wiem i w to nie wchodzę, a jeżeli pan chcesz mnie pomiatać swoim orderem, to mu powiem, że zaszczytam się łaską i przyjaźnią większych od niego panów.

— Naprzykład — odpowiedział książę z przekąsem — czy znasz wielu panów, coby wyższymi byli od rodzzonego brata waszego króla?

— Mości książę, w rzeczypospolitej nie znamy książąt krwi królewskiej jako szlachcić, mogą być jutro tem, czem dziś jest najjaśniejszy brat waszej książęcej mości. A jeżeli książę jako pan do mnie przemawiasz, to powiem mu otwarcie, że książę Karol Radziwiłł, wojewoda Wileński, jest większym panem od braci królewskich, a jednak do mnie mówi z poufałością.

— *Mais c'est unique!* ²⁾ Dom pani starościny jest przytulkiem buntowników. U żony szefa gabinetu królewskiego, w obliczu brata Najjaśniejszego pana, śmia się popisywać protekcją Radziwiłłowską. — Mości szlachciucy na zagrodzie, równy wojewodzie, wiesz, że gdyby nie uszanowanie, jakie mam dla tej damy, mógłbym waści nauczyć uszanowania, jakie mi się należy.

— Mości książę, ostrożnie z groźbami — odrzekł Wazgird — noszę przy sobie to, co już mnie od niejednego niebezpieczeństwa zasłoniło; a chociaż nie mam zaszczytu być bratem królewskim, jeszcze się taki nie urodził, któremubym dał się pokrzywdzić.

— Tu starościna wzięła brata za rękę i, zaprowadziwszy go do swojego pokoju, przed nim stanęła na progu i, dumnie mierząc księcia okiem pełnym gniewu:

— Mości książę — rzekła — nie przystoi mi dłużej pozostać z gościem, który w mojej przytomności śmie się zapominać aż do obrażenia moich przyjaciół. Jestem najniższą sługą waszej książęcej mości, a dalsze księcia postępków oświecą mnie, czy mogę nadal go przyjmować uprzejmie w domu moim jak dotąd bywało, czyli raz na zawsze unikać jego towarzystwa.

To wyrzekłszy, zamknęła za sobą drzwi swojego apartamentu, zostawiając księcia skonfundowanego i nie wiedzącego co ma z sobą zrobić.

XXXV. Król Stanisław August.

Nazajutrz około jedenastej przed południem był wielki zgiełk przed Fara. Każdy chciał oglądać króla wracającego ze mszy do swoich komnat. Wielu było widać szlachty; u niektórych wyglądały rogi od suplik z po za kontusz, wielu było rzemieślników, między nimi i artyści, a najwięcej było tych brukowych próżniaków, zawsze i wszędzie wciskających się, gdzie tylko

¹⁾ Co za szlachetna wyniosłość u pani.

²⁾ Ale to wybornie.

sposstrzegać się daje tłum ludzi. Stanisław lubił przyjmować supliki publicznie; tem wygrywał rolę panującego, bo prośby podane jemu były wyznaniem jego panowania nad tymi, których niedawno był równym. A lubo proszący rzadko kiedy otrzymywał skutek w żądaniu swoim, król każdego tak umiał pocieszać jedwabnemi słowy, że się opędzić nie mógł od suplik.

W tym tłumie weisnięci byli Wazgird, Skołuba i Buńczukiewicz, ale jeden odosobniony od drugiego. Pierwszy, trudniejszy niż kiedykolwiek do poznania, bo w niemieckim stroju, z peruką gęstą, upudrowaną i zakrywającą jego osobiwszą kresę; dwaj drudzy w kapotach, jak zwyczajnie służebna szlachta. Żaden z nich z oka nie spuszczał wojskiego, który, naprzód wysunięty, odziany w kurtoe i szarawarach zielonych, stał pod kruchtą kościoła, trzymając w rękę papier złożony.

Wtem okrzyki — Niech żyje król! — wznoszące się z całego tłumy, oznajmiły ukazanie się królewskie.

Król stanął na krużganku, a za nim szambelani, adjutanci bokowi, dworzanie i niektórych dworów posłowie.

Zbliżyła się naprzód do niego jakaś młoda i przystojna kobieta, a do nóg mu padłszy oddała suplikę. Uważano, że król, papier szybko przebiegłszy oczyma, pocieszał ją łagodnemi słowy i ten papier wręczył stojącemu za sobą szambelanowi Gintowtowi, w dniu tym będącemu na służbie.

Wielu innych z kolei podawało mu supliki. Niektóre odczytywał, inne nie czytając ich, oddawał szambelanowi, ale z każdym mniej więcej rozmawiał, nikogo bez jakiejś nadziei nie zbywając. Wszakże widać było, że już nieco był zmęczony, jedno a jedno powtarzając, kiedy wojski, przybliżywszy się, klęknął przed królem, oddając mu papier.

Król go zapytał łagodnie, co on za jeden i czego żąda.

— Szlachcie, poddany i sługa waszej królewskiej mości — odpowiedział wojski. — Nazywam się Poraj i tuzin lat służąc za gajowego w Białowieskiej puszczy, od lat trzech dosłużyłem się podleśniczostwa; teraz nie wiem z jakiego powodu oddalił mnie dyrektor ekonomii Białowieskiej. O nic nie proszę tylko o zrobienie indagacyi, bo siebie nie mogę obwinić; wiem, że indagacya przekona o mojej niewinności i mam nadzieję, że i nadal jeść będę smaczny chleb mojego miłościwego pana.

— Tych słów słyszeć nie mogli Wazgird, Skołuba i Buńczukiewicz, ale pojąć łatwo, jak głałownie serca im bić musiały, kiedy król, z wojskim mówiąc, suplikę w rękę obracał, i jaka była ich radość, gdy obaczyli, że, nie otwierając, wręczył ją szambelanowi, róg w niej zagiąwszy.¹⁾

Wojski natychmiast utonął w pospółstwie, by ztamtąd dostać się do plebanii Falentowskiej, gdzie towarzysze mieli z nim się złączyć i dokąd w nocy jeszcze Skołuba był zawiózł jego brykę.

¹⁾ Zagięcie rogu u supliki był to znak, że król ją rozważać będzie ze szczególną pilnością.

Król, dawszy posłuchanie narodowi przed domem Pana nad pany, gdzie wedle zwyczaju swojego szczególną uprzejmość okazywał dla kobiet i był równie przystępny dla mieszczan, jak i dla braci szlachty, poważnie z orszakiem go otaczającym powrócił do swojego pomieszkania. Po mszy zawsze się przebierał. Przechodził przez obszerny pokój, garderobą nazwany, gdzie zastawał pełno domowników i obywateli, radych codziennie ukłonem powitać Najjaśniejszego Pana.

Było we zwyczaju, że każdy obywatel z prowincyi po przyjeździe szedł do garderoby, pewnym będąc, że tam znajdzie znajomych i zasiągnie wiadomości mu potrzebnych.

Gabinet, gdzie król się przebierał, był przedzielony od garderoby małym pokojem; ale kieda szlachta w garderobie się rozgada, czasem taki szmer powstaje, że w gabinecie królewskim słyszeć siebie nie można. Natenczas szambelan dzienny wychodzi do garderoby i zaczyna potrząsać chustką nad klatką z kanarkami, przy oknie wiszącą, mówiąc:

— A cicho, kanarki! Tak hałasujecie, że królowi przeszkadzacie czytać supliki jemu podane!

Szlachta na jakiś czas ucichnie, ale nie na długo. Czasem szambelan w jednym poranku pięć i sześć razy wychodzi z admonicją do kanarków.

Kiedy król przechodził przez garderobę, wszystkie głowy, czy ogolone, czy ufryzowane, ledwo że nie do samej ziemi się pochyliły. Każdy z upragnieniem oczekiwał z ust jego chociażby jednego słówka, a to słówko, jakkolwiek obojętne, z nie kończącemi się komentarzami rozchodziło się po rodzinie i przyjaciółach szczęśliwego męża, który je otrzymał.

W dniu tym król był nadzwyczaj wesoły, bo kuryer z zagranicy przywiózł mu listy, których z niecierpliwością oczekiwał. Jeden był od pani Geoffrin, napełniony plotkami wersalkiami, drugi od innej znakomitej damy, której niegdyś serce wyłącznie posiadał, a do której nie przestawał romansowych listów pisywać. Trzeci od Corticellego, agenta jego w Rzymie, który mu donosił, że kilka obrazów najpierwszych mistrzów szkoły włoskiej i kilka kameów wieku Peryklesa nabył dla niego za sześć tysięcy czerwonych złotych od jakiegoś cavaliere Antonini; że król, znany w całej Europie za największego znawcę sztuk pięknych, jak obaczy ten nabytek, przekona się, iż za bezcen go dostał i że nigdyby nie dobił tak pomyślnego targu, gdyby Antoniniemu nie był obiecał wyrobić od króla gwiazdy św. Stanisława, a dla jego syna kanonii Warmińskiej; że zatem ośmiela się prosić króla, by raczył uiszczyć tę nadzieję, którą on zrobił. Czwarty list był od Woltera, datowany z Fernej; ten list w zachwycenie króla wprowadził. Był on odpowiedzią na list królewski na czterech stronicach zapisany, a niemniej był długim. W tym liście Wolter nazywał króla Salomonem Północy, wyglądając chwili, jak druga królowa Saby przybędzie do niego z za morza nauczyć się od niego rządzić własnem państwem, a potem cieszyć się u siebie jego żywym obrazem. W tym liście żartował z Polaków, jako pijaków i barbarzyńców, wszakże dodał: — Pokazali

się oni rozumniejszemi od Opatrzności, kiedy wynaleźli króla, jakiemu równego traf urodzenia nigdy nie okazał. Gdyby prawo wyboru swojego panującego było udziałem wszystkich narodów, onby w osobie swojej urzetelnił marzenie Karola cesarza o monarchii powszechnej, bo wszystkie narody chciałyby go mieć swoim królem. — Temi pochlebstwami, co je Stanisław August przyjmował za gotowe pieniądze, wywiązywał się jemu za przeselaną coroczną gratyfikę trzech tysięcy czerwonych złotych, o których jednak nie wspominał, mając to za uiszczenie haraczu jemu należnego od wszystkich głów koronowanych. Prócz tych listów jeszcze otrzymał kilka listów od różnych dam swojego dworu, dam, które codziennie widywał, a z którymi jednak korespondował, jakoto pani krajczynej, księżnej strażnikowej, księżnej generałowej i pani Lullier, awanturnicy francuzkiej, która do wszelkich intryg pewnego rodzaju pomagała, a tem samem głęboko była wkorzeniona w jego względach.

Król był promienistym, kiedy do gabinetu przechodził przez garderobę. Kilka figur przybyłych z prowincyi powitał najuprzejmiej, każdej z nich rzucając słowa za serce chwytające.

Bo zaprzeczyć nie można, że jeżeli w kierowaniu rządu aż nadto dowodził, że nie był z rodu wdrożonego do panowania, że jeżeli, zamiast szerokiego działania w interesach publicznych, zajęty był wyłącznie drobnymi intrygami, za to odgrywał doskonale część reprezentacyjną roli monarchy. Był nawet do tego usposobiony przyrodzeniem, bo i monarcha z krwi królewskiej spłodzony nie mógłby mieć powierzchowności więcej majestatycznej.

Gdy przez garderobę przeszedł do gabinetu, tam go oczekiwał fryzyer angielszyk Philipsborn nazwany, który oprócz rodowitego żadnego języka nie umiał. Król go lubił, raz że był doskonałym w swoim rzemiośle, powtóre, że z nim rozmawiał po angielsku, językiem najwięcej mu ulubioaym między tyloma innemi, które posiadał ¹⁾

Ryx, kamerdyner królewski, a razem starosta Krasnostawski, z niemalem zgorzeniem zakutej szlachty rozebrał króla i gdy nałożył na niego Pudermantel, nic nie przeszkadzało Philipsbornowi rozpocząć pracowite ubieranie królewskiej głowy.

Było wiele dworzan w gabinecie, bo król zwyczajnie fryzował się w asystencyi, a obracając na to około dwóch godzin, te godziny przepędzał często w uczonych rozmowach, nawet kazał sobie coś czytać z nowości przysłanych z Paryża.

Dnią tego było więcej przytomnych niż zwykle, bo właśnie Ksawery Branicki, łowczy koronny, zostawszy regimentarzem partyi Ukraińskiej, był u króla na pożegnaniu, wybierając się tego samego dnia do swojej komendy. Między wieloma innymi dworzanami znajdowali się książę podkomorzy brat królewski, książdz Krasicki nominat Warmiński, Byszewski i Orłowski genera-

¹⁾ Król mówił ósmiu językami jakby rodowitym, a temi były: łaciński, francuzki, niemiecki, angielski, włoski, hiszpański, rosyjski i turecki. Brat jego cioteczny, książę generał ziem Podolskich, oprócz tych języków znał jeszcze doskonale arabski, hebrajski i szwedzki.

łowie adjutanci, Poniński kuchmistrz koronny, Bacciarelli malarz, Sio, doktor nadworny, hrabia Siedlnicki, Gintowt, Trembecki szambelanowie; Bielawski, Boscamp i Camelli dworzanie, Golejewski buńczuczny koronny.

Król siedział w krześle, trzymając ręczne zwierciadło, w którym często się przeglądał. Szambelan Gintowt rozkładał z chustki pliki suplik, w dniu tym podanych królowi, na stolik opodal od królewskiego krzesła postawiony, przy którym usiadłszy, starannie wypisywał treść odebranych suplik, by je potem przełożyć królowi.

Król najpierw do pana Branickiego się odezwał: — Przecie, mości łowczy wyleczyłeś się zupełnie z tej rany, co ci ją Casanova zadał; daj Boże, byś równie szczęśliwie przebył i te nowe niebezpieczeństwa, na które masz się narażać; bo na Ukrainie masz się spotykać z morowem powietrzem i ze zbuntowanym chłopstwem.

— Tak jest, Najjaśniejszy Panie; wczoraj wyprawilem tam Stempkowskiego, a dziś wieczór sam wyjeżdżam. Przyszedłem pożegnać waszą królewską mość i ją o błogosławieństwo prosić.

— I rana już się czuć nie daje?

— Najmniejszej rzeczy, Najjaśniejszy Panie. Pernet, doktor waszej królewskiej mości, moim kosztem sławę sobie zjednał, ale kłamie Francuz, bo wszystkie jego lekarstwa przez okno kazałem wyrzucać, a po swojemu się kurowałem.

— Sam byłem tego świadkiem — odezwał się ksiądz Krasicki — jak pan łowczy, zaledwie go opuściła gorączka, zamiast kleiku, na którym Pernet chciał go trzymać, zjadł całego kapłona.

— Ale dodaj waszeć, mości książę, że tego kapłona popiłem dwiema kwartami mojego dekoktu.

— Jakiż-to dekokt? — zapytał król.

— Dekokt węgierski — odrzekł pan łowczy. — Pernet chciał mnie zapajać perzem, ale ja jemu parsknąłem w żywe oczy, jak mi wspomniał o tym studenckim napoju. Niech mnie dyabli wezma, Najjaśniejszy Panie, jeżeli tym doktorom piątej klepki dostaje. Gdybym nie miał tyle doświadczenia, a ich posłuchał, nie wystarczyłoby mi pojazdów na przewiezienie tych prezerwatyw od morowego powietrza, któremi chcieli mnie obdarzyć: ale już ja od dwóch tygodni wyprawilem na Ukrainę moją prezerwatywę od wszystkich chorób: kilka beczek maślaczu. Stempkowski tak jak ja wierzy w moją medycynę: niczego się nie bój, niczem się nie martw, a dobrze pij, będziesz żył póki zechcesz.

— Szczęśliwy — odezwał się król, westchnąwszy — kto ma tak wesoły humor jak waćpan, mości panie łowczy. Jednak nie nadużywaj odwagi; śmierć niespodzianie przychodzi. Niema sześciu tygodni, jak sam omal że życia nie straciłeś.

— Ani trochę, Najjaśniejszy Panie. Czyżbym siebie narażał na strzał awanturnika, którego przez moich Kozaków mógłbym być wychłostać, gdybym

nie był pewnym, że lat dziewięćdziesiąt dożyję? W czasie siedmioletniej wojny, służąc pod marszałkiem de Broglie, śmiałem się idąc na chmury kul, bo wiedziałem dobrze, że żadna z nich nie złego mi nie zrobi. Toż samo i teraz na Ukrainie; bez obawy spotkam się i z hajdamakami i z morowem powietrzem, bo jeszcze więcej pięćdziesiąt lat mam przed sobą.

Podczas kiedy tak wesoło rozmawiali, pan szambelan Gintowt raptownie zerwał się ze stołka, a w rękę trzymając jakiś papier, przybliżył się do króla w największym pomieszczeniu, tak, że król mu powiedział:

— A co to się stało z waćpanem, mości szambelanie, że jesteś jakby zdjęty z krzyża?

— Okropność, Najjaśniejszy Panie, zgroza! Między suplikami jakiś bezecnik, jakiś potwór, śmiał wcisnąć paszkwil przeciwko Waszej Królewskiej Mości.

— Czy wierszami? — rzekł król, uśmiechając się — jeżeli paszkwil dowcipny, nabawimy się nim; jeżeli sprawiedliwy, będziemy się starali z niego korzystać.

— Gdzież tam wierszami! — odrzekł szambelan — nie mniej, nie więcej, tylko pozew, we wszelkiej formie położony Waszej Królewskiej Mości, żebyś się stawił osobiście przed konfederacją.

Król porwał papier z rąk pana Gintowta, i zaczął go czytać cicho. Spostrzegli, że pobladł. Nie skończywszy czytania, wstał silnie poruszony, i zaczął się przechadzać po gabinecie, potem stanął i do otaczających tak przemówił:

— Patrzcie, mości panowie, na zniewagę wyrządzoną waszemu królowi; cierniową koronę włożyliście mi na głowę. Nad sobą kazaliście mi panować na to tylko, żebym nawet tego pokoju nie miał, jaki najuboższemu obywatelowi prawem jest zabezpieczony. Moja krzywda jest waszą krzywda, do was się więc odwołuję. Mości szambelanie Gintowt, odczytaj waćpan głośno przed ichmościami ten mniemany pozew; niech ichmościowie wiedzą, jakie potwarze znoszę.

Pan Gintowt zaczął czytać ten cierpki obelżywy pozew, ale co okres przerywanym był przez okrzyki przytomnych, okrzyki zgrozy i czułości za cześć monarchy.

— Najjaśniejszy Panie — odezwał się Poniński, kuchmistrz koronny — żadnego między nami niema tak wyrodnego Polaka, żeby nie umiał czuć krzywdy całemu narodowi wyrządzonej w osobie jego pomazańca. Gdyby jakikolwiek ślad powziął o tym, co się odważył być jej sprawcą! Będziemy ścigać zuchwalca, który się targnął na majestat naszego pana.

— Nie umiem zgadnąć, kto w tym tłumie proszących oddał mi ten paszkwil, bo w rzeczy samej innego nie godzien nazwiska. Do was, mości panowie, należy szukać go w mieście. Musi to być jakiś Barski spiskownik ukryty, trzeba go odkryć koniecznie.

Król posłał natychmiast po marszałka nadwornego koronnego, przy którym była policja miejska. Bieliński, marszałek wielki koronny, tak ją był

dobrze urządził, że żadna zbrodnia długo ukryć się nie mogła. I następcy jego tymże szli torem.

Król miał nadzieję zapomocą margrabi Wielopolskiego, marszałka nadwornego, i swoich stronników poufających odkryć winowajcę. I jeżeli tem się zajmował z taką gorliwością, to nie dlatego, żeby był poduszczony żądzą zemsty, ale że był przekonany, iż jakiś obszerny spisek knuł się przeciw niemu, i podejrzewał, że do niego wpływały niektóre otaczające go osoby — gdyż będąc sam dość bojaźliwego serca, nie mógł przypuścić, by ktoś siebie tak dalece zaryzykował, nie licząc na jakieś poplecznictwo, skore do dania mu ratunku.

XXXVI. Częstochowa.

Podczas gdy król z powiernikami swoimi niczego nie opuszczali, żeby wysledzić tego, co mu tak dotkliwy pozew położył, Wojski, wysunawszy się z pospólstwa, zaszedł na kwaterę Wazgirda, gdzie zastał Skołubę.

— Panie — rzekł wierny sługa — niech pan, nie tracąc czasu, zrzuci kurtkę i szarawary, a weźmie na siebie swoją kapotę. Mój pan i pański szatny już muszą nas czekać w Falentach u proboszcza.

Wojski się przebrał, zrzuconą dopiero odzież wepchnął nogą pod łóżko gospodyni, i włożył jej pod poduszkę kilkanaście talarów bitych, a wzięwszy po wierzchu odzieży czujkę, wyszedł ze Skołubą i puścił się za Jerozolimskie rogatki.

Babeczka nie domyślała się, że swoich gości traci na zawsze; wszystko pod jej okiem się robiło, a ona o niczem nie wiedziała.

Wojski, zawsze ze Skołubą, bez szwanku trafił do plebanii Falenckiej, gdzie już zastał Wazgirda, Buńczukiewicza i brykę, tylko co przez nich zaprzężoną.

Wojski ledwo miał czas przedstawić się księdzu i jemu podziękować, bo ksiądz sam ich napędzał, by natychmiast wyjechali, gdyż lada chwila może być pogoń za nimi.

Jakoż w samej rzeczy, jak zaczęto brać na rozum u dworu, kto mógł podać królowi suplikę, pan Gintowt przypomniał sobie, że był jakiś podleśniczcy Białowieskiej puszczy, w kurtce zielonej, który mówił o interesie swoim, jakoby nadal chciał wrócić do posady, którą był utracił i że o to doprasza się w swojej suplice. A że tej supliki nie stawało, więc wątpić nie można było, że zamiast jej, pozew wręczył królowi.

Rozesłano opis mniej więcej dokładny jego powierzchowności, a kruki marszałkowskie i agenci policyi tajnej biegali po Warszawie z taką pilnością, że to długo nie mogło się utaić.

Jak tylko gruchnęła wieść, że szukają człowieka wzrostu słusznego, włosów jasnych, przypruszonych siwizną, a odzianego w kurtkę jasno-zieloną z czarnym kołnierzem i w szarawary tejże barwy, z zaleceniem, pod nagrodą

i groźbą, każdemu, coby go gdzieś spotkał, by natychmiast dał o tem wie-
dzieć zwierzchności, policya zarzucona została najdziwaczniejszymi doniesie-
niami. Nie było ulicy, na którejby go nie widziano; wielu przyznawało się
że z nim rozmawiali.

Jedna baba zeznała, że jakiś człowiek, zupełnie taki, jakiego opisali, kupił
u niej kielbas za dwa srebrne grosze, które zapłacił, ale że te grosze były tak świe-
jące, jakby świętojańskie robaczki, i że ona je w osobnem miejscu schowała.
Ale kiedy nieznajomy znikł jej z przed oczu, a chciała pochwalić się przed
sąsiadem błyszczącemi groszami, na ich miejscu znalazła dwa węgle zgaszone.

Drugi o czwartej zrana widział, jak człowiek zielono ubrany przechodził
Wisłę od strony Pragi nie mostem, ale powierzchnią wody, w której się nie
zanurzał, ale chodził po niej jakby po bruku.

Inny zeznał, że po nabożeństwie z Farnego kościoła, wracając do domu,
sposprzegł na kopule luterskiego kościoła siedzącego człowieka, właśnie takiego
jak go policya opisuje. On siedział, i z góry patrząc na miasto, nawiązywał
węzełki na białej chustce, a kiedy uderzony tym widokiem zwoływał drugich,
by na to patrzali, człowiek zielony zniknął.

Zgoła, że policya rady sobie z początku dać nie mogła.

Jednak z kolei przyszły i ważniejsze doniesienia. Jeden tandeciarz wy-
znał, że po wschodzie słońca przyszedł do niego młody człowiek, nie mający
lat dwudziestu, że kupił u niego kurtkę i szarawary jasno-zielone i pas z pa-
lonej skóry, że choć sam był odziany po chudopacholsku, zapłacił mu spieszenie,
co tylko zacenił, chociaż potargowawszy się, może połowę ceny byłby spuścił.

Wielu zeznało, że widzieli przed Fara człowieka zielono ubranego, który
chodził zamysłony, a potem ten sam człowiek rozmawiał z królem i podał mu
jakiś papier.

Ale najważniejsze zeznanie było uczynione od starej blacharzowej. Prze-
straszona staruszka wyznała, że przed kilku dniami jakiś szlachcic w średnim
wieku, w kontuszu i z plastrem na czole, do niej przybył, że u niej sypiał
i stołował się. Że dnia wczorajszego przyprowadził z sobą jakiegoś niezna-
jomego szlachcica w kapocie, że ten się nazwał przed nią Porajem, że obaj
u niej zjedli obiad, a potem jak wyszli razem, to aż dopiero w nocy wrócił
do niej szlachcic, co u niej mieszkał, a drugi dopiero nazajutrz, że ten był
ubrany zielono, jak go policya opisała. Że z jakimś drugim człowiekiem za-
bawiwszy u niej może przez dwa Zdrowaś Marya, wyszedł, ale w czujce,
gdyż niebo było zachmurzone. Opisanie tej czujki żadnego światła nie przy-
dawało, gdyż w Warszawie takich można było w czasie deszczu widzieć se-
cinami.

Staruszka złożyła odzież swojego gościa, znalezione pod swoim łóżkiem,
odzież, którą tandentnik odrazu poznał. Nie zapomniała i tego wyznać, że
znalazła pod poduszką swoją kwotę pieniężną, jak dla niej znaczną, domyśla-
jąc się, że to był upominek złożony od gościa, wynagradzający sownie ekspens,
jaki zrobiła dla nich.

Później przybył i pleban z Falent, który zeznał, że do niego zajechało czterech ludzi nieznanym, dwóch niby panów, dwóch niby sług, że pół godziny u niego zatrzymawszy się, wyjechali w porządnej bryce. Opisał i konie i powierzchowność tych nieznanym.

Po tych doniesieniach nie było wątpliwości, że agenci konfederacyi Barskiej znajdowali łatwość i do przybycia i do goszczenia w Warszawie. Ale kiedy te zeznania zapisywano, i to więcej doby po wydarzeniu, nasi przyjaciele już mieli tyle czasu przed sobą, że żartować sobie mogli z tych wszystkich układów przedsiębranych w Warszawie dla ich schwywania.

Policya za złe nie mogła wziąć staruszce, że przyjęła do mieszkania swojego nieznanym, w czasie, gdzie paszportów nie znano, a jeszcze mniej plebanowi, którego było obowiązkiem wedle ówczesnych wyobrażeń każdego przyjąć i ugaszcząć, nie pytając się, co on za jeden.

Wszakże opyt urywał się w Falentach, bo w nich kończyła się jurysdykcyja marszałkowska.

Jeżeli po miastach, *in vim directi dominii* króla, jaka taka policya była urządzona, za to po wsiach żadnej być nie mogło. Szlachcic, mieszkający na swoim gruncie, lub nawet gruncie innego szlachcica, żadnej policyi nie ulegał. Nie było można urzędownie przemówić do szlachcica, tylko pozwem lub przypozwaniem, a żadnej innej jurysdykcyi nie ulegając, tylko sądowej, na żadne pytania nie był obowiązany odpowiadać.

Policya domyślała się, do jakich domów po drodze wstępowali ci, których ściagała; jednak ani się kusiła robić indagacyi po domach, wiedząc dobrze, na jakie nieprzyjemności, a nawet gwałtowności bezkarne dobrowolnieby się naraziła.

Stracono w Warszawie nadzieję dostania winowajcy; usiłowano tylko odkryć jego rzeczywiste nazwisko. Ale i to było trudno, gdyż chyba w obozach konfederacyi możnaby było o tem się dowiedzieć, a przystęp do tych obozów był niepodobny; konfederaci byli ostrożni. Gdziekolwiek jaki oddział konfederacyi Barskiej się znajdował, a do niego się przybliżył szlachcic, jeżeli między konfederatami nie znajdował kilku poręczycieli, jako szpieg do pierwszej gałęzi był uczepiony za szyję. A żydzi w tej wojnie domowej byli najniebezpieczniejsi: fanatyzm religijny kojarzył się z widokami ostrożności, i jedno i drugie stronnictwo bez miłosierdzia ich wieszało. Przyszło do tego, że nie można było spotkać żyda na wielkim gościńcu, gdyż żyd podróżujący choćby dla własnych interesów, co krok napotykał niebezpieczeństwa. Na tym stanie rzeczy kraj niemało cierpiał, gdyż najmniejszego handlu być nie mogło w tych częściach kraju rzeczypospolitej, gdzie stronnictwa ścierały się między sobą: to posłużyło szczególnie królowi, by naród zniechęcić do konfederacyi, która same tylko klęski przynosiła.

Kiedy więc nasi przyjaciele tyle narobili kłopotu w stolicy, oni sami, zajeżdżając od komina do komina, stosownie do instrukcyi danej Wazgirdowi, wesoło dążyli do Częstochowy

Jasna Góra, opasana troistym wałem, opatrzona w dostateczną amunicję, broniona przez załogę dzielną, była środkiem wszystkich działań konfederacyi. Można ją było opanować tylko regularnem oblężeniem, ale trzeba było mieć działa grubego kalibru, a na tych zbywało cblegającym. Wprawdzie król z niemalym trudem sześć dział takowych był wyprawił do Częstochowy, ale o kilka mil od niej spotkał je pan Franciszek Dzierżanowski, jeden z najdzielniejszych partyzantów konfederacyi; napadł na asekurację, która te działa przeprowadzała, rozproszył ją, armaty zabrał, a nie mogąc ich uwieść ze sobą, kazał je pozagwałdzać i zatopić¹⁾. Oblężenie więc szło dość opieszale; wycieczki z Częstochowy czasem o mil kilka cofały oblężenców, a często partyzanci nie dopuszczali im porządnego odwrotu. Częstochowa w rzeczy samej nie była twierdzą oblężoną, ale wielkim placem bojów, między którymi były takie, co przypominały śpiewy homeryczne. Bywało, z jednej strony rycerz wzywa na bój pojedynczy rycerza strony przeciwnej; bitwa odbywa się w przytomności obu wojsk i zwycięzca wraca przy okrzykach uwielbienia dwóch obozów. Wiadomo, że sam dowódzca twierdzy, zostawszy wyzwany od kirasyera wojsk posiłkowych królewskich, przyjął wyzwanie i zabił przeciwnika olbrzymiej postawy i siły. Podobne bitwy często się powtarzały. Nawet z tych bojów zawiązywały się stateczne przyjaźnie. Księżę Dołhoruki, dostojny młodzieniec, będąc przy poselstwie dworu swojego w Warszawie, przywiązał się do jednej pięknej i słynnej księżny polskiej, zapalanej stronniczki króla Stanisława; kiedy domagał się jej wzajemności, ona mu odpowiedziała, że na jej względy pod Częstochową zasłużyć można. Zakochaany i waleczny młodzieniec nazajutrz poszedł na ochotnika do oblężenców i cudami odwagi się odznaczył. Nakoniec młody hrabia Wielhorski, zamknięty w Częstochowie wyzwiał go na bój pojedynczy; obaj potykali się pieszo, na szpady, w przytomności dwojga wojsk. Bili się więcej godziny, z tak równą zręcznością, że chociaż po kilkakrotnie spoczynkiem przerywali bitwę zaciętą, jeden drugiemu nic nie mógł zrobić. Oba obozy jednomyślnie kazały im zaprzestać; szlachetni szermierzy uściskali się, zamienili z sobą oręż i na zakład przyjaźni dali sobie obrączki. Gdy księżę Dołhoruki wpadł w ręce jednego partyzanta Barskiego, hrabia Wielhorski sam mu ułatwił środki do ucieczki. Ale później, kiedy większa część Polski wcieloną została do państwa Rosyjskiego, księżę Dołhoruki niejednokrotnem wstawieniem się swoim za hrabią wywiązał się z przyjaźni, którą mu przyobiecał; a nakoniec hrabia ożenił się z nadobną Rosyanką i obaj przyjaciele spokrewnili się z sobą²⁾.

Ale, jak wodzowie strony królewskiej przekonali się, że w podobnych bitwach zwycięstwo było najczęściej po stronie konfederatów, nie zważając na powszechne nieukontentowanie, zabronili swoim przyjmować podobnych wyz-

¹⁾ Ten znakomity partyzant umarł w wieku podeszłym w Pohrebyszczach, w gubernii Kijowskiej, roku 1812.

²⁾ Historyczne.

wań. I tak wkrótce wojna zupełnie prozaiczna, zatarła pamięć tych poetycznych ustępów.

Nasi Litwini jechali w takim porządku: Wojski z panem Wazgirdem siedzieli w budzie, Buńczukiewicz powoził, Skołuba siedział obok niego; ale często przelazł z kozła na przód od bryki, i tak siedząc z nogami wiszącymi nad kołami przednimi, rozmawiał z panami. Ledwo jednak spostrzegł, że zdaleka wznosi się kurzawa, szybko powracał na dawne stanowisko.

Jakkolwiek szczęśliwie wysunęli się byli z Warszawy, jakkolwiek uprzejmie byli przyjęci, gdzie tylko po drodze wstępowali, jeszcze nie byli w zupełnym bezpieczeństwie. Mogli po drodze być napadniętymi przez jakiś oddział wojsk królewskich lub posiłkowych; nawet miewali podobne spotkania, jeno że przytomność Skołuby od napaści ich chroniła. Bo na zapytania: co są za jedni? dokąd jadą? i co słyhać w Warszawie? Skołuba odpowiadał zawsze tak prawdopodobnie i z taką prostodusznością, że oddział zostawiał ich spokojnymi w pewności, że to jest ekwipaż obywatelów przyjaznych królowi i dobrze u niego położonych.

Dopiero pod Skalmierzem, spotkawszy komendę pana Zaremby, jednego z dzielniejszych wodzów konfederacyi, mieli siebie za zupełnie bezpiecznych i ztamtąd udali się do Częstochowy; gdyż właśnie przed kilkoma dniami pan starosta Warecki z całkowitą swoją załogą zrobiwszy wycieczkę, wydał był oblegającym generalną bitwę, a tak pomyślnie, że ci zbici odstąpić musieli od oblężenia, które aż po dwóch miesiącach dopiero na nowo się rozpoczęło.

Pan starosta Warecki i pan Bohusz, sekretarz generalny konfederacyi rozmawiali z sobą o środkach, jakichby im użyć wypadało dla ściągnięcia króla do Częstochowy, bo przewidywali słusznie, że choć pozew posłany i doszedł do rąk królewskich, król nie opuści dobrowolnie Warszawy, gdzie go intrzygi i rozkosze zatrzymywały.

Wszczęła się między nimi względem tych środków żwawa rozprawa, kiedy ją przerwał przybyciem raptownem pan pułkownik Wereszczaka, trzymający w dniu tym dyżurstwo w załodze. Wszedł i zameldował dowódcy, że pan Wazgird, wróciwszy z Warszawy, chce się stawić przed nim z raportem; że ma z sobą drugiego Litwina, który z nim razem przyjechał, i że ten także ma jakieś ważne rzeczy do komunikowania.

— Niech wnijdą — powiedział pan Kazimierz — dowiemy się, co dobrego nam przywieźli.

Jak próg przestąpili: — A co nam powiesz, panie Janie? — zagaił naczelnik.

— Mości starosto — odpowiedział Wazgird — rozkaz generalności mnie polecony został już spełniony, ale nie moją sprawą. Wszystko to działał przybyły ze mną pan Michał Strawiński, wojski Słonimski.

— Pan wojski przecie nam znajomy i wielce zasłużony konfederacyi. Jakimże cudem waćpana oglądamy? Wszak mówił nam generał Bielak, żeś się był dostał do niewoli pod Stołowicami?

— Nie inaczej — rzekł pan Wojski — ale jeżeli nadal mogę być posłusznym rozkazom pańskim, to jedynie z łaski pana Wazgirda, który swojemu słudze polecił, żeby mnie odszukał. Jest to szlachcic, nazywa się Skołuba; śmiały, roztropny, przytomny; on mnie z kilkudziesiąt jeńcami oswobodził, a prawdziwie cudownym sposobem. Naszą straż upoił, że bez przytomności na dziedzińcu leżała, nas odbił z więzienia; uzbroiliśmy się bronią naszej straży, i na jej koniach udało się nam umknąć.

— Skołuba! Skołuba! — odrzekł wódz — to nazwisko jest mi znane; wszakże kiedyśmy przeprawiali się przez Zbrucz, jakiś Skołuba zdobył nieprzyjacielską armatę.

— Tak jest — odezwał się Wazgird — jeszcze to wtedy pan chciałeś go mianować chorążym w swojej chorągwi, ale mój Skołuba wymówił się od tego zaszczytu dlatego, że ani pisać, ani czytać nie umie.

— Pamiętam, pamiętam; nie umie pisać ani czytać, ale umie działać; takich nam potrzeba. No, mości wojski, jakże się waćpanu udało zbliżyć do króla?

— Skromność pana Michała — mówił dalej Wazgird — jest tak wielką, że ja muszę za niego głos zabrać. On mnie przekonał, że jemu, jako prawnikowi, wypada położyć pozew królowi, a nam przyświadczyć relację pozwu. A było nas trzech szlachty do świadectw: ja, Skołuba i Buńczukiewicz, szatny wojskiego. Każdy z nas, jeżeli nie *possessionatus*, to pewno *bene natus*. Mnie wojski polecił pójść do mojej ciotecznej siostry, która była mu zaręczoną; ale brat wojskiego, pan starosta Wieluński, ją jemu odkochał, wykradł, i sam się z nią ożenił. Odesłał jej przezemnie obrączkę, którą w czasie zaręczyn z jej rąk dostał, a prosił o zwrot swojej. Ja czułem żal do mojej siostry za osławienie domu naszego, bo jużci, jeżeli można sobie żartować z uroczyscie danej obietnicy, cóż będzie świętego między ludźmi? Nie mogłem utaić mego gniewu; wszakże wyznać muszę, że moja siostra, chociaż bałamutka, ale kobieta z niej czepka.

Bo kiedy z nią rozmawiałem, wpadł brat królewski, książę podkomorzy, a jak się pokazało nieproszony, ani dziękowany, i ni ztąd ni zowąd przyczepił się do mnie, chcąc mnie upokorzyć. Tak mnie zniecierpliwiał, że mnie wyszło z pamięci, iż mi wypadało w baranią skórę się obszyć. Chciałem dobyć szabli i byłbym mu dał taki niezabud, że choćby wyszedł z biedy, testamentemby zalecił dzieciom, żeby Litwinów omijali, ale interes publiczny byłbym utopił. Pani starościna taka przytomna, że zaraz mnie porwała za rękę, za sobą do swojego pokoju wciągnęła, a stanawszy na progu przedemną, takie *verba veritatis* wypaliła księciu, że on stał jak żak przed regensem. a potem bojąc się o mnie, przebrała mnie po niemiecku: i peruka, i kusa suknia, wszystko piorunem się znalazło. Dość, że kiedy pan wojski niby suplikę, a w rzeczy samej pozew kładł królowi, ja, ubrany jak cechmistrz szlifieryzów na to patrzałem. Serce mi biło, że ledwo nie wyskoczyło, kiedy król rozmawiał z wojskim. Szczęście nasze, że król tak był znękany tyloma su-

plikami, że już pod koniec nie otwierając wręczał je swojemu szambelanowi. Taki los spotkał i nasz pozew; a tym sposobem mieliśmy czas dostać się do plebana w Falentach, gdzie te wszystkie niemieckie paskudztwa i z głowy i z siebie rzuciłem, i na nowo ubrałem się po ludzku, jak mnie pan widzisz przed sobą. Od plebana, z komina do komina wstępując wedle pańskiej instrukcyi, lubo rzemiennym dyszlem, dostaliśmy się jednak do Częstochowy, zawsze gotowi na rozkazy pana i generalności.

— Mości wojski — na to pan Puławski — wywiązałeś się dzielnie z obowiązków rycerza i ziemianina. W imieniu generalności oświadczam waćpanu podziękowanie. Może da Bóg, że wkrótce konfederacya połączona z królem zamieni się w sejm; natenczas te moje dzięki w obliczu całego narodu odnowię.

XXXVII. Wyprawa do Warszawy.

Pozew położony królowi, a ogłoszony uniwersałem generalności, nie otrzymał tych skutków, jakich się po nim spodziewał pan Puławski.

Stronnicy królewscy zapalili się gniewem za obelgę wyrządzoną panującemu; nawet ludzie obojętni w ówczesnem rozdwojeniu narodu ten krok głośno potępiali.

Król otrzymał z prowincyi mnóstwo adresów, oświadczających niezłomną wierność obywatelów i ich współczucie.

Przeciwnicy króla, związani z konfederacyą, znużeni po większej części bezkorzystnym a długotrwałym oporem, dość obojętnie ten uniwersał przyjęli.

Mało jest na świecie dusz takich, których zapał ciąglem niepowodzeniem nękania, nakonieczy nie ostygł.

Król kierowany rozsądną polityką, natchnioną mu od przyjaznych dworów, wszystkim konfederatom, zniechęconych pięcioletnim oporem, sam ułatwiał środki jednawcze. Ile razy który z konfederatów przychodził do niego z prośbą o przebaczenie, nietylko, że król nie odpychał, ale owszem pozyskawszy go dla siebie obsypywał łaskami. Do tego łączyły się klęski, wywracające z gruntu wszystkie widoki Puławskiego. I tak, trzy miesiące niespełna upłynęły od powrotu naszych Litwinów, a już pan Kwilecki, któremu się szczęśliwie było udało ożywić konfederacyę w Wielkiej Polsce, wszedł w umowę z dowódcą wojsk królewskich, broń złożył, i reces urzędowy od konfederacyi uczynił. Jeszcze dotkliwsza przyszła wiadomość o poddaniu się królowi twierdzy Lanckorony. Mężny Viomenil w niej się bronił do upadłego. Wszystkie szczury wyjedli obłożeni, głód coraz większy dokuczał, a gdy pan Zaremba, jeden z najznakomitszych wodzów, a któremu szczególnie pan Puławski ufał, idąc obłożonym na odsiecz, zdał się na łaskę królewską pod samą Lanckoroną, już nie było sposobu odmówić kapitulacyi. Otrzymał ją Viomenil tak zaszczytną, na jaką zasługiwał, kiedy już od dwóch dni ludzie składający załogę nie mieli nic w ustach.

Litwa i Ruś, uspokojone zupełnie, uległy królowi. Zgoła, konfederacya już się ścisłała w Częstochowie i jej okolicy, oprócz garstki partyzantów krążących w Karpackich górach, którzy grabieżą, zmuszeni byli się utrzymywać, czem obywatelów tamecznych odstręczali coraz więcej od siebie.

Niepodobna było taić przed sobą, że już konfederacya dogorywała.

Położenie pana Puławskiego było rozpaczliwe: inni wodzowie mogli się spodziewać, że przy powszechnem uspokojeniu Rzeczypospolitej, z przebaczeniem otrzymanem wrócą do tego samego stanowiska, na którym stali przed rozpoczęciem wojny domowej; każdy z nich albowiem miał w stronnictwie króla potężnych krewnych, którzy za nim skutecznie przemówić mogli. Jeden Puławski niczego spodziewać się nie mógł. Trzej jego bracia polegli śmiercią walecznych; czwarty, dostawszy się do niewoli, niewiedomo gdzie się obracał. Król o wszystkich przeciwnikach swoich mówił z umiarkowaniem; oświadczał, że niczego nie pragnie, jak przytulić do ojcowskiego łona dzieci obłąkane; że swe objęcia ma zawsze dla nich otwarte. Jednego tylko pana Kazimierza Puławskiego wyłączając ze swojej łaski, nazwiska jego nie wspominał bez uniesienia, i ciągle powtarzał, że jemu jednemu, jako najwinniejszemu z pomiędzy wszystkich, nigdy nie przebaczy. I nie zaniedbywał dodawać: Puławski walczy jak człowiek w rozpacz, i innych chce gwałtem z sobą w przepaść pociągnąć. A te wyrazy królewskie, szerczące się między konfederatami, coraz drażliwszem robiły jego położenie.

Między tyłoma niepowodzeniami, które zewsząd sypały się na pana Puławskiego, jednym z najdotkliwszych dla niego była choroba pana Rzewuskiego, chorążego wielkiego Litewskiego, a generalnego regimentarza konfederacyi Barskiej. Syn hetmana, brat starszy Dolińskiego posła, którzy uwięzieni zostali, już tem samem wiele ważył w konfederacyi, gdyż osobiste krzywdy kojarzył w sobie z krzywdami publicznymi. Nadto w czasie wojny siedmioletniej tak się był wślawił w wojsku cesarskiem, że na żądanie Laudonas, hetmana cesarskiego, otrzymał krzyż Maryi Teresy. Rana, co ją był dostał, prowadząc konfederatów do Krakowa, od dwóch lat zagojona, otworzyła mu się była i zmuszała go do zupełnej bezczynności.

To było tem bolesniejsze dla pana Puławskiego, że kiedy się był otworzył przed panem chorążym, iż chce porwać króla, by go stawić na czele konfederacyi, gdyż widzi to być ostatnim ratunkiem, wystrzałem ostatniego naboju z ładownicy swojej; chorąży nie tylko że pochwalił to przedsięwzięcie, ale podjął się prowadzić sam tę wyprawę. Co tem więcej pocieszało pana Puławskiego, że pomimo niezaprzeczonej zdolności rycerskiej chorążego, on przydawał do tej wyprawy wielką siłę moralną, gdyż na wypadek niepomysłnego skutku, odgłos jego cnót był tak powszechny, nawet w stronnictwie przeciwnem, że niktby przypuścić nie śmiał, by wyprawa przez niego kierowana mogła mieć na celu wyrządzenie jakiegokolwiek krzywdy królowi.

Ale cierpienia pana chorążego do tego stopnia się wzmogły, że leżał

na łożu boleści w klasztorze Ojców Paulinów Częstochowskich, gdzie mu ranę opatrywał brat Remigiusz, zakonnik, doskonały chirurg.

Już tedy pan Puławski, straciwszy nadzieję, by mógł użyć dostojnego kolegę, zdał tę wyprawę, wymagającą najspieszniejszego działania, panu pułkownikowi Łukawskiemu, żołnierzowi pełnemu odwagi i zapału, a w którym wielkie pokładał zaufanie.

Stan zdrowia pana chorążego Litewskiego nie pocieszającego nie obiecywał. Gorączkę miał tak wielką, że lubo przytomności umysłu mu nie odejmowała, jednak z trudnością obracał się na łożku; a brat Remigiusz oświadczył, że przed kilkoma tygodniami wyleczonym być nie może.

Właśnie tylko co mu opatrzył nogę braciszek, kiedy pan Puławski przybył nawiedzić przyjaciela i kolegę.

Chorąży usiłował podnieść się, ale pan Puławski zaraz go uprosił, żeby zaniechał wszelkich ceremonii i usiadłszy na brzegu łożka, tak zaczął mówić:

— Oj, panie Stanisławie, jakimże ciosem waćpana chorobą, Bóg nas wszystkich dotknął! Zamiast waćpana, pan pułkownik Łukawski zatrudni się wyprawą, która ma koniec położyć cierpieniom publicznym. Łukawski, powszechnie znany pod przydomkiem Zadora, i męztwem i przytomnością wsławił się niejednokrotnie, jak waćpanu wiadomo. On, że tak powiem, był osiá, na której się obracała nasza konfederacya w Wielkiej Polsce; kiedy teraz pan Kwilecki złożył broń królowi, i jego podwładni wyzebrali dla siebie przebaczenie, on jeden z wodzów nie chciał złamać przysięgi swojej, i w kilkanaście koni z poza Kalisza aż do nas zdołał się przedrzeć.

On się podjął przywieźć króla do Częstochowy, i żądał mieć z sobą tylko dwudziestu ludzi doświadczonej odwagi: wybrałem dla niego co miałem najlepszego w obozie. W imię Boże tej nocy jeszcze pójdzie, żeby króla drżącego o tron swój do sławy przymusić. Naszemi piersiami, panie Stanisławie, będziemy zasłaniaли króla, byle tylko był z nami; nie będzie miał z nas podłych dworaków, ale wiernych poddanych. Nie znajdzie między nami takich, jakimi teraz jest otoczony, co ciągle mówią: — Daj, daj! ale takich, co majątki, życie wszystko swoje będą mieli na jego usługi.

— Niech im Bóg dopomaga, panie Kazimierzu — odpowiedział nieco bolejącym głosem pan Rzewuski, żeby się już ta nieszczęśliwa wojna domowa skończyła. Mam nadzieję tu króla oglądać, i pewnie więcej poświęconego dla siebie poddanego nigdzie nie znajdzie. Ale chociaż sam ten krok wielce pochwaliłem, chociaż podejmowałem się osobiście prowadzić ten poczet walecznych, przyznam się waćpanu, panie Kazimierzu, że czuję jakąś niespokojność, której nigdy nie doświadczałem.

— Nic dziwnego, że gdy wszystko na jedną kartę stawiamy, niespokojność musi nas dręczyć; ale nie pozostał nam inny środek ratunku. Bijemy się codziennie, i do czego to nas prowadzi? Trudno nam utaić przed sobą samymi, że stoimy nad przepaścią. Duch we wszystkich albo ostyga, albo już ostygł; kto może, ten nas odstępuje, a ta garstka, która dotąd nie rozpa-

cza, codziennie się zmniejszając, nakoniec musi się stopić. Nad kilka tygodni trzymać się nie mogę. Bóg świadek, panie Stanisławie, że już wyczerpałiśmy wszelkie środki ratunku; jeden nam tylko pozostał, trudno się jego nie chwycić, jak tonący brzytwy.

— Masz słusność, panie Kazimierzu, ale jedna rzecz mnie zatrważa. Nuż się wyprawa nie uda, jakaż plama na nas spadnie! Jeżeli który z tych co ich wysyłasz, wpadnie w ręce stronników królewskich, jeśli wyzna, że on się tego podjął z rozkazu generalności, wtedy wiesz co nastąpi? oto bądź pewny, że ogłoszą po całym świecie, żeśmy zrobili zamach na życie Monarchy, i nasze imię ze zgrozą będzie wszędzie wspomинane. Żeby naszych nazwisk nie nacechowali haniebnem piętnem królobójstwa, zbrodni niesłychanej w dziejach naszych!

— Nie, p. Stanisławie, chociażby wyprawa się nie udała, czego jednak przypuścić nie mogę, — choćby wszyscy, co ich wysyłam, wpadli w ręce nieprzyjaciół naszych, — jakkolwiekby tam usiłowano wystawić to przed Europą za królobójstwo, nasze nazwiska wymówione nie będą, sława naszej konfederacji ocaloną zostanie. Wyślełam dwudziestu mężnych, a między nimi czterech tylko jest takich, przed którymi w zupełności się odkryłem: pułkownik Łukawski, jako dowódca wyprawy i trzech Litwinów: wojski Strawiński, Wazgird i ich Skołuba. Znam ludzi, panie Stanisławie, dlatego otworzyłem się przed nimi z całą ufnością; inni tyle tylko wiedzą, że idą na wyprawę ku Mazowszu, jako zwyczajnie partyzanci; ale gdzie? po co? tego się nawet nie domyślają. Kosiński, który z nimi idzie, który sobie powszechną sławę zjednał jednego z najwaleczniejszych naszych partyzantów, który po kilkakrotnie wciskał się do stolicy i ułatwiał wszystkie moje z nią stosunki, a jednak i jemu w zupełności nie chciałem się powierzyć. Tyle wie tylko, że musi być posłusznym Łukawskiemu; bo choć ufam jego odwadze, wiem, że nie jest pobożnym, a więc żadnej nie mam rękojmi by miał tę stałość ducha, co ją tylko gorąca wiara dać może, a przy pomocy której człowiek bezbronny, uwięziony, męczony, nie przestaje być odważnym. Ale co się tyczy tych, którym się w zupełności zwierzyłem, bądź pewny, panie Stanisławie, że każdy z nich tysiąc śmierci w męczarniach wytrzyma, a nie zdradzi tajemnicy. Dziś z rana w kaplicy klasztornej spowiadali się i, przyjmując ciało i krew Zbawiciela, wykonali przysięgę: — prócz nich, księdza Marka i mnie, nikogo nie było. Nie jestem miękkiego serca, panie Stanisławie; tak jak waćpan wychowałem się w cbozach, ale po krótkiej egzorcie księdza Marka, kiedy każdy z nich, przystępując do najświętszej uczyty, wyrzekł te słowa: — „Jeżeli, broń Boże nieszczęściem, wpadnę w ręce nieprzyjaciół, a znękany męczarniami, wydam w najmniejszej części tajemnicę mnie powierzoną: — jeżeli czyjekolwiek nazwisko wymienię, — niech ta krew Zbawiciela mojego na mnie spadnie, niech na wieki będę potępiony!“ łez wstrzymać nie mogłem. Na ich obliczach wyrażała się taka rezygnacya, takie poświęcenie, coś tak przypominającego pierwsze wieki chrześcijaństwa, że tego wypowiedzieć nie umiem. Bądź spokojnym, panie Stanisła-

wie! nasza sława jest bezpieczna, żadna potwarz nie zdoła jej zachwiać. Może Bóg uwieńczy pomyślnością nasze przedsięwzięcia; w przeciwnym razie nic sobie nie będę miał do wyrzucenia. Sam widzisz, że nad kilka tygodni trzymać się nie mogą. Na czymże się opieramy? Francya, która nas ciągle podjużała, jak tylko my się podnieśli jakąż nam dała pomoc? jakież było ziszczenie jej obietnic? kilka garści złota i kilku oficerów; a ta licha pomoc jej ciąży. Szozazel oddalony został, a jego następca czeka tylko z upragnieniem okoliczności, żeby uroczyście umyć sobie ręce od naszej sprawy. Nie! porwanie króla znajdzie co innego. Bóg nasz słyszy, panie Stanisławie! Jego naświadka biorę, że żadna prywata, nawet chęć osobistej sławy mną nie kierowała; szedłem za przekonaniem i za siebie nigdy się nie oglądałem. Jeżeli król będzie z nami, wszystko nam się uda; jeżeli i ta ostatnia nadzieja spełźnie, nic na tem nie straciecie, król wam wszystkim przebaczy. Sam widzisz, że kto mu się poddał, nie miał powodu tego żałować. A co się ze mną stanie, na to jestem obojętny; wiem dobrze, że na mnie jednego wszystkich winę złożą. Opuszczę ziemię mych przodków: na drugiej połowie świata jest lud, zabierający się do walki: tam pójdę szukać dla siebie przytułku, tam sławę mojego plemienia zaniosę. Ostatni konfederat Barski odepchniętym nie będzie od szeregów amerykańskich.

Pan Rzewuski wziął go za rękę i, uściskawszy ją z uniesieniem odrzekł:

— Poznaję ciebie, panie Kazimierzu! zawsze mężny, zawsze nieustraszony. Co do mnie, jeżeli nasze nadzieje nas zawiodą, bądź pewny, że żadnego przebaczenia nie przyjmę. Dobrze żałować grzechy przed księdzem, bo sekretu nie wyda; ale człowiek przed innym równym sobie człowiekiem niczego nie powinien żałować. Życie nasze jest zanadto krótkie, żebyśmy dla niego aż sławę poświęcali. Nie mam potrzeby przenosić się za morza. Mam sąsiedniego Monarchę; w jego obozach nabyłem niejakich zasług, których świadectwo na piersiach noszę; jemu ofiarować mogę uanowo moje usługi¹⁾. Stary Laudon za mną przemówi; mam nadzieję, że cesarz Rzymski niemi nie wzgardzi.

Pan Puławski pożegnał chorążego Litewskiego, by się zająć wyprawieniem tego pocztu, na którym się opierały wszystkie nadzieje.

Wątpliwości nie podpada, że wszystko jaknajroztropniej było obmyślane, by pożądaný skutek otrzymać.

W samej Warszawie był natenczas pan Przyszychowski, który dostarczał koni dla jazdy Elektora Saskiego. Remonter uprzywilejowany ciągle się znosił potajemnie z panem Puławskim, a był wolny od wszelkiego podejrzenia; bo najpierwszej młodzieży warszawskiej przedawał konie najczęściej na

¹⁾ Przy rozwiązaniu ostatecznem konfederacyi Barskiej, wszyscy z kolei od niej uczynili urzędowy reces. Trzech tylko do śmierci recesować nie chciało. A tymi byli: pan Pac, starosta Ziółowski, marszałek generalny na Litwie, który umarł w Strassburgu, na dobrowolnem wygnaniu; pan Puławski, starosta Warecki, który zginął pod Savanah, dowodząc całą jazdą amerykańską; i pan Rzewuski, chorąży wielki litewski, który umarł Feldmarszał-Lejtnantem wojsk cesarskich, w wysokich względach u cesarza Józefa II-go.

borg, czem miał u niej największe zachowanie. A u księcia podkomorzego, brata królewskiego, był tak dobrze jak domownikiem. Kilkadziesiąt koni, które zawsze miał w swojej stajni, były na usługach Puławskiego.

Prócz tego, o lekką miłą od Warszawy mieszkała w swoim zamku pani wojewodzina Rawska, bogata wdowa, żyjąca w najściślejszej stosunkach przyjaźni z faworytami króla. Pani krajczyna co tydzień przyjeżdżała do niej w lecie, żeby oddychać wiejskiem powietrzem. Często bywała u niej bale, gdzie można było widzieć cały wielki świat stolicy. U niej się zawiązywały intrygi miłosne pierwszych matadorów dworu. Inaczej jej nie nazywano, tylko: nasza kochana wojewodzina. Król sam ją zaszczycał zaufaniem; któżby na świecie ją śmiał podejrzewać? A tymczasem babeczka, duszą i ciałem przywiązana do domu saskiego, ciągle korespondowała z panem Puławskim i jemu o wszystkim donosiła.

Wojska nie było w Warszawie, prócz gwardyi pieszej i pułku Mirowskich, na których król nie wiele mógł rachować, gdyż połowa tego pułku, jeszcze w początkach konfederacyi, podmówioną będąc przez rotmistrza tegoż pułku, pana Franciszka Dzierżanowskiego, przeszła na tamtą stronę. Jedyny poczet, na którego wierność król mógł się spuszczać, była chorągiew królewska, stojąca w Warszawie pod dowództwem pana starosty Wieluńskiego, który sam ją zreorganizował świeżo, za co mianowany został generał-majorem. Trzeba wiedzieć, że król był otrzymał roku 1768 konstytucyę, pozwalającą mu zaszczycić nobilitacyą kieszonkową dziewięciu plebejuszów, który uchodzili za szlachtę, ale nią nie byli; król nadużył tego prawa, że więcej dwóchset podpisał takowych nobilitacyi, szczególnie w województwach ruskich.

Za namową starosty Wieluńskiego, z takiej świeżej szlachty złożył towarzystwo swojej chorągwi. Nic więc dziwnego, że oni byli przywiązani do króla, bo czuli dobrze, że, w razie jego niepowodzenia, mogli być haniebnie strąceni z zaszczytu nieprawnie posiadanego.

Wszakże kilkadziesiąt koni, i to rozsypanych po mieście, nie było to rzeczą tak straszną, by było niepodobnem porwanie znienacka króla, nocną porą, w mieście nieoświeconem, którego już o dziewiątej w wieczór ulice były puste.

Nigdy okoliczności nie zdawały się przyjaźniejszemi do skutecznego powziętego zamiaru.

Ludzie wyprawieni od pana Puławskiego, przebrani jedni za chłopów, drudzy jak szlachta podróżująca we własnych interesach, osobnemi drogami złączyć się mieli w majątku pani wojewodziny Rawskiej, gdzie już były dla nich przygotowane konie przez pana Przyszychowskiego, który, pod pozorem obroku, w późnej jesieni tańszego na wsi niż mieście, większą część swojej remonty tam przeprowadził.

Nasi Litwini, razem się trzymając na jednej bryce, którą Skołuba powoził, podróż swoją odbywali opatrzeni we wszystkie świadectwa potrzebne, że-

by nigdzie nikt ich nie zatrzymał. Wazgird i Skołuba byli weseli, ale wojski więcej niż kiedy zdawał się być zatopionym w smutnych dumaniach.

Napróżno towarzyszył podróży, siedzący obok niego, usiłował go rozerwać. Widząc go ponuro milczącym, odezwał się zniecierpliwiony:

— Panie Michale, w innej okoliczności pozwoliłbym tobie siedzieć stetryczonym; ale teraz, kiedy nam jest poruczone to, co nam śmiertelną sławę, a krajowi pokój i szczęście ma zapewnić, nie godzi się nie być wesołej myśli. Żebyś miał z innymi ludźmi do czynienia, dalibóg trwogę w ich sercu mógłbyś wzniecić; bo twój smutek coś zakrawa jakby na złowieszce przeczucie

— Nie, panie Janie, względem naszego przedsięwzięcia złego nie mam przeczucia, owszem wszelką nadzieję, że rzecz nam się uda. Moje przeczucia tyczą się tylko mojej osoby: Bóg nam dopomoże, ale ja z tego nie długo się cieszyć będę.

— At porzuciłbyś takie banialuki do głowy przypuszczać; co ciebie to i nas czeka. Zresztą ja waćpana nie poznaję: zawsze z dobrą nadzieją siedział na wyprawy najtrudniejsze, a teraz u przystani toniesz. I cóż cię tak zbiło z tropu?

— Śmieję się ze mnie, panie Janie, jak z zabobonnika, z głupca; ale jako przed przyjacielem muszę wyznać, że gdyby nasza wyprawa była tygodniem wprzód, albo czterema tygodniami później, byłbym zupełnie spokojny; ale teraz Listopad, miesiąc dla mnie najniezszczęśliwszy.

— Wstydziliś się, panie Michale w takie bzdurstwa wierzyć. Każdy miesiąc jest pod opieką Opatrzności Boskiej; cóż ma być straszniejszego w Listopadzie niż w Grudniu?

— Dla waćpana nic, ale dla mnie... Wszak wiesz dobrze, panie Janie, że nigdy nie byłem szczęśliwym, ale najdotkliwsze nieszczęścia zawsze mnie spotykały w Listopadzie.

— A to co znowu?

— Nie inaczej, sam osądź! Urodziłem się 1-go Listopada w dzień Wszystkich Świętych, i dlatego dano mi imię Anioła, bo mój ojciec nie chciał wyboru robić między świętymi Pańskimi, żeby się żadnemu nie narazić; oto jest pierwsze moje nieszczęście. W Listopadzie matka moja mnie dziecko swoje, opuściła. A pamiętasz, jaką szkodę miałem w Listopadzie, kiedy na Niemnie pod Świerżniem bryka, konie i sumka, co ją księciu wojewodzie odesłałem, poszły pod lód. A czy nie 4-go Listopada przywiozłem do Nieświeża mojego brata, gdzie się poznał z moją narzeczoną? Wierz mi, Jasiu, ja tego Listopada nie przeżyję; mam w tem przeczucie, którego ci objaśnić nie umiem. Wczoraj, spowiadając się z wami, dysponowałem siebie na śmierć, i Ciało Pańskie przyjąłem jako wiatyk: jak umrę, czy zapomnisz o duszy przyjaciela?

— Panie Michale, czy wiesz, że takim gusem wierzyć, jest-to ciężki grzech?

— Nie, kochany Jasiu, to nie jest żadnym gusem, to jest przeczucie

silne, bo od Poga pochodzące. Nieboszczyk mój ojciec nie miesiąc nie dzień, ale godzinę swojej śmierci przeczuł, a ty wiesz, że to był mąż wedle serca Bożego. Nie uwierzysz, od wielu grzechów to przeczucie moje mnie obroniło, i dziś gotów jestem stanąć do sądu przed Bogiem. A jednak, co to jest świat! On mnie nie mógł przywiązać do siebie; rozum i sumienie przekonywają mnie, że mi korzystniej umrzeć niż żyć; widziałeś mnie nie w jednej potyczce, powiedz czym schylił głowę, kiedy kule koło niej świstały; ale że się zbliża chwila rozstania się duszy z ciałem, aż mi wstyd, że czuję jakąś trwogę.

— Bądź lepszej myśli, panie Michale; wszystko tak dobrze, tak po bożemu obmyślane, że musi się nam udać. Waćpan jeszcze dużo lat cieszyć się będzie pokojem Rzeczypospolitej, i dobierzesz sobie żoneczkę, która się lepiej na waćpanu pozna. Będziemy sobie żyli szczęśliwi, i jeszcze niejednego łosia i niedźwiedzia ubijemy w Olesinie.

— Nie, nie, panie Janie, waćpan to mówisz, żeby we mnie ducha ożywić, ale to niepotrzebne: kto jest pewny śmierci, ten w odwadze nie ustąpi temu, który się nami nadziejami. Ja tego sto razy doświadczyłem, broniąc inkarceratów; póty tchórzy; póki mu wyroku śmierci nie przeczytają. Obaczycie, że na mnie zawodu nie będzie; już odżałowałem swego życia. Natura się trwoży, ale przekonanie górę bierze nad nią. Jakkolwiek bądź, proszę ciebie, jak umrę, pamiętaj o duszy przyjaciela.

— A ja ci powtarzam, panie Michale, że w Bogu ufać trzeba, a te wszystkie zabobonne trwogi odegnaj znakiem krzyża świętego. Bóg z tobą, Michasiu; ja tak pewny jestem, że wszystko dobrze pójdzie, i że wyjdiesz zdrów z opał, że choć nie czuję w sobie powołania do stanu duchownego, daję ci słowo szlacheckie, że jeżeli w tym Listopadzie zginiesz, wstąpię do klasztoru. A jak zostanę kapłanem, pierwszą mszę zmówię za twoją duszę, a potem co tydzień raz odprawię na tę samą intencję.

Uśmiechnął się na te słowa rubasznie wymówione pan wojski, i obaj umilkli. Nie będą czytelnikowi opisywał przygód ich podróży. Dość że wszyscy, których wyprawił pan Puławski, złączyli się w umówionym zamku, i tam, wmieszani w usługę licznego dworu, czekali na rozkazy pana Łukawskiego. Ten codzień, a czasem dwa razy na dzień bywał w Warszawie przez te dni kilka, w których jego poczet bawił w zamku. Powracał z Warszawy zawsze z dobrą nadzieją; a nasi Litwini czekali niecierpliwie hasła, za którym udać się mieli do Warszawy.

XXXVIII. Przeczucie.

Dzień 17 Listopada został naznaczony na uwięzienie króla, a to z tego powodu: król od lat kilku był w obojętności z wujem swoim, księciem kancle rzem; ale obu stron przyjaciele tyle zabiegami swojemi dokazali, że się nakoniec do siebie zbliżyli. Książę kanclerz pierwsze kroki zrobił do zgody, i dwa razy był u najjaśniejszego siostrzeńca: ale będąc podeszłego wieku, zdrowia

nadwątlonego, zachorował, a król postanowił nawiedzić go dnia 17, i cały wieczór z nim sam na sam przepędzić.

Ten zamiar królewski był tajemnicą, lecz żadna tajemnica w tym dworze zachować się nie mogła.

Już w wigilię tego dnia pani wojewodzina o tem była uwiadomiona, i stosownie do tego plan ułożył pan Łukawski.

On, wojski, Kosiński i czwarty żołnierz, powiernik Łukawskiego, w którego odwadze największe pokładał zaufanie, tegoż dnia od samego rana mieli się ukryć w Warszawie. U pana Przyszychowskiego były przygotowane cztery konie, a piąty dla króla. W nocy tedy mieli napaść na powracającego króla od wuja do zamku, posadzić go na konia luźnego, z nim przejść rogatkę i stanąć w karczmie, na połowie drogi do zamku pani wojewodziny, gdzie Wazgird i Skołuba przybyć mieli w szesnaście koni, i razem króla zaprowadzić do Częstochowy. Wykradłszy króla około północy, ledwo zranaby się opatrzone w mieście; więc kilka godzin mając przed sobą, pochlebiali sobie, że ujdą manowcami do celu podróży; ile że na przypadek pogoni pan Łukawski był determinowany króla przestraszyć chociażby groźbą ognistej broni, ażeby tej pogoni odstąpić kazal.

Naprawdę Wazgird się domagał, by go nie oddzielano od wojskiego. Pan Łukawski, jemu zdawszy dowództwo oddziału, który miał przyjść na ich spotkanie, od swego nie odstąpił, a że pan Puławski rozkazał im wszystkim być posłusznymi panu Łukawskiemu, pan Wazgird nie śmiał się sprzeciwić.

Dnia 17 Listopada, między dziesiątą a jedenastą zrana, pan starosta Wieluński w szlafroku siedział na kanapie w gabinecie swoim; popijał herbatę stojącą na stoliku, na którym leżało kilka arkuszy papieru zapisanego i kilka gazet zagranicznych.

Tylko co był wyszedł namiestnik chorągwi, którą dowodził; z nim więcej godziny rozmawiał po odebraniu raportu, gdyż od niejakiego czasu wielce się zajmował chorągwią, którą od króla był otrzymał, i nic pewniejszego, że zdołał w niej zaprowadzić porządek i karność na wzór zagraniczny. Pijąc herbatę, przeglądał z roztargnieniem rozmaite bileciki dopiero odebrane. W jednym proszono go o pożyczanie kilkuset czerwonych złotych na dni kilka; w drugim przepaszano, że się na termin nie uiszczono, i to tłumaczono ómą dobrych przyczyn, z których jednak ani złamanego halerza wydobyć nie mógł; w trzecim domagano się w imię przyjaźni i koleżeństwa, by raczył zaręczyć u Tepera za jedną damę na tysiąc czerwonych złotych, ale pod wielkim sekretem, żeby jej mąż o tem się nie dowiedział, a dama była w wysokich względach u króla. Czwarty był najprzyjemniejszy, bo do niego było dołączonych kilkadziesiąt czerwonych złotych długu honorowego, w karty do niego przegranych w dniu wczorajszym. Bilecik był od pana podstolica wielkiego Litewskiego, dla którego od dwóch lat darmo pracowali rzemieślnicy warszawscy, ale za to nigdy nie dopuścił upłynięciu dwudziestu czterech godzin między przegraniem w karty a uiszczeniem się z przegranej. Piąty nie bilet,

ale list zakopertowany od jakiegoś prawnika, który mu podawał, żeby *imparitatem* zadał jednemu bogatemu właścicielowi województwa Wołyńskiego. A w tym liście między innymi były te słowa: nie łatwiejszego JW. panie, jak wyrobić od króla dla siebie kaduka na te dobra, a ja biorę na siebie prowadzenie tej sprawy i złożenie dowodów przekonywających, że ich właściciel jest synem mieszczanina, i że się wkradł do szlachectwa; byle JW. pan zapewnił, że mnie przypuści do do czwartej części dóbr, które po nim się dostaną. Szósty, siódmy, aż do dwunastego biletu, były solicytacje, żeby się wstawił u króla za proszącymi w prywatnych interesach: i tak, w jednym proszono o order Ś-go Stanisława dla syna; w drugim o list instancyonalny do marszałka trybunału koronnego; w trzecim o konterowanie jakiego starostwa; czwarty znowu od jakiejś damy za jednym młodym labusiem, żeby mu opactwo wyrobić u króla, — i tym podobne. Gdyby starosta nie innego nie robił, tylko odpisywał na listy i bilety, które codziennie odbierał, jużby mu czasu nie wystarczyło.

Wyszedł nakoniec z roztargnienia i szczerze się zaczął niecierpliwie tem marnowaniem czasu pismami nie zasługującymi na żadną odpowiedź, a których czytanie nawet było dla niego ckiem, kiedy jego żona weszła do gabinetu.

Była to rzecz wychodząca ze zwyczajnego trybu jej życia, gdyż ona nigdy nie wchodziła do gabinetu.

Zosia się ubrała, żeby towarzyszyć Ludwikowi, który przywdział mundur kawalerii narodowej, tak zdobiący jego rycerską piękność; sam żonę powoził, a lokaj w bogatej delii stał za saniami.

Przybywszy do koszar, starosta oddał lejce lokajowi, a sam lekko wyskoczywszy, wziął żonę w obie ręce i postawił ją na ziemię.

Towarzystwo chorągwi wybiegło przyjmować swego wodza, a na widok jego żony powstał szmer uwielbienia. Chcąc się przychlebić towarzyszom broni, starosta sprawił był żonie szubkę granatową, z obszernym spadającym kołnierzem amarantowym, wszystko z aksamitu sobolem podszytego. Zosia miała ją na sobie, kiedy ją starosta żołnierzom przedstawił. Wszyscy kochali swego dowódcę, bo on umiał do ich serc trafiać i bez krudości karność i dobry porządek między nimi zaprowadził; nawet nie potrzebował być surowym, bo nad wszelkie kary bali się go zasmucić. Pierwszy raz żonę swoją im przedstawił i tem do reszty ich zawojował.

Kiedy wszedł z nią do stajni, żeby zrobić przegląd koni, stary chorąży powiedział staroście: — Panie generale, woli pań do nas sam przybywać, bo mnie potrzeba panu konie pokazywać, a nie sposób oczu odwrócić od pani generałowej.

Zosia, zarumieniała się, oczy spuściła, i kwefem twarz swoją zakryła, z wielkim żalem i chorążego i wszystkich wojaków.

Starosta rzucił na wszystko okiem doświadczonego znawcy. Oświadczył chorążemu swoje zadowolenie i zalecił mu, żeby połowa chorągwi zawsze była

w pogotowiu do siadania na koń, na każde zawołanie, gdyż, żyjąc w czasie niespokojnym, co chwila mogą być powołani.

Na znak, że rad był z tego, co widział, starosta dla towarzystwa chorażwi dał asygnacyę do swojej piwnicy na sześćdziesiąt butelek wina i powrócił z żoną do siebie, zabawiwszy w koszarach więcej godziny, a cała chorażew uradowana pożegnała go okrzykami: — Niech żyje nasz dobry generał! niech żyje nasza piękna generałowa!

XXXIX. Wieczór na wielkim świecie.

Starosta Wieluński dom swój utrzymywał na wysokiej stopie, stosownie do szerokich intrat swoich. Bo chociaż ożeniwszy się musiał rezygnować komendoryę Poznańską, zachował starostwo swoje, i nadto, jako naczelnik gabinetu królewskiego pobierał trzysta czerwonych złotych na miesiąc; przydawszy do tego znaczną ojcowiznę i znaczniejszy jeszcze posąg żony, przychodami swemi mógł się mieścić między możniejszymi panami stolicy, tem więcej, że staroscina, trudniąc się i majątkiem i wydatkami domowemi, rządnością swoją o kilka razy na-sób powiększała mężowskie dostatki. Zresztą bilard i hazardowne gry był dla starosty źródłem niewyczerpanem, wystarczającym na wszystkie jego zbytkowe wydatki, bo chociaż grał uceciwie, i był, jak to Francuzi mówią *beau joueur* (gracz wspaniały), umiał być ograniczonym w przegranej, a w zwycięskich chwilach korzystał z przechodniego szczęścia.

Dom jego był otwarty, obiady i wieczory częste. Powszechnie mówiono w Warszawie, że ma najlepszego kucharza, że nigdzie pałac z podobnym smakiem nie jest ubrany, że żadna dama, ani gustownością ubioru, ani tak drogiemi klejnoty, ani pięknoscią ani robieniem honorów domu, sprostać nie może staroscinie; a ten odgłos wielce pochlebiał miłości własnej starosty. Wiadome było całej stolicy przywiązanie starosciny do męża; a lubo w świecie zepsutym wierność i dobre pożycie małżeńskie były przedmiotem szyderstwa więcej, niż szacunku, starosta był tak modnym i odważnym, żona jego tak piękną i słynną, dom ich tak bogaty i miły, że żadne szyderstwo ich dosięgnąć nie mogło. Jeżeli jaki mężczyzna odezwał się przeciwko nim z uszczypliwością, to chyba cichaczem, bo każdy bał im się narazić, a owszem skarbił sobie przystęp do przyjemnego domu. Damy, to co innego: one nie oszczędzały Zosi w rozmowach swoich; nie mogąc jej przebaczyć właśnie tego, co jej jednało uwielbienie mężczyzn, a nadewszystko, że przywiązana do męża i obowiązków swoich, na te oznaki uwielbienia była obojętną. Napróżno usiłowały z początku rzucić ją na tor im zwyczajny, wmawiając jej, że małżeńskie serdeczności są śmiesznością wiejską, że kobieta wielkiego świata bez amanta jest bożyszczem bez kapłana. Zosia, wyższa od nich nietylko wdziękami, ale i rozumem, w żart obracała ich rady z taką godnością, że i to przydawało jeszcze coś do ich niechęci, tak, iż miała zaszczyt być powszechnie nienawdzianą od całej prawie białej płci dworu. Lubo czuła wzgardę do tych wszystkich uprzywilejowanych jawnogrzesznie, przez poło-

żenie swoje towarzyskie musiała żyć z niemi, i uprzejmie je przyjmować; one cisnęły się do niej, oświadczając jej przyjaźń i uwielbienie z dworską szczerością; Zosia żyła z niemi powierzchownie w dobrych stosunkach, ale umiała unikać ścisłej zażyłości, z tym taktem wielkiego świata, jakiego, że tak powiem, instyktownie nabyła.

Gdy starosta przywiózł żonę do siebie, wielce się ucieszył, znajdując list do niej od pani Kamińskiej, oznajmujący, iż się zaprasza do nich na obiad. Tego dnia oczekiwał kilku gości, nie licząc pani cześnikowej Litewskiej, którą uważał za domową; a po obiedzie cały pałac miał być oświecony, aby każdy wiedział, że przyjmuje.

Gospodarstwo po ukończeniu tualety przyszli do salonu. Zosia weszła w sukni z błękitnego aksamitu, organirowanej koronką Brukselską. Była bez pudru, ale gęste i liczne kosy swoje czarne złączyła szpilką wenecką wielkości sztyletu, w kształcie złotej strzały, ozdobionej bogatemi turkusami. Błękitne trzewiczki zaciskały jej drobną stopkę, a najbogatszą jej ozdobą były kolie z trzech sznurków pereł wielkości grochu, ale tak równych, tak nadzwyczajnej wody, że mogły rozpacz wzniecać w sercu wszystkich szarmantek. Ledwo kilka tygodni upłynęło, jak Zosia została ich właścicielką; hrabina Mycielska, owa niegdyś pani de Vermont, przysłała jej te perły na pamiątkę. Lubo te bratowe nie znały się osobiście, były w ciągłej korespondencji; co miesiąc dwa razy do siebie pisywały. Zosia, na usilne prośby bratowej, posłała jej swój portret pędzla Bacciarellego, a hrabina, oświadczając jej wdzięczność, w liście swoim między innymi napisała:

„Twój obraz, kochana siostró, teraz ściąga do mnie cały Wersal. Każdy mówi, że to być nie może, by taka piękność była tworem natury, że to musi być wymysł geniuszu malarskiego. Ja wszystkich świętych wzywam na świadectwo, że jesteś jeszcze piękniejszą, a na dowód tego składam list twojego męża do mojego Bertranda. Wielu tutejszych dworzan wybiera się do Warszawy, jedynie żeby cię oglądać; ja ich do tego zachęcam, żeby nie uchodzić za kłamczynię. Posyłam tobie mój nawzajem, także bardzo podobny; obaczysz, że chociaż z tobą równać się nie mogę, jednak jestem nieszeptne boskie stworzenie. Dołączam do niego trzy sznurki pereł weale pięknych; zrób im ten zaszczyt nosić je czasem na twojej białej szyi, żeby ci przypominały przywiązaną siostrę. Muszę się znać na tych rzeczach, bo mam dobra w kraju pereł i brylantów, a powiem ci: żadne perły i brylanty sprostać nie mogą rysom twojej twarzy.“

Starosta, wygrawszy na słowo dwa tysiące czerwonych złotych u podskarbiego wielkiego koronnego, kontentował się za nie spinką z dużego szafiru okrażonego brylantami, która niegdyś służyła podskarbiemu i tę spinkę kazał przerobić na fermuar do tych pereł. Staroscina przed tygodniem pierwszy raz pokazała się w tych perłach u króla, i one tak wszystkich zadziwiły, że niektóre szarmancki głosić poczęły, że nie są prawdziwe.

Pierwszymi gośćmi, którzy się zjawili, byli pani cześnikowa Litewska i księżę Waragin, jej adorator deklarowany. Księżę, po odbyciu etykietałnych przywitań z panią starościną, z układem pana, wezwyczajonego do grzeczności wielkiego świata, *oddalił się ze starostą do okna i jemu, jako zażyłemu przyjacielowi, zaczął robić różne zwierzenia. A obie damy, na sofie usiadłszy, między sobą rozmawiały.

— Siostrzyczko droga — zaczęła cześnikowa — naucz nas ubierać się. Nikt ciebie nie spotyka u Diurenelowej¹⁾, nigdy nie mówisz o tualecie, nie naradzasz się z panią Lullier, zdajesz się nie zajmować swoim ubraniem, a zawsze taki ubiór dobierzesz sobie, że zdaje się, iż jakaś wróżka dotyka się ciebie swoją czarodziejską laską. Co za smak w ubraniu głowy! ani pudru, ani różu nie masz! korażby z nas się na to odważyła? Co za piękność twojej sukni! jakże te koronki odbijają jej błękit! prawdziwie, my przy tobie wyglądamy jak koczokodany. Ale jak się cieszę, że te sławne perły masz na sobie — o niczem innym nie rozprawiają w Warszawie; już niektóre twoje przyjaciółki zaczynają głosić, że to jest imitacya. Czy wiesz, że krajczyna, której perły zdetronizowałaś, ma być dziś u ciebie na wieczór; chce niby porównywać swoje perły z twojami, a w rzeczy samej chce cię upokorzyć. Miarkuj, że pochlebnie jej wmówiły, że twoje perły fałszywe i myśli, że jej się uda ciebie zawstydzić. — Powiedz mi, jak wam może na wszystko wystarczać.

— Rachuję się, jak mogę z mojami przychodami.

— Ale kiedy bo cudów dokazujesz — dom otwarty, ekwipaż nad jaki piękniejszego nie widać, bogata wykwintność w ubiorach, a seciny ubogich z łaski twojej żyją, prawda, że wy bogaci, ale bogatsi od was się rujnują, nie żyjąc tak okazale, a o was nie słyhać, byście grosz długu kiedykolwiek zrobili.

— Wierz mi, moja siostrzyczko, że u nas niema nic szczególnego; jest przyzwoitość, rządność i nic więcej. Za każdą rzecz gotówką płacąc, o trzecią część przynajmniej nabywamy ją taniej.

— Ty bo do wszystkiego jesteś zdolna, moja Zosiu, dlategoś też i szczęśliwa; co do mnie, tego o sobie powiedzieć nie mogę. Nieszczęśliwie żyję; zdaje się, że na siebie niewiele ekspensuję; mówią, że moje dobra, to złote jabłko, a jednak grosz spotkać się z groszem nie może. Ja i Albert świecę z dwóch końców zdajemy się palić, aż rozpacz mnie czasem bierze. Miarkuj, Zosiu, że niema tygodnia, jak sam król naradził nam nabycie cześnikowstwa Litewskiego; to nam los stanowiło, ale trzeba było odliczyć trzy tysiące czerwonych złotych, a ja ostatnie pięć dukatów oddałam na jeńców Barskich, których tu ranionych przywieźli. Gdyby księżę Waragin nie był pośpieszył na nasz ratunek, cała robota-by się rozbiła; a do ciebie nie śmiałam się udać.

¹⁾ Pani Diuranel, sławna modniarka w Warszawie, w początkach panowania Stanisława Augusta.

I tak więcej roku, jak tobie jestem dłużna kilkaset czerwonych złotych a nie jestem w możności uiszczenia się. Wczoraj wyprawiłam Alberta na Litwę i powiedziałam mu: — sprzedaj, zastaw, zerwij z kąd możesz, a bez pieniędzy nie pokazuj się przedemną. — Jak powróci, z wami wszystkimi porozpłacam się. Nie uwierzysz, jak my się u kupeów zadłużyli.

— Waćpan musisz mieć u Boga jakieś wielkie zasługi, że ci dał takiego anioła za żonę, jeno pilnuj się naszych elegantek, żeby ci jej nie popsuly. — Starosta się skłonił i odrzekł:

— Jeżeliby kto mógł popsuć moją żonę, to chyba pani kasztelanowa do-brodziejka — zawsze na nią tak łaskawa, że ją i za oczami i w oczy chwali-sz. Ale ona nie jest niewdzięczną; pewnie gdyby miała jeszcze matkę, wię-cejby jej nie kochała. Jak się dowiedziała, że pani tego roku w Warszawie zimować będziesz, myślałem, że w głowę zajądzie z radości.

— Co? — odezwała się księżna kasztelanowa Wileńska — pani z nami zimuje? Jakże Warszawa szczęśliwa, że pani tak dla niej niechętna, nakoniec się z nią pogodziłaś.

— Nie, mościa księżno — odpowiedziała pani Kamińska — ja zawsze jedno mówię o Warszawie. Za króla Sasa ona była rajem, a dziś jest pie-kłem, obrazą Pana Boga. Onegdaj król okazał mi zdziwienie swoje, że w niej zimuję, a mój powrót na Podole do przyszłej, da Bóg, wiosny odkładam. Ale ja królowi odpowiedziałam: — Miłościwy panie, już czwarty rok nie mamy sejmu, brzemienność Rzeczypospolitej nad porę się przedłuża, żeby czasem nie urodziła jakiego potwora. Ja tu osiadam jak zwyczajnie baba przy po-łożnicy.

Tu wszedł marszałek dworu pana starosty z oznajmieniem, że dano do stołu.

Pan starosta był nieco zaambarasowany, kogo prowadzić do stołu, czy księżnę kasztelanową, czy kasztelanową Kamińską. Za pierwszą mówiły i urodzenie i wysokie krzesło mężowskie, za drugą wiek i urodzenie własne, ale księżna kasztelanowa, kobieta pełna taktu, z kłopotu wyprowadziła starostę. Powiedziała z uśmiechem pełnym wdzięku:

— Mój starosto, przyznaj się, że nie wiesz, której z nas dać pierwszeń-stwo. Obejdziemy się bez gospodarza; możeby się omylił i mnie przed panią ka-sztelanową poprowadził, a ja całe życie sobiebym nie odpuściła, gdyby Po-tocka z domu za mną iść miała: to pani, a ja wiem, że urodziłam się w szlacheckim domu. Pani kasztelanowa pozwoli, bym ją zaprowadziła do stołu.

Tym krokiem ułagodziła dumną staruszkę i obiedwie damy, podawszy sobie ręce, przodkowały innym do sali. Starosta prowadził cześnikową Li-tewską, starościna podała rękę księciu Waraginowi, a pozostali kawalerowie już bez żadnych ceremonii za nimi poszli do stołu. Po pierwszym da-niu przyniesiono świece jarzące i rozmowa zaczęła się ożywiać. Mówiono o ostatnim balu księżnej Sapieżyny, wojewodzicowej Smoleńskiej, na którym

dziesięć tuzinów par poszło w taniec; o gustownym ubiorze pani starościny Opeskiej na asamblach królewskich, o gracyi, z jaką panna Pernet kozaka tańczyła u pani hetmanowej Ogińskiej.

— Ale — odezwał się hrabia — czy państwo wiecie, jaka awantura się zrobiła u pani hetmanowej *à propos* kozaka? Państwo, co często bywacie u pani hetmanowej, wiecie jaka to święta i przykładna pani. Ma u siebie na respekcie kilkanaście panien szlacheckich, które z małego wychowuje, potem wyposaża i wydaje za mąż: między niemi jest ta panna Pernet, córka marszałka jej dworu, panienka piękna, zgrabniutka i wcale ładnie tańcząca kozaka. Ile razy się zbiorą u hetmanowej, ona jej każe się produkować, ażali tem nie przywabi jakiego konkurenta. *La pauvre fille danse quelque fois à perdre l'âme.*¹⁾ Otóż ostatniego razu pan łowczy koronny przyszedł wieczorem do pani hetmanowej, ale trochę pod datą wedle zwyczaju był pohulał ze swoimi. Podoobał mu się kozak panny Pernet, i po tańcu zaczął jej robić komplementa, a potem otwarcie wystąpił z propozycją, żeby się od pani hetmanowej do niego przeniosła, że na szpilki jej dawać będzie pięćdziesiąt czerwonych złotych na miesiąc, a jak się mu naprzykrzy, wyda ją za jakiego moczymordę. *La demoiselle a manqué de se trouver mal.*²⁾ Hetmanowa do niej; *mais quand elle eut appris ce de quoi il s'agissait*³⁾, było słyszeć, co tu ona mu za to nagała.

— A on co na to? — zapytał starosta śmiejąc się.

— *Il a pris cela très philosophiquement.*⁴⁾ Powiedział — niech mnie diabli wezmą, tej babie musiała się przyśnić paproć, że tak się rozchimerowała. Albo ja jej panienkę za łeb brał? To była propozycja a nie impozycja. Chcesz, dobrze, a nie chcesz — nikt ciebie nie zmusza. I czy to warto o to robić takie sceny? — i wyszedł od hetmanowej ze swoimi do Piskowej, gdzie się spotkał z Dąbskim, kasztelanem Kujawskim i z Dłuskim, starostą Łukowskim. Tam do piątej zrana zajadali kapłony i raki, i pili do upadłego.

Pan łowczy koronny — odezwała się księżna kasztelanowa — z obcesową szczerością, wyraża wiek swój. *Afficher un goût humiliant pour toutes les femmes, ne sentir d'amour vér table pour aucune*⁵⁾ - oto jest cecha naszego wieku.

— Bardzo przepraszam księżnę — odezwał się pan stolnikowicz. — I teraz są tacy, którzy umieją kochać prawdziwie.

— O ja ciebie wyłączam, mój stolnikowiczu — odrzekła księżna — już ci winszowałam, żeś swoją miłością zmięczył serce księżniczki starościanki, bo trzeba wierzyć, że kto się zabiera do stanu małżeńskiego, ten musi się

¹⁾ Biedne dziewczę tańczy czasem do upadłego.

²⁾ Panna omal nie zemdląła.

³⁾ Jak się dowiedziała, o co chodziło.

⁴⁾ Przyjął to bardzo filozoficznie.

⁵⁾ Popisywać się z upokarzającą skłonnością do wszystkich kobiet, a do żadnej nie czuć prawdziwej miłości.

kochać. Ale jakże można wasze miłości równać do tych, którymi się cechowały dawne wieki, kiedy to błędni rycerze przebiegali świat szeroki z orężem w rękę, zmuszając wszystkich do wyznania, że dama ich myśli jest najpiękniejszą kobietą na świecie? Jak teraz wszystko się wydaje zimne obok tego, co się wówczas działo.

— Na to — rzekł hrabia — za pozwoleniem księżny, muszę stanąć w obronie naszych czasów, i pokażę państwu takiego, co dla swojej damy, temu dni kilka zrobił *une galanterie* ¹⁾, na jakiej równą żaden błędny rycerz by się nie zdobył.

— Proszę nam okazać tego bohatera i powiedzieć, co on też tak wielkiego uczynił?

— Ja powiem, byle pani cześnikowa Litewska na to pozwoliła.

— Pozwoli, pozwoli — wykrzyknęła księżna — ja biorę na siebie, że pozwoli.

— Nie, mościa księżno — rzekł hrabia — ja się nie odezwę, aż ona mnie nie powie — mów.

— *Ne nous faites pas languir* ²⁾ powiedz mu, *ma chère amie*, żeby mówił.

— Kiedy wszyscy tego chcecie — rzekła cześnikowa, śmiejąc się — mów hrabio.

Hrabia obracając się do księcia Waragina, rzekł:

— Pamiętaj książę, że jestem posłuszny rozkazom pani cześnikowej. Otóż powiem państwu, że temu dni kilka byliśmy na wieczorze u pani cześnikowej; było nas około piętnaście osób, i nas wszystkich książę Waragin zaprosił na jutro do siebie na obiad na sterlety. Książę opowiadał, że w czasie ostatniej wojny tureckiej przez dwa tygodnie innego nie można było dostać mięsa, tylko końskie, ale że miał z sobą doskonałego kucharza ten mu koninę tak przyprawiał pod różnym kształtem, że żadenby łakotniś nią nie pogardził. Pani cześnikowa na to powiedziała: gdybym wiedziała, że to, co mnie podają jest końskie mięso, nigdybym się nie odważyła tego półmiska dotknąć; ale gdyby kto mnie bez mojej wiadomości koniną nakarmił, pozwoliłabym sobie w twarz pocałować. Nazajutrz mieliśmy u księcia obiad wyśmiewy i kiedy przy wetach unosiliśmy się nad kuchmistrem naszego Lukulusa, on wstał od stołu i klękawszy przed cześnikową, powiedział jej, że przychodzi upomnieć się o dotrzymanie danego słowa. — Jakiego słowa? — zapytała. — Wszak pani ogłosiłaś wyrok — rzekł książę — że kto cię koniną nakarmi, pozwolisz mu siebie pocałować; otóż państwo innego mięsa nie mieli tylko końskie. Z początku myśmy się śmiali, mając to za żart, ale sami to sprawdzwszy w kuchni, upewniliśmy damy, że tak jest a nie inaczej. Pani cześnikowa *présenta de bonne grâce ses deux baisers, qui retentirent au fond de nos coeurs* ³⁾,

¹⁾ Grzeczność dla damy.

²⁾ Nie dręczcie nas.

³⁾ Podala bez przesady oba swoje policzki, na których książę wycisnął dwa pocałunki, które o nasze serca się odbiły.

ale potem, gdyby tego zażądał, wszystkie przytomne damy by go ucałowały, jak się dowiedziały o reszcie tej historii.

— Cóż takiego? — zapytała księżna.

— Wiecie panie, jaką to koniną ksiązę nas nakarmił? Oto jego Betsy, ta klacz angielska, *l'admiration de toute Varsovie*¹⁾, za którą od księcia podkomorzego nie chciał wziąć dwóch tysięcy czerwonych złotych, poszła na nasz obiad. *Le coeur me saigne, quand je pense, que j'ai dévoré une si belle créature*²⁾ Teraz powiedz, księżno, czy błędny rycerz wieków średnich zrobiłby podobną ofiarę dla damy swoich myśli?

— To prawda — na to księżna — że taka *galanterie chevaleresque* każdy opór zwyciężyć musi. Jak mogłeś książe na śmierć skazać taki wytwór natury, jakim była Betsy!

— Mości księżno — odpowiedział ksiązę — ponieważ pani cześnikowa pozwoliła zrobić sobie ten żart, chciałem przynajmniej, żeby strawa, mająca się dotknąć jej ust, ile możności była jej godną. Betsy była dla mnie najdroższą z rzeczy, któremi rozrządzać mogłem.

I w samej rzeczy, zadowolenie zwycięstwa tyle powabów przydawało tej nadobnej kobiecie, że na nią patrząc, nie można było temu się dziwić.

— A co? — dodał hrabia obracając się do księżny — niechże księżna powie, czy nie umieją kochać w naszym wieku?

Kasztelanowa Kamieńska nie podzielała zapału księżnej.

— Waryaty jesteście — powiedziała — ubiegacie się tylko za rzeczami nadzwyczajnymi. Gdybym była młodą i piękną, a kto dla przypodobania się mnie kazał zamordować niewinne i zalotne stworzenie, temby zapewne mnie nie zobowiązał; ale to taki świat terazniejszy.

— Mnie to nie dziwi — rzekł Trembecki, mieszając się do dyskursu — Rosya później od innych przystąpiła do cywilizacji Europejskiej, ale na tem nie straciła — *elle n'a reculé que pour mieux sauter*³⁾. Odwołuję się w tem do świadectwa pana starosty. Nie uwierzycie państwo, jak panowie rosyjscy wędrujący po Francji, pobudzają zawiść dworzan tamecznych.

Dorodni, oświeceni i pełni zaszczytów,

Łączą grzeczność wersalską z walecznością Scytów.

— Brawo, panie szambelanie — odezwał się gospodarz domu — nigdy się waćpanu lepiej nie udało powiedzieć; dowiodłeś, że poeta może być razem i wielkim i prawdziwym. Wypijmy zdrowie największego poety polskiego, który tak pięknie wyraził nasze uczucia.

— Mości starosto — odrzekł Trembecki — właściwiej wypić zdrowie księcia, który mi natchnął te dwa wierszyki.

¹⁾ Uwielbienie całej Warszawy.

²⁾ Serce mi się kraje kiedy przypomnę sobie, żem pożerał tak śliczne stworzenie.

³⁾ Cofnęła się, żeby lepiej skoczyć.

— *Et haec facienda, et illa non omittenda* — odezwał się stolnikowicz. — Uważ, szambelanie, że jeszcze nie styrałem mojej łaciny, nawet między temi pięknemi damami.

Podaj, chłopcze, za dawnych Konsulów chowany
Falern, co dymek puszcza z iskrzącemi piany.

— Gwałtu! — wykrzyknął Trembecki — pan stolnikowicz koronny chleb mi odbiera; od razu moje wiersze zakasował swojemi. Myśl Tybulla *ex abrupto* przepolszczyć.

— Panowie i panie — rzekł gospodarz — Falernu nie mam, ale jest wino szampańskie, co go nam starożytność mogłaby pozazdrościć. Właśnie onegdaj przyszedł do mnie transport.

Zaczął krążyć kielich z napojem tak rozweselającym umysł i serce. Było już po siódmej, kiedy biesiadnicy wstali od stołu.

Gdy weszli do salonu, zastali w nim kilku gości przybyłych; ale z wielkim żalem Zosi pani kasztelanowa Kamieńska ją pożegnała, bo zawsze o godzinie ósmej kończyła wieczory, żeby mieć jakąś godzinę przedsenną do ofiarowania Bogu. Wszakże, kiedy wieczór dla niej się kończył, właśnie dla innych się zaczynał. Zjeżdżali się goście, tak iż wkrótce salon obszerny został nimi napełniony; co tylko stolica posiadała najświetniejszego, tam się zebrało. Jacy mili kawalerowie, jakiej czarującej piękności damy, jakie bogate i gustowne ubiory!

Wtem oznajmiono przybycie pani krajczyniej; wszystko z sof i krzeseł powstało, a gospodarstwo wyszli ku drzwiom na jej spotkanie. Ona ucałowała starościnę, jakby była największą jej przyjaciółką; z grzecznością oziębła ukloniła się jej mężowi, który ją zaprowadził do sofy dla niej przeznaczonej. Krajczyna była kobietą uderzającej piękności. Nie można były widzieć talii giętszej, gorsu powabniejszego, nogi i rączki arystokratyczniejszej i coś więcej ujmującego nad jej uśmiech i spojrzenie. Warszawa wtedy szczególnie słynęła pięknnością swoich dam, a one prawie wszystkie mieściły się tego wieczoru w domu starosty; było tam kilkanaście kobiet, tak pięknych, tak miłych, że trudno było między niemi wybór uczynić. Jednak walka o pierwszeństwo między krajczyną a starościna rozstrzygnąć się musiała, między niemi wahała się szala; wszakże ku starościni zdawała się przechylać.

Wtem krajczyna spostrzegłszy perły owe głośne na szyi gospodyni, odezwała się:

— *Ma chère amie*, proszę cię, zdejm swoje kolie, niech też twoje perły porównam z mojemi.

Obie damy zdjęły swoje, ale kiedy je położono jedne przy drugich, najbezczelniejszy pochlebca pani krajczyny nie mógł nie przyznać, że jej perły i wodą i równością sprostać nie mogły perlom starościny. Krajczyna tak została upokorzona, że już swoich nie chciała wiaść na szyję, aby uniknąć niepochlebnego porównania, a Zosia, jako piękna gospodyni, zwyciężkie klejnoty

swoje kazala odnieść swojej pannie¹⁾. Jednak krajczyna nie przestała się dąsać, co wiele martwiło starostę, gdyż to nieukontentowanie krajczyny znacznie wpłynęło na humor całego towarzystwa. Rozmowa zaczęła kulawieć; na szczęście ożywił ją młody książę Sapieha, szef gwardyi Litewskiej, kawaler pełen zdolności i dowcipu.

Ale, ale — rzekł — moi szambelanie Trembecki! Dobrze, że przypomniałem sobie waćpana zadanie; muszę je wyprowadzić pod sąd tutejszego tak światłego i świetnego towarzystwa. Miarkujcie państwo, że wczoraj byliśmy razem na czwartkowym obiedzie u króla; pan szambelan taką powieść ułożył: że temu lat kilkanaście jeden kawaler wielkiego świata oddał jakąś ważną przysługę wróżce Manto²⁾, a ona mu w nagrodę dała do wyboru: mieć żonę, któraby wszystkim wydawała się tak szpetną, jak pani regentowa koronna, a jemu samemu tak piękną, jak pani starościna Wieluńska.

Moi książę — przerwała starościna — naprzód książę powinieneś o tem wiedzieć, że we wszystkich narracyach, przytomni, a tem bardziej gospodarstwo, mają być zawsze wyłączeni.

— Przepraszam panią — odrzekł książę — czyniąc relacyę, muszę opowiadać rzecz jak była. Powtarzam wyrazy pana Trembeckiego; gdybym je przeinaczył, mógłby mi zadać kłamstwo, a przynajmniej niewierność. Otóż powtarzam: dała mi do wyboru mieć żonę z podwójną postacią — dla wszystkich podobną do pani regentowej, a dla siebie jednego do naszej pięknej gospodyni, lub też *vice versa*.

I zapytał:

— Jak wam się zdaje, co on wybrał?

Stolnikowicz. A jużci pierwsze; wszak każdy dla siebie, a nie dla innych się żeni.

Książę Sapieha. Król był tego zdania, mój Wacławie, bo on ma także pretensyę do sentymentalności. Zresztą, ma prawo o tem sądzić; ale ty wcale nie jesteś *judez competens*, bo za kilka niedziel żenisz się z moją kuzynką. A kiedy kawaler gotuje się do tego niebezpiecznego kroku, czy może mieć tę zimną krew, tę przytomność umysłu, jakich się wymaga od sędziego? Nie masz głosu między nami, siedź cicho!

Książę Waragin. Ja, co już od trzech lat przebyłem ten krok niebezpieczny, a więc mam głos, nie pojmuję jak tu można się wahać. Coby mnie to miało obchodzić, że ta, którą ubóstwiam, innym wydaje się brzydką.

Hrabia. Odkąd, mój książę, nakarmiłeś nas swoją prześliczną Betsy, przekonałem się, że jesteś pod wpływem uczucia, które szczerosć twoją pod wąpliwość kładzie. Co do mnie, mam niezaprzeczone prawo do ogłoszenia siebie za bezstronnego, bo moje serce jest zupełnie swobodne — a ja wyznam otwarcie, że waszego zdania nie podzielam, chociaż za niem głósowałem mój król.

1) Fraucymer kobiety wyższego tonu składał się z haftarek, garderobianych, nad którymi rej wodziła panna stołowa, ważna figura a niezbędna dla elegantki.

2) Wróżka Manty, głośna w romansach wieków średnich.

Cześnikowa. Nic dziwnego, bo nigdy nie kochałeś prawdziwie, ani nawet umiałeś kochać.

Hrabia. *Ce n'est pas à vous à le dire*¹⁾. Pani wiesz dobrze, że umiem kochać.

Cześnikowa. A skądże mam wiedzieć?

Hrabia. *C'est vrai, que vous avez fait semblant de l'ignorer*²⁾. Ale wracając do rzeczy — żądze miłości własnej są silniejsze od uczuć serca.

— Ach jaki niegodziwiec — odezwwały się razem księżna kasztelanowa, pani cześnikowa i kilka innych szarmantek.

Hrabia. Niegodziwiec jestem, bo prawdę mówię. Z paniami jak uważam, nie można być szczerym.

Książę Sapieha. A cóż pani krajczyna na to powie?

Krajczyna, (z żywością, patrząc z ukosa na starostę). Mężczyźni są tak zmienni, tak obłudni, tak prędko zapominający przysięg swoich, że na żadne ofiary nie zasługują.

Starosta zbliżywszy się do krajczyny, coś jej powiedział półgłosem, i siadłszy koło niej, przedłużał swój dyskurs. Książę podkomorzy koronny, dotąd smutny, nie mieszający się do żadnego dyskursu, nieśmiało przybliżał się do starościny, a księżna kasztelanowa, obok niej siedząca, z taktem kobiety wielkiego świata jakby z niechęcenia powstała, a w rzeczy samej, żeby im nie przeszkadzać w rozmowie, i prosto poszedłszy do księcia Sapiehy, powiedziała mu:

— *Cher prince*, tak mi gorąco, że wytrzymać nie mogę; zaprowadź mnie na salę, po której przechadzać się będziemy, jeżeli nie boisz się zanudzić ze mną.

Książę *un galant chevalier* uklonił się jej z wielkimi wykrzyknikami i wzięwszy ją pod rękę wyprowadził do sali, gdzie liberya robiła przygotowania do zastawienia wieczery.

Książę Sapieha, prowadząc nadobną partnerkę po obszernej sali, strzelał do niej sentymentalnemi słowy; księżna ich nie odpychała, cwszem zdawała się do nich zachęcać. Ale kiedy książę, już do tego przygotowawszy się należycie, rozpoczął oświadczać jej swoje przywiązanie i zabierał domagać się jej wzajemności, księżna, nie dawszy mu skończyć, rzekła:

— Mój książę, gotowi pomyśleć w salonie, że my ich wszystkich obmawiamy; wróćmy, żeby ich z niespokojności uwolnić.

Wróciwszy, zastali te same pary siedzące i rozmawiające z sobą. Żaden natrętny nie mieszał się do ich dyalogów. Znajomość życia do najwyższego stopnia posuniętą była w salonach warszawskich; ona zastępowała wszystkie cnoty. Największa niesława spadała najprzód na człowieka lękliwego serca, powtóre na człowieka bez taktu. Człowiek odważny, a do tego łączący takt i grzeczność w obcowaniu, mógł wszystko sobie pozwalać, ztąd była wielka

¹⁾ Nie pani to przystoi mówić.

²⁾ Prawda, że pani udawałaś, że o tem nie wiesz.

słodycz w obcowaniu. Księżna kasztelanowa, zawsze oparta na księciu Sapieszce, uwagi swoje komunikowała swojemu przewodnikowi; jak to hrabia zaczynał się zalecać staroście Opeskiej, która z przymileniem słuchała jego dowcipnych opowiadań o wojaczach; jak księżę podkomorzy, zawsze zasmucony, coś mówił gospodyni domu, której nieczułości zmiękzyć nie mógł, a która chociaż grzeczna, ale dość obojętnie go słuchała. Na środku salonu utworzyła się była grupa otaczająca Trembeckiego, rozprawiającego o literaturze z uroczym wdziękiem.

Kiedy oznajmiono, że wieczerza na towarzystwo czeka, wszystko powstało, starosta podał rękę pani krajczynie, każdy wziął swoją damę pod rękę i wszyscy poszli do sali.

Siedli za stołem bogato ubranym i zastawionym, a oświetlonym kandelabrami i światłem z pajaków spadającym. Podano ostrygi; jedni rzucili się do nich z prawdziwą ochotą, drudzy, i tych część była nierównie większa, dla mody. Jedna Zosia tylko nie mogła przezwyciężyć swojego wstrętu do tej przechwalonej strawy.

Podczas gdy smacznie i nowomodnie jadła jedno po drugim nikły, a pie-nisty szampan zaczął krzącać, raptownie przybył do starosty jego sekretarz z papierem w rękę. Starosta odszedł do drugiego pokoju, żeby go odczytać, a dawszy swoje rozkazy sekretarzowi, powrócił do sali z obliczem jak zawsze spokojnem i powiedział:

— Najmilszą dla mnie zabawę przerwać muszę; posłałem po muzykę, żeby państwu bal zaimprovizować, a w momencie kiedy ma się zaczynać, opuścić go muszę. Ale za godzinę lub półtóry spodziewam się, wrócić do państwa. Moja gospodyni zostanie z wami, a księcia Waragina proszę, żeby do mojego powrotu moje miejsce zastąpił.

— Cóż to jest takiego? — zapytali wszyscy.

— O, nic nadzwyczajnego — odpowiedział starosta oziębło — król przysłał po mnie; ma coś ważnego do powiedzenia.

— Ach jakże z niecierpliwością wyglądam poranku — rzekła księżna kasztelanowa — żeby się o tem dowiedzieć.

— I księżna ukarana będziesz za swoją ciekawość, bo pokaże się, że nic bardzo ciekawego — odrzekł starosta. — Co najwięcej, może poddanie się Częstochowy, albo śmierć jakiegoś monarchy europejskiego.

A przybliżywszy się doszony, powiedział jej zeicha:

— Dotrzymałem tobie słowa, aniele mój drogi; cały dzień o krok ciebie nie odstałem. Teraz muszę pobiedz do króla, a ty staraj się gości bawić do mojego powrotu — i to mówiąc czule ją pocałował w rękę i w czoło.

Kiedy towarzystwo ruszyło do tańca, on przeciwległymi drzwiami poszedł do swojej garderoby, najspieszniej przebrał się w mundur swojej chorągwi, a tak ubrany kazał się zawieźć do ujazdowskich koszar, gdzie stał zawsze dla niego przygotowany koń wierzchowy.

XL. Karczma pod Marymontem

O małe pół mili od marymontskich rogatek, stała karczma do starostwa warszawskiego należąca. Ta karczma nie tak pięknie się przedstawiała jak dzisiaj; ściany miała krzywe, komin który się zdawał kłaniać przybywającym na hulankę, okna jak oczy zezowate; a jednak, więcej dochodu przynosiła — niż piętrowe kamienice stolicy, bo dla tanioci gorzałki, zwłaszcza w dni świąteczne, tłumy pospólstwa warszawskiego tam się upijały. Gospodarzem był niejaki Kieść, podżyły Kaszuba, długi czas hajduk pana Brühla, starosty warszawskiego; postąpiony nareszcie na karczmarza, tak był wrósł w swoją karczmę, że chociaż inny starosta zastąpił miejsce pana Brühla, niesprawiedliwie wyzutego, Kieść nie dał sobie podkupić, dobrowolnie podniósł cenę i utrzymał się na swojej dawnej posiadzie.

Kieść o niczem nie myślał, tylko o pomnożeniu swojej łrzęczaczki, która też w progresyi niemałej się wzmagala. Jednak dziesiątek lat szynkując, obliczył się, że choć szynkarzowi może być nieźle bez gospodyni wszakże daleko bezpieczniej z gospodynią i zaczął przemyśliwać, gdzieby to sobie wybrać towarzyszkę szynkarskiego żywota. Nakoniec w jednej garkuchni na Elekto-ralnej ulicy, gdzie ze starą gospodynią miał ściśle stosunki, jak się później okaże, natrafił na dziewczynę młodą, rażną, przystojną, a która służąc w garkuchni, gdzie na flaki żołnierze gwardyi i lokaje miejsca się schodzili, była oswojona ze wszystkimi tajemnicami szynkarstwa. Kieścia to nie zraziło, że była w zaloty hojną, bo z wielkiem swoim zbudowaniem zauważył, iż dla żołnierzy, zawsze gołych z powołania, była srogą jak lwica, ale dla lokai wielce przystępna, jeżeli zwłaszcza w możnych domach usługiwali. Rzecz pewna, że niejeden z nich więcej talarków na nią przeumizgał, niż przepił na korzyść jej pryncypalki. Pieniądz lub cenny fant zaraz zniechęcał jej serce i tak była pod tym względem powszechnie znana, że kto nie miał dla niej talarka, ani się kusił jakiembądź przymileniem skłonić ku sobie jej zalotnych affektów. Względem pieniędzy tak była oszczędna, że uzbierała sobie trochę talarków w swojej skrzynce i nie było dnia, żeby jaki talar przybył nie pomnażał ich kwoty. Kieść pomyślał sobie:

— Choć liczę lat pięćdziesiąt siedm, ale jestem zdrów; mnie potrzeba żony, a to właśnie gospodyni dla mnie; ładniutka, ściagać będzie ochotników do mojej szynkowni. Prawda, że umizgalska, ale kuta na cztery nogi: na swoje umizgi nic z domu nie wyniesie, jeszczeżonych będzie przybytek. Ona pójdzie za mnie, bo ma rozum, wie że u mnie grosz jest; to wyraźnie dla mnie stworzone.

Tak pomyśliwszy, zaczął ją dość obcesowie w szynku. Ona myśląc, że to były presudya do zwyczajnych umizgów, ofaknęła go, mówiąc:

— Idź-że sobie, stary sknero, ze swojemi pieszczotami! Także buziaczek! Prędejsz pozwolił, żeby tobie serce wyrwane niż talarka, a chcesz się podobać dziewczętom.

— Słuchaj, Jewko, mnie nie to, co myślisz w głowie. Mnie nie umizgów, ale żony potrzeba. Chcesz być moją? Będziesz panią, gospodynią w Brühlówce; to zdaje mi się coś lepszego, niż służyć w szynku choćby na Elekto-ralnej ulicy.

— Czy pan Kieść żartuje, czy doprawdy? — odezwała się Jewka, spuszczaając oczy.

— Ja? broń Boże, ja żartować nie umiem. Chcesz, dobrze, nie chcesz drugie dobrze. Czy to myślisz ja próżniak, żebym konkurował po miejsku? u mnie nie ma czasu do tracenia. Gdyby każdy dzień miał jeszcze po drugich dwadzieścia czterech godzin, jabym powiedział, że i tego czasu mało. Ja się waćpannie niby zalecam, a tu mnie aż we łbie trzeszczy, że nie wiem co się robi w Brühlówce z moim szynkiem. Albo jest tam żona, na którą się spuścić można? Tać to mam czeladkę: pacholka co drwa rąbie, babę co jeść gotuje i wyrostka, com go kiedyś na ulicy z ziemi zdjął i dał mu edukację, że teraz mi niby pomaga; a cała pomoc, że wytoczy z beczki w butel a z butla wleje w kwartę. Czy na tem kończy się szynkarstwo? Jak ja z domu, to połowy się nie wyszynkuje co trzeba; to nie dość nalewać i przelewać. Trzeba gadać z ludźmi, zachęcać ich, jak się pokłóca godzić i na zgodę podsunąć gorzałeczki, trzeba się rachować, a jak Bóg da, czasem nadrachować. Co mam wiele gadać? Ciebie, Jewko, w ciemną nie bito; ty te rzeczy lepiej znasz ode mnie, Dość, że mnie nie obejść się na starość bez prawdziwej gospodyni; nie takiej, co to ja ją wyjąć mogę z kieszeni, ale takiej co ją wyprowadzę z kościoła.

— Może pan Kieść jest gwałtowny, jak mu przyjdzie zazdrość do głowy?

— Ja mam być zazdrośny? a pfe duszeczko! Za kogo ty mnie bierzesz? Czy to ja się żenię dla cackania się z tobą? Wszak to po pańskich dworach z maleńkiego służyłem; o te rzeczy co wiesz, nie dbam. Co to? mnie chudemu pacholcowi ma być inaczej, jak wielkim panom? Ja nie wieśniak za piecem chowany, żebym na żonę ciągle patrzył, jak zółw na swoje jaja; ja przecie mam edukację. Mnie w głowie, żebyś dużo szynkowała, jak będziesz moją: a zresztą swoje rób, mnie w to nie wchodzić, byle tylko ubytku nie było, bo w takim razie ja żartować nie umiem. No, panno, Jewko, proszę się zaraz zdecydować, bo ja innej pójdę szukać.

— Kiedy taka wola Pana Boga, żebym została jego żoną, to cóż robić?

— A więc obudźmy starą i poprosimy ją o błogosławieństwo.

Obudzili babę, jej trochę się zrobiło markotno, bo Jewka bardzo jej była potrzebna, ale rada nierada musiała im dać błogosławieństwo.

Poszli do księdza: jak to bywa, ogłoszono zapowiedzi. Przez te dni kilkanaście Kieść, pewny swojego, ani się pokazał w Warszawie, tylko pilnował swojego szynku, aby na rachunek, że jegomość zajęty panną młodą, czeladka sobie czegoś nie pozwoliła.

Nakoniec nastąpił ślub. A nazajutrz Kieść, żoną i jej skrzynką naładowawszy swój wózek parokanny, a sam powożąc, zawiózł ją na swoje hrabstwo.

Żyło z sobą, od lat trzech szanowne stadło bardzo przykładnie, bez swarów, bez kłótni. Jeden i ten sam cel mieli oboje: mnożyć pieniądze jak można i z kąd można, a o resztę nie dbać. Kieść był najszcześliwszym z ludzi. Lokaje ciągle wykradali się w nocy z miasta, dla odnowienia komitywy z Jewką; czy który co wskórał, czy nie, różnie bywało — ale to pewna, że co tylko mieli z sobą, wszystko to przepijali. Nie na tem koniec: Kieść za defraudacyę cła miejskiego wpadł był w taką kabałę, że gdyby był kawalerem, do szczętu by go zniszczono, a możeby się nawet od przęgierza nie wykrcił. Ale jak zaczęła Jewka kręcić się po asesorach sądów marszałkowskich, a zalecać się jako niewinna wieśniaczka, przywiązana do męża, a płakać, a padać do nóg, a zobowiązywać jako mogła, bez najmniejszej ofiary wspólnego grosza, li-tylko przemyśłem własnym, męża z kłopotu wyprowadziła. Czem go tak zawojowała, że została panią samowładną i szynku i całego gospodarstwa. Kieść odtąd był jej uniozoną sługą, jak sułtan turecki fajkę tylko palił i rachował, a jego wezyr w spódnicy rządził szynkownią. Palenie tytoniu było materyalną częścią czynnego żywota Kieściowego, częścią zaś umysłową była ascetyczna kontemplacya wysokiego rozumu żony i słodkości pieniędzy wspólnie zarobionych.

W nocy z 17 na 18 Listopada spoczywało małżeństwo w alkierzu, a świeczka pryskając oświecała izbę. Pochołek i wyrostek spali w stajni, a stara gospodyni leżała w szynkowni na przypiecku, gotowa na każde zawołanie. Nikt do karczmy nie zawitał, co się rzadko zdarzało. Nie było nic do roboty, dlatego gospodarstwo położyło się wcześniej niż zazwyczaj; jednak nie spało, tylko wylegało się, bo wątpię, żeby jaki szynkarz lub szynkarka warszawscy w nocy mogli prawdziwie zasnąć.

— Jewko — ozwał się Kieść — nikt na nas dziś nie łaskaw; tęskno, bo codzień jakiś wydatek, a tej nocy nic nie przybywa.

— Cichobys leżał, stary; prawdziwie to grzech tak Panu Bogu się naprzykrzac. Że od wieczora zawierucha, jakiej w życiu podobnej nie pamiętam, trudno żeby z miasta kto do nas trafił; a chcesz każdej nocy mieć gości, to trzymaj szynk w Warszawie. Jndnak bywają noce, że jedna za kilka stanąć może, naprzykład wczorajsza.

— To prawda, moja Jewko, że wczoraj dobrze nam poszło. Uzbieraliśmy trzy talary bite, a dydkami czterdzieści jeden złotych; a oprócz tego przepili u nas cztery siekiery, dwie surowe cielece skóry, dwie książki do nabożeństwa, jedną nowiutką spódnicę, trzy chustki do nosa cieniutkie, szydełko z perłowej macicy i ostatki świec woskowych, prawie na trzy oka. Widzisz, że choć stary, a nigdy nie zapomnę o tem co w skrzynekę wpadnie.

— Powiedzże, staruszk, czy po takim dniu zyskownym nie można dwa drugie odpocząć?

— Ba, ja się do tego tak dobrze jak nie mięszam, bo ty mnie wyręczasz. Ja, choć po pańskich dworach wzięłem edukacyę, choć byłem wszędzie i można mnie pytać nie o to co wiem, ale o to czego nie wiem, a wyznaję przed tobą i przed drugimi to wyznam w potrzebie, że przy tobie wyglądam jak

pacholę, chociaż na mnie sześć krzyżyków gdzieś nakarbowano. W tamtą niedzielę, ty zostałeś w domu, a jam poszedł do kościoła modlić się za dwóch; to kiedy ksiądz pleban powiedział na ambonie, że dobra żona błogosławieństwo boskie niesie w dom, ja zaraz o tobie ponysłałem, aż ledwo łzy w oczach mi nie stanęły. Ty jesteś mój anioleczek; przybliź się do mnie, moja Jewko, niech cię ucałuję.

— Ot! czego się staremu zachciało; leżałbyś spokojnie. Tyś mi sam powiedział przed ślubem, że nie dla pieszczoty, ale dla gospodarstwa mnie bierzesz. Mnie w głowie, żeby jeszcze odrobinę uzbierać gosza i porzucić ten szynk; a potem kupić kamieniczkę w Warszawie i w niej żyć jak Bóg przykazał.

— A z czego żyć?

— Będziemy sobie żyli jak ludzie poczciwi; paniczom pożyczyc pieniądze na miejskie procenta, od innych brać fanty na zastaw; zwyczajnie, żeby ludziom śmiało w oczy spojrzeć, nie tak jak dziś. Już mnie to nasze szynkarstwo obrzydło. Na ostatniej spowiedzi ksiądz mi takie rzeczy nagadał, że aż włosy na głowie powstają. Tobie staremu nic, chociaż śmierć na nosie; ty za sto złotych duszę byś dyabłu zaprzedał; ale ja od Wielkiejnocy rady dać sobie nie mogę. Sama nie wiem czego się boję, a boję się; póki hulam z chłopcami, zdaje mi się żem wesola, ale jak sama, a z tobą, to taki smutek, taki smutek... At, co tobie gadać, ty tego nie zrozumiesz: ty do wszystkiego złego mnie pobudzasz, piękny z ciebie mąż.

— A wszakżesz ty się bała, żebym nie był zazdrośny.

— Cicho leż, stary nic dobrego. Wolisz spać, kiedy sumienie ciebie nie kole: spodziewam się, że w taką zawieruchę nikt cię nie obudzi.

I nastąpiła cichość. Ale wkrótce Kieść raptownie poruszył sąsiadkę.

— Jewciu — odezwał się — Jewciu, coś się zdaje, że gości mamy.

— To się tobie tak przysniło — odpowiedziała Jewka ziewając: — ale nie, stary ma słuch wprawny, doprawdy ktoś stuka w okiennice.

— Kto tam? Otwierajcie, bo do stu par dyabłów karczmę każę zapalić! — dał się słyszeć jakiś głos chrapliwy, ale donośny.

— Wstawajże stary hultaju — rzekła Jewka — ruszaj naprzeciw gości i obudź Magdę w szynkowni: ja tymczasem coś wezmę na siebie.

Kieść nasunął na nogi buty jałowicze, narzucił kożuch i wrota od stajni otworzył.

Czterej jezdni do niej wjechali i zsiadli z koni.

— Gdzie jesteśmy? Co to za karczma? — zapytał pan Łukawski, bo nim był ten, który gospodarstwo tak niegrzecznie obudził, a czytelnik już się domyśla, kto byli jego towarzysze — powiedz-no stary, czy daleko ztąd do Celinowskiej karczmy?

— Jestto karczma nazwana Brühlówka, do usług wielmożnego państwa; do Marymontskiego młyna mamy ćwierć mili, a do Celinówki lekka milka; siakim takim kłusem za trzy kwadransy stanąć można.

— A do stu tysięcy par dyabłów, jakże my sakaradnie zblądzili. No, no, jakoś się odlatamy.

To rzekłszy, konie porozstawiano przy źłobie, a wszyscy weszli do izby, prowadząc między sobą jakiegoś pana, zawiniętego w bogatej szubie, a który ciągle milczał.

Już Jewka coś była wzięła na siebie i już ze zwykłym uśmiechem na ustach, a ze świeczką w rękę, zaczęła się szwędając około swoich gości, każdemu z ukosa w oczy zacierając.

Pan Łukawski towarzysza w bogatej szubie przeprowadził do alkierza i rzekł mu:

— Pan tu mnie poczekaj; na łóżku gospodarskiem spocząć można i nawet tak życzę, bo wkrótce pojedziemy dalej.

— Ty Kuźmo, pilnuj go: masz pistolet w rękę; wiesz jaka twoja powinność na przypadek, gdyby chciał ująć, lub, czego się nie spodziewam, gdyby kto chciał mu dopomóc. Z oka go nie spuszczaaj. Żebyś się czasem nie nudził, zostawuję tobie Jaszczułta (tak się nazywał żołnierz zaufany Łukawskiego), a ja z panem Michałem pójdziemy szukać naszych i tu ich ze sobą przyprowadzimy.

A do Kieścia:

— Mości gospodarzu, waść musisz znać wszystkie tutejsze drogi — waść siądziesz na koń i poprowadzisz nas do Celinowskiej karczmy; za to dostaniesz trzy czerwone złote. Tylko się nie wahaj, bo zaraz cię tem poproszę - i pokażal rurę od pistoleta.

— No stary — odezwała się Jewka — trzy czerwone złote z deszczem nie padają, ruszaj gdzie pan każe.

— A cóż mam robić — odpowiedział Kieść — kiedy tak pięknie proszą.

— Do zobaczenia — rzekł pan Łukawski Kosińskiemu i Jaszczułtowi, i wyszedł do stajni za Kieściem.

Kieść siadł na konia, toż samo Łukawski i Wojski; było około jedenastej w nocy.

Niezajomy siadł na łóżku; wkrótce potem powstał, zrzucił bogatą szubę i zaczął się modlić. A Kosiński, z pistoletem w rękę, siedział na skrzynce przy drzwiach, patrząc ciągle na swojego jeńca.

Jaszczułt i Jewka wyszli do izby szynkowej. Jewka zabierała się z nim poznać, ale ledwo się w niego wpatrzyła, przybliżyła świecę do swojej twarzy i krzyknęła:

— Kubusiu! czy już mnie nie poznajesz? czy już tak się zmieniłam od lat czterech?

Ach! Jewka kochana — odkrzyknął żołnierz i oboje rzucili się w swoje objęcia.

Dla objaśnienia czytelnikowi tego ich poznaania, trzeba go oświecić, co za człowiek był ten żołnierz. Prawdziwe jego nazwisko było Flicz; ale ledwo wyszedł z dzieciństwa, już był z niego hulaj zawołany. Kilka razy oświ-

czony z wyroku Magistratu Wschowskiego za różne drobne złodziejstwa, uciekłszy z miasta postąpił na wyższą skalę, bo związawszy się z kilkoma subjektami podobnego jemu sposobu myślenia, zaczął rozbijać na wielkim trakcie. W Lesznie Magdeburya jego kolegów powiesić kazała, a jego samego pod strażą silną odesłano do Wschowy, żeby na nim były spełnione wszystkie wyroki przez Magistrat tameczny ferowane. Ale właśnie wtenczas wojna domowa szerzyć się zaczynała w Wielkiej Polsce; pan pułkownik Łukawski, spotkawszy eskortę rządową, rozpedził ją, a każdemu prześladowanemu od rządu sprzyjając bez pytania, czy sprawiedliwie czy nie, Flicza uwolnił i nawet zaciągnął do swojej komendy. Odtąd nowa era nastąpiła dla zbrodniarza. Wykonawszy przysięgę konfederacyi, był jej wiernym, a przytomnością i dziką odwagą, ściągawszy ku sobie szczególne względy Łukawskiego, stopniami przyszedł nakoniec do najściślejszego jego zaufania. Pan Łukawski nie tylko używał go w bojach, ale doświadczał jego zdolności w różnych poleceniach, przeważszy go Jaszczułtem, by zakryć nazwisko splamione wyrokami sądowemi. Pod różnemi nazwiskami Flicz wciskał się, gdzie mu wódz rozkazał, wszędzie się sprawiał należycie, wszystko wyszpiegował, po zamkach pańskich, po domach szlacheckich, po folwarkach, po chałupach wieśniaczych, po różnych miastach i miasteczkach, a szczególnie w Warszawie; i zawsze powracał na punkt i dzień przeznaczony, przynosząc swojemu wodzowi stanowe doniesienia. Przesiadując często w Warszawie, a pod nazwaniem Kuby wyjednawszy sobie przytułek właśnie w tejże samej garkuchni, gdzie Jewka rozpoczynała swój zawód szynkarski, z nią się poznał i wkrótce zbałamuciwszy dziewczynę, rzucił ją na ten tor rozpusty i nieprawości, w których się potem sama wydoskonaliła. Rzecz dziwna, a jednak nierzadka między podobnemi istotami; Jewka kochała go namiętnie i nigdy o nim myśleć nie przestawała. Ile razy Kuba się pokaże w Warszawie, Jewka robi rozbrat ze wszystkimi swoimi kochankami, i tylko nim jednym jest zajęta; nawet pomimo jej bezczelnej chciwości, nie wahała się często udzielać Kubie jakiejś części zarobionego przez siebie grosza. Zawsze piastowała nadzieję być kiedyś z nim nierozłączną; nawet poszedłszy za Kieścia, ulubionem jej było marzeniem, że pochowa swego obrzydliwego starca, że wtedy drogi Kubuś się pojawi, że zostanie jego żoną, że jego z bogaci i powróci pod jego opieką na ten gościniec cnoty, co go od lat tyłu opuściła. I co dziwniejsza, łotr podzielał te uczucia nierządniczy, chociaż od jej zamażpójścia nigdy nie widzieli się z sobą.

Wielka była ich radość, kiedy się z sobą spotkali.

— Cóż moja Jewko — zaczął Flicz — wolałaś sobie dobrać gagacika z łysiną i siwym wąsem, niż na mnie czekać. Z tem wszystkim, jak uważam, źle się wam nie dzieje.

— A cóż, zwyczajnie z łaski Pana Boga, jest jakiś grosz, ale szczęścia niewiele. Ty bywało, to się pokażesz, to nikt nie wie gdzie, a dziewczynie nie wiekować dziewczyną, żeby się nie doczekać aż jej ludzie powiedzą: — Siedź, stary grzybie, bo już cię nikt nie zdybie.

— Ciebie Kubusiu nie było, Kieściowi się dostałam.

— A mąż twój ludziany?

— At zachciałeś, rozbójnik ma więcej sumienia od niego; on Pana Boga się nie boi, u niego pieniądz wszystkim. Odkąd z nim żyję, złotówki nie dał na mszę. Ja chciałam żyć po Bożemu; myślę sobie, chyba Kubuś przybędzie, to z nim poszaleję, bo on do mnie ma pierwsze prawo, ale ktokolwiek inny mnie zaczepi, do wciornaskich, ożogiem mu odpowiem. Albo mój stary ladaco dopuścił mnie pocziwie prowadzić się? On na wszystko złe mnie naprowadził. — A — powiedziałam mu — kiedy ty taki pocziwy, to dobrze! Co mam sobie żalować — Kubusiu drogi, wypij-no kwartę maliniaku, ty kiedyś to lubił.

— Nalewaj, kochana Jewko, z ręki twojej truciznąbym przyjął. No! powiedz-że mnie, kiedy tak, to pieniążki do was płynąć muszą?

— Tać to grzech byłby się skarżyć. Tej nocy zawierucha, więc prócz was nikogo nie ma; ale jak tylko można nosa pokazać na podwórzu, to koło mnie o tej porze liberyi, jak koło jakiej wojewodziny. A żaden z próżnemi rękami nie przychodzi, ani powraca cokolwiek jeszcze mając w kieszeni; bo oni wiedzą, że tu niczego, ani darmo, ani na borg nie dostać. Tobie jednemu to ujdzie, Kubusiu, bo jeno ciebie co sama kocham.

— Ach, duszeczko moja, jakże ty o mnie nie zapomniała w takim bogactwie; bo że ja ciebie kocham, nic dziwnego; temu co ciągle bieduje niestałym nie być.

— Ach! nie gadaj mnie o twojem biedowaniu, Kubusiu! Póki się u mnie znajdzie złotówka, zawsze mieć będziesz prawo do srebrnego grosza. Ot! wiesz co mi przyłazło do głowy? — mój stary niecnota dychawiczny niedługo pociagnie. Co mnie z tem, że ludzie powiadają, że go za nos wodzę, kiedy ja cego cierpieć nie mogę, a za tobą szaleję? Jak go pochowam, zaraz pójde za ciebie, a ze mną dostaniesz pieniędzy więcej, niż się spodziewasz; i będę żyła tak pocziwie, jak ksiądz pleban każe, będę pocziwa jak stara, choć dopiero dwudziesty piąty rok zaczęłam.

— Mój gołabeczku, teraz jeszcze pójde w świat, i to już po raz ostatni, a wkrótce wrócę do ciebie, Jewko i przy was osiadę i będę czekał z wami, aż starego na cmentarz zawiozą.

— Powiedz-że mnie, Kubusiu, co to za pan, co w tak bogatej szubie w alkierzu siedzi i nie nie mówi? Co wy myślicie z nim zrobić?

— O to mnie nie pytaj, to sobie zwyczajnie pan, dobry przyjaciel mojego.

— A hultaju! to ty tak mnie kochasz? Cztery lata ze mnąś się nie widział i na to przychodzisz, żeby na moje czule przyjęcie mnie zwodzić? A czy ty myślisz, że mnie zwodzić można? Ja tylko z ukosa okiem rzuciłam, a zaraz poznałam co to za jeden.

— Kto?

— Oto sam król. Zaraz mi powiedz, co myślicie z nim zrobić.

— Jeżeli ci mam prawdę powiedzieć, bo jużci przed moją Jewką kłamać nie będę, my go chcemy zaprowadzić do Częstochowy.

— Czyś ty oszalał, Kubo? Króla ciągnąć przeciw jego woli! A co ty myślisz? Szlachcica zaczepić strach, pana to jeszcze większy strach, a zrobić gwałt królowi ma na sucho ująć? W szkaradną rzecz dałeś się zaplątać, Kubusiu, a jeżeli od tego się nie odplącesz, wspomnisz moje słowo, że wisieć będziesz. Wolałbyś kościół okraść niż się zahaczyć o króla. Czy ty wiesz, co to znaczy król? to więcej niż biskup, bo biskupi go w rękę całują; to coś na świętego zarywa. Na takiego się porwać - aż włosy na głowie powstają, aż mrowie po ciele przechodzi. Bywaj-że zdrów, Kubo, ja uciekam z domu! Dopiero nieszczęście na mnie naprowadziłeś.

— Ale, Jewciu, za godzinę najdalej nasi powrócą i nas z sobą zabiorą, a tak i nieszczęście ztąd wyniesiem.

— Ale jaki z ciebie cap, Kubo! — Królem wedle swojego widzi mi się obracać, to tak łatwo jak fryjerowi kieszeń oberznąć. On w rękę waszem będzie, a jak zechce, wy osłepiecie, a jemu nic się nie stanie.

— Gadaj sobie zdrowa co chcesz, a już nie mnie się cofać. Czy wiesz, że tyle jest na mnie dekretów, że gdybym miał dziesięć szyj a za każdą mnie powiesili, to jeszczebym nie odwisiał tego wszystkiego, co się mnie należy? Czy tak, czy inak, ginąć mnie na jedno.

— Otóż to właśnie, że na taki kłopot jeden tylko król poradzić może, jak mu pomożesz do wyratowania siebie: co on zresztą i bez ciebie dokaże. Tać to ja Warszawianką, z maleńka na królów patrzałam, znam się lepiej na nich niż wy, co to którego z nich raz w rok widujecie. Ja głowę daję w zastaw, że jak ty zawczasu o sobie nie pomyślisz, to na to wyjdzie, że król jak jest tak będzie królem, a ty w dobrej kompanii nogami dyndać będziesz; ja ci to mówię.

— A skąd-że ta przepowiednia?

— Oto ztąd, że my chmyzy, charłaki, a on król, pomazaniec Boży; a posłuchaj-no, co o nim mówią księża z ambony. A czy to go nie święcili w kościele? Ja sama pamiętam, jak wychodził z kościoła, mając złotą koronę na głowie, a na sobie płaszcz karmazynowy pięknem futerkiem podszyty, a jak to wszystko było mu do twarzy. Miej litość nad sobą, Kubusiu! Tać to on jest królem naszym, jak Pan Bóg jest królem Nieba: jak jemu się okażesz wiernym, to on cię zrobi szczęśliwym. Mówisz, że na ciebie są dekreta: a któż cię z nich odlepi? Jużci nie twoi konfederaci. Ale król czegoż nie może zrobić! On jak zechce, to mój stary rozwód będzie musiał wziąć ze mną, a ty zostaniesz moim mężem: on ciebie robi nie tylko niewinnym, ale nawet szlachcicem, kiedy mu w myśl trafisz. I wtedy będziemy mogli mieć własną wioszczynę, bo na to u mnie się znajdzie grosza, a czego nie dostanie, to król doda. Bo czego nie będziesz miał prawa wyprosić, jak go wyrwiesz z rąk tych oprawców co ciebie opętali.

— Ale jakże to zrobić, moja Jewko! bo ty wiesz, że u kija dwa końce.

— Nic łatwiejszego: są tu sanki i chabety nasze w stajni; czyż go nie można zawieźć do Marymontskiego młyna. Oświadczymy królowi naszą pomoc, i posłuchamy, co on nam na to powie — on i sobie i nam poradzi.

Tu Jewka siadła na kolana Flicza, zaczęła go pieścić i całować, mówiąc:

— O biedna Jewka, kiedy Kuba się waha i siebie i ją chce zaprzepaścić.

— Niech i tak będzie, gołębeczku drogi. Niech tylko mnie król oczyści, żeby, ani żaden gród, ani magistrat do mnie nie miał prawa, a zresztą niech da co jego łaska, a ja go już ztąd wyprowadzę.

— Tylko rób ostrożnie, Kubusiu, bo tu nie jeden. Jest tam jakiś drugi co króla pilnuje; żeby się on czasem tobie nie sprzeciwił.

— At co ty mnie gadasz? Ja trzech się nie boję, a jednemu bym nie miał dać rady? Wielkie mi święto pan Kuźma Kosiński: będzie ze mną trzymać to mu powiem Bóg zapłać, a zechce robić po swojemu, to mu tak dam po rękę, że twardo zaśnie, a że to dla króla, będzie o to pokój z grodem. ~~Każ-że,~~ Jewciu, twojemu wyrostkowi założyć chabety do sanek, a ja pójde sprawić się w alkierzu. Tylko nie trać minuty, żeby nasi nie powrócili przed czasem. Dwadzieścia koni, to nie z jednym robota, a między nimi są Litwini, co kiedy który z nich się odezwie, zdaje się że śpiewa, aż śmiech, a takie zuchwałe, że jeden na dziesięciu się rzuci. — No, ruszaj Jewciu, a daj m buzi na szczęście.

— Poczekaj, każę zaprzęgać wyrostkowi i pójde z tobą do alkierza.

Obaczymy co się w alkierzu działo.

XLI. Majestat królewski.

Zostawiliśmy króla modlącego się pod bacznyim wzrokiem swojego strażnika.

Kuźma Kosiński, ubogi szlachcic, urodzeniem i wychowaniem swoim stał moralnie na pograniczu między stanem uprzywilejowanym narodu a motłochem gminnym i naturalnie skłonniejszym był do podzielenia wrażeń instynktowych ostatniego, niż do przejęcia siebie aż do niezachwiania wyobrażeniami stanowiącemi żywotność pierwszego.

Jak król, modlitwę skończywszy, łagodnie na niego spojrział, doświadczyl natychmiast uczucia pomimowolnego uszanowania, do którego przymięszało się coś nakształt bojaźni. Pistolet, co go dotąd w rękę trzymał, położył na skrzynce obok siebie.

Król śledził go oczyma, a Kuźma baczyl, żeby jego własne oczy nie spotkały się z oczami królewskimi. Czas jakiś trwało milczenie; król je przerwał pierwszy temi słowy:

— Mości panie, i cóż ze mną myślicie zrobić?

— Nie wiem — odpowiedział Kuźma zawsze z oczami spuszczoneimi; — ani przewiduję, co starsi z Najjaśniejszym panem postanowia.

— Powiedzże waćpan, co za powód, żeście napadli na waszego króla, ^ś pomazańca Bożego, żeście go gwałtem porwali w środku jego stolicy,

i wyrządziliście mu krzywdę, jakiej nie odważyłbym się dopuścić względem najpośledniejszego z moich poddanych? Prawo kardynalne narodu: *neminem captivabimus nisi jure victum*, prawo wszystkim służące; czyż jeden tylko król wasz ma być z niego wyzutym?

— Najjaśniejszy panie, co to do mnie należy? Jeżeli w tem co złego, niech się wstydzą ci, co rozkaz dali, a nie ci, co go spełniają.

— Ale mospanie, nie jesteś niewolnikiem; będąc szlachecciem, jesteś sędzią spraw narodu; bez przekonania posłusznym być nie możesz. Zapytuję waćpana, co mi zarzucić można?

— Otóż zarzucają Najjaśniejszemu panu, że z jego łaski obcy żołnierz kraj nasz plądruje, że pokoju nie ma Rzeczpospolita, że obywatel jest zniszczony, gdzie wojna, gdzie głodem, gdzie morowem powietrzem, gdzie zbuntowanem chłopstwem.

— I cóż ja temu winien mospanie? czym to ja rozkazał ziemi, żeby nie rodziła? Czym ja zbuntował chłopstwo ukraińskie, lub rozpoczął wojnę domową? — Przebóg! jaż to mam odpowiadać za złe, co go nieprzyjaciele moi, obłąkawszy część narodu, nagromadzili w naszej nieszczęśliwej Polsce? złe, któremu nie oni, ale ja jeden zaradzić mogę. Święty Prorok powiedział, że biada narodowi, gdzie młody powstaje na starca, mały na wielkiego, poddany na pana, bo na nim jest błogosławieństwo Boże. Ileż to nieszczęść na cały kraj spadnie z waszego nierozważnego kroku!

— Mowią także, że Najjaśniejszy pan narzuciłeś sobie przeciwko woli narodu.

— Ja, ja narzuciłem siebie? — rzekł król powstając i przechodząc się szerokimi krokami po izbie. — Ja siecie narzuciłem! Kłamstwo, potwarz, biorę Boga na świadka, że potwarz. Czy w Woli, wśród tych tłumów szlachty ze wszystkich województw przybyłej, choć jeden głos był przeciw mnie podniesiony? I cóż mi zarzucić można? Ja mam ręce związane do robienia wam dobrze. Najnędnniejszy z moich poddanych ma chwile spokojne; ja jeden w ciągu mojego panowania ani jednej chwili wolnej od zgryzoty nie skosztowałem. Wszystko co usiłowałem zrobić dla dobra moich poddanych, nieprzyjaciele moi nie tylko, że sami te moje usiłności zniweczyli, ale jeszcze oczerlili mnie przed narodem, dla którego jedynie żyję, i same potwarze odbieram w dani.

Tu zaczął lży obfite wylewać; Kuźma stał jak na szpilkach.

Król zastanowił się i badawczem okiem dośledził na jego twarzy skutku mowy swojej. Prostak nie był w stanie utaić na niej swoich wrażeń; śmiały w boju aż do wściekłości, w przytomności króla sam sobie oddany, nie mógł przytłumić trwogi, która jakby zimnem żelazem przeszła jego serce. Król zdołał wyczytać w jego tajnikach i już przeczuł zupełne zwycięstwo. Zbliżywszy się do niego, przedłużył rozmowę w ten sposób:

— Waćpan jesteś szlachecciem i katolikiem, musisz miłować Boga i ojczyznę. Czy się domyślasz, jakie będą następstwa waszego nierozważnego kroku?

jakie klęski z niego na cały kraj spaść mogą? Ten naród polski, tak szlachetny, tak wierny swoim monarchom, ten naród, o którym Zygmunt mawiał, że na dłoni każdego ze swoich poddanych śmiało może spoczywać, odąd piętnem królobójstwa nacechowany będzie. Czy jest jeden król chrześcijański, coby w krzywdzie mi wyrządzonej nie czuł zniewagi własnego majestatu! coby nie ścigał sprawców najokropniejszego występku? Potoki krwi polskiej nie zdołają ugasić sprawiedliwego gniewu monarchów. Nazwiska wasze przekłete będą w narodzie.

— Ach Najjaśniejszy panie, któż o królobójstwie myśli? Takiej szkarydy nie można przypuścić. Cała konfederacya wie o tem, że Najjaśniejszy pan jesteś królem; wszakże w Częstochowie na mszy świętej imię jego jest zawsze wspominane.

— A czyś waćpan zapomniał, jak dopiero ten, który się zdawał starszym między wami, zalecał waćpanu, byś na przypadek, żeby się znaleźli tacy, coby o moim ratunku myśleli, we krwi mojej nie wahał się zbroczyć? Czyż tego własnymi uszami nie słyszałem? Niebaczni! wam się zdaje, że Bóg może dopuścić miarę waszej nieprawości. On dni monarchów policzył; On wam pokazał dopiero, ile wam sprzyja, ale w miłosierdziu swoim dla was dał przestrogę, abyście z niej umieli korzystać. Wszakże mieliście znaleźć poczet waszych, żeby mię tam dostawić, gdzie dla mnie męczeńska śmierć już jest przygotowana. I cóż? On was olśnił i zaprowadził tam, gdzieście nie chcieli.

— Jam temu nic nie winien, Najjaśniejszy panie! Ja swojego nic się nie domyślam, robię tylko to, co pan pułkownik kazał.

— Kto waćpanu śmie dawać rozkazy przeciwko mnie? Kto tu jest starszym, pułkownik czy sam król?

Tu Stanisław August tak wspaniale spojrział na niego, tyle dodał uroczystości do tego powierzehownego majestatu, którym go natura obdarzyła, że Kosiński nie mógł znieść tego oblicza. Dreszcz go przeszedł na wylot, nogi się pod nim zachwiały, chciał coś przemówić, język mu zlodowaciał; ślaniał się, nareszcie padł królowi do nóg, zaczął królewskie nogi całować i odezwał się w największym poruszeniu:

— Co każesz, królu, to zrobię, tylko odpuść com przeciwko tobie zawinił; a jeżeli cię ztąd wyprowadzę, Najjaśniejszy panie, żadnej innej nagrody nie żądam, tylko żebym mógł się wynieść z kraju, bo mnie tu już nie siedzieć, i żebym niczem nie był wmięszany do sprawy, która się z innemi wytoczy.

— Daję waćpanu moje słowo królewskie, że jeżeli postanawiasz opuścić ojczyznę, do śmierci waćpana potrzeby sownie opatrzone będą i że waćpana imię wspomniane nawet nie będzie w ciągu sprawy, która się wkrótce wytoczy.

Tu drzwi od izby szynkowej się otworzyły, a Flicz i Jewka stanęli przed królem. Flicz miał czapkę w ręku, głowę pochyloną, pomięszanie jakiegoś całego jego postać zdradzała. Ale jakie było jego zadziwienie, kiedy ujrzał Kosiń-

skiego wijącego się, że tak powiem, u nóg królewskich. Klęknął Flicz obok towarzysza broni, a Jewka także uklękła.

— Królu — rzekł Flicz, wyciągając do niego rękę — miej litość nad twoim wiernym poddanym; dalibóg! ja tak dalece nie jestem winny. Jestem mieszczaninem ze Wschowy, za różne psoty dekreteowany na szubienicę, już mię prowadzili do niej, kiedy Konfederacya Barska mnie odbiła. Trudno było do niej nieprzystać, bo siedząc spokojnie strycek magdeburski by mnie znalazł. Jedyne moje bezpieczeństwo było w Konfederacyi, gdzie mnie wplątano w ~~w~~szkaradną robotę, o której z góry nie wiedziałem. Pan Puławski, kiedy nas wyprawiał, ani się z tem odezwał, by to coś było przeciwnego królowi; broń Boże, ani słówka nie było o tem. Tylko powiedział nam: — oto macie pułkownika, jemu bądźcie posłuszni, a on wam powie co macie robić. Teraz pułkownika nie ma, a choćby był, wolę słuchać króla, niż jego. Rozkaż, królu, ja twój! Wyprowadzę cię z kłopotu, byleś królu i mnie z niego wyprowadził.

— Czegóż chcesz, mój kochany? — zapytał król łagodnie.

— Żelaznego listu pragnę, Najjaśniejszy królu! Wszak mówiłem, że są na mnie dekreta; a jak król jeszcze z łaski swojej da co na barszcz i obuwie, dalibóg, że już łotrować nigdy nie będę.

— I na tem pewnie nie stracisz — odrzekł król.

— Najjaśniejszy panie — rzekła Jewka, mięszając się do rozmowy — mój pacholek bodaj czy nie zaprzął już do sanek; niech król siądzie na nie, a my go zawieziem o ćwierć mili ztąd do młyna Marymontskiego; on całą duszą przywiązany do Najjaśniejszego pana, którego chleb je.

— Moja kochana — odrzekł król, głaszcząc ją po twarzy — ty jesteś ładniutka, a więc nic dziwnego, żeś dobra; o tobie pamiętać będę.

Obracając się do Flicza:

— Słuchaj, olówkiem kilka słów napiszę, weź to pismo, siądziesz na koń, co może wyskoczyć ruszaj na nim do Warszawy. Tam za Żelazną Bramą szukaj pałacu Strawińskich; tam pójdz i panu staroście Wieluńskiemu oddaj karteczkę, którą ci zaraz wręcę i słuchaj jego rozkazów. Jak mi się dobrze sprawisz, będziesz mieć moją łaskę królewską.

I dobywszy z pugilaresu kawałek papieru, kilka słów na nim napisał, a zgiąwszy papier, oddał Fliczowi.

Flicz siadł na konia i puścił się cwałem do Warszawy. A że już sanki były gotowe, król siadł w tyle, obwinąwszy się w szubę, Kosiński zajął miejsce obok wyrostka powożącego. A Jewka, bojąc się zostać w karczmie, żeby się w niej nie doczekać powrotu konfederatów i nie paść ofiarą ich gniewu, jak obacza, że król umknął, siadła w nogach królewskich.

XLII. Zwycięstwo Starosty.

Kieś, jak się wyżej powiedziało, przeprowadził pana pułkownika i pana wojskiego do celinowskiej karczmy. Zawierucha była ustala, lecz napotykali

często śnieżne zasy, gdzie konie po pas brodziły. Podróż była pracowita, ale Kieść, obeznany z okolicą, prowadził dobrze, zagrzany z jednej strony nadzieją nagrody, z drugiej przestraszony groźbą pułkownika. Wszakże usiłował wejść w rozmowę.

— A wiecie wielmożni panowie, że droga tak ciężka, pora tak zimna, noc tak ciemna, że po sprawiedliwości warto żeby panowie dla mnie biednego narzucili jeszcze jakich parę czerwonych złotych.

Ale kiedy krzyknął pułkownik: — Milez! — chętka Kieścia do gaduli natychmiast ustała. I mileząc szli, a Kieść patrzył tylko przed sobą, aż na koniec odezwał się:

— Otóż i koniec naszej podróży! Nie inaczej! Przed nami stoi karczma eslimowska, a widać, że w niej muszą być goście, bo coś nadzwyczaj oświecona.

Podróżni zsiadli z koni i weszli do izby, gdzie znaleźli Wazgirda, Skotubę i kilku żołnierzy.

— Patrzcie — rzekł pułkownik — złączyliśmy się z sobą. Jak się macie koledzy? Dobrze żeście wypoczęli, bo niedługo znowu pójdziem: a gdzie reszta naszych?

— Ba — odpowiedział Wazgird — nienajlepiej się zrobiło bez pana pułkownika. Jak my tu w godzinę umówioną przyszli, od tego zacząłem, że gospodarstwo karczemne z całą czeladką kazałem zamknąć w śpiżarni. Dyabeł nie śpi, pomyślałem sobie; nuż żydowi przyjdzie w myśl dać wiedzieć komu nie trzeba, o przybyciu tylu gości. Czekaliśmy na pana, czekaliśmy aż nie mogąc się doczekać, ludzie zaczęli się niecierpliwić, chociaż odwilżali sobie gardła, bo tu teraz gość gospodarzem. Ja im mówiłem: Bójcie się Boga! na taką zawieruchę trudno w porę przybyć: albo tu się wam źle dzieje, żebyście nie mogli czekać? Kto czeka godzin dwie, może i trzecią poczekać: wszakże godzina równa godzinie. Ale cóż ze ślamazarnikami poradzisz? jeden po drugim wynosić się zaczęli, nawet hanyżówka nie pomogła. Żeby pomarзли łajdaki! dość, że oprócz tych sześciu, którzy nie chcieli siebie spaskudzić, wszystko znikło jak kamfora. A panom jak też się powiodło w Warszawie?

— W Warszawie jak najlepiej, lisa oderźneliśmy od jaźwiny. Jakaśmy na niego napadli, hajduk próbował bronić swojego pana, ale ja go zaraz szablą uspokoiłem: wzięliśmy pana na koń między siebie i jakoś z miasta wyprosił. A cóż powiesz? Czy inkluza, czy jakiego dyabła miał przy sobie, jeszcześmy nie wynieśli się z miasta, aż tu zrywa się zawierucha, jakiej w życiu nie doświadczyłem, powiadam wam zawierucha ukraińska, sądny dzień. Zbłądziliśmy i tam się dostali gdzie nie chcieli: trafiliśmy do karczmy, ale nie do tej, którejśmy szukali. Trzeba nam teraz do niej powracać, bo tam nas czekają. Kto nam potrzebny, ten się nas doczeka, bo w dobrych rękach: Kuźma i Jaszczułt go pilnują.

— Ach, panie pułkowniku — odrzekł Wazgird — dla czegoś go pan z sobą tu nie przyprowadził?

— Ja sam teraz tego żałuję; ale pomyślałem sobie: Nuż patrol jaki nas spotka, we czterech trudno i bronić siebie i pilnować kogo, a nie gładko przyjąć do ostateczności. Wszak slyszaleś, jak mi powiedziano: — Strzeż Boże waćpana, aby jeden włos spadł mu z głowy. W razie niebezpiecznym zapomina się o przestrodze, lecz jak człowiek ma czas myśleć, to zaraz sobie to i przypomina.

— Mnie się zdaje — rzekł Wazgird — że lepiej było tam zostawić pana Michała. Bo kto wie? Tamten, jak powiadają o nim, ma być wielkim krasomówcą; jak zacznie ich plątać jedwabnymi słowy, żeby nam czasem nie skrewili.

— At, co waćpan gadasz? co to? ja swoich ludzi nie znam? Jabyłm Kuźmie i Jaszczułtowi duszę moją powierzył. O to pokój! Nie tacy to, coby poznali się na krasomówstwie, a tylko to wiedzą, że ze mną żartować nie można. No panowie! zawierucha ustała; widać, że Pan Bóg teraz z nami. Waść, gospodarzu z Brühlówki, siadaj na koń i odprowadź nas do swojej rezydencyi. Wszak wiesz, że łatwiej do siebie, niż od siebie. A tam na waści umówiona nagroda czeka, do czego może się coś i dorzuci, jak nam się dobrze sprawisz.

Żołnierstwo wypiwszy swoje, wyszło z izby za dowódcą. Kiesć naprzód zawsze pod wodzą pistoletu pułkownika: za nim wszystko wyruszyło w pole.

Wazgird i wojski, puściwszy przed sobą oddział na kilka kroków, cicho zaczęli z sobą rozmawiać.

— Cóż to jest — zagaił Wazgird — że ciebie widzę, panie Michale, jeszcze smutniejszym niż kiedykolwiek? Wszak rzeczy zbliżają się do końca. Cała rzecz o to chodziła, żeby króla wyprowadzić z Warszawy i tu gładkoście się sprawili: reszta pójdzie jak po maśle. Trzeba się więc weselić, a nie smuć.

— At! gadasz panie Janie! Wszystko źle poszło, a nadał nic dobrego nie wróżę dla nas, a szczególnie dla siebie.

— Wstydzilibyś się panie Michale, tak mówić: jeżeli kiedy, to teraz weselsze myśli są *ad rem*. Ktoby cię nieznał, powiedziałby, że dawne mężtwo ciebie opuściło, a kto cię zna, śmiało powiedzieć może, że u ciebie śledziona musiała się zagrzać.

— Już jam siebie dawno odżałował: teraz o to tylko proszę Boga, żeby się na mnie jednym cała bieda skończyła.

— Nie wiedzieć co przypuściłeś sobie do głowy! Karczma niedaleko, otaczysz, że zanim słońce zejdzie, będziemy ztąd daleko w bezpieczeństwie wielkiem dążyć ku Częstochowie, gdzie nas bracia z wyciągniętymi ramionami oczekują. Tymczasem wiesz, że Łęsko się udało w Warszawie. Ale przyznaj, że i nasz pułkownik tęgi.

— Łukawski w boju śmiały i przytomny, byłoby grzechem to mu zaprzeczać: ale co do rozporządzenia w okolicznościach ważnych, mój Boże, jakaż to słabizna! Pokłada zaufanie w pierwszym dobrym a niech-no lada przeciwno się zdarzy, zaraz zimną krew traci.

— Co powiadasz?

— Nie inaczej. Czy uwierzysz, że kiedy za rogatekami taka zamieć nas przywitała, że świata nie można było widzieć przed sobą, pan Łukawski tak był przytomność stracił, że koniecznie chciał zamordować naszego jeńca? Ledwo tego dokazałem, że zaniechał swojego przedsięwzięcia. Aż musiałem powiedzieć, że do wylania ostatniej kropli krwi bronić będę króla od jego wściekłości, a taka szkaradna zbrodnia, póki żyć będę, spełnić się nie może. A zablądziwszy do innej karczmy, mnie rozkazał iść z sobą, a króla powierzył swoim siepaczom, im tylko jednym zupełnie zawierzywszy.

— Takowe rozporządzenie zaraz mi się nie podobało i słyszałeś com na to powiedział panu Łukawskiemu. Ale z drugiej strony Kuźma i Jaszczułt są tak znani z odwagi swojej, że niepodobna przypuścić, by nas zdradzić mieli.

— Wielkie złe, kiedy dla pozyskanie ufności, człowiek nie innego nie zdoła okazać oprócz odwagi. Zresztą odwaga, opierająca się na ufności w Bogu i na czystym sumieniu, tak jest daleką jak niebo od ziemi od tej, która pochodzi z przesilku zdrowia, a którą nawet użyciem rozpalającego napoju pobudzić można. Kuźma śmiały, ale cóż z tego, kiedy rabuś, nie bojący się Boga, a Jaszczułt jeszcze gorszy od niego. Jakże się na podobnych ludzi spuszczać?

— Czemu tego nie przełożyłeś pułkownikowi?

— Bo to na nieby się nie przydało. Ja bez najmniejszej nadziei poszedłem na tę wyprawę; ty sam wiesz o tem, bo dla ciebie nie mam nic tajnego. Już dla nas przeszła pora zwycięstw, a tylko czas ofiar pozostał. Trzeba, żeby kilku z nas Bogu zadość uczyniło za przewinienia innych, szlachetnie przyzwalając na to wszystko co Bóg na nich samych dopuści. Co do mnie, poświęciłem siebie zupełnie i jak mój ojciec przeczuwał chwilę swojej śmierci, tak i ja ją przeczuwam, i nie uwierzysz, ile czuję siebie spokojnym.

— Czarnym marzeniom się oddajesz, panie Michale; co do mnie, nie tracę jeszcze nadziei. Zresztą, co Pan Bóg da. Dość będzie pory się smućić, jak obaczmy złe czarno na białem, a wcześniej go przewidywać nie ztąd dobrze, bo nuż tego złego nie będzie? a co się nafrasowało, to tylko zostanie w zysku.

Po niejakim czasie światło zaczęło migać przed nimi, a Kieś odezwał się do pułkownika:

— Otóż jesteście tak dobrze jak w domu. Niech-no wielmożny pan przygotowuje obiecaną nagrodę i jeszcze coś tam narzuci, bo i na to jest obietnica. Pan sam przyznać się musi, że stary Kieś dobrze się sprawił.

Już karczma w całej swojej okazałości przed nimi stanęła pomimo ciemnej nocy, kiedy raptem wyskoczyło naprzeciw nim kilkunastu jeźdźców.

Była to chorągiew królewska, którą pan starosta Wieluński z sobą przyprowadził. Odebrawszy od Jaszczułta wiadomość, że konfederaci powrócić mają do tej karczmy ażeby zabrać z sobą króla, wszystkie zrobił ku temu przygotowania, żeby ani jeden z oddziału nie mógł się salwować ucieczką. Część chorągwi frontem postawił, resztę za karczmą, żeby oskrzydlić przeciw-

ników. Sam Jaszczułt ich prowadził, i z karabinem w rękę nacierał na tych, których jeszcze przed dwiema godzinami nazywał kolegami i bracią. Oddział prowadzony przez samego starostę dał ognia. Kieść naprzód posunięty, nie z ochoty ale z wypadku, jęknął głucho i zleciał z konia. Koń pana Łukawskiego dostał strzał w piersi, powalił się i ciężarem swoim przygniótł jeźdźca; napróżno usiłował pan Łukawski wydobyć się z pod niego. Wojski i Wazgird, spostrzegłszy że na czele chorągwi na nich nacierającej wysuwał się jakiś jeździec na dziwnie dzielnym koniu, we dwóch razem dali ognia do niego. Starosta uczuł się ugodzonym w pierś; myślał że jest rannym. W samej rzeczy kula przeszła mu burkę, trafiła w obraz Najświętszej Panny Ostrobramskiej, który on miał od żony, przygięła go, ale blachy nie mogła przebić. Starosta, chociaż poczuł uderzenie, dowództwa nie odstąpił i głosem i przykładem swoich zagrzewał. Wojski, Wazgird i Skołuba usiłowali w kupę ścisnąć swoją garstkę, by tak uderzyć na nieprzyjaciela; ale gdy pod wystrzałami chorągwi królewskiej jeszcze dwóch konfederatów padło, reszta pierzchać zaczęła. Próżne były krzyki Wazgirda i Skołuby, żeby ich zatrzymać; poznali że tylko im trzem przychodziło walczyć z hufcem tylekroć silniejszym.

— Panie Michale — rzekł Wazgird — nie ma ratunku! Ze wszystkich stron nas okrażają; prócz nas wszystko uciekło, uciekajmy i my jeżeli można *vir fugiens iterum pugnabit*, jak nas kiedyś w Nieświeżu uczono.

I wszyscy trzej, wcisnąwszy ostrogi w boki swoich rumaków, puścili się co konie mogły wyskoczyć. Towarzysze chorągwi za nimi poszli w pogoń, podczas gdy z rozkazu starosty, luzacy podnosili leżących. Pogoń niedługo trwała; nasi trzej tak szybko przed nimi zmykali, że nie było sposobu ich dopędzić. Lecz gdy jeden z nich napadł na rów śniegiem zasypany, koń się związał i padł z nim razem. Kilku z Towarzystwa zsiadło z koni i do niego przyskoczyli, ale on się im pdał, żadnego nie robiąc oporu.

Z jeńcem swoim wróciło towarzystwo pod karczmę. Starosta kazał go położyć na saniach już przygotowanych, obok Łukawskiego i Kieścia, który jeszcze dyszał; innych dwóch nie było czego podnosić, bo już byli skrzepli. Tych tedy zostawili, a ze zdobyczą swoją na saniach złożoną ruszyli razem ze starostą do młynarza marymontskiego, w którego mieszkaniu król z wielką niespokojnością oczekiwiał przybycia starosty. Kiedy wszedł starosta, król się zerwał z łóżka na którym siedział, wziął go w swoje objęcia i zaczął go ścisnąć jako przyjaciela i wybawcę; ale kiedy starosta mu powiedział: — Najjaśniejszy panie, nieprzyjaciele waszej królewskiej mości jedni poginęli, a drudzy są w naszym ręku — król na to nic mu nie umiał odpowiedzieć z radości, tylko zdjął z siebie wstęgę Orła Białego i włożył ją na starostę.

Starosta ukląkłszy przed królem, rękę jego do swoich ust przyłożył.

— Wracaj, najjaśniejszy panie, teraz do stolicy, wśród wiernej swojej straży; a oto mamy trzech jeńców.

— Niech ich tu przedemnie wprowadzą — rzekł król.

Starosta wyszedł dla dania rozkazu, ale wychodząc spotkał Jewkę, śmiejącą się do rozpuku z Jaszczułtem.

— Czego się śmiejecie? — zapytał?

— Oto panie z tego — odpowiedziała Jewka — że dopiero mój mąż skończył. Ledwo przystał do konfederatów, na pierwszej potyczce zginął; ja myślałam, jakby z nim rozwód wziąć, a on mnie od tego kłopotu przy pomocy pańskich ludzi uwolnił.

— Bo trzeba wiedzieć, jasnie wielmożny panie, że mnie Jewka pierwej kochała; ona mnie zwerbowała do usług królewskich, kiedy pan pułkownik Łukawski jej męża zwerbował do Konfederacji, ale że nasza na wierzchu, więc Jewka będzie moją żoną. — Starosta oczy odwrócił od tego ohydneho widoku.

Wprowadzono do izby Łukawskiego, chociaż czterech towarzyszy trzymało go między sobą, król na widok jego wzrostu, omal nie olbrzymiego i zuchwałości jego postawy zadrżał. Ale przyszedłszy do siebie rzekł do niego:

— Kto waćpan jesteś?

— Jestem Łukawski, szlachcic polski i pułkownik Konfederacji Barskiej. Dowodziłem tym oddziałem, co dopiero został zdradzonym od szczęścia, będąc wrzód zdradzonym od tego, któremu zaufałem.

— Kto waćpanu dał rozkaz, ze mną, ze swoim królem, tak postąpić jak postąpiłeś?

— Nikt, ja sam chciałem ciebie dostawić do Częstochowy, ażeby tym sposobem położyć koniec i wojnie domowej i tym wszystkim klęskom, które trapią kraj nasz, od tej chwili jakieś się nam narzucił na króla.

— Nędzarzu! czy wiesz że życie twoje jest w moim ręku?

— Życzę tobie być tak przygotowanym do śmierci, jak ja. Wiem co mnie czeka, ale jeżeli cień sprawiedliwości w sercu zachowujesz, ocal mojego kolegę. który wraz ze mną został twoim jeńcem: ty jemu winienes że jeszcze żyjesz. Ja przed roгатką Marymontską chciałem cię zabić on wstawieniem się swoim ciebie wyratował.

— Jakież masz powody do takiej przeciwko mnie zawziętości? Coż ci złego zrobiłem?

— Jeżeli będzie sąd na mnie, przed nim będę się tłumaczył.

Wprowadzono drugiego jeńca. Starosta ledwo nań okiem rzucił, krzyknął przeraźliwie i padł bez przytomności pod nogi królewskie.

□

XLIII. Posłuchanie u króla.

Po powrocie królewskim do stolicy, okrzyki radości rozległy się po Warszawie; każdy chciał oglądać króla, każdy przekleństwa miotał na jego nieprzyjaciół. Jedni, gorliwi jego stronnicy, cieszyli się z zapalem ze zwycięstwa otrzymanego na partyi przeciwnej; drudzy za ich przykładem, chociaż dotąd

byli obojętni, podnieśli się do tego zapału, bo zapał jest lubo krótkotrwałym, z przyrodzenia swojego zaraźliwym, a gmin, dla którego każde krwawe widowisko jest najmilszą rozrywką, domagał się głośno o stracenie królobójców, bo publiczność wezwyczała się, dawać to nazwanie tym, co mając króla w swoim ręku przez kilka godzin, dopuścili jednak by go w całości odwieziono do stolicy. Ludzie wyższego stanu, chociaż szczerze podzielali z początku zapał gminu, wszakże dostępiejsi rozwadze, stygnąć zaczęli w tym zapale. Wielu było nawet stronników królewskich, co mając stosunki powinowactwa z wodzami Konfederacyi Barskiej, jakkolwiek nie sprzyjali ich politycznym widokom, nie byli radzi, że z jakąś przesadą na nich rzucono plamę królobójstwa, występku niesłychanego w narodzie polskim.

Udano się najpierw do Łukawskiego, zaraz po wprowadzeniu sprawy. Ofiarowano mu przebaczenie, z zapewnieniem przyzwoitego majątku za granicą, jeżeli zezna na piśmie, że generalność dała mu rozkaz dostawić króla żywym lub martwym do Częstochowy. Łukawski odrzucił ze wzgardą ofiarę, oświadczając, że innego nie otrzymał rozkazu, tylko żeby się udać na Mazowsze dla wskrzeszenia Konfederacyi między obywatelami; ale będąc blisko Warszawy, *proprio motu* przedsięwziął porwać pana Poniatowskiego, którego swoim królem nigdy być nie uznawał, że chciał go uwięzić do Częstochowy, stanąć tam z gotową delacją, by dowieść mu nieprawne mianowanie siebie Królem Polskim i domagać się o karę na niego za przywłaszczenie nienależącej mu godności. Tentowano szczęścia z panem Strawińskim, ale ten nic innego nie chciał odpowiedzieć, tylko że widząc siebie oskarżonym o *crimen status*, nie uznaje nad sobą innej jurysdykcji oprócz sądu sejmowego i przed nim jedynie winien się tłumaczyć.

Sprawa toczyła się publicznie i po pierwszych sessjach król mógł się przekonać jak jest niebezpiecznie nieprzyjaciela energicznego i zuchwałego wystawiać przed publicznością. Każde słowo wychodzące z ust Łukawskiego było pociskiem na króla, a męztwo przytomność i niezachwianie tego człowieka tak osłabiły pierwsze wrażenia, że już wyrazy jakiegoś współczucia dla Łukawskiego słyszeć się dawały po mieście. Kosińskiego dla własnego jego bezpieczeństwa musiano wywieźć z kraju; a starosta Wieluński, dopiero ulubieniec salonów warszawskich, już zaczynał wszędzie spotykać oziębione oblicza. Czasem wyraz *bratobójca* zdaleka dochodził do jego uszu. Powtarzano wszędzie, a nawet na pokojach królewskich, że wojski, powodowany afektem braterskim, przypuścił starostę do działu ojcowizny, która jemu jednemu była przeznaczoną; że nigdy nie przestawał dawać mu dowodów najszczerzego przywiązania, a że starosta mu się odwdzięczył najprzód porywając dla siebie pannę, bratu zaręczoną, a nakoniec prowadząc go na rusztowanie.

Z drugiej strony wodzowie Konfederacyi Barskiej, ochłonawszy z pierwszego przestרחu, jak tylko doszły do nich wieści o sprawie rozpoczętej z królobójcami, umieli korzystać z ich stałości i niczego nie zaniedbywali, żeby siebie uniewinnić i przed własnym i przed obcymi narodami. Tłumaczenie,

które wysłali do dworów europejskich, były pełne godności; w niem oświadczyli, że każdy kraj ma swoje prawa, wedle których obywatel ma być sądzonym, że w rządzie elekcyjnym stosunki poddanego z panującym są zupełnie innej natury niż te, które są między nimi w rządach spadkowych; że król Stanisław panuje w Polsce, ani z prawa Bożego, ani ze krwi, ale jedynie z mocy paktu zawartego między nim a szlachtą; że pełnowładztwo w Polsce jest w szlachcie, która część ónego w czasie elekcyi zdaje na wybranego od siebie króla, pod warunkami zobopólnemi; że król dochowaniem przysięgi swojej ma prawo wymagać wierności i posłuszeństwa od poddanych swoich; że Konfederacya nie jest buntem, ale legalnym oporem przeciwko nadużyciu władzy; że takowe prawo polityczne, jedynie w Polsce służące, jest uzzane od wszystkich mocarstw, tak dalece, iż niektóre z nich nie wahały się zawierać sojuszów z Konfederacją Barską; że sam król akces zrobił do świeżo rozwiązanej Konfederacyi Radomskiej, że jeszcze świeższa Konfederacya Słucko-Toruńska z jego instynktu zawiązaną została, a więc że udział w Konfederacyi Barskiej nikogo plamić nie może.

Manifest pana starosty Wareckiego był w podobnym duchu; te pisma wielkie zrobiły wrażenie i w Polsce i za granicą i niemało królowi zaszkodziły w opinii publicznej.

Właśnie w tym czasie hetman Ogiński, ów nieszczęśliwy dowódca Stołowickiej wyprawy, zrobiwszy submisję królowi, za pośrednictwem swojej żony siostry ciotecznej króla, a która była naczyniem wybranym wszystkich cnót starożytnych, wrócił był do Warszawy i wkrótce odzyskał był dawny afekt królewski, gdyż w naturze ich umysłów i ich wychowania wielkie było powinowactwo. Ogiński, dowcipny, pełen talentów salonowych, ułożenia zupełnie zagranicznego, chociaż dla wielkiej lekkomyślności nie był zdolnym wygrać roli politycznej, do jakiej go powoływały i świetność rodu i wysokie dostojęstwo, miał wszakże szlachetne serce, którego natchnieniem umiał ulegać. Pojednawszy się z królem, szczerze się do niego przywiązał, jednak nie zerwał stosunki przyjaźni ze swoimi kolegami z Konfederacyi. W obu stronnictwach lubiony, do niego najwłaściwiej przynależało, żeby i do jednego i do drugiego przychodzić z roźdzką oliwną; a Ogiński poznał to swoje położenie. Przechadzając się z królem po sali zamkowej, dał mu radę, za którą gdyby poszedł, wielką popularność byłby pozyskał w narodzie.

— Najjaśniejszy panie — powiedział mu — w mocy waszej królewskiej mości, żeby sama z siebie Konfederacya rozwiązała się, a jej naczelnicy zostali waszej królewskiej mości najwierniejszymi stronnikami.

— A to jakim sposobem? — zapytał król.

— Wasza królewska mość urwij sprawę królobójców, a ich samych każ odesłać pod strażą do Częstochowy, z oświadczeniem, że wodzowie Konfederacyi, jakkolwiek mu przeciwni, są nadto znani w narodzie z cnót swoich, by im można przypisać targnienie się ich podwładnych na osobę pomazańca

Boskiego: odśełasz winowajców do nichże samych, ażeby z nimi postąpili, jak im sumienie i roztropność doradzą.

— I cóż z tego nastąpi?

— To, co może być najlepszego dla waszej królewskiej mości: gdyby tamci byli Machiaweliści, kazaliby ich powiesić jako nieposłusznych żołnierzy: tym krokiem samiby siebie uniewinnili, a po niejakiem czasie staraliby się coś nowego a lepszego wymyślić. Ale ja znam ich, najjaśniejszy panie: to są ludzie, którzy się tak boją sądu Bożego, że dla żadnych widoków politycznych sumienia swego nie obciążą. Zaręczam waszej królewskiej mości i na to daję w zakład głowę moją, że sami przybędą do Warszawy błagać waszą królewską mość, abys ich z tak drażliwego położenia raczył wyprowadzić i na wszystko chętnie zezwola, byle tylko winowajców ocalić: tym sposobem miłościwy król zabijesz Konfederacyę.

Król się nieco zamyślił. Trafnosć tej rady mówiła do jego przekonania, a przynajmniej sprawiła na niem wielkie wrażenie, ale nakoniec powiedział:

— Ta rada dobra, ale za nią iść nie mogę: mam ręce związane.

Starosta Wieluński cierpiał niesprawiedliwie i cierpiał nad miarę. Po powrocie z królem od tego był zaczął, że poszedł do domu, by mu ranę opatrzone, bo taki ból czuł w piersiach, iż był przekonany, że strzał do niego obrócony go nie minął. W samej rzeczy, gdyby obraz Najświętszej Panny nie osłabił impetu kuli, ona-by mu niezawodnie pierś przeszła: blacha się przygięła od uderzenia tak, że część ciała, która obrazem zasłoniona była, zupełnie zczerniała. Starosta, pomimo rychłego krwi puszczenia, krwią chrząkał przez dni kilka, co mu jednak nie stanęło na zawadzie biegania wszędzie, by wyratować brata, którego zguby przez jakąś fatalność stał się sprawcą. Nakoniec otrzymał prywatne posłuchanie od króla. Stanąwszy przed nim, jakkolwiek spostrzegł w obliczu króla, że jego przybycie, zawsze tak uprzejmie dotąd przyjmowane, zdawało się nieco ciężyc królowi; jakkolwiek zauważał, że król układem i łagodnością przybraną nie mógł pokryć jakiejs oziębłości, bo doświadczone na dworach oko starosty umiało czytać w wnętrzach duszy tych, co z nim obcowali, jednak skromnie i poważnie tak zaczął:

— Staję przed tobą, miłościwy panie, okryty twojemi łaskami. Dotąd nigdy o żadną dla siebie nie prosiłem, chociaż wasza królewska mość niejednokrotnie do tego mnie upoważniała; dobroć twoja, królu, zawsze żądania moje uprzedzała. Nie zasługi moje, bo nikt ich mniej odemnie nie ceni, ale wspaniałomyślność twoja ośmiela mnie pierwszy raz prosić za sobą. Honor mój jest w rękach waszej królewskiej mości, a ten honor jest ściśle spojony z losem, jaki brata mojego ma spotkać. Błagam cię, miłościwy królu, przebac bratu mojemu! Nie dopuść, by wiernego sługę twojego, szefa twojego gabinetu, tego, któregoś tylż razy publicznie zaszczycił nazwiskiem twego przyjaciela, palcem wytykano, jako bratobójcę, jako człowieka z plemienia shańbionego rusztowaniem.

— Ale, mój kochany, cóż ja zrobić mogę? Wszak *jus agratiandi* nie jest udziałem władzy monarszej w Polsce; wszak żyję pod prawem, tak jak i poddani moi. Sam czytałeś, jak hersztowie Barskiego rokосу grożą mi sądem sejmowym, pod którego wyroki chcą mnie pociągnąć; przy prawach, jakie mamy, cóż król może zrobić dobrego dla swoich poddanych?

— Najjaśniejszy panie, król, a nie kto inny jest naszym najwyższym sędzią, źródłem wszelkiej władzy sądowniczej. Cóż sędzia może królowi odmówić? Jedno słowo waszej królewskiej mości sędziom wyrzeczone będzie dostępnem, żeby ocalić mojego brata; czyż już i tego jednego słowa nie otrzymam?

— Mój kochany, ty mnie znasz lepiej, niż kto inny. Ty sam wiesz, że krwi nie pragnę, że rad jestem zapomnieć krzywdy, co je ponoszę codziennie od takich nawet, których dobrodziejstwa mojemu okryłem. Żadnego żalu do twojego brata nie mam; żebym o tem wszystkich przekonał, sam stanę w obronie moich morderców, sam przemówię się w ich sprawie; czegóż więcej żądać odemnie można?

— Jeżeli wasza królewska mość sądownie przemówisz za winowajcami, gazety zagraniczne przytaczać będą urywki jego mowy ze słusznymi pochwałami serca i rozumu waszej królewskiej mości, a mój brat dlatego straconym zostanie. Jedno słowo świętych ust twoich, królu, na osobności sędziom powiedziane, zadość uczyni najpoddanniejszej prośbie mojej, a przemówienie publiczne waszej królewskiej mości za moim bratem w niczem losu jego nie odmieni.

— O cóż to idzie mości starosto? Niech brat waćpana zezna, że czynność jego była dopełnieniem rozkazu danego mu od hersztów Barskiego spisku; a natychmiast wrota jego więzienia przed nim zostaną otwarte. Wszakże nie chcę nic od brata waćpana, tylko samej prawdy; do waćpana należy go skłonić, żeby przeciwko niej się nie opierał. Sam wiesz dobrze, mój starosto, że rozkaz był dany; za cóżby miał być tak upartym w tajemieniu prawdy tak oczywistej?

— Aż nadto pewny jestem, miłościwy królu, że mój brat był wykonawcą cudzej woli; ale jeżeli przysięgą obowiązał się do zachowania tajemnicy, jakże się spodziewać, by człowiek dzielący wszystkie fanatyczne wyobrażenia swojego narodu, miał siebie od przysięgi rozgrzeszać. Wracam do źródła dobroczynności twojej, najjaśniejszy panie, obietnice łaskawego jej udziału dla mnie. W nagrodę moich zasług domagam się uwolnienia mojego brata, abym nie miał powodu płakać całe życie, że był nadto skwapliwym w daniu ratunku waszej królewskiej mości za pierwszym jego rozkazem.

— A mości panie, na to odpowiedzi dać nie umiem. Sumieniu waćpana zostawuję rozsądzić, czy poddany i zaufany sługa na wezwanie swojego króla miał być skwapliwym lub opieszalym w dopełnieniu jego rozkazów? Czy urzędnik, który przysięgą ewinkował wierność swoją, może mieć powód żalowania, że stanął na rozkaz króla, wołającego by szedł na jego ratunek?

— Widzę więc, najjaśniejszy panie, że moje usługi już się naprzykrzyły waszej królewskiej mości. Brat zbrojcy na śmierć skazanego nie może być szefem gabinetu królewskiego; zresztą moja przytomność przypominałyby ciągle przysługę nadto wielką, by jej pamięć mogła być przyjemną. Widać, że są poświęcenia poddanego dla swojego pana takie, że na nie się zdobywszy trzeba zaraz potem umrzeć, ażeby i sobie oszczędzić pasma zgryzot i króla oswobodzić od ciężaru wdzięczności.

— Mości panie starosto Wieluński, przebaczam waćpanu te słowa obraźliwe, których śmiałeś się dopuścić w mojej przytomności; przypisuję je uniesieniu i czułości braterskiej. Przywiązanie waćpana do brata tem więcej mnie buduje, że nie zawsze dawałeś mu tego dowody. Powtarzam to, o czem waćpan przekonany być powinien: jeżeli brat waćpana wyzna przed sądem, kto był pierwszą sprawcą czynu, wrota więzienia będą dla niego otwarte; znajdzie we mnie króla i ojca; jeżeli wytrwa w swoim uporze, prawo niech o nim stanowi. Co się zaś tyczy usług waćpana, one są dla mnie i przyjemne i pożyteczne; wszakże ani tej myśli przypuszczaj sobie, bym je okupywał poniżeniem osoby mojej. Jeśli waćpan będziesz takim, jakim byłeś dotąd, nigdy się nie rozstaniemy z sobą; jeżeli mi myślisz prawa przepisywać, tego nie zniosę.

I ręką skinąwszy dał poznać, że się posłuchanie skończyło.

Starosta odszedł w największem poruszeniu. Ani zadawał sobie pracy pokrycia swojego uniesienia; śpiesznie przeszedł garderobę królewską odpychając każdego, który się do niego przybliżał. Nic już przed sobą nie widział; szedł prawie bez przytomności i tak zbiegł ze schodów zamku. Lokaj rzucił na niego szubę i otworzył karete; starosta tego nie spostrzegł, poszedł pieszo, nie wiedząc dokąd dąży.

XLIV. Więzienie.

Wojski w więzieniu swoim znalazł dawnego znajomego w osobie JW. generała Korycińskiego, który miał dozór nad więźniami stanu. W czasie tej wojny domowej, która wkrótce po elekcji Stanisława Augusta nastąpiła, generał, naturalnie służąc w stronnictwie królewskim, w Litwie z bronią w rękę schwytanym został od oddziału, któremu dowodził generał Kunicki. Pan Michał Strawiński obszedł się z nim najuczciwiej i to wyjednał dla niego, że pozwolono mu wyjechać do rodziców, poprzestając na słowie od niego danem, iż uważając siebie za więźnia, pokąd nie będzie zamienionym na innego ze strony przeciwnej brańca, odpowiedniego mu w stopniu, służyć przeciwko Konfederacyi nie będzie, którego to słowa, jako mąż nieposzlakowanego honoru, najświęciej dotrzymał. Kiedy mu więc oddano pana Michała, przyjął go jako przyjaciela; nie wahał się jemu uczynić tych wszystkich pomniejszych przysług, które jednak tak ułagadzają los nieszczęśliwych jeńców i najmocniej go prosił, by w każdym żądaniu swoim wprost do niego się odnosił, i że

mu odmówi chyba tego tylko, czego dopełnić mu będzie niepodobna.

Pułkownik Łukawski był zamknięty w temże więzieniu co i wojski, ale każdy z nich oddzielną izbę zajmując, żadnych znożeń ze sobą mieć nie mogli. Generał codziennie obu nawiedzał; pierwszego jedynie z obowiązku, drugiego, że do obowiązku dodawał jeszcze osobistą przychylność. I nie tylko on, ale nawet odźwierni więzienia, ludzie z powołania serca nie wielce czulego, ledwo wojski parę dni z nimi pobył, a już podzielali generała współczucie dla niego. I Łukawski i Michał równie byli mężni, ale męztwo w każdym z nich innemi cechami się objawiało: Łukawski zdawał się ciągle przypominać sobie, że trzeba się pokazać odważnym; Michał zupełnie o sobie zapomniał i za żadnymi efektami się nie upędział. W pierwszym przemagała zuchwałość a duma, w drugim rezygnacya i skromność. Jeden, nawet w więzieniu, budził w sercu swoich strażników coś nakształt bojaźni, drugi jakieś uszanowanie. Energia pułkownika wylewała się gwałtownością, energia wojskiego cierpliwością niezem niezachwianą. Łukawski wyraźnie okazywał wzdarcę dla śmierci i niemniejszą wzdarcę dla tych, co byli jej sprawcami; Michał okazywał dla pierwszej obojętność, a dla drugich jakieś politowanie religijne, bez najmniejszej chęci ich upokorzenia. Główne rysy charakteru tych dwóch jeńców szczególnie się odznaczały, ile razy ich stawiano przed sądem. Łukawski drażnił sędziów goryczą swoich wymówek, nie tyle troszcząc się o usprawiedliwienie siebie, ile o napiętnowanie przeciwnego stronnictwa sromotą. Nie stawał jako obrońca własnej osoby, ale jako oskarżyciel króla i jego popleczników. Michał przeciwnie, lubo zaprzeczał sędziom prawa jego sądzenia, w niezem ich osobistości nie dotykał. Stawał w obronie ustaw i prawodawstwa krajowego; oświadczył, że tylko przed sądem sejmowym tłómaczyć się winien, że sądowi marszałkowskiemu nic innego nie wyrzuca, oprócz niewłaściwości juryzdykcyi, oddając zresztą wszelką sprawiedliwość prawości osobistej tych, co wchodzą do jego składu. Jeżeli go chcą sądzić jako prostego mężobójcę, to z pełną ufnością stanie przed nimi, aby ich przekonać, że nim nigdy nie był; ale gdy go chcą sądzić jako królobójcę, kognicya wszystkich przestępstw, objętych w ogólnem nazwisku *crimen status*, tylko sądowi sejmowemu należy wedle prawa, a on, będąc i obywatelem i urzędnikiem, sumiennie nie może się poddać juryzdykcyi niewłaściwej. Ta jego wierność dla prawa, którą dochować winien jako szlachcic, którą dwa razy przysięgą stwierdził, raz jako jurysta, drugi raz jako wojski, przeważać winna uczucie osobistego szacunku i ufności, które skądinąd mieć może dla swoich sędziów. To tłómaczenie, w którym zamknął obronę swoją, było wyrzeczone z taką godnością, z takim umiarkowaniem, że sędziowie nie mogli utaić przed sobą, iż prawie cała publiczność słuszność mu przyznawała.

Od pojmania swego, wojski najmniejszą nie łudził siebie nadzieją. Przygotowany do śmierci i wolą i uczuciem oderwał się od tego świata, a tylko myślał o tem życiu nowem, gdzie już bez przeciwności, bez zgryzot, bez obawy miał się złączyć z ojcem swoim w krainie wieczności, na łonie Najwyższego.

Tymczasem sąd postępował. Sędziowie, nie wchodząc w zaprzeczenie im właściwości w juryzdykcyi, a widząc, że wojski nie chce im odpowiadać, zaniechali z nim wszelkich interrogatoryów, ale jako na pojmanego *in flagranti delicto*; ferowali nań wyrok śmierci, z egzekucją *post triduum*, ażeby mu zostawić czas do pojednania się z Bogiem. Tenże wyrok był wspólny i dla Łukawskiego. Kiedy zostali obaj wprowadzeni do wysłuchania dekretu, Łukawski ręką dał znak wzgardy i ani słowa nie powiedział; wojski przemówił. — W krótkości powiedział, że gdy szlachcic *sine beneficio apellationis* nie może być sądzonym, mógłby odwołać się do trybunału, ale że tego nie czyni, aby tem nie akceptować juryzdykcyi, że tylko od wyroku uciążliwego, ale prawnego, odwoływać się można, a w tym, który dopiero mu przeczytano, prawdziwego wyroku nie widzi, ale jakiś paszkwil na jego osobę rzucony. Dowodził wszystkich nielegalności dekretu, wszakże oświadczył, że we wszystkim zgadza się się z wolą Pana Boga, że swoim sędziom z serca odpuszcza.

Starosta ze swojej strony robił co tylko mógł dla ocalenia brata, powtórnego posłuchania prosił u króla, ale to mu odmówione zostało. Napisał do króla list obszerny, gdzie przypominając mu najuniższej swoje zasługi, przeproszał go, jeżeli, gdy położenie brata przytomność mu odjęło, w czemkolwiek mógł jego obrazić. Błagał króla o przebaczenie dla brata, ofiarował mu życie swoje na każde jego zawołanie, byle brata jego ocalił; nie nie zaniedbywał, żeby przyrodzoną wspomniałomyślność króla obudzić. List starosty był wytworem logiki i czułości, ale na ten list odpowiedzi żadnej nie otrzymał. Udawał się starosta do wszystkich swoich przyjaciół, prosząc ich o wstawienie się za nim do króla, ale mógł się przekonać, co to jest niekiedy wdzięczność i przyjaźń na wielkim świecie.

Starosta wyczerpawszy wszelkie środki dworszczyzny, nakoniec wpadł w rozpacz i rodzime zuchwalstwo polskie wzięło w nim górę nad wszelki poler, wychowaniem zagranicznym nabyty. Posłał królowi dymisyę od urzędu szefa gabinetu i do niej dołączył list cierpki, w którym oświadczył, że honor i sumienie nie pozwalają mu dłużej zostawać w usługach jego królewskiej mości. Król obrażony do najwyższego stopnia, wyprawił do niego szambelana swojego Camellego, żeby mu oświadczył w jego imieniu, że przyjmuje dymisyę szefostwa swojego gabinetu, oraz że żąda niemniej jego dymisyi od służby wojskowej i zdania najrychlejszego chorągwi królewskiej kawalerii narodowej, która pod jego dowództwem dotąd zostaje.

Ale jak tylko Camelli o tem wspomniał, starosta odpowiedział zuchwale:

— Mości szambelanie! złożyłem szetostwo gabinetu, bo królowi nie myślę służyć, lecz do śmierci pragnę być wiernym sługą rzeczypospolitaj, i chorągwi mej nie złożę. Jeżeli wedle króla nie jestem godzien mieścić się w kompurowem wojsku, to niech sąd na mnie zwoła, bo sądownie mogę być tylko wyzutym z mego stopnia, a nie poczuwając się do żadnej winy, królowi posłusznym być nie mogę. Proszę mu to oświadczyć ode mnie.

— Uważaj, mości starosto, że chorągiew, którą dowodzisz, jest królewską; że swój stopień otrzymałeś z jego łaski, a tem samem ta łaska może być cofnięta. *Cujus est condere, ejus est tollere.*

— We Włoszech takowe aksjomata mają siłę prawa, ale nie u nas. Ja nie królowi służę, jak waćpan, ja służę Rzeczypospolitej, której król jest tylko pierwszym urzędnikiem a nie panem. Jestem porucznikiem tej samej chorągwi, której król jegomość jest rotmistrzem i tu w nim widzę, tylko o jeden stopień starszego kolegę. Jeszcze władza hetmańska nie jest zniesioną; hetman wielki przeniósł się do wieczności. ale żyje hetman polny, przy którym zostaje najwyższa władza nad wojskiem. Król najlepiej wiedzieć powinien, gdzie się znajduje teraz hetman polny. Niech on na wezwanie króla da rozkaz, bym złożył dowództwo królewskiej chorągwi; jemu jednemu winienem być posłusznym.

— Zapytać śmiem samego pana starostę, czy mogę podobną odpowiedź zanieść królowi?

— Innej waćpan odemnie nie otrzymasz. Ja nie jestem Włochem z po za gór zabłąkanym; ja jestem szlachcic *possessionatus et bene natus.*

— Pan starosta się unosisz; w czymże się mogłem panu narazić? Przy noszę mu rozkaz królewski, ale w tem nie ma nic mego. Cóż to wszystko do mnie ma należeć? Ja zawsze byłem pańskim przyjacielem i pewnie tego nie powtórzę przed królem, coś pan w uniesieniu mówił.

— I owszem i owszem! Jako od niego posłany, winienesz mu co do słowa opowiedzieć coś słyszał. O twoich dobrych chęciach dla mnie nie wątpię; juźci żadnego własnego interesu mieć nie możesz w tem, żebym złożył moje pułkownikowstwo, ono się tobie przez żaden sposób dostać nie może. Ty nie polski szlachcic, ty sobie Włoch zwyczajnie; mundur kawaleryi narodowej nie dla ciebie; i dziękuj Bogu, że król w niej umieścić ciebie nie może. Tybyś towarzyszom pancernym nie dał rady; oniby tobie twarz zapluli, a plecy wyplazowali. W gabinecie królewskim, to dla was miejsce; będziecie kaligraficznie przepisywali depesze i listy sentymentalne króla roznaszali według adresów. Jak wdrapiecie się do senatu, może wyuczycie szlachtę naszą mały wodzić po jarmarkach.

— Jeżeli pan starosta samego króla nie szanujesz, nie dziwnego, że ja, sługa, wystawiony jestem na jego obelgi. Moja rzecz cierpieć i milczeć; jednak jak przyjaciel pański, pozwól niech mu dam jedną radę...

— Idź-że precz, Włochu, z twojemi radami! Radź sobie królowi pospół z panią Lullier, a ja, sam sobie radzić potrafię. Ruszaj z Bogiem pokądes jeszcze cały i złóż królowi jegomości moje uszanowanie.

Jak zniknął Camelli, starosta kazał siebie zawieźć do koszar i tam swoją chorągiew musztrował. Towarzysze miłowali go jak ojca, bo żył z nimi i sownie ich potrzeby opatrywał z własnej szkatuły; śmiało więc mógł rachować na nich w każdym przedsięwzięciu. I kiedy im oświadczył, że król żąda, by złożył nad nimi dowództwo, oni go na klęczkach prosili by ich nie opuszczał. Powiedzieli mu, że nikt nie ma prawa do tego go zmuszać i że jeżeli im

dadzą innego wodza, oni go na grotach swoich proporców zaniosą do zamku.

Tu przychodziła najstraszniejsza chwila dla starosty; trzeba było, żeby się koniecznie widział z bratem, którego rozmyślnie kiedyś przywiązanie zdradził, a którego świeżo, choć w nieświadomości, pojmał i oddał w ręce nieprzyjaciół. Wolałby się spotkać z tysiącem śmierci, niż z zażalonym wzrokiem brata, jednak postanowił widzieć się z nim, gdyż od tego widzenia zależał jedynie jego ratunek.

Poszedł więc do więzienia, przemógłszy wszystkie przeszkody, jakie mu stawały wstyd, natura, wyrzuty sumienia. Przybywszy do więzienia kazał sobie wprowadzić do wojskiego: z początku oficer służbowy się wahał, ale na groźny rozkaz dany mu od oficera tyle wyższego w dostojęństwie, a ozdobionego najwyższym ozderem kraju, był mu posłusznym.

Wojski właśnie wtenczas dotaczał cybuch, przeznaczony na pamiątkę Wazgirdowi, kiedy drzwi jego więzienia się otworzyły. — Ludwik stanął jak wryty na progu. Ale Michał zaraz go poznawszy, wyskoczył do niego z ramięmi wyciągniętymi, ścisnął go w swoich objęciach i kilkakrotnie ucałowaawszy, powiedział:

— Ach bracie, ja jestem teraz zupełnie szczęśliwym. Niczego nie pragnąłem, jak ciebie przed śmiercią widzieć, żeby się pojednać z tobą i oświadczyć, że ciebie z całego serca miłuję i najmniejszego żalu, ani przeciw tobie, ani przeciw mojej bratowej nie zachowuję. Bądźcie szczęśliwi oboje w jak najdłuższe lata i miejcie mnie w pamięci, a czasem westchnijcie za moją duszę.

Ludwik czas jakiś słowa wymówić nie mógł, uczył jakies ściśnienie w piersiach, aż nakoniec dwa strumienie łez puściły mu się z powiek. Michał starał się go uspokoić z taką czułością, jakby nie on sam, ale brat jego był skazany na śmierć.

— Jestem bratobójca! — krzyknął starosta — jestem przeklęty od Boga i ludzi!

— Cóż ty mówisz, drogi Ludwiku? Uspokój się! Któż ci podobny zarzut uczynić może? A jeżeliby jaki lekkomyślny śmiał na ciebie rzucić taką potwarz, czyż sumienie twoje nie zada mu kłamstwa? Cóżes winien, że, wierny obowiązkowi twoim, ścigając tych, co z bronią w ręku napadli na króla, któremu służysz, między innemi zastałeś i twojego brata? Wszakże ja z innemi do was strzelałem, czyż nie mogłem ciebie trafić? A jednak i w takim razie bratobójstwa sobiebym nie narzucił, jak Bóg chciał, tak się zrobiło, a ty byłeś ślepelem narzędziem jego wyroków. Powtarzam ci, że w niczem nie jesteś winnym, a wierzyć możesz słowom tego, który rychło stanie przed Bogiem. Żegnaj cię, bracie drogi, i proszę cię o to tylko, żebyś był spokojnym.

— Ach bracie, przyszedłem błagać cię o przebaczenie, a dobroć twoja, uprzedzając mnie, tem mnie zabija. Lecz jeżeli byłem zbrodniarzem, jestem

przynajmniej dość silnym, by przeszkodzić, żeby miara nieprawości się dopełniła. Przyszedłem ratować ciebie, uciekaj pod pieczę moją, ja ciebie z miasta wyprowadzę. Dowodzę oddziałem żołnierzy mężnych, i na których spuścić się mogę, idź ze mną, bracie! — Cóż to? ty się wahasz? Czyż już tyle mną pogardzasz, że wzdrygasz się przyjąć rękę, którą ci podaję?

— Drogi Ludwiku, nie mów mi tego. Z największą wdzięcznością, z czułością braterską przyjmuję twoją ofiarę, ale z niej korzystać nie mogę.

— Jakto? - tybyś chciał być straconym jak złoczyńca? tybyś odpychał ostatni środek ratunku! Kochany Michale, zaklinam ciebie na popioły naszego ojca, idź ze mną!

— Nie, bracie! od hańbiącego moją sławę wyroku, ucieczką się nie oczyszczę. A gdybym nawet ku temu się skłaniał, jedna okoliczność zawsze stanie temu na przeszkodzie: dałem słowo chrześcijańskie i szlacheckie, że tajemnicą nie wyjdę z więzienia. Ciebie zapytuję, cobys sam o mnie myślał, gdybym przez bojaźń śmierci tak haniebnie obciążył i moją cześć i moje sumienie?

— Żadna obietnica postawioną być nie może na szali z tem, coś winien ojczyźnie; tyś dla jej ocalenia przeciw nam działał i ja teraz przekonałem się o słuszności waszych zamiarów. Pójdę z tobą, obok ciebie walczyć będę, poprowadzę do Częstochowy mój hufiec, niewielki ale nieustraszony; był on pod mojem dowództwem narzędziem zbrodni, odtąd niech będzie sprzymierzeńcem cnoty. Mam niejaki doświadczenie w rycerskiem rzemiośle: pokonałem nędzarzów, którzy zechcą nam się opierać. Między mną, a królem już odtąd nie może być nic wspólnego. Pokrzepim w Częstochowie siły Konfederacyi, za honor i wiarę zawiązaną. Kto wie, ile ten krok mój przeciwważyć zdoła szale przeznaczenia. Czy myślisz, że gdy głowa gabinetu królewskiego do was się przyłączy, tysiące nie pójdą za jego przykładem? Więcej powiem: teraźniejszy minister, który we Francyi zepchnął Choiseula, był moim najściślejszym przyjacielem; przewidzieć nie możesz, ile usług jestem w stanie oddać waszej sprawie.

— Ludwiku, jeżeli w sumieniu twojem widzisz, że strona której dotąd służyłem, jest sprawiedliwszą, nie wahaj się do niej przystąpić, nie wchodząc, czy jej szczęście przyniesiesz, czyli z nią pospołu na wielkie cierpienia się narazisz; a co do mnie, śmiercią tylko jedną mogę jej służyć. Nie umiem tego przed sobą wytłómaczyć, ale mam przekonanie niezłomne, że tylko przyzwoleniem na to co mnie teraz czeka, mogę w zupełności wywiązać się z moich obowiązków. A gdybym zgrał obietnicę którą dałem, gdybym zawiódł cnotliwego męża, który na niej polega, byłbym najpodlejszy z ludzi, a nawet możebym swojego życia nie ocalił.

— Wszakżeś ty nie przysięgał, bracie: jakąż wagę możesz przywiązywać do obietnicy naprędce wymówionej i z której każdy roztropny człowiek ciebie rozgrzeszy?

— Obietnica chrześcijańska i szlachecka jest przysięgą, a ten, który na niej polega, inaczej jej nie rozumie: dowiódł tego z postępowaniem swoim ze mną; zdradzonym nie będzie.

— Ty nie masz prawa, Michale, sobą rozrządzać; ty nie możesz sumienie pociągać innych do twojej ofiary. Kto tobie dał prawo pozbawiać pomocy stronnictwo, w którym widzisz ojczyznę? kto ci dał prawo okrywać hańbą twojego brata, twoje imię? Do sumienia twojego się odwołuję.

— Jeżeli zasłużyłem na karę śmierci, czy ta kara będzie spełnioną czy nie, postępek już shańbił moje imię; jeżeli jestem niewinny, sława moja będzie ocaloną.

— Bracie — rzekł Ludwik w największem uniesieniu, padając mu do nóg — to być nie może, byś poszedł na rusztowanie! Bóg podobnej ofiary od ciebie wymagać nie może: to są marzenia melancholicznego umysłu. Przed nikim jeszcze kolan moich nie ugiąłem, a teraz u nóg twoich błagam ciebie, nie zabijaj brata twojego, nie skazuj jego na rozpacz.

— Bracie, co czynisz? — odparł wojski, podnosząc starostę. — Czemuz ostatnie chwile życia mojego zatruwasz, rozdzierając serce moje? Cześć, sumienie, wiara, nie pozwalają mi zadość uczynić woli twojej: jakże możesz mnie nakłaniać do czynu, na którego wspomnienie dusza moja się wzdryga? Zostaw mnie, bracie! Znasz mnie przynajmniej tyle, byś wiedział, że od postanowienia mojego nigdy nie odstąpię: wszakże, jeżeliby mi się nawet godziło zawieść ufność godnego męża, którego straży jestem powierzony, czy ty myślisz, że pomoc, którą mi ofiarujesz nie jest zbrodnią? Czyż tem nie zdradzasz króla, któremu służysz i czy możesz przypuścić, bym chciał być współnikiem zdrady, jedynie dla ocalenia mojego?

— Już przestałem być sługą królewskim, wczoraj jeszcze złożyłem szefostwo gabinetu, jestem jak ty obywatelem i mam prawo iść drogą, jaką mi przekonanie wskazuje.

Nie, Ludwiku, łudzisz siebie! Przekonanie ciebie nie prowadzi; czułość twoja dla mnie i dla tego bożyszczka, którego honorem nazywacie, strąca ciebie z gościńca powinności. Ty w niczem nie oddajesz nam sprawiedliwości: dziś, gdyby na wstawienie się twoje król chciał mnie ocalić, nie wahałbyś się przeciwko nam działać. Ty zrywasz z królem jedynie dlatego, że, mało względny na zasługi twoje, odrzucił zanesione prośby; nie interes publiczny ciebie prowadzi, ale interes, jakkolwiek zaszczyt przynoszący czułości twojej braterskiej, wszakże zawsze osobisty. Opamiętaj się, bracie! Bądź wiernym twoim obowiązkom dla króla, tem tylko dowiedziesz, że szedłeś za głosem przekonania, a mnie zostaw, niech z Bogiem przepędzę ostatnie chwile nędznego żywota, niech się przygotuję na podróż, którą wkrótce mam odbyć.

— Okrutny Michale! Ty dla wrażeń zabobonnych poświęcasz życie, sławę brata, wszystko, coby ciebie ze światem pogodzić mogło. Żegnam cię więc, ale nie na długo, wkrótce się zobaczymy: pomimo króla, pomimo twoje straże, pomimo ciebie samego muszę cię wyratować, albo zginę!

I wyszedł z więzienia.

Kiedy dekret ogłoszono, mnóstwo było osób skupionych w sali sądowej. Zauważano tak wielkie współczucie dla wojskiego w narodzie, iż zaczęto się obawiać tumultu w dniu egzekucyi, która wedle brzmienia wyroku miała nastąpić 1-go grudnia; postanowiono więc o jeden dzień ten wyrok przyspieszyć.

XLV. Zdarzenie niespodziewane.

Starosta odszedłszy brata, o niczem nie myślał, tylko o jego wybawieniu. Jako nawykłego oddawać siebie bez rozwagi i oporu wszystkim pociągom, jakich doświadczał, żadna przeszkoda wstrzymać nie mogła: chciał zebrać chorągiew swoją, z nią napaść na więzienie, brata odbić i z nim pójść choćby na krańce świata. Ale jego budowa nie mogła wytrzymać tych walk między wszystkimi jego uczuciami; kiedy wrócił do swojego pałacu, gdzie tylko chwil kilka miał się zatrzymać, tak był poruszony, takie pomieszanie wyrażało się na jego twarzy, że staroscina wybiegłszy naprzeciwko męża, przestraszyła się jego widokiem. Wszystko jej było wiadomem i wielka boleść przeszywała jej serce, ale ona tej boleści żadną powierzchowną oznaką nie zdradzała, czuła albowiem, że miała powołanie do spełnienia. Nierzetelna w dotrzymaniu obietnicy kochanka, umiała być wzorem małżonek, wiedziała, że do niej jednej należało goić rany męża. Rzuciła się w jego objęcia, starosta ją przycisnął do łona, ale nic powiedzieć nie mógł, tylko, że czuje dreszcz i cierpi ból głowy, jakiego dotąd nigdy nie doświadczał i położył się na sofie. Zosia wyszła na chwilę, wróciła mając na ręku swoją Ludwisię i usiadłszy przy leżącym mężu, podała mu dziecię, a rękę położyła na jego czole. Głowa była tak gorąca, iż zdawało się, że wszystkie wulkany tej ognistej duszy w niej się skupiły. Starosta pieścił nadobną dziecinę, obrócił ku żonie oko suche, w którym jakieś przerażające uczucie się wyrażało, ale nic wyrzec nie mógł, tylko palcem pokazywał na czoło.

— Mężu — odezwała się Zosia tym głosem srebrzystym, co zawsze tak słodkie wrażenia w nim pobudzał — ty jesteś cierpiący, połóż się w łóżko!

Starosta chciał jej coś powiedzieć, jakiejś bełkocące wyrazy stłumiły w ustach jego; wziął rękę żony, położył ją na sercu gwałtownie bijącym, potem chciał się podnieść, ale zaraz opadł. Zaczął coś mówić niezrozumiale, Zosia śledziła każde poruszenie męża: niestety, poznała, że zdolności umysłowe już były zawieszony, strapiona posłała po lekarza.

Przybył Sio, doktor jego królewskiej mości, z Francyi przed kilkoma laty sprowadzony, biegły w swoim kunszcie, a wielce zaufany staroscie, którego był i zwykłym lekarzem i przyjacielem. Sio zastał pacyenta w gorączce nadzwyczajnej i w stanie bardzo niebezpiecznym: starosta już go nie poznał.

Krew mu puszczono, żadnych środków zaradczych nie zaniebano; wszakże więcej dwóch tygodni leżał bez przytomności i nadziei życia. Żona go o krok nie odstąpiła, przepędzała nocy bezsenne pilnując męża. Kiedy niekiedy, gdy w dziennej porze natura znużona do snu krótkotrwałego ją skłaniała, wtedy jej głowa schylona ku piersiom chwil kilka zdawała się zasypiać: ale wskróćce się budził, by wzrok utapiać w oblicze męża, śledząc jakiejś iskierki przytomności: albo klęcząca przy łóżku jego podnosiła do Matki Miłosierdzia gorące swoje modły.

Kiedy starosta pasował się ze śmiercią, wojskiego męczeństwo się dopełniało; ostatniego Listopada, tego miesiąca zawsze dla niego złowrogiego, był wyprowadzonym na stracenie, razem z pułkownikiem Łukawskim. Ksiądz Białobrzescki towarzyszył im aż na rusztowanie, żeby pokrzepić ich odwagę pociechami religijnymi. Ale nie miał potrzeby tego czynić: Łukawskiego odwagę trzeba było miarkować, a nie pokrzepiać, a Michał już był uzupełnił ofiarę życia.

W wigilią śmierci wręczył księdzu Białobrzesckiemu dwa listy, prosząc, żeby były oddane stosownie do ich przeznaczenia; jeden był do Ludwika, drugi do Wazgirda. Brata zaklinał, żeby nigdy sobie nie wyrzucał, iż stał się przyczyną jego śmierci, gdyż to było zupełnie niezawisłe od jego woli; przypominał mu obowiązki dla żony i córki, której posłał stryjowskie błogosławieństwo. Nakłaniał go z gorliwością wyznawcy, żeby nigdy nie stawiał swojego rozumu naprzeciw wiary objawionej, żeby miłował Boga nad wszystkie rzeczy ziemskie i zawsze był gotów wszystko dla niego poświęcić.

Ten list oddany był zaraz staroście; ona go skryła z zamiarem oddania go mężowi, ale jak będzie zupełnie zdrowym. Wazgirda, między innymi wynurzeniami serca, które biał wkrótce miało przestać, zaklinał, żeby o żadnej zemście za jego zgon nie myślał; że nikt nie był rzeczywiście sprawcą jego śmierci; że w tem było wyraźne rozrządzenie Boskie, a więc z tą najwyższą wolą zgodzić się winien; że ma nadzieję przyjąć go kiedyś w królestwie wieczności szczęśliwej, a prosi go, jako najlepszego swojego przyjaciela, żeby póki nie skończy swojego pielgrzymstwa, o jego duszy nie zapomniął. Przez całą podróż od więzienia aż do placu kaźni odmawiał z kapłanem modlitwy konających; na rusztowaniu pocałował kata na znak pokory i zegarek złoty zostawił mu na pamiątkę; ostatni raz przeżegnał się, oczy podniosłszy ku niebu i najspokojniej szyję pod miecz poddał.

Kiedy się to dopełniało, starosta, chociaż nie okazywał najmniejszej oznaki przytomnego umysłu, chociaż nikogo nie poznawał, wszakże to wszystko przed nim wewnątrz się wyrażało. W tej chwili właśnie, kiedy jego brata prowadzono, jego delirium nadzwyczajnie było nacechowane. Krzyczał przeraźliwie, wołając ratunku, imię Michała powtarzał, to żalonym, to znowu wściekłym głosem, zrywał się z łóżka machając rękoma i tak się szamotał, że kilku ludzi ledwie go wstrzymać mogło. Potem znużony padł bez siły, leżał na wznak nieruchomy, ustami tylko ruszając, ale żaden głos z piersi nie mógł

się wydobyć. To pewna, że jak potem wrócił do przytomności, o nic pytać nie potrzebował; wszystkie szczegóły śmierci brata tak tkwiły w jego umyśle, jakby rzeczywiście na nie patrzył; co więcej, upominał się o oddanie mu listu od brata, twierdząc, że widział jak pisał do niego. Sio zastanawiał się nad tym fenomenem psychologicznym, ale go nie umiał wytłómaczyć; zalecał tylko, żeby mu się nie sprzeciwiano, żeby go ułagodzano, czyniąc ile możliwości zadość wszystkim jego chociażby najdziwaczniejszym wymysłom, przekładając, że chociaż już wyszedł z niebezpieczeństwa, systemat nerwowy chorego jest tak natężonym i drażliwym, że lada gwałtowne wzruszenie może go nazawsze pozbawić rozumu. Zosia miała niezmordowane baczenie, by powolnością swoją osładzać cierpkość jego humoru; usiłowała go rozweselać to muzyką, to przyniesieniem mu dziecka, to własnymi pieśczętami, szczęśliwa, jeżeli uśmiech choć krótkotrwały zabłądził na usta jego; jak to spostrzegła, miała siebie za sownie wynagrodzoną.

Ocknął się nakoniec Ludwik, jakby ze snu twardego, w którym mary i okropne widziadła go dręczyły; przemówił do żony przytomnie i pierwsze jego słowa były miłości i wdzięczności dla niej: wszakże wymówiwszy tych słów kilka, wpadł w jakieś odrętwienie. Zdawało się, że wszystkie sprężyny, któremi duch porusza ciało, były w nim porwane: całkowite godziny leżał nieruchomy i milczący.

Razu jednego siedząc przy mężu, jak zwykle, a widząc go w smutku pogrążonym, wszakże znacznie zdrowszym, Zosia próbowała go rozerwać rozmową swoją: on ją raptownie przerwał, mówiąc:

— Aniele mój drogi, każ mi przynieść zwierciadło, ciekawy jestem obaczyć się z sobą.

Zosia kazała mu przynieść co żądał; ale jak się spojrział w zwierciadło, zadrzał: w samej rzeczy, zarosły, wyłysiały, wybladły, trudno było w nim poznać tego świetnego kawalera, wzniecającego wszędzie albo zapał miłości, albo udręczenie zawiści; a co dziwniejsza, co i nawet żona zauważyła, rysy jego obnażone z świeżości i zadowolenia, dawały mu wielkie podobieństwo do Michała, jakiego dawniej nie miał.

— Ach, mój aniele drogi — wykrzyknął Ludwik — jakże mogłaś ludziom pokazywać podobne straszdyło?

To wyrzekłszy kazał natychmiast siebie ogolić, głowę opustoszałą kupną pokryć czupryną, a nawet bladeść swoją usiłował pokryć kłamanym rumieńcem. Zosia na to patrząc, uczyła wielką radość, gdyż w tym zwrocie ku dawnej próżności upatrywała rękojmię powrotu do zdrowia.

I w rzeczy samej, Ludwik wracał stopniami do dawnej siły i rzeźwości, chociaż wyraz głębokiego smutku jeszcze nie opuszczał jego czoła. Starościna z wymową przywiązanej żony razu jednego zaczęła przed nim kreślić obraz szczęścia, jakie może ich spotkać za granicą: wystawiała mu środki, jakimi ich wspólną fortunę przenieść można do Francji, krainy zawsze od niego ulubionej.

— Dobrze mówisz, aniele drogi, nam w Polsce już nie mieszkać: w Paryżu, w Wersalu, odnowię jestestwo moje. Odtąd czując się pokrzepionym na sile, zajmę się wyłącznie wyprzedaniem naszych majątków.

Przywykły oddawać się z popędem niczem niewstrzymanym wszystkim pociągom swojej woli, starosta, raz powziawszy zamiar opuszczenia na zawsze swojej ojczyzny, ze zwykłym sobie zapałem oddał się temu przedsięwzięciu na nic się nie oglądając, a Zosia się cieszyła, gdyż w tem znalazł jakąś energią, która mu rozejm przynosiła z jego zgryzotami. W Polsce stan rzeczy już się był odmienił. Po tych ostatnich nieszczęśliwych wypadkach, Konfederacya Barska, ten pamiętny epizod konającego narodu, już się była rozwiązała. Oprócz trzech mężów, którzy woleli siebie na dobrowolne wygnanie skazać, niż przeprosić króla, wszyscy wodzowie recesowali od tego związku i pogodzili się z królem, który już był niezaprzeczonem i prawym panem Polaków. Stanisław August zaczął szczerze przemyśliwać o wyniesieniu krwi swojej nad równość narodu; pragnął nabyć dla ulubionego synowca, młodego księcia Stanisława, znaczną nieruchomą posiadłość. Jak się więc dowiedział, że obaj małżonkowie Strawińscy szukają kupca na majątki swoje, zalecił synowcowi, by je nabył dla siebie, ofiarując mu wszystkie ku temu środki. Pan Ancuta, umocowany księcia, a bliski krewny pani Strawińskiej, umówiwszy się z nią i z jej mężem o cenę, zawarł z nimi tranzakcyę, a cały ich majątek został przelany na księcia Stanisława. Majątek był znaczny, bo chociaż państwo Strawińscy różne zrobili przekazy dla sług i ubogich krewnych, przeszło sto tysięcy czerwonych złotych w wekslach najpewniejszych na Hamburg, Paryż i Londyn zostało ich własnością. Nie pozostało nic Ludwikowi, jak tylko ułatwić się ze zbyciem swojego pałacu i starostwa i złożyć tę chorągiew, przy dowództwie której niedawno obstawał tak uporeczywie. Co do pierwszego, książe Waragin, świeżo zostawszy ambasadorem swojego dworu w Warszawie i potrzebując pałacu dla ambasady na wielką stopę utrzymywanej, rad był z zaspokojeniem potrzeby niezbędnej połączyć dogodność dla ścisłego przyjaciela. Nabył więc pałac ze wszystkimi jego ruchomościami, pozwalając staroście go zajmować aż do wyjazdu. Pułkownictwo swoje odstąpił za zezwoleniem królewskim, wyrobionem mu od pana Gintowta, cześnika Litewskiego, panu Obuchowi, chorążemu tejże chorągwi, którego wielce szacował i od którego ciągle dowody przyjaźni odbierał. A co się tyczy starostwa Wieluńskiego, wywiązał się pani cześnikowej za tyle dowodów jej przyjaźni, za karetę bardzo wygodną, w której miał podróż odbyć do Francyi i kilka makat, odstępując jej mężowi starostwo do trzydziestu tysięcy intraty przynoszące, na które cześnikowa, za wstawieniem się ambasadora, otrzymała dla siebie *jus communicativum*.

Tak wszystko ułożywszy, zdawał się być zupełnie spokojnym, bo zajmował się wyłącznie podróżą; rozpuścił dwór swój, każdego sługę obdarzywszy i wymówiwszy sobie jego usługi aż do dnia wyjazdu, kilku z nich tylko mając zabrać z sobą do Francyi. To zajęcie zdawało się ożywiać Ludwika.

Za trzy dni mieli wyjechać; Ludwik zdawał się być spokojnym, nawet, co najwięcej pocieszało Zosię, powracał do dawnej łagodności i dworności. Wieczorem przybyli do nich pani cześnikowa i ksiązę Waragin; gdy zaczęto mówić o wyjeździe gospodarstwa, pani cześnikowa odezwała się:

— Ludwiku, wszakże będziesz u króla z pożegnaniem?

— Ja — odpowiedział — wcale o tem nie myślę; nadto źle odplacił nakoniec moje zasługi, żebym się do tego stopnia uniżył.

— Mój Ludwiku — odrzekła cześnikowa — zastanów się! Czy człowiek takiego znaczenia jak ty, może się ukradkiem oddalać? Król jest zawsze królem.

— Ale już nie moim; jestem poddanym króla francuzkiego.

— Zapytaj-że się księcia, nie masz nadeń ściślejszego przyjaciela; on ci powie, coby sam o tobie myślał, gdybyś się tak dalece ominął z prawidłami dobrego wychowania, przyzwoitości.

— Ja nie uważam tego, co mówi nasz starosta — odezwał się ambasador — inaczej, jak za wyskok żalu, który na jego postępkę wpływu mieć nie może Jeżeliby i miał słuszny żal do króla, troskliwość, jaką najjaśniejszy pan okazał w czasie jego choroby, nawiedziny, któremi go zaszczycił, powinnyby już ten żal umitygować; ale ja to zostawuję na stronie; bo tu nie idzie o zadośćuczynienie serca, lecz o dopełnienie powinności; aż nadto jestem pewny, że mój przyjaciel starosta, wzór dobrego tonu i świetnego wychowania, nie zechce splamić siebie postępkem, którego by się nie dopuścił na wsi wychowany, a który w Wersalu wszystkichby zgorszył; pewnie bowiem i tam rychło o tem by się dowiedziano. Nie tracę nadziei, że jutro będę go oglądał na audyencyi u króla i gdyby w tem się wahał, nieoszacowana jego żona potrafi go nakłonić, żeby był zawsze sobie równym.

— Kochany ksiązę — rzekł starosta biorąc go za rękę — dziękuję za naukę, na którą zasłużyłem; będą jutro u króla, złożę mu uszanowanie moje, nawet wdzięczność moją; w istocie mam wiele powodów czuć dla niego wdzięczność. Pożegnaj najjaśniejszego pana, usłyszę jak mi powie, że życzy mi od Boga wszelkich pomyślności i poproszę go, żeby mnie zaszczycić raczył jakim rozkazem do Paryża. Może zechce mi powierzyć jaką ważną negocyacyę dyplomatyczną, naprzykład kupno jakiego gustownego fermuara dla pani krajczynej.

Ambasador rozśmiał się serdecznie, ale był rad, że jego przyjaciel postąpi sobie, jak istotnie sama przyzwoitość tego wymagała.

Kiedy mili goście odjechali, Ludwik okazał się wesołym i rozmawiał z żoną o mającej się odbyć pożegnalnej audyencyi.

Gdy nazajutrz żona wychodziła do kościoła, on, który dopiero rozpoczynał swoją toaletę, odprowadził ją do drzwi, ucałował ją kilkakrotnie z zapalem kochanka i powiedział jej kilka żartobliwych rzeczy o przyszłej audyencyi, do której się gotował. Starościna po odbytem nabożeństwie wstąpiła na czekoladę do cześnikowej, mieszkającej niedaleko Św. Krzyża; tam z nią się rozgadała

o przyszłym wyjeździe swoim, zasilając się radami kuzynki, przywykłej podróźować za granicą. W ciągu ich rozmowy przybył pan cześnik Litewski prosto z pokojów królewskich i zdał damom relacją o przyjęciu starosty.

— Powiem paniom moim, że pan starosta, pomimo choroby tak długiej, bardzo dobrze i świeżo wyglądał; nikt nie poznał, że był w peruce. Pierwszy raz widziano go w orderze Orła Białego, a wstęga błękitna pięknie odbijała granatową barwę munduru francuzkiego; król wymówił mu łaskawie, że w zagraniczną barwę tak śpiesznie się przestroił, kiedy mu abszyt nie odejmuje prawa noszenia polskiego munduru; pan Strawiński na to nisko się skłonił, zapytując króla, czy nie ma jakich rozkazów do Paryża? Król odpowiedział: — Żadnych rozkazów, ale proszę, byś waćpan o nas nie zapominał. Spodziewam się i tam mieć z pana przyjaciela; a co do osoby jego wiem, że dla siebie niczego nie żadasz; ale jeżeli interesujesz się za kim w czemkolwiek, proszę powiedzieć, a miło mi będzie dowieść publicznie, ile mam dla waćpana szacunku. — Nie uwierzycie panie, jakie wrażenie te słowa królewskie zrobiły na przytomnych. Potem król zaprowadził go do gabinetu ośmiokątneho, który wychodzi z audyencyonalnej sali na teras. Uważaliśmy wszyscy, że więcej godziny rozmawiali z sobą i że rozmowa była żwawa. Dość, że pożegnawszy się z królem, mąż pani powracał przez salę z miną tryumfującą; każdy z przytomnych zbliżał się do niego z uniżoną uprzejmością, lecz on na nikogo nie patrzył, tylko mnie raczył scisnąć za rękę i kilka minut rozmawiał z księciem Waraginem, tak jednak cicho, że z ich rozmowy nie nie transpiruje dotąd u dworu.

Zosia śpiesznie wróciła do męża, żeby mu powinszować przyzwoitego rozstania się z królem, pochlebiając sobie, że to pożegnanie zatrze w nim ostatki smutku i niespokojności; ale jakież było jej zadziwienie, kiedy po powrocie pierwszą rzeczą, którą jej oznajmiono, było, że starosta powróciwszy od króla, znowu zapadł.

Zosia natychmiast posłała jeszcze nie wyłożoną karete po doktora.

Sio zastał go wielce wzruszonym, ale nie znalazł nic niebezpiecznego. Przepisał mu ułagadzający napój, nazajutrz zalecił mu wziąć kąpiel letnią i obracając się do Zosi:

— *Madame la comtesse*, niech pani będzie spokojna; nikt lepiej odemnie nie zna temperamentu jej męża; każda rzecz w nim robi gwałtowne wrażenie, ale nie na długo: to prawdziwa natura francuzka. Wielkie jest w nim wzruszenie, lecz to się już zaczyna uspakajać. *Monsieur le comte* pojutrze wyjedzie, a jeżeli pozwoli, ja sam odprowadzę go aż do Paryża.

Ludwik podał mu rękę i ścisnął go z czułością.

— No! — dodał Sio — rzecz umówiona: jutro rano kąpiel, po obiedzie przenoszę się do państwa z mojem zawiniątkiem, a pojutrze, o dziesiątej z rana, pał z biczem woźnico! Zaręczam, że go w całości dowieziemy, a choć ma zgryzoty, zaledwie na niego zawieje wietrzyk francuzki, o nich zapomni, jakby się napił wody Letejskiej.

Starościna wyszła na chwilę, ale wróciła trzymając w ręku ładunek złota.

— Mój kochany Sio, może masz jakie wydatki do opędzenia przed wyjazdem, oto na ich załatwienie. Rachuję na ciebie z zupełną ufnością.

— I comtesse na niej się nie zawiediesz; słowo Francuza jest przysięgą. Pojutrze tedy wyjeżdżamy; a jak comtesse pozna brzegi Sekwany, zapytam jej wtedy, czy jeszcze pamięta o swojej ojczyźnie. Każdy kraj ma swoją piękność, ale Francję trzeba koniecznie widzieć.

Ludwik po zażyciu mikstury zdawał się być spokojniejszym; kazał przynieść dziecię swoje i z niem się bawił więcej godziny: kolejno pieścił córeczkę i całował ręce żony. Czasem lzy czułości zraszały mu źrenice, czasem wdzięczny uśmiech, odpłacał dowody przywiązania córeczki; bo Ludwisia już wyraźnie wymawiała: papa, mama, umiała całować i brać za szyję. Wszakże wkrótce jakiś dziwny wyraz smutku zaległ rysy Ludwika; widać było, że ta rodzicielska czułość go zmęczyła.

Po kilku chwilach milczenia, dodał:

— Jak ty, mój aniele i wy wszyscy co wierzyć możecie, jesteście szczęśliwi!

— A ty, Ludwiku? czyż słowa naszej wiary na tobie żadnego wrażenia nie robią?

— I owszem mój aniele, jej słowa są nadzwyczajnie piękne; ale jakże się przekonac, że są prawdziwe, że są czem innym jak wytworem wyższego i głębszego od innych moralisty? Usiłowałem nakłonić mój rozum, żeby wierzył, tak jak wy wierzycie; bo w złych przygodach, czy może być coś więcej pocieszającego, jak ta myśl, że zostajemy pod rozporządzeniem najmędrszej, najlepszej, najdoskonalszej istoty, która nas miłuje nad wszystko...

Wkrótce potem cześnikowa przyjechała do nich na wieczór; nadzwyczajna wesołość Ludwika ją nieco zastanowiła, bo zbliżała się do dzieciności. Naprzykład, opowiadał różne anegdotki koszar francuzkich, czasem dość ślizkie, on, którego rozmowa zawsze była nacechowana najdelikatniejszą przyzwoitością; potem, co także nigdy nie bywało, opowiadał ze wszystkimi szczegółami romans swój z margrabinią de Pompadour. Między innemi, jak król do niej przyszedł tak niespodzianie, że nie miał innego sposobu ukrycia się, tylko wdrapał się w komin, gdzie więcej godziny bez najmniejszego poruszenia musiał wisieć w najniwygodniejszym położeniu, i że o mały włos się nie udusił. Dopiero po wyjściu króla spuściwszy się z komina, tak był obrudzony, obdarty, włosy tak rozczochrane, że margrabina, na jego widok na całe gardło śmiać się zaczęła, a nie mogąc się ani u niej przebrać, ani wyjść na ulicę, musiał w jej gabinecie czekać nocy, pod której dopiero płaszczem dostał się do swojego mieszkania, gdzie sługi poprzestraszał swoim zjawieniem.

Było już dobrze po północy, kiedy to małe towarzystwo się rozeszło, bo ile razy, czy cześnikowa, czy Sio chcieli go pożegnać, Ludwik ich nie puszczał, aż sam nie uczuł gwałtownej potrzeby spoczynku. Cześnikowa wychodząc oparta na doktorze, powiedziała mu spuszczać się ze schodów:

— Mów co chcesz doktorze, a ja jestem niespokojną o Ludwika; obaczysz, że on zapadnie znowu, on był cały ten wieczór jakby w obłąkaniu; jutro rano do nich przyjadę.

Ludwik szybko zrzucił co miał na sobie i położył się na łóżku żony; natychmiast zasnął i tak twardo, że już było po dziesiątej z rana, kiedy się ocknął. Gdy oczy otworzył, pierwszy przedmiot, który go uderzył, była Zosia siedząca przy łóżku i oczekująca jego przebudzenia. Jak wiadomo, dzień jutrzejszy byłznaczony do wyjazdu. Ludwik rzucił szlafrok na plecy, zbliżył się do żony i powiedział jej:

— Dawno nie czułem się tak dobrze.

Jednak zauważyła, że był bledszym niż wczoraj.

— Moja droga — rzekł do niej — miałem dziś rano pójść do kąpieli, czy kazałaś mi ją przygotować?

— Wanna czeka na ciebie w twoim gabinecie, jak kazałaś.

— Mój aniele drogi, pamiętasz, że kiedy mi zawiesiłaś na szyi obraz blaszany, dałem ci słowo, że oprócz ciebie samej nikt go nie zdejmie; weź-że go, droga Zofia, a jak wyjdę z wanny, ty znowu na mnie go włożysz.

Zosia zdjęła obrazek i machinalnie zawiesiła go na siebie.

Ludwik przycisnął jej czoło do ust swoich i wychodząc uklonił się jej nisko. Coś wtedy było tak dziwnego w jego spojrzeniu, że Zosia przeleżała się, sama nie wiedząc czego; przez kwadrans ruszyć się z miejsca nie mogła; ale potem pobiegła do gabinetu męża, zastała Ludwika przy kantorku swoim, właśnie układającego jakieś papiery, podczas gdy służący chłodzili mu wodę, która mu się wydawała zbyt gorącą.

Kiedy weszła, Ludwik rozśmiał się głośno, mówiąc:

— Wiesz, mój aniele drogi, co mi przyszło na myśl? Pocziwa cześni-kowa ma męża tak stratnego, że to starostwo, co im odstąpiłem, nie będzie owsem, który konia podkarmi, ale tylko ostrogą, która go popędzi kilka minut, a żal mi jej, bo choć u niej głowa pusta, ale ta kobieta ma serce; na wypadek nieszczęścia ona ci może być bardzo pomocną.

Wtem dał się słyszeć turkot pojazdu; Ludwik zbliżył się do okna.

— A! oto właśnie karetka cześni-kowej! idź-że ją przyjąć, a ja jak wyjdę z kąpieli, do was przyjdę. Mój aniele, wywołaj za sobą mojego Medora, on tylko mnie i tobie jest posłuszny; bo jak mnie zobaczy w wannie, do niej zechce wskoczyć i wszystko mi zabryzga w gabinecie. Do zobaczenia kochana żono!

Zosia nie bez trudności zabrała z sobą Medora, bo z uporem nie chciał opuścić pana swojego. Zosia zeszła do swojego apartamentu, gdzie już zastała cześni-kową. Po życzeniu sobie dnia dobrego:

— Wiesz, moja Zosiu — rzekła cześni-kowa — tak byłam niespokojna o twój męża, że nie wypawszy się do was przybiegłam. Wczoraj wieczór on gadał wyraźnie jakby z gorączki; a teraz jak idzie jego zdrowie?

— Bardzo dobrze, moja siostrzyczko; kapie się i jak wyjdzie z wanny, zaraz do nas przyjdzie.

Tu Medor zaczął wyć przeraźliwie, Zosia zadzwoniła, wszedł lokaj.

— Wyprowadź tego psa — powiedziała.

Wtem silny wystrzał dał się słyszeć; obie damy zerwały się z miejsc swoich.

— Co to jest? — krzyknęła Zosia.

Po chwilach kilku drzwi się otworzyły ze stukiem. Kozak starosty wpadł i powiedział tylko te słowa:

— Już po naszym panu!

Zosia padła bez przytomności.

XLVI. Ostatni.

Kobiety pani starościny zaczęły ratować panią, a pani cześnikowa czempredziej pobięła do gabinetu jej męża. Przebóg! jaki widok przedstawiał się jej oczom: Ludwik siedział w wannie nieżywy; twarz jego była krwią zboczona, a jego mózg odbił się o pułap. Pokazało się, że Ludwik, wszedłszy do wanny, wypalił sobie w usta z kieszonkowej krucicy. Kantorek jego stał otworem; na nim leżały weksle, wszystkie indosowane na imię jego żony. Przy tych wekslach był papier, własną jego ręką zapisany i jeden numer gazety Lejdejskiej; w gazecie doczytano się artykułu, który był przyczyną owego nieszczęśliwego wypadku. Oto jest jego wyjątek:

Lille, 10 Stycznia.

„To miejsce było przed kilku dniami świadkiem nader smutnego zdarzenia. W restauracyi tutejszej pod Jeleniem zbierają się oficerowie regimentu Nawarry, tu konsystującego, nikt prawie z osób cywilnego stanu, a żaden przejezdny gość jej nie omija. Zaczęto mówić o świeżem ocaleniu króla polskiego; bo cała nasza publiczność teraz jest tem zajęta. Pospolicie to ocalenie przypisują hrabi Strawińskiemu, który po kilkunastoletniej zaszczytnej służbie w wojsku francuzkiem, na wezwanie króla polskiego opuścił ojczyznę swoją przybraną i we własnej został sekretarzem stanu. Mówią, że dla lepszego wysłużenia się królowi, zobowiązał się zrobić mu ofiarę z rodzonego brata, za co król obiecał go zrobić senatorem. Ten brat był jednym z najzawziętszych przeciwników królewskich i dał siebie zamieścić do spisku w Częstochowie zawiązanego, by króla gwałtem wywieźć z Warszawy i dostawić go do konfederacyi. Wyrok spełnionym został ostatnich dni Listopada. Ten brat wyrodney nie otrzymał spodziewanej nagrody; senatorowie mieli przyjść do króla, prosząc go o cofnięcie obietnicy swojej, gdyż oni tej krzywdy sobie nie uczynią, by mieli z bratobójcą zasiadać. Z tego powodu król ze swim sekretarzem stanu dość źle się rozstali. Piszą z Warszawy, że ów człowiek spodlony opuszcza Polskę i chce na nowo osiąść we Francyi, gdzie jednak dobrego przyjęcia spodziewać się nie może.“

„Kiedy o tem za stołem mówiono, głos wzgardy dla pana Strawińskiego dał się słyszeć powszechnie od wszystkich siedzących, a najgłośniej odzywali się dwaj bracia Montigny, potomkowie świetnego rodu, obaj oficerowie w pułku Nawarry, których jedność i wzajemne ku sobie przywiązanie było przytaczane jako wzór do naśladowania. Na nieszczęście hrabia Mycielski, kapitan gwardyi królewskiej, blizki krewny pana Strawińskiego, przejeżdżając przez Lille, poszedł był do tejże restauracyi i słyszał rozmowę. Nie mogąc znieść obelg miotanych na krewnego przez tych dwóch młodych oficerów, powiedział im w najgwałtowniejszym uniesieniu, że tylko podli ludzie mogą potępiać człowieka zasłużonego, nie wysłuchawszy tego, co on na swoją obronę powiedzieć może.

„Pojedynek nastąpił, którego rozwiązanie, że obaj bracia Montigny polegli, a hrabia Mycielski ranny bardzo niebezpiecznie. Żal powszechny, jaki się dał widzieć w publiczności na pogrzebie tych zacnych młodzieńców, najlepiej przekonywa o ich cnotach.“

Papier własną ręką Ludwika zapisany, był list do żony następującej treści-

„Przebacz, najdroższa kobieto, ten cios który zadają sercu twojemu. Jest to ofiara, którą dla ciebie i naszego dziecka uczynić musiałem; życie moje, przepełnione goryczą i hańbą, byłoby dla ciebie niewyczerpanem źródłem upokorzenia, a naszemu dziecku zawadą do pomyślnego losu. Wytykanoby was palcami, jako żonę i córkę człowieka, który cześć utracił: nie mam prawa do tego, żeby istoty niewinne, a dla mnie tak drogie, pograżać w mojej niedoli.

„Odczytaj gazetę obok tego listu położoną, a z niej przekonasz się, jakieby nadal było moje przeznaczenie. Już nie można okazywać dla mnie życzliwości bez narażenia swojego zdrowia; i Bertrand już może życiem przypłacił nieszczęście, że jest moim bratem.

„Cały nasz wspólny majątek jest teraz twoją własnością. Opuść ten kraj nieszczęśliwy i przenieś się z naszą córką w jakąś ziemię oddaloną, gdzieby moje imię nie było tak często wspomnianem, jak w Polsce lub Francyi. Nim nasza córka wyrosnie, wszędzie zapomną o jej nieszczęśliwym ojcu, a z majątkiem twoim nie będzie ci trudno znaleźć dla niej odpowiedniego męża. Jej ojciec nie był nigdy zbrodniarzem, był tylko igrzyskiem nieprzyjaznego losu, a jeżeli ciążyła na nim jaka wina, umiał za nią sam siebie ukarać. Bądź szczęśliwą, droga żono, żegnam cię i jeszcze raz polecam twojej pieczy dziecię naszą. Oczekuję spokojnie przyszłości, jaka mnie spotkać może.“

Był także pakiet opieczetowany dla króla: dowiedziano się później, że w nim żadnego listu nie było, tylko insygnia orderów, które był z jego łaski otrzymał.

*

*

Taki był koniec obu braci Strawińskich; żadnych uwag nad tym ich końcem nie pozwolę sobie; zostawię to czytelnikowi, a jeżeli obrok duchowy sam dla siebie z niniejszego pisma zdoła wyczerpnąć, moja praca aż nadto będzie nagrodzoną.

WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA

230350

Biblioteka WSP Kielce



0087168